

Anthony HYDE


SREBRNA
SERIA

The book cover features a central illustration of a space shuttle orbiting Earth. A bald eagle is superimposed over the scene, with its head and neck appearing to be in a fiery, pinkish-red glow. The background is a dark space filled with stars. The top of the cover has a stylized American flag motif with stars and stripes.

China Lake


SREBRNA
SERIA

Anthony HYDE
China Lake

Przełożył
Zbigniew Hampel



AMBER

Tytuł oryginału
CHINA LAKE

Autor ilustracji
ALAN GUTIERREZ

Redaktor KRZYSZTOF BEREZA

Redaktor techniczny
ANNA WARDZAŁA

Copyright © 1992 by Tusitala Inc.
All Rights Reserved.

For the Polish edition
Copyright © 1994 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 83-7082-352-1

Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

Warszawa 1993. Wydanie I

Druk: Łódzka Drukarnia Dzielowa

*Dla
Sylvie i Richarda
Brooke'a
Kathy
Trapera (P.M. Stevensa)
Rity
oraz na pamiątkę wspaniałych
chwil
nad Lac Bernard*

Sidewinder, AIM-9

Ten pocisk powietrze-powietrze, jeden z najbardziej rewelacyjnych w historii, powstał w sposób zupełnie nieamerykański, gdyż stworzył go niewielki zespół z Poligonu Doświadczalnego Marynarki Wojennej w China Lake, mając do dyspozycji bardzo skromniutki budżet. Zespół ów, pod kierunkiem dr McLeana, jako pierwszy na świecie rozwiązał w roku 1949 problem naprowadzania na cel za pomocą promieniowania podczerwonego, wyeliminowano przy tym wiele trudnych problemów decydując się na kadłub o średnicy jedynie 5 cali (127 mm), co było niezwykle istotne w czasach elektroniki lampowej. Pierwszy pocisk sterowany XAAM-N-7 został pomyślnie odpalony 11 września 1953 roku. Pierwszy fabrycznie produkowany pocisk, oznaczony przez Marynarkę Wojenną jako N-7, przez Wojska Lotnicze jako GAR-8, a przez zespół badawczy jako SW-1, ugodził w cel w maju 1956 roku.

AA-2 Atoll

W przeciwieństwie do innych sowieckich pocisków jest to bez wątpienia kopia wczesnego egzemplarza Sidewindera, AIM-9B. Kiedy po raz pierwszy pokazano go publicznie pod skrzydłami myśliwców podczas parady lotniczej 9 czerwca 1961 roku, nie różnił się niemal od amerykańskiego oryginału. Potem jednak przeszedł własną ewolucję, podobnie jak Sidewinder, występując w wersjach naprowadzania podczerwonego i radarowego...

Podobnie jak wersje AIM-9, pociski sterowane przez promieniowanie podczerwone mają dzioby półkoliste, uwrażliwione na ciepło, wersje radarowe zaś – dzioby stożkowate i nieprzejrzyste. Przenoszone są obecnie przez myśliwce MiG-21 (cztery pociski zamiast dwóch) oraz przez myśliwce MIG-23S o zmiennej krzywiznie skrzydeł, które mogą być też uzbrojone w późniejsze modele pocisków powietrze-powietrze.

BILL GUNSTON
Modern Airborne Missiles

Cyriłowi Levittowi chciałem podziękować za pomoc i towarzystwo w podróży po Niemczech; HJ za wspomnienia z psychodelicznej przeszłości, a mieszkańcom Kalifornii za podzielenie się ze mną sekretami China Lake.

CZEŚĆ I

Ciała czarne

CIAŁO CZARNE (fiz). Ciało pochłaniające całkowicie padające na nie promieniowanie ciepłe i świetlne. Jeśli *ciało czarne* utrzymywane jest w stałej temperaturze, stanowi doskonały emitor, gdyż każde *ciało czarne* zachowuje stałą równowagę pochłanianego i emitowanego promieniowania.

RADIACJA CIAŁA CZARNEGO (fiz). Promieniowanie emitowane przez ciało idealnie czarne. Rozkład energii zależny jest tutaj jedynie od temperatury zgodnie z *prawem Plancka*. Por. *prawo Stefana-Boltzmann*, *prawa Wiena*.

Chambers Science and Technology Dictionary

Rozdział 1

Później Tannis zastanawiał się wielokrotnie, czy nie przeoczył jakiegoś sygnału, jakiegoś znaku ostrzegawczego. Śledzono go zapewne, wokół niego musiało się więc zmienić coś, co powinien zauważyć. Nie chciał się pogodzić z myślą, że ktoś mógł go przechytryć. Choć już od lat nie był pracownikiem „operacyjnym”, czuł się jednak nadal profesjonalistą...

Próbował odtworzyć w pamięci, najdokładniej jak potrafił, obrazy z poprzednich dni: samochody jadące za nim do Los Angeles, rozmowy telefoniczne, nieznanymi mężczyzn stojących przed budynkiem jego banku. Zastanawiał się, czy którykolwiek z tych rekonstruowanych cierpliwie szczegółów nie sprawia wrażenia „obcego ciała”. Czy nie było tam w czymś jakiejś subtelnej, ale istotnej różnicy? Nie potrafił udzielić sobie jednoznacznej odpowiedzi na żadne z tych pytań.

Szczerze mówiąc, niczego się nie spodziewał. Wszystkie sprawy biegły tym samym, zwyczajnym rytmem, a ów piątkowy wieczór pozornie niczym nie różnił się od setek innych. Odkąd przeszedł na emeryturę, dni przestały się różnić od siebie i nigdy nie miał całkowitej pewności co do tego, czy jest teraz kwiecień, czy też może listopad? 1958? 1985? Nie stanowiło to dla niego istotnej różnicy. Był tak beczasowy jak pustynia, nigdy też nie „wracał” do dawnych dni w potocznym sensie tego słowa; przeszłość rozwiła się jak smuga po odrzutowcu wysoko na niebie. Takie też było właściwie całe jego życie: nic się w nim nigdy do końca nie speł-

niło albo też to, co się spełniło, dawno już się rozpełzło i rozplynęło. Udało mu się zdążyć na sam koniec wojny, która stała się legendą, i czekał potem na następną – mityczną w innym sensie – wojnę, która w ogóle nie wybuchła i dzisiaj wydawała się równie dziwaczna jak nocny seans filmowy, przedstawiający świat nagle zamarły w bezruchu lub zaatakowany z kosmosu. Nic się nie wydarzyło. Rozbito atom, przelamano barierę dźwięku i nic z tego nie wynikło. Dziś nikt już nie wspominał tamtych czasów i tylko ludzie tak starzy jak on nosili jeszcze koszule z nylonu – „czarodziejskiego włókna” – i pamiętali, jaką sensacją były radia tranzystorowe. Być może należał do pokolenia, które długo, zbyt długo wyczekiwało na swój czas i nie doczekało się go nigdy. Znaleźli się w szczególnej pułapce czasu: stali się bohaterami historii nie prowadzącej do teraźniejszości, która ich otaczała. Byli kiedyś popularni, a nawet sławni, dziś nikt już ich nie pamiętał, podobnie jak dawnych szlagierów. Tannis stanowił tu szczególnie jaskrawy przykład. Bez marynarskiego munduru był kimś, kogo w ogóle nie zauważano, a ci, którzy go w końcu rozpoznawali, niemal zawsze sprawiali wrażenie wstrząśniętych tym spotkaniem: jak to, więc nie umarł? Przecież słuch o nim zaginął dwadzieścia lat temu. Właściwie wcale go to nie martwiło; wprost przeciwnie – zdecydowanie wołał anonimowość. Był może staromodny, ale uważał, że jego życie i czas są przede wszystkim jego własnością. Nie kupił japońskiego samochodu, nie wiedział, co to jest – lub czym było – „disco”. Pamiętał natomiast słowa tamtych starych szlagierów. Gdyby ktoś mógł go podsłuchać, kiedy czekał na skrzyżowaniu na zmianę świateł, usłyszałby zapewne, jak wystukując rytm na kierownicy, podśpiewuje na przykład *When the moon hits eye like a big pizza pye that's...*

Nawet jednak nie mając całkowitej pewności co do dnia, miesiąca i roku, Tannis wiedział, że żyje w „epoce Reagana”, że jak w każdy piątkowy wieczór nawiedza go właśnie ochota na szklaneczkę i że jest najprawdopodobniej późne lato lub wczesna jesień, gdyż w kominku nie trzaskały w ogniu meskitowe gałązki. Ale mógłby to być którykolwiek z wieczorów na Mojave. Sącząc tequilę, popalając lucky strike'a i przyglądając się przez wielkie okno w salonie zachodowi słońca, Tannis leniwie rozmyślał nad niektórymi inwestycjami w akcje złota: Hemlo, Franco-Nevada,

Breakwater. Tequila i zachód słońca stanowiły dlań nieomal rytuał. Przez jakieś dwadzieścia minut stał tak prawie nieruchomo, sączył trunek, spoglądając ponad pustynią w kierunku niskich ciemnych wzgórz, za którymi skryło się Los Angeles. Wzrok zatrzymał się na jakimś odległym punkcie za wydmami, za słonym płaskowyżem, za wydłużającymi się cieniami czerwonych skał, i naraz jego oczy utraciły ostrość widzenia, nastąpiło owo charakterystyczne przesunięcie wewnętrzne: on sam jakby zatracił się niby duch, widząc jednocześnie wszystko zdumiewająco wyraźnie, jak gdyby patrzył przez odwróconą lunetę lub został obdarzony drugą parą oczu. Gdyby tam, w tym pustkowiu, kryła się jakaś zapowiedź tego, co czaiło się w przyszłości, wyczułby ją na pewno. Ale tak się nie stało. Od złota jego myśl pobiegła ku ludziom, którzy niegdyś poszukiwali go na Mojave, w Randsburgu i Panamint, a potem ku tym wszystkim, którzy chcieli coś zdobyć na piaszczystych pustkowiach: Rommel, Koczis, Św. Antoni, Thomas Edward Lawrence. Zaczął sporządzać listę, zastanawiając się jednocześnie nad tym, co ich łączyło. Doszedł do wniosku, że wszyscy byli wizjonerami, ludźmi szukającymi nadziei, sławy i spełnienia. Myśli te trudno byłoby jednak uznać za zwiastuny czegokolwiek, chociaż w tym właśnie momencie, o godzinie 19.42, zadzwonił telefon.

Odwrócił się od ciemniejszego okna i nasłuchiwał przez chwilę. Potem przeszedł przez hol do swego małego gabinetu i odpowiedział, jak zwykle nie wymieniając swego nazwiska ani imienia (nawyk ludzi pracujących w wywiadzie).

- Tak.
- Tannis?
- Kto mówi?
- Tannis...? To pan, prawda? Poznaję pański głos.

Przez króciutką, ale jakże ważną chwilę wydało mu się, że rozpoznaje ten głos, przeszłość powróciła jak zapomniany sen... Ale nie, to było niemożliwe, tamten człowiek nie żył, nie żył już od dawna. Czyż oni wszyscy nie umarli, podobnie jak on, dwadzieścia lat temu? A potem wspomnienie umknęło. Ten głos... należał do... nie, już coś zgąsło w pamięci. Odparł więc:

- Pięknie, ja jednak nie znam pańskiego.

– Nic dziwnego. To było tak dawno, panie komandorze.

Nie miał takiej rangi, ale nawet gdyby tak było, wiedział, że to ktoś nie związany z marynarką, ponieważ „komandor” to tylko formuła grzecznościowa, nie zaś określenie stopnia. Jednakże głos wydawał się znajomy... Tannis natychmiast uświadomił sobie, że głos ten rozmyślnie umykał pamięci, wycofywał się, wtapiał w czas i przestrzeń, w te wszystkie mile nocnej pustyni i te wszystkie lata. A potem, kiedy usilnie starał się uchwycić wspomnienie, głos znowu się zmienił, skręcił w jeszcze inny zaulek przeszłości.

– *Nos conocimos muchos años atrás, mi almirante. Yo soy un amigo. Un viejo amigo...*

Tannis opanował się i w ciągu krótkiej chwili przesunęło mu się przed oczyma kilka ostatnich fragmentów tego tak zwyczajnego dnia. Był w banku, naprawił grabie, oglądał zachód słońca... Potem zadzwonił telefon. Ten ktoś nazwał siebie „starym przyjacielem, sprzed wielu lat...” To, oczywiście, możliwe. Nazwał go „komandorem”, choć dawno temu otrzymał stopień kapitana. A może to tylko żart, który powinien podchwycić? Nie lubił jednak takich dowcipów.

– Kim pan jest, do diabła? – spytał ostrym tonem – *¿Como se llama, amigo?*

– *Mi apellido... no tiene importancia.*

„Moje nazwisko nie jest ważne”. Ale Tannis w tym momencie wiedział już, że było ważne. Zirykowało go, że nie potrafi go sobie przypomnieć, choć miał je prawie na końcu języka.

– Niech pan posłucha – powiedział – niech pan mnie posłucha, *amigo*. Nie mam zwyczaju rozmawiać z nieznanymi. A zatem jak się pan nazywa?

W słuchawce rozległ się szczególny dźwięk, rodzaj cmoknięcia, wyrażający niezadowolenie i dezaprobatę, i wtedy Tannis – jak przypomniał to sobie później – nabrał przekonania, że ma do czynienia z Europejczykiem: Niemcem, Holendrem, może nawet Francuzem, ale na pewno nie z Meksykaninem. Całe życie spędził na pustyni i znał wszystkie odmiany meksykańskiego – od lakonicznego języka nadgranicznych miasteczek po bujną elokwencję *districto federale* – nie mógł się więc mylić – jego roz-

mówca nie był rodowitym Meksykaninem. Cmoknięcie powtórzyło się.

– Nie, Jack. Powinieneś zrozumieć. Żadnych nazwisk. Nie przez telefon.

– Jak pan chce. Odkładam słuchawkę.

– Nie. Posłuchaj...

– Pięć sekund. Daję panu pięć sekund. Minęła pierwsza. Dwa, trzy, cztery..

– Poczekaj, Jack. Skoro chcesz nazwisko, podam je. Harper. Tak nazywam się dla ciebie. David Harper. Jeśli naprawdę nie pamiętasz, kim jestem, jego musisz pamiętać.

Harper. Tannis nie słyszał tego nazwiska od dwudziestu lat i nigdy o nim nie myślał od... nie, nie mógł sobie przypomnieć od kiedy. Dziwna rzecz, chociaż dobrze je znał, w pamięci stanął mu nie ten, kto je nosił, odżyło wspomnienie czegoś zupełnie innego, wspomnienie wspomnienia. Wiele lat temu jadąc do San Diego, w pewnej chwili spojrzął w bok od autostrady – moment uchwycony jak w migawce – i spostrzegł małe rancho wcisnięte między dwie szosy. Widok był tak anachroniczny, że przywodził na myśl dawno minione czasy: padok, belki płotu lśniące bielą świeżej farby, na krucoczarnym koniu jedzie kobieta, na jej plecach podskakuje kowbojski kapelusz, przywiązany do szyi. Kapelusz przywołał następny obraz: rozpłomieniona, pełna podniecenia twarz zwraca się ku niemu, a rozbawiony głos wykrzykuje po angielsku: „O Boże, muszę wyglądać jak Dale Evans!” Żona Harpera... Przypomniało mu się nawet jej imię: Diana. Pamiętał ją, gdyż... Tyle że Harper, jego żona, wszystko, co się wtedy wydarzyło... nie musiał, nie potrzebował sobie tego w ogóle przypominać – po prostu pamiętał. Jedno było dziwne – w żaden sposób nie udawało mu się przywołać twarzy Harpera. Jakże on wyglądał? Nic, kompletna pustka. Ale jego tajemniczy rozmówca już go ponaglał:

– Tannis? Słyszysz mnie?

– Pan nie jest Harperem.

– Nie, oczywiście, że nie. Z tego, co wiem, on chyba już nie żyje. Pamiętasz jednak...

– Pamiętam Harpera.

– To dobrze, przyjacielu. Bo właśnie o tym musimy porozmawiać. O

dawnych czasach. Dawnych, dobrych czasach.

- Więc rozmawiajmy.
- Mówiłem już, nie przez telefon.
- Wobec tego może to nie takie ważne.
- Bez żartów, proszę. Nie ma na to czasu, uwierz mi. Posłuchaj: w Ridgecrest była taka restauracja, gdzie kiedyś wszyscy chadzali, „Hideaway”. Wiem, że nadal istnieje. Wybierz się tam...
- Nie mam zamiaru.
- Wiem, że przyjdiesz. Powiedzmy, że to moje ryzyko. Bądź koło dziewiątej, wejdź...
- Idź sam do diabła!
- Uspokój się i słuchaj. Wejdź, zamów coś, jeśli będziesz miał ochotę. Ja przyjdę po tobie. Rozumiesz? Muszę mieć pewność, że jesteś zupełnie sam.
- Odpieprz się. Nigdzie nie pójdę.
- No to cześć...

W słuchawce zapadła cisza.

Harper...

Przez chwilę Tannis stał bez ruchu. Komuś, kto by go obserwował, wydawałby się całkowicie spokojny. A potem przypalił lucky strike'a starą mosiężną zapalniczką i tą samą drogą, którą tu przybył, powrócił do salonu. Zatrzymał się dokładnie w tym samym miejscu, gdzie stał kilka chwil temu. Wszystko wokół wyglądało identycznie, nic się nie zmieniło. Okno, pustynia, zachodzące słońce... Można by pomyśleć, że w ogóle nic się nie wydarzyło. Szklaneczka z tequilą stała tam, gdzie ją zostawił... Uniósł ją, jak gdyby przepijał do ostatnich słonecznych promieni ślizgających się po piasku: meskal, destylowane słońce pustyni. Smak napoju przejął go dreszczem (ten smak zwęglonego drewna na zębach), a kiedy opuścił ramię z powrotem, odbicie jego twarzy mignęło na moment w ciemniejącej szybie niby zjawą. Ale nie zatrzymał na nim wzroku (*dlaczego nie potrafi sobie przypomnieć twarzy Harpera?*), zapatrzony, ponad spłowiałą, alkaliczną równiną, w bezgraniczną pustkę. Przed chwilą... O czym to myślał? Najlepiej byłoby cofnąć się, wrócić do punktu wyjścia... O czymś... *Nic tam nie było*. Nie, tak pomyślał teraz... już pamiętał: myślał o

ludziach, którzy, równie często jak on, spoglądali na pustynię i zastanawiał się, czego na niej szukali – Rommel, Koczis, Św. Antoni. Byli wizjonerami, *kiedyś, dawno temu, on sam...*

Natychmiast jednak przerwał ten strumień myśli, gdyż biegł teraz nieuchronnie w przyszłość, on zaś chciał się cofać, w nadziei że znajdzie ścieżkę, która z powrotem doprowadzi go do punktu wyjścia. Odwracając się zatrzymał wzrok na książce, którą czytał: *Doktor Faustus* Tomasa Manna. To było charakterystyczne dla Tannisa – czytał tylko najwybitniejsze powieści, takie jak *Don Kichot* czy *Moby Dick*, które znali rzekomo wszyscy, a naprawdę jedynie nieliczni. Ta miała miękką oprawę, przegiął ją, by zaznaczyć miejsce, gdzie przerwał lekturę, teraz otworzył znowu, przebiegł wzrokiem stronice i odnalazł słowo, przy którym się zatrzymał, żeby zajrzeć do słownika – „teonomia”. Zawsze tak robił, ilekroć trafił na nie znany wyraz. „Podporządkowanie się Boskiej władzy i Bożym prawom”. Boskiej władzy! Roześmiał się. Nic dziwnego, że te sukinsyny zrobiły to wszystko! (chodziło mu o Manna, Niemców i wojnę).

Teraz zaczął się cofać myślą po ścieżce wyznaczonej przez książkę, którą kupił w zeszłym tygodniu, wracając z Los Angeles. Zobaczył wszystko wyraźnie: jechał tak jak zawsze i choć był zupełnie pewien, że nikt go nie śledzi, wrócił do domu dłuższą drogą, autostradą nadbrzeżną do Point Mugu (gdzie znajdował się ośrodek prób rakietowych), a potem przez Pacific Palisades. Właśnie wtedy, gdy skręcił na wąską drogę biegnącą przez Rustic Canyon, gdzie kryły się pośród drzew luksusowe rezydencje, każda warta przeszło milion dolarów, przypomniał sobie, że tutaj spędził wojnę Mann, i przyszło mu raptem do głowy, że chociaż mówił płynnie po niemiecku (biegła znajomość tego języka pomogła mu w istotny sposób zrobić karierę w wywiadzie), nie znał żadnego utworu Manna. Zatrzymał się więc w Bakersfield i kupił ową książkę. Czytał ją dziś wieczorem, zanim... Ale ciągle nie był jeszcze gotów do żadnych rozważań nad tym, co działo się „zanim” i „potem”, a jego myśli pobiegły znów daleko w przeszłość, tym razem po ścieżkach wojny. *Kwiecień 1945*, Bawaria. Tak, wracał do dżipa (i znowu: to nie przypomnienie; był tam, czuł zapach drzew, czuł pod stopami grubą warstwę sosnowych igieł, i naraz zatrzymał się, dostrzegłszy między drzewami tego Niemca; był zaskoczony

ny, zapało mu oddech, zupełnie jakby znieca zobaczył dzikie zwierzę), a kiedy podszedł bliżej do samochodu, zobaczył niemieckiego żołnierza, szukającego czegoś na tylnych siedzeniach. Próbował pewnie znaleźć coś do jedzenia, wyglądał na straszliwie wygłodzonego. Jak wszyscy jego rodacy w tym czasie. Nie miał broni, mundur był w strzępach. Kiedy patrzył na niego, *patrzył na niego, a tamten nie wiedział, że on stoi tuż obok* – coś się stało. Tannis był całkowicie spokojny. Wiedział, że zabije rabusia. Mógł. Zapalił lucky strike'a. Niemiec spostrzegł go dopiero w momencie, kiedy Tannis wydobyl colta i odcignął kurek: uśmiechnął się, chyba z niedowierzaniem, próbował nadać twarzy wyraz najpierw przyjazny, potem błagalny, a wreszcie spojrzal Tannisowi prosto w oczy. I właśnie między te oczy strzelił, a w chwili kiedy naciskał spust, dostrzegł w nich własne odbicie. Przy zwłokach znalazł dokumenty, które spalił, oraz mosiężną zapalniczkę Zippo; Niemiec musiał ją zabrać martwemu Amerykaninowi... Obraz rozplynął się, a Tannis pomyslał: Jakie to dziwne, że pamiętam dokładnie, jak wyglądał tamten Niemiec, a nie mogę przypomnieć sobie Harpera. *Harper*. Co z tym Harperem? Znowu znalazł się w terażniejszości. Jakżeż on wyglądał? Gdzieś w gabinecie powinien mieć zdjęcie. Kim lub czym był właściwie dla niego? Pochowanym ciałem? Szkieletem w szafie? Prywatnym Waterloo? Harper był Brytyjczykiem, stąd to skojarzenie. *Brak stroniczki w notesiku, staruszku*. Coś właśnie z tego, *coś bliskiego katastrofie*. Ale nie całkiem. Zresztą to, co się wydarzyło w odległej przeszłości, nie ma już dzisiaj znaczenia – uspokoił sam siebie. Harper to były drzwi, które nagle się uchylily w tajemniczy sposób, wiedział jednak, że za nimi nic się nie kryje.

Zaczerpnął tchu – i przez chwilę jakby nie oddychał – a potem obrócił w dłoni starą mosiężną zapalniczkę Zippo. Stał teraz w swoim gabinecie, gdzie – przypomniał sobie – przyszedł, by poszukać zdjęcia Harpera, a jego oczy wędrowaly po ścianie za biurkiem, pełnej fotografii. Na większości znajdował się on sam – w różnych latach i miejscach: życie zamknięte w bieli i czerni. Obok Małego Giganta, maszyny, której naukowcy z Politechniki Kalifornijskiej używali do usuwania resztek paliwa; w nowym mundurze, gotów wyruszyć do Niemiec tam wykrywać naukowe sekrety Trzeciej Rzeszy... Marzec 1945, przeprawa przez Ren w gumowej

łódce, osiemnaście godzin po Montgomerym... Kwiecień, w dżipie, gdzieś na zapomnianej drodze w Bawarii, twarz przesłonięta dymem z lucky strike'a... kilka tygodni później, szpieg w każdym calu, w prochowcu koloru khaki, przyjaźnie rozmawia, pod sosnami otaczającymi Hermann Göring Institute, z Adolfem Busemannem, wynalazcą ruchomego skrzydła – jego wyliczenia przesłane wprost do Boeinga pozwoliły jeszcze przeprojektować B-47... I wreszcie, schyliwszy się, znalazł to, czego szukał: grupowe zdjęcie naukowców wizytujących NOTS, w większości Brytyjczyków z Aberporth, bazy w Walii, zrobione w 1959 lub 1960, Harper stał z tyłu, ale musiał się poruszyć, gdyż twarz na zdjęciu była rozmazana i Tannis wyprostował się rozczarowany. Nie mógł sobie uprzytomnić, jak Harper naprawdę wyglądał. Gdzie był teraz? *Z tego, co wiem, chyba już nie żyje.* Tak, ale powraca i dręczy niczym duch, dzięki tajemniczemu mężczyźnie, *viejo amigo*, który jego, Tannisa, poznał wiele lat temu. Przynajmniej tak twierdzi. Ale dokładnie kiedy? Pewnie mniej więcej w tym czasie, kiedy zrobiono to zdjęcie. Ale to nie był Harper. Stojąc teraz tutaj, odtworzył w pamięci tę rozmowę; nie Harper, tego był pewien. Więc kto? Przez głowę przeleciało mu kilkanaście nazwisk, które usiłował dopasować do głosu, i choć jedno na pozór się zgadzało – ów naukowiec bez wątpienia znał Harpera – ono także nie mogło być tym właściwym, po prostu dlatego, że ten facet już nie żył. Tak, oni wszyscy nie żyli, a przynajmniej powinni nie żyć.

Zapalił następnego papierosa. Czy to w ogóle ważne? Wszystko działa się tak dawno temu. On sam był już innym człowiekiem niż wtedy, a wydarzenia i fakty zatarły się w jego pamięci. Pokaz lotniczy w Tuszynie, czerwiec 1961 roku, zdjęcie MiGa-15 z wykradzionym pociskiem wyraźnie widocznym pod skrzydłami. Fotografie były ostatecznym potwierdzeniem tego, o czym wiedzieli już wcześniej, teraz śledztwo ruszyło pełną parą, wszystkie zespoły dochodzeniowe przystąpiły energicznie do działania. Harper, biedny sukinsyn, znalazł się po prostu w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie. Nic dziwnego, pomyślał Tannis, że nie mógł go sobie przypomnieć – nie miał z tą całą sprawą nic wspólnego – wszystkim było po prostu wygodnie przyjąć, że to on jest winien. *Jack, czemu, do cholery, tak się przejmujesz tym małym durniem? Zrobił to,*

zamknijmy całą sprawę, skończmy to już wreszcie. Naprawdę chcesz jeszcze ciągnąć to śledztwo? Nie, nie musieli się obawiać żadnych konsekwencji. Służył w marynarce dostatecznie długo, żeby poznać aż nadto dobrze mentalność tych urzędasów. Znali się na brudnej robocie lepiej niż ktokolwiek na ziemi; wybieliliby nawet Adolfa Hitlera, gdyby dojrżeli w tym jakąś korzyść dla siebie, na przykład awans. A wywiad brytyjski, dobrze to pamiętał – *twoi koledzy po fachu, bracie* – po krótkim ataku lojalności zaraz zabrał się ostro do dzieła i sprawę umorzono – im przecież niemal udało się zatuszować sprawę Philby'ego. Harper był chyba w końcu wdzięczny, o nic go bowiem nie oskarżono... chociaż w rzeczywistości to oni powinni być wdzięczni, gdyż jeśliby wnieśli oskarżenie, doszłoby do procesu, a w gazetach pojawiłyby się nagłówki: ANGLIK PRZEKAZUJE ROSJANOM PLANY KONSTRUKCJI NASZEGO NAJLEPSZEGO POCISKU. Dokonano natomiast znacznie prostszych i bardziej dyskretnych posunięć: odebrano mu wszystkie przepustki i spowodowano, że zamknęły się przed nim drzwi wszystkich brytyjskich laboratoriów, które liczyły, że dostaną chociaż jednego centa od Wuja Sama. Tannis zastanawiał się przez chwilę, co się potem stało z facetem. Z pewnością skończył się jako naukowiec, choć nie miał jeszcze trzydziestki. Pamiętał, że było gdzieś w tym wszystkim jeszcze dziecko, mimo to żona opuściła Harpera. Chyba się rozpił, ale tego Tannis nie był pewien. Znowu przypomniawszy mu się tamta kobieta, Diana, o owym charakterystycznym wysokim głosie Brytyjki, który zawsze sprawia, że wydaje ci się, iż masz do czynienia z niewinną dziewczicą, choćby w rzeczywistości było całkiem odwrotnie.

Zduśił papierosa w popielniczce. Pogarda, oto co czuł dla nich wszystkich. Ale czemu miałyby się tym przejmować? Był całkowicie pewien, że w tej sprawie nie ma nic, co mogłoby stanowić dla niego choćby najmniejsze zagrożenie. Harper to nie była nitka, która prowadziłaby do jakiegokolwiek kłębka. Istniał, co prawda, jeden problem. Harper był niewinny, a został wrobiony i Tannis z pewnością wypowiedział kiedyś głośno tę sugestię. Wówczas stanowiła ona zagrożenie dla pewnych ludzi. Teraz już nie, jednakże była to nadal nitka, która mogła kogoś zainteresować, na przykład dzisiejszego dowcipnego przyjaciela. A kiedy ktoś zaczyna grze-

bać, nigdy nie wiadomo, czego się dokopie; Tannisowi znowu przypomniał się Niemiec na bawarskiej szosie i wyraz jego oczu na chwilę, nim nacisnął spust. Tak. Potrafiłby raz jeszcze postąpić w ten sam sposób w podobnej sytuacji. Ale po co z własnej woli pakować się w kłopoty? Niech sobie ten koleś idzie do „Hideaway”, jeśli ma ochotę. Dają tam pyszne żeberka. No cóż, a jeśli on, Tannis, naprawdę szuka guza, to może tam pojechać... i zaczekać na faceta.

Jednakże wszystkie te rozważania miały charakter czysto akademicki. Tannis wahał się przez krótką chwilę, ponieważ bez względu na to, czy chciał się do tego przyznać przed sobą, czy też nie, zaskoczono go, ponieważ po tylu latach zakłócono mu znowu spokój ducha. W gruncie rzeczy nie miał jednak żadnych wątpliwości co do tego, jak postąpić. W tej części pustyni wszyscy wiedzieli, że z Tannisem wiąże się jakaś tajemnica. Niektórzy byli zdania, że chodzi o jakąś sprawę osobistą, inni, że o zawodową; kilka osób wyczuwało jakiś dziwny zwrot w jego karierze. Wielu ludzi sądziło, że wciąż jeszcze ma jakieś związki z „wywiadem”, bardziej przemyślni sugerowali DIA lub NIS, inni wspominali o FBI lub CIA. Parę osób spośród tych, które rzeczywiście go znały, wiedząc, iż zaczynał jako naukowiec na CalTech, przypuszczano, że zrezygnował z tej drogi z powodu jakiegoś niepowodzenia. Niepowodzenie... tylko nieliczni potrafiliby powiązać je z Harperem, gdyż tylko nieliczni, włączając nawet amerykańskie kręgi wojskowe – tak gęstą zasłoną milczenia otoczyła marynarka ów kompromitujący fakt – wiedzieli, w jaki sposób naprawdę sekret konstrukcji Sidewindera, pierwszego na świecie pocisku poszukującego źródła ciepła, znalazł się w posiadaniu Rosjan. Zresztą sam Tannis nie uważał tego wcale za niepowodzenie, za porażkę. Jednak nawet po tylu latach nie mógł całej sprawy po prostu zlekceważyć i choć przez głowę przelatowały mu wciąż różne sprzeczne ze sobą myśli, przykleknął i otworzył szufladę biurka. Znajdowała się w niej zamknięta na kłódkę metalowa skrzynka, a w niej leżał wielki stary colt, ten sam, z którego zabił tamtego Niemca. Wyciągnął broń, włożył magazynek i wprowadził nabój do lufy. Potem zabezpieczył rewolwer – był ciężki jak młotek – i wsunął go do kieszeni... Oczywiście, że musi tam pójść. Musi pójść, ponieważ nie może się oprzeć ciekawości. Ponieważ raz jeszcze chce poczuć, że działa, jest na

tropie. Ponieważ swoje sekrety chce zabrać do grobu. Zresztą mniejsza o powody. Tannis był tym, kim był i robił to, co robił. Koniec, kropka.

Pojawił się wszakże jeszcze jeden szczegół. Wychodząc z domu, Tannis poczuł wiatr na twarzy, zatrzymał się i odwrócił. Podniósł wzrok: noc nad Mojave połyskiwała gwiazdami, i naraz, w ich świetle, na chwilę coś zobaczył, coś poczuł: ów dzień ponad dwadzieścia lat temu, gorący piasek pod butami, oni brną mozolnie korytem wyschniętego potoku w Darwin Springs. Facet z FBI wlekący się daleko za nimi, ślady dżipa. I wreszcie twarz Harpera, wciąż niezbyt wyraźna, ale na pewno młoda, tak przerażona i tak niewinna...

Rozdział 2

Baza w China Lake leży 150 mil na północny wschód od Los Angeles, w bok od autostrady 395.

Założona w roku 1943, nazywała się najpierw Poligonem Doświadczalnym Marynarki Wojennej (PDMW), a od 1967 Centrum Rakietowym Marynarki Wojennej (CRMW). Pod żadną z tych nazw nie zdobyła szerszego rozgłosu – szczerze mówiąc, nikt właściwie o niej nie słyszał, w przeciwieństwie do znajdującej się w pobliżu bazy lotniczej Edwards, gdzie Chuck Yeager przełamał barierę dźwięku, czy też bazy lotniczej marynarki wojennej w San Diego, z jej słynną szkołą przygotowującą do operacji specjalnych. Nawet w kręgach oficerów marynarki tylko bardzo nieliczni wiedzieli coś o China Lake, a ci, którzy ją znali, mawiali, z pewnością jakby rezerwą, że „nie mieści się w szyku”, co miało znaczyć, iż PDMW (używając dawnej nazwy, jak to czynił zazwyczaj Tannis) różni się w szczególny sposób od wszystkich innych baz marynarki wojennej. Choć podlega dowództwu marynarki, baza w China Lake zawsze była powiązana z kilkoma cywilnymi instytucjami, zwłaszcza z California Institute of Technology w Pasadenie. Chociaż stacjonuje w niej personel wojskowy – przede wszystkim oblatywacze ze szwadronu VAX – większość mieszkańców stanowią cywile. Wszyscy oni są naukowcami, inżynierami i technikami, „cholernymi profesorkami”, jak ich początkowo nazywano, lecz legitymują się niezaprzeczalnymi osiągnięciami, co zamy-

ka usta każdemu krytykowi.

To właśnie w China Lake stworzono kilka najbardziej skutecznych broni na świecie, poczynając od raket zaporowych, których użyto w roku 1943 w Afryce Północnej, po ładunki soczewkowe, które stanowiły element pierwszych bomb atomowych, oraz szeroką gamę pocisków sterowanych i bomb, takich jak Zuni, ASROC, Shrike, a przede wszystkim Sidewinder (znany oficjalnie jako AIM-9).

Większość tych pocisków wystrzeliwana jest z samolotów i to w znacznym stopniu przesądziło o istotnych cechach bazy: jej odosobnieniu i rozmiarach. China Lake jest wielka, ma ponad milion akrów, 1800 mil kwadratowych, a więc powierzchnię większą niż Rhode Island. To ogromne terytorium przedzielone jest na dwie części wąskim cywilnym korytarzem, biegnącym przez miasteczko Trona wzdłuż Panamint Valley. W ostatnich latach część południową wykorzystywano do badań i doświadczeń związanych z rozwijaniem techniki „niewidocznych” samolotów i elektronicznych systemów obronnych, ważniejsza jednak jest część północno-zachodnia, to tu bowiem mieszczą się: lotnisko, laboratoria i osiedla mieszkalne. Ma kształt zbliżony do prostokąta i zajmuje imponującą powierzchnię – rozciąga się ze wschodu na zachód na odległość 45, a z północy na południe na odległość 25 mil. Północną część stanowi płaskowyż, poprzecinany pasmami wzgórz i wąwozami, w których ciągle spotyka się dzikie konie i osły, a na skalnych zboczach, noszących własne imiona, jak Renegade Canyon czy Cactus Peak, można dostrzec niezwykle malowidła, zwane petroglifami, będące dziełem dawno wymarłego indiańskiego plemienia. (Uznano je oficjalnie za zabytki historyczne i kierownictwo bazy otacza je staranną opieką). Ku południowi wzgórz stopniowo zanikają, teren staje się płaski, równina nabiera cech pustynnych, by wreszcie, nagłym skokiem, przejść w depresję, którą jest właśnie China Lake, Chińskie Jezioro. Nie ma tu, oczywiście, od tysiącleci żadnego jeziora, choć kiedyś w tej części Mojave ciągnęły się one sznurem, od Sierra Nevada na zachodzie, do samej Doliny Śmierci. Dziś pozostały już tylko ich wyschnięte misy; ta jedna przypomina wielką, gorącą, twardą bliznę i połyskuje resztkami boraksu i wapnia, wydobywanych tutaj w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia przez Chińczyków, czemu

zawdzięcza swą nazwę. Równina, jakby wyłożona naturalnym betonem, znakomicie nadawała się na poligony doświadczalne, które ułożyły się w wielki, dziesięciomilowy łuk: Baker, Charlie i „G”. Na południe od poligonów, wzdłuż brzegu dawnego jeziora, rozłożyła się baza właściwa. Początkowo stały tu tylko baraki, ale i dziś budynki nie są zbytnio wyszukane: proste, funkcjonalne, w większości parterowe. Służbowa część bazy niewiele się zmieniła przez lata, część mieszkalna jest dziś znacznie mniejsza. Kiedyś żyło tutaj dziesięć do piętnastu tysięcy ludzi, dziś pozostała z tego mniej niż połowa, jest to ubytek raczej pozorny niż rzeczywisty, spowodowany zmianami w statusie bazy. Pierwotnie stanowiła „tymczasową” placówkę potrzebną w okresie wojennym, marynarka teoretycznie mogła ją zlikwidować w każdej chwili, toteż banki nie chciały udzielać kredytów hipotecznych ludziom, którzy mieli ochotę się tu budować. Sytuacja zmieniła się w roku 1962, kiedy to – po części dzięki prezydentowi Kennedy'emu – baza została uznana za „stałą” i większość cywilów natchmiast skorzystała z możliwości zamieszkania poza zasięgiem regulaminów i rygorów, chociaż poprzenosili się nie dalej niż do Ridgecrest, cywilnego miasteczka, które wyrosło tuż na krawędzi bazy. Dziś liczy ono sobie dwadzieścia tysięcy mieszkańców, ma własne szkoły, szpital, a nawet (przedmiot lokalnej dumy) koledż, a jego schludne uliczki docierają niemal aż do samej autostrady. Domki stojące wzdłuż tych uliczek mają miły wygląd, ale najczęściej skromne rozmiary i niełatwo byłoby się domyślić, że ich mieszkańcami są najwybitniejsi inżynierowie i chemicy. Prawdę mówiąc, jedyną osobliwością miasteczka jest jego nazwa, Ridgecrest, Ostra Grań – w promieniu wielu mil nie znajdzie się nawet śladu jakiegokolwiek grani. W roku 1940, zanim teren ów dostał się we władanie marynarki wojennej, dziewięćdziesięciu sześciu mieszkańców tej miejscowości wystąpiło do urzędu pocztowego z propozycją, by nazwać ją Sierra View, jako że widać stąd łańcuchy Sierra Nevada. Władze stanowe sprzeciwiły się, argumentując, że w Kalifornii jest już zbyt wiele miejscowości ze słowem „Sierra” w nazwie. Na tablicy ogłoszeniowej domu handlowego Benthama zaczęły się pojawiać alternatywne propozycje. Wielu zwolenników zyskał sobie Rattlesnake Gulch, Parów Grzechotnika, sporo Gilmore, gatunek benzyny sprzedawanej u Benthama. Ostatecznie

jednak przyjęto propozycję pewnego przyjeźdnego, który spędził niegdyś wspaniałe dni w Missouri, w miejscowości, której nazwa brzmiała właśnie Ridgecrest. Ze swoimi bungalowami, wiatami dla samochodów i lampami na werandach, otoczonymi zawsze wielkimi rojami ciem, miasteczko miało charakter typowego przedmieścia; mogłoby się równie dobrze nazywać Buena Vista, Maple Heights lub Greenwood Glen.

Krajobraz ten był dla Tannisa częścią jego osobistej historii; większość życia spędził w tej pustynnej okolicy i znał ją jak własną kieszeń. Zazwyczaj twierdził, że urodził się w Sparks, w Nevadzie, choć w jego aktach wojskowych w odpowiedniej rubryce figurowało Los Angeles. W gruncie rzeczy sam nie miał pewności, gdzie właściwie przyszedł na świat. Był nieślubnym dzieckiem i nigdy nie poznał swego naturalnego ojca, matka zaś, związawszy się z człowiekiem, który dał mu nazwisko, opuściła ich obu pół roku później i nigdy więcej już o niej nie usłyszał. Miał wtedy, zdaje się, pięć lat, choć i daty urodzin nie mógł być całkowicie pewien. Nawet jeśli ojciec – ten, którego tak nazywał – znał ją kiedyś, to szybko zapomniał, gdyż nie miał głowy do tego typu drobiazgów. Był zawsze w rozjazdach, zawsze zresztą patrzył przed siebie, nigdy wstecz. Uwielbiał plany, projekty, marzenia i podróże, chociaż w swoich eskapadach nigdy nie dotarł dalej niż do Oregonu na północy i Panamy na południu. Pracował na różnych budowach i na kolei, sprzedawał domki kempingowe i ciężarówki Macka, przede wszystkim jednak uważał się za poszukiwacza złota. Udało mu się odnaleźć kilka żył. Dochody z największej koło Ridge w Oregonie pozwoliły mu na wyjazd z Tannisem do Los Angeles; z reguły zyski ze złota topniały całkowicie po kilku miesiącach – pochłaniał je hazard.

Dla Tannisa, który był wówczas dzieckiem, to życie wyglądało o wiele mniej barwnie, niż można by oczekiwać. Całymi dniami czekał na powrót ojca, który jakby zapominał o jego istnieniu. *Synku, poczekaj tutaj chwilę...* Nigdy jednak nie czuł się całkowicie porzucony: kiedy byli razem, ojciec odnosił się do niego naprawdę serdecznie. Miał także inną cenną cechę, inteligencję, na tyle dużą, że mógł dostrzec i docenić inteligencję syna. Od piątego roku życia Tannis nigdy już nie przegrał z nim w warcabu; w szachy przestał przegrywać począwszy od czwartej partii. Kiedy

więc tylko było to możliwe, ojciec posyłał go do szkoły, a gdy chłopak skończył czternaście lat, zapisał go wreszcie do szkoły średniej w Los Angeles. Ponieważ nie miał żadnych świadectw, poddano go egzaminom, aby się zorientować, do której klasy należy go przyjąć. Były to głównie testy matematyczne, sądzono bowiem, że w tym przedmiocie jest najslabszy, lecz rzecz miała się wręcz odwrotnie. W antykwariatach podręczniki trygonometrii należały na ogół do najtańszych, a Tannis już wtedy czytywał je dla przyjemności. Choć więc nie prawie nie wiedział o Szekspirze i z trudem potrafił odnajdywać na mapie Indie, przyjęto go do przedostatniej klasy, a szkołę ukończył z trzecią lokatą. Następnie zdał egzaminy i znalazł się w CalTech. Z CalTech zaś trafił do China Lake.

Mówiąc ściślej, trafił ponownie do China Lake, bo, jak lubił opowiadać, był już tutaj w czasach, gdy nikt jeszcze nie słyszał o tej miejscowości – pomagał ojcu, który bez większych nadziei poszukiwał wówczas zaginionej kopalni Gunsight Mine. Ojciec znalazł tu nawet ślady rtęci i nabył działkę, którą po jego śmierci marynarka odkupiła od Tannisa (stało się to jednak wiele lat później). W czasie studiów w CalTech nigdy nie przyszło mu do głowy, że jego prywatna historia skrzyżuje się kiedyś z historią świata. Cele, do których dążył, miały charakter najzupełniej osobisty, jego wizja sukcesu była dość abstrakcyjna i na razie wiązała się przede wszystkim ze stopniami i średnią osiągniętych wyników. Jako najmłodszy student (a przynajmniej jeden z najmłodszych) musiał wiele pracować, by nie odstawać od innych, niewiele uwagi mógł więc poświęcić wojnie w Europie. Słyszał coś mgliście o Radzie Współpracy Defensywnej, organie planującym, jaki wkład może wnieść Instytut do narodowego wysiłku wojennego. Znał też z widzenia najważniejszego członka Rady, Charlesa Lauritsena, którego uważano powszechnie za bohatera, ponieważ pierwszy na świecie wytworzył milionwoltową wiązkę promieni rentgenowskich. Nic jednak nie wiedział o odbytej przez Lauritsena w roku 1941 podróży do Anglii, gdzie zapoznano go z nowym materiałem wybuchowym, kordytem, ani też o pewnej szczególnej właściwości tej substancji – pozwalająca się swobodnie modelować – która czyniła z niej idealne paliwo do małych silników raketowych.

Wkrótce każdy już wiedział o samym programie raketowym. Wstępne

próby Lauritsena – ćwiczebne rakiety służące jako cele podczas szkoleń artyleryjskich marynarki; rakiety z opóźnionym zapłonem używane przeciw łodziom podwodnym – były otoczone ścisłą tajemnicą – ale o pierwszym jego wielkim sukcesie mówili wszyscy. Chodziło o 4,5-calową rakietę zaporową, którą w CalTech zaprojektowano, zmontowano, poddano próbom i wyprodukowano w ciągu zaledwie siedemdziesięciu dni, tak że tysiące ich mogły posłużyć do osłony amerykańskich oddziałów lądujących 8 listopada 1942 roku pod Casablanką. Była to ogromna praca, by jej podolać, wciągnięto do niej całą niemal uczelnię; w sali gimnastycznej sekretarki pomagały w ostatecznym montażu, w korytarzach piętrzyły się wielkie stopy skrzyń, w które pakowano rakiety.

W tym momencie Tannis był już zresztą wprowadzony w tajniki całego programu. Nadawał się doskonale na członka pracującego nad nim zespołu. Zachowanie gazów pod ciśnieniem stanowiło od dawna przedmiot jego zainteresowań, a jego opiekunem naukowym był Bruce Sage, który w Eaton Canyon zajmował się paliwami odrzutowymi (i który został potem szefem Wydziału Materiałów Wybuchowych w China Lake). Co więcej, Tannis miał bogate doświadczenie praktyczne; ilu studentów tak jak on zetknęło się po raz pierwszy z nitrogliceryną mając zaledwie dziewięć lat? Nic dziwnego, że zyskał sobie przydomek Cracker Jack, Jack Petarda. Ponadto potrafił obsługiwać tokarkę, mieszać rozpuszczalniki i naprawić silnik, a przede wszystkim znał pustynię, co nabrało szczególnego znaczenia jesienią 1942 roku. Stało się wtedy jasne, że rakiety z Cal-Tech potrzebują bezpiecznego poligonu o dużej powierzchni – wszystkie wystrzeliwane były z powietrza. Zarysowały się też poważne problemy w związku z pracami nad silnymi materiałami wybuchowymi w samej Pasadena. Dwóch ludzi zdążyło już zginąć: 27 marca 1942 roku Raymond Robey spowodował przypadkowo eksplozję kilkuset funtów paliwa w Kellogg Radiation Laboratory, w czerwcu zaś technik Carl Sanborn zginął, sporządzając w Eaton Canyon mieszankę sproszkowanego magnezu i nadchloranu potasu. Chcąc rozwiązać problem terenów doświadczalnych, Lauritsen zwrócił się do marynarki wojennej, która współuczestniczyła już w programie rakiet zaporowych. Wydany w czerwcu rozkaz głównodowodzącego floty USA nakazał rozszerzenie prób raketowych na zachod-

nie wybrzeże Stanów Zjednoczonych. Tegoż lata, po wielogodzinnym locie jednosilnikowym beechcraftem nad pustynią Mojave, Lauritsen spojrzął nagle w dół i ujrzał China Lake. Było to dokładnie to, czego szukał. Tuż obok znajdowało się nawet stare lotnisko wojskowe. Kiedy jednak następnego dnia Lauritsen z grupą współpracowników wyruszył na pustynię, by przyjrzeć się China Lake z bliska, zatrzymały ich rychło piasek, skały i krzewy kreozotowe. Dla Tannisa było to jednak niemal jego naturalne środowisko, gdy więc w kilka dni później postanowiono spróbować raz jeszcze, Bruce Sage zaproponował, by zabrać także jego.

– Opowiadałeś, zdaje się, że jeździłeś ciężarówką Macka po Dolinie Śmierci?

– Tak. Buldogiem. One dojadą wszędzie.

– To jedź z nami. Albo pojedziesz ty, albo antropolog z USC, bo znajdziemy się zapewne na terenach Pajutów.

Nikt z nich nie znał się na pustyni tak jak Tannis. Wiedział, jak chronić przed piaskiem nos i gaźnik samochodu. Umiał strzelać. Wiedział, ile trzeba wziąć ze sobą wody, której zapasy zawsze na początku wydawały się za duże, a której pod koniec zawsze brakowało. Był zręczny i chętny, zawsze był pod ręką. Oglądał pierwsze eksperymenty, pierwsze wloty z pasa startowego, obserwował początki konstrukcji. Swoją własną sytuację uważał jednak za nienormalną. Często czuł się jak... maskotka? Jak chłopak, którego wybrano do drużyny na samym końcu. Właściwie nie miał po temu powodów, nikt nigdy nie okazał mu lekceważenia, on sam jednak był stale z siebie niezadowolony, czuł, że odstaje od reszty. Znajdował się blisko wszystkiego, ale chciał być jeszcze bliżej, chciał przeskoczyć jakąś niewidzialną barierę. Nie był do końca pewien, o co mu właściwie chodzi. Ostatecznie uznał, że pragnie... latać. Kochał to. Pierwszym samolotem, na którym poleciał, był przydzielony NOTS NE-1 (przeznaczona dla marynarki wojennej wersja Grasshoppera L-18). Zaprzyjaźnił się z głównym oblatywaczem, Tomem Pollockiem; starannie przechowywał wspólne zdjęcie, na którym obaj stali na skrzydle TBF Avengena, a pod nogami mieli napis: NIE WCHODZIĆ. Fotografia była podpisana: „Kiedyś znajdziemy się tam w górze razem”.

Ale, oczywiście, nic z tego nie wyszło. W roku 1944 niewielu było

młodych nieżonatych mężczyzn łączących z wykształceniem chemicznym doskonałą znajomość niemieckiego. Tannis bardzo szybko wpadł w oko pewnym ludziom z kierownictwa marynarki wojennej. W ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin został włączony do naukowej grupy wywiadowczej i wysłany do Europy. Pracując jako szpieg (tak to w zasadzie należałoby nazwać), pozostał w Niemczech do roku 1947; okres dostatecznie długi, by umarł w nim uczony, choć ten proces musiał się rozpocząć jeszcze przed wyjazdem do Europy. Kiedy powrócił – nadal służył w marynarce, nadal w wywiadzie – było właściwie sprawą rozstrzygniętą, że zostanie skierowany do jednej z placówek badawczych, takich jak White Sands, Dahlgren czy China Lake.

Nigdy nie chciał zmienić miejsca, choć miał po temu okazje. W latach sześćdziesiątych, kiedy w efekcie klęski w Zatoce Świń operacje wywiadu wojskowego podporządkowano DIA (Defense Intelligence Agency – Agencja Wywiadu Obrony), mógł się przenieść do Waszyngtonu. Nie mając serca do biurokratycznych rozgrywek, pozostał, chociaż, jak sam to określał, pełnił tylko rolę straży honorowej. A kiedy restytuowano wywiad marynarki, odrzucił propozycję pracy w NIS (Naval Investigative Service – Służbie Dochodzeniowej Marynarki Wojennej). Skończył właśnie budować dom na południe od bazy lotniczej Edwards; zamierzał zamieszkać w nim po przejściu na emeryturę, nie chciał z niego zrezygnować. Tak przynajmniej twierdził. Ci, co go znali, wyczuwali jednak, że prawda jest inna. Brzmiało to dość dziwnie, chodziło bowiem o pustynię, ale gdzie indziej (ich zdaniem) czułby się jak ryba wyjęta z wody. To był cały jego świat. Nie potrafili by odдыchać powietrzem miasta, morza ani dżungli. Potrzebował pustyni. „Jestem jak stara jaszczurka” – mawiał niekiedy i bardzo się przywiązał do tego sformułowania. Stał się tu kimś tak doskonale wszystkim znanym, że przestało się go zauważać. Tannis, jeszcze jedno drzewo, kołyszące się na wzgórzu. Tannis, jeszcze jeden znak przydrożny: PRZEZ NASTĘPNE DZIESIĘĆ MIL PODMUCHY WIATRU. Bardzo lubił tę swoją anonimowość, która była czymś jak najbardziej pożądanym, kiedy w piątkowy wieczór zmierzał do „Hideaway”. Restauracja ta stanowiła jeszcze jeden z niezmiennych elementów krajobrazu. Jak we wszystkich innych „miastach firmowych”, także w China Lake

istniało zawsze pewne szczególne miejsce spotkań, miejsce, gdzie jak to się mówi, można i wypić, i pójść z żoną. Tannis przypominał sobie, że pierwszym takim miejscem był bar „Poppa Luddo” (który, jak mówiono, zbudowano z materiałów podprowadzonych z bazy), następnymi „Village” i „Towne's”. „Hideaway” nie wyróżniała się niczym szczególnym spośród restauracji kalifornijskich: lokalna knajpka, dobrze wszystkim znana, a zarazem zapewniająca osobliwą dyskrecję. Niska, mroczna, wabiąca klientów tylko jednym neonem, stała dość daleko od szosy, odgradzona od niej dużym, niestrzeżonym parkingiem. Wtopiona w pustynną noc zdawała się sprzyjać sekretnym zamiarom: od czasu do czasu słychać było chichot par zanurzających się w ciemność, niskie wejście rodziło podejrzenie, że aby zostać wpuszczonym, trzeba najpierw zapukać. Co, oczywiście, nie było prawdą. Podobnie jak inni Tannis dobrze wiedział, że żeberka są tu zaw sze wyśmienite, a atmosfera ciepła i przyjazna.

Spóźnił się, ale wcale się tym nie przejął. Tajemniczy rozmówca z pewnością zaczeka, gdyż nie ma innego wyjścia, zresztą Tannis podejrze wał, że „Hideaway” to dopiero początek zagadkowej przygody. Podążał tu, klucząc drogami, drózkami, a nawet przez bezdroża – w pewnej chwili zjechał w ogóle z szosy i jechał przez pół mili, aż skończyło się stwardnia- ła podłoże, potem zaś stanął nonszalancko na dachu swego pikapa, zasta- nawiając się nad drogą powrotną. Kiedy dotarł pod „Hideaway”, starannie obejrzał zaparkowane samochody i tabliczki rejestracyjne. Chciał się za- bezpieczyć przed niespodziankami, ale niewykluczone, iż udzieliła mu się obawa nieznanego, że – choć wydawało się to zupełnie nieprawdopo- dobne – jego telefon mógł być na podsłuchu, choćby więc nawet nikt go w tej chwili nie śledził, każde jego posunięcie zostanie zbadane, o każde będą go pytać podczas ewentualnego przesłuchania. *Zgodnie z nagraniem, rozmówca polecił panu przybyć do „Hideaway” o dziewiętej, tymczasem barmanka zeznaje...* Wysoka kobieta lekko kuląła, a jej fryzura ciągle przypominała Jackie i czasy młodości. Oczywiście, musiała go poznać, tym bardziej że nawet nie usiłował się przemknąć niepostrzeżenie. Przypa- lił lucky strike'a i posłał jej szeroki uśmiech.

– Kapitan Tannis... Miło pana znowu zobaczyć. Tyle czasu...

– Właśnie o tym samym pomyślałem.

Zarazem jednak pragnął zachować dyskrecję; nie chciał się kryć, ale nie zamierzał też stać ostentacyjnie na widoku. Jeśli tajemniczy nieznajomy był już na miejscu, wolałby go nie wystraszyć; gdyby wszystko spaliło na panewce, mógłby później wzruszyć tylko ramionami: przyjechałem, rozejrzałem się, zjadłem coś, cóż jeszcze miałem zrobić? Zamówił, jak zawsze, żeberka (nie dosmażone), pieczone ziemniaki (ze śmietanką), sałatkę jarzynową, Schlitza i usiadł w kącie, mając nadzieję, że nikt inny już go nie rozpozna i nie podejdzie z pozdrowieniami. Nagle, instynktownie poczuł bardzo wyraźnie, że tamtego nie ma, że był to rodzaj próby czy przygotowania do dalszych posunięć. A może szyderstwo? Wiem coś, czego ty nie wiesz. Zgadniesz? Harper. Sidewinder. Początek lat sześćdziesiątych. Powrócił w tamte czasy. Ludzie, których widział dokoła, mogli tu siedzieć dwadzieścia lat temu, także i restauracja niewiele się zmieniła. Niewyszukany wystrój, stereotypowa atmosfera Zachodniego Wybrzeża – stoliki z ciemną politurą, na ścianie namalowany ogromny Meksykanin i motto. Harper, pomyślał Tannis, był tu z pewnością i czytał te słowa. „Ranek. Ciepłe słowa łagodzi chłód i wilgoć. Otwieram powoli oczy. Wezmę dziś szklanicę wina i napiekę tortilli. Będę się dziś cieszyć z moimi bliskimi”. Podeszła kelnerka i przyniosła mu miniaturowy bochenek chleba na drewnianej tacce. Kiedy ugryzł pierwszy kęs – czytał przecież Prousta – był ciekaw, czy smak przypomni mu nazwisko nieznajomego lub choćby twarz Harpera. Nie nastąpił jednak żaden cud i uświadomił sobie, że Harper albo tajemniczy rozmówca mogą siedzieć przy którymś ze stolików, a on o tym wcale nie wie. Nie poznawał żadnej twarzy, a w ów piątkowy wieczór wybór miał spory. Zaczął zgadywać. Nauczyciel z Cerro Coso College. Inżynier z McDonnell Douglas. Inspektor ruchu drogowego. Pośrednik w handlu nieruchomościami zastanawiający się nad kolejną inwestycją. Wiele par. Ale było też spore towarzystwo przy jednym stole, bez wątpienia z bazy: członkowie załogi samolotu w furazerkach, pilot w kurtce lotniczej, paru cywilów w garniturach i pod krawatem. Gwar nagle przycichł i wszyscy mogli usłyszeć lotnika: „Łatwo jest rozpoznać żonę oficera marynarki – to ta, która jest najgorzej ubrana”. Cała sala wybuchnęła śmiechem, co było typowe dla „Hideaway”; pano-

wała tu swobodna atmosfera lokalu, którego klientela składała się głównie ze stałych gości. Jego rozmówca nie mógł do nich należeć, wtedy bowiem musiałby go znać. Obcy, z kolei, rzucaliby się w oczy. Wszystko przemawiało więc za tym, że nie przyszedł. Dlatego też i przesłuchanie, które tworzyła jego wyobraźnia, do niczego nie prowadziło, było co najwyżej rutynowym odpytywaniem.

Nie było go zatem, kiedy pan przyjechał?

Mam wrażenie, że nie.

Ale z drugiej strony nie zaszedł pan ani do baru, ani do bocznej salki. Dlaczego?

Chciałem, żeby wszystko zagrało. Bałem się, że go wystraszę. Umowa była jasna: to on podejździe do mnie.

Tak czy inaczej, nie spostrzegł pan nikogo znajomego.

Dopiero później. I nie w głównej sali. Po jakimś czasie Howard Angell wyszedł z baru...

Kiedy?

Jadłem już, była więc chyba dziesiąta, kwadrans po dziesiątej. Był z kimś, kogo nie znam.

Kto to jest Howard Angell?

Były dyrektor do spraw bezpieczeństwa w Ford Aerospace. Może zresztą jest nim nadal, nie wiem. Pracowaliśmy razem, kiedy zakładali linię produkcyjną dla Sidewindera w Newport Beach.

Zauważył pana?

Nie. Gdyby mnie zauważył, przywitałby się. Ale był. Możecie go spytać.

Czy Angell mógł być tym, kto dzwonił do pana?

To niemożliwe.

Bardzo stanowcza odpowiedź.

Nie ten głos. Głos, który słyszałem w telefonie, z pewnością nie był jego głosem. Poza tym, nie widzę niczego, co mogłoby go jakoś łączyć z całą sprawą. Nie, to bez sensu.

W porządku. Czy jednak rozglądając się, nie odniósł pan wrażenia, że kogoś rozpoznaje? Może przyszedł panu na myśl jakieś nazwiska, miał pan jakieś skojarzenia?

Żadnych: przyglądał się setce twarzy, ale w żadnej nie dostrzegał stra-

chu ani groźby, niczego, co mogłoby pobudzić jego myśl lub wyobraźnię. Kelnerka podała mu kawę. Wypił i poprosił o następną. Ciągle nic. Poszedł do toalety, by dać nieznanemu możliwość pozostawienia na stałe kartki. Raz jeszcze oddalił się, by kupić papierosy. Nie mogło być żadnej wątpliwości: dał tamtemu wszelkie szanse.

I koło jedenastej...

Piętnaście po. Spojrzałem na zegarek. Wiedziałem, że o to zapytacie.

W każdym razie doszedł pan do wniosku, że tamten już się nie zjawi?

A jeśli, to nie tam. Zrobiłem wszystko tak, jak powiedział.

Niedokładnie. Spóźnił się pan.

Do diabła, jeśli chciał się ze mną zobaczyć, zjawilem się w umówionym miejscu. Spóźnienie nie miało znaczenia. Pomyślałem, że coś może go jednak wystraszyło. Albo, że może wystawił mnie tylko na próbę. Nie było już sensu czekać dalej, więc wyszedłem. Sprawa była skończona.

W rzeczywistości jednak Tannis wcale nie myślał, że sprawa jest skończona.

Wiedział również, że w ten sposób przyznaje sam przed sobą, iż jest to coś poważnego.

Amator bowiem mógłby się rzeczywiście spotkać z nim w „Hideaway”. Natomiast zawodowiec... zawodowiec dobrze zrozumiałby kłopoty związane z lokalem, natychmiast wyczułby niewidzialnych obserwatorów, milczące pytania. Gdyby więc pojawił się teraz, oznaczałoby to... Mogłoby oznaczać wszystko... Nie wiedział w istocie co.

Przycupnięty za nim niski, ciemny budynek wtapiał się w noc; po drugiej stronie parkingu nieprzerwanie migały reflektory na szosie i dobiegał stamtąd ciągły szum pojazdów. Za jego plecami zabłysło światło, usłyszał dźwięki rozmowy; ktoś musiał otworzyć drzwi, które zaraz jednak zamknęły się, i znowu otoczyła go cisza. Czekał. Zapalił papierosa, pozwalając, by płomień zapalniczki, jak umówiony sygnał, oświetlił jego twarz. Wiedział, że może sobie na to pozwolić. Nie było świadków, nie groziło mu zatem, że zeznanie, które gotów był złożyć, okaże się z czymś sprzeczne. Nikt go teraz nie widział. Przez głowę przemknęło mu określenie „okienko możliwości” i na ustach pojawił się lekki uśmiezek. Należało do współczesnego slangu, którego nie lubił: „linia startowa”, „boiskowa

zagrywka”, „okienko możliwości”. On wołał „godzinę zero”, „obciążoną kostkę”, „teraz twój ruch”. Ale właśnie to określenie przyszło mu na myśl, choć było to skojarzenie dość przewrotne, co mu się zresztą spodobało, gdyż okienko możliwości stanowiła teraz kryjąca go ciemność. Po raz pierwszy mieli obaj równe szanse: on i rozmówca. Pomyślał nagle: „Jesteś taki sam jak ja”, i z każdym krokiem coraz bardziej pewien, że znajdzie właśnie to, ruszył przez parking do swego pikapa. Oczywiście za wycieraczkami była koperta. Otworzył ją ostrożnie i rozwinął pojedynczą kartkę, na której literami wyciętymi z Los Angeles Times wypisano: PÓŁNOC LOTNISKO TRONA DROGA DOSTAWCZA.

Rozejrzał się instynktownie, ale tamtego, oczywiście, od dawna już nie było. Nikogo na parkingu. Tylko samochody i wiatr, pustynia w tle, rząd lamp wzdłuż szosy: ciemność i światła, dźwięki i cisza. Zduśił papierosa. Tak, tak. Wszystko pięknie się układa, pomyślał. Spojrzał na zegarek. 11.20. Nie miał czasu na obmyślanie planu, trzeba było robić to, czego zażyczył sobie nieznajomy. Widocznie dobrze go znał. Precyzyjnie wyliczył, na ile starczy mu cierpliwości, jak długo będzie czekał w „Hideaway”. Może to jest jakaś wskazówka? Może było to jak poszukiwanie skarbu – kolejno udzielane wskazówki: Harper, „Hideaway”, teraz Trona. Wcale jednak nie musiał się nimi kierować. Zrobił wszystko, czego tamten zażądał. Mógł wrócić do domu. Nawet gdyby się później okazało, że zostawiono jakąś wiadomość, zawsze mógłby powiedzieć, że niczego nie zauważył. Zabrał jakiś szczeniak, została zdmuchnięta, noc była przecież wietrzna. Zresztą, do diabła, ostrożność jest najlepszą postacią odwagi; dlaczego niby miały się pechać na to cholerne lotnisko? Kłopot polegał na tym, że, jak dobrze wiedział, tamten znowu się odezwie. Nikt nie zadawałby sobie tyle trudu tylko po to, by potem machnąć ręką na całą sprawę. Z drugiej strony gdyby zadzwonił powtórnie, Tannis byłby już przygotowany... Ale ciągle trwała noc. Coś wisiało w powietrzu. Czy to był wiatr, czy wspomnienia? Dreszcz przebiegł mu po karku, on zaś poczuł... tak, krew i zobaczył czy tamtego Niemca. Tej nocy ktoś... wiedział to. Wsiadł do pikapa, wykręcił i włączył się w strumień samochodów na China Lake Boulevard. Moc pojazdów, wozy osobowe, pikapy, najróżniejsze gruchoty i ciężarówki, procesja z okazji piątkowego wieczoru w małym miasteczku.

Przeplęły światła McDonalda i Carla Jr., skądś słychać było Johnny'ego Casha. Dojechał do skrzyżowania z Ridgecrest Boulevard (to tutaj stał kiedyś dom handlowy Benthama), skręcił na wschód i dodał gazu. Po prawej stronie rozciągał się świat neonów, moteli i knajpek, po lewej leżała ciemność, tylko w dali pobłyskiwały drobne światełka. Południowa granica niewidocznej w mroku bazy. Światła reflektorów wydobyły na moment z ciemności płot i rurę wodociągu, ale po chwili znowu była tylko pustynia i czarna gładka noc. Już od kilku minut w lusterku nie widział za sobą żadnych świateł, z całą pewnością więc nikt go nie śledził. Szosa odwijala się jak spirala. Przez piętnaście mil wiodła na wschód, by następnie wykręcić na północ w Poison Canyon. Potem wspiął się na Argus Range, niewielką przełęcz, z której roztaczał się widok na Searles Valley, będącą południowym przedłużeniem Panamint. Kilka razy przypomniał mu się Dante: nocne niebo wyglądało jak czarny dym piekielnych ogni, a po obu stronach jeżyły się gniewnie poszarpane szczyty. Szosa pobiegła granią; patrząc w dół, w świetle nielicznych gwiazd Tannis widział dno ciągnącej się bez końca doliny, leciutko fosforyzujące – efekt ten powodowały osady popiołu sodowego, soli kamiennej, boraksu, litu i bromu, które odłożyły się w łożysku dawnego jeziora i które wydobywano w Trona. Zaczął zjeżdżać w kierunku nielicznych świateł miasteczka: rozżarzone ślepie psa przy drodze, niepewna lampka za firankami górniczego domku, czerwone oznaczenia na majaczących w mroku wieżach American Potash Company. Gdy i one zniknęły, zgasił własne światła. Połknięty przez mrok, niewidoczny, jechał tak całą milę. Doskonale wiedział, gdzie się znajduje i w odpowiedniej chwili zaczął zwalniać: choć nie widział zakrętu, siedemdziesiąt jardów przed nim wyłączył silnik i wrzucił jałowy bieg. Płynął przez czarną, milczącą noc, z delikatnym sykiem opon i świstem wiatru. Otworzył okno i do środka wtargnęło chłodne powietrze. Poczul, że auto odrobinę zwalnia, i instynktownie przekręcił kierownicę; samochód łagodnie wziął wiraż i zjeżdżał dalej po łagodnej pochyłości. W mroku przesuwwały się niewyraźne kształty: nieruchome ramię dźwigu, zagrzebane w piachu szyby kopalni; znienacka pojawiło się ogromne, dziko łypiące oko, przywodzące na myśl jakiś totem. Był to lotniskowy radar; od urządzenia dobiegał niski, pulsujący pomruk. Drogę, przypo-

mniał sobie, położono właśnie z powodu tego radaru, kiedy więc minął urządzenie, skończyła się także i ona ułatwiająca nawroty asfaltową pętlą. Delikatnie nacisnął hamulec i samochód, który sunął już bardzo powoli, stanął niemal natychmiast.

Przez kilka minut siedział bez ruchu, jakby czekał na przeciwnika, rzuciwszy mu wyzwanie. Ręce spoczywające na kierownicy były doskonale widoczne, ale czuł wyraźnie ciężar colta ukrytego w kieszeni.

Nic się nie stało.

Jakiś cień przepłynął w podmuchu wiatru nad maską samochodu, ziarenka piasku

zazgrzytały o szybę. I to wszystko. Wokoło tylko noc i pustka.

Rozluźnił mięśnie i wychylił się przez okno. Po lewej stronie, przy samym skraju szosy zobaczył starą przekrzywioną taczkę bez jednej rączki, a obok niej małą kupkę żwiru. Nic więcej, skoro zaś jadąc nie minął żadnego pojazdu ani nie zobaczył żadnego przy drodze, to skąd miałby się tu wziąć ktokolwiek, jeśli nie spłynął z nieba? Cofnął głowę do środka i spojrzął na zegarek. Trzy minuty po północy. Jeśli tamten w ogóle się zjawił, musiał tu nadal być. Poczul lekki niepokój. Nacisnął klamkę i powoli wysunął się z samochodu, nie zamykając jednak drzwiczek, aby w razie czego mieć osłonę przynajmniej z jednej strony. Poczul wiatr na twarzy i nagłą suchość w ustach. Przytulony do pikapa, wyjrzał na drogę. Wzniesienie było niewielkie, przesłaniało jednak autostradę. Wytężył wzrok, ale nie dostrzegł niczego, tylko na horyzoncie ciemniały masywne kształty gór, stojących na straży bazy. Mniej już się kryjąc, okrążył wóz od przodu i poszedł na sam brzeg wstęgi asfaltu, gdzie gwałtownie przykucnął, znikając z pola widzenia ewentualnego obserwatora. Mrużąc oczy, rozejrzał się uważnie dookoła, ale nadal nie dostrzegał nic szczególnego. Był sam. Zaciśnął usta. Nie musiał myśleć, wniosek przyplłynął sam. Tamten popełnił błąd. Przez nadmierną ostrożność, może lękając się zbyt mocno pułapki, sam ją niechcący stworzył. Skonstruował potrzask, w który można go było schwytać. Poderwał się i przykucnięty, kilkoma skokami dotarł przez skrzypiący pod butami piasek do majaczącej na prawo od wozu skamieniałej górkę wapna, za którą mógł się skryć. Po drodze sprawdził rewolwer.

Zrobiliby to? Zabiłby? Nie był tego pewien, wiedział jednak, że mógłby. Serce mu łomotało. Odbezpieczył colta i wpatrzył się w szosę, na której pikap połyskiwał w świetle gwiazd jak perłowy cień, jak przynęta w pułapce. Otoczyła go osobliwa cisza pustyni, cisza wiecznie rozszepkana, jak gdyby wiatr nieprzerwanie rozmawiał tu z gwiazdami. Spojrzał w niebo i przed oczyma stanął mu znowu tamten Niemiec; zaskoczył go przy dziapie, podobnym do pikapa, postać z *Totentanz*, w poszarpanym mundurze, kiedy jednak dojrzał broń i zrozumiał, w tym ostatnim momencie stanął prosto... Wpatrzony w mrok Tannis poczuł, jak ciemność rzednieje, a tymczasem jego ręce myszkując wokoło przesywały piasek, a on potarzał odruchowo to, czego nauczył go ojciec, nazywając każdy kamień, każdą roślinę, każde zwierzę: kreozot, maranta, łuska alozy. Dobięło go cykanie świerszczy, a kiedy palce namacały porowatą grudkę, podniósł ją do ust i polizal, wiedząc z góry, że to halit. Nad sobą posłyszał przelatującego nietoperza, co znaczyło, że gdzieś w pobliżu jest kopalnia. W istocie było ich około stu i, oczywiście, znał je wszystkie. Na wschód: Phit, Redhill, Virginia Ann, Gold Bottom, Stockwell, Standard, a na terenie samej bazy – miano je podobno zasypać, ale nikt w to nie wierzył – Mariposa, El Conejo, Mohawk, Ruth, Sterling Queen... Nazwy, wspomnienia jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozbłyskiwały mu przed oczyma. W tej ciszy, w tej chwili wyczekiwania, wszystko istniało jednocześnie: ojciec, Niemiec, daleki szum radaru. Potem znowu powiał wiatr, dotknął jego karku i musnął mu policzek, ale zakręcił się tylko i poszybował w górę, by w następnej chwili spłynąć z bezkresnego nieba łagodną falą, chłodząc rozpaloną skórę. Z rewolwerem ciężącym w dłoni, czuł się częścią wszystkiego; wydawało mu się, że każdy podmuch wiatru ma własną osobowość i własne życie. Krążyła wokół niego gromada duchów, owiewając go oddechami, szepcząc... O czym szeptały? Ile czasu już upłynęło? Nie był tego pewien. Chyba z pięć minut. A może dziesięć. Znowu suchość w ustach. Pociągnął nosem, tak natarczywy był zapach. Krew pulsowała mu w uszach. Wyteżył wzrok... Wiedział, że za chwilę coś się stanie, palec naprężył się na spuście... I właśnie wtedy nastąpiła eksplozja, tak bliska, że niemal poczuł jej żar, tak gwałtowna, że można było pomyśleć, iż pęka niebo. A może serce. Tak przynajmniej wydało się Tanniso-

wi, choć umysł natychmiast podszeptał mu, że był to tylko (czy aż?) wystrzał karabinowy.

Otrząsnął się jak człowiek gwałtownie wyrwany z głębokiego snu. W pierwszej chwili pomyślał, że to on sam pociągnął za spust, w następnej, że został trafiony. Choć jednak czuł gwałtowne pulsowanie krwi, wiedział, iż czerwona mgła w kącie oka to efekt błysku z lufy. Co oznaczało, że wystrzelono gdzieś za nim, po prawej stronie. Spojrzał w tamtym kierunku. Ciemność pulsowała. Usłyszał coś jakby okrzyk, ale nie był pewien, a w chwilę później zapadła znowu cisza tak głęboka, jak gdyby ktoś znie-nacka zatkał mu uszy. I znów powiał wiatr; piasek z szelestem przesuwiał się po skalistym gruncie, basowo pomrukiwał radarowy transformator. Tannis trwał w bezruchu i tylko jego oczy niespokojnie myszkowały do-koła. Nic jednak nie było widać, a w każdym razie nic konkretnego; jedy-nie jakieś niewyraźne kształty i nietrwałe cienie na piasku.

Przez jakieś pięć minut stał jak sparaliżowany. Wreszcie, pewien, że nikogo przed nim nie ma, odetchnął, ale nadal poruszał się bardzo ostroż-nie. Przyjrzał się drodze, potem samochodowi. Nic. Dopiero wtedy po-zwolił sobie spojrzeć na zegarek. Dwadzieścia siedem po dwunastej, był więc tu już prawie pół godziny... Co się stało? Odczekał pięć minut. Wy-starczy. Nie słysząc żadnego dźwięku, uniósł się i nisko pochylony zaczął się skradać w prawo, wielkim kołem otaczając miejsce, z którego padł strzał.

Dziesięć minut później odkrył pierwszy ślad, zupełnie groteskowy: ka-pelusz zaczepiony na krzaku kreozotu.

W stylu Zachodu, ale słomkowy; farmerski kapelusz, który ma chronić przed słońcem. Żółtawa słoma. Widoczny wyraźnie na tle nieba, sprawiał dosyć komiczne wrażenie, jakby nosił go jakiś pomagier bohatera – Andy, Gaby lub Slick – i po każdej awanturze starannie go czyścił, przywracając mu należyty wygląd. Tannis wpatrywał się przez chwilę w podrygujący na wietrze kapelusz, po czym nagle podskoczył i zerwał go z krzewu... Nor-malny słomkowy kapelusz, tyle że na rondzie była krew. Cisnął go na piasek. Popatrzył dookoła, nie dostrzegł jednak śladu właściciela. Wiatr wiał z lewej strony i pewnie porwał ze sobą kapelusz. Tannis ruszył ostrożnie w tym kierunku i pięć minut później niemal przewrócił się o coś:

jego stopy zanurzyły się w jakimś czarnym cieniu i wtedy zrozumiał.

Zamarł, wpatrzony w ziemię.

W zagłębieniu wygrzebanym w piasku leżał martwy mężczyzna. Skulony w pozycji embrionalnej, z rękami wciśniętymi między kolana, ze zgarbionymi ramionami, zupełnie jak gdyby usiłował się wcisnąć w ostatni, ciemny korytarz. Strzelono mu w pierś, a kula najprawdopodobniej przeszła płuca; otaczała go kałuża krwi, połyskującej w mroku jak nafta. Krwią zalana była także pochylona ku piersi twarz mężczyzny. Aby lepiej mu się przyjrzeć, Tannis przyklęknął, podłożył lufę pod policzek zabitego i odchylił mu głowę.

Wystarczyła sekunda i już był pewien, że nigdy go nie widział i że człowiek ten nie ma nic wspólnego z Davidem Harperem.

Obejrzał zwłoki wzrokiem profesjonalisty. Zabity mężczyzna był niski, miał pięć stóp, sześć, siedem cali wzrostu. Ważył około stu czterdzieści funtów. Niemłody, co najmniej w wieku Tannisa, rzadkie siwe włosy, wyrazista, koścista twarz: ostro zarysowane kości policzkowe, wąski nos, głęboko osadzone, podkrążone oczy. Oczy wciąż otwarte, co nadawało ściągniętej twarzy wyraz bólu lub napięcia. Górnik? Nie, w okolicznych kopalniach nikt już nie pracował. Jednakże człowiek ten był robotnikiem, a przynajmniej sprawiał takie wrażenie. Skórę na dłoniach miał grubą i stwardniałą, ubrany był w wojskową bluzę, szerokie spodnie, ciepłe, czarne, wysoko sznurowane buty. Robotnik... Zapewne jednak robotnik, który wybierał się gdzieś z jakąś wizytą. Pod skorupą krwi można bowiem było dostrzec białą koszulę i krawat. Tak czy inaczej, zapewne nikt z miejscowych. Kiedy zwijał się w agonii, jedna z nogawek zadarła się trochę, odsłaniając tanią nylonową skarpetkę i białawą skórę łydki. Zimowa skóra, skóra człowieka z miasta. Pasował do tego słomkowy kapelusz: człowiek z miasta lękający się słońca. Aby potwierdzić te wstępne wnioski, Tannis, znowu posłużwszy się lufą, przewrócił zwłoki na bok; kończyny zabitego poruszały się w ubraniu luźne i bezwładne. Dotknął tylnej kieszeni spodni, wyczuł w niej portfel, wyciągnął go, a potem sięgnął do kieszeni bluzy i wydobył stamtąd jakieś papiery. Cofnął się i odwrócony plecami do wiatru rozłożył znalezisko na chusteczce, przyświecając sobie zapalniczką. W pomarańczowym płomyczku, który giął się w mroku i leciutko syczał,

Tannis zobaczył bilet na lot PanAmem z Berlina do Frankfurtu oraz niemiecki paszport wystawiony w Bonn dwa tygodnie wcześniej. Na białoczarnej fotografii żywy mężczyzna wyglądał nieco inaczej niż obecnie po śmierci. Ale miał z pewnością siwe włosy, w rubryce „kolor oczu” wpisano „niebieski”. Wzrost 168,3 cm, waga 71 kilo. Nazywał się Walter Joseph Buhler, urodził się w Lipsku w roku 1920. Przerzucając strony przeznaczone na wize, Tannis znalazł tylko jeden stempel, przystawiony dziewięć dni wcześniej w Nowym Jorku. Niemiec... stary niemiecki robotnik... Była to niewątpliwie niespodzianka, ale prawdziwą rewelacją okazało się to, co odkrył w chwilę później po otwarciu portfela z brązowej, wytartej ze starości skóry. W środku znalazł sporo pieniędzy, dwudziestodolarówki, trochę niemieckich marek, książeczkę czekową z Berliner Bank, kwit z motelu w Lone Pine oraz... dowód osobisty na nazwisko Waltera Jospa Buhlera wystawiony przez *Volkspolizei* z Karl-Marx-Stadt w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Paszport wystawiony był w Niemczech Zachodnich, ale Walter Buhler pochodził z Niemiec Wschodnich.

Martwy enerdowiec i to w takim miejscu.

Obywatel NRD zastrzelony o dziesięć mil od Ośrodka Raketowego Marynarki Wojennej USA w China Lake. Stojąc nieruchomo, Tannis znowu usłyszał w myślach natarcywe pytania.

Co pan wtedy pomyślał, spoglądając na ciało Buhlera? Zabawmy się w psychiatrów. Jaka była pierwsza myśl, która przyszła panu do głowy?

Wtedy ktoś nas poinformował o Harperze. Dostaliśmy cynk. Pomyślałem: to ten właśnie facet doniósł nam o Harperze.

Nie rozumiem. Nie chce pan chyba powiedzieć, że to Buhler był tym informatorem?

Nie, chodzi o coś całkiem innego. Pomyślałem tak o mężczyźnie, który telefonował do mnie. Rozumie pan, na tym miał polegać związek. Nagle doszedłem do wniosku, że jedynym elementem, który wiąże z tym wszystkim Harpera i tamtą dawną sprawę, jest człowiek, znowu dający nam cynk. Teraz jakoś dowiedział się o Buhlerze, tym enerdowcu, ciągle miał moje nazwisko – dlatego ze mną się skontaktował – i znowu chciał przekazać nam informację. Harper w rzeczywistości nie miał z tym nic wspólnego.

To do pana dotarło wówczas doniesienie o Harperze?

Tak.

Jak brzmiało?

Jest w aktach. Raz w tygodniu Harper wyjeżdżał tą samą drogą na pustynię, gdzie prawdopodobnie coś zostawiał. Godzinę później pojawiał się samochód i zabierał przesyłkę.

Ale pan nie bardzo w to uwierzył?

Trochę za ładnie to wyglądało.

A co pan pomyślał teraz przy Buhlerze?

Wydaje mi się, że to samo. Tyle że...

Tak?

Może tym razem to ja miałem być załatwiony...

Tak rzeczywiście pomyślał, to było pierwsze, co przyszło mu do głowy. Spoglądając jednak na ciało Buhlera, czuł, że coraz bardziej w to wątpi. Trudno było uwierzyć, że ten starszy człowiek, w śmiesznym słomkowym kapeluszu, mógłby być komunistycznym agentem. Z drugiej strony Tannis wiedział, że musi przyjąć to właśnie założenie, gdyż każdy będzie tak przypuszczał. Kim jednak był naprawdę? I co, u diabła, wiązało Buhlera z nim, Tannisem? Leżące na piasku ciało – sznur mrówek ciągnął już w kierunku kałuży krwi – wygięte było w znak zapytania; znakomite podsumowanie całej sytuacji. Powiał wiatr, a on znowu pozwolił płynąć myślom, wsłuchany w szelest kreozotu i przesypującego się piasku. Najchętniej odwróciłby się i wrócił do domu. Kto się o tym dowie? Kiedy na pustyni zabrmi dzwonek, czy ktokolwiek go usłyszy? Wiedział jednak, że nie może tak po prostu odejść. Było oczywiste, że musi do nich zadzwonić, i natychmiast wyobraził sobie, co potem nastąpi. Błyskające światłami samochody policyjne na drodze... Taśmy odgradzające miejsce ostatecznego spoczynku Buhlera... funkcjonariusze przetrząsający miejsce, gdzie odnaleziono ciało... FBI, ludzie z kontrwywiadu China Lake... Wszystko to stało mu przed oczyma, kiedy przyglądał się skurczonym zwłokom; potem podniósł głowę i zapatrzył się w ciemność. Nie widział nic, mrok był głęboki jak przepaść; po chwili zaczęło mu się wydawać, że krzewy płyną, a piasek wzbiera i sunie gdzieś falami. Ale w takiej ciemności, pomyślał, nikt nie mógł mnie zobaczyć. Był sam, zupełnie sam w mroku;

nagle poczuł, jak zbliża się do jakiejś myśli – coś podobnego do regulacji ostrości lornetki – i na krótką chwilę zabrakło mu tchu. Był o krok od jakiegoś wniosku, odkrycia. Ale jeszcze tam nie dotarł. Ciągle jeszcze pozostał pewien dystans – ten dystans pomiędzy nim a martwym Niemce. Nagle, jakby mimochodem, raz jeszcze rzucił okiem na ciało Buhlera. Hm, a co to takiego? Zbliżył się do jamy, potem powoli ją obszedł, aż wreszcie przystanął i popatrzył w dół, jakby spojrzął w głąb głębokiej czarnej dziury. Poczł dreszcz obrzydzenia, bo mrówki czarną wąską linią ciągnęły teraz przez policzek zabitego, docierały do warg, tu jakby wahały się przez moment, a potem zagłębiały się w usta. Nieżywy Niemiec... *Te pieprzone niemieckie skurwysyny...* Formuła kojarząca mu się z tyloma zabloconymi twarzami, wyrzucana z tak wielu ust przepłynęła przez głowę jak wspomnienie zapachu, znanego, a mimo to egzotycznego. Falaise. Ardeny. Remagen. Czy to nie nazwy perfum w jakimś na pół zapomnianym języku? Ale już go pamiętał. Wojna. Początek. Który oto powracał. Wszyscy ci pieprzeni martwi Niemcy. Po prostu ludzie do zabijania... Wtedy przypomniał sobie swojego martwego Niemca, przy dżipie, Niemca, którego mrówki zjadły wieki temu, tak jak zaczynają zjadać tego. Żołnierze wielkich odwiecznych armii. Przypatrywał im się, jak wpełzały w ucho nieśczęsnego Buhlera, jak sunęły po wystającej szczęce, jak przeciskały się między zębami... Tamten Niemiec, ten pierwszy. Dlaczego to zrobiłem? Dlaczego zrobił którąkolwiek z tych rzeczy?... Ale rozwiązania doczekała się teraz inna kwestia: zniknął dystans, umysł pochwycił wreszcie wniosek, który dotąd nieustannie umykał. Tak. Jest jedynym świadkiem. Dlatego też jest jedyną osobą, która może postawić pytanie: „Jak dostał się tutaj i jak stąd zniknął morderca?” Odpowiedź wydawała się zupełnie oczywista: morderca użył samochodu czy jakiegoś innego pojazdu, którego Tannis nie zauważył. Ale właśnie nie było żadnego pojazdu; Tannis wiedział, że w pewnych kwestiach jest nieomylny. W jaki sposób zatem poradził sobie morderca? Zamyślił się głęboko, zapalił papierosa i przez chwilę stał nad ciałem Buhlera, roztrząsając różne możliwości. Nagle obrócił się i szybko ruszył w stronę pikapa. W skrytce na rękawiczki odnalazł latarkę i poświęcił w kierunku ciała, by ustalić jego pozycję, potem jednak ruszył w przeciwną stronę i przeciął asfaltową pętlę. Po trzech krokach zaczął biec,

broń w prawej dłoni, latarka w lewej, nie zapalił jej jednak i poruszał się w ciemności. Biegł coraz szybciej. Gnał jak szalenciec. Trzeba być bowiem naprawdę szalonym, by biec po ciemku przez pustynię: prędzej czy później musisz nastąpić na węża. Biegł jednak nieprzerwanie, nie mając żadnych trudności z oddechem, jakby niesiony wiatrem, i zakreślał ogromną pętlę wokół zwłok Buhlera. Aż wreszcie niemal wpadł w to, co spodziewał się znaleźć. Parów.

Czy też to, co tak nazywano w tej ponurej okolicy. Przez setki lat deszcze, każdego roku przynoszące ledwie kilka cali wody, wyłobily rów w powierzchni pustyni. Zsunąwszy się po zboczu, stanął na dnie. Rów okazał się niespodziewanie głęboki, ściany sięgały mu do ramion. Teraz dopiero zapalił latarkę. Przyświecając sobie, ruszył jakby w głąb tunelu lub chodnika kopalni (czy Buhler czuł się tutaj swojsko?). Miał wrażenie, że schodzi coraz niżej. Powietrze było ciepłe i suche. Wiatr wiał wyżej, piaskowy pył omiatał jego twarz jak dym. Zmrużył oczy i skulił się. Gdzieś w górze usłyszał miękki szum skrzydeł przelatującego powoli ptaka. Na chwilę zagroził mu drogę krzew kreozotu. Wysoko na szczycie ściany załśniły białe oczy, w strumieniu światła przemknął szary niejadowity wąż. Tannis szedł pospiesznym krokiem przez jakieś dwadzieścia minut, aż wreszcie je zobaczył, odcisnięte w zielonej glinie... widoczne równie wyraźnie jak biała linia biegnąca środkiem szosy. Końskie ślady. Takie to proste. Świeże jak plwocina, pomyślał, uśmiechnął się sam do siebie i zacerpnął tchu, a potem ruszył końskim tropem, znowu biegiem. Przebywszy jeszcze ze ćwierć mili, dotarł do miejsca, gdzie ślady naraz zgęstniały. Tutaj koń został spętany; Tannis dostrzegł teraz inne ślady – pozostawił je jeździec pnąc się po ścianie parowu. Wygramolił się na górę także i on. W świetle latarki nawet stąd mógł dostrzec miejsce, gdzie leżało ciało Buhlera.

Koń... więc tamten tak to zrobił. Czy także i Buhler przyjechał konno? A może znalazł się tutaj w jakiś inny sposób? Wiatr powiał mocniej, Tannis zsunął się znów po zboczu w głąb parowu i poświecił dokoła, usiłując znaleźć odpowiedź na te pytania. Skłębiona ciemność przesłaniała jednak wszystko, strumień światła drżał jak płomień świecy i nie dało się dostrzec niczego.

Ale zobaczył i tak dostatecznie wiele. Klęcząc przyłożył dłoń do śladu kopyta i uśmiechnął się. Teraz może już wrócić i opowiedzieć im. Było jednak coś, o czym nie muszą wiedzieć. Pewna tajemnica. Z gatunku tych najcenniejszych, tajemnica, dzięki której z pewnością dokądś dotrze.

Rozdział 3

Przez kolejne sześć dni – od piątku do następnego czwartku – Tannis przypatrywał się rozwojowi oficjalnego śledztwa w sprawie Buhlera.

Miał niezły punkt obserwacyjny, choć położony raczej niezbyt blisko, gdyż dochodzenia prowadzone przez wywiad mają najczęściej dynamikę odśrodkową, skutkiem czego bardzo szybko znalazł się na marginesie. Nietrudno jednak było mu odgadnąć, co się dzieje. Wystarczająco często robił to sam. Z początku, kiedy organizowano różne grupy i ustalano relacje między nimi, wiele było chaosu i niejasności; potem przysła kolej na rutynowe przesłuchania, raporty i narady. I, jak dobrze wiedział, ostatecznie wszystko zostanie ocenione wedle ilości włożonego wysiłku, którego w tym wypadku rzeczywiście nie szczędzono. Tego tygodnia w Ridgecrest pojawiło się wielu obcych i wszyscy w miasteczku wiedzieli, że FBI zajęło cały „Miracle City”, stary motel naprzeciw bazy, w którym marynarka zawsze lokowała swoich gości.

Wreszcie w poniedziałek po południu to i owo zaczęło się pomału wyjaśniać. Tannis dowiedział się, że szeryfa trzymano z dala od całej sprawy, pojechał więc do Independence, siedziby władz okręgu, i znalazł go w miejscowej kafejce. Znali się od lat. Szeryf, rosły, sprytny, spokojny mężczyzna, nie należał do tych, którzy sami poszukują kłopotów i, jak mniemał Tannis, był bardzo zadowolony, że uwolniono go od wszystkich problemów. Jednak dla zasady odegrał rolę trochę obrażonego – miejscowy

stróż prawa usunięty w cień przez przyjezdnych – i pozwolił wyciągnąć z siebie informacje o wynikach sekcji zwłok. Nie było żadnych niespodzianek. Buhler został zastrzelony z bliskiej odległości z karabinu 30-30, zgon nastąpił prawdopodobnie natychmiast. Szeryf potwierdził również to, co Tannis już wiedział dzięki kwitowi znalezionemu w kieszeni Buhlera: zabity zatrzymał się w motelu w Lone Pine.

W drodze powrotnej Tannis zajrzał do miasteczka. Motel nazywał się „Sierra Peaks”. Popękane drewniane ściany, zmurszały cedrowy dach, parkingi ogrodzone barierkami ze słupków, do których niegdyś przywiązywało się konie. Siedząc w samochodzie, Tannis pomyślał o słomkowym kapeluszu Buhlera i jego granatowym garniturze; wszystko w nim tak nie pasowało do otoczenia, a mimo to potrafił wyobrazić go sobie tutaj. Motel, utrzymany w wiejskim stylu, mógł się spodobać Niemcowi; może był to facet, który nigdy dotąd nie miał wakacji, i na tę okazję sprawił sobie słomkowy kapelusz. Ale wszystko to zupełnie nie pasowało do szpiega.

Następnego dnia udało mu się dowiedzieć jeszcze odrobinę więcej. W Trona wychodził tygodnik *Argus*, do którego zadzwoniło kilku czytelników informując o tym, co widzieli piątkowej nocy (ludzie wspominali o „dziwnych światłach na pustyni”). FBI obawiało się, że mogą powstać jakieś niepotrzebne plotki, poproszono więc Tannisa, który dość dobrze znał redaktora tygodnika, by z nim porozmawiał. W ten sposób włączono Tannisa do sprawy, trzymając go jednocześnie na dystans; został jednak nieoficjalnie poinformowany o dotychczasowych ustaleniach, między innymi o tym, że przedstawiciel FBI w Bonn (w ich żargonie nazywany „Legatem”) potwierdził tożsamość Buhlera, który najzupełniej legalnie zjawił się w Niemczech Zachodnich pół roku temu. Przyjechał sam, bez pieniędzy, wcale nie usiłował się ukryć, najwyraźniej nie mając żadnych tajnych zadań.

W śróde Tannisowi trafił się kolejny kasek, choć przez jakiś czas nie zdawał sobie sprawy z jego znaczenia. Tym razem wykorzystał pewien szczegół, o którym mógł wiedzieć tylko ktoś taki jak on. Dziewięćdziesiąt mil na południowy wschód od China Lake leży Barstow, niewielkie miasteczko, nie wyróżniające się niczym szczególnym prócz tego, że w jego pobliżu krzyżuje się kilka międzystanowych autostrad (włącznie ze starą

Route 66) i parę dróg lokalnych. Każdy zbieg z południowej Kalifornii musi zatem tędy przejeżdżać. Dlatego FBI od dawna ma tutaj swoją trzyosobową komórkę, zwaną Resident Agency, czyli RA (najmniejsza jednostka organizacyjna FBI), i tak się składa, że jest to sekcja Federalnego Biura Śledczego działająca najbliżej China Lake, dlatego też jej dowódca, officer nazwiskiem Iverson, był pierwszym federalnym funkcjonariuszem, który wkroczył do akcji w poprzednią sobotę. Nie wysiłał się zbytnio, gdyż było rzeczą oczywistą, że całą sprawę przejmie ostatecznie Los Angeles, niemniej jednak dokonał jej „federalizacji” (artykuł 522 paragraf 28 Kodeksu Karnego USA), w wyniku czego Barstow Agency automatycznie stała się Komórką Źródłową dochodzenia, która zgodnie z regulaminem FBI otrzymywała kopię każdego raportu dotyczącego tejże sprawy. Tannis znał Inversona, zajrzał więc do jego biura w środę i poszli razem na obiad. Nie naciskając zbyt mocno, dowiedział się, że do Barstow nadeszła przesyłka z Bonn, opasła teczka z informacjami o Buhlerze, które Niemcy zgromadzili już wcześniej. Teczka miała objętość grubej książki, ale Iverson pokazał Tannisowi tylko jedną stronę. „Wszyscy się tym strasznie podniecili. Znasz niemiecki, to może mi wytłumaczysz, o co tu chodzi”.

Okazało się, że to rutynowa opinia lekarska, z której wynikało iż Buhler cierpi na chorobę serca zwaną kardiopatią. Kiedy Tannis skończył tłumaczyć, Iverson przytaknął. – „To wyjaśnia całe zamieszanie. Wybuchła wielka panika. Zabrali zwłoki do Los Angeles na drugą sekcję”. – W domu Tannis sprawdził, iż kardiopatia bywa często rezultatem alkoholizmu.

Nie bardzo wiedział, o czym miałyby to świadczyć; w środę był zdeorientowany tak samo jak inni. Uczestniczył już jednak w tylu dochodzeniach, że wiedział, iż zawsze zataczają one koło, był więc pewien, że i to śledztwo powróci jeszcze do niego. Czekał cierpliwie na swoją kolej, starając się jednocześnie czegoś dowiedzieć to tu, to tam. Zadzwoił do Howarda Angella w Newport Beach, by sprawdzić, czy FBI kontaktowało się z nim, ale okazało się, że nie. Któregoś popołudnia pojechał do Lone Pine, gdzie znał faceta wynajmującego konie. Po raz pierwszy od lat pojeździł trochę konno, a potem rozmawiali o weterynarzach, o tym, gdzie

najlepiej kupować obrok i czy są jeszcze jacyś miłośnicy jeździectwa w Panamint; zdaniem tamtego znalazłoby się ich bardzo niewiele... Nie były to jakieś intensywne poszukiwania, ot, może uda się czegoś dowiedzieć.

Aż wreszcie nadeszła ta chwila. Bill Matheson, szef kontrwywiadu w China Lake – człowiek, który zajmował teraz stanowisko przez tyle lat piastowane przez Tannisa – zadzwonił i poprosił go, by zjawił się u niego następnego ranka.

– Doszli do wniosku, że muszą wiedzieć więcej o sprawie Harpera. Było rzeczą oczywistą, że należy się zwrócić do ciebie.

– Czy to oficjalne przesłuchanie?

– Określmy to w ten sposób: bylibyśmy ci wdzięczni za współpracę. Ale wszystko odbędzie się tutaj, w bazie. NIS przysłała swój zespół z Waszyngtonu. Chcą, żeby wszystko pozostało w rodzinie.

Prośba, a nie rozkaz, pochodząca od Mathesona, a nie bezpośrednio od FBI... w bazie, nie w siedzibie Biura Federalnego. Wniosek był oczywisty: śledztwo utknęło w martwym punkcie, potrzebowali pomocy i wzięli z nim jakieś nadzieje. Prawdopodobnie nie docenia sławy, jaką się cieszył; bardzo dbano o to, by go nie urazić. Przez całe lata był postrachem wielu osób, a ostatnio miał opinię trudnego samotnika. Poza tym jego działalność sięgała tak daleko wstecz; na każdego z nich mógłby spojrzeć z góry. Wszystko to dawało mu przewagę, a była też pewna korzyść, którą dopiero później sobie uświadomił: tylko ktoś równie staroświecki jak on mógł zrozumieć, co się dzieje, gdyż tylko on żył i w t e d y , i t e r a z .

Kiedy we wtorek rano wstał z łóżka, golił się i ubierał, było tak, jakby wybierał się jak dawniej do pracy. Wróciły wspomnienia. Jadąc przez pustynię i patrząc na niebo, które przypominało sprane dżinsy, pomyślał, że równie dobrze mogłoby się to dziać dwadzieścia lat temu. Obrazy przesuwające się przed oczyma poblakły, jak kadry kolorowego filmu przerebionego na czarno-biały. Znalazł się w wehikule czasu, który powiózł go z powrotem w epokę żeliwnych silników, dychawicznych odkurzaczy i bakelitu.

O dziwo, China Lake, choć wyposażone w najnowsze zdobycze nauki, pozwalało utrzymać się w tym nastroju. Przez lata niewiele się tu zmieniło, nadal dominowały dawne wzorce nowoczesności ucieleśnione w ni-

skich budynkach o płaskich dachach. Były jednak, oczywiście, pewne różnice. Kiedyś wjazdu pilnowali komandosi, z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału, teraz ustawił się za agentami handlowymi Raytheona i Martina Marietty – trzyczęściowe garnitury i portfele na wszystkie okazje – i otrzymał przepustkę od uśmiechniętej panienci, która nie chroniona przez nikogo pełniła służbę w klimatyzowanej portierni. Głównej drogi, Lauritsen Drive, nie pokrywał już kurz, gdyż wyłożono ją gładkim asfaltem. Ale były to tylko drobne ustępstwa wobec terażniejszości, poza tym władza tu nadal przeszłość. Dla przykładu: spotkanie odbyło się w „Białym Domu”, jak nazywano sztab bazy, w drewnianym budynku, pełnym światła i lśniącego wszędzie lakieru, jak klub żeglarski czy hotel na tropikalnej wyspie. Na półpiętrze widać było eleganckie drzwi gabinetów, a w sali konferencyjnej, do której blask słoneczny wsączał się przez szczeliny w okiennicach, czas jakby zastygł w bezruchu i odnosiło się wrażenie, iż wyjrzawszy na zewnątrz, będzie można zobaczyć pejzaż z palmami, połyskującą wodę i wykonującego nawrót przed kolejnym atakiem mitsubishi zeke. Prawdę mówiąc, podobnie jak większość pozostałych amerykańskich instytucji wojskowych, China Lake wiele zawdzięczało nalotowi na Pearl Harbour i w sali konferencyjnej tamte dni nie wydawały się wcale zbyt odległe, a podobizna uśmiechniętego prezydenta Reagana symbolizowała tę dwuznaczność; subtelne przenikanie się przeszłości i terażniejszości.

W każdym razie nawet ci, którzy nie rozumieli przyczyny tego fenomenu, odczuwali wyraźnie owo przemieszanie się planów czasowych. Kiedy Tannis wszedł do sali, spostrzegł od razu, że obaj agenci FBI, a co dziwne, także i oficerowie ze Służby Dochodzeniowej Marynarki Wojennej, wszyscy skupieni w tyle pomieszczenia, są jakby czymś skrupowani i trochę zagubieni. Jeden z agentów czubkiem buta podnosił i opuszczał błyszczącą pokrywę kontaktu umieszczonego w podłodze. Przestarzałe urządzenie, pomyślał Tannis, połączone zapewne z innym, równie staromodnym – mógł to być na przykład 16-milimetrowy projektor filmowy. Z kolei obaj reprezentanci marynarki wojennej spojrzawszy na Tannisa także wyczuli w jego wyglądzie coś dziwnego, choć żaden z nich nie umiałby określić, o co mu chodzi: Tannis miał na sobie stary uniform koloru khaki,

który był ongiś mundurem polowym marynarki, zanim zastąpił go biały strój; obaj widzieli dotąd coś takiego tylko na fotografiach. W sumie wszystko to pozwoliło Tannisowi uzyskać od razu przewagę: *świadek* – taką rolę wyznaczyło mu FBI – wziął górę, przesłuchiwany otrzymał odpowiedź na wszystkie swoje pytania. Agent Odpowiedzialny o nazwisku Olin Nickel – facet z Los Angeles kierujący dużą sekcją kontrwywiadu – w żaden sposób nie potrafił temu zapobiec. Żalił się później swemu towarzyszowi (młodszemu agentowi Colarco, który bawił się klapką kontaktu), że zawsze tak bywa, gdy ma się do czynienia z podwójną hierarchią, choć obaj dobrze wiedzieli, że nie jest to żadne wytłumaczenie. Samopoczucie oficerów marynarki było odrobinę lepsze. Zajęli postawę po części defensywną, starając się bronić zarówno powagi własnych stanowisk, jak i reputacji marynarki wojennej w konfrontacji z cywilną instytucją. Fakt więc, że niewiele się w istocie wydarzyło, oznaczał dla nich jeśli nie zwycięstwo, to przynajmniej remis. Szefem ich zespołu był komandor o nazwisku Benson, młody, ale już doświadczony i zahartowany uczestnik licznych biurokratycznych bojów w Waszyngtonie i Norfolk. On też miał pomocnika, rosłego, układnego Murzyna o pokaźnym brzuchu, komandora porucznika Rawsona, którego obecność stanowiła największy dysonans. W sali załanej miękkim złotym światłem jego kredowobiały uniform wręcz dopraszał się serwetki przerzuconej przez ramię i wyrazu twarzy zupełnie odmiennego od swobodnej, poufalej nonszalancji. Leniwie palił papierosa, od czasu do czasu zerkając na swój wielki, złoty rolex. W czasach kiedy wznoszono „Biały Dom”, w całej Marynarce Wojennej USA nie było ani jednego Murzyna. Matheson – szef kontrwywiadu bazy, gospodarz i nominalny zwierzchnik – silniej niż inni odczuwał obecność Rawsona. Nie miał nic przeciwko czarnym, nigdy jednak nie było ich wielu w China Lake, a poza tym pochodził jednak z Arkansas. Toteż wyglądał na trochę zażenowanego, a wrażenie to wzmacniał nieznaczny tik w kąciku oka. Był niewysoki, żwawy, miał około pięćdziesiątki i wszystko wskazywało na to, że zostanie kiedyś małym staruszkim: uczciwym i szacownym pomocnikiem pastora.

Tannis nie od razu uświadomił sobie wszystkie te niuanse sytuacji. Czując się dosyć swobodnie (ileż to razy siedział w tej właśnie sali,

uczestnicząc w najróżniejszych naradach), początkowo był zdziwiony ich niepewnością i zachowywał rezerwę, kiedy zarysowały się różnice zdań między grupami. W charakterystyczny sposób ujawniły się one już na wstępie w sporze na temat procedury. Kiedy dokonano wzajemnej prezentacji i zajęto miejsca przy stole (FBI i marynarka znalazły się naprzeciw siebie, Tannis zasiadł u szczytu stołu), Matheson zabrał głos. Rozpoczął od kilku starannie wyważonych uwag. Podziękował Tannisowi za przybycie – w protokole odnotowano, że zrobił to z własnej woli. Wszyscy mieli nadzieję, że jego ogromne doświadczenie będzie dla nich wielką pomocą. Mógł, oczywiście, mówić zupełnie swobodnie, bowiem każdy z obecnych miał prawo zapoznawać się z najtajniejszymi informacjami. Potem szef kontrwywiadu w China Lake nawiązał do „zgodnej opinii”, iż mniej ich interesuje odtworzenie wydarzeń piątkowej nocy, a znacznie bardziej pewne ogólne tło.

– Chodzi przede wszystkim o to, Jack, iż chcielibyśmy skorzystać z twojej wiedzy i szerzej spojrzeć na całą sprawę. Jak już mówiłem agentowi Nickelowi, jesteś chodzącym archiwum tej bazy. Opowiedz nam o Harperze, daj nam lekcję historii, mów o wszystkim, co, twoim zdaniem, mogłoby nam się przydać.

Jednakże bardzo szybko się okazało, że zgodność opinii nie dotyczy bynajmniej wszystkich kwestii. Nickel pochylił się nad stołem; był niewątpliwie człowiekiem, który nie zamierza wycofywać się ze swojego stanowiska. Powiedział, że jest wiele problemów, o których warto by porozmawiać, pewne sprawy wymagają wyjaśnienia, a kapitan Tannis nie będzie miał z pewnością nic przeciwko temu. Tak, agentowi Nickelowi nie wystarczyło samo ogólne tło, nasuwały się pewne pytania w związku z historią samego kapitana, pytania, które mówiąc szczerze...

Rawson zaciągnął się głęboko papierosem. Na jego twarzy pojawił się grymas zniecierpliwienia. „Olin, uzgodniliśmy przecież, że nie będziemy się grzebać w starociach”.

Zaczęli spierać się zawzięcie i dopiero teraz, patrząc na nich, Tannis zrozumiał, jak bardzo nie pasują nie tylko do siebie nawzajem, ale i do tego miejsca, i tego, co się wydarzyło. Szczególnie Nickel. Sala konferencyjna przypominała Tannisowi dawne czasy, gdy agenci FBI przypominali

pod pewnymi względami duchownych. Byli pełni wiary, a przynajmniej zapału, odznaczali się uporem i nieugaszoną dociekliwością, podczas gdy Nickel był typowym biurokratą. Tannis odczuwał wobec takich ludzi lekką pogardę; dzień wcześniej uśmiechnął się ze zrozumieniem, kiedy szeryf powiedział: „Nickel to taki gliniarz, który nigdy nie nabawi się plarfusa, a idę o zakład, że ma dupę pełną hemoroidów”. Była to niechęć człowieka czynu i akcji do człowieka działającego głównie z za biurka. Tannis większość życia spędził w terenie, uczestnicząc bezpośrednio w akcjach – jednakże ludzie typu Nickela interesowali go, choćby dlatego, że stanowili dowód na to, jak wielkie zmiany zaszły w samych operacjach wywiadowczych. Kierowali teraz nimi biurokraci, dążąc do osiągnięcia biurokratycznych celów, było więc rzeczą nieuniknioną, że to ludzie typu Nickela najlepiej wiedzieli, o co w tych operacjach chodzi. Nie miał w sobie zresztą nic z mięczaka, także i w sensie fizycznym. Kiedy nachylał się nad notatkami rozrzuconymi po stole, garnitur marszczył się na jego szerokich barkach, a z pełnej napięcia twarzy promieniowała siła. Rzucając szybkie spojrzenia, z ledwie dostrzegalnym uśmiechem czujnie wylaupywał fakty i tworzył z nich niewidzialne konstrukcje. Wiedział, o co mu chodzi. Skoncentrował swą uwagę na dwóch kwestiach. Pierwszą stanowił oczywiście tajemniczy rozmówca Tannisa, druga natomiast była bardziej delikatna: o co w istocie chodziło w „sprawie Harpera”? Na tę ostatnią spojrział jednak z dość nieoczekiwanej strony, opierając się na rzuconej mimochodem uwadze Tannisa o informatorze, o drobiazgu, który pozwolił powiązać wówczas Harpera z Sowietami. Nickel uzyskawszy ostatecznie przewagę nad Rawsonem, drażył uparcie tę sprawę.

– Sądzi pan więc, tak wynika z pańskich słów, kapitanie, że człowiek, który do pana zadzwonił, rzeczywiście chciał porozmawiać o Harperze?

– Tak.

– Takie było pierwsze pańskie wrażenie?

– Tak.

– I zdaje się, że pan się przed tym wzdragał?

– Nie. To znaczy, nie całkiem. Kiedy potem o tym myślałem, uświadomiłem sobie, że mogło mu chodzić o dwie różne rzeczy. Być może,

pragnął przekazać właśnie tyle: „Chcę porozmawiać o Harperze”. A być może, użył tego nazwiska tylko po to, żeby przykuć moją uwagę. Jeśli zajrzy pan do moich zeznań, przekona się pan, że powiedziałem wyraźnie, iż nazwisko Harper wymienił dopiero wtedy, kiedy chciałem odłożyć słuchawkę.

– Uważa pan zatem za rzecz możliwą, iż nazwiskiem tym posłużył się tylko po to, by przykuć pana uwagę. I właśnie na tej podstawie – o tym nic nie ma w pańskich zeznaniach – pomyślał pan, iż może to być ta sama osoba, która niegdyś doniosła panu o Harperze?

– Tak.

– Potwierdza pan to?

– Tak, takie było moje podejrzenie.

– Wszyscy znamy akta sprawy, ale powtórzmy w skrócie to, co najważniejsze. Ktoś zatelefonował do pana piątego kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku, tak?

– Zgadza się.

– I również wtedy osoba dzwoniąca zmieniła swój głos?

– Tak.

– W ten sam sposób co w zeszły piątek?

– Nie, za pierwszym razem... informator, jeśli dobrze pamiętam, zakrył słuchawkę chusteczką do nosa czy czymś takim. Tylko tyle. Tymczasem w piątek zmieniał go rzeczywiście, robiąc przy tym wstawki meksykańskie.

– Wracając do tamtej sprawy, informator oznajmił panu wtedy, że Harper zamierza coś podrzucić...

– To było trochę inaczej. Powiedział, że Harper o określonej porze jeździ tą samą drogą, w pobliżu Darwin Springs; że robi to prawdopodobnie regularnie. Rzeczywiście, Harper się zjawił, a chwilę później tą samą drogą przejechał samochód z czterema Rosjanami. Rzecz jednak w tym, że Harper niczego w czasie jazdy nie wyrzucił. Był pod stałą obserwacją i nic się nie wydarzyło.

– Harper zaś zeznał – Nickel zajrzał do swoich notatek – że znalazł się tam, gdyż ktoś poinformował go...

– Chodziło o jego żonę. Twierdził, iż otrzymał anonim, że jego żona

ma jakiś romans. Tam właśnie miała się spotykać z amantem. Jak pamiętam, bardzo często jeździła konno.

– Pan jednak w to nie uwierzył? Harper nigdy nie przedstawił anonimu?

– Nie wierzyłem w ten list. Wymyślił go na poczekaniu, a potem już twardo obstawał przy swoich zeznaniach. Nie mam jednak pojęcia, co naprawdę tam robił.

– Dobrze, zostawmy to na moment. Otrzymał pan informację, że Harper zjawi się w określonym miejscu i rzeczywiście tak się stało. Teraz interesuje mnie osoba samego informatora. Niech pan sobie dokładnie przypomni: ten człowiek rozmawiał wówczas z panem i tylko z panem?

– Tak.

– Pamiętając więc o tym, że starał się zmienić głos, nie można wykluczyć, że w obu wypadkach była to ta sama osoba?

– Nie.

– I w obu wypadkach ta osoba prawdopodobnie znała pana?

Tannis pokręcił głową.

– Pewnie tak, choć niekoniecznie. Ten ktoś nie musiał mnie znać ani wtedy, ani teraz. Bardzo intensywnie pracowaliśmy nad ustaleniem, kto to mógł być, skąd wiedział, co zrobi Harper, ale udało nam się stwierdzić jedynie tyle, że musiał to być ktoś z mieszkańców tego okręgu.

– Zatem ktoś, kto mógł pana znać?

– Tak.

– W piątek był w gruncie rzeczy pewien, że pan go rozpozna. Przynajmniej taką miał nadzieję. I dopiero kiedy tak się nie stało, wspomniął o Harperze, jak sam pan na to zwrócił uwagę.

– Zgadza się.

– I wtedy pomyślał pan...

– Agencie Nickel, nie róbmy z igły wideł. Przyszło mi do głowy, że facetowi, który zadzwonił teraz, wcale nie chodzi o Harpera, lecz o coś zupełnie innego, a osoba Harpera jest czymś, co nas kiedyś – jego zdaniem – połączyło i dlatego jak hasło rzucił to nazwisko. Dlatego pomyślałem o t a m t y m informatorze. Nie ulega wątpliwości, że wiedział coś o Harperze i że wiedział dostatecznie wiele, by do mnie zadzwonić. Niewy-

kluczone, że miałem rację. Ostatecznie, jeśli rzeczywiście chciał porozmawiać o Harperze, to dlaczego się nie zjawił?

Rawson, oparty na łokciach, zakołysał lekko stołem i mruknął:

– Stara prawnicza zasada, Olin. Chodzi nam o bezpośrednie skutki naszych poczynań.

– Coś w tym rodzaju – podchwycił Tannis. – Jeśli przyjrzeć się temu, co faktycznie nastąpiło, to nazwisko Harpera zaprowadziło mnie do „Hideaway”, a kartka za wycieraczką skierowała mnie do Panamint. Tak więc prawdopodobnie chodziło w sumie po prostu o to, żebym się znalazł u Trona. Nie wiem, jaki był w tym cel, być może nie miał zupełnie nic wspólnego z Harperem. Tak czy inaczej, mój rozmówca z pewnością wiedział o sprawie Harpera, i wiedział, że ja ją znam.

– Proszę się nie martwić, panie kapitanie... panie komandorze... To ten fakt decyduje o kierunku naszych zainteresowań. Chciałbym natomiast wiedzieć...

Rawson znowu zaczął się sprzeciwiać. Tym razem Tannis przysłuchiwał się temu z mniejszą uwagą, choć nadal bowiem nie bardzo wiedział, o co w tym wszystkim chodzi, pytania Nickela pozwoliły mu wyciągnąć pewien konkretny wniosek: chociaż interesowali się Harperem, jego woleli zostawić na uboczu. To było zresztą pierwsze jego spostrzeżenie. Coś pomijali, spychali na dalszy plan. To coś niepokoiło ich i krępowało do tego stopnia, iż nie dostrzegali pewnej istotnej poszlaki, nawet wtedy gdy wyraźnie ją ujawniali. Tannis był zresztą tak zaabsorbowany tym, co się rozgrywało na jego oczach, że sam niemal przeoczył ów trop. Jednak spostrzegł go, dzięki czemu powiększył swoją przewagę nad tamtymi. Było to jak światło nagle rozbłyśnięte, jak echo głosów dochodzące gdzieś z kątów, jak specyficzne uczucie *déjà vu*, jak kropla wody, która zalśniła na długim, politurowanym stole konferencyjnym. Nie miało to nic wspólnego ze statystyką, prawdopodobieństwem, wskaźnikami: czysta dedukcja.

Teraz, od Harpera, znowu powrócili do informatora i Nickel zdobył kolejne punkty w pojedynku z Rawsonem, który w końcu, skrzyżowawszy ręce na piersi, zapatrzył się gdzieś w odległy punkt stołu z wyrazem znużenia i niesmaku na twarzy. Matheson był podenerwowany; jego plan gry

okazał się najwyraźniej nieskuteczny. Benson, szef zespołu Marynarki Wojennej, nie odezwał się dotąd ani słowem. Colarco, pomocnik Nickela, przyglądał się wszystkiemu bacznie jak prymus klasowy chłonący każde słowo. W końcu Nickel zaczął odczytywać Tannisowi listę nazwisk, aby w ten sposób ożywić jego pamięć. W pewnym momencie Rawson mruknął: „Czy to właśnie nazywają metodą wolnych skojarzeń, Olin?”

Nickel zignorował jego uwagę.

– Panie kapitanie, powinien pan znać wszystkie te nazwiska. Chcę wiedzieć, czy któreś z nich może należeć do pańskiego rozmówcy.

– Rozumiem. Może nagle gdzieś coś zadzwoni...

– Robert Chapman.

Tannis pokręcił głową.

– Nie on?

– Nie.

– Jonathan Frank.

– Nie.

– Carver Davis...

Była to interesująca lista, Tannis zastanawiał się, w jaki sposób ją sporządzili. Stare rachunki telefoniczne. Jego akta personalne. W paru wypadkach chodziło o kolegów z CalTech, których ledwie pamiętał. Ponadto akta spraw, które prowadził więcej niż dwadzieścia lat temu. I parę strzałów na chybił trafił.

– Donovan Hill.

– Nie. Nie żyje.

– Olin, na litość boską...

Pamiętał Hilla. Wszedł w skład grupy, która pojechała w roku 1958 na Formozę. Znaleźli się w niej trzej naukowcy z China Lake, ludzie z marynarki, z CIA. Potajemnie uzbroili szwadron Narodowych Szabel w Sidewindery, które w następnym tygodniu zestrzeliły czternaście chińskich MiG-ów, pierwsze w dziejach samoloty, które padły ofiarą pocisków sterowanych. Kryzys na Formozie szybko się zakończył... Nickel rzucał wciąż nowe nazwiska. Naukowcy, personel pomocniczy, oficerowie marynarki. Wydawało się, że nie było w tym żadnego porządku, ale wreszcie przestał odczytywać swoją listę i kiwnął głową ku Colarco, który wycią-

gnął z kieszeni magnetofon kasetowy i włączył go.

– To samo, panie kapitanie. Tyle że tym razem głosy.

Wiele z nich (powracały mgliste wspomnienia) należało do ludzi, których nazwiska znalazły się na liście, co znaczyło, że musieli sięgnąć do taśm nagranych ćwierć wieku temu. Były to w większości montaż, usunięto kwestie rozmówców osób właściwych. W kilku wypadkach słyszało się wyraźny akcent cudzoziemski. Colarco za każdym razem gładko cofał taśmę i puszczał ją powtórnie. Dwie osoby były z pewnością Anglikami. Nagle nadstawił uszu. „To zamach stanu... Tak, zgoda, ale tak czy inaczej muszę się dostać do Oksfordu. Oni z pewnością... Nie, jeśli przyjdą czeki, zapłać je jak zwykle... Tak...”

– To Harper – powiedział bez namysłu. Rozpoznał ten głos natychmiast, choć wyczuł również instynktownie, że to o b e c n y głos Harpera. Był dojrzały, mocniejszy... jednakże w dalszym ciągu w wyobraźni nie pojawił się obraz twarzy, nadal nie pamiętał zupełnie, jak Harper wygląda. Mają z pewnością jego zdjęcie. Taśma przewijała się dalej. Jeszcze więcej głosów, dalsze dziesięć minut strzępów, skrawków. Także kilka głosów kobiecych, co wywołało pomruk Rawsona. Wreszcie ktoś mówiący po niemiecku, upłynęła króciutka chwila, zanim Tannis zaczął rozumieć słowa. „Mówiłem już kilka razy, że przyjechałem tutaj z powodu serca, potrzebuję specjalnego leczenia, a tam nic już mnie nie trzyma. Nie żyje już nikt z mojej rodziny, a przyjaciele... Tak, to prawda, żyje jeszcze siostra i jeśli będę mógł, ściągnę ją tutaj. Ale i to nie jest pewne. Jest młodsza ode mnie, dopiero za kilka lat będzie mogła przejść na emeryturę. Ale czy wtedy ja...”

– To nie ten człowiek – powiedział Tannis – ale domyślam się, że to Buhler.

W tym momencie po raz pierwszy wtrącił się Benson.

– Ma pan rację, kapitanie. I jeśli pan pozwoli, agencie Nickel, uważam, że posunął się pan już odrobinę za daleko. Pan kapitan powiedział wyraźnie: nawet jeśli rozmówca mówił z lekkim niemieckim akcentem, to jednak mówił po angielsku. Czy mam rację, panie kapitanie?

– Mhm.

Teraz, wypuściwszy strugę papierosowego dymu, odezwał się

Rawson:

– No więc właśnie. Nie wiemy może zbyt wiele o Buhlerze, mamy jednak pewność, że nie mówił po angielsku, nie znał nawet jednego słowa. A więc nie ma mowy o tym, aby mógł być tajemniczym rozmówcą.

Nie znał nawet jednego słowa po angielsku. To było to. Tannis wyczuł natychmiast, jak ważny jest ten fakt, choć nie bardzo rozumiał dlaczego. Ale nie dał mu umknąć, zapamiętał. Siedział w milczeniu, sądząc, że pój-
dą tym tropem, ale ruszyli poprzednim traktem.

– To wszystko, panie kapitanie – powiedział Nickel. – Nie będę już tego dalej ciągnął. Zakładam, że jeśli przyjdzie panu do głowy jakieś nazwisko, poinformuje nas pan o tym.

– Oczywiście.

– Niezależnie od konsekwencji?

– Uważam, że to niestosowna uwaga – wtrącił Matheson.

– Zatem ją wycofuję. Zostało jednak zaprotokołowane, panie kapitanie, że pan nigdy nie wierzył w winę Harpera, prawda?

– Bez trudu można to znaleźć w aktach.

– Była to najpoważniejsza sprawa w pańskiej karierze, panie kapitanie?

– Nie.

– Nie?

– Jeszcze ważniejsze sprawy prowadziłem w Niemczech. Można by co najwyżej powiedzieć, że Harper to była najpoważniejsza nie rozwiązana sprawa w mojej karierze.

– Panie kapitanie, sprawa została oficjalnie zamknięta dwadzieścia pięć lat temu i nie ma tam żadnych niejasności.

– Nie byłbym taki pewien. Nikt nawet nie został uwięziony.

– Obaj dobrze wiemy, że to o niczym nie świadczy.

Teraz widać już było wyraźnie, dokąd zmierza Nickel, ale Benson poplątał mu szyki, trudno rzec czy świadomie, czy usiłując niefortunnie odegrać rolę cichego sojusznika:

– Nie warto odgrzebywać całej sprawy, z drugiej strony jednak, jeśli nie zrobił tego Harper, panie kapitanie, to kto? Kto, u diabła, przekazał Sidewindera Rosjanom?

– Skoro sprawa jest definitywnie zamknięta, moje podejrzenia w tej kwestii nie mają żadnego znaczenia.

– Cóż... być może – uśmiechnął się Benson. – Musi pan jednak zrozumieć, że ja nie mam żadnych podejrzeń. A jak powiedział komandor Matheson, pan jest żywą historią bazy.

– Jeśli pan chce – wzruszył ramionami Tannis – czemu nie. Trzeba jednak cofnąć się jeszcze dalej. Prawdopodobnie Sowieci mieli Sidewindera już w 1958, ale sięgnąć trzeba do 21 października 1956 roku, kiedy rozpoczęła się wojna sueska...

– Może pan to wyjaśni naszym cywilnym kolegom – wtrącił Rawson.

– Izraelczycy, Anglicy i Francuzi zaatakowali Egipt. Izrael zniszczył na lotniskach samoloty egipskie, a bez ochrony z powietrza armia była bezsilna. Kanał Sueski został zablokowany.

– Dobrze, dobrze – powiedział Nickel. – Znamy tę historię. Nasi chłopcy wygrali.

– Z pewnością, tyle że prezydent Eisenhower miał pewne kłopoty. Gdyby opowiedział się po stronie Izraelczyków i Brytyjczyków, stałby się jawnym imperialistą, co Nassera i Arabów popchnęłoby w ramiona Sowieców. Z drugiej jednak strony, wszyscy dobrze wiedzieli, że Izraelczycy to naprawdę nasze chłopaki. Ostatecznie zatem Eisenhower powstrzymał ich, co było zarazem końcem Imperium Brytyjskiego, ale w następnych latach staraliśmy się działać ostrożnie i nie faworyzować żadnej ze stron. A przynajmniej chcieliśmy, aby to tak wyglądało. Dotyczyło to zwłaszcza problemu dostaw broni, szczególnie samolotów i rakiet. A właśnie samoloty i rakiety były dla Izraelczyków sprawą absolutnie najważniejszą. Przeciwnik przewyższał ich wielokrotnie pod względem liczebnym, chcieli więc mieć przewagę w powietrzu, a to znaczyło po prostu, że musieli uzyskać Sidewindera i otrzymywać regularne dostawy części zamiennych, dostawy, które nie mogłyby być nagle przerwane nieoczekiwaną decyzją Kongresu USA. Rozwiązanie było oczywiste. W latach 1958, 1959, 1960 zaroilo się tutaj od izraelskich uczonych – w kantine podawano posiłki koszerne – a w roku 1961 w Rafael Armament Development Authority zaczęto produkować wersję Sidewindera noszącą nazwę Shafrir... Rozumiecie, panowie, nie twierdzę, że Izraelczycy przekazali im projekty, ale

wydarzyło się to w tym właśnie czasie.

Benson leciutko przekrzywił głowę, na jego twarzy pojawił się wyraz zadumy:

- W aktach nic o tym nie ma – powiedział.
- Dziwi się pan?

Rawson chrząknął.

– Z tego, co pan mówi, wynikałoby, że rozwiązanie z Harperem było po prostu wygodne. Wszystko się ostatecznie do tego sprowadza. Nawet fakt, że nie znaleziono wystarczających dowodów przeciwko niemu, miał swoje dobre strony. Dzięki temu nikomu się nie dostało. – Odchylił się na krzesło, które zatrzeszczało pod jego ciężarem. – Chciałbym jednak o coś zapytać. Czy śmierć Buhlera albo którekolwiek z wydarzeń, jakie miały miejsce w ostatnich dniach, poczynając od piątkowego wieczoru, w jakiś sposób wspiera pańską sugestię?

- Nie.

Rawson kiwnął głową i zmrużył znacząco oko do Bensaona; dokładnie o to im chodziło. Teraz jednak do ataku ruszył Nickel.

– Ale czy nie byłby pan przypadkiem zadowolony, gdyby na nowo podjęto sprawę Harpera?

Tannis uniósł dłoń w obronnym geście.

– Niespecjalnie. To zabawne, chce pan, zdaje się, zasugerować...

– Niczego nie sugeruję.

– A mnie się wydaje, że tak, i niezbyt mi się to podoba. Insynuuje pan, że wykorzystuję śmierć Buhlera, aby powrócić do sprawy Harpera. Byłbym jednak rad, gdyby zechciał pan pamiętać, że jestem emerytowanym oficerem Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Byłem kiedyś szefem kontrwywiadu w tej bazie, panowie zaś prowadzicie dochodzenie w sprawie zagrożenia bezpieczeństwa narodu. Toteż niezależnie od moich prywatnych odczuć nie złożyłbym fałszywego zeznania w żadnej kwestii ani panu, ani żadnemu innemu urzędnikowi federalnemu.

Usta Mathesona zacisnęły się w wąską linię.

– Punkt dla ciebie, Jack. Trzeba to było wreszcie powiedzieć wyraźnie.

- A resztą – ciągnął Tannis – gdyby istniał tu jakikolwiek związek,

to obecność Buhlera raczej potwierdziłaby standardową, że tak to nazwę, wersję, zgodnie z którą Harper był winien.

Tannis spostrzegł że twarz agenta Nickela przybrała dziwny, jakby spłoszony wyraz. Po chwili zrozumiał przyczynę. Jedynym elementem łączącym śmierć Buhlera z Harperem była jego informacja o rozmowie telefonicznej, oni zaś chcieli dać mu do zrozumienia, iż to tylko jego wymysł, że w rzeczywistości rozmówca w ogóle nie wspomniał o Harperze albo też miał na myśli coś zupełnie innego. Co znaczyło, że z jakichś powodów nie zauważył, że zależało im na całkowitym oddzieleniu śmierci Buhlera od spraw wywiadu. On sam z całą pewnością nie miał nic przeciwko temu. Zagra z nimi w każdą grę, bo i tak jego będzie na wierzchu.

– Nie rozumiem, co ma pan na myśli – powiedział w końcu Nickel.

– Chodzi panu, kapitanie, zdaje się, o to, że Buhler pochodził ze Wschodu, więc mógł pracować dla KGB, a to rodziłoby niemiłe skojarzenia, gdyby zaczęto łączyć jego sprawę ze sprawą Harpera – wtrącił Benson.

– Coś takiego. Czytaliście, panowie, akta. Najsilniejszą poszlaką przeciwko Harperowi był jego wyjazd do Czechosłowacji.

Benson z pewnością czytał dokumenty.

– Twierdził, że chciał odwiedzić starego przyjaciela, Mirosłava... nie, nie potrafię wymówić. Chodziło o starego przyjaciela jego ojca, który płacił za jego naukę czy coś w tym rodzaju.

Tannis kiwnął głową.

– Ojciec Harpera pracował jako technik uzbrojenia w bazie RAF-u w Benson. Tam stacjonował Brytyjski Zwiad Fotograficzny. Miroslav Rechcił był pilotem, latał najpierw na spitfire'ach, potem na mosquitach. Zaprzyjaźnili się i Czech był ojcem chrzestnym Harpera. W 1948 roku, kiedy komuniści przejmowali władzę w Czechosłowacji, wrócił, by im w tym przeszkodzić, co mu się, oczywiście, nie udało. Ale odwrotu już nie było. W angielskim banku miał na koncie sporo pieniędzy, które pochodziły głównie z jego lotniczej pensji i od których narosły procenty. Udało mu się scedować je na Harpera. Pozwoliło to chłopakowi skończyć studia w Cambridge. Miał zatem dług wdzięczności wobec Rechciła i nic dziwnego, że chciał go zobaczyć i podziękować mu osobiście.

– O czym nie wspomniał nikomu – odezwał się Benson.

– Ale nie to jest najważniejsze – wpadł mu w słowo Nickel. – Nie wspomniał pan, kapitanie, że po wojnie Rechcigl dalej latał dla Anglików. Aż do roku 1950 wysyłali oni mosquity, by robiły zdjęcia nad terytorium sowieckim. Musimy przyjąć, że Czesi o tym wiedzieli i że mieli Rechcigla na oku. A stąd już tylko krok do Harpera.

– Jeśli chcecie, możecie przyjąć takie założenie – odparł Tannis – ale nie ma na to żadnego dowodu. Wprost przeciwnie. Wizyta Harpera nie była zapowiedziana i Rechcigl nic nie wiedział o jego przyjeździe. I z tego, co mówił Harper, wynikało, że tamten przez cały czas zamartwiał się, iż odwiedziny ujawnią jego kontakty z Zachodem.

– Ale ja wcale nie polemizuję z panem, kapitanie – zachnął się Nickel. – To wszystko nie ma żadnego znaczenia, gdyż nie widzę, jaki mogłoby mieć związek z Buhlerem, który był Wschodnim Niemcem, nie zaś Czechem. Zgodnie z tym, co udało się nam ustalić, nie miał żadnych powiązań z wywiadem ani w czasach Harpera, ani teraz. Chciałbym, aby zostało to zanotowane: do tej chwili nie udało nam się dowieść istnienia żadnych absolutnie związków między śmiercią Buhlera a sprawą Harpera.

– Z wyjątkiem tego – wtrącił Rawson – iż, jak pan twierdzi, rozmówca wymienił nazwisko Harpera.

– Można to jednak wyjaśnić na przeróżne sposoby – powiedział Benson. – I dlatego jest to tak istotna kwestia. Muszę przyznać, że przemawia mi do przekonania sugestia pana kapitana. Bardzo prawdopodobne, że tak było. Informatorem jest ktoś, kto mieszka w tej okolicy. Wiele lat temu dowiedział się czegoś o Harperze i doniósł na niego. Teraz uzyskuje informację, że w motelu w Lone Pine zatrzymał się facet ze Wschodnich Niemiec. Dzwoni więc do kapitana Tannisa, by go o tym poinformować. Obawiając się, że kapitan może nie zechcieć go wysłuchać, wplątuje w całą sprawę Harpera, aby go potraktowano poważnie.

– Kłopot, oczywiście, polega na tym – zauważył Tannis – że nawet słówkiem nie wspomniał o Niemcu. Buhler zaś nie tylko zatrzymał się w motelu, ale także wyładował na pustyni z kulą w piersiach.

– Ho, ho – odezwał się Rawson – odnoszę wrażenie, że pan nie zgadza się z własną koncepcją... Chociaż nie. Rozumiem. Pan przedstawił to

tylko jako jedną z możliwości. Zastanawia mnie jednak pewna rzecz. Jeśli uznać za słuszną pańską koncepcję – co się zaś tyczy Izraelczyków, to już jest pańska koncepcja, prawda? – wtedy natychmiast okazuje się, że tamten donos był częścią prowokacji.

– Być może. Mogło też chodzić o zagmatwanie wszystkiego.

– Wówczas jednak nikt panu nie uwierzył. Mówiąc ściślej, niektórzy ludzie utrzymywali, że tak bardzo był pan przekonany o niewinności swojego przyjaciela Harpera...

– Nie był moim przyjacielem, komandorze. Na ogół nie przepadam za Brytyjczykami. A to był właśnie taki sztywny, zadzierający nosa angielski młodzik...

– ...iż wręcz zlekceważył pan informację, w ogóle jej nie wykorzystał, i że prawdopodobnie było ich więcej.

Tannis uśmiechnął się.

– Ma pan szczęście, komandorze. Ja nigdy nie biję ludzi w okularach.

– W okularach?

– Właśnie. „Niekтары ludzie utrzymywali”: to pańskie okulary. A może by je pan tak zdjął, może by pan powiedział, co pan osobiście sądzi...

Tannis zaczął podnosić się od stołu. Sprawiało to z pewnością dość teatralne wrażenie, ale na twarzy Rawsona pojawił się wyraz paniki, a Benson, który odsunął się trochę w tył, wyglądał podobnie. Nickel uśmiechnął się. Przed nim leżała stara teczka z aktami sprawy Harpera. Na marginesie pierwszego dokumentu ktoś napisał TANNIS – nazwisko podkreślono tak mocno, że długopis przeciął kartkę – co za skurwysyn; facet, który wpuści ci grzechotnika do kieszeni, a potem poprosi o zapalki.

Benson zaczął pospiesznie łagodzić spór i Tannis pozwolił się ugłaskać, ale za pewną cenę. Zrobili przerwę na kawę, a potem natychmiast przejął inicjatywę w swoje ręce.

– Powiedzcie mi, panowie, skąd macie taką pewność, że Buhler nie był szpiegiem?

Stawiając to pytanie, Tannis nie wiedział zupełnie, jaką może usłyszeć odpowiedź, niemniej sformułował tylko wyraźnie zasadniczą kwestię. Niezależnie od wszelkich napięć między grupą Nickela a grupą Bensaona,

był to problem ich wszystkich i dlatego nieustannie przechodzili od sporów do współdziałania. Znaleźli się na terenie całkowicie dla siebie obcym, mieli teraz do czynienia z czymś, co zdecydowanie wykraczało poza znane im stereotypy, metody policyjne, techniki zabezpieczania obiektów, zasady trzymania w szachu dyplomatów. I tylko jeden Tannis nie tracił wcale pewności siebie. Zapalił spokojnie lucky strike'a. W końcu zabił już kiedyś z zimną krwią człowieka – czy któryś z nich miał za sobą podobne przeżycie? – i znał definicję zimnej wojny. Siedział w tym od samego początku, wiedział, jakie było przeznaczenie China Lake. To właśnie odczuwał: ścisły związek między swym życiem, atmosfera tej sali i tym, co tutaj słyszał; miał wrażenie, że jest tutaj już od bardzo dawna. Nickel tego nie czuł. Benson też nie. Kiedy tamten zaczął mówić, Tannis utkwiał w nim uważne spojrzenie. Pamiętał czasy, gdy oficerowie marynarki byli synami oficerów marynarki albo przynajmniej synami tych, którzy mieli jakąś pozycję – właściciela First National Bank w przyzwoitym niewielkim miasteczku lub właściciela domu towarowego. Byli w marynarce, gdyż to wynikało z ich charakteru, i zachowywali się odpowiednio do tego. Benson natomiast był synem kogoś, kto się nie liczył. Robił w marynarce karierę. Miał stopnie naukowe, ukończył wiele specjalistycznych kursów. Znał się na reklamie i zarządzaniu. Nie palił, pił tylko dlatego, że stanowiło to obowiązek towarzyski. Jeśli był zdenerwowany, sięgał po walmium. Kimkolwiek był Buhler, pochodził z innego świata, tak jak Tannis i jak ta sala konferencyjna. Stanowili część historii, od której Benson był oderwany; w gruncie rzeczy dobrze o nim świadczyło, że zdawał sobie z tego sprawę na tyle wyraźnie, by czuć się nieswojo.

– Hm, kapitanie... to trochę za mocno powiedziane... nie użyłbym sformułowania, że jesteśmy *pewni, iż Buhler nie był szpiegiem*. Jednakże nie mamy żadnych konkretnych dowodów świadczących o tym, że w jakikolwiek sposób stanowił zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. To dlatego domniemany związek z Harperem wydaje się zaskakujący i właśnie dlatego tak nam zależy na wyjaśnieniu tej kwestii.

Spojrzał na leżące przed nim papiery; siedzący obok Rawson poruszył się niespokojnie i zaplótł ręce za oparciem krzesła. Nickel odsunął się od stołu, jakby podkreślając, że jego rola jest skończona. Benson ciągnął:

– Wiemy sporo o Buhlerze, można by rzec, zbyt dużo, jeśli rzeczywiście był szpiegiem. Zaczniemy od tego, iż dokumenty, które znalazł pan przy nim, są autentyczne. Urodził się w Lipsku. Miał starszego brata i młodszą siostrę. Cała rodzina pracowała na kolei, wszyscy też byli komunistami, członkami KPD, niemieckiej partii komunistycznej. Niemiecka policja dysponuje pełnym wykazem członków, mogliśmy zatem to sprawdzić.

– Problem polega na tym – powiedział Tannis – że lista obejmuje bardzo wiele nazwisk.

– To prawda. Gdyby wszyscy starzy niemieccy komuniści byli szpiegami... Buhler był wtedy jeszcze bardzo młody, a zresztą wydaje się, że nie udzielał się zbyt aktywnie. Jego ojciec i starszy brat należeli do grona znanych działaczy związków zawodowych, a kiedy do władzy doszli naziści, wszyscy trzej trafili do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie.

– Tam zesłano większość członków KPD – wtrącił Tannis.

– Tak właśnie mi powiedziano. W każdym razie ojciec umarł w obozie, a obu braci przeniesiono do podobozu znajdującego się w pobliżu miasteczka Nordhausen. To węzeł kolejowy pod Erfurtem. Zdaje się, że był to obóz pracy, a nie obóz zagłady – ciągle usiłujemy dowiedzieć się o nim czegoś więcej – ale i tutaj większość stanowili komuniści, istniała tam też jakaś konspiracja. Za udział w niej zabito brata Buhlera, on sam jednak jakoś przeżył. Ciężko chory leżał w szpitalu, kiedy wyzwalamo obóz. Było to w kwietniu 1945 roku, wyzwoliła go amerykańska Trzecia Dywizja Pancerna Pierwszej Armii...

– Musiał więc mieć jakieś kontakty z Amerykanami?

– Tak. Staramy się czegoś o tym dowiedzieć, ale jak na razie niczego nie znaleźliśmy i pewnie w ogóle nie znajdziemy, bo niedługo tam już przebywał i pod koniec powrócił do Lipska. Według tego, co mówił, szukał przez jakiś czas siostry, a kiedy ją wreszcie odnalazł, postanowili zamieszkać razem. Wrócili na piechotę. Prawdę mówiąc, całe ich życie po wojnie wygląda zupełnie normalnie. On się nie ożenił, ona nie wyszła za mąż. Lipsk znalazł się po stronie komunistycznej, co ich, czerwonych, specjalnie nie zmartwiło. Buhler powrócił do pracy na kolei – był maszynistą – i pozostał tu do emerytury. Nawiasem mówiąc, łatwo to sprawdzić,

ponieważ kolej NRD-owska wydawała branżowe czasopismo i co kilka lat pojawia się wzmianka o otrzymywanych przez niego nagrodach i pochwałach; kilka razy zamieszczono nawet jego fotografię. Ale czas płynął i w zeszłym roku, ukończywszy sześćdziesiąt pięć lat, Buhler przeszedł na emeryturę. – Kiwając się na krześle, Benson postukał długopisem w papier. – Teraz ważna kwestia. Zdaje się, że w NRD, kiedy ma się już sześćdziesiąt pięć lat, można wyjechać z kraju. Jeśli praca, którą wykonywałeś, nie miała nic wspólnego z jakimiś tajemnicami państwowymi, możesz się wynosić. Nie dostajesz emerytury, pozwalają ci wziąć ze sobą tylko tyle, ile zmieści się w jednej walizce, ale pozwalają ci się wynosić. W ten sposób bardzo sprytnie podrzucają Zachodowi własne problemy geriatryczne. Buhler skorzystał z tego niepisanego prawa w styczniu tego roku, przeszedł po prostu przez Checkpoint Charlie. Co roku robią tak tysiące obywateli NRD, a Niemcy Zachodnie opracowały specjalne programy opieki nad nimi. Zgodnie z normalnym trybem skierowano go do ośrodka przejściowego w Giessen, gdzie przesłuchali go oficerowie wywiadu. Stąd pochodzi większość naszych informacji, tam też nagrano taśmę, którą pan wcześniej słyszał. Chociaż była to rutynowa kontrola, oczywiście, zainteresowano się nim. Był komunistą. W 1945 roku mógł prawdopodobnie przedostać się na Zachód, ale wcale nie próbował. Dlaczego zrobił to teraz? Tyle tylko że na wszystkie pytania dawał rozsądne odpowiedzi. Mówił o słabym sercu i potrzebie korzystania z zachodnich lekarstw i szpitali. Niemcy dokładnie sprawdzili i wszystko się zgadzało, co zresztą potwierdzili nasi lekarze; w Los Angeles przeprowadzono drugą sekcję zwłok. Według Niemców, Buhler chciał przygotować miejsce dla siostry, była młodsza, ale za kilka lat miała także przejść na emeryturę. Ponieważ Buhler wydawał się nieszkodliwy z punktu widzenia RFN, urządzili go w Berlinie. Wystąpił o paszport, trochę się namyślali, ale w końcu dostał. Dwa dni później poleciał do Nowego Jorku, gdzie spędził noc, a następnie przyleciał do Los Angeles. Nie ulega wątpliwości, że miał jakiś konkretny cel. Gdy tylko nadarzyła się okazja, wyjechał na Zachód. Znalazłszy się tu, natychmiast zaczął się starać o paszport federalny. Ale wszystko robił zupełnie otwarcie: występował pod swoim nazwiskiem, nie uciekał się do żadnych forteli. Na ile udało nam się ustalić, nie zbliżał się do bazy ani nie

kontaktował z żadnym z jej pracowników. W gruncie rzeczy nie jesteśmy nawet pewni, czy w ogóle kiedykolwiek pojawił się w Ridgecrest. A na dodatek nie mówił po angielsku. Ktoś, jeszcze w Niemczech – przypuszczamy, że jakiś jego znajomy z Giessen – wypisał mu po angielsku odpowiedzi na pytania formularza, który trzeba złożyć wynajmując samochód, a na lotnisku w Los Angeles po prostu podał tę kartkę kobiecie z agencji Hertza. Właściciel motelu w Lone Pine twierdzi, że Buhler potrafił powiedzieć tylko *hello*. – Benson poruszył się lekko na krześle i wzruszył ramionami. – Sam pan widzi, co tu mamy. Starszy facet, chory na serce, nie znający angielskiego. Kiepski materiał na agenta, zwłaszcza agenta KGB.

– Kiepski. Ale co tutaj robił i dlaczego go zabito? Musicie na to odpowiedzieć.

– To jak w starym filmie Audiego Murphy'ego. Wie pan, jacy byli ci nasi żołnierze w czterdziestym piątym. Buhler siadł do pokera i wygrał od jednego z nich mapę, na której miała być kopalnia złota. Kiedy więc już mógł, przyjechał tutaj, żeby odnaleźć tę kopalnię, ale ktoś go załatwił.

– Może to wcale nie jest tak dalekie od prawdy, jak się panu wydaje – powiedział Tannis.

– Badamy to – oznajmił Nickel. – To znaczy, mówiąc serio, staramy się znaleźć jakąś prywatną motywację jego posunięć.

– Ale jeśliby się to potwierdziło – powiedział Benson – Buhler przestanie nas interesować. Co sprawia, iż cofamy się do Harpera. Rozumie pan?

Tannis pokiwał głową. Trochę już rozumiał. Ich wypowiedzi potraktował, oczywiście, z pewną rezerwą. Nie lekceważyli sprawy Buhlera tak, jak przed nim udawali. Został zamordowany, pochodził ze Wschodnich Niemiec, a wszystko wydarzyło się w pobliżu bazy. Nie ulegało jednak wątpliwości, że nie był agentem. Jedynym wątkiem łączącym go z bazą był Harper, a wątek ten pojawił się dzięki Tannisowi. Co oznaczało, że on sam stawał się zawalidrogą, przeszkodą, której trzeba się pozbyć, jeżeli chce się zatuszować całą sprawę. Teraz przyszła jego kolej, by poczynić pewne ustępstwa. Niczego nie odwołał, nie popadł w sprzeczność z niczym – ani razu w istocie nie powiedział nic nieprawdziwego – ale w swego rodzaju samokrytyce zaczął podnosić wątpliwości, rozważać moż-

liwości, rozwijać alternatywy. Spróbował wesprzeć nieco „koncepcję tego samego informatora”, gdyż, jak się wydawało, miała dla nich jakiś urok. „Nie chciałbym, by zostało to odebrane jako coś, czego jestem pewien, to tylko przypuszczenie, jednakże kiedy zaczynam się nad tym zastanawiać, wydaje mi się, że łączyło ich jakieś podobieństwo...” Rozwijając tę kwestię, widział, jak się odprężają i jak rośnie sympatia wobec niego. Zrobił kolejną przerwę na kawę. Atmosfera wyraźnie się poprawiła. Zamienił kilka słów na uboczu z Nickelem. Nie zamierza zmienić stanowiska, co chciałby wyraźnie podkreślić, ale nie będzie również sprawiał kłopotów. Pracowali aż do obiadu. Wokół stołu rosło zadowolenie i raz jeszcze dała znać o sobie różnica wieku, ale w zupełnie odmienny sposób. Teraz znaki się odwróciły. Tannis pochodził z zamierzchłej epoki, znał rzeczy, o których oni tylko czytali, ale znaczyło to ostatecznie tyle, że był interesującym starym gawędziarzem. Jego czas dawno już minął. Nie należało go traktować zbyt poważnie, Bóg jeden wie, co naprawdę usłyszał w tamten piątek. Czytał to ich oczach, w zamglonych, pobłażliwych spojrzeniach; przysięgłby, że byli coraz bardziej znudzeni jego gadulstwem. Ale jednocześnie z każdą chwilą nabierał coraz większej pewności, że przegapili to, co mieli tuż pod nosem. A kiedy Matheson, na koniec, powiedział: – Jack, mogę, z pewnością w imieniu nas wszystkich, stwierdzić, iż ogromnie nam pomogłeś. – Tannis nie miał już żadnych wątpliwości – rzeczywiście przegapili. Oczywiście, w końcu na to wpadną. Ostatecznie byli zawodowymi policjantami, co zresztą niekiedy utrudniało im właśnie śledztwo. Muszą odfajkować wszystkie rutynowe punkty (dokąd Buhler pojechał, z kim rozmawiał, gdzie wydawał pieniądze), zanim wezmą się za dedukcję, zanim pozwolą sobie na myślenie. Ale i na to przyjdzie pora. Tak czy inaczej, w tej chwili miał nad nimi przewagę, choć nie utrzyma jej zbyt długo. Kiedy więc zaproszono go, by pozostał na obiedzie, odmówił: – Panowie, w moim wieku parę kieliszków w południe oznacza, że cały dzień trzeba spisać na straty. – A tego właśnie chciał uniknąć. Stary, chory na serce człowiek, który na dodatek nie znał angielskiego. Co więc przywiodło go do China Lake?

Tannis nie znał odpowiedzi na to pytanie. Wiedział jednak, że jeśli Buhler rzeczywiście nie znał angielskiego, oznaczało to, iż człowiek, z

którym przyjechał się tu zobaczyć i który najprawdopodobniej go zabił, musiał biegle mówić po niemiecku. A ilu mogło być takich ludzi tutaj, pośród piasków i skał?

Rozdział 4

Nie miał złudzeń. Była to tylko kwestia przypadku. I czasu.

Ludzie z FBI i marynarki przegapili oczywisty wniosek nasuwający się w związku ze sprawą Buhlera, gdyż nie potrafili lub nie chcieli go wyciągnąć, ale ostatecznie zostaną do tego zmuszeni.

Jego przewaga mogła potrwać godzinę, może dzień, ale byłoby z jego strony głupotą, gdyby liczył, że utrzyma ją długo. Musiał się spieszyć; wiedział jednak również, że jest to być może jedyna jego szansa, dlatego nie mógł jej zmarnować, działając zbyt pochopnie, należało zatem poświęcić trochę czasu i zastanowić nad całą sprawą. Mógł sobie na to pozwolić; miał teraz pewność, że pierwsza rozmowa nie została nagrana, a to z pewnością było dodatkowym punktem na jego korzyść. Po południu zatem rozsiadł się w fotelu w swoim gabinecie. Za oknem zachodziło już słońce, na niebie pojawiało się coraz więcej gwiazd, a on, wreszcie rozluźniony, popijając małymi łyчками tequilę, wszystko starannie przemyślał.

Zaczął od przesłanek. Punkt pierwszy: Buhler i Harper byli jakoś ze sobą powiązani, to kwestia podstawowa. Nickel i Benson mogli bawić się słówkami, ale nie było innego wytłumaczenia dla tego, co wydarzyło się w piątkową noc. Tylko jedno łączyło jego, Buhlera i tajemniczego rozmówcę: David Harper. Punkt drugi: bez względu na to jak dziwne mogły się wydawać poczynania Buhlera, miał jakiś konkretny cel – zauważył to

nawet Benson. Przy pierwszej nadarzającej się okazji niczym nie wyróżniający się maszynista ze Wschodnich Niemiec pofrunął do China Lake, co trudno uznać po prostu za turystyczną eskapadę. Musiał więc mieć jakiś plan. Punkt trzeci: ponieważ Buhler nie mówił po angielsku, jakkolwiek byłby ów plan, musiał uwzględniać kogoś, kto zna niemiecki, ponieważ z nikim innym Buhler nie mógłby się porozumieć. I wreszcie, to ów znajomy go zamordował, albo dlatego, że tamtej nocy na szosie pod Trona zdarzyło się coś nieprzewidzianego, albo dlatego, że stanowiło to część planu, który mógł mieć na celu usidlenie Tannisa. Przesłanki te wyglądały na niepodważalne, a wynikały z nich trzy wnioski dotyczące mordercy Buhlera: musiał być związany z dawną sprawą Harpera, musiał dość niezle mówić po niemiecku i ciągle mieszkał gdzieś w Panamint.

Na tej podstawie Tannis sporządził listę nazwisk, a na jej czele znalazło się, oczywiście, jego własne. Nie zrobił tego tylko *pro forma*. Z trzecią przesłanką wiązała się pewna drobna wątpliwość. Czy na pewno człowiek, z którym Buhler przyjechał się zobaczyć, był jego zabójcą? Teoretycznie jest możliwe, zastanawiał się Tannis, że Buhler podjął swą niezwykłą wyprawę, aby zobaczyć się z n i m s a m y m . Ale dlaczego w takim razie tego nie zrobił? Zgodnie z ustaleniami FBI, mieszkał w Lone Pine przez tydzień, a wystarczyło tylko odnaleźć nazwisko Tannisa w książce telefonicznej. Ale nawet jeśli to pominąć, był jeszcze inny problem. Jeśli Buhler rzeczywiście chciał się z nim zobaczyć, zamordowano go najprawdopodobniej po to, by nie dopuścić do tego spotkania. W takim jednak razie dlaczego piątkowy rozmówca, niewątpliwie morderca, alarmował go w związku z przybyciem tamtego? Nasuwały się pewne odpowiedzi na te pytania, ale wszystkie budziły wiele wątpliwości. Jednocześnie Tannis musiał przyznać, że jego osoba całkowicie spełnia wymagane warunki. Jego niemczyzna była nienaganna. Nauczył się tego języka w Meksyku od starego Niemca, poszukiwacza złota, przyjaciela ojca, potem doskonalił jego znajomość podczas studiów na CalTech. To właśnie stało się jedną z głównych przyczyn, dla których zwerbowano go do wywiadu marynarki wojennej. No i wreszcie po czterech latach spędzonych w Niemczech – głównie na przesłuchiwaniu Niemców – opanował ów język tak doskonale, że jeszcze teraz w każdej chwili bez trudu potrafił się przestawić i po-

słyszeć swoje myśli *auf Deutsch gesprochen*. Mógł zatem porozumieć się z Buhlerem, był w oczywisty sposób związany ze sprawą Harpera i nigdy nie opuścił Panamint. Jednakże, myślał, wszystko to jest bardzo nieprawdopodobne. Poszukał we wspomnieniach, przejrzał notatki, zbadał nawet stare zdjęcia, ale wydawało się rzeczą całkowicie niemal pewną, że on i Buhler nigdy się nie poznali. Nie dałby głowy, że się nigdy ze sobą nie zetknęli – spotkał w końcu bardzo wielu Niemców – nie sposób wszakże było przypuścić, iż mogłoby nie zapamiętać spotkania na tyle ważnego dla Buhlera, że ten starałby się go odnaleźć po czterdziestu latach.

Odrzuciwszy swoją kandydaturę, Tannis przeszedł do następnej, a tą był Harper. Także mało prawdopodobne, choć trudno uznać, że całkowicie niemożliwe. Czy mógł mieszkać w Panamint? Wydawało się, że trzeci warunek wyklucza go z gry. Gdyby tak było, FBI już by o tym wiedziało; mógł się założyć, że taśma z Harperem, którą mu puścili, została nagrana w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin. Z pewnością nie była to stara taśma, jeszcze z przesłuchań Harpera, na pewno też jego telefon nie znajdował się aż do tej pory na podsłuchu, a zatem to Brytyjczycy musieli szybko wykonać brudne, s p e c j a l n e zadanie. Nie spełniając tego warunku, Harper spełniał jednak pozostałe. To o n był sprawą Harpera. I mówił świetnie po niemiecku (dlatego właśnie między innymi podejrzenie padło na niego). Tannis powrócił myślą do przesłuchań, poplamionych protokołów, taśm, które wydawały się nagrane na dnie studni, nie kończących się narad. To Czech, czeski uciekinier uczył małego Harpera niemieckiego, tłumacząc chłopcu, że musi nienawidzić nazistów, ale nie wolno mu nienawidzić wszystkich Niemców. Uczył się chętnie: „Było to podniecające w jakiś przewrotny sposób...” Tannis przypominał sobie grymas na twarzy Harpera, kiedy to mówił; to nie był ten rodzaj słabości, do którego dobrowolnie by się przyznawał ktoś podejrzany o szpiegostwo. No i ostatni list od Czecha, dotyczący pieniędzy, był napisany po niemiecku. „*Ich werde es nie verwenden. Vielleicht wirdesfür Davids Ausbildung behilflich sein*”.

Ale co to wszystko mogło znaczyć? Przyjęcie związku między Harperem a Buhlerem zmuszało do uznania, że Harper był winny, tymczasem Tannis był absolutnie przekonany o jego niewinności. Jedną z niewie-

lu rzeczy, co do których miał całkowitą pewność. A zresztą po cóż miałby tutaj wracać? Zemsta? Nostalgia? Jakaś próba porachowania się z przeszłością? Żadna z tych odpowiedzi nie pasowała, już choćby dlatego, że nienawidził tego miejsca, nienawidził pustyni od pierwszej chwili (choć jego żona ją uwielbiała). Tannis po prostu nie mógł go sobie wyobrazić tutaj, w motelu, z autem zaparkowanym na zewnątrz, przysłuchującego się powiewom wiatru. Czuł się tutaj tak źle. Taki był spięty. Zamknięty w sobie. Nieswój. Nie, to nie mógł być Harper.

Oczyszczało to trochę przedpole, eliminowało możliwość jakiegoś „kuglarskiego” rozwiązania. Teraz więc zaczynała się prawdziwa praca. Pozwolił myśli szybować, pofrunąć w świat odległy o ponad dwadzieścia lat, przypominał sobie stare fiszki, dawne twarze, na pół zapomniane głosy. Zaczął notować na kartce wszystkie nazwiska, tak jak przyływały, i nawet jeśli jakieś pojawiało się częściej od innych, nawet jeśli jakaś kandydatura wydawała się bardziej prawdopodobna niż reszta, nie zakłócało to w niczym profesjonalnej systematyczności. Prześledził wszystkie wydziały bazy, a zwłaszcza Mike Lab – Michelson Laboratory – gdzie pracował Harper. Nakreślił szkicowy schemat organizacyjny Programu Sidewinder, a potem zaczął go wypełniać: kod 352, Główny Inżynier Projektu; 3525, produkcja i kontrola jakości; 3527, aerodynamika, napęd, odpalanie; 3529, badania nad wykrywaczami, zapalniki, głowice. Harper musiał znać ludzi ze wszystkich tych działów; pod wieczór, gdy Tannis zrobił sobie przerwę (butelka corony, pół papai, limona), na biurku leżał już spory plik notatek. Niemal bez wyjątku byli to sami naukowcy i technicy. Jeśli chodzi o wiek, to najmłodszy przekroczył już czterdziestkę. Większość powinna być już na emeryturze, a mieszkać mogli gdziekolwiek, od Florydy po Kostarykę. Stern, na przykład, znalazł się w San Miguel d'Allende. Tak, to pamiętał. W istocie długo się zastanawiał nad Sternem. Zajmował się instrumentami, sporządzał cudeńka, które mierzyły mikrowolty na wysokości trzydziestu tysięcy stóp i przesyłały informacje o najdrobniejszym drgnięciu strzałki. Był geniuszem pomysłowości, złotą rączką, a jego hobby, o czym wszyscy wiedzieli, stanowiły zegarki. Zawsze z pochyloną głową i lupą w oku. Ilekroć Tannis usiłował sobie przypomnieć jego twarz, powracał obraz owej nachylonej głowy; absolutne skupienie, bo-

cian czyhający na zabę. Ponieważ Stern mierzył wszystko, wiedział też o wszystkim. Był pierwszym podejrzanym, na dodatek z pewnością mówił po niemiecku. Ale to nie mógł być Stern, gdyż Stern nie żył, umarł tam, w Meksyku, co do tego Tannis nie miał żadnych wątpliwości. Oczywiście, w Meksyku wszystko można sobie zorganizować, ale wtedy dokładnie sprawdził, dobrze to pamiętał. Stern był jedną z tych osób, które miał na oku, i wszystko wydawało się w porządku. Niemniej trzeba się było upewnić, sprawdzić raz jeszcze, a wiedział, jak to zrobić. Stern był bardzo skrupulatny, jeśli chodzi o pieniądze. Nie skąpy, ale właśnie skrupulatny. Tannis zrobił więc miłą przejażdżkę szosą 395d do Mojave i z budki telefonicznej zadzwonił do starego znajomego, który pracował w Płacach i Rentach. Powiedział, że chce go prosić o przysługę. Pragnął odszukać paru chłopaków z dawnych, dobrych czasów, potrzebował ich adresów. Podał nazwiska: Stern, Pritchard, Jackson, Kowalchuk. Pritcharda dodał dla niepoznaki, ale Kowalchuk także figurował na jego liście. Ekspert od projektowania siatek celowniczych, wyzwalaczy wibracyjnych, sylwetek celów, pola rażenia. Okazało się, że mieszka w San Diego. O Jacksonie nie mieli żadnych informacji. Emeryturę Sterna natomiast przestali wypłacać dziesięć lat temu. „Zmarł w Meksyku, żadnej wdowiej renty”. Tannis znał Sterna, gdyby żył, w ten czy inny sposób zadbałby o forszę.

Tak więc wykreślił Sterna z listy, a później, nad kawą, ciągle w Mojave, starannie przejrział pozostałe nazwiska. Wszyscy byli Amerykanami. Wszyscy mówili po niemiecku; to ich łączyło, niezależnie od faktu, iż znali Harpera, a przynajmniej mogli go znać. Uznał jednakże, że najlepszym kryterium eliminacji była właśnie sprawność językowa. Wszyscy byli naukowcami, i podobnie jak Tannis, ludźmi starszymi od Harpera. Należeli do pokolenia, dla którego niemiecki był językiem fizyki i matematyki, musieli więc go znać choćby trochę. On szukał jednak czegoś więcej, płynnej niemczyzny, co sprawiło, że lista zaczęła się kurczyć. Poza tym była jeszcze jedna sprawa: musieli mieszkać w tej okolicy. Buhler miał tutaj najwyraźniej jakiś interes. Wrócił przeto do telefonu i zaczął nękać wszystkie biura informacji we wszystkich miastach i okręgach: od Los Angeles przez Bakersfield po Bishop. Stracił na to więcej niż godzinę i doprowadził do rozpaczy kilka telefonistek, w efekcie jednak pozostało

mu już tylko pięć nazwisk: pięciu ludzi, którzy mogli znać Harpera, mówili po niemiecku i ciągle mieszkali w tej części pustyni.

Następny krok był prosty. Zadzwoił do każdego z nich po kolei, za każdym razem zwracając się do osoby odbierającej telefon po niemiecku. Z czterech pierwszych tylko dwóm udało się wykrztusić odpowiedź; jedną był syn człowieka, o którego mu chodziło, a który, ciężko chory, nie opuszczał obecnie łóżka. Pozostał więc tylko ostatni kandydat, najbardziej „podejrzany” po Sternie, którego z tej właśnie przyczyny zostawił sobie na ostatek: Kenneth Helmsley. Znakomity chemik, zaprzyjaźniony z Harperem, co, kiedy Tannis przypominał sobie teraz szczegóły, świadczyło też o klasie Harpera. Pomimo bowiem młodego wieku i choć nie był Amerykaninem, Harper należał do Grupy Roboczej Podstaw Podczerwieni (Working Group on Infrared Backgrounds), ekskluzywnego komitetu założonego dla potrzeb studiów nad militarnymi zastosowaniami podczerwieni. Do grupy tej należało tylko dwóch naukowców z China Lake, drugim był Helmsley. Mówił biegle po niemiecku, gdyż studiował w Niemczech; brał udział w pierwszych pracach nad podczerwienią, które prowadzono tam po pierwszej wojnie, co, pomyślał Tannis, czyniło go tym bardziej interesującą postacią. Studiował na uniwersytecie we Frankfurcie pod kierunkiem profesora Czerny'ego, którego prace zostały w latach czterdziestych wykorzystane w Jenie u Zeissa. Grupa tamtejszych naukowców skonstruowała urządzenie pracujące na podczerwieni. Urządzenie to, nazwane Kiel IV, zamontowane w myśliwcach, pozwalało im wykrywać w nocy nieprzyjacielskie bombowce. Istniało zatem pewne prawdopodobieństwo, że zetknął się z Buhlerem. Jena leżała we wschodnich Niemczech, większość kompleksu Zeissa Rosjanie zdemontowali i wywieźli do ZSRR. Co więcej, jak Tannis stwierdził podczas swej misji w Niemczech, większość prac nad promieniowaniem podczerwonym prowadzono w centralnej i wschodniej części kraju, które zostały zajęte przez Sowietów. Bez względu jednak na to czy Helmsley miał jakieś kontakty z Buhlerem, czy też nie, związek między Helmsleyem i Harperem istniał na pewno. Znali się z a n i m ten ostatni przybył do China Lake. A co najbardziej intrygujące: Helmsley ciągle mieszkał w Ridgecrest. Dzwoniąc do niego Tannis miał więc pewną nadzieję, że być może... ale po pięciu minu-

tach rozmowy (niemiecki Helmsleya, choć kulawy, dawał się zrozumieć) był już pewien, że Buhler nigdy z nim nie rozmawiał.

Zrobiło się już późno: na tyle późno, że powinien uznać, iż utracił swoją przewagę, dostatecznie późno, by wrócić do domu. Nie czuł się jednak rozczarowany i nadal jednego był pewien: Buhler przybył do China Lake, aby spotkać się z kimś, kto dobrze zna niemiecki; za to dałby głowę.

Następnego ranka, choć nie zrezygnował jeszcze do końca ze swej listy, postanowił podejść do całej sprawy od innej strony: zamiast wychodząc od Harpera i bazy, szukać w Panamint, odwrotnie, zacząć od osób mieszkających w okolicy i wyłowić te, których nazwiska miały niemieckie brzmienie. Aby trochę ograniczyć zakres poszukiwań, przyjął, iż miejsce śmierci Buhlera nie było przypadkowe, że morderca mieszkał więc gdzieś w Panamint Valley, przy drodze przechodzącej przez Trona, co wskazywało na południowo-wschodnią część hrabstwa Inyo. Wiedział, że jest to dosyć problematyczne założenie. Był całkowicie pewien, że droga dostawcza została wybrana na miejsce spotkania ze względu na bliskość radaru, który utrudniał wszelką obserwację elektroniczną. Niewykluczone więc było, iż morderca, tajemniczy rozmówca, mieszkał naprawdę zupełnie gdzie indziej. Pomiął jednak tę kwestię, z uwagi bowiem na osobliwość układu administracyjnego wygodniej mu było skupić się na hrabstwie Inyo. China Lake znalazło się przypadkowo na przecięciu granic trzech hrabstw. Ridgecrest i większość osiedli mieszkalnych pracowników bazy należało do hrabstwa Kern, które sięga aż po Bakersfield i ma około pół miliona mieszkańców, tak więc jednej osobie trudno byłoby przekopać się przez odpowiednie rejestry. Jeszcze gorzej wyglądała sytuacja, jeśli chodzi o Trona, miejscowość położoną najbliżej miejsca morderstwa, gdyż ta wchodziła w skład hrabstwa San Bernardino, które w kierunku południowym ciągnęło się aż do obrzeży Los Angeles. Dlatego Tannis wybrał hrabstwo Inyo: chociaż zajmowało ogromną powierzchnię – poprzez Dolinę Śmierci do granicy z Nevada, na północ od parku narodowego Yosemite – liczyło tylko dwieście tysięcy mieszkańców. Tak czy inaczej, w piątek wczesnym rankiem pojechał autostradą 395 do Independence, siedziby władz okręgu, odległego o sto mil, i dotarł tam około dziewiętej. Obłożony sprawozdaniami podatkowymi, spisami wyborców i

książkami telefonicznymi zaczął sporządzać listę wszystkich osób, których nazwiska brzmiały z niemiecka i które mieszkały w części hrabstwa należącej do Panamint. Koło południa, gdy dotarł do numeru dziewięć, zapaliło się światelko.

Vogel, Karl Rudolph.

Powtarzał te dźwięki, wymawiał nazwisko po angielsku i niemiecku... i czuł, że coś w tym jest. Nie dokładnie *viejo amigo*, nic, co natychmiast tłumaczyłoby telefon, ale z pewnością – coś. I wtedy spadło to na niego, asocjacja, której najmniej by się spodziewał: – k o n i e . Ten sam obraz, który przyplłynął tydzień temu podczas rozmowy. Droga do San Diego, spojrzenie w bok i wyprostowana kobieta, galopująca w koło wewnątrz białego corralu, z kapeluszem podskakującym na szyi.

„O Boże, muszę wyglądać jak Dale Evans!”

Tak. To było to. Żona Harpera, Angielka, należąca do klasy średniej, a więc umiejąca odróżnić tył konia od przodu, uwielbiała jeździć, a podczas pobytu w China Lake wypożyczała wierzchowce od faceta nazwiskiem Vogel. Tannis wybrał się z nią kiedyś na przejażdżkę, pamiętał, jak opowiadała o miejscu, skąd bierze konie. „Gospodarstwo”, tak to określała, licha farma należąca do jakiegoś wdowca. Opiekował się małą dziewczynką, smutna sytuacja rodzinna. Nie mógł jednak przypomnieć sobie, czy Vogel rzeczywiście mówił po niemiecku, nie mógł sobie przypomnieć jego samego, pamiętał jedynie, że jakoś się to wiązało z Dianą Harper. Czy sam Harper jeździł konno? Tannis zastanawiał się przez chwilę. Nie był tego pewien, ale wydawało mu się, że nie. A była to jedyna okazja, przy której mógł się zetknąć z Voglem, ten bowiem z pewnością nie pracował w bazie i nie mógł znać żadnego z naukowców, ani Sterna, ani Helmsleya. Jediną łączącą ich nitką była przeto żona Harpera i konie. Ale i to nie było pewne. Kryła się tu jakaś zagadka, której nie potrafił rozwiązać. Ranczo Vogela i teren, gdzie jeździła Diana Harper, wszystko to znajdowało się w Indian Wells Valley, na południowy wschód od bazy, natomiast ów Vogel z dokumentu, który miał przed oczyma, płacił podatek za teren w Panamint, dwadzieścia czy trzydzieści mil na północny zachód, a z papierów wynikało, że nabył swoją posiadłość przed dwoma laty. Albo więc się przeniósł, albo chodziło o dwie różne osoby.

W gruncie rzeczy Tannis nie bardzo w to wierzył. Na wiele pytań nie umiał odpowiedzieć – skoro on nie znał Vogla, jak się to stało, że tamten znał jego? – ale stanowczo za dużo było tu istotnych elementów. Harper, konie, Vogel – zbyt wiele jak na czysty zbieg okoliczności. Gdyby jednak rzeczywiście okazało się, że ci dwaj Voglowie to jedna i ta sama osoba, wtedy z całą pewnością morderca Buhlera byłby odnaleziony. I dlatego należało koniecznie rozproszyć wszelkie wątpliwości w tej kwestii. Musiał sprawdzić. A ponieważ Indian Wells Valley leżała w hrabstwie Kern, musiał się więc udać do odległego o sto pięćdziesiąt mil Bakersfield, siedziby władz okręgu. Nie wahał się jednak ani chwili. Nabral benzyny, kupił cztery batoniki KitKat i wyruszył w drogę. Około trzeciej dotarł na miejsce. Po drodze odtworzył w pamięci położenie rancza Vogla czy, mówiąc ściślej, rancza, gdzie Diana Harper wynajmowała konie, na tyle dokładnie, że udało mu się je odnaleźć w księdze notarialnej. Musiała to być ta sama osoba. W obu wypadkach Karl Rudolph Vogel. Ten sam człowiek... choć kryła się w tym jakaś zagadka. Zgodnie z zapisami, Vogel nie płacił podatków za działkę w Kern County od roku 1960 i od tego czasu narósł już pokaźny dług hipoteczny. Należało więc sądzić, że porzucił ranczo, w ogóle wyjechał stąd, by powrócić po wielu latach i kupić ziemię w innym miejscu. Co się wydarzyło? Dlaczego wyjechał i dlaczego powrócił? Dlaczego kupił nową posiadłość, skoro, po spłaceniu zaległych podatków, mógłby się osiedlić w starej? Choć jednak były to niewątpliwie interesujące pytania, ich ciężar gatunkowy zależał od odpowiedzi na pytanie podstawowe: czy Vogel mówi po niemiecku? Mógł to sprawdzić w dość prosty sposób. Zadzwoił z budki telefonicznej. Odebrała kobieta. Silny głos brzmiał stanowczo, miała czysty amerykański akcent. Tannis wahał się przez chwilę już chciał odłożyć słuchawkę lub odezwać się po angielsku, jednakże w końcu zaryzykował:

- *Ja, ich möchte Karl Vogel sprechen.*
- Eeee... Niestety... *Er ist in diesem Augenblicke nicht da...* Przepraszam, ale mój niemiecki... W każdym razie ojca nie ma w domu.
- Rozumiem. No cóż, trudno. Czy wie pani może, kiedy wróci?
- Przykro mi, ale nie umiem powiedzieć. Jest w Los Angeles. Czy mógłby pan zostawić swoje nazwisko?

– Nie, nie, panno Vogel, i tak mu ono nic nie powie. Ale zadzwonię jeszcze raz. Dziękuję.

Nacisnął widelki i wciąż jeszcze, trzymając słuchawkę w dłoni, odechnął głęboko. Dziewczyna nie mówiła może najlepiej po niemiecku, lecz wcale się nie zdziwiła, kiedy zapytał o ojca w tym języku. Teraz był niemal pewien. Znalazł. To Vogel był człowiekiem, którego szukał Buhler i którego odnalazł po to, by umrzeć.

Dochodziła czwarta po południu. Zupełnie odpowiednia pora, by się czegoś napić, skoro rozwiązało się sprawę morderstwa. Poczul nagle zmęczenie. Ostatnie dni mocno go wyczerpały, a dziś od rana przejechał już dwieście pięćdziesiąt mil, może więcej. Ale nawet przez chwilę nie pomyślał o tym, żeby przerwać tę grę (hazardzista – przeleciało mu przez głowę – za nic w świecie nie odejdzie od stołu, kiedy zaczynają padać jego numery). Z Bakersfield pojechał do Ridgecrest, gdzie uzupełnił zapas benzyny i kupił kilkanaście puszek coli. Po chwili znowu był w drodze. Jedno posunięcie prowadziło do następnego, fascynowała go ta logika problemu. Ridgecrest Boulevard. Droga do Trony. Po lewej stronie, za ogrodzeniem, China Lake mrugało światłkami, płaskie, wyschnięte, bladobrazowe, ze spoglądającym na nie Lone Butte, purpurowym zboczem, które zwieńczone było kredowymi skałami, znakami ostrzegawczymi dla samolotów. L o g i k a problemu. Jak mapa i jej legenda. Odkrył ją. Buhler – Harper – Vogel. Znalazł powiązanie. Kiedy rozparł się teraz w fotelu i zapalił lucky strike'a, poczul znajome uczucie. Wszystko powiększało się, wyostrzało, zmieniały się proporcje i odsłaniała struktura całości. Wszystko uzyskiwało odpowiednie znaczenie. Przesłanki były oczywiste. *Skoro, to...* Tak, właśnie dzięki owym przesłankom dane zaczęły się układać, selekcjonować. Wszystko coś znaczyło, od Buhlera, przekraczającego Checkpoint Charlie, do Diany Harper na koniu; od Trzeciej Dywizji Pancerniej zajmującej Nordhausen, przez pokaz na lotnisku Tuszyno, aż do: *Nie znał ani słowa* po angielsku. W chaosie nagle zajaśniało znaczenie tego faktu, jak błyska okruczeństwa w piasku. Ale tylko on dostrzegł ten błysk. To był jego sekret. I kiedy teraz przez Salt Wells Valley i Poison Canyon wspinał się na szczyt grani górującej nad Trona, cały świat wydawał mu się jego własną tajemnicą. On sam był także tajemnicą. Żelazne wieże, ponad

fabrykami, nie kończące się taśmy transporterów, sterty popiołu, wykopy na odpadki – tylko on widział to wszystko, całą tę dolinę. Tylko on i Bóg, jeśli istniał jakiś Bóg, jeśli nie, on, Tannis, był prawdziwie niewidzialny. On jeden znajdował się wśród tej ogromnej przestrzeni i tylko on ją znał, gdziekolwiek więc skierował wzrok, spoglądał w lustro, doskonale odbijające jego oblicze. Wiedział wszystko, co należało wiedzieć. Wszystko stawało się teraz nieuchronnym losem. Oczy Tannisa wędrowały wzdłuż szosy, jakby w poszukiwaniu śladów kopyt końskich i jakby odnalezienie związku między ciałem Buhlera a nazwiskiem Vogla było po prostu dalszym ciągiem tropienia, które rozpoczął tam w parowie. I nagle jego brwi leciutko drgnęły. Na pustyni niektóre szczegóły wyraźniej widać z daleka, podobnie jak fundamenty prastarych budowli dostrzega się dopiero ze znacznej wysokości. Tak było z drogą Vogla. Widział ją doskonale, gdy sam znajdował się w odległości pół mili od niej, regularną białą linię biegnącą na północny zachód, po płaskiej piaszczystej powierzchni. Lecz kiedy już dotarł do niej, niemal się rozplynęła. Żadnego znaku, skrzynki lia listy, żadnej wskazówki, że biegnie tędy w ogóle jakiś trakt. Ale na poboczu szosy dostrzegł ciemne ślady w miejscu, gdzie ktoś zjechał w bok, więc i on zrobił to samo.

Z początku nic nie potwierdzało słuszności tej decyzji, pikap podskakiwał co chwila gwałtownie na nierównościach. Tannis zaczął już niemal podejrzewać, że się pomylił, że nie ma tu żadnej drogi, zarazem jednak czuł, wręcz wiedział, iż ją odnajdzie, odnajdzie na pewno. Po jakimś czasie dotarł do miejsca, gdzie widać było niewyraźne koleiny. Zerkając co chwila na licznik, jechał wciąż przed siebie. Czterysta jardów... pięćset... sześćset... Wydawało się, że dokoła są jedynie czarne skały, krzewy kreozotowe, solne opary, krajobraz niezmiennie ten sam. Ale w takiej monotonnej, jednobarwnej, hipnotyzującej przestrzeni w najmniejszym nawet zagłębieniu kryć się mogą niespodzianki. I nagle, kiedy już przejechał dokładnie milę, droga zaczęła się leciutko wspinać, po czym okrążyła dwa wielkie głązy i przed sobą, trochę w dole, w środku rozległego płytkiego zagłębienia dostrzegł podpartą kamieniami przyczepę samochodową. Wypolerowana przez wiatr i piasek połyskiwała w słońcu. Po obu stronach wystawały z okien końcówki klimatyzacji, na dachu sterczała zgięta ante-

na, a przed wąskimi drzwiami ustawione były stopnie z cementu. Dokoła leżały porozrzucane puszki po oleju, kawałki rur, stosy cegieł. Przypominało to teren opuszczonej fabryki, a przyczepa kojarzyła się z wagonem porzuconym na boczniczy. Zwolnił, potem zatrzymał wóz jakieś trzydzieści jardów od celu i czekał, aż opadnie ciągnący się za pikapem tuman kurzu i zupełnie ucichnie rozgrzany silnik. Nikt się nie pokazał. Po minucie naciśnął klakson. Żadnego odzewu. Ktoś jednak musiał być w środku, gdyż obok drzwi stał zaparkowany stary samochód (dopiero po chwili poznał, że to peugeot). Wysiadł bardzo powoli, nie wychylając się poza osłonę, którą stanowił pikap (Vogel wiedział, jak posługiwać się bronią). Rozmyślnie pozostawił za siedzeniem swego 30-30 marlina, którego zawsze woził ze sobą. Niech Vogel zgaduje, kto przyjechał; nie powinno się go płoszyć. Ale czy to była na pewno słuszna taktyka? Kiedy tak stał ze zmrużonymi oczyma i twarzą wystawioną na podmuchy suchego, gorącego wiatru, poczuł się nagle zupełnie odkryty, i właśnie zamierzał wrócić do samochodu, kiedy wreszcie ktoś się pojawił.

Mała dziewczynka.

Wypadła zza przyczepy i biegła przed siebie tak szybko, jak tylko mogła, z przygryzionym językiem i obiema rączkami rozrzuconymi na boki, jak gdyby starała się utrzymać równowagę. Biegła od strony domu, minęła Tannisa i była tak czymś zaaferowana, że w pierwszej chwili go nie zauważyła, lecz gdy już dostrzegła, stanęła jak wryta. Przyglądała mu się przez moment, potem odwróciła głowę i zawołała: – Mamo! – Popatrzyła znów na niego i raz jeszcze krzyknęła: – Mamo! – głosem, w którym dźwięczał ton ponaglenia raczej niż lęku. Ponownie spojrzała na niego i oznajmiła zupełnie spokojnie:

– Musimy być ostrożni. Pod naszym domem jest grzechotnik.

Co dziwne, bardziej go zaskoczyła jej obecność niż informacja. Ilekroć stykał się z dziećmi, zawsze doznawał czegoś w rodzaju szoku, stanowiły aspekt życia, o którym na co dzień zupełnie zapominał albo go nie dostrzegał. Właśnie dlatego zawsze traktował je niezwykle poważnie, co one oczywiście natychmiast wyczuwały i co się im bardzo podobało. Teraz jednak, choć natychmiast uwierzył jej słowom, zawahał się; trudno było mu jakoś dopasować dziewczynkę do Harpera, Buhlera i Vogla, ona zaś

odebrała to jako powątpiewanie w to, co powiedziała. Podeszła bliżej i raczej surowym tonem powtórzyła:

– Słyszałeś? Musimy być ostrożni, bo wąż wpełzł pod nasz dom. – I natychmiast dodała: – Jak się nazywasz?

– Jack Wężojad.

Uśmiechnęła się, a Tannis zapytał:

– Ten wąż... po której jest stronie?

– Chyba na samym środku.

– Nie ukąsił cię?

– Pewnie, że nie. Jakby mnie ugryzł, tobym płakała, głuptasie. Był to argument nie do odparcia. Tannis odwrócił się i wpatrzył w mroczny pas cienia pod przyczepą. W upalne dnie w takich właśnie miejscach chronią się węże. Nie mógł nic dojrzeć, a kiedy odwrócił się do dziewczynki, pojawił się ktoś następny, kto biegł – kobieta, mocno zdyszana, z krwawym śladem zadrapania na policzku. Wyglądało na to, że podobnie jak dziewczynka ucieka z przyczepy. Ona także zatrzymała się na widok Tannisa. Trwoga i piękno – to było to, co w niej dostrzegł natychmiast w tej pierwszej chwili i co wywarło na nim niezwykle silne wrażenie. Krótkie ciemne włosy, nieco potargane, pociągła brązowa twarz, ogromne, ciemne, przepelnione łękiem oczy.

Była na tyle daleko, że musiał podnieść trochę głos, ale jego okrzyk zabrzmiał spokojnie:

– Gdzie popełznał?

Pochylona do przodu, z rękami opartymi o kolana, oddychała ciężko. Wreszcie podniosła głowę i powiedziała z trudem:

– Pod domek.

– Jak właściwie wyglądał?

– Bładożółty... – głos jej drżał, rozpoznał go bez trudu; głęboki głos kobiety, która odbierała telefon i powiedziała, że jest córką Vogla. – Na grzbiecie miał brązowe plamki i...

– Rozumiem. – Prawie na pewno był to grzechotnik. – Niech pani chwilę poczeka, pokaże mi pani to miejsce. W samochodzie mam broń.

Zaprotestowała zaskakująco gwałtownie:

– Nie, nie trzeba. Już w porządku. Jak się ściemni, on sobie pójdzie.

W nocy... wszystko będzie dobrze.

Spojrzał na nią. Była przestraszona, przed chwilą zobaczyła węża; w tej sytuacji nie należało może przykładać nadmiernej wagi do jej słów. To, co usłyszał, zdziwiło go tak bardzo, że wpatrzył się uważnie w jej twarz i dostrzegł w tych ciemnych oczach coś dziwnego, jakby niezamierzone wyznanie. Wyobraził sobie ową *noc*, kiedy *wszystko będzie* dobrze: leży w ciemnościach na swym posłaniu wsłuchana w ciszę, podczas gdy wąż przesuwa się gdzieś pod nią. Ile takich bezsennych nocy miała już za sobą? Z pewnością niejedną, pomyślał. A ona – to była pierwsza nić czegoś, co się nawiązało pomiędzy nimi obojgiem – odgadła jego myśli, wiedział, że odgadła, bo ująwszy dziewczynkę za rękę, odwróciła się znowu ku niemu i westchnęła:

– Przepraszam, nie wiem... O Boże, nie wiem...

Tannis uśmiechnął się. Była kobietą. W przeciwieństwie do dzieci, kobiety stanowiły aspekt życia, o którym nigdy nie zapominał.

– Niech się pani uspokoi. To zaraz minie. Każdy by się wystraszył. Zwykle nie widuje się ich w środku dnia.

Łapiąc z wysiłkiem oddech, próbowała się uśmiechnąć.

– Tak właśnie pomyślałam.

– Coś go pewnie wystraszyło: może jastrzęb, a może wąż królewski; pewnie pani nie wie, że one polują na grzechotniki.

Znowu się uśmiechnął. Mimo woli zbliżył się do niej, znalazł się nagle tuż obok, dostatecznie blisko, by poczuć, że używała perfum, miały lekkie, jakiś kwiatowy aromat; wydały mu się sztucznym, niestosownym akcentem, ubrana była jednak z elegancką prostotą: biała koszula z podwiniętymi rękawami, wyblakłe niebieskie dżinsy, wpuszczone w brązowe, wysoko sznurowane buty. Cofnęła się odrobinę, przesunęła palcami po włosach i odchyliła głowę do tyłu, a wtedy na jej szyi błysnęło jakieś srebro, coś, co wyglądało na wyrób Indian Navajo. Przemknęło mu przez głowę, że może istotnie jest Indianką, miała dostatecznie ciemną karnację. Tak czy inaczej, z pewnością nie pochodziła stąd, niełatwo byłoby jednak zgadnąć, skąd tu przybyła. Z Meksyku? Niewykluczone, to był ten odcień skóry, a Vogel mówił jak Meksykanin, przyjmując oczywiście, że to on dzwonił. Z drugiej strony... Tannis zaczął zastanawiać się nad tą kwestią, ale po chwi-

li przerwał swe rozważania. Jakie właściwie miała dla niego znaczenie ta kobieta? Żadnego. Problem jednak polegał na tym, że w końcu odnalazł sens w chaosie zdarzeń i teraz wszystko miało znaczenie. Wszystko, dokładnie wszystko było pełne treści. Ta dziwna para także. Co jednak mogło ich łączyć? Kobieta była o połowę od niego młodsza. Kiedy Harper przebywał w tej okolicy, musiała być dzieckiem, takim jak teraz jej córka. Zaczął analizować ten wątek, ale wtedy ona, odsapnąwszy i uspokoiwszy oddech, uśmiechnęła się do niego.

- Przepraszam. Nie zapamiętałam, jak się pan nazywa.
- Jack – odparł, odwzajemniając uśmiech. – Jack Tannis.

Kiwnęła głową.

- Marianna Vogel.
- Przyjechałem, żeby zobaczyć się z pani ojcem.
- To pan dzwonił, prawda? Dziś po południu?

Przytaknął.

– Skoro już byłem w Ridgecrest, pomyślałem sobie, że zajrzę. Dawno nie widzieliśmy się z pani ojcem, ale ma działkę w hrabstwie Kern, którą chciałbym kupić.

- Ojciec nie ma żadnej działki w Kern.

Tannis przekrzywił głowę.,

– Nie? Powiedzmy raczej, że wkrótce może jej nie mieć, bo hrabstwo zamierza ją przejąć. – Wyjął z kieszeni fotokopię aktu własności i podał dziewczynie. Spojrzała ze zdziwieniem, on zaś mówił dalej, starając się nie dać jej czasu na wątpliwości czy pytania. – Jeśli chodzi o węża, ma pani chyba rację, kiedy się ochłodzi, powinien się stąd wynieść. Tylko że to nie jest zupełnie pewne. Nie sposób przewidzieć, co zrobi. A gdyby taki wąż ukąsił pani córkę... to prawdopodobnie...

W tym momencie oboje spojrzeli w stronę dziewczynki. Odeszła na bok i kucnąwszy w piasku, bawiła się dwiema małymi plastikowymi figurkami. Mówiła do nich cicho, poufałym tonem. Debbie, jedna z figurek, wybierała się do Buffalo. Musi napisać przed powrotem, William będzie na nią czekał na dworcu autobusowym. Słuchając tego dialogu Tannis zorientował się, że dziewczynka ma na imię Ania i że wcale nie jest przestraszona. To może dlatego, pomyślał, że matka wchłonęła w siebie całą

trwożę.

– Rozejrzę się – powiedział. – Niech pani zostanie tutaj z nią. Albo może lepiej niech mała się bawi za moim samochodem.

Marianna skinęła głową, spojrzała na niego... po czym odwróciła się wciąż trzymając w dłoni fotokopię, małej prezent od Tannisa, sekret ojca... ale on już z karabinem w rękę szedł ku przyczepie.

Nie szarżował. Dwukrotnie obszedł domek dookoła. Jeśli jednak wąż tu był, zaszył się gdzieś pod podłogą. Tannis zajrzał tam ostrożnie, ale dostrzegł tylko deski, połamane narzędzia, druty od różna, jakiś przewód elektryczny. Ani śladu węża. Przeszedł na drugą stronę, tu jednak rozgardiasz był jeszcze większy: popękane cegły, deszczułki, zwoje drutu, puszelka po oleju pełna śmieci, nawet zaskorupiała, stara betoniarka. Zobaczył także pięć starych opon i dwukilowatowy generator Yamaha – przewód biegł do okienka kuchennego – obok napełnionego do połowy zbiornika na benzynę. Podtoczył dwie opony do rogu przyczepy, ułożył je obok siebie, a następnie polał benzyną i podpalił. Z początku nie było widać żadnych skutków – tylko fala gorąca i drganie powietrza wskazywały na to, że guma płonie, ale po chwili opony zaczęły się kopać. Wiatr był odpowiedni, nie za mocny, ale wiał nieprzerwanie, i po chwili kłęby czarnego dymu popłynęły pod podłogę.

Wrócił na frontową stronę.

Czuł, że Marianna i dziewczynka obserwują go zza pikapa, nie odwracał jednak oczu od cienia od przyczepą. Czuł zapach płonącej gumy, potem ukazała się wstęga szarego, tłustego dymu; w pięć minut później wyłonił się wąż. Wypelzając spod drzwi wejściowych, zastygł nagle na drugim schodku, niczym dziwaczna szczelina w cemencie. Jak mówiła kobieta, miał bladożółtą, piaskową barwę, wzdłuż jego grzbietu biegł rząd ciemniejszych plamek. Tannis ocenił długość węża na cztery stopy: duży grzechotnik, wiele było takich na Mojave. Wolno przesuwiał się po schodkach, zaczął się z nich opuszczać, na chwilę zawahał się – wibrujący czarny język badał najbliższe otoczenie – wreszcie ześliznął się na ziemię.

Tannis przyglądał mu się uważnie.

Czuł, że kobieta także obserwuje węża.

Miał ochotę odwrócić się i pochwycić jej spojrzenie, ale spędził dosta-

teczenie wiele czasu na pustyni, by wiedzieć, że nie może pozwolić sobie na spuszczenie oka z grzechotnika. Zaczął okrążyć go powoli, aby ewentualny rykoszet nie poszybował w kierunku matki i córki. Wąż wił się teraz w piasku, sunąc nieco szybciej. Tannis pochylony do przodu wpatrywał się w gada, na karku czuł promienie słońca, w kąciakach oczu piekące kropelki potu. Ruszył w ślad za węzem, nie chcąc dopuścić do tego, by oddalił się spokojnie i nadal czyhał gdzieś w pobliżu. Kiedy grzechotnik minął peugeota, Tannis, bojąc się, że się mu skryje pod autem, zrobił cztery szybkie kroki, chcąc go zatrzymać. Ze zdumiewającą prędkością wąż odwrócił się i zwinął w kłębek. Dzieliło go jakieś piętnaście stóp od Tannisa. Ten podniósł i odbezpieczył karabin. Wtedy delikatnie, bezszelestnie wąż uniósł głowę, czujny, ostrożny. W tym momencie w pamięci Tannisa odżyło nagle wspomnienie: Harper z żoną i on szli kiedyś razem o zmierzchu (jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy wybrali się gdzieś całą trójką) i nagle dostrzegli węża pełznącego w ich kierunku po falistym piachu. Diana odwróciła się w popłochu, szukając schronienia w ramionach Harpera (jak bohaterka banalnego filmu, żartowała później sama z siebie, jedyny raz, kiedy widział ją w objęciach męża), a ten zaczął jej spokojnie tłumaczyć – tak, dosłownie słyszał jego głos, lecz nadal nie potrafił odtworzyć obrazu młodej twarzy – że węże to pierwsze na świecie detektory podczerwieni. Są zimnokrwiste, jakby półżywe, podczas gdy my płoniemy jak rozżarzone węgle, jak małe słońca, gdy więc nasze ciepło dociera do czujników umieszczonych pod ich oczyma, natychmiast wiedzą, gdzie jesteśmy. Wystarczy żeby nasza temperatura różniła się tylko o jedną trzecią stopnia od temperatury otoczenia, wąż już wie. Teraz ten grzechotnik też z pewnością w i e d z i a ł. Wpatrzony w niego ślepiami bez powiek, z ogonem lekko uniesionym, choć nie wydając jeszcze żadnego dźwięku, wielka spiczasta głowa mierząca dokładnie między oczy Tannisa. I znów, co to miało oznaczać? *Ponieważ wszystko teraz musiało coś znaczyć.* Nacisnął spust, a głowa grzechotnika rozprysła się w różowej chmurze. I było już po wszystkim. Kiedy powróciło do niego echo wystrzału, opuścił karabin. Odwrócił się do kobiety. Miała zbielełą twarz, usta zakryła dłonią, gdy tymczasem dziewczynka patrzyła spokojnie, jak ogon węża opada i nieruchomieje. Podeszedł do gada, ciągnąc za sobą

chmurkę kurzu. Wyczuł na sobie spojrzenie Marianny. Bała się węża. On zabił węża. Teraz bała się jego. Wiedział dokładnie, jakim torem biegną jej myśli. Czuł, że stał się częścią tego, co budziło jej trwogę. Nie obejrzał się jednak. Podniósł grzechotnika za ogon, obszedł przyczepę – martwy gad gruby i ciężki zwisał bezwładnie – i cisnął go do beczki na odpadki. Przykrył śmieciami, by ptaki nie rozdziobywały ścierwa, potem odtoczył od domku płonące opony i zasypał je dokładnie piaskiem. Zabrało mu to chyba z dziesięć minut, a kiedy wrócił, dziewczyny z dzieckiem już nie było.

Drzwi były zamknięte, mógłby się założyć, że na klucz.

Ruszył w ich kierunku, ale po chwili stanął. Coś go powstrzymało, jakieś szczególne napięcie. Rozejrzał się; od zachodu, daleko na horyzoncie, widać było czarne, poszarpane szczyty Argus Range, ale bliższe tereny zasłaniała całkowicie krawędź piaszczystej niecki. Wiatr zamarł. Nic się nie poruszało. Od przyczepy nie dochodził żaden dźwięk, nic nie świadczyło o tym, że ktokolwiek jest w środku. Ale oczywiście wiedział, że go obserwuje i przez moment niemal czuł dotknięcie jej wzroku. Wtedy przypomniał sobie coś w związku z Harperem: był specjalistą od „ciał czarnych”, doskonałych pochłaniaczy i emiterów promieni podczerwonych: przyciągały je ku sobie, a następnie odrzucały bez żadnych modyfikacji. To właśnie poczuł teraz: jakby miał do czynienia z tym zjawiskiem. Nie było wokół właściwie nic, poza tym miejscem, jedynym okruchem życia, który ściągał wszystko do siebie, a następnie odrzucał. Przyciągnięty został Vogel, potem Buhler, teraz on. Dlaczego? Kobieta znała odpowiedź. Kobieta, dziecko, nawet wąż, przez chwilę wszystko to stanowiło jądro tajemnicy. Spojrzał na drzwi. Ona wie. Ale oczywiście będzie kłamać, choć nie rozumiał dlaczego. Wiedział, zawsze wiedział, kiedy kobieta mówi „nie”, a myśli „tak”, kiedy ktoś licytuje bez karty. W tych kwestiach nigdy się nie mylił. Gdy więc podszedł do wejścia, a ona nie zareagowała, zastukał tak mocno, że zatrzęsała się framuga. Wtedy pojawiła się w drzwiach. „Kapałam właśnie Anię” – wyjaśniła. Ruszył po stopniach tak szybko i gwałtownie, że ledwie zdążyła usunąć mu się z drogi i w przejściu otarł się o nią. Stanął blisko Marianny, zbyt blisko jak na normalną sytuację, lecz – jak to sobie natychmiast uświadomił – nie odsunęła

się, by nie zdradzić w ten sposób czegoś, co chciała ukryć. Rozejrzał się wokoło. Na dworze wszystko zalane było jaskrawym blaskiem słońca, więc gdy znalazł się wewnątrz przyczepy, wydało mu się, że jest tu zupełnie ciemno, zmrużył oczy, ale i tak więcej słyszał, niż widział: szum wentylatora, szelest wstążki, krople lecące z kranu, warkot, którego nie potrafił umiejscowić. Stopniowo jednak oczy oswajały się z tą zmianą. Niska, ciemna jadalnia, z niej dwoje drzwi. W przejściu zasłona z koralików. Na prawo kuchnia.

- Ten wąż... Powinam podziękować...
- Nie musi pani, jeśli pani nie ma ochoty.

Stała oparta o drzwi do kuchni. Próbowała wzruszyć ramionami, ale nie bardzo jej to wyszło. Widział, że się boi. W końcu miał w ręku karabin, poza tym był postawnym mężczyzną, a we wnętrzu małej przyczepy wydawał się ogromny. Mógł ją uderzyć. Biciem mógł wydusić z niej prawdę, to takie proste. Uderzając otwartą dłońią. Tak, pomyślał, boi się, ale za nic nie chce się do tego przyznać; z jej zatem punktu widzenia sprawa polega na tym, by dać mu poznać prawdę, nie wypowiadając jej własnymi ustami, lub by zmusić go, by ją bił. Coś w rodzaju gry. *Komedyjka*. Uśmiechnął się znowu. Stojąc tak blisko, mógł poczuć jej ciepło. Cóż, przypominał pod tym względem węża. Rozejrzał się po ciemnej, chłodnej jadalni. Było rzeczą jasną, że zamierza obejrzeć przyczepę bez względu na to, czy jej się to podoba, czy nie, ale zarazem jej potrzeba zachowania pozorów normalności sytuacji była tak silna, że wręcz czuł, iż ma na końcu języka słowa „Proszę, niech pan wejdzie i usiądzie”. Ale oczywiście nie wypowiedziała ich, gdyż nie była pewna brzmienia swojego głosu; sprawy zaszły już w tej chwili za daleko. Zajrzał za zasłonę z koralików. Pokój dziewczynki. Opuszczane łóżko tuż przy ścianie, pod nim starannie otulone lalki, wyżej rozłożone sukienki. Na ścianie wyblakły plakat: „Żywa pustynia Walta Disneya”. Cofnął się, koraliki zachrząściły. Obok pokoiku dziecięcego znajdowała się mała wnęka, z jej drugiego końca dobiegał chłopot wody – Anna się kąpała. Pozostały już tylko jedne drzwi, otwarł je i zajrzał. Sypialnia, z dwoma łózkami i szafką między nimi. Pusta klatka: cela więzienna, klasztor, internat. Żadnych makatek. Żadnych obrazów. O tym, że ktoś tu mieszka, świadczyły jedynie

kobieca szczotka do włosów i lustro na ścianie, w którym dostrzegł odbicie przyglądającej mu się Marianny. Przeniósłszy wzrok na łóżka uśmiechnął się, tak by to zauważyła. Ale nic nie powiedział. Zamknął drzwi i odwrócił się. Cofnęła się w głąb jadalni, która miała trochę więcej wyrazu. Podłoga była pokryta paroma warstwami indiańskich kocy, kilka wisiało także na ścianach. Żadnych mebli, tylko poduszki i kolejne, zrolowane koce, do siedzenia. Mrok panujący tutaj sprawiał, że pokój przywodził na myśl namiot indiański lub beduiński. Czy to jest właśnie część prawdy, czy to możliwe, by była Indianką? Prawda o niej, dziewczynce i Voglu była znacznie prostsza. Jak Wykradziony List, który leżał rozłożony na wierzchu. W istocie, już go przeczytał. Z tyłu przyczepy dochodził śpiew Ani. Kiedy nastawił ucha kierując swą uwagę ku dziewczynce, dostrzegł niespokojny błysk w oczach kobiety.

I wreszcie przemówiła.

- Przykro mi, że nie zastał pan ojca w domu.
- Kiedy widziała go pani ostatni raz?
- Nie było mnie tu przez cały tydzień. Byłam w Loredo. Indianie...

Loredo... Rio Grande...

- Ale sądzi pani, że jest w Los Angeles?
- Zostawił kartkę.
- Jak pani sądzi, kiedy wróci?
- Niedługo.

Ta chwila rozmowy wystarczyła, by się nieco odprężyła, ale przecież dała się złapać. Przyglądał się jej z uwagą. Była piękna jak kształt, który pojawia się na chwilę w falującej wodzie czy w gąszczu paproci, miał wrażenie jakby właśnie tam, w wodzie lub paprociach się kryła, w jej oczach malował się strach. Czy zauważył...?

– Musiał kupić parę rzeczy – wyjaśniła. – Szuka w skałach. Chce znaleźć... – Wzruszyła ramionami.

– Ukryty skarb rozbójników?

Próbowała się uśmiechnąć.

– Coś w tym rodzaju. – Wyciągnęła z kieszonki w koszuli paczkę virginia slim i zapaliła jednego papierosa. – Ta działka, o której pan mówił...

Tak, zupełnie jak w zgadywance: zwierzę, roślina czy minerał. Dwa-
dzieścia pytań. Ciepło? Zimno? Zapalił lucky strike'a.

- Pamięta ją pani?
- Chyba nie. Ale wyjechaliśmy, kiedy byłam młodsza niż Ania. Mieszkaliśmy w Arizonie. A potem w Meksyku.
- Więc nic pani o niej nie wie?
- Nie.
- Czy pamięta pani, czy ojciec trzymał tam konie?
- Nie, raczej nie.
- A teraz ma jakieś konie?
- Nie. Żadnych.

Uśmiechnął się; oczywiście, kłamała. W beczce po oleju, do której ci-
snął węża, zauważył trzy czy cztery fiołki sulfametazyny, lekarstwa poda-
wanego koniom przy przeziębieniu lub zapaleniu płuc. Zaciągnął się pa-
pierosem. Wpatrywali się w siebie. Jakby próba, kto pierwszy mrugnie.
Wszystko coś znaczyło. Kobieta, dziewczynka, wąż. Wszystko było po-
wiązane z Buhlerem, Voglem, Harperem. Wszystko łączyło się ze sobą i
wszystko powracało z *przeszłości*. To najdziwniejszy aspekt całej tej hi-
storii, pomyślał. Buhler z obozu koncentracyjnego udał się do NRD, a
czterdzieści lat później przyjechał prosto tutaj. Vogel wyjechał z hrabstwa
Kern około roku 1960, a teraz znowu zjawił się tu, niecałe trzydzieści mil
dalej. Nie mógł też zapominać o sobie, obserwatorze, który stanowił istot-
ną część eksperymentu. Także i on powrócił. Co oznaczało to, że był teraz
tutaj, że zabił węża? Wąż, niby emblemat na herbie czy medalionie, wpla-
tał się jakby w urodę kobiety i w jej strach. Adam i Ewa. Wykradziony
List. Ten łańcuch skojarzeń doprowadził jego myśl do Monachium, dokąd
wysłano go tuż po zakończeniu wojny, by przesłuchał Żyda, więźnia Da-
chau, którego przez cały tydzień odwiedzał codziennie w szpitalu. Ten
człowiek umierał i lekarze nic na to nie mogli poradzić. Rozmowa, szcze-
gólnie z Amerykaninem, sprawiała mu jednak przyjemność. Prosił Tanni-
sa, by przyniósł trochę książek, przede wszystkim Jacka Londona. Był
jednak zbyt słaby, by utrzymać cokolwiek w rękach, prosił Tannisa, by
czytał mu tytuły opowiadań i nagłówki rozdziałów. „Prawo szlaku”, „Ser-
ce kobiety”, „Miłość życia”, „Zew głodu”, „Królestwo nienawiści”, „Go-

nitwa o numer trzeci”; twierdził, że tylko to utrzymuje go jeszcze przy życiu. Wróciwszy do terażniejszości, Tannis nieustannie krążył myślą wokół węża, pięknej kobiety, jej strachu. Ewa w Raju, ale nie, to właśnie nie tak. Kobieta nie była niewinna, o czym świadczyło choćby dziecko. A poza tym i tak wyczuwał to w niej. Ta kobieta z pewnością nie marnowała żadnej okazji. A niewinność była tylko kolejnym kłamstwem. Zawsze to wiemy, pomyślał. Teraz też to wiedział. A ona wiedziała, że on wie. Wszystko było jawne, tak jak Wykradziony List. Ona mogła wyczuć wszystko zupełnie tak samo jak on. To jego nabrzmiewające pożądanie, ten powolny, ciepły przyływ namiętności. Mógł ją teraz mieć. Położyć na plecach i posiąść. Teraz, zaraz. Mógł powlec ją do pokoju i wziąć na łóżku, nie krępując się obecnością dziecka, po drugiej stronie zasłony z korallików. Gdyby podszedł do niej teraz i położył rękę na ustach, nie krzyczałyby. Chciałyby tego. Długie, ciężkie spojrzenie. Ale wtedy, niespodziewanie, stukając głośno piętami o podłogę, wybiegła z łazienki dziewczynka i z piskiem wpadła między nich dwoje. Była zupełnie naga. Klaskała i śmiała się, co w jakiś przedziwny sposób przywróciło sytuacji normalność, jakby był sąsiadem, który na chwilę wpadł na pogawędkę.

– Aniu! Co ty wyprawiasz? Spójrz no tylko na siebie!

Dziewczynka zachichotała. „Zdjęłam ubranie. Zrobisz mi pranie. Jutro śniadanie. Chodź tu, kochanie”. Zaraz jednak spoważniała, przypomniawszy sobie o Tannisie. Marianna skarciwszy dziewczynkę lekkim klapssem, wzięła ją na ręce, a potem wszystko rozegrało się jakby na filmie puszczo-
nym w zwiększonym tempie: Tannis gasił papierosa, kobieta przesunęła się koło niego, Anna popiskiwała, ktoś otworzył drzwi. Wszystko odbyło się jednak po jego myśli. Jej inicjatywa była tylko pozorna, zdobył to, po co przyjechał... Teraz jednak musiał się wycofać, upewnić, że się nie myli i nie zwlekać ani sekundy, wiedział bowiem, iż nadal ma bardzo mało czasu. Zszedłszy ze schodków, odwrócił się i powiedział:

– Niech pani lepiej powie ojcu, że byłem. I proszę mu powiedzieć, że w piątek wieczorem rozmawiałem z Buhlerem. Z Buhlerem. Będzie wiedział, o kogo chodzi.

I odszedł, nie dodawszy już ani słowa. Wiedząc, że ona wie, że on wie. Teraz zacznij biec. Pobiegnie, zostawiając ślady. A on pójdzie jej tropem.

Rozdział 5

Tannis znalazł się w swoim żywiole.

Kobieta była przerażona, nawet bardzo przerażona, a on wyczuwał strach, ten tajemniczy pierwotny instynkt, tak jak kompas wyczuwa północ. Natura obdarzyła go szczególną wrażliwością pod tym względem. Dla Tannisa strach był wielką magią, której wszystkie zasady i sztuczki zdążył już poznać.

Miał ten dar, jakkolwiek go nazwać: talentem, szczęściem czy geniuszem. Jego umysł potrafił *dokonywać skoków*. Umiał myśleć o rzeczach, które innym nie przychodziły do głowy. Kiedyś, siedząc na plaży w Santa Monica (studiował jeszcze na CalTech, mogło to być około 1942 roku, kiedy plaża i filozoficzna kontemplacja nie wykluczały się jeszcze nawzajem), całe popołudnie spędził na rozważaniu pewnej kwestii. Przysłuchując się monotonnej muzyce fal, usiłował sobie wyobrazić moment, w którym Beethoven wymyślił temat Dziewiątej Symfonii, *alle Menschen werden Brüder*. Z pewnością jedna z największych myśli, jakie kiedykolwiek pojawiły się w ludzkiej głowie. Zmieniła świat: stał się bez wątpienia odrobinę inny od chwili, kiedy stworzony został ten temat Beethovena. Ale jak to się stało? Skąd nadeszła ta myśl? Czy to sam świat się przemienił, popękał, rozszedł w szwach, pozwalając w ten sposób Beethovenowi na ułożenie nut w szczególny ciąg? Czy też wszystko wyrosło tylko z niego samego? A może sprawił to czysty przypadek? Może melodia była

już gotowa, a kompozytor tylko natknął się na nią, jak Kolumb na Amerykę? Jeśli głębiej się nad tym zastanowić, wszystko prowadziło do pytania „Czy istnieje Bóg?” Jeżeli Beethoven tylko znalazł swój motyw, prawdziwym kompozytorem był Bóg, jeżeli natomiast Beethoven sam go wymyślił, to on był Bogiem albo kimś tak zbliżonym do Boga, że różnica stawała się nieistotna. Ludzie z reguły bali się podobnych myśli i dlatego stworzyli takie słowa jak szczęście czy talent. Tannis wiedział, co o tym myśleć. Nieraz już nawiedzały go idee, do których nie dotarł nikt inny, i nie miało to nic wspólnego ze szczęściem, wiele natomiast z trwogą. Ona była kluczem do wszystkiego. Zawsze myśli się *przeciw* trwodze i wszystkie prawdziwe refleksje zawierają ją w sobie; można ją było z pewnością posłyszeć w owym *alle Menschen werden Brüder*, czuło się tę grozę, która napelniała drżeniem. Wielkie myśli przerażały także tych, dzięki którym powstawały. Niekiedy strach przed własnymi myślami doprowadzał ich do szaleństwa. Dlaczego? Wydawało mu się, że zna odpowiedź: albowiem każda prawdziwa idea z samej definicji rodzi się jako sekret. W pierwszej chwili jest znana tylko jednemu człowiekowi. Tak, wszystkie wielkie myśli, w chwili gdy pojawiają się w czyjejs głowie, gdy rozbrzmiewają w niej jak melodia, są tajemnicami. Powstaje zatem pytanie: Po co ujawniać tajemnicę? Po co mówić o niej komukolwiek? Znał odpowiedź i na to pytanie: powodem był wielki strach. Ludzie, nawet najwięksi ludzie opowiadali o tajemnicy, wyjawiali ją, bo w ten sposób starali się uciec przed lękiem. Tajemna władza, władza tajemnicy była dla nich zbyt wielkim ciężarem. Ale nie dla Tannisa. Wiele czasu upłynęło od momentu, kiedy zrozumiał, że jest silniejszy. Poznał trwogę i nie uciekał przed nią. W tamto odległe popołudnie myślał o tych ludziach, którzy podobnie jak on nie poddali się strachowi, przeciwstawili się mu. Nie bali się i dlatego mieli po swojej stronie potęgę lęku, co stwarzało wieczną barierę między nimi a innymi ludźmi. Uśmiechnął się. Ponieważ punktem wyjścia tych rozważań były słowa *alle Menschen werden Brüder*.

Tego popołudnia – właściwie był to już prawie wieczór – Tannis nie myślał w istocie o tym, jednakże kiedy wyszedł z przyczepy Marianny Vogel i zmierzał do swego pikapa, wszystkie elementy same jakby układały się w całość. Wąż. Dziecko. Kobieta i ociążałe spojrzenie. Jego umysł

dokonał *skoku* i Tannis znalazł się w jasnej, przejrzystej przestrzeni, którą tak lubił. Słońce chowało się za wygasłe wulkany, dał lekki wiatr, a on rozkoszował się wonią ozonu, zapachem, który wzbiera przed burzą, a jest też zapachem trwogi. I może to się udzielało, gdyż miał przecucie, iż także umysł Marianny dokonał skoku, dzięki czemu otarła się o tajemnicę głębszą nawet od tej, którą знаła. Tannis odniósł wrażenie, że łączy ich oboje jakiś szczególny związek: działali opierając się na tych samych założeniach, także i ona znała wszystkie prawa trwogi.

Relacja między myśliwym i jego ofiarą. Byli ze sobą związani nierozłącznie, jak antylopa, której skok powoduje atak lwa, jak królik, który nieruchomieje na widok skradającego się gronostaja. Panika i paraliż. Jeden stan tak bliski drugiego. Chciał, by zerwała się do biegu, ale nie chciał, by gnała na oślep. Miała pobiec do Vogla, powinna więc zachować panowanie nad sobą, nie wolno mu doprowadzić do tego, by je utraciła. Zawarli zatem – tak to odczuł Tannis – coś w rodzaju paktu: oboje będą udawać, dzięki czemu on nie będzie musiał jej straszyć, a ona nie będzie musiała się bać. Te myśli, które słyszał gdzieś w sobie jak szmery, właściwie potwierdzały tylko to, co mówił mu instynkt, bo wiedział dokładnie, co ma robić. Dwa wielkie głązy sterczały na krawędzi niecki, w której stała przyczepa. Z ich szczytu mógł widzieć wszystko, co rozgrywało się poniżej. Był jednak na tyle ostrożny, że niemal nie spoglądał w tę stronę. Położył się na plecach i wpatrzył w niebo. Należało dać jej szansę ucieczki, inaczej bowiem nie zdecydowałaby się w ogóle na nią. Wiedziałyby, że jeśli tylko dotknie dłonią klamki, jego oczy natychmiast zmrożą ją całą niczym słodka obietnica wiecznego zapomnienia, którą czyta się w ślepiach lwa. Potem odwrócił się i patrzył na przyczepę, peugeota, na wydłużające się z wolna cienie. To takie proste: patrzeć. A przecież, jak często o tym myślał, w jego spojrzeniu kryła się najdawniejsza forma magii, jego pierwsza prawdziwa tajemnica. Najstarsza. Z początku oczy dziecka nie potrafią skupić się na niczym, ale potem zatrzymują się i wszystko zostaje spowite w piękno, strach, magię. Od pierwszego spojrzenia. *Od pierwszego, prawdziwego spojrzenia*. Drugie już tylko chwyta jak łup to, co tamto pierwsze odnalazło. Był mistrzem w tym chwyтaniu łupu.

Przestrzeń przestała stawiać opór. Spoglądając w dół, znajdował się

jednocześnie i tutaj, i tam. Był obserwatorem, widział ją doskonale, a już po chwili kierował wzrok gdzieś w dal, aby nie budzić w niej strachu. Słyszał jej myśli. Przypominała kobietę, która idąc pustą ulicą, słyszy nagle za sobą czyjeś kroki. Jest przerażona, bardzo przerażona, ale nie obejrzy się, dopóki kroki nie umilkną. A wtedy nie odważa się biec, bo gdy tylko zacznie, znowu rozlegają się za nią te kroki, są teraz o wiele szybsze! I na tym właśnie polegał ich mały pakt. Zatrzymaj się! Odwróć! Widzisz, nie ma się czego bać! i dlatego Tannis znowu spoglądał na boki, do góry, na światła spływające z ciemniejącego nieba: F-18 spieszył się na Armitage Field (tamtejsza wieża przestawała działać o zachodzie); do tyłu, na pustynne rośliny rzucające ogromne cienie, zupełnie jakby rosły w miarę jak ubywało słońca, a chwilami skupiał uwagę na samym sobie, pozwalając, by myśli krążyły wokół ciała, bolących pleców, wyschłych ust. Aż nagle odwrócił się raptownie i zobaczył ją.

Szła i była już za daleko, by się cofnąć.

Słońce schowało się za horyzontem. To ciemność, zwykle budząca lęk, jej dodała teraz odwagi, przypuszczała bowiem widocznie, że nie będzie mógł jej dojrzeć. Ale, oczywiście, mógł. Musiał jednak przyznać, że poczyniała sobie bardzo sprytnie. Wygasiała w przyczepie wszystkie światła. Otwarte drzwi niemal w niczym nie odcinały się od otaczającego je mroku. Jednakże zauważył jej sylwetkę, a wtedy zorientował się, że w ramionach trzyma dziecko owinięte kocem, jakby wynosiła je z płonącego domu lub biegła z nim do lekarza. To właśnie nadmierny pośpiech w ruchach pozwolił mu ją dostrzec. Ruszyła w stronę samochodu lub miejsca, gdzie powinien stać i znikła w gęstym mroku. Nasłuchiwał przez chwilę. W nieruchomej ciszy lekki szcęk otwieranych drzwiczek zabrzmiał głośno jak wystrzał, choć parę sekund później, kiedy je zamknęła, dźwięk był dziwnie stłumiony i cichy. Nagle odniósł wrażenie, że spogląda teraz w przeszłość, że już po wszystkim, że ją zgubił, gdyż pozostał zbyt daleko. Na moment w ogóle stracił ją z oczu. Ale była tam. Nie wsiadła do auta, ułożyła tylko dziecko na tylnym siedzeniu. Teraz wyprostowała się i ponad dachem mógł dojrzeć zarys głowy i ramion. Cofnęła się do domku i zamknęła drzwi, potem wróciła do samochodu. Był w stanie obserwować, jak przesuwa się w mroku. W końcu, w wyraźnym pośpiechu, obeszła

wóz, otworzyła drzwiczki od strony kierowcy i pochyliła się, sięgając ręką gdzieś w dół, może pod tablicę rozdzielczą. Przez chwilę nie mógł tego zrozumieć. Broń? Natychmiast jednak wśliznęła się do środka i silnik głucho zakaszłał w ciszy pustynnej nocy. W następnej sekundzie dwie co najmniej rzeczy zaskoczyły Tannisa.

Zakładał, że kobieta skieruje się wprost ku niemu, w stronę szosy, toteż ukrył swego pikapa tuż przy samych skałach. Ona tymczasem wykręciła i pojechała dokładnie w przeciwnym kierunku: minawszy przyczepę, ruszyła w głąb pustyni, ku wzgórzom. Po drugie, nie włączyła żadnych świateł, co uświadomił sobie w tym samym momencie, gdy dotarło do niego, że siedząc za kierownicą swego wozu Marianna oddala się coraz bardziej od niego. Zaklął i zaczął zsuwać się po kamieniach, potem zeskokczył i z bolesnym pomrukiem upadł na plecy. Nasłuchiwał, ale krawędź niecki odgradzała go od dźwięków wydawanych przez samochód. Biegając do swego wozu zdecydował, że on także nie może sobie pozwolić na włączenie reflektorów; przywarł do przedniej szyby, kiedy dojeżdżał do krawędzi stoku i na krótką chwilę w oddali zamajaczył mu kształt oddalającego się peugeot. Ale natychmiast zniknął, gdyż oto zjeżdżał już w dół, gdzie na dnie kotliny blada chmura kurzu unosiła się jak mgła. Instynktownie wykręcił w bok, ale mimo to o mało nie wpadł na przyczepę. W istocie jedynie kurz wyznaczał ślad, którym mógł podążać. Skontrolował i zaczął gonić oddalający się obłok. Wysunął głowę na zewnątrz, zmrużył oczy i trzymając kierownicę jedną ręką, prowadził samochód przez tunel z pyłu. Wkrótce nozdrza wypełnił mu piasek, wargi i dziąsła miał suche jak papier, uparcie jednak nie cofał głowy, uderzającej o ramę okienka przy każdym podskoku. W pewnej chwili przód samochodu gwałtownie przysiadł, on zaś zaklął głośno, słysząc jak zbiornik paliwa uderza o skałę. Bardzo szybko jednak oswoił się z sytuacją. Gdzie jak gdzie, ale na pustyni trudno go było pokonać. Rozumiał już teraz, czego kobieta szukała pod deską rozdzielczą. Peugeot jechał bez świateł, ale – o czym łatwo można się było dowiedzieć od Harpera – jednym z pierwszych zastosowań podczerwieni były lampy i przetworniki obrazu, dzięki którym Niemcy mogli jeździć czołgami w nocy. Vogel najpewniej zaopatrzył swój wóz w tego typu urządzenie i włączywszy je Marianna mogła „widzieć w ciemności”,

podczas gdy sama pozostawała niewidzialna. Ale nie we wszystkim miała przewagę. Jej samochód radził sobie znakomicie w tym terenie, musiała jednak ograniczyć szybkość, jest to bowiem konieczne, gdy się jedzie na kołach oplecionych łańcuchami. W pewnym momencie kurz zaczął rzednąć i poczuł, że jedzie po nagiej skale, po listwie, która wypełzła z wejścia do kanionu. Cofnął głowę do środka. Miał wrażenie, że przejechali około mili, co oznaczałoby, że od wzgórz dzieli ich już tylko kilka mil i że niedługo będzie musiała się zatrzymać. Przez minutę jechał więc jeszcze z dotychczasową szybkością, a potem zaczął stopniowo zwalniać, aż w końcu pikap pełzył ledwie do przodu. Po jakimś czasie zatrzymał wóz, poczuł bowiem, że teren gwałtownie opada. Znowu wysunął głowę na zewnątrz. Ciemność kryła wszystko szczelną zasłoną, jednakże kobieta nie mogła być od niego dalej niż kilkaset jardów. Podjął decyzję. Wysiadł z pickupa, cofnął się i kolbą swego wielkiego colta rozbił oba tylne światła. Potem zawrócił samochód w kierunku, z którego przyjechał, i zapalił przednie reflektory. Natychmiast zaalały ziemię jasnym blaskiem, dobrze jednak wiedział, że na pustyni kierunek decyduje o wszystkim i skoro zniszczył tylne lampy, kobieta nie może dostrzec świetlnego strumienia. On natomiast zobaczył to, co chciał ujrzeć. Tak jak przypuszczał, jechali szerokim grzbietem skalnym – po obu stronach ciągnęły się rzędem wielkie głązy, między którymi widać było skrawki jaśniejszego i bardziej miękkiego podłoża. Pomyślał, że wracając, kobieta trzymać się będzie skalistego grzbietu, zjechał więc na bok w jedno z piaszczystych zagłębień, aby nie znaleźć się na jej drodze. Wyłączył silnik i nadstawił uszu, ale słycać było tylko wiatr.

Pustynia. Noc. Tropienie. Wszystko to było jakby drugą naturą Tannisa, wiedział doskonale, co powinien robić. Przez chwilę stał obok samochodu koncentrując się i doznał dziwnego uczucia klaustrofobii: wielka przestrzeń dokładnie zamknięta wokół niego, jak w głębokim szybie kopalnianym, gdzie jeden nieostrożny krok może cię przenieść do wieczności. Znał jednak dobrze to uczucie, oswoił się z nim już od dawna, więc nie przejmując się nim, ruszył szybko przed siebie. Nie widział dalej niż na dziesięć jardów, ale wiatr był stały, co pozwalało kierować się według niego. Poruszał się ostrożnie – łatwo można było skrećić kostkę – a co

parę chwil przystawał i nasłuchiwał. Nie słyszał jednak nic, prócz szmeru wiatru ocierającego się o piasek, o skały, o jego włosy... Było tak cicho, że miał wrażenie, iż słyszy mruganie powiek. Po jakimś czasie zorientował się, że jest już w wąwozie; wiatr zgasł, on zaś wyczuwał wznoszące się po obu stronach niewidzialne ściany. Spodziewał się tego. Teraz zaczął liczyć kroki. Po pięćdziesięciu teren stał się naraz zaskakująco stromy (po chwili Tannis musiał się pochylić, by wspinać się dalej) i zmienił się wyraźnie. Dokola majaczyły wielkie bloki, masywne, milczące, niewątpliwie olbrzymie kęsy skalne, które stoczyły się ze szczytów tysiące lat temu. Od ruchowo rozejrzał się i zawahał. Dalej nic wprawdzie nie widział, dobrze jednak rozumiał, że wszedłszy do kanionu, podchodzi teraz pod jego tylną lub którąś z bocznych ścian. Nie był pewien, w którą stronę się skierować.

Wąwóz u stóp Argus Range. Mógł mieć chyba od czterdziestu do czterystu jardów szerokości. Gdzieś jednak musiała tutaj być, gdyż nawet samochodem przystosowanym do trudnego terenu nie mogła dotrzeć dużo dalej. W końcu zdecydował się – bo coś musiał postanowić – ruszył w lewo, czyli na południe. Przeszedł tak około pięćdziesięciu jardów, upewniając się co chwila, czy czuje powiew wiatru na prawym policzku, aż natknął się na sznur głazów, tworzących jakby fragment wielkiego kręgosłupa. Teraz, nawet w takich ciemnościach – ciągle nie było gwiazd – dojrzał ponad sobą ogromną pionową skałę. To była ściana wąwozu. Powoli, z lewą ręką wyciągniętą w bok, obrócił się i zaczął posuwać się wzdłuż jego dna. Wiedział, że idąc tak, po prostu idąc przed siebie, powinien się w końcu natknąć na Mariannę. Ale wcale nie musiał długo iść. Po dwóch minutach ostrożnego marszu dostrzegł błysk światła. Stanął jak wryty. Światło znowu zajaśniało, mały biały płomyk. Nie poruszył się. W ciemności takie oceny mogły się okazać bardzo zwodnicze, skłonny był jednak sądzić, że dzieli go od niego nie więcej niż pięćdziesiąt jardów. Potem zorientował się zresztą, że światło wcale nie rozbłysło, płonęło nieprzerwanie, i to tylko kobieta przesłoniła je na chwilę. Przesunęła się znowu i jej cień zatańczył; teraz Tannis zorientował się już, że lampa świeciła u wejścia do jaskini w ścianie wąwozu. Jaskinia. Raz jeszcze przepłynął wielki cień. Kryjówka w kryjówce. Tam czekała na nadejście Vogla.

Tannis spodziewał się różnych rzeczy, ale tego z całą pewnością nie przewidział. Nie była to jednak przykra niespodzianka, przeciwnie, doznał wręcz uczucia satysfakcji. Nawet jeśli Tannis nie rozumiał, co to wszystko znaczy, coś znaczyć musiało. Ale łączyło się także z czymś dla niego, na razie, niewiadomym. Skuliwszy się za skałą, usiłował sobie uzmysłwić, gdzie się znajduje. Nie ujechali zbyt daleko, droga do Trona biegła zapewne jakieś sześć, osiem mil stąd. Ciągłe nie było widać gwiazd i nie mógł dostrzec żadnych znaków szczególnych, wątpił jednak, czy nawet przy świetle księżyca udałoby mu się rozpoznać to miejsce. Kanion, ale dokoła były ich dziesiątki. Największe miały swoje nazwy – *Revenue*, *Homewood*, *Shepherd*, *Knight*, *Thomson*. Większość jednak pozostała bezimienna, nieznana; rzadko je odwiedzano. Wszystkie były wyrwami w Angus Range, łańcuchu wznoszącym się przed nim na sześć tysięcy stóp, na którego szczytach rozmieszczono, wzdłuż granic bazy, elektroniczne czujniki. Co Vogel tutaj robił? Była to niewątpliwie znakomita kryjówka – tuż pod ich nosem, ostatnie miejsce, w którym by go szukali, ale oczywiście chodziło tu o coś więcej niż tylko o schronienie. Wszystko, co odkrył dzisiaj, wskazywało na to, że planowano tu na miesiące i lata, a nie na ileś tam dni. Do czego zatem dążył Vogel, jakie miał cele? W czym Buhler mu przeszkodził? Na te pytania, jak na razie, Tannis nie miał żadnej odpowiedzi i mógł tylko liczyć na to, że prędzej czy później znajdzie rozwiązanie.

Minęła godzina. Potem, tuż koło północy, usłyszał szybki chrzęst osuwających się kamieni. Gdzieś metal szczęknął o skałę i oczyma wyobraźni Tannis zobaczył błysk iskry. Nie był jednak pewien, skąd naprawdę dochodzą te odgłosy. Odwrócił się wolno i spojrzał za siebie, ale w chwilę później z przeciwnej strony kanionu i od góry dobiegł go gwałtowny głęboki kaszel i dziwaczny jęklawy dźwięk, w którym dopiero po dłuższej chwili rozpoznał rzenie osła. Potem usłyszał miękkie parsknięcie konia. Odgłosy przybliżały się i zrozumiał, że to mała karawana zstępuje w dół, po ścieżce w ścianie kanionu. Oczy Tannisa czujnie badały mrok, mała lawinka kamienna wykrzesalała w ciemności srebrne rozbłyski, aż wreszcie, jakby odrywając się od tła jakiegoś starego, posepnego obrazu, kształty wyłoniły się z cienia. Najpierw cztery osły, potem koń prowadzony przez mężczyznę. Właściwie wypadli nagle z mroku tuż nad nim. Światelko w

jaskini znowu zamigotało. Potem rozjarzyło się mocniej i przybliżyło; u wejścia do jaskini stanęła Marianna, podniesiona lampa oświetlała jej twarz, płonące oczy, włosy, w których igrały złote iskierki. Cienie kołysały się jak gromnice niesione o północy w wielkiej katedrze, a podobieństwo było tym bliższe, że teraz mógł dostrzec ogromną czaszę nawisu skalnego. Uniosła lampę wyżej... usłyszał syk... to była lampa gazowa z osłoną. Kobieta zrobiła jeszcze parę kroków i zatrzymała się przed wejściem, gaz mocniej zaszumiał na wietrze, a stopy Tannisa znalazły się o pięć jardów od kręgu światła. Wstrzymał oddech. Głazy dokoła jakby urosły, za granicą blasku cienie poruszały się niby jakieś stworzonka krążące wokół świecy; wszystko to mógł namalować któryś ze starych mistrzów. Na moment ogarnęło go owo dziwne uczucie *déjà vu*, gdzieś już to kiedyś widział. Jego umysł niemal dokonał owego charakterystycznego skoku, który przenosił go nad przepaścią między tutaj i tam. Ale Tannis nawet nie drgnął. Potem gdzieś, z głębi, dobiegł go dziecięcy głosik: – Mamusiu! Mamo! – i okrzyk samej Marianny: „*Bist du? Bist du?*”

I usłyszał szorstką odpowiedź mężczyzny:

– *Ja, ja Marianne. Nach innen! Innen!*

Niemiecki.

Rozmawiali po niemiecku.

Oczywiście. „Do środka”. Nie posłuchała jednak od razu, podniosła natomiast wyżej lampę i Tannis mógł zobaczyć zbliżające się zwierzęta: osły z wielkimi, opadniętymi uszami i ciężkimi skrzyniami na grzbietach – zupełnie jakby to była starodawna karawana powracająca do domu – a za nimi pojawili się w kręgu światła koń i siedzący na nim wysoki, zgarbiony mężczyzna, w mocno naciśniętym na głowę, przytrzymywanym pod brodą skórzanym rżemykiem kapelusza z szerokim rondem. Ale zanim Tannis zdołał rozpoznać twarz, kobieta cofnęła się w głąb jaskini, a za nią, miękko postukując kopytami o piasek, poszły zwierzęta, znikając kolejno w mroku.

Tannis nie poruszył się. Doznał nagle uczucia zawodu. Nie rozpoznał mężczyzny, a na dobrą sprawę, nawet go dobrze nie zobaczył. Jego umysł nie wykonał skoku, chociaż gdzieś w głębi Tannis czuł to charakterystyczne napięcie, był gotowy. Jedna jego część oddzieliła się, ale kiedy

mała procesja zanurzała się w mroku, doznał wrażenia, że cofa się przed skokiem, zabrakło mu odwagi. Czekał. Światło oślepiło go na chwilę, a kiedy powróciła ciemność, czegoś było w niej brak. Czuł się wyjałowiony, pusty. Nie mógł wykonać żadnego ruchu. Coś mu umknęło – co? Czas zamarł. A potem znowu zabłysło światło, coś znowu je przesłoniło i wielki cień zaczął się zbliżać ku niemu. Vogel wychodził z jaskini. Było już za późno: dopiero teraz Tannis uświadomił sobie, że Marianna po prostu go ostrzegła. Vogel, jadący na niewysokiej czarnej klaczy, która musiała wyczuć Tannisa, gdyż parsknęła i lekko szarpnęła się w bok, pojawił się tylko na chwilę, po czym natychmiast połknęła go noc, słychać było jedynie oddalający się stukot końskich kopyt. Tannis powoli odwrócił się ku jaskini. Lampa ciągle płonęła, ale po pewnym czasie zamigotała i obniżyła się, by po chwili przesunąć się na prawo i zniknąć. Czekał. Minęła może minuta. Potem zaczęło sunąć ku niemu znacznie mniejsze światełko. Zorientował się natychmiast: kobieta niosła latarkę. Przeszła na tyle blisko, że widział ją dość wyraźnie. Przyciskała do piersi dziecko, znowu owinięte w koc. Światło latarki przesunęło się powoli do przodu, na chwilę błysnął w nim samochód pozostawiony między blokami kamiennymi. Słyszał, jak wsiada, potem zawarczał silnik. Znowu nie widział nic. Nasłuchiwał. Odgłos silnika zaczął się oddalać, a po chwili ucichł całkowicie.

Odjechali – Marianna do przyczepy, Vogel w góry.

Tannis zaś nadal stał bez ruchu obezwładniony sceną, której był świadkiem. Tamci odjechali i zniknęło jedno źródło napięcia, ale natychmiast pojawiło się następne: przemożna ciekawość. Co się stało? O co w tym wszystkim chodziło? Musiał się dowiedzieć. Musiał się z o b a c z y ć. Ruszył naprzód, wyciągniętymi rękami badając otaczającą go ciemność, aż wreszcie z trudem łapiąc oddech doszedł do jaskini Vogla.

Nie bardzo wiedział, gdzie jest, dotarł tu, idąc po prostu cudzym tropem. Jeśli to w ogóle możliwe, ciemność stała się jeszcze głębsza. Jednakże nie czuł już wiatru na twarzy, poczuł natomiast jakiś chłodniejszy prąd powietrza. Odgadł więc, że znalazł się przy wejściu do pieczary. Wyciągnął z kieszeni, wysunął rękę w bok i nacisnął zapalniczkę. Teraz powinien wreszcie coś zobaczyć. Serce zabiło mu gwałtownie, kiedy pojawił się malutki płomyczek. Ale czekało go rozczarowanie: stał pod skal-

nym łukiem, dwa razy wyższym od niego, ale poza tym nie widział nic więcej, otaczała go nieprzenikniona ciemność; płomyczek zapalniczki wydobył z mroku tylko siebie. Zapamiętał jednak, że kobieta, zanim zgasiła lampę, przesunęła ją w bok, powiódł więc teraz dłonią po krawędzi sklepienia, tuż przy miejscu, gdzie zbiegało się ono ze ścianą, zaśwycił zapalniczkę i dostrzegł błysk metalu. Lampa, która miała służyć przy następnej okazji. Z pomrukiem zadowolenia podniósł ją, pokręcił zawór i po chwili białe światło rozlało się dokoła.

Ostrożnie wszedł do środka.

Ale natychmiast się zatrzymał. To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach. Jaskinia była ogromna, kiedy jednak jego oczy przywykły już do blasku, zorientował się, że ma przed sobą nie zapadlinę, lecz opadającą łagodnie gładką skalną rampę, szeroką jak autostrada. Ruszył ostrożnie naprzód, trzymając lampę w górze. Przebył jakieś dziesięć stóp i znowu się zatrzymał. Wysoko nad nim piętrzyła się skalna kopuła; jakieś cienie falowały jak sztandary. Jakby się znalazł na zamkowym podwórzu lub we wnętrzu ogromnej wieży. Albo, pomyślał ruszając znowu, w nawie wielkiej katedry, bo lampa kołysała się przed nim jak kadzielnica, jej refleksy przypominały maleńkie świece. Ściany połyskiwały od wilgoci, idąc pomiędzy nimi słyszał odgłos spadających kropel. Pod stopami zgrzytał żwir. Naraz doznał wrażenia, iż przestrzeń wokół niego ścieśnia się, jak gdyby się znalazł w wąskim przejściu. Wydawało mu się też, że skała zmienia barwę, rozjaśnia się i upodabnia do piaskowca. Ale nie był tego pewien: ciemność wchłaniała światło i widział właściwie tylko cienie. Co kilka kroków zatrzymywał się instynktownie, bał się, iż znienacka otwory się pod nim głęboka czeluść. Nie przerywał jednak marszu, po pewnym czasie poczuł, że ściany oddalają się od niego, a podłoże, po którym kroczy, wyrównuje. Odniósł wrażenie, że znalazł się na dnie wielkiej doliny, ogromnego kanionu ukrytego we wnętrzu góry.

Przystanął, podniósł lampę wysoko i rozejrzał się dookoła. Po prawej stronie wielkie półki kamienne wznosiły się ku górze niby stopnie lub rzędy miejsc w amfiteatrze, po lewej natomiast teren był płaski jak scena. Zaniepokoiło go to trochę i choć nie miał ochoty zmieniać kierunku marszu, ruszył w tę stronę, jak ktoś, kto wślizguje się do zaciemnionego wnętrza.

trza, aby przyjrzeć się próbie. I rzeczywiście odniósł wrażenie, że za chwilę pojawi się jakaś postać i zacznie recytować znajome mu, trochę już zapomniane strofy. Lecz ów aktor musiałby być chyba gigantem, scena bowiem zdumiewała swoim ogromem, co stwarzało jednocześnie zaskakującą dysproporcję: to, co na niej zobaczył, tchnęło spokojem, przypominało, jeśliby wrócić do skojarzeń z katedrą, szopkę bożonarodzeniową. W tyle jaskini na słomianej podściółce stały w półmroku osły, skupione wokół drewnianego żłobu i metalowej rynny z wodą. Zwierzęta powoli podniosły na niego łagodne oczy, po czym prychnęły, zajęły się znowu jedzeniem. Kiedy tak stał wpatrując się w nie, doznał tego samego wrażenia, jakie odczuł niedawno obserwując przyjazd karawany Vogla. Poczł po wiek dawnym minionych wieków, można by sądzić, że naprawdę cofnął się w czasie. Jednakże oczywista realność tego, co miał przed oczyma, nadawała wszystkiemu pewien odcień parodii: on sam, gdy ruszył teraz, trzymając lampę wysoko nad głową, w stronę zwierząt, mógł być z powodzeniem dobrze urodzonym badaczem z epoki wiktoriańskiej, który jako pierwszy biały człowiek oglądał dawno zapomniany grobowiec, potwierdzenie wielkiego i prastarego mitu o Bogu, co użył Dziewicy, aby złożyć w niej Swe ziarno i Sam z niego wyrosnąć.

Znalazłszy się obok żłobu, przystanął ponownie, wyciągając w bok ramię z lampą, aby nie raził go blask. Za zwierzętami po prawej stronie dostrzegł kolejny „żywy obraz”, bardziej jeszcze zaskakujący niż pierwszy. Mniej swojski, choć wyzwalający podobne asocjacje: trzy żelazne maszyny, bardzo stare i tworzące tak osobliwą konfigurację, że można by je uznać za narzędzia tortur w średniowiecznym lochu. *Machiny* – ten archaizm bardziej tutaj pasował.

Zbliżył się do nich powoli. Gdzieś z góry spływała strużka bladego światła, tak że widział je zupełnie dobrze. Wszystkie trzy pokrywał delikatny biały pył, gdzieniegdzie widać było części poczerńałe lub zupełnie zardzewiałe. Jedna miała wielkie żelazne koło, jak ogromny kołowrotek czy wyciąg, i olbrzymie szczęki, niczym potężne imadło. Druga przypominała dużą pompę, taką jakiej się używa na przykład do tłoczenia ropy naftowej. W jej górnej części, jakieś trzydzieści stóp ponad ziemią znajdowało się duże koło napędzane pasem, służące zapewne do podnoszenia

ciężarów. Trzecie, najprostsze urządzenie, było z pewnością jakimś tygłem czy retortą, poczerniałą i złuszczoną, z której wystawało kilka rur.

Tannis przyglądał się temu obrazowi przez jakiś czas. Zwierzęta i maszyny – dziwaczne, zdumiewające połączenie. Zwierzęta, spokojnie stojące nad żłobem, budziły naiwne wzruszenie jak kolorowy odpustowy obrazek religijny, podczas gdy maszyny przywodziły na myśl rysunki ze starej encyklopedii, na których poszczególne części oznaczane są literami.

Podszedł do maszyn i uświadomił sobie, że ta część jaskini tworzyła jakby osobne pomieszczenie – oddzielone od reszty groty skalną ścianą sięgającą sklepienia, którego zresztą nie mógł dostrzec. Pod ścianą spostrzegł duży stół, kilka metalowych półek i porozrzucone w nieładzie narzędzia: młotki, przecinaki, lewary, piły. Stał tu oczywiście także generator (najpierw go usłyszał, potem zobaczył) obudowany sprytnie ciężkimi płytami, tak że osłona ta przypominała pudło, którego boki i wierzch nie całkiem pasowały do siebie; szczeliny miały prawdopodobnie zapobiegać przegrzewaniu. Podszedł i zajrzał do środka. Benzynowy generator Yamaha, większy od tego, który widział koło przyczepy, pracujący bardzo cicho. Za nim znajdowała się mała tablica z kilkoma przełącznikami. Nie było na nich żadnych oznaczeń, kiedy jednak nacisnął jeden z nich, gdzieś w niewidocznym zagłębieniu jaskini zawarczała pompa. Kiedy nacisnął inny, zapalił się ciąg świateł, sznur nagich żarówek wzdłuż ściany jaskini i dwie punktowe lampki na metalowej listwie, umieszczonej dziesięć stóp nad podłogą, na prawo od niego.

Odstawił lampę i rozejrzał się; dopiero teraz widział wszystko naprawdę dokładnie. Zrozumiał, że te dziwne urządzenia nie były narzędziami inkwizycji, lecz reprezentowały starodawną technologię górniczą. Mówiąc ściślej, był to zestaw maszyn do oczyszczania rudy metali: koło ze szczepkami – prosta kruszarka kamieni, obok niej kafar, a na końcu retorta do wytapiania surowca. Wszystko to mogło oznaczać tylko jedno: gdzieś niedaleko stąd jest kopalnia.

Stał zamyślony.

W pierwszej chwili zupełnie nie mógł uwierzyć własnym oczom, tak fantastyczny był to widok. Kiedy jednak wyciągnął rękę, młot okazał się całkowicie rzeczywisty: poczuł zimne, czarne żeliwo. Niemal wybuchnął

śmiechem: ktoś tu chyba zwariował, pomyślał, albo ja, albo... Przypomniały mu się nagle słowa dawnej piosenki: *In a cavern in a canyon/Excavating for a mine/Dwelt a miner fortyminer I And his daughter Clementine*. W jakiś przedziwny sposób pasowały do tej całej sytuacji – kanion, ekwipunek, Vogel, Marianna – i przeniosły go w chłpiące lata, kiedy podniecenie dokonany odkryciem było równie intensywne jak teraz, kiedy podobnie jak jego rówieśnicy rzucał światu wyzwania, miał swoich podziwianych bohaterów, a kpił sobie z dziewczyn, kiedy szukał ukrytych skarbów i rozcinał brzuchy żabom, by zobaczyć, co znajduje się w środku. Prawdę mówiąc, dokonane przed chwilą odkrycie tak czujnie chronionego sekretu obudziło w nim niemal chłpiącą próżność: do licha, udało mu się jednak dokonać tego! Okazał się lepszy od nich wszystkich: Bensaona, Rawsona i tych mądrali z FBI.

W tym ferworze – podniecony, a jednocześnie zdecydowany doprowadzić całą sprawę do końca i pewien, że podola wszelkim trudnościom i zwycięży – zaczął badać ów osobliwy żelazny kołowrót. Tak, nie pomylił się – była to kruszarka skał. Dowodziły tego stojące przy niej dwa pudła, podobne do tych, które przedtem widział na grzbietach osłów. Uniósł wieka. Skrzynki pełne były sześć-, ośmiocalowych odłamków skał – kwarcu, monzonitu, ryolitu; rozpoznawał je błyskawicznie. Pchnął ciężkie koło, szczęki powoli poruszyły się na spodzie żeliwnego zbiornika, przypominającego trochę maszynkę do mielenia mięsa. Nappełnił zbiornik kamieniami i poszukał wyłącznika. Kiedy go nacisnął, światła przygasły i diesel ruszył. Całe urządzenie zatrzęsało się gwałtownie. Po chwili koło zaczęło się obracać z jakąś prymitywną gorliwością; poruszało się w sposób niezbyt nowoczesny, który przywodził na myśl pierwsze maszyny parowe, ale doskonale harmonizował z otoczeniem, jakby to był jeden z Bożych Młynów. Szczęki pracowały niezmordowanie, koło trzęsało się, chwilami niemal stając, by po skruszeniu kamienia skoczyć do przodu z nowym zapalem. Huk był ogłuszający. Dokoła unosiły się kłęby szarego pyłu, żelazo krzeszło ze skalnych bryłek iskry, przeskakujące jak błyskawice w burzowej chmurze. Tannis czuł, że zasycha mu w gardle; grunt trząsał mu się pod nogami. Zmiażdżone kamienie przez sito przesiewacza spływały do pudła ustawionego u stóp kruszarki. Posłusznie dostosowując

się do rytmu maszyny, Tannis wrzucał od góry jeden po drugim kolejne kawałki skał. Pokaleczył sobie i zakrwawił ręce, ale w końcu kamienie zamieniły się w żwir, ziarno o średnicy mniej więcej jednego cala.

Wyłączył silnik; w uszach mu dzwoniło, ciało ociekało potem, ale ani myślał spocząć. Pudło zbierające kruszywo zaopatrzone było w uchwyty; z bolesnym stęknieniem, natężywszy wszystkie siły, przeciągnął je do drugiej maszyny. Na pierwszy rzut oka przypominała pompę, w rzeczywistości był to kafar. Choć niezwykle prymitywny, wykonywał całkiem niezłe prostą pracę, do której go używano. Wrzucane przez otwór na spodzie urządzenia kruszywo zbierało się na mocnych stalowych sitach, stanowiących dno wielkiego moździerza. Po włączeniu silnika koło podniosło żelazną kolumnę, wielki tłuk o wadze tysiąca funtów, wysoko w górę. W chwilę potem tłuk runął w dół. Ziemia zatrzęsła się gwałtownie. Tłuk znowu zaczął się podnosić. Tannis poczuł zawrót głowy; po drugim miazdzącym ciosie zabrakło mu w piersiach tchu. Potykając się, zrobił kilka kroków do tyłu; zamknął oczy i wstrzymał oddech, kiedy ogarnęła go następna chmura suchego, gryzącego pyłu. Po chwili poczuł jednak na twarzy powiew chłodu. Gdzieś automatycznie włączyła się pompa i z gumowego węża trysnął ożywczy strumień, sproszkowany żwir musiał być nieustannie zalewany strugami wody, przepłukiwany przez stalowe sita, po czym przepychany przez siatkę o jeszcze drobniejszych oczkach trafiał ostatecznie do wąskiego, spadzistego pojemnika. Tłuk unosił się i opadał ciężkim, szybkim rytmem – pracował z częstotliwością około siedemdziesięciu pięciu uderzeń na minutę – a Tannis podawał kruszywo z obojętną regularnością hutnika dosypującego paliwo do pieca czy rewolucjonisty obsługującego gilotynę. Maszyna nie przerywała pracy, więc i on nie mógł sobie pozwolić nawet na chwilę odpoczynku, jeśli chciał dorównać jej kroku. Minęła godzina. Kiedy był już niemal gotów się poddać, spostrzegł, że zapas kruszywa wyczerpał się wreszcie. Wyłączył silnik i ciężko oddychając, wpatrywał się w ciemność.

Odłączył wąż, spryskał twarz wodą i pociągnął długi, orzeźwiający łyk. Odpoczywał przez pięć minut, które odmierzał tak dokładnie jak brygadzysta. Następnie, posługując się lewarem, zaczął wyciągać sita ze spodu kafara. Było ich sześć, zamkniętych w jednym pudle, przypomina-

jącym kasztę drukarską. Domyślił się, że były pokryte cienką warstwą rtęci: teraz widać było na nich gruby osad delikatnego, czerwonego piasku. Z górnej części ustawionego pod kafarem pojemnika wydobyl miedzianą płytę, pokrytą również warstwą rtęci, do której także przywarł rudawy piasek. Był zdumiony jego ilością. Rozejrzał się dokoła i z tyłu pomieszczenia znalazł prymitywny warsztat, a nad nim rozwieszono półki i różne narzędzia. Wybrał młotek i dłuto. Wiedział, że kolejne zadanie powinien w zasadzie wykonać bardzo ostrożnie, tak by możliwie jak najmniej uszkodzić rtęciową powłokę na sitach i płycie, nie był to jednak w końcu jego problem, lecz Vogla, więc nie chcąc tracić czasu, w dość brutalny sposób zaczął odbijać skorupę. Po prawej stronie – w tym miejscu sam Vogel wykonywał zapewne tę samą czynność – Tannis natknął się na stalowy moździerz z tłuczkiem i w nim owe ziarenka starł na drobnutki, błyszczący proszek. Teraz jego oczy przesunęły się wzdłuż półek i na jednej z nich odnalazły szczelnie zamkniętą butelkę. Rtęć, oczywiście. Gestem czarownika wylał gęsty, srebrzysty strumień na utłuczony piasek, który natychmiast zaczął się rozdzielać: część tonęła, ale część jak piana wypływała na powierzchnię. Zebrał wierzchnią warstwę, potrząsnął zawiesiną i powtórzył operację. Potem odlał resztę nie związanej rtęci, pozostawiając na dnie moździerza maź podobną do błota. Drewnianą szpachelką zebrał ją do małego płóciennego woreczka, po czym kręcąc nim, wycisnął zeń rtęć, której pozwolił ściec z powrotem do moździerza. Kiedy już oddzielił cały płynny metal, wyrzucił woreczek na drugą stronę i kulka amalgamatu (rtęć połączona z przywierającym do niej metalem) upadła na blat stołu. Należało wykonać już tylko jeden zabieg – choć nigdy dotąd sam tego nie robił, uznał, że powinien dać sobie radę; miał ostatecznie za sobą studia chemiczne. Przeniósł amalgamat do retorty – była ona ostatnim z osobliwych rekwizytów używanych przez Vogla, prawdę mówiąc najmniej dziwnym. Mała stalowa kanka, niewiele większa od puszki po farbie, zawieszona nad najzwyczajszym palnikiem gazowym. Otworzył przyśrubowaną od góry pokrywę i wrzucił kulkę do środka. Dokręcił śrubę przy pokrywie używając klucza (zadał sobie trud, by go odnaleźć), bo wiedział, że retorta musi być hermetycznie zamknięta. Z pokrywy wystawała wygięta dwukrotnie pod kątem prostym rurka, zwisająca ku ziemi.

Poszukał wiadra, napełnił je wodą i wetknął tam wolny koniec rurki.

Zakończywszy przygotowania, zapalił palnik i odkręcił go do końca, choć wiedział, że płomień i tak nie będzie bardzo gorący. Nie powinien być zresztą, o to właśnie chodziło. Rtęć zaczyna wrzeć i parować w niesłychanie niskiej, jak na metal, temperaturze nieco poniżej 360°C; dla srebra ta temperatura wynosi 2212°C, dla miedzi 2594°C, dla złota... dla złota niemal 3000°C. Tak więc rtęć z amalgamatu zamieni się w gaz, który przez rurkę spłynie do wody, podczas gdy trwalszy metal – pozostanie.

Tak w każdym razie brzmiała zasada; jej sprawdzenie zabrało Tannisowi ponad godzinę, czekał, wyczerpany, zapomniawszy niemal o dziwnym otoczeniu, w jakim się znajdował, po części loch, po części warsztat, po części tajne laboratorium. Chwilami zapadał w drzemkę, ale budził się natychmiast. Wsłuchiwał się wtedy w odgłosy wydawane przez zwierzęta, w bulgotanie wody w wiadrze, próbował też w półmroku odgadnąć kierunek prądów powietrznych, które osuszały jego skórę z potu. Jak daleko sięgała jaskinia? Kiedy i jak odnalazł ją Vogel? Co go tu sprowadziło? Choć doskonale wiedział, że nie znajdzie odpowiedzi na te pytania, pozwalał, by jego myśl bawiła się nimi do chwili, gdy uznał wreszcie, iż proces alchemiczny dobiegł już końca (lub że on już dłużej nie może czekać). Podniósł się, zgasił palnik, oblał retortę wodą, a gdy się ochłodziła, odkręcił pokrywę i wytrząsnął zawartość. Wypadła bryłka większa od kamiennej kulki z chłopiących gier, mniejsza jednak od piłeczki golfowej, dość porowata, jak spieczony popiół lub wysuszony cukierek toffi. Miała przyćmiony kolor zatłuszczonego złota.

Złoto.

Co, oczywiście, odgadł już wcześniej. „Zasada władająca wszystkim”. Najtajniejszy sekret. Teraz trzymał je w zaciśniętej dłoni. Wyczerpany, przymknął oczy i ciężko dyszał w ciemności.

Rozdział 6

Ścisnąwszy w dłoni bryłkę złota, Tannis popadł w omdlenie – trudno byłoby określić ten stan innym słowem. Czuł się jak w chwilę po stosunku z kobietą. Pochylił się bezwładnie do przodu i oparł ciało o żelazną obudowę kafara. Zapadł w sen tak głęboki, że nie potrafiłby odpowiedzieć, ile spał: trzydzieści sekund czy godzinę. Nie śnił o niczym. Złoto to substancja, z której są utkane sennie marzenia, ale to złoto było rzeczywiste. Tak różniło się od marzenia, jak chłopięce wyobrażenie kobiety różni się od dotyku jej ciała. I kiedy otworzył oczy, sen odszedł go natychmiast, a w każdym razie przeminął hipnotyczny trans, w jaki wprawilo go to wszystko.

Takiego doznał w każdym razie wrażenia, kiedy się ocknął i potoczył wzrokiem po pogrążonym w ciszy i pełnym kurzu dziwnym pomieszczeniu. Odchylił się do tyłu, wygiął bolące plecy, a potem zapalił lucky strike'a, dając w ten sposób samemu sobie do zrozumienia, że wszystko wraca do normalności. Potem, by jeszcze bardziej to podkreślić, zaciągając się papierosem i przyglądając się osłom skupionym wokół żłobu – żłobu! Chryste Panie! – pomyślał: zupełnie w to nie wierzę, co wydało mu się najnormalniejszym stwierdzeniem, jakie w tej sytuacji poczyniłby każdy.

Bez względu na to, co tu było normalne, a co nie, wszystko niewątpliwie się zmieniło. Odzyskując świadomość, Tannis nie miał co do tego

najmniejszej wątpliwości. Wiedział, że mała bryłka, którą ścisła w dłoni, jest rzeczywiście czymś bajecznym. Usiłował sobie wyobrazić, co powiedziałaby na to ojciec. Rudę złota ocenia się w gramach na tony i w Stanach Zjednoczonych dwa gramy uważa się za wskaźnik dobry, pięć lub sześć za niezwykle, tutaj natomiast należałoby mówić o uncji, o trzydziestu, może czterdziestu gramach, co można było porównać jedynie z żyłami w Moodies w Południowej Afryce. Tannis wiedział, że gdyby Vogel rzeczywiście odnalazł złożę tak bogate, jest ono warte dosłownie miliardy, a niewielka nawet żyła oznacza miliony dolarów.

Czy to było możliwe?

Chyba tak, pomyślał.

Ale mało prawdopodobne.

Wielkie bogactwo Panamint stanowiły złoża srebra: Cerro Gordo, Darwin, Greenwater, Skidoo, choć zawsze było tu trochę złota, a w zachodniej części, koło Randsburga, nawet wiele. Wszyscy także wiedzieli, że gdzieś pomiędzy Tin Mountains a przełęczą Wingate znajduje się chroniona przez wiszącą skałę jaskinia, w której ukryli swoje złoto Pajuci. Mówiąc dokładniej, wszyscy prócz antropologów, którzy twierdzili, że Pajuci w ogóle nie używali złota. Cóż oni jednak mogli wiedzieć? Ileż to razy stare legendy okazywały się w końcu prawdziwe, a poza tym nie sposób było kwestionować tego, co trzymał w ręku: nie ma na świecie czegoś bardziej rzeczywistego niż złoty nugget. Fakt, że Vogel odkrył żyłę złota, był częścią szalonej historii, nie uwierzyłby w nią nikt o zdrowych zmysłach. Vogel, Niemiec; Buhler, człowiek, który przetrwał obóz; ostatnie dni wojny, Rzesza w płomieniach, złożona mapa na piersi martwego żołnierza amerykańskiego. Można było tworzyć najróżniejsze opowieści, jakie się tylko chciało, ponieważ złoto było rzeczywiste, a ów fakt, bez względu na to jak bardzo niewiarygodny się wydawał, zmieniał dosłownie wszystko. Tłumaczył motywację obu tych ludzi. Złoto wyjaśniało wyjazd Buhlera z Niemiec, wyjaśniało też, dlaczego Vogel go zabił. Nie wyjaśniało jednak wciąż nurtującej Tannisa zagadki, jaki to wszystko miało związek z nim i Harperem. Co się wydarzyło owego piątkowego wieczoru? Buhler, Marianna, jaskinia, złoto. *Dlaczego, po co tamten dzwonił do niego?*

Pytanie to uznał za niezwykle trudne, wydało mu się wręcz, że nie ma żadnych szans na to, by kiedykolwiek odnaleźć odpowiedź. Był to właściwie argument za tym, żeby iść do domu i zapomnieć o wszystkim. Nic na tym nie tracił. Z całą pewnością nie musiał się obawiać niczego ze strony FBI. Ich „naukowa” metoda opierała się na założeniu, że wszystkie zdarzenia zostały zapisane i przepowiedziane w biblii dokumentów, które zgromadzili w swych archiwach. W istocie rzeczy wszystko się powtarzało. Historia Vogla była historią nową, co uniemożliwiało jej rozwikłanie. Gdyby więc Tannis po prostu oddał się teraz... Ale wszystkie te myśli przeleciały mu tylko przez głowę. Wprawdzie ocknął się ze snu, ale zabrnął już zbyt daleko. Oparł się mocniej plecami o obudowę kafara i przysiadł na obcasach. Naraz odruchowo pochylił się do przodu i wymacał z tyłu zimny metal colta, a to, co pomyślał, ujawniło jego prawdziwe zamiary: nie, nie trzeba wracać do pikapa po karabin. Gdyż...

W gruncie rzeczy nie musiał formułować w precyzyjny sposób swych konkluzji, wiedział, że będzie się starał odnaleźć Vogla, ale nie miałyby sensu strzelanie do niego, w każdym razie z dużej odległości, do czego niezbędny byłby karabin; najpierw musiał z nim porozmawiać, *dowiedzieć się, co to wszystko znaczy*. Wystarczy mu na pewno colt. Tak, zamierzał odnaleźć Vogla, zamierzał wziąć jednego z jego osłów lub konia, wyruszyć w góry i dopaść go. Co oznaczało, że znajdzie się na terenie bazy, bo tam właśnie był Vogel, tam musiał przebywać, skoro zjechał z góry i odjechał pod górę. Tannis zerknął na zegarek i przekonał się, że jest już trzecia. Powinien się więc pośpieszyć. W przeciwnym razie musiałby potem czekać aż do wieczora, bo mógł się poruszać tylko w nocnych ciemnościach. Oprócz naturalnych przeszkód, jakie stwarzał sam teren, zresztą dość znacznych, jedyne zabezpieczenie w tej dzikiej części bazy stanowiło światło. Nie było żadnych płotów, a elektroniczne czujniki nie potrafiły odróżnić konia od łani, człowieka od kojota. Ale o wschodzie słońca zaczynały kontrolować teren patrole powietrzne. To była przyczyna, dla której Vogel natychmiast puścił się w powrotną drogę: do świtu mógł korzystać z naturalnej osłony mroku. Z tego samego powodu Tannis powinien niezwłocznie zabierać się stąd, jeśli w ogóle miał zamiar jechać gdziekolwiek.

A nie ulegało wątpliwości, że musi jechać. Doskonale zdawał sobie sprawę z trudności takiej eskapady, skoro jednak zabrnął tak daleko, nie mogłoby go od niej odwieść. Później warunki byłyby znacznie gorsze, czuł się już zresztą niemal całkowicie wypoczęty. W czarodziejskiej jaskini Vogla znalazł wszystko, czego potrzebował do podróży. Do kafara doprowadzona była woda, znalazł też cztery bańki i powleczony gumą pojemnik Nauta. W blaszanym pudle odkrył magazyn puszek – fasolę, konserwy mięsne, a także maszynkę Colemana. Zaopatrzył się również w koc, kapelusz, kilof, a nawet w starą lornetkę; wołał korzystać z takiej, niż wracać do samochodu po swoją. Nie udało mu się natomiast znaleźć mapy, musiał więc zaufać własnemu instynktowi. Jeśli chodzi o środek transportu, mógł wybierać – miał do dyspozycji osiem osłów, konia i muła. Cztery spośród osłów wyglądały na wypoczęte, ale nie wchodziły w rachubę, były zbyt małe. Koń, na którym przyjechał Vogel, pożerał ze smakiem swoje siano; właściciel odjechał na drugim, nie zmęczonym. Pozostawał zatem tylko muł, na którego Tannis i tak by się zapewne zdecydował. Wolniejszy od konia, kroczył za to pewnie jak osioł, co przy wyprawie w góry było zaletą cenniejszą niż szybkość. Nałożył zwierzęciu wiążące obok siodło, potem uzdę, następnie umocował ładunek, na koniec wreszcie wsiadł sam. Teraz przyszła pora na scenę dosyć komiczną, której raczej nie można było uniknąć. Muł ani myślał ruszyć z Tannisem na grzbiecie. Jeździec bezskutecznie szarpał wodze, tłukł i kopał swego wierzchowca. Wreszcie zrezygnował. Wystarczyło jednak, by zsiadł z siodła, a muł bez żadnych dodatkowych ponagleń ruszył do przodu, nie spiesząc się szczególnie ani też nie ociągając, i poprowadził Tannisa ku wyjściu z jaskini. To on był królem, a przynajmniej księciem, który rządzić miał żelazną ręką.

Tak właśnie ułożyły się stosunki między nimi; cała podróż przebiegała w ten sam sposób, jak się zaczęła. Istotną rolę odgrywały tu instynkt i szczęście. Muł okazał się nieocenionym przewodnikiem; wiedział, gdzie iść, najprawdopodobniej dlatego, że wielokrotnie przemierzał już tę trasę z Voglem. Prawdę mówiąc, nie było tak trudno podążać jego śladem, gdyż pośród tych skał, nad rozpadlinami, przez wąskie półki prowadziła właściwie tylko jedna droga, jednakże wszystko stało się łatwiejsze dzięki

temu, że dopisało im szczęście. Kiedy dotarli do wyjścia z jaskini i muł zgodził się, by człowiek zajął miejsca w siodle, Tannis natychmiast dostrzegł zmianę pogody. Wiatr ustał i wyrzały gwiazdy, połyskując na wysokim pustynnym niebie. Podniósł głowę i odnajdywał kolejno konstelacje: Smok, Łabędź, Wolarz, Herkules. Oświetlały drogę, jeśli nie jemu, to przynajmniej mułowi, a ponieważ nie miał kompasu, z grubsza informowały o kierunku, w którym podążali. Wiatr ucichł, co stanowiło również sprzyjającą okoliczność, inaczej bowiem, w miarę jak wspinali się coraz wyżej, Tannis marzyłby coraz bardziej, gdyż nie miał żadnej kurtki, jedynie koc znaleziony na spodzie pojemnika z żywnością, teraz zaś sam wysiłek utrzymania się w siodle dostatecznie go rozgrzewał. Poza tym w nieruchomym powietrzu muł mógł podążać śladem idącego przed nim konia, wyczuwając zapach, jaki tamten pozostawiał za sobą, tak w każdym razie można było sądzić z jego regularnych postojów, podczas których intensywnie węszył.

W gruncie rzeczy i tak zresztą nie byłoby problemu z odnalezieniem szlaku Vogla. Tannis dobrze wiedział, że nie można sobie, ot tak, po prostu pojechać w te góry, liczące co najmniej cztery tysiące stóp wysokości. Jeśli udało się już komuś znaleźć jakąś trasę, ów ktoś starał się konsekwentnie jej trzymać, a już na pewno tak czynił Vogel, który prawdopodobnie podróżował najczęściej z kawalkadą objuczonych osłów. Po pewnym czasie Tannis zaczął dostrzegać zarys drogi: krętą skalną ścieżkę prowadzącą ku krawędzi kanionu i omijającą górę, która sterczała nieopodal. Były zresztą także i znaki, trzy kamienie ustawione jeden na drugim na każdym zakręcie i w każdym wątpliwym miejscu. W kilku miejscach wielkie głazy posłużyły do uszczelnienia rozpadlin albo odwalono je z drogi. Muł sunął cierpliwie naprzód powolnym uważnym krokiem. Nie było sensu ponaglać zwierzęcia, znało swój rytm. Tannis pozwolił mu go zachować. Przed trudniejszymi odcinkami trasy muł stawał nieruchomo i Tannis musiał zsiadać, i kuśtykając kroczyć za nim aż do miejsca, w którym droga stawała się znowu łatwiejsza. W pewnym momencie, gdy znaleźli się na szerokiej, płaskiej platformie, zwierzę zatrzymało się wyczekująco. Tannis dopiero po chwili zrozumiał, w czym rzecz. Podał na dłoni mułowi (Księciu, jak zaczął go w duchu nazywać) porcję suszonej fasoli,

potem nalał wody do kapelusza i napił go.

Sam także wypił kilka łyków, po czym spojrzął na zegarek. Choć zrobili dopiero pierwszy postój, było już dwadzieścia po czwartej. Przebyli nie więcej niż milę. Znajdowali się teraz o jakieś tysiąc pięćset stóp wyżej, co najmniej drugie tyle mieli jeszcze przed sobą. Dosiadł muła, droga ciągle biegła w górę. Kiedy tak krok za krokiem wspinali się coraz wyżej w tym czystym, czarnym powietrzu, mając nad głową rozgwieżdżone niebo, wydawało mu się, iż ta droga nie ma końca, jakby szedł po opiewanych w jakimś szlagierze schodach do gwiazd. Cel zdawał się nieskończenie odległy, droga jednak była całkowicie wyraźna. A ponieważ znalazł się już tak wysoko, ponieważ ciemność rozpościerała się wszędzie ponad nim i pod nim, było w tym coś czarodziejskiego, coś, co przypominało swobodne bujanie gdzieś, hen w przestworzach. Stanowiło to jednak tylko jedną, przyjemniejszą stroną medalu. Po półgodzinnej jeździe na kościstym grzbiecie muła bolał go każdy mięsień i każda kostka. Pośladki zdrętwiały, nogi ciążyły jak ołowiane, tętniło mu w skroniach. Lecz przecież w końcu dopiął swego: o wpół do szóstej Tannis i Książę stanęli na szczycie. Ścisłe biorąc, nie był to właściwie szczyt. Tannis nie bardzo wiedział, dokąd dotarli, wiedział jednak, że wspięli się na jakąś przełęcz. Obracając się na siodle, potoczył wzrokiem dokoła. Znajdowali się bardzo wysoko, w ciemności majaczyły kształty krzaków i sosen. Nie była to już pustynia, lecz *sierra*. Czuł na twarzy powiew wirującego powietrza, coś, czego nigdy nie można doświadczyć na nizinie. Dotarł doń zapach wody i słodkawym zapach potu muła – na pustyni nigdy nie czuje się woni potu. Ale teraz znajdował się wysoko – pięć, może sześć tysięcy stóp – nad pustynią. Po obu stronach przełęczy wznosiły się stromo szczyty, a za nimi dostrzegł ciemne sylwety innych, jeszcze wyższych. Nie dałby za to głowy, ale prawdopodobnie najbliższym, licząc od północnej strony, był Maturango Peak, najwyższe wzniesienie w Argus Range – prawie dziewięć tysięcy stóp nad poziomem morza – co oznaczałoby, iż po lewej miał niższy tylko o tysiąc stóp Parkinson Peak. Ale nie był tego pewien, ponieważ w tym regionie natura ulokowała cztery najwyższe szczyty, jak kostki zgiętej dłoni, i mógł się obecnie znajdować nie między tymi dwoma, lecz o jedną przełęcz bardziej na lewo lub o jedną przełęcz bardziej na

prawo. Nie miało to zresztą istotnego wpływu na decyzję, którą musiał teraz podjąć, gdyż wszystkie zbocza spływały w kierunku otwartego, skalistego pustkowia, z nielicznymi jarami i wąwozami, zwanego Etcheron Valley, gdzie człowiek na siodle był dla obserwatora z helikoptera widoczny tak wyraźnie jak latarnia morska. Musiał przyznać, że na razie Vogel uzyskał nad nim przewagę. Nie można było, naturalnie, wykluczyć, że skrył się gdzieś o kilkaset jardów dalej. Jeśli jednak zmierzał ku drugiej stronie doliny, to w tej chwili znajdował się chyba już w jej połowie i ostro pewnie poganiał konia. Nie było sposobu, aby go dopędzić, a w każdym razie nie przed wschodem słońca. Tymczasem niebo zaczęło się rozjaśniać i pośród formujących się cieni Tannis dostrzegł także i swoją sylwetkę. Noc się kończyła. Wiele lat temu, kiedy wszystkie samoloty poruszane były śmigłami, lotnicy strzegący Poligonu Doświadczalnego stosowali się do czasu tropikalnego, wylatując na patrole zanim pustynia się nagrzała i gdy załogi miały jeszcze czym oddychać. W China Lake tradycja ta utrzymała się i piloci nadal wylatywali bardzo wcześnie. Tannis wiedział więc, że musi koniecznie znaleźć kryjówkę. Szarpiąc za cugle, poprowadził muła wzdłuż grani, która podnosiła się najpierw łagodnie, a później coraz bardziej stromo, aż do skalnego nawisu utworzonego przez olbrzymie głazy, w który wczepił się samotny, stary dąb. Kiedy zza tego występu spoglądał na prawo, przez zasłonę sosen mógł dostrzec znów swoją trasę, głęboką bruzdę cienia wijącą się pod przełęczą; patrząc wprost przed siebie, widział tylko czystą zastygłą czerń pustki. Miał nadzieję, że kiedy słońce już wzejdzie, będzie mógł ogarnąć stąd wzrokiem całą dolinę. Trudno było znaleźć lepsze miejsce. Mógł poczekać tutaj i przekonać się, jak wszystko będzie wyglądało za dnia, a wtedy ewentualnie zaryzykować dalszą podróż, a jednocześnie mógł obserwować trasę i wypatrzeć Vogla, gdyby ten wracał tą samą drogą.

Zsiadł zatem z muła. Zwierzę było nieco zdziwione tą zmianą ustalonego porządku, ale wkrótce znalazło trawę i zaczęło pomału schodzić w kierunku drzew, w czym Tannis mu nie przeszkadzał. Dopiero teraz, gdy znalazł się na ziemi, poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Pociągnął łyk wody, potem zmusił się do działania, przygotował ognisko, obudował je kamieniami, naznosił trawy i sosnowych gałęzi na podpałkę. Zabłysnął

plomień, małeńka wysepka światła w morzu ciemności. Ogrzał się, a potem przełożył fasolę z puszki do emaliowanego naczynia i dosypał do potrawy małą torebkę przypraw. Po paru minutach zanurzył w naczyniu czubek noża myśliwskiego: fasola nadawała się już do jedzenia, w każdym razie on ją zjadł z apetytem. Na koniec owinął się szczelnie kocem, oparł o skałę i zapalił lucky strike'a. Poczł, jak zalewa go fala zmęczenia, jego ciało nie chciało już niczego więcej prócz odpoczynku. Szarzejąca czerń kłębiła się wokół niego w podmuchach wiatru. Zamknął oczy.

Nie zasnął jednak, lecz pogrążył się w jakimś dziwnym odrętwieniu, czuł bowiem jednocześnie znużenie i niepokój, a jego umysł nadal pracował. Pod przymkniętymi powiekami nieustannie przesuwały się obrazy: Vogel z osłami w świetle lampy, jaskinia z dziwnymi machinami, córka Marianny bawiąca się w piasku swymi laleczkami, jej rozstawione kolanka, złoto w sztabach i nuggetach, złoto wyplukiwane z piasku, złoto lejące się z żelaznych czerpaków. Lecz te obrazy nie łączyły się ze sobą, tak jak się to dzieje we śnie. Potem natrętnie zaczęła powracać myśl, że on wcale nie śledzi Vogla, lecz że tamten gdzieś go prowadzi za sobą. Był jak pies ścigający własny ogon. Vogel interesował go tylko dlatego, że wymienił nazwisko Harpera, ale jedynym dowodem na to, że Harper ma coś wspólnego z całą sprawą, było właśnie to, że tak powiedział Vogel. Ale czy mógł być pewien przynajmniej tego? Czy miał absolutną pewność, że tajemniczym rozmówcą był Vogel? Pytania powracały wciąż od nowa jak w zaczarowanym kole. W którąkolwiek stronę by spojrział, widział zawsze to samo, i niezależnie od tego, jak daleko odszedł w swych rozważaniach, nieodmiennie powracał do punktu wyjścia. Co tutaj robił? Nie był tu z powodu Vogla, Vogel nic dla niego nie znaczył. Z tego, co Tannis wiedział, wynikało, że był to stary człowiek, który żył kiedyś w pobliżu bazy, potem gdzieś stąd wyjechał, a potem powrócił; niewykluczone, iż nieźle się wzbogacił. Wszystko to jednak nie miało żadnego związku z nim samym. W ubiegły piątek odłożyłby słuchawkę, gdyby Vogel nie wymienił nazwiska Harpera. Kluczem do całej sprawy był przeto Harper, którego twarzy ciągle nie mógł sobie przypomnieć. Lecz z tego, co udało się Tannisowi ustalić w ostatnich dniach, wynikało, że także i Harper nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Harper nie był nawet szpiegiem, nie miał

żadnych kontaktów ze Wschodnimi Niemcami czy Buhlerem, nic nie wiązało go z jaskinią na pustyni. Dlaczego więc Vogel o nim wspomniał? Skąd w ogóle Vogel wiedział o istnieniu Harpera? Wszystko stawało się zrozumiałe tylko w jednym wypadku – tak przynajmniej zaczął myśleć teraz – i znowu pojawiło się owo dziwne uczucie swoistego przyciągania, którego doznał obserwując przyjazd Vogla. Doszedł oto bowiem do wniosku, że istnieje tylko jedno logiczne wyjaśnienie: to on, Tannis jest Voglem, albo też Vogel jest wyodrębnioną cząstką jego samego. W piątek wieczorem zadzwonił sam do siebie. Udawał Vogla. A może wyśnił tę rozmowę telefoniczną. Było to rozwiązanie absurdalne, ale w jakiś przedziwny sposób zadowalało jego umysł, może zresztą rzeczywiście zasnął, gdyż nagle gwałtownie poderwał głowę. Otwartymi szeroko oczyma wpatrywał się w pustkę przed sobą, poczuł na twarzy powiew porannego wiatru i nagle owładnęła nim jedna myśl: uciekaj. Powinien natychmiast wstać, odejść stąd i zapomnieć. Oczyma wyobraźni zobaczył nagle tę jedną cegłę na patio, pod którą od wielu lat przechowywał w metalowym pudełku systematycznie odnawiany zestaw biletów pierwszej klasy do Rio, Hongkongu, Singapuru, Bombaju, biletów do Paryża, Frankfurtu, Rzymu, biletów na najróżniejsze linie lotnicze, PanAm, Qantas, JAL, Air France. Powinien zniknąć. I kiedy jego oczy pobiegły teraz w głąb doliny, gdzie na zachodzie wisiała jeszcze czarna ostatnia płachta nocy, zapragnął wychylić się, powierzyć pustynnemu niebu i poszybować w dal. Wiedział jednak, że nie może tego zrobić i nie zrobi. Coś bezimiennego powstrzymywało go i mógł jedynie podnieść wzrok ku gwiazdom, wciąż jeszcze jaśniejącym nad Wild Horse Mesa, Louisiana Butt, Darwin Wash. Zaparty w nie opadł na skałę i naprawdę zasnął.

Nie spał jednak długo. Zbudziło go pierwsze przyćmione światło świtu; było mu zimno, zdrętwiał, czuł się zmęczony. Nocne emocje powróciły w postaci uczucia dziwnego niepokoju, jakiś wewnętrzny głos uświadomił mu potrzebę ostrożności; bez względu na to, jak spędził noc, od tej chwili musiał działać bardzo rozważnie. Znajdzie Vogla albo dzisiaj, albo nie znajdzie go w ogóle. Ta historia zbliżała się już do końca, jakkolwiek miałby on być.

Dopiero teraz mógł wreszcie naprawdę zobaczyć, gdzie się znalazł i

przyjrzeć się drodze, jaką miał przed sobą. Popijając wodę rozejrzał się dookoła i spostrzegł, że rozbił swój obóz na niewielkiej skalnej półce. Był rzeczywiście świetnie ukryty. Tuż pod półką wzgórze opadało długim, stromym zboczem aż do zielonej doliny daleko w dole. Po prawej stronie stok był znacznie łagodniejszy i poprzez sosny i dęby schodził do szerokiego, skalistego żlebu. To tędy Vogel schodził po drugiej stronie góry. Patrząc w dół, Tannis widział tę drogę: zbiegała zakosami, kryła się wśród skał i w końcu pojawiała znowu, już w dolinie. Półka była doskonałym punktem obserwacyjnym. Uświadomił sobie, że gdyby miał czas, najlepszym rozwiązaniem byłoby zaczekać, aż Vogel powróci – bo chyba powróci? – i tutaj go zaatakować. Ale ponieważ nie miał ani czasu, ani jedzenia, ani wody, musiał więc w ten czy inny sposób przedostać się na drugą stronę doliny, bo tam właśnie z pewnością znajdował się teraz Vogel.

Teoretycznie nie powinno to być zbyt trudne. Sięgnął po lornetkę Vogla i przyjrzał się uważnie leżącej pod nim dolinie, aż po szarą linię wzgórz i urwisk. Jedna z soczewek uległa skrzywieniu, skutkiem czego obraz był dziwacznie wygięty, lecz to nie przeszkodziło mu w ocenie odległości i rozpoznaniu terenu. Miał do przebycia jakieś osiem mil, może trochę mniej, a choć grunt był skalisty – głazy, kamienie, żwir – przeprawa przez dolinę nie wydawała się zadaniem zbyt trudnym, nie powinna mu zająć więcej niż kilka godzin. Problem polegał na czymś innym. Vogel schował się pod ziemię – prawdopodobnie w całkiem dosłownym znaczeniu, skoro odkrył jakąś kopalnię. Należało go odnaleźć, a później zaskoczyć, co mogło zabrać bardzo wiele czasu. Z czym, oczywiście, wiązał się następny problem, patrole. Tutaj, pomyślał, opuszczając lornetkę, bardzo łatwo mogą mnie wypatrzeć.

Czy powinien zaryzykować? Miał na to wielką ochotę. Vogel nie powinien być daleko. Spoglądając w dół ze swojej półki, Tannis widział, że szlak schodzi w dolinę jakieś pół mili na północ od niego. Vogel z całą pewnością od tego miejsca pojechał przed siebie prosto jak strzełił, zбочzył w lewo lub w prawo najwyżej o kilka stopni. Powiedzmy, dziesięć stopni, pomyślał Tannis, i skierował lornetkę ku obszarom po przeciwległej stronie. Urwiska, poszarpane *bajada*, teren chyba zbyt trudny dla

konia. Ale dostrzegł też kilka parowów, które albo prowadziły na drugą stronę pasma wzgórz, albo były ślepyimi kanionami. Tak czy inaczej Vogel musiał wjechać w jeden z tych wąwozów; problem polegał jedynie na tym, by go odnaleźć. W najgorszym wypadku Tannis będzie musiał badać kolejno wejścia do wszystkich tych parowów, dopóki nie znajdzie wreszcie poszukiwanego śladu. Oczywiście będzie przez jakiś czas odsłonięty, zwłaszcza obserwatorowi powietrznemu łatwo go będzie wypatrzeć. Kiedy jednak przeprawi się już przez płaską część doliny, znajdzie z pewnością jakąś kryjówkę. Zresztą patrole helikopterowe koncentrowały swoją uwagę na granicy bazy.

Wszystko zatem przemawiało za tym, by jak najszybciej ruszać w drogę. Tymczasem Tannis odłożył lornetkę i czekał. Chociaż niełatwo było oprzeć się pokusie, wiedział, że nie wolno mu teraz wychodzić na odkrytą przestrzeń. Oprócz normalnych patroli, w związku z zabójstwem Buhlera i dochodzeniem prowadzonym w tej sprawie pojawiają się także specjalne, co do tego nie miał żadnych wątpliwości. *Po konsultacji z instytucjami stojącymi na straży prawa, oraz NSI, zwiększono liczbę patroli strzegących granic bazy.* Tak, z pewnością tak właśnie postąpili, w ten sposób najłatwiej było ochronić własną dupę, wykazać się inicjatywą. Zszedł przeto między drzewa, napił Księcia, przywiązał go do największej sosny i wrócił do dawnej kryjówki.

Czekał.

Po czterdziestu minutach usłyszał helikopter.

Nadleciał z tyłu, zza wysokich szczytów, a terkot silnika niósł się w dół po stoku, ścichł, gdy śmigłowiec opadł w kotłinę, a potem zabrzmiał głośno gdzieś bliżej. Maszyna wcale jednak nie była blisko; w górach dźwięk potrafi wyczyniać zadziwiające sztuczki. Kiedy ją wreszcie zobaczył, znajdowała się o milę od niego, przechylona w skřęcie, po którym wpłynęła nad dolinę. Potem helikopter wyprostował się i Tannis zobaczył białe znaki marynarki wojennej; był to oczywiście SH-2 Seasprite (typ używany w marynarce najczęściej). Obniżywszy lot, śmigłowiec skierował się w stronę wąwozu, przeskoczył nad przełęczą i szybko zniknął. Ale Tannis, skulony, nadal krył się za skałą, helikopter z pewnością wyposażony był w kamery, a najprawdopodobniej także i w noktowizory; ciepła

powierzchnia głazu powinna go osłonić przed jednymi i przed drugimi. Po trzech czy czterech minutach doleciał go znowu charakterystyczny odgłos, rozbrzmiewał gdzieś wyżej za jego plecami; nie obracając się słuchał zawrota turbiny i ciężkiego łopotu śmigła. I znowu dźwięk raptownie zgasł; maszyna musiała się skryć za kolejnym wzniesieniem. Tannis wyjrzał ostrożnie spoza skały, ale nie dostrzegł niczego, co mogłoby budzić niepokój. Po jakimś czasie raz jeszcze usłyszał helikopter lawirujący nad wzgórzami i żlebami, ale dźwięk wyraźnie cichł, maszyna oddalała się w stronę wschodu. Załoga patrolu trzymała się granicy bazy, starając się mieć ją po prawej stronie. Nie szukano niczego konkretnego, piloci wypełniali tylko formalny obowiązek, odhaczając pozycję w planie zajęć, a ponieważ tak ściśle trzymali się owej linii granicznej, najwidoczniej nie podejrzewali, że ktoś mógłby się znajdować wewnątrz niej.

Tak w każdym razie Tannis przypuszczał, wiedział też, że musi już przyjąć założenie, iż się nie myli. Było możliwe, że helikopter powtórzy rekonesans, ale żeby uzyskać całkowitą pewność, iż tamci odlecieli ostatecznie, musiałby czekać jeszcze kilka godzin, a na to nie mógł sobie pozwolić. Nie wolno mu było zwlekać ani minuty dłużej. Pospieszenie przeprowadził muła, osiodłał go i zanim zwierzę zorientowało się, co się dzieje, już prowadził je w poprzek zbocza, kierując się ku szlakowi Vogla. Gdy tylko tam dotarł, nie pozwalając sobie nawet na chwilę odpoczynku, ruszył w dół. Jakiś czas jechał na mule, potem, gdy zrobiło się zbyt stromo, zsiadł i poprowadził zwierzę za uzdę, przeciskając się pomiędzy skałami i uschniętymi sosnami. Pod pewnymi względami schodzenie okazało się trudniejsze od wspinaczki, teraz jednak widział wyraźnie wszystko dookoła, a to miało, oczywiście, olbrzymie znaczenie. Wszędzie, gdzie nawiedzały go wątpliwości – iść tędy czy tamtędy – rozglądał się za dyskretnymi oznaczeniami Vogla, i zawsze je odnajdywał. Księżę zapierał się, parskał i protestował, kładąc uszy po sobie, ale na stoku przewaga należała do Tannisa, który bezceremonialnie ciągnął zwierzę za sobą. Z początku osłonę zapewniały im sosny, dęby i strome ściany parowu, pomiędzy którymi posuwali się w dół. Im jednak niżej schodzili, tym bardziej się odsłaniali. Drzewa ustąpiły miejsca krzewom i mchom, parów przeszedł w szeroką nieckę, zarzuconą głazami i kamieniami. Wkrótce

poczuł powiew gorącego, pełnego pyłu powietrza pustynnego, w którym twardniało światło porannego słońca. I wreszcie, mrużąc oczy od blasku, znalazł się na równinie, na skraju pustyni.

Ściągnął cugle. Niedaleko przed sobą zobaczył wielki blok kamienny, przypominający latarnię morską na skraju jałowego wybrzeża. Skierował muła w cień; była to na razie ostatnia osłona, za którą mogli się schronić – tuż przed nimi rozciągał się, niby przedłużenie cienia wzgórz, pofałdowany pas bylicy i krzewów kreozotowych, potem jednak zaczynało się już zupełnie pustkowicie, popękane, ciche, nieruchome; nie kończąca się szarość. Było w tym coś hipnotyzującego i obezwładniającego wzrok. Tannis odniósł wrażenie, że musi się zdobyć na znaczny wysiłek woli, chcąc przenieść wzrok na szarą linię horyzontu, gdzie równina znowu podnosiła się, tworząc zbocza i urwiska, między którymi zaszył się Vogel. Zmrużywszy oczy, wpatrzył się w dal i porównał z rzeczywistością dokonaną wcześniej oceną odległości. Dystans był w istocie mniejszy. Muł nie był zmęczony. Gdyby dobrze go popędzał, w godzinę przebyłby nizinny pas. Ale nie mógł przecież zajeździć zwierzęcia. W którą stronę skierował się Vogel? Z obecnej perspektywy trudniej było odpowiedzieć na to pytanie. Muł powinien znać drogę, lecz zdanie się na jego pamięć oznaczałoby zarazem dostosowanie się do jego kroku, który z całą pewnością nie będzie szybki. Tannis wątpił, by znajdowały się tutaj jakieś oznaczenia; choćby nawet Vogel drogę tę przebywał najczęściej w nocy, światła wystarczyło tu na to, by móc trzymać się trasy, a poza tym mógł korzystać z kompasu. Tannis musiał więc odnaleźć ślady Vogla. Przy odrobinie szczęścia nie powinno to być zbyt trudne, ale oczywiście posuwałby się znacznie wolniej. Straciłby dwie, może trzy godziny. A przez cały ten czas on i muł będą się rzucać w oczy jak barwna plama na jasnym obrusie.

Mógłby uznać, że to pod wpływem tej myśli zawałał się przez chwilę, ale tak naprawdę przyczyną był lęk przed nocnym powrotem. Przesuwając oczyma po niebie – doskonały, czysty błękit z jakiegoś obrazu surrealistycznego i trzy białe chmurki, pyzate jak buzia niemowlęcia – znowu doznał wrażenia, iż przeoczył coś bardzo ważnego, co leżało gdzieś tuż pod samym nosem. Coś zupełnie oczywistego, tyle że ciągle nie wiedział, co to takiego. Zapomniał o czymś, już za chwilę sobie przypomni i wtedy

powie: „Och, oczywiście”. Raz jeszcze usłyszał ów wewnętrzny głos ostrzegający, by wracał, uciekał, póki jeszcze można. Vogel prowadził go gdzieś celowo, podobnie jak zwabił w to miejsce obok lotniska w Trona, ale jakże teraz Tannis mógłby zawrócić? Osłonił oczy ręką, wpatrując się w dal, jakby w nadziei, że znajdzie tam coś, co posłuży mu za usprawiedliwienie odwrotu, dostrzegł jednak coś, co stanowiło argument na rzecz przeciwnej decyzji. Po lewej stronie, daleko nad zachodnim horyzontem, zobaczył jasny krótki błysk. Wiedział od razu, że to samolot, a choć błysk natychmiast zgasł, jego oczy instynktownie odtworzyły trajektorię i odnalazły go po paru sekundach. Maszyna musiała wystartować przed chwilą z Armitage Field i krążyła teraz nad nim, nabierając wysokości. Sięgnął za siebie po lornetkę Vogla. Ale zanim ją jeszcze znalazł, samolot ukazał mu się z profilu: przesunięte do tyłu skrzydła, wlot turbiny wyszczerzony jak u rekina. F-8 Crusader. Stara maszyna, niemal z tych samych czasów, co on sam. „Ostatni rewolwerowiec”, mówiono o niej. W 1957 John Glenn na tym samolocie dokonał pierwszego przelotu z szybkością ponaddwukrotną nad Ameryką Północną. Choć nie używano ich już do celów operacyjnych, jednak parę jeszcze przetrwało, w centrum raketowym wykorzystywano je do specjalnych testów. I to właśnie było najważniejsze, albowiem żaden oficer, odpowiedzialny za bezpieczeństwo w powietrzu, nie dopuści do rozpoczęcia testów, dopóki w pobliżu kręcą się helikoptery. Nie było zatem nic, co mogło go powstrzymać, i kiedy do jego uszu dotarł pomruk wielkich turbin firmy Pratt & Whitney, Tannis wyprowadzał już muła na pustynię.

Odczuwał jakiś niejasny niepokój, ale nie zmniejszyło to w najmniejszym nawet stopniu jego sprawności. Na tej pustyni zdarzało mu się tropić już wszystko, od dzików po kojoty, i wiedział, jak to robić. Obciążony tym samym zadaniem Księcia i swoje bystre oczy: szukając odcisków kopyt w twardym gruncie, posuwali się w stronę krążącego o milę dalej kruka, dopóki nie wylądował w końcu na kupce odchodów. W pewnym momencie Tannis zsunął się z siodła, przykląkł i obejrzał na pół spalony wrak firebee, te bezzałogowe samoloty pełniły kiedyś rolę celów dla Sidewinderów, setki ich rozrzucone były po pustyni. Ten po prostu zarył się niemal łagodnie w ziemię, a jego czerwoną farbę wiatr starł przez trzydzieści lat

tak dokładnie, że połyskiwał teraz w słońcu niby światło ostrzegawcze. I rzeczywiście oznaczał pewną granicę, dalej bowiem ślady Vogla odbijały się już w piasku. Tutaj skręcił. Wydawało się, że Księżę pamięta to miejsce, gdyż spuścił nozdrza jak pies i żwawo ruszył przed siebie. Nie było więc tak źle, szczególnie na odcinku o długości około mili, gdzie tropy odcisnęły się wyraźnie w soli, tworzącej na ziemi cienką skorupę. Wkrótce znaleźli się już blisko przeciwległego krańca doliny. Podniósł do oczu lornetkę. Widział przed sobą pasmo wzgórz, przypominających bryły szarej gliny, które stwardniały na kamień i popękały tu i ówdzie. Te szczeliny stanowiły wąwozy lub kaniony. Trzy leżały mniej więcej naprzeciw niego; urwiska wznosiły się ku niebu jak palce okaleczonej dłoni. Było rzeczą możliwą, że jeden z tych parowów prowadził na drugą stronę pasma, do dolin i wzgórz układających się w Coso Range i Coso Diggins, znane z bogatych pokładów srebra. Znajdowały się tam setki kopalń i kiedy tereny te przejmowała marynarka, musiała wykupić prawa do tysięcy działek, w tym także dokument jego ojca. Gdyby jednak Vogel tam właśnie zmierzał, wybrałby bardzo niedobłą drogę, pomyślał Tannis. Znacznie prościej byłoby wyruszyć od północnej granicy bazy, z Darwin, w dodatku wędrowałby wtedy stale pośród wzgórz, a nie przez ten niebezpieczny, otwarty teren. Nie, Tannis był pewien, że Vogel znajdował się znacznie bliżej, w jednym z otwierających się nie opodal wąwozów.

Popędził muła. Słońce wznosiło się coraz wyżej i cienie – jego i zwierzęcia – tworzyły czarną plamę na szarej ziemi. Im bliżej był stromych stoków, tym silniej czuł, jak jaskrawo odcina się od otaczającego pejzażu; choć wobec ogromu tych gór przypominał teraz zapewne karzełka, to jednak na tle ich nieruchomych i spokojnych sylwetek jego ruch stawał się wyraźniejszy. Mogło mu się oczywiście tylko tak wydawać, jednakże kroki Księcia słyszał teraz głośniejszy, miał też wrażenie, że mięśnie muła poruszały się bardziej wyraziście pod połyskującą sierścią. Ale niebo było nadal nieskazitelnie błękitne, trzy chmurki jakby zastygły na nim w bezruchu, gotów byłby przysiąc, że nie przesunął się nawet o cal w stosunku do nich. Gdy tak jednak krok za krokiem przybliżali się ku wzgórzom, szlak Vogla zaczął się odchyłać w bok, z początku łagodnie, potem naraz skręcił ostro. Można było zatem z całą niemal pewnością wyeliminować wąwoz

położony najdalej na wschód. Pozostały więc tylko dwa. Tworzyły naturalne rozwidlenie, a w odległości mniej więcej ćwierć mili od wejścia do nich teren się zmieniał i przechodził w zbocze pokryte kamieniami i żwirrem, które pozostawiły rzeki, ongiś tędy płynące. Trop Vogla zniknął na twardym i kamienistym podłożu, ale Tannis puścił wolno wodze i pozwolił mułowi odnaleźć drogę. Zwierzę skręciło w lewo – potwierdziło się zatem, że wschodniego wąwozu można nie brać pod uwagę. Zbocze stało się coraz bardziej strome, na tyle, że muł zaczął się zapierać przednimi nogami. Niepostrzeżenie znaleźli się w wąwozie, który początkowo był tylko szeroką niecką o płaskich zboczach, wznoszących się zaledwie na trzydzieści stóp. Wyglądało na to, że droga wiedzie donikąd. Dalej ściany wąwozu stawały się bardziej strome, lecz miękko wyginały się u dołu, nadając kanionowi kształt litery U. Ale dotarliszy tam, Tannis spostrzegł, iż wąwóz skręca teraz gwałtownie, zwężając się w przesmyk, a potem staje się znowu szeroki. Zawahał się na chwilę, potem ruszył przed siebie. Kiedy minął zwężenie, okazało się, że wąwóz jest teraz węższy i wyższy, strome ściany wznosiły się na sześćdziesiąt, osiemdziesiąt stóp, tak że słońce oświetlało tylko ich górną część, dno doliny pokrywał zimny, brązowawy cień. Przejechał jakieś pięćdziesiąt jardów, po czym stwierdził, że znalazł się w potrzasku.

Ściągnął wodze i zastygł w bezruchu. Rozejrzał się dokoła. Nie uległo wątpliwości, że to pułapka, i to licząca co najmniej dwa tysiące lat. Za pomocą lornetki Vogla obejrzał skalne ściany po obu stronach i odnalazł setki, tysiące petroglifów. Stylizowane postacie ludzi, owiec, psów, tarcze z abstrakcyjnymi znakami, wysmukli mężczyźni jak ze snu, trójpalczaści, z wielkimi fallusami, rogami, wieloma oczyma. Na szczycie skały zamykającej kanion zobaczył trzech myśliwych: postacie ludzkie, pracowicie utworzone z ułożonych na sobie wielkich kamieni, jak bałwany śniegowe, jak wielkie chochoły. Bardzo dobrze wiedział, jaka jest ich funkcja, sam odnalazł niegdyś wiele takich miejsc. Setki ich można było zobaczyć w górach i kanionach w bezpośrednim sąsiedztwie bazy. Stworzyła je nieznaną rasę Indian, która wyginęła, na długo zanim w tej części pustyni pojawili się historyczni Indianie. Polowali za pomocą miotaczy dzid, zwanych *atlatlami* (łuki i strzały wynaleziono na tych terenach znacznie póź-

niej), a ich totemicznym znakiem był baran z wielkimi rogami i wzniesionymi do skoku nogami. Współcześni Indianie uważali te petroglify za dzieła religijne, przedstawiające bogów lub duchy, ale paru naukowców z NOTS z ciekawości zajęło się zagadką ich znaczenia. Ustalili, że są to formuły, wyliczenia, obrazy, które służyły do zwabiania dzikich zwierząt w kaniony i jary, gdzie zabijali je myśliwi, ukryci wśród głazów sterczących na zboczach. W magicznych znakach zamknięto wiedzę znakomitą, przekazywaną z pokolenia na pokolenie, aż do chwili gdy owce zostały doszczętnie wytopione i zniknęli też sami myśliwi. Owe dziwne znaki i figury były jedyną pozostałością po nich. Tannis dzięki nim dokonał niezwykle ważnego stwierdzenia. Znajdował się nie w wąwozie prowadzącym na drugą stronę pasma gór, lecz w ślepych kanionie, który oto kończył się przed nim. Vogel musiał więc z pewnością być gdzieś tutaj. Nietrudno było zgadnąć, że najprawdopodobniej ukrył się w jednej z jaskiń służących za schronienie dawnym mieszkańcom tych terenów i być może w tej właśnie chwili go obserwuje. Tannis poczuł się niewyraźnie. Nie wyczuwał wprawdzie swoim szóstym zmysłem, że jest śledzony, ale sytuacja zdecydowanie mu się nie podobała.

Uświadomił sobie natychmiast, że siedząc w siodle jest doskonale widoczny, szybko więc zsunął się na ziemię i cofnął za Księcia, tak by zwierzę odgradzało go od czoła kanionu. Trącony przez Tannisa muł ruszył do przodu. Po dwudziestu jardach skalisty teren nagle się skończył, ustępując miejsca piaszczystemu pasmu. Żyjące w tej części pustyni dzikie osły i konie przybywały tutaj, by wygrzebywać kałuże, jako że woda utrzymywała się w piasku niemal przez cały rok. Przesunął wzrok dalej i zobaczył ślady konia Vogla, który, sądząc po nich, jechał bez pośpiechu. Powiódł spojrzeniem po ścianach. Wznosiły się w tym miejscu wysoko i tylko wschodnią oświetlało jeszcze słońce. Poza tym wszystko skryte było w półmroku i dobrze wiedział, że jeśli Vogel schował się gdzieś tam w górze, on go nie odnajdzie, zresztą w jaki sposób udałoby mu się tam dotrzeć? Tak czy inaczej, Tannis mógł tylko posuwać się do przodu lub zawrócić, nie miał innego wyboru. Znowu popchnął muła. Przed nim kanion stawał się coraz węższy – nietrudno było sobie wyobrazić owce kłębiące się tu w panice. Po obu stronach jego wzrok napotykał kryjówki padaw-

nych myśliwych. Zbudowano je – na tyle wysoko, by pociski można było ciskać w dół – z kamieni ułożonych jeden na drugim; przypominały dziecięce forty śnieżne. Miały zaledwie kilka stóp wysokości, mogły jednak zasłonić kłęzącego mężczyznę. Stał przez chwilę, przypatrując się kolejno każdej z nich, i zauważył, iż jedna różni się od reszty: zapadła się w ziemię. Ten szczegół nie miał żadnego znaczenia, ale ponieważ przyciągnął jego uwagę, chwycił za cugle i gwałtownie pociągnął Księcia pod górę.

To właśnie był ten traf, nie miał żadnego określonego celu, instynktownie przerwał swój regularny marsz dnem kanionu. Kiedy jednak dotarł do upatrzonego miejsca, ogarnęło go uczucie zadowolenia: teraz znalazł się w korzystnym położeniu, to on patrzył w dół. Przyłożywszy do oczu lornetkę, widział dokładnie drogę Vogla wijącą się w górę, a pięćdziesiąt metrów dalej skręcającą gwałtownie w bok. Postanowił, że nie pojedzie już dalej na mule, lecz dokona pieszego rekonesansu.

Podjąwszy tę decyzję, podszedł do Księcia, sięgnął do torby po naczynie z wodą, a kiedy pił, z nogą opartą na kamieniu, znowu to zobaczył. Osłona zbudowana z kawałków bazaltu zapadła się, ale w dziwnie regularny sposób, układając się w kształt stożka. Nie była to zwyczajna sterta kamieni, i właśnie w momencie kiedy uzmysłowił sobie osobliwość tego faktu – po cóż ktoś miałby przewracać te kamienie, a co więcej, układać je aż tak starannie – coś błysnęło w piasku pod jego nogami. Schylił się i podniósł dziesięciocentówkę, matową, cienką dziesięciocentówkę, z Rooseveltem po jednej stronie i Pochodnią Wolności po drugiej. *In God We Trust*, 1959. Trzymał monetę w dwóch palcach, wpatrując się w nią uważnie. 1959. Tak, blisko tamtego roku. Roku Harpera... Choć oczywiście, mógł ją zgubić każdy w dowolnej zupełnie chwili. Kiedy jednak cofnął się o krok, zrozumiał, że moneta wcale nie została zgubiona. Zaczął odwalac kamienie i niemal natychmiast (nie było ich aż tak wiele) domyślił się, co znajdzie. Myśliwska kryjówka stała się kurhanem; spod kamieni wyłoniła się jedna kość, druga, zobaczył cały ich stos; stary, poczerniały ludzki szkielet. Czaszka była zmiażdżona, ale długie kości nóg i miednicę rozpoznał bez trudu. Żebra oddzieliły się od kręgosłupa, ale leżały ułożone zgodnie z ich naturalną kolejnością. Z boku dojrzał dłoń, odwró-

coną grzbietem do góry, poczerniałą i popękaną, ciągle jednak zachowującą misterny kształt. Przypominała wychudzoną dłoń starej damy.

Przez chwilę trwał bez ruchu. Wydawało mu się to konieczne, nieodzowne. Ale potem musiał się rozejrzeć wokół, spojrzeć na milczące znaki rozsiane po ścianach, na martwych kamiennych myśliwych sterzających na szczycie, na cichy, spokojny kanion. Z trudem łapał oddech. Wszystko nagle zaczęło do siebie pasować. Tannis wiedział teraz z całą pewnością, że został wciągnięty w pułapkę, wyprowadzony w pole, że to nie on tropił, lecz jego wytropiono. Doprowadzono go tutaj równie bezbłędnie, jak przed wiekami zwabiano tu owce. I teraz, w tej ostatniej chwili, mógł już tylko zawyc z wściekłości. Nic nie rozumiał. Dlaczego, ćwierć wieku przed Buhlerem, zabito tu innego człowieka; tutaj, na tym bezludziu, pięćdziesiąt jardów od trasy Vogla? Kim był ów człowiek? I raz jeszcze, jaki to miało związku z Harperem? Nie potrafił odpowiedzieć na żadne z tych pytań; pozostała mu już tylko wola, dziwna siła jej bezwładności: *idź, spróbuj*. Choć więc było to szaleństwem, podszedł do Księcia, wdrapał się na siodło i odsłonięty, zjechał powoli ze stoku, po czym skierował muła ku drugiemu zakrętowi, patrząc uważnie w jego stronę. Bardzo często tym, co decydowało o nagłej wewnętrznej mobilizacji Tannisa, był nie sam przedmiot, który widział, lecz sposób widzenia: ostry obraz na końcu odwróconego teleskopu, załamanie promienia słonecznego w nieruchomej wodzie, wychwycenie refleksu na szybie okiennej. Teraz wyraźnie widział przed sobą po prostu zakręt drogi. Musiał mieć chyba oczy także z tyłu głowy... Wszystko rozegrało się w ciągu jednej sekundy: najpierw schylił głowę, potem kula świsnęła mu koło karku, a następnie muł zaryczał przeraźliwie, kiedy od ściany kanionu odbił się huk wystrzału.

Z tyłu.

Gwałtownie zawrócił muła.

Pięćdziesiąt metrów za nim stał mężczyzna – musiał chyba skradać się za jego plecami – z karabinem w dłoni. Wysoki, szczupły, stary, chudy mężczyzna w szerokim słomkowym kapeluszu. Za jedną z myśliwskich osłon.

– Jack...

Powiedział tylko to jedno słowo. Głos zabrzmiał jakoś dziwnie znajomo.

mo. Ale potem uniósł broń i wycelował. Tannis musiał zginąć. Nie było po prostu innej możliwości: człowiek, który zadał sobie trud i kupuje karabin, nauczy się nim posługiwać przynajmniej na tyle, że nie spudłuje w takiej sytuacji – gdy cel wielkości dorosłego człowieka znajduje się w odległości pięćdziesięciu jardów od niego. Tak naprawdę Tannis nie myślał o tym, że kiedyś trzeba będzie umrzeć, ale kiedy ten moment wreszcie nadszedł, poczuł strach, trwający nie dłużej niż dwie sekundy. Było rzeczą oczywistą, że nic nie może go uratować. Prócz Boga. I ostatecznie to Bóg go uchronił, *deus ex machina*, w dosłownym tego słowa znaczeniu. W tym bowiem momencie nadleciał F-8, ten sam, który Tannis widział wcześniej, i zaczął sunąć nisko nad ziemią wzdłuż kanionu. Nie miał tu najprawdopodobniej nic do roboty. Był to samolot zbyt stary i zbyt ciężki, by się nadawał do wykonywania akrobacji, może jednak pilot, umknąwszy radarom, drocząc się z operatorami, postanowił trochę się zabawić i spróbować lotu koszącego z szybkością 400 mil na godzinę, tak po prostu dla hecy, by zaprezentować swe umiejętności. Nadleciał błyskawicznie, Vogel nie słyszał, jak się zbliża, gdyż dźwięk biegł dopiero kilkaset jardów za samolotem. I nagle był tuż nad jego głową, przerażająca zjawą, kadłub zabłysnął jaskrawym blaskiem. Straszliwa siła huku zwała Vogla z nóg i przyniotła go do ziemi, wystrzelił wprawdzie, ale zupełnie na oślep. Maszyna była już tymczasem za Tannisem i za mułem; oszalałe z przerażenia zwierzę gnało drogą, którą tu przybyli, wprost na Vogla, minął go, a potem popędziło w dół wąwozu. Tannis trzymał już w ręku colta i strzelał za siebie. Nie miał szans trafić tamtego, chodziło o to żeby nie pozwolić mu wstać. I to się udało. Po chwili było już za późno. Jacka nie było, Jacka nie było od dawna, Jack należał do zamierchłej przeszłości. I nareszcie zrozumiał już wszystko.

CZEŚĆ II

Cel i tło

Źródła promieniowania podczerwonego mogą być naturalne lub sztuczne, ale z technicznego punktu widzenia bardziej użyteczne jest odróżnienie celu i tła. Cel to obiekt, który ma zostać wykryty, umiejscowiony lub zidentyfikowany za pomocą technik podczerwiennych. Tło to wszelkie zewnętrzne, w stosunku do urządzenia obserwacyjnego, promieniowanie, które może wpływać na proces wykrywania. Dany obiekt może zatem czasami być celem, a czasami stanowić fragment tła, w zależności od intencji obserwatora... Można więc powiedzieć, że to, co dla jednego jest celem, dla innego jest tłem.

HOLTER, NUDLEMAN, SUJTS, WOLFE & ZISSIS
Fundamentals of Infrared Technology

Rozdział 7

David Harper spojrział na Annę, dziergającą na drutach sweter dla swego dziesięcioletniego syna, Dereka. Z pochyloną głową, szybko poruszała drutami, nieświadoma, że na nią patrzy.

Znajdowali się w jej domku na przedmieściach Kirkcudbright w południowo-zachodniej Szkocji; siedzieli obok kominka po przeciwnych stronach długiego mahoniowego stołu. Po stronie Davida leżały na nim części kamery filmowej, którą właśnie naprawiał, po stronie Anny stał wiklinowy koszyk z dwoma kłębkami niebieskiej wełny, a obok niego książeczka ze wzorami ściegów, przytrzymywana na otwartej stronie pustym dzbankiem po kawie.

Od godziny oboje zajęci byli swoją pracą, z tym, że co pewien czas wymieniali między sobą jakieś nieistotne uwagi.

Przed każdym z nich stała lampka, rzucająca mały krąg światła, ale reszta pokoju pogrążona była w ciemnościach i tylko na fotografiach, wiszących w ramkach nad kominkiem, odbijały się jasne refleksy. W mroku same zdjęcia były niedostrzegalne, ale każde z nich wiedziało, co przedstawiają: niedźwiedzia polarnego, kolibra, lamparta w skoku. Minęła już północ. Druty szczykały cicho w rękach Anny. Co parę minut rozlegał się cichy skrzyp sprężyn, kiedy poprawiali się na siedzeniach – Anna w antycznym chesterfieldzie, David w ogromnym, wysłużonym fotelu. Od czasu do czasu podmuch wiatru znad Solway Firth uderzał o szybę.

David spojrział na Annę, przyglądał się jej przez chwilę, a następnie sięgnął po ostatni fragment obudowy kamery i starannie go przykręcił. Podniósł aparat, zważył go w dłoni i odłożył na stół, a potem złożył swoje narzędzia pracy, zestaw pięciu różnego rozmiaru śrubokrętów – wsuwało się je kolejno jeden w drugi i w ten sposób wszystkie mieściły się w ręczce największego. Dokręcił wieczko zamykające całość i położył zestaw na blacie stołu. Usłyszawszy cichy dźwięk, podniosła wzrok.

- Skończone?
- Zrobiłem tyle, ile potrafiłem.
- Będzie działać?
- Chyba tak. Mam zresztą jeszcze jedną.

Przerwała swą robotę i spojrzała w jego stronę. Jak zwykle jej wzrok przyciągnęły piękne, bardzo męskie usta Davida.

- Czy twój ojciec naprawiał kamery? – zapytała.

Przytaknął, po czym nagle uświadomił sobie, że jest mu jakoś niezręcznie o tym mówić.

– Tak – rzekł. – W RAF-ie. Wielkie kamery zwiadowcze. Gdyby on się zajął moją, byłaby gotowa już pół godziny temu.

– Więc fotografowanie było dla ciebie czymś naturalnym? Kiedy zacząłeś nim się interesować?

– Może i było czymś naturalnym, ale jako chłopak wcale się tym nie pasjonowałem. Chciałem być pilotem, potem zamierzałem zostać mechanikiem lotniczym. Gdybym nie poszedł na uniwersytet, tak by się pewnie stało.

- Ale poszedłeś.
- Poszedłem. I dlatego jestem mechanikiem amatorem.

Uśmiechnęła się i powróciła do swej robotki. Przed pójściem do łóżka chciała skończyć pierwszy rękaw, przynajmniej do mankietu. Przez chwilę pracowała w milczeniu, ale potem jej ręce znowu znieruchomiały.

– Myślę, że niewielu jest ludzi, którzy dorósłszy wykonują rzeczywiście zawód, o którym marzyli w dzieciństwie. W każdym razie w dzisiejszych czasach. Derek najpierw chciał być badaczem, jak Scott. Potem kapitanem statku. A pewnie i tak wszystko się skończy na przekładaniu papierków.

– Ale przecież są tacy, którzy zostają naprawdę kapitanami statków. I pewnie wszystkie tancerki już jako dziewczynki marzyły o tym właśnie zawodzie. Niektórym się udaje.

– Może to jest jeden z najistotniejszych podziałów między ludźmi. Na tych, którym się to udaje, i tych, którym los tego odmówił.

Nic nie powiedział, powróciła więc do swojego zajęcia. W trakcie rozmowy niepostrzeżenie wycofał się w głąb siebie, teraz przesunął się z fotelem w cień, poza krąg światła. Kiedy się poruszył – dlatego że się poruszył – przez pokój przepłynęło coś niby strumień, potoczyło się obok mrocznych okien, załamało się kaskadą w miejscu, gdzie siedziała, a potem rozlało się wokół niego, podczas gdy on spokojnie się jej przyglądał. Jej widok sprawiał mu przyjemność, a widział ją dokładnie, zupełnie jakby siedziała na słońcu, w chwilę po wyjściu z wody. Była w niej jakaś jasność. Miała na sobie biały aksamitny szlafrok, narzucony na długą niebieską koszulę nocną, na nogach słomkowe sandały. Złote włosy pełne miedzianych iskier, niemal już suche po niedawnym umyciu, układały się gładko wokół głowy. Także jej biała skóra wyglądała jak pokryta złotem i miedzią, a pełne, karminowe usta otaczała srebrna obwódka. Widział kiedyś wyrób wikingów, żelazną sprzączkę z misternym srebrnym wzorem, i przypomniał ją sobie teraz, gdyż Anna miała właśnie taką surową północną urodę. Nie znalazłoby się w niej nic egzotycznego. Było to proste piękno, mając trzydzieści sześć lat zachowywała nadal urodę uczennicy. To, co teraz odczuwał patrząc na nią, po prostu tylko patrząc, nic więcej, przypominało przyjemność, jakiej doznaje licealista, który wpatruje się urzeczony w zupełnie tego nieświadomą koleżankę. W skupieniu dziergała zawily wzór na rękawie swetra. Spojrzał na jej ręce. Zgrabne dłonie, wysmukłe palce, z wyraźnie zaznaczonymi kostkami. Natychmiast przypłynęło wspomnienie, przypomniał sobie ów dzień, okoliczności towarzyszące, ale skoncentrował się na samym obrazie. Wszedłszy do płytkiego płynącego leniwie strumienia, klęczy na kamieniu i pierze sweter. Niebieskie dzinsy zamoczone do kolan, a biała koszula przesunęła się po pochylonych plecach, ukazując brązowawe ciało i gruzelki kręgosłupa. Rozsypane włosy zasłaniają twarz. Widać natomiast nieduże, dziecinne niemal piąstki, szorujące rozpostartą na kamieniu wełnę.

Poczuł, że członek rośnie, wznosi się i sztywnieje, nie poruszył się jednak. Przez moment poczuł głęboką, cudowną radość, ale już w następnej chwili ogarnęła go trwoga, strach nie o nią, lecz jakiś niejasny lęk o siebie samego, jak gdyby rzeczywiście był znowu uczniakiem, jakby jego niewinne pragnienie przez jakiś przewrotny trybunał zostało uznane za niezdrowe pożądanie. Co zamierzał uczynić? I czy to zrobi? W ciemności nie widział siebie, ale co zobaczy ona? Gardło miał suche i ściśnięte, słowa nie mogły się wydobyć na zewnątrz. To właśnie było najgorsze: język miał sparaliżowany niczym ucniak. Rzecz w tym, że łączył ich dotąd związek innego zgoła rodzaju; David miał szczególny status w tym domu. Znali się od wielu lat, on przyjaźnił się z jej nieżyjącym mężem, dla jej syna był kimś w rodzaju wujka. Cokolwiek by powiedział i jakkolwiek by była jej reakcja, wszystko byłoby próbą uniknięcia ryzyka i uchronienia tego, co stało się już tylko wspomnieniem. Ale nie było powrotu. Nagle poczuł bolesny żal za tym, co minęło, przypomniał sobie to popołudnie, gdy odwróciła się w drzwiach i zapytała, czy chce, by mu przywiozła coś z miasta. Nigdy już więcej nie usłyszy tego tonu prostej życzliwości w jej głosie, a w każdym razie nie zabrzmiał już nigdy tak jak wtedy. Byli sobie bardzo bliscy, ale ową bliskość określała nie dająca się usunąć przepaść, nad którą nie dałoby się w żaden sposób przerzucić mostu, można było najwyżej skakać. Dlatego nieporuszony czekał w ciemności. I pomału strach mijał, ustępując miejsca jakiejś szczególnej niemocy. A jednocześnie jego nabrzmiała męskość zmiękła, zwiotczała trochę. Poczuł o to do siebie niemal pretensję, ogarnęła go dziecinna wściekłość, doznał uczucia strasznego zawodu. Ale – tak jak wtedy, gdy dawał o sobie znać jakiś stary zły nawyk – wiedział, że ma do czynienia z refleksem przeszłości, który należy zignorować. Siedział więc nadal wpatrzony w Annę, w jej skupioną twarz, pracowite, kochane ręce, zarys piersi – wszystko zalane światłem – i nagle poczuł, że męskość znowu twardnieje i wzrasta: wtedy wstał, dwoma krokami pokonał mroczną przestrzeń, która ich oddzielała, i usiadł koło Anny.

Szybko podniosła zaskoczone spojrzenie, jej wargi rozchyliły się w grymasie zdziwienia. Natychmiast ją pocałował, nie zostawiając czasu, by zapanowała nad mieszanym. Wargi ugięły się miękko pod naciskiem

jego warg. Nastąpił powolny, długi pocałunek, który powiedział wszystko; nie mogło być już żadnych wątpliwości. Oderwał się od niej i już w tej samej chwili całował znowu, delikatnie przesuwając usta, aż jej górna warga znalazła się między nimi. Powolutku odchylił głowę. Warga Anny wysunęła się z jego warg i wtedy rozluźnił swój uścisk.

Uwolnwszy ją, poczuł ulgę, przypomniało to nagły powiew łagodnego wiatru. Znowu był daleko. Może już iść spać. Był teraz podobny do gracza, który w chwili, gdy kości jeszcze wirują, zamyka oczy w oczekiwaniu na wyrok losu. Teraz wszystko zależało od niej. Choć nie do końca. Odwróciła wzrok, jej ciało wykonało półobrót, w jej oczach dostrzec mógł niepewność i lęk, płonące w nich światło jakby przygasło, a skóra zmatowiała. Zobaczył, jak nieznacznie, spokojnie odsuwa się; nie wiedział, czy powinien pozwolić jej się wycofać, czy przyciągnąć ją z powrotem, więc uniósł tylko dłoń do jej policzka i pozwolił osuwać się kciukowi aż do małego zagłębienia pod uchem, a ten drobny manewr przeciwstawiał się napięciu w jej ciele. Wydała lekki pomruk, cichy dźwięk, oznaczający przyzwolenie gdzieś z głębi piersi, jakby mówiła do siebie, a potem przemogła się, przysunęła do niego i oto była w jego ramionach, z rozchyłonymi ustami; jej piersi unosiły się w szybkim oddechu.

Jak długo czekała? Dopiero później zaczął się zastanawiać, ile czasu była bez mężczyzny. Całowała tak tkliwie, niezgrabnie, dziecinnie. Było to coś, czego już nie pamiętała, choć w jej ustach, które przywarły do jego warg, przechował się jakiś miniony czas: radość, szczęśliwy poranek, mąż, pocałunek dziecka, pocałunek na dobranoc. I podobnie, kiedy rozpiął koszulę nocną, wydawało się, że jej piersi, nabrzmiałe, zanim jeszcze spoczęła na nich jego ręka, zaskoczyły ją swoim bezwstydem. Dotknął sutek; westchnęła, ciągle jakby zdziwiona, a potem jęknęła, rozpoznając to, co znów odczuwała. Kiedy ściągnęła przez głowę jedwabną długą koszulę, wydawało się, że ofiarowuje całą historię swej urody, była i dzieckiem, i młodziutką dziewczyną, ale gdy wreszcie pozbyła się swego stroju, szybkim ruchem głowy rozrzuciła włosy, zastygł bez tchu, tak była piękna. Naprawdę piękna. Włosy płonęły wokół twarzy, skóra połyskiwała w świetle lampy. Gdy odchylił się do tyłu i jej piersi wyprężyły się nagle, dostrzegł w jej oczach błysk dumy, zarumieniła się zadowolona, niczym

dziewczyna, która w skrytości ducha cieszy się, że ma piersi większe niż koleżanki. To był jej sekret. Kochał jej piersi i natychmiast dał tego dowód. Kiedy pokrywał je pocałunkami, przy każdym z nich głęboko wzdychała. Wsypał sutki, naciskał je językiem, ujmował w zęby, podczas gdy niżej jego palce wślizgnęły się w nią i stały się źródłem innej jeszcze rozkoszy. Teraz z jej ust wydobywał się przeciągły, falujący jęk. Ale nagle opanowała się i odepchnęła go od siebie. Przez chwilę trwali tak jedno tuż przy drugim z głowami pochylonymi ku sobie, policzek przy policzku. Potem, naciskając palcami jego pierś, odsunęła go jeszcze trochę dalej, przybrał więc, opierając się kolanami o fotel, pozycję pół klęczącą, pół stojącą. Pomiędzy jego udami przeżył się spięty jeździec. Spojrzała w dół. Chciała go zobaczyć. I patrzyła. Potem jej ręka pobiegła w dół, ujęła czolek i ścisnęła mocno, lecz jakoś nieporadnie, jak gdyby chciała się przekonać, że jest rzeczywisty i jest tu naprawdę. Stała tak przez chwilę, a potem odsunęła Davida jeszcze odrobinę dalej, i gdy spojrzała mu w oczy, miał już przed sobą dojrzałą, pewną siebie kobietę, która chciała tego i akceptowała świadomie wszystkie konsekwencje. Znała siebie samą i wiedziała też, kim jest on. Jakby dla potwierdzenia tego wyszeptła po raz pierwszy jego imię, David, David, i potem z naturalnością zwierzęcia, które pije, by zaspokoić pragnienie, powędrowała ustami w dół po jego ciele. Były to pieszczoty tak delikatne, że niemal ich nie czuł; delikatne dotknięcia, liźnięcia leciutkie jak muśnięcie powietrza, miękkie, rozważne, przymilne, obiecujące, które dopiero stopniowo nabierały siły, wciągały na chwilę skórę, by już zaraz ją wypuścić. Aż w końcu usta miały go w sobie. Gwałtownie drgnął, wypełniając ją, powierzając jej siebie. Jęknął. I tego właśnie chciała. Zamruczała w odpowiedzi, lekki okrzyk, który przerodził się w stłumiony głos jej własnej rozkoszy, coś dawno zagubionego, a teraz znowu odnalezionego. Lizęła. Ssała. Aż wreszcie jej usta oszalały. Ledwie mógł zapanować nad sobą, ale owionął go słodki, lekki chłód; te usta były jak źródło bijące z tajnych, sekretnych głębi, czarodziejski potok zalewał ich oboje: spowalniał jego pożar, a jej pozwalał utrzymać jego żar. Kiedy go wreszcie wypuściła, jej wargi lśniły, wilgocią i z dziecięcą prostotą otarła je wierzchem dłoni. Potem odgarnęła włosy, splotła je z tyłu, odrzuciła głowę i opadła na plecy, tuląc policzek do poduszki. Ciągle był

jeszcze w połowie ubrany; spokojnie zdejmował z siebie resztę odzienia, a nabrzmiały członek kołysał się, wychylony ku niej. Rozwarła nogi, kiedy klęknął przy niej z jedną stopą wciąż opartą na podłodze. Wszedł w nią jednym płynnym ruchem. Westchnęła, a on niemal się roześmiał, tak łatwo to poszło. Przyciągnęła go do siebie, jego twarz przywarła do jej policzka. Poruszał się, całym ciałem, za każdym razem na całą długość, wiedząc, że tego chciała, aż nagle lekkim ściśnięciem przytrzymała go. Krzyknął z rozkoszy, wtedy go puściła, ale tylko po to, by natychmiast schwytać znowu. Należał do niej. Czekala tak długo, iż z pewnością nie pozwoli mu teraz odejść. Kołysali się, płynęli, bawiąc się, igrając, aż rozwarła się przed nim bez reszty, targnęła gwałtownie, łącząc usta z jego ustami w długim i słodkim pocałunku, on zaś wszedł w nią głęboko, najgłębiej, tracąc oddech, gdy docierał do kresu. Zastygły w niej, leżał potem z głową opartą na jej piersiach. Owinęła się wokół niego, wchłonęła go w siebie. W głębokim, cichym mroku czekał, aż znowu zaczął wstawać i męźnieć. Powoli wysunął się z niej, a potem wszedł ponownie. Kołysał się miarowo, każdy ruch był tak gładki i bezbłędny, jak ruch szczotki rozczesującej włosy. Teraz zupełnie bezbronna, czekała na niego, czekała każdą cząsteczką ciała, musiał tylko przyjść i wziąć. Więc sięgnął. I jeszcze dalej. I oto ją miał. Ale dokładnie w tej samej chwili poczuł, że i on zaczyna się nieuchronnie wznosić do lotu, poczuł stwardnienie za jądrami, nacisk. Nagły błysk, wybuch, ogień przeleciał wzdłuż jego ciała. Przez moment widział siebie, widział swoją twarz. Dobrze wiedział, co robi: kocha się z Anną Brahe w jej małym szkockim domku. Pomyślał o Axelu, jej zmarłym mężu i jego dawnym przyjacielu. Wiedział także, kim jest: Davidem Harperem. Kiedyś, dawno temu... jak gęsta chmura zawisła nad nim cała jego historia: kim był, co potrafił, co lubił, jakie miał nawyki. Był sobą, panował nad sobą, ale teraz zerwał zaciski woli i dziki, pulsujący strumień mocy trysnął z jego członka. Z szelmowską satysfakcją pomyślał, że mógłby to robić godzinami. Twardy jak stal. A wszystko stało się w jednej chwili. Poczula to i zrozumiała, ale wcale nie była przestraszona. „Davidzie, proszę” – powiedziała głosem całkiem spokojnym i normalnym. „Proszę” – powtórzyła. Wiedział, czego chciała, on sam chciał tego również. Poczul, jak przepływa przez niego fala uczucia, ciężkiego i zara-

zem uwalniającego od ciężaru, jak przebaczenie. Odrzucił wszelką rozważę, pozwolił się nieść szalonemu nurtowi podobnie jak ona: wzięła go znowu w siebie, wstrząsając nim aż do dna wszystkich głębin i krzycząc w jego ramionach. A w końcu w ostatnim, głębokim i czułym pchnięciu zupełnie się w niej zatracił.

Potem, już w jej łóżku, kochali się znowu, spokojnie, wtuleni w siebie, bo ona pamiętała o swym synu śpiącym w pokoju ponad nimi. Wreszcie zasnęli. Potem obudzili się. Chłodna noc spowijała ich ciała. Rozmawiali aż do wschodu słońca i z trudem zdążyli sobie powiedzieć wszystko, co powiedzieć pragnęli o tym, co czuli i myśleli teraz. Jeśli chodzi o przeszłość, wydawała się martwa i nieobecna i z całą pewnością nie mogła odżyć, tak w każdym razie odczuwał to Harper. Przetrwał, dotarł aż tutaj i żył dalej, nigdy nie przyszło mu do głowy, że zbieg okoliczności, arbitralna moc zewnętrznego świata może go jeszcze dotknąć. Nie mówił więc wcale ani nie myślał w ogóle o labiryncie historii, który wiódł wstecz przez niego do China Lake.

Rozdział 8

Jednakże – nawet jeśli David o tym nie wiedział – precyzyjny mechanizm przyczyn i skutków już zaczął działać. Tego, co zaszło między nim a Anną, nie można było cofnąć, zresztą utrata otwierających się przed nimi obszarów byłaby dla obojga katastrofą. Był to fakt, jak się niebawem okazało, o decydującym znaczeniu. Dwa następne dni potwierdziły ową nieuchronność ich miłosnej nocy. Kochali się naprawdę. W tych pierwszych próbach, przed którymi stają nowi kochankowie, uzewnętrzniali swoje uczucia nocnym szeptem i normalnym głosem w blasku dnia i nic nie psuło tego, co było między nimi. Kochali się także wtedy, kiedy nie uprawiali miłości. Kochali się, kiedy milczeli. Kochali się, gdy trwali w bezruchu.

Zdarzyło się, że poszukiwanie orłów złocistych, które chciał sfilmować – to właśnie był główny powód, dla którego przybył do Szkocji – tak pochłonęło Davida, iż przez całą godzinę nie myślał o Annie. Gdy uświadomił to sobie, doznał przez moment uczucia paniki, niczym człowiek, który budzi się nagle z nocnego koszmaru. Nie było jednak powodu do obaw: natychmiast odnalazł wszystko, co czuł do niej, świeże i nie zmienione. Innym razem uświadomił sobie, że po głowie snuje mu się melodia, od której nie może się uwolnić. Nie potrafił jej rozpoznać, kiedy jednak zanucił, Anna natychmiast powiedziała: to fragment *Do you believe in magic?* Było to oczywiście zabawne, oboje natychmiast wybuchnęli śmiechem –

zresztą często się śmieli z siebie nawzajem w czasie tych dwóch dni – ale był też w tym jakby pewien sens. Można by pomyśleć, że wraca przez tę bramę dzieciństwa, której przekroczenie w kierunku przeciwnym oznacza utratę wiary, śmierć herosów i snów. Teraz znów odnajdywał tamten czas, a chociaż rozporządzał nader ograniczoną władzą czarnoksiężką, właśnie tyle jej tylko było mu potrzeba. Z ustami na jej piersi czuł w sobie całą moc życia. Słońce nie świeciło dla nich jaśniej niż dla innych ludzi, ale oni potrafili dostrzec pełnię jego blasku. Wraz z Anną odnalazł siłę, która go odmieniła, co znaczyło zarazem, że w sposób dla niego istotny zmienił się też i świat. Mogłyby ich trapić co najwyżej dwa problemy, które zresztą, jak się okazało, w ogóle nie były problemami. Po pierwsze, chodziło o Axela, męża Anny, który, co wszystko dodatkowo komplikowało, był jednym z najbliższych przyjaciół Davida. Znali się, zanim jeszcze Axel poznał Annę. Fotograf, specjalista od zdjęć dzikiej przyrody zginął w Kenii w wypadku samolotowym. David zaprojektował dla niego specjalną aparaturę pracującą w podczerwieni, która umożliwiała fotografowanie zwierząt w nocy, tamten zaś zachęcił go, by sam także spróbował robić zdjęcia. Był to dlań początek nowego życia, jak sam to sobie kiedyś określił – a jego opieka nad Anną po śmierci Axela stanowiła formę spłaty długu wdzięczności. Można by wprawdzie uznać, iż teraz w owym spłaceniu długu posunął się za daleko, lecz przecież Axel, melancholijny Duńczyk, sam zawsze z niepokojem i pasją starał się zapewnić szczęście ludziom należącym do jego otoczenia. Kiedy przeglądając w małym saloniku stopy fotografii zaczęli go wspominać, mieli wrażenie, że udziela im swego błogosławieństwa. Bardziej skomplikowany mógł się okazać drugi problem, któremu na imię było Derek. Nawet tej pierwszej nocy, którą spędził w łóżku Anny, David czuł, że śpiący w pokoju nad nimi syn jest stale obecny w jej myślach. Chłopak rozlokował się w starej sypialni na tyłach domu, usunął schody, a na ich miejsce zamontował sznurową drabinkę, którą wciągał za sobą; David widział, że Anna uważnie nasłuchuje dźwięków dochodzących z góry. Zastanawiał się, jak właściwie powinien to odebrać. Czy przypominała mu, że ma obowiązki wobec syna, że istnieje nierozzerwalna więź między nią a Derekiem? Ale przecież mogło chodzić o coś dokładnie odwrotnego: może upominała siebie, że chłopiec nie

powinien wypełniać całego jej życia, bo już przecież sam oddzielił się od niej. Ale nawet jeśli rzeczywiście Derek stanowił problem, sam go w istocie rozwiązał, od razu bowiem zorientował się, że coś się wydarzyło. Domyślił się tego już pierwszego poranka, kiedy tylko spojrzął na nich, gdy siedzieli w kuchni. Oboje nie odważyli się odezwać do siebie, Anna smarowała kanapkę – oczy Dereka rozszerzyły się ze zdziwienia. Ale już w następnej chwili uśmiechnął się, akceptując to, co oczywiste, pomyślał sobie może: *doskonale*, lub nawet *nareszcie*. David natychmiast poczuł, że relacja między nimi dwoma się zmienia, stają się sobie bliżsi. W akceptacji Dereka było nawet coś w rodzaju ulgi. Przez chwilę siedział pogrążony w zadumie, zastygłszy jakby nad śniadaniem, a potem zainteresował się czymś innym.

- Będziesz dzisiaj filmował orły? – zapytał.
 - Jeśli dopisze mi szczęście. Ale z pewnością jest tylko jeden. Nigdzie nie mogłem znaleźć gniazda.
 - Dlaczego miałby być tylko jeden?
 - Nie wiem. Zdaje się, że nie jest młody, więc...
 - Skąd wiesz?
 - Młode mają białe upierzenie na spodzie skrzydeł.
 - To może szuka drugiego orła.
 - Albo poluje.
 - Aha – mruknął Derek. Zerknął do swego kubka z mlekiem, a potem spytał, nie okazując śladu zakłopotania: – Masz syna, prawda?
- Anna znieruchomiała. David przytaknął.
- Tak. Ma na imię Tim. Jest starszy od ciebie, studiuje na uniwersytecie.
 - A ja myślałem, że nie masz żony.
 - Posłuchaj, Derek...
 - Rozwiodłem się dawno temu, kiedy Tim był jeszcze małym dzieckiem.
 - Ale...
 - Naprawdę, Derek, przestań. Zaczynasz być niedelikatny.

Spokojnie, z absolutnie obojętnym wyrazem twarzy, chłopak odwrócił się w kierunku Anny.

– A pamiętasz, mamó, jak pan Robinson mówił, dlaczego dobrze jest być Szkotem?

– Nie.

– Bo nie musisz być Anglikiem.

– Ale ja jestem Angielką. A ty jesteś Szkotem raczej honorowym. Zachowuj się więc porządnie.

– Dobrze już, dobrze – odparł, podnosząc dłoń w geście, który był całkowicie amerykański, a potem podszedł zbierać się do szkoły. Najwyraźniej jednak z zadowoleniem powitał tę nową sytuację, coś mu się w niej w każdym razie bardzo spodobało i David z pewnym zdziwieniem poczuł, jak zmienia się jego status: już pod koniec pierwszego dnia Derek zachowywał się wobec nich dyskretnie, co dowodziło, że dla niego stanowią parę. Dostrzegł też wyraz zadowolenia i ulgi na twarzy Anny. Ze swej strony znając dawną i obecną sytuację Davida nie widziała powodu do obaw. Cała więc ciekawość, jaka się w niej rozbudziła w ciągu tych dwóch dni, dotyczyła jedynie najbliższej przyszłości. Wiedziała, że między Davidem a jego synem narosła bariera obcości, że widywali się jedynie podczas dość niemiłego obrzędu, jaki stanowiła w ich domu kolacja: towarzyszyła kiedyś Davidowi jednego z takich wieczorów. Choć rozumiała, że jest to istotna częśćka jego życia, nie widziała powodu, by owa częśćka miała wywierać wpływ na ich wspólne życie. Nie wiedziała nic bliższego na temat jego rozwodu. Nigdy nie wspominał byłej żony – z trudem przypomniała sobie jej imię: Diana – a ponieważ opuścił ją, jeszcze zanim poznał Annę, nigdy nie przyszło jej do głowy, że z tej strony mogłaby się spodziewać jakichś kłopotów. Co najwyżej zdawała sobie sprawę, że w jego przeszłości jest coś mrocznego, coś nie do końca wyjaśnionego, jakaś dziwna przerwa, ale ponieważ nie wiązało się to dla niej z poczuciem, iż coś przed nią ukrywa (wtedy istotnie stałoby się ważnym problemem), nigdy nie odczuwała potrzeby pytania go o cokolwiek.

I miała rację. David nigdy nie opowiedział jej o tym, co mu się przydarzyło, gdyż nie widział powodów, by to robić. Dawno temu oswoił się z konsekwencjami, jakie dla jego życia miały tamte odległe wydarzenia i teraz już o nich nie myślał, w przeciwnym wypadku bowiem uznalby, że przyjdzie jeszcze pora na przedstawienie Annie tamtej historii. Tego trze-

ciego poranka z pewnością nie podejrzewał nawet w najmniejszym stopniu, iż owa dziwna przeszłość może powrócić niby dręczące widmo. Pojawiła się tylko jedna niezwykle subtelna zapowiedź. Siedział sam w domu – Derek był w szkole, Anna robiła zakupy w Kirkcudbright – i pił właśnie drugą tego dnia kawę w rozjaśnionym słonecznym blaskiem pokoju, który służył Annie jako gabinet. Po śmierci Axela, za namową Davida zabrała się za tłumaczenie tekstów technicznych i naukowych. Tak więc bez żadnego określonego celu wziął do ręki maszynopis, nad którym właśnie pracowała. Był to tekst niemiecki (Anna знаła niemiecki, holenderski, francuski, duński i jeszcze jakieś języki skandynawskie) i David czytał go z trudem, powoli przebijając się przez pierwsze strony. Jednakże jakoś dawał sobie radę z językiem, a nawet z tematem, którym były „anomalie dyspersji”, zmiany długości fal w pewnych materiałach. To mogłoby mu pomóc w uprzytomnieniu sobie, jak daleko w przeszłość przesunął się tamten fragment jego życia. Jednakże nie pomyślał o tym wprost. W jego pamięci odżył naraz pewien obraz, ujrzał znowu żywoplot na krańcu bazy RAF w Benson, miejscu, gdzie bawił się będąc dzieckiem. Poczł nagle wiatr we włosach, a w zaroślach pełnych ptaków i motyli zapach berberysu, trybulki i gwiazdnicy. Zobaczył siebie, małego chłopca w krótkich spodenkach i szorstkim wełnianym swetrze, jak stoi, wstrzymując oddech, zapatrzony, zamarty w oczekiwaniu. A kiedy motyl zrywał się, chłonał olśniony jego piękno, wlatujące jak kropla światła. Mieniak, admirał, pawik: nazw nauczył się z książek wypożyczanych z biblioteki, a okazy zbierał w butelkach i gablotkach. Czasami, kiedy podniósł oczy na jasnobłękitne niebo, dostrzegał błysk na kadłubie samolotu podchodzącego do lądowania: obraz był teraz tak wyraźny, że zmrużył oczy, jakby rzeczywiście mógł coś zobaczyć w oddali. Wtedy rozpoznawał natychmiast: to, na przykład, był bombowiec Canberra, którym dowożono z bazy uzupełnienia do Jednostek Zwiadu Fotograficznego. Samoloty fascynowały go. Nauczył się ich nazw, a także wojskowych oznaczeń: PR.3 – canberry, PR. 10 – gloster meteory; pamiętał, jak ojciec kiedyś pokazał mu starego mosquito, PR. 34, który powrócił z Malajów, był to bowiem właśnie samolot, którym ojciec opiekował się podczas wojny i na którym latał jego ojciec chrzestny, Mirosław. Używali urządzeń o nazwie kamera F.52 i

znowu usłyszał głos ojca: „Te kamery to była wielka rzecz, one miały decydujące znaczenie”. Zastanowił się, ile mógł mieć wtedy lat. Był to z pewnością czas, kiedy zaczynał odkrywać piękno nauki i nienawidził dziewczyn, czas, gdy czynił pierwsze kroki ku temu, co miał zdobyć, a następnie utracić. Ale w tej chwili o tym nie myślał. Tamto należało do przeszłości, stanowiło rozdział, do którego nie powracał. Przed oczyma stanął mu Derek, będący teraz w podobnym wieku i budujący modele samolotów, tak jak robił to ongiś jego syn. A potem pomyślał o czymś zupełnie innym, przypomniał sobie rozmowę z Anną, w której zwierzyła mu się ze swego zaniepokojenia. Derek wkraczał w okres dojrzewania. Domyślała się – był obecnie tak bardzo zamknięty w sobie – że ów proces już się chyba rozpoczął. Ale jeśli nie? Jeśli na zawsze pozostanie chłopcem? David zaśmiał się wtedy, a i teraz się uśmiechnął. „Nie martw się, powiedział, Piotruś Pan zawsze dorośleje”.

Wszystkie te wspomnienia i myśli, które przynajmniej teoretycznie mogły wiązać się w jego umyśle z China Lake, przemknęły mu przez głowę z szaloną szybkością, a po chwili już zbierał się do drogi, ponagłając samego siebie i przypominając, że ma pracę do wykonania. Bo rzeczywiście miał. Robił ostatnie zdjęcia do filmu o orłach złocistych, a ta część południowej Szkocji była niegdyś ich rewirem i miał nadzieję, że kilka okazów ciągle jeszcze pozostało w okolicy. Ruszył przeto w kierunku Kirkcudbright. Małe miasteczko rybackie, odwiedzane chętnie przez turystów, zbudowane nad rzeką Dee, było także od dawna ulubionym miejscem malarzy, zwłaszcza akwarelistów, ale dziś słońce nadało mu zbyt ostre barwy. Świeżo pomalowane frontony sklepów skrzyły się jaskrawo, oślepiająco pobłyskiwały nadwozia samochodów wiozących pierwszych turystów, jakby ich pasażerowie wymieniali w ten sposób pospieszne sygnały. Przejeżdżając nad rzeką spojrzął w stronę portu: mężczyzna w czerwonych gumowych butach przedzierał się przez przybrzeżne błota ku niewielkiej żagłowce, na której lakier połyskiwał takim blaskiem jak pierwszy dziecięcy pieniążek, łódki rybackie skupiły się przy przystani, tworząc barwną gmatwaninę lin i masztów. Po chwili wszystko zniknęło za zasłoną drzew, on zaś zwiększył szybkość i wkrótce znalazł się poza miasteczkiem, na otwartej przestrzeni. Wszędzie królowało jaskrawe słoń-

ce, w jego blasku David widział wyraźnie stada owiec pasących się na zboczach, białe kępy stokrotek i żółte jaskrów, porastających w dolinkach brzegi strumieni. Nie myślał już o niczym, pozwolił po prostu, by świetlisty dzień przepływał nad nim i wokół niego. Był szczęśliwy, promienny jak światło migoczące pomiędzy konarami dębów i spokojny jak ciche cienie, kładące się pod koła na zakrętach drogi. Skręcił na północ i wjechał do Gatehouse of Fleet, wioski, której domy skupiły się po obu stronach długiej, wąskiej uliczki i w której było kilka pubów; wieść głosiła, że Burns stworzył w nich niektóre ze swych wierszy. Przyjeżdżający tu turyści byli zapalonymi wędkarzami, a wszystkie rozmowy koncentrowały się wokół „brania”. Kiedy mijał mostek, dwaj wieśniacy unieśli schylone nad poręczą głowy i odprowadzili go powolnym, typowo chłopskim spojrzeniem. Zaraz za mostem skręcił; po lewej stronie ciągnęły się pola opadające ku drodze niską skarpą, po prawej rozpościerała się głęboka dolina, na której dnie poprzez zasłonę starych, omszałych dębów przebłyskiwała Big Water of Fleet. Kruk leniwie szybował w promieniach słońca; daleko, w zabawnym popłochu, owca pierzchnęła przed nadjeżdżającym autem. Kiedy przejechał milę, droga gwałtownie skręciła w lewo. Dojeżdżając do wirażu, zwolnił. Teraz krajobraz przed nim się zmienił, lasy wspinały się po stromych brązowych zboczach. Równoległe do ich linii biegła wąska droga, zagrodzona bramą, na której widniał niewielki napis: NARODOWY REZERWAT PRZYRODY – CAIRNSMORE OF FLEET. Kiedy skręcił, z początku niewiele można było zobaczyć, lasy po lewej stronie, potem po prawej stronie wyłoniła się stara farma; należące do niej rozległe, trawiaste łąki schodziły w dół do rzeki. Później jednak drzewa rozstąpiły się nieco i za nimi mógł dojrzeć kamieniste moczary, przechodzące w wysokie, strome zbocze. Było to urwisko Clints of Dromore, wysokie na przeszło sto stóp. U podnóża biegły tory – zapomniana linia kolejowa, przebiegająca nad małą rzeczulką po wielkim ceglany mwiadukcie. Minąwszy farmę – właściciel zamachał do niego przyjaźnie – David skierował się ku rzece, nad którą przejechał pod kamiennym łukiem tak wielkim, że jego land rover wydawał się tylko miniaturowym dziecinnym modelem. Po drugiej stronie droga zawracała i wspinała się na wzgórze, na którym zbudowany był wiadukt. Zredukował biegi i zaczął się

wspinać. Mógł teraz zobaczyć drogę, którą przybył. Po prawej miał Clints of Dromore; za nim rozciągały się mokradła, a pod sobą widział dolinę i farmę z płaskimi, zielonymi polami oplecionymi nitką rzeki. To tu właśnie był teren łowiecki orla: wzbijał się z urwiska i szybując nad mokradłami, wypatrywał ofiary w dolinie.

Pozbierał sprzęt – kamerę 16 mm Aaton, baterie, dwie szpule taśmy filmowej, światłomierz, leicę, lornetkę – i wysiadł z auta. Teren był nierówny; kępki trawy i wrośnięte w ziemię głazy. Najpierw musiał się przedostać przez usypisko utworzone z gruzów i odłamków kamiennego ogrodzenia, był tu już jednak po raz czwarty w tym tygodniu, zdążył więc poznać najłatwiejszą drogę. Wzgórze Dromore przypominało olbrzyma, który leżąc na boku wpatrywał się w dolinę. Ramię i pierś tworzyło skalne urwisko, nikt nie potrafiłby wdrapać się na jego wierzchołek wprost z dołu po pionowej ścianie, ale wiadukt, na którym zaparkował David, znajdował się gdzieś obok kostek, po chwili więc wspinał się już po stosunkowo łagodnym wzniesieniu łydek i ud, a potem zaczął się wdrapywać na bardzo strome biodro. Po czterdziestu minutach dostał się na szczyt. Był teraz naprawdę wysoko; pod sobą widział malutkie zabudowania farmy otoczone łagodną, ciemną pętlą rzeki. Ponad zielonym dnem doliny mógł teraz oglądać brązowe wzgórza po przeciwnej stronie, widział nawet przestrzeń otwierającą się poza nimi, wysoko nad wszystkim rozpościerało się jasne niebo. Silny podmuch wiatru uderzył go w twarz, zmrużył oczy. Znowu, jak zawsze, poczuł radość samotnego trwania w wielkiej przestrzeni świata, pod kopułą jasności, radość, która rekompensowała ciężar życia, pozwalając powracać do przeszłości. Ale w istocie nie myślał teraz o niczym; po prostu czuł to wszystko, gdy tak stał wyprostowany, z torbą zwieszającą się z pleców i mokrą twarzą wystawioną na chłód wiatru. Zaraz jednak przystąpił do pracy; często mu się zdarzało, podobnie jak innym fotografom, że „łup” pojawiał się, zanim on był gotowy, wołał się pospieszyć. Część sprzętu zostawił tu już przedtem w przykrytym brezentem aluminiowym pudle, które teraz właśnie otwierał. Znajdował się w nim ekwipunek niezbędny do wspinaczki: lina, karabińczyki, haki. Zjazd założył już wcześniej, tak że po krótkiej chwili gotów był do drogi. Podszedł do krawędzi urwiska. Zamierzał jak zwykle spuścić się trochę w dół

po ścianie i wtopić w otoczenie, tak aby ptak nie mógł go dostrzec. Korzystał zawsze z trzech lin. Na jednej opuszczał kamerę i obiektywy na niewielką półkę skalną, gdzie on sam miał stanąć. Druga była liną asekuracyjną, wpinaną do pasa na piersiach. Trzecią, przerzuconą przez trzyczęściowy bloczek, przymocował do klucza zjazdowego. Spojrzał w dół. Teren pionowo opadał pod nim dwoma skokami: pierwszy kończył się przy starej linii kolejowej, drugi sięgał aż do dna doliny. Nie miał jednak lęku wysokości i bez specjalnych emocji odwrócił się, odchylił do tyłu i zrobił krok poza krawędź.

W pierwszej chwili poczuł absolutną lekkość, gdyż cały jego ciężar przejęła lina. Potem jednak czubek ciężkiego buta odnalazł małą rysę kilka stóp niżej i David odzyskał całą swoją wagę. Przez chwilę czekał, sprawdzając solidność oparcia, a potem lewą nogą poszukiwał następnej podpory. Lina była napięta, oczyma wyobraźni zobaczył ją naciągniętą na kółku wyciągu i poluzował. Zrobił następny krok. Wszystko wyglądało bardzo groźnie, ale w istocie było dość proste i wymagało jedynie opanowania i spokoju. Odchylony od ściany, czuwając, by naciąg liny był odpowiedni, zachowywał stały kąt między swym ciałem a zboczem, co zapewniało łatwość manewru. Po kilku minutach dotarł do jedyne go trudnego miejsca. Kilkanaście stóp od krawędzi skała wybrzuszała się, tworząc coś w rodzaju ostrogi. Aby pokonać tę przeszkodę i znaleźć się poniżej niej, musiał się odepchnąć, odbić od skały, a jednocześnie popuścić linę, opaść i natychmiast zablokować lot ściągnięciem liny. Stopy ugiętych nóg zamortyzowały uderzenie, kiedy ciało niczym wahadło powróciło do zbocza. Potem było już zupełnie łatwo. Posuwał się rytmicznymi skokami i wkrótce dotarł na półkę. Rozluźniwszy linę, wbił młotkiem w skałę trzy haki i połączył je osobną linką z liną asekuracyjną. Chroniła go więc obecnie lina główna, asekuracyjna i owo uzupełniające ubezpieczenie. Teraz przyjrzał się półeczce. Mocna, płaska, ale nazbyt wąska, by mógł się na niej obrócić. Za plecami miał jednak niewielkie wgłębienie, mógł się więc wygodnie oprzeć o skałę. W sumie było to dobre stanowisko, rozlokował się zatem i przygotował sprzęt. Zapiął pas z bateriami, do którego przypięta też była kamera. Zamontował obiektyw o zmiennej ogniskowej 50-150 mm, a potem dokonał serii pomiarów światłomierzem, kierując go w nie-

bo, na lewo, na prawo i wreszcie ku ciemnej dolinie. Ustawił kamerę, dając możliwie najmniejszą przesłonę, zawsze bowiem, kiedy filmował ptaki w locie, wołał poświęcić głębię na rzecz koloru. W tej chwili jednak nie było nic do filmowania: puściuteńkie niebo; nigdzie nie dostrzegł nawet jednego kruka. Co oznaczało, że należy się uzbroić w cierpliwość.

Nuda. Ludziom trudno w to było uwierzyć, ale na tym polegało największe ryzyko zawodowe. Przekonywał się stopniowo, że balansowanie na krawędzi urwiska, dyndanie pod wodospadem, kołysanie się na czubku wysokiego drzewa, wszystkie te niebezpieczeństwa mogą się znudzić. Poza tym zawsze te niewygody. Zimny wiatr, paski klucza zjazdowego wcinające się w uda, pulsujący ból w mięśniach, oczy nieustannie myszkujące, ciągle czujne, choć już po pięciu minutach był przekonany, że wszystko pójdzie na marne. I tylko myśli hasały swobodnie, pędziły to tu, to tam, nie łącząc się niemal ze sobą. Wielki łuk nieba przypominał mu kosmos starożytnych, z koncentrycznymi sferami. Wzrok pobiegł daleko, ku brązowym wzgórzom, i David pomyślał o Conradzie, który w garniturze i krawacie pisał w londyńskim domu opowieści o morzach południowych. To z kolei przywołało wspomnienie Axela Brahe – czy dlatego że mówił z obcym akcentem i nigdy się go nie wyzbył, czy dlatego że skojarzył się Davidowi z melancholijnymi odległymi pagórkami? – przypomniał sobie jego spolegliwość, tolerancję, rozsądek, które jednakże łączyły się z jakimś uporem, bezwzględną niechęcią do przekraczania pewnych granic. Czy te zalety Axela nie odcięły Anny od jakichś istotnych aspektów życia?

Anna. Oczywiście pomyślał o Annie. Przypomniał mu się ów wieczór, gdy jedli we trójkę kolację w Londynie, choć natychmiast uświadomił też sobie, że Axela nie było przy stoliku, odszedł gdzieś na chwilę, w momencie kiedy Anna z uśmiechem zapytała: „Powiedz mi, kim ona jest?” Teraz i on się uśmiechnął, tak wyraźnie widział tę scenę, ale wówczas poczerwieniał i nic nie odpowiedział. Interesujące, pomyślał, chciała dać mu do zrozumienia, że zauważyła. Domyśliła się tego, co się stało, choć trudno było w istocie o bardziej zwyczajne zdarzenie. Powrócił właśnie ze swoich pierwszych od lat wakacji (nie zastanawiał się jednak nad tym od ilu lat) – spędził dwa tygodnie na jednej z wysp karaibskich. Tam, pływając się w

słońcu, w oślepiającej jasności, na nowo odkrył piękno świata i odzyskał umiejętność zachwycania się nim. Całe dnie spędzał na plaży, w morzu lub na przechadzkach po wzgórzach. Wspiął się po górach. Podziwiał małpy, czaple, pelikany. Każdego wieczoru oglądał zachód słońca. Choć nie miał maski ani aparatu, wynajął łódkę i nurkował z zapalem, szubując nad rozświetlonym dnem dopóki ból w płucach nie zmusił go do wypłynięcia na powierzchnię. Ptaki, motyle, nieprzerwanie wiejący wiatr – wszystko to wywarło na nim zdumiewająco potężne wrażenie, oszołomiło go. Przez dwa dni prawie płakał ze wzruszenia i gdyby, jak później o tym myślał, trafił wtedy na odpowiedniego księdza, dałby się nawrócić bez trudu na dowolną religię. Trafił jednak na kobietę: to właśnie wtedy zerwał z trwającym od lat, a niemal przez niego nie dostrzeganym celibatem. Wakacyjny romans. Ale nawet we wspomnieniach nie pozwalał sobie na zakłopotanie; po dziś dzień odczuwał przesadną może wdzięczność. Przygoda dla innych nader banalna, dla niego miała w sobie nadal coś nadzwyczajnego. I Anna to zauważyła. Ale kiedy jego myśl zaczęła wracać w tamte rejony, nagle się cofnęła, ufna wewnętrznemu głosowi – *Zen i sztuka lucznictwa*, książka, którą przeczytał dwadzieścia lat później niż wszyscy – i poszybowała jak motyl nad łąką; motyle z Karaibów zmieniły się w motyle siadające pod żywoplotem na krańcu pasa startowego w Benson, które wspominał dziś rano. Chwytał je i uśmiercał kroplą chloroformu, którą nasączony był wacik. Aby poznać przyrodę, trzeba ją uśmiercać. Przyroda: Kły i Pazury. Zastanowił się, czy kamera, znajdująca się teraz w jego ręku, różniła się istotnie tak bardzo od butelki na motyle. Kiedy w zeszłym roku znowu pojechał na Karaiby, tym razem służbowo, usłyszał, jak dzieciak szyderczym tonem oznajmia turystom: „Jak chcesz mnie sfotografować, zapłać najpierw dziesięć tysięcy dolarów”. A więc te dzieci były już zmęczone odgrywaniem roli okazów zbieranych przez soczewki; gdyby jego orzeł potrafił mówić, czyż nie powiedziałby czegoś podobnego? Kłopot jednak w tym, pomyślał, że nie ma już niczego takiego jak Przyroda: każdy ptak, każde zwierzę na kuli ziemskiej żyje tylko dlatego, iż człowiek zgadza się je tolerować. Natura została całkowicie ucywilizowana i pozostała już tylko natura człowiecza, czym jednak była? Niezwykle ważna kwestia – roztrząsał ją przez całą najbliższą godzinę,

ściśle biorąc do chwili, gdy pojawił się orzeł.

Zaskoczył go. Nie powinien, a jednak zaskoczył. Płynął przed nim nad mokradłami, a potem nagle poderwał się ku górze i niemal zastygł ciemnym kształtem na tle przejrzystego nieba. Czterdzieści stóp ponad nim, pięćdziesiąt na prawo. Kamera natychmiast znalazła się przy oku, zamruczał cicho silnik. Poprawił ostrość. Ogromny ptak kołysał się lekko i oto miał go w całej okazałości: skąpanego w jasnym świetle, ze złocistomiedzianą głową i lotkami badającymi powietrze, delikatnie jak palce. Pod ogonem dostrzegł jasną plamę – młody ptak, a przecież już wyrosnięty, długi na trzy stopy, rozpiętość skrzydeł – sześć stóp. Na moment zawisł w powietrzu, ale po chwili złapał prąd wstępujący od urwiska i dał się nieść, aż wreszcie stał się w górze małą plamką. David nie odrywał od niego wzroku. Nie zmieniał jednak położenia obiektywu, i już po chwili został za to wynagrodzony, gdyż orzeł zaczął sphywać lecąc teraz bliżej niego, ale i bliżej skały, tak że David musiał okręcić się w swojej „uprzęży”. Udało mu się jednak ujęcie z profilu: płaska głowa i wielki, zagięty dziób. Potem ptak przechylił się, dwa razy uderzył leniwie skrzydłami i poszybował w dół. Wiódł za nim obiektywem, mając nadzieję, że może będzie chciał zapolować, ale i tak miał już to, co chciał uzyskać. Pracował nad filmem przez cały rok, fotografując ptaki w Lewis, Skye, Rum i Tiree, a teraz potrzeba mu już było tylko kilku ujęć, które mogłyby posłużyć za podkład słów narratora: „Choć większość orłów opuściła na zawsze ten rejon, wciąż jeszcze można spotkać tutaj kilka par, widuje sieje nawet na południe od Calloway”. Jednakże w dziesięć minut później otrzymał jeszcze premię. Ptak powrócił. Zniknął Davidowi z oczu gdzieś nad rzeką, ale pokazał się znowu po lewej stronie, lecąc równoległe do urwiska, ponad torami kolejowymi. Na szczęście David na wszelki wypadek założył uprzednio nową taśmę, teraz więc mógł natychmiast zacząć kręcić. Ptak płynął majestatycznie, był coraz bliżej, niemal tuż przy nim, tak że David w ogóle nie widział ziemi, nie wiedział, co dzieje się w dole, do chwili gdy orzeł nagle zanurkował. Runął jak bomba albo pocisk raketowy, pchnięty w dół trzema potężnymi machnięciami skrzydeł – pęd powietrza David poczuł na własnej twarzy. Ptak poleciał w dół tak szybko, że nie ulegało wątpliwości, iż na kliszy będzie smugą (co ujęciu doda tylko sma-

ku); kiedy Davidowi udało się przywrócić obrazowi ostrość, zobaczył królika, wyciągniętego na całą długość ciała, gnającego w panice po żwirowym nasypie. Ale na otwartej przestrzeni ptak był szybszy. Spadł gwałtownie na swą ofiarę – eksplozja kurzu i potężnych uderzeń skrzydeł. Pomarańczowy szpon przesunął się i wbił głęboko – czy naprawdę usłyszał pisk? – królik kilka razy wierzgnął skokami i już nie żył. Jedna chwila i po wszystkim. Jednakże, jak często się zdarza, już w następnym momencie ten obraz absolutnej dominacji został zakłócony. Niezgrabne ruchy przywartego do ziemi ptaka były wyrazem trwogi; niecierpliwie usiłował uchwycić swą zdobycz, kuśtykał, podskakiwał, podfruiwał, aż nagle odzyskał dawną grację, wzbil się lekko, wznosił coraz wyżej i wreszcie zniknął z pola widzenia. „Jak na ironię, zapomniana linia kolejowa – pomnik cywilizacji niszczącej swe środowisko – stanowi znakomite łowisko dla najszlachetniejszego ptaka Wielkiej Brytanii”.

David odprężył się i oparł wygodnie o skałę. Chociaż nakręcił najwyższej siedmiominutową sekwencję, czuł się zmęczony, ociekał potem, a kamera ciążyła mu w rękę jak ołowiana. Ale wykonał swoje dzisiejsze zadanie zupełnie nieźle. Spojrzał na zegarek – nie było jeszcze południa. Odetchnął głęboko i odpoczywał przez dłuższą chwilę. Nauczył się być ostrożnym, wiedział, że powinien ruszyć w drogę powrotną dopiero wtedy, gdy odzyska siły. Zdobył już to, o co mu chodziło. Powoli zaczął pakować sprzęt. Pewna dyscyplina wewnętrzna potrzebna była także do tego, by nie spieszyć się niepotrzebnie. Tę dyscyplinę, nawyk sprawdzania i powtórnej kontroli dawno już jednak wyrobił w sobie, kierując się nie lękiem, lecz potrzebą dokładności. Sprawdził linę asekuracyjną, kilkakrotnie szarpiąc nią mocno, potem przyjrzał się, jak jest przymocowana do szelek. Ciągłe jeszcze połączony był krótszą liną z trzema hakami, które wbił na samym początku w skałę trochę powyżej swojej głowy. Na koniec wypróbował linę podciągową. Od wolnego końca biegła do krążka umocowanego na szczycie, a następnie wracała do podwójnego zapięcia (klucz zjazdowy i szelki bezpieczeństwa). Szarpnął mocno za wolny koniec – wszystko było w porządku, kiedy jednak pociągnął za drugi, coś wydało mu się podejrzanе – za dużo było luzu. Uniósłszy ze zdziwieniem brwi, szarpnął ponownie, potem raz jeszcze, a wtedy sznur dosłownie został mu

w ręku. Lina rozpadła się na dwie części i jedna z nich zaczęła opadać ku ziemi, zsunęła się po skale i upadła jakieś trzydzieści stóp pod nim.

Był kompletnie zaskoczony.

Coś takiego nie zdarzyło mu się jeszcze nigdy.

Nie myślał nawet o tym, że gdyby nie wypróbował liny, runąłby w dół, a choć zatrzymałaby go zapewne lina asekuracyjna, upadek i tak byłby okropny. Z początku był bardziej wściekły niż przestraszony. Ściągnął koniec liny i przyjrzał mu się. Zupełnie nowy sznur, a jednak w jakiś sposób przetarł się czy też przerwał. Albo coś go przecięło. Skala? Krawędź bloczka? Lina była przecież zrobiona z kevlaru; z tego materiału produkowano opony i kamizelki kuloodporne. Było rzeczą niepojętą, jak mogła się przerwać. A jednak się przerwała. I co teraz?

Spojrzał w górę. Krawędź zbocza wydawała mu się w tej chwili niezwykle odległa: ostra ciemna linia szyderczo odcinająca się na tle nieba. Nagle główną przeszkodą stał się skalny występ. Do diabła! Zaklął brzydko w duchu, ale dobrze wiedział, co teraz zrobi. W porządku. W końcu po to montuje się linę asekuracyjną. Trzeba będzie się wdrapać w górę. Potrafi to zrobić, nie będzie to nawet zbyt trudne zadanie. Miał młotek, haki i spory kawał liny, co prawda trochę podejrzaną, ale jednak liny. Okrąży występ, pójdzie najpierw trochę w prawo, a potem w lewo – wypatrzył tam w skale szczelinę, w której mógł znaleźć oparcie dla nóg. Raptem dwadzieścia stóp, które wydawały się jednak miłą. Był naprawdę przestraszony. Być może na intensywność jego lęku miało wpływ to, że dzięki wydarzeniom ostatnich dni życie znaczyło teraz dla niego o tyle więcej. Nie myślał jednak o tym. Wpadł w pułapkę i musiał znaleźć sposób na wydostanie się z niej. To wszystko. Spojrzał w dół.

A potem jeszcze raz.

Coś przyciągnęło jego wzrok. Ktoś był na dole, na torach, i ten ktoś obserwował go. Mężczyzna. Uniesiona głowa. Lornetka. Z powodu owej lornetki oraz dlatego, że stał sto stóp niżej, David nie mógł dostrzec twarzy i widział tylko niewyraźny zarys sylwetki: wysoki, starszy mężczyzna w niebieskiej nylonowej bluzie, falującej na wietrze. Nie ulegało jednak wątpliwości, że tamten zobaczył, co się stało i machał teraz podniesioną ręką. Ale już po chwili odwrócił się i odszedł wielkimi krokami, by zaraz

zniknąć za załomem skały. Pewnie obserwator ptaków, może i on poszukiwał orłów? David czekał. Co teraz zrobi tamten? Jeśli udał się po pomoc, pójdzie najprawdopodobniej na farmę, skąd wezwą helikopter. David wyteżył wzrok, nic jednak nie było widać i uświadomił sobie, że zirykowało go nagłe zniknięcie nieznajomego. Czuł się zakłopotany, gdyż wcale nie chciał, by go ratowano. Nagle wyobraził sobie informację w wieczornych wiadomościach: wysłany śmigłowiec zjechał ze ściany... śmieszne. Z drugiej strony... Raz jeszcze przeklął cholerną linę. Co jej się mogło stać? Ponownie rozważył, co powinien zrobić. Musiał przyznać, że znalazł się w kłopotliwym położeniu. Pomijając już kwestię zawstydzających komentarzy, można było sobie wyobrazić takie próby pomocy, które będą w istocie zawadą. Czy będą wiedzieli, co zrobić? Załoga helikoptera powinna wiedzieć. Czy jednak miał zaufać spuszczonej przez kogoś obcego linie? Rozejrzał się wokoło. Mężczyzny nadal nie było widać. Mógł pójść tylko jedną drogą: zwirowym nasypem do wiaduktu, a potem w dół serpentyną do farmy. Patrzył w tamtym kierunku, niepewny: czekać, nie czekać, ale po pewnym czasie zainteresowało go to, że mężczyzna już się nie pojawił w jego polu widzenia. Minęło dziesięć minut; odwrócił wzrok, tłumacząc sobie, że to trochę jak z czekaniem na to, by woda w czajniku zaczęła się gotować; sprawdził linę asekuracyjną, która teraz, gdyby podjął próbę wspinaczki, stałaby się jego liną główną, a potem koniec tej, która zawiodła. Czy może z niej skorzystać? Zaufać jej? Wreszcie spojrzął znowu w stronę farmy, ale i tym razem nikogo nie dostrzegł. Ogarnęła go znowu irytacja, teraz jednak innego rodzaju. Czyżby, idiota, nie zauważył, co się stało? Gdzie się podział? Popatrzył na zegarek. Minęło kolejne pięć minut. Do cholery z nim, pomyślał. Nie ma na co czekać. Będzie musiał się wspiąć i powinien przystąpić do tego jak najprędzej.

Dziesięć minut później, kiedy był już niemal gotów do drogi, zorientował się, że ktoś jest na szczycie.

Usłyszał chrząknięcie, posypało się kilka drobnych kamyczków, a potem ta część liny, która poprzednio wytrzymała szarpnięcie, podskoczyła do góry. Popatrzył za nią, ale nie zobaczył niczego z wyjątkiem sznura znikającego za krawędzią urwiska. W chwilę później w dół zaczęła sunąć nowa lina; jej koniec prześliznął się obok niego i zjechał spory kawałek

dalej. Pochwycił sznur, który niemal natychmiast zaczął podjeżdżać w górę, zadarłszy głowę pozwolił mu się przesuwac między palcami i tym razem coś dostrzegł. Na moment mignęła twarz: czerwonawa, przesłonięta okularami lotniczymi, zaraz jednak zniknęła, pojawiła się natomiast druga lina. Właściwie, jak się okazało, był to drugi koniec z pętlą zaciśniętą węzłem. Sunął ku niemu, na chwilę zatrzymał się na występie, cofnął do góry, znowu ruszył w dół, i tym razem minąwszy półkę, zatrzymał się parę stóp niżej. David spojrział w górę, mając nadzieję, że zobaczy nieznanego, który nie pobiegł po pomoc, lecz postanowił, iż sam mu jej udzieli. Ale skoro nikt się nie pojawiał, po chwili czekania David chwycił wolny koniec i szarpnął. Poczul wprawdzie opór krążka, jednakże lina przesuwała się w nim swobodnie i pętla natychmiast podjechała ku niemu. Zawahał się. Mężczyzna, który najwidoczniej nie był nowicjuszem, wymienił starą linę na nową. Czy jednak należało mu zaufać? Wyglądało na to, że facet zna się na rzeczy. Pętla nie była Davidowi potrzebna, ale węzeł na niej zawiązany był poprawnie. Klasyczna wspinaczka, na którą się przedtem zdecydował, była jednak trochę ryzykowna. Ostatecznie przytwierdził wolny koniec zrzuconej liny do klucza zjazdowego i zaczął się podciągać. Kilka chwil później gramolił się już na krawędź zbocza, skąd się zaczęła się cała przygoda.

Najpierw zalała go spóźniona fala strachu, leżał na plecach, oddychając z ulgą i nie myśląc właściwie o niczym. Dopiero po jakiejś minucie zdał sobie sprawę z tego, że jego wybawca gdzieś zniknął. Wokół jak okiem sięgnąć nie było żywej duszy. Zerwał się na równe nogi i zawołał: „Halo, halo!” – nikt jednak nie odpowiedział. Przeszedł na miejsce położone wyżej, skąd mógł sięgnąć wzrokiem znacznie dalej, aż po nogi leżącego olbrzyma. Wreszcie wypatrzył małą postać, która szybko zbliżała się już do wiaduktu, a po chwili zniknęła za jakimś pagórkem. Dziwne. Patrzył dalej i wkrótce potem, na drodze biegnącej koło farmy, zobaczył samochód. Wybawca? Który nie miał czasu poczekać na podziękowania?

David zdziwiony stał przez chwilę nieruchomo na skraju skały. Dlaczego tamten oddał się w takim pośpiechu? Może, pomyślał, krępowałoby go słowa wdzięczności. Było to kiepskie wyjaśnienie, ale prawdę mówiąc, nie musiał w ogóle szukać jakichkolwiek wyjaśnień. Postanowił

więc przejść do porządku nad dziwnym zachowaniem nieznajomego. Ale wtedy po raz pierwszy poczuł, że coś tu się nie zgadzało. Coś się wydarzyło. Nie miał jeszcze najmniejszego pojęcia co, lecz wiedział już, że to coś bardzo ważnego. I wiedział, że chce jak najszybciej wracać.

Jednocześnie starał się oczywiście bagatelizować te odczucia, ale wcale mu się to nie udawało. Jakiś wewnętrzny głos nakazywał mu pośpiech. Wzbierał w nim niepokój. Miał wrażenie, że się wlecze, choć spieszył się teraz, jak tylko mógł. Musiał wykonać dwa kursy: jeden ze sprzętem fotograficznym, drugi z aluminiowym pudłem, w którym trzymał akcesoria niezbędne do wspinaczki. I choć ze wszystkich sił starał się odjechać stąd jak najprędzej, i tak okazał się niedostatecznie szybki. Wszystko ułożyło się jak w scenariuszu. Kiedy znalazłszy się znowu na grzbiecie spojrzął w dół ku dolinie, zobaczył samochód Anny, przejeżdżający obok farmy, a gdy dotarł do wiaduktu, ona czekała już przy jego land roverze, z twarzą pełną niepokoju. Ruszyła mu naprzeciw. W pierwszym momencie chciała go objąć, ale potem się zawahała.

– Davidzie, przykro mi, ale mam złe wiadomości. Chodzi o twoją żonę. Zdaje się... Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Kiedy tylko wróciłam do domu, zadzwonił twój syn. Zdobył mój numer...

– Co się stało?

– Nie żyje. Popelniła samobójstwo. Och, Davidzie... W Walii, miejscowość nazywa się Aberporth.

Stał jak osłupiały. Jeśli nawet nawiedzały go jakiegokolwiek przecucia, z całą pewnością nie tego dotyczyły. Zdumienie na chwilę osłabiło się ciosu. Powoli postawił na ziemi pudło.

– Nie wierzę – powiedział. – To niemożliwe.

– Wiem, ale...

– Co mówił?

– Właściwie nic konkretnego. Tyle że to się stało. I że powinieneś przyjechać. Cokolwiek czujesz, powiedział, musisz przyjechać.

– Mój Boże... – Diana. Co czuł? Co powinien czuć? Czy powinien w ogóle czuć cokolwiek? – Sądząc po głosie, w jakim był stanie?

– Myślę, że w niezłym i sprawiał wrażenie spokojnego. Nie czułam... wiesz, nie znam go przecież... bym miała prawo pytać go o cokolwiek.

Wydawało mi się, że martwi się jedynie o to, czy przyjedziesz.

– Mój Boże. Tak, oczywiście, że pojadę.

Zrobiła krok i wzięła go w ramiona.

– Chcesz, żebym pojechała tam z tobą?

Przygarnął ją bliżej i pokręcił głową.

– Nie. Chyba nie. To tylko by krępowało Tima. Był z nią blisko związany. Mój Boże.

Uścisnęła go mocniej.

– To straszne.

– Tak.

– Dobrze się czujesz?

Kiwnął głową.

– Po prostu nie mogę uwierzyć.

– Wiem. Ale słuchaj, Davidzie, to nie...

Przerwała, reszta zdania zawisła w powietrzu. Wiedział jednak, co miała na myśli, i objął ją mocno, bardzo mocno. Tak, to nie miało związku z nimi. Nic to między nimi nie zmieni. Tyle mówiły jego ramiona, ale jednocześnie odczuł zdziwienie. Już kiedyś miał dokładnie takie samo odczucie. Dlaczego wydawało mu się, że wykryto go? Przyłapano? Czemu miał takie wrażenie, jak gdyby ktoś go śledził, oczekując chwili, kiedy wyjdzie na odkrytą przestrzeń? I dlaczego wracając do domu za jej autem, widział ciągle twarz wychylającą się znad urwiska i myślał o Tannisie, Tannisie, Tannisie, facecie z amerykańskiej marynarki, który idzie ku niemu przez martwą pustynię?

Rozdział 9

Nie pozostawało mu nic innego – powinien jechać.

Anna zawiozła go do Glasgow, skąd poleciał do Cardiff. O siódmej był już na autostradzie A 48, prowadzącej ze Swansea do Camarthen, a potem na północ do Cardigan. Jechał zbyt szybko, pewnie rozmyślnie; przy tym tempie musiał się skoncentrować wyłącznie na prowadzeniu, a to chroniło go od myślenia o tym, co się stało. Miał dobry czas. Kiedy skręciwszy na północ zobaczył pierwsze tablice sygnalizujące, że Aberporth jest już blisko, nie było jeszcze dziesiątej.

Jak wiele miejscowości w Walii, także i tę opisano w jej nazwie; *Aber* to rzeka wpadająca do morza, *porth* – miejsce nadające się do lądowania; w tym wypadku ochrzczono w ten sposób kamienistą plażę nad zatoką. Nie była z pewnością wymarzoną miejscem dla spragnionych słońca i kąpieli turystów, jednakże malutka wnęka w wysokim klifowym wybrzeżu okazała się najpierw doskonałym schronieniem dla domków i łodzi rybackich, a z czasem wioska pozyskała także wiernych miłośników wśród wczasowiczów i stała się miejscowością letniskową. Na letników było jednak jeszcze za wcześnie i na drodze między główną szosą a miasteczkiem David nie napotkał żywej duszy, w samym miasteczku zaś sklepy już pozamykano, a w chińskich jadłodajniach serwujących dania na wynos pogaszono światła. Nad wejściami do domów, gdzie wynajmowano pokoje, wisiały starannie wymalowane emblematy – Cam Calch, Gwyn Hafod,

Pen Llys – ale tylko przed kilkoma stały zaparkowane samochody. Przemknąwszy w mroku przez miasteczko, po stromej pochyłości zaczął zjeżdżać ku morzu. U stóp pagórka znajdował się mały park, za którym widać było plażę – mokry piasek połyskiwał tajemniczo w mroku.

David wyłączył silnik i wysiadł, by rozprostować kości. Z Cardiff zadzwonił do małego hoteliku, gdzie zgodzili się czekać na niego do jedenastej, ciągle miał więc jeszcze sporo czasu. Poszedł w kierunku kamiennego muru wznoszącego się nad plażą, a kiedy oparł się oń i zapatrzył przed siebie, znów opadły go wszystkie uczucia i myśli tego dnia, mroczne jak noc i morze. Uświadomił sobie teraz, że jest zupełnie wytrącony z równowagi, zbity z tropu. Nie wiedział, co powinien czuć. Cokolwiek odczuwał, wszystko wydawało mu się niewłaściwe i zbyt słabe. Kiedy tak stał, wpatrzony w fale, nagle kropelki wody spryskały mu twarz i natychmiast powróciło wspomnienie z czasów, kiedy zaczęli spotykać się z Dianą. Było to w Cambridge na początku lata. Szli tylko we dwoje, minęli King's College i przez Wielki Trawnik dochodzili do rzeki. Na rozświetlonym niebie wisiała tylko jedna ciemna chmurka, której cień powoli sunął ku nim po trawie. Stali bez słowa, a potem chwycili się za ręce i wbiegli w ten krąg chłodu, Diana śmiała się na całe gardło. Niemał słyszał teraz jej głos i pomyślał, jakie to dziwne, że tamte dni pozostały gdzieś daleko. Dziwne wydawało mu się także to, iż on i Diana mogli kiedyś wspólnie przeżywać takie chwile. Czy rzeczywiście odczuwał smutek? Wiedział, że jakaś jego część chciałaby zapłakać, ale wiedział równie dobrze, że nie będzie płakał. Bo jeśli nawet rzeczywiście doświadczał bólu, jednocześnie słyszał w sobie jakiś głos, który pytał go, czy nie są to czasem przesadne, nieco sztuczne emocje. Nie wiedział, co powinien czuć, gdyż nie był pewien, do jakich uczuć ma prawo. Po tym, kiedy wydarzyło się tak wiele, czego mogli od siebie oczekiwać i czego mogli się po sobie spodziewać?

Przed tym pytaniem nie potrafił, niestety, uciec i był coraz bardziej pewien, iż u podłoża wszystkiego leży poczucie winy, mroczne jak ciemniejące przed nim morze. Nikt rozsądny nie mógłby mu zarzucić, iż jest odpowiedzialny za samobójstwo Diany, nie miało to jednak żadnego znaczenia. Gdyby nie chodziło o niego... Szybko, niemał chyłkiem, zerknął w lewo i wtedy uświadomił sobie, na co starał się przez cały czas uparcie nie

spoglądać: niski, ciemny cypel z połyskującymi czerwonymi i białymi światłkami, radary, maszty radiowe, urządzenia telemetryczne należące do Royal Aeronautical Establishment, RAE Aberporth. Miejsce nie bardzo się chyba zmieniło od czasów, kiedy zobaczył je po raz pierwszy ponad dwadzieścia lat temu. Poczul lekki niepokój, ale już wiedział, że to zrobi, więc ruszył w tamtym kierunku ciemną uliczką, minął mały port i wejście na plażę, a potem zaczął się wspinać na Pennar Road, tak dobrze mu znane wzgórze. Droga najpierw zakosami pięła się pod górę, potem pobiegła płaską wstęgą wzdłuż grzbietu wzniesienia. Po obu jej stronach rosły drzewa: grube, ciemne i bardzo walijskie. Szedł przez jakiś czas w zupełnej ciemności, aż wreszcie dostrzegł za zakrętem plamkę żółtawego światła na asfalcie. Zbliżywszy się zobaczył oświetlone reflektorami ogrodzenie, zwieńczone potrójnym pasmem drutu kolczastego pod napięciem, tabliczki ostrzegające po angielsku i walijsku – RHYBUDD: CWN GWAR-CHOD AR WAITH – przed psami, a dalej główną bramę. Żadnej ostentacji: gładki ceglany mur, wartownia niewiele większa od budki telefonicznej. Tabliczki sygnowane przez Kwatermistrzostwo Ministerstwa Obrony informowały wyłącznie o tym, że ci, którzy chcą wejść na ten teren, muszą posiadać odpowiednią przepustkę wystawioną przez MoD Police. Biorąc pod uwagę, że mieściła się tu jedna z najbardziej tajnych placówek wojskowych w Zjednoczonym Królestwie, miejsce wglądało zupełnie zwyczajnie i można było odnieść wrażenie, że ma się przed sobą jedną z typowych instytucji publicznych, jak na przykład szpital dla nerwowo chorych, centrum szkoleniowe, w najgorszym razie więzienie. Mieszkańcy miasteczka zawsze zresztą zachowywali w tej sprawie daleko posuniętą dyskrecję; mówiono „baza”, „tam”, „firma”, „na wzgórzu”. Zwolnił, zbliżając się do wejścia. Blask lamp zainstalowanych na bramie padał na leżące w głębi budynki, tylko kilka najważniejszych miało osobne, własne oświetlenia: Administracja, Główne Laboratorium, Pracownia Eksplozji Kontrolowanych. Wszystkie były podobne, jednolub dwupiętrowe, zbudowane z czerwonych cegieł, poprzedzielanych starannie wygładzaną zaprawą, świeżo pomalowane framugi okien lśniły bielą. Teren wokół nich utrzymywano we wzorowym, typowo wojskowym porządku: skoszone trawniki, perfekcyjnie wytyczone ścieżki zwi-

rowe, starannie przystrzyżone krzewy. Nie, pomyślał, nic się nie zmieniło, on przynajmniej nie dostrzegał żadnej zmiany, kiedy zaś przystanął i zaczął się rozglądać wokoło, wydało mu się, że przypomina sobie niemal wszystko. Zaraz jednak spostrzegł, że to szczególne przypomnienie nie obejmuje żadnych konkretów, żadnych wydarzeń, obrazów czy uczuć. Doznał tylko jakiegoś dziwnego wrażenia oddalenia. Zresztą już w następnej chwili coś ułatwiło mu lepsze zrozumienie tego doznania, zobaczył oto niskiego, korpulentnego mężczyznę, szybkim krokiem zmierzającego w jego kierunku, z rękami wciśniętymi w kieszenie prochowca. Najwyraźniej wybrał się na wieczorny spacer, u jego boku energicznie dreptał mały szetland. Kiedy David zauważył tę parę, było za późno, by zejść z drogi, musiałyby się to wydać nienaturalne, stał więc dalej. Na twarzy nadchodzącego pojawił się nikły uśmiech, kiwnął lekko głową i powiedział cicho: „dobry wieczór”. David machinalnie odpowiedział i natychmiast uświadomił sobie, kto to był. Oczywiście, Eric Williamson. Chemik. Głowice, zapalniki czujnikowe – cały ciąg skojarzeń towarzyszył spojrzeniu, którym odprowadzał znikających w ciemnościach psa i jego pana. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że był to Williamson; z jakichś przyczyn ten sztywny, pospieszny chód dokładnie utrwalił się w pamięci Davida. Podjęli pracę prawie w tym samym czasie i wypił z nim nawet bruderszaft marnym południowoafrykańskim sherry, w które wyposażone były wówczas wszystkie brytyjskie instytucje wojskowe. Cóż za dziwny zbieg okoliczności, pomyślał. A może wcale nie? Williamson pozostał tutaj i przeszedł kolejno, jeden po drugim, wszystkie szczeble kariery życiowej i zawodowej, po których i on by pewnie wspinał się w górę: pierwsze małżeństwo, drugie, dzieci, szkoła, drugi zastępca kierownika, pierwszy, kierownik, szef laboratorium, dyrektor. Życie Williamsona mogło być jego własnym, co tylko dodatkowo podkreślało osobliwość jego rzeczywistych losów. To takie dziwne, że ich częścią było kiedyś to miejsce, że codziennie przekraczał tę bramę, gotów odgrywać rolę miejscowego młodego geniusza. Nic dziwnego, pomyślał, że nie wiem, co właściwie powinienem czuć w związku z Dianą. Tak bardzo już różnił się od mężczyzny, który kiedyś ją znał; ów David Harper sprzed ponad dwudziestu lat był widmem starającym się oplakiwać nieznajomą.

A kiedy wpatrywał się tak w bramę wejściową silny blask reflektorów sprawiał, że wydawała się racą wystrzeloną w noc – doznał wrażenia jeszcze innego, i równie groźnego wyobcowania. Żółte, jasne kręgi leżały na mokrym asfalcie. Rozjaśnione światłami bramy odległe budynki miały w sobie coś widmowego. Zaszczekał pies, co oznaczało, że zbliża się patrol. David doznał wrażenia, że ktoś go śledzi. Odwrócił się i miał ochotę puścić się biegiem, chciał uciekać – z trudem zapanował nad sobą. To miejsce, Aberporth, Diana – nawet syn? – wszystko oznaczało katastrofę, której ledwie udało mu się uniknąć. Wiedział teraz, że jest jeszcze inna przyczyna, dla której nie mógł sobie pozwolić na zbyt intensywne uczucia; nie mógł płakać, bo płakałby również nad samym sobą. A na litowanie się nad sobą nie miał najmniejszej ochoty. Swego czasu stało się ono niemal jego nawykiem, nawykiem, który musiał przezwyciężyć. Nie chciał, by się to powtórzyło, a czuł, że rzeczywiście grozi mu takie niebezpieczeństwo, zwłaszcza tutaj, w miejscu gdzie przeszłość trwała tak żywa i namacalna. Było coś przerażającego w tym, że nie dała za wygraną i istniała nadal, nie licząc się z nim i jego życzeniami, i że powracały teraz wszystkie kwestie, które w jego mniemaniu zostały rozstrzygnięte już dawno temu.

Zaczął go dręczyć coraz silniejszy niepokój. W hoteliku, pomimo późnej pory, czekała na niego herbata, ale kiedy podnosił filiżankę, ręka mu drżała. Chcąc się odprężyć, wziął kąpiel w zimnej, oświetlonej jarzeniówkami łazience usytuowanej na końcu korytarza, ilekroć jednak odnosił wrażenie, że się uspokaja, w następnej chwili znowu czuł powracające napięcie. Co się wydarzyło w ciągu tych kilku ostatnich dni? Jaki to miało z nim związek? Co naprawdę czuł do Diany? Zgasił światło i położył się w szlafroku na zasłanym łóżku, ale nie mógł zasnąć. Zaczął myśleć o Annie, mając nadzieję, że go to uspokoi, ale w istocie zwiększyła się tylko liczba pytań i wątpliwości. Co o nim myślała? Jaki obraz pojawiał się w jej myśli na dźwięk jego imienia? Ciało, nagie ciało? Twarz? Głos? Jak odbierała jego głos? Czy uważała, że jest dobry? Miły? Delikatny? W pokoju nie było telefonu. Gdyby jednak był, pomyślał, i zadzwoniłby teraz do niej, co by mu powiedziała? Miała w Kornwalii przyjaciółkę, Amerykankę o imieniu Jessica. Pisywały do siebie regularnie, niemal co tydzień. Zastanawiał się, czy opowiedziała jej już o nim i jak to ujęła. A może

pisala już o nim wcześniej? Powinam Ci chyba wspomnieć o moim starym przyjacielu, Davidzie Harperze, który był także przyjacielem Axela. Fotografuje zwierzęta. Czasami zatrzymywał się u mnie, a obecnie mieszka razem z nami już od tygodnia. Napisałaby chyba parę zdań na jego temat, ale ani nie rozgadywałaby się nadmiernie, ani nie bawiłaby w pół-słówka. Kocham go. I nie dodałaby: *wydaje mi się*. Kogo jednak tak naprawdę kochała? I czy on potrafiłby jej to wyjaśnić? Na tym polega chyba niebezpieczeństwo tego miejsca, pomyślał. Okazało się że przetrwało w nim, nadal żywe, jego dawne „ja”, co rodziło wątpliwości co do „ja” nowego, czyniło je problematycznym, wątpliwym, stawiało pod znakiem zapytania. Oto, co nastąpiło. Taki był efekt powrotu tutaj. A potem pamięć ze przeniosła go ze złych czasów w niemal tak samo ponure, gdy rozstał się już z Dianą, gdy się poddał. Zaczął ostro pić, wylano go ze szkoły, w której uczył, i nawet dyplom Cambridge w niczym mu nie pomógł. Właśnie wtedy zepsuł się samochód; nie mógł go oddać do warsztatu, gdyż nie miał pieniędzy. Była to ostatnia rzecz, na której mu zależało, vauxhal, porządny wóz dla klasy średniej (po co w ogóle go kupował?). Był tak zdesperowany, że postanowił, iż sam go zreperuje. Pożyczył narzędzia, zdobył odpowiedni podręcznik, przez trzy dni leżał pod samochodem i w końcu go naprawił. Potem uświadomił sobie, że było to odtworzenie jego własnej historii. Powróciły wspomnienia z Cambridge, jego „wybitność”, nauczyciele, którzy go zachęcali i namawiali, a potem jeszcze dawniejsze, z czasów gdy był podobny do innych kolegów, którzy wszystko potrafili zrobić własnoręcznie. Nic nie mówili ani nie rysowali, przyglądali się tylko ułożeniu części i brali się do dzieła. To stało się dla niego swego rodzaju objawieniem. Jeśli czegoś chciałeś, po prostu to robiłeś. I wszystko. Potem zapomniał, jakie to było łatwe. Epizod z samochodem, choć nie uświadomił sobie tego wtedy, stanowił punkt zwrotny w jego życiu. Kiedy pół roku później jak zwykle szedł kupić butelkę Bella (może już drugą), nagle zmienił kierunek i zamiast do sklepu poszedł do kina, gdzie grali film zatytułowany *Morgan*, komedię o zwariowanym artyście (równie dobrze mógłby to być naukowiec), który przebierał się za goryla. David przesiedział przed ekranem całe popołudnie i cały wieczór, zaśmiewając się w niebogłosy. Odtąd zawsze już vauxhall kojarzył mu się z kinem;

naprawa samochodu okazała się początkiem naprawy siebie samego. Co jednak w efekcie zbudował? Czy ten ktoś to był ciągle on? Czy może jakiś falsyfikat?

I myśląc o filmie zapadł w półsen, rozplynał się w jakiś osobliwy sposób. Było zupełnie tak, jak gdyby z oddali zobaczył siebie i ukrył się, jakby się schował za wielki czarny mur i zniknął. Jego nie było i tylko umysł jeszcze pracował, ciągle pełen niepokoju. O czymś zapomniał. Jakaś szkoła. Koledź. Szedł najwidoczniej na egzamin i próbował przypomnieć sobie wszystko, ale jakiś element umykał. Nie wiedział, co to takiego. Wzór Wiena, prawa Rayleigha i Jansa, Plancka, Stefana, stała Boltzmann... *Wzbudzenie radiacyjne, M , dla danej długości fali λ , równa się pierwszej stałej razy odwrotność λ do potęgi...* Wszystko przesunęło się przez głowę: nazwiska, wzory, równania, ale ciągle czegoś brakowało. Jego umysł pracował gorączkowo, starając się odnaleźć to jedno ogniwo, a kiedy był już bliski sukcesu, obudził się. Wpatrzony w mrok, nagle wyszeptał jak modlitwę czy fragment katechizmu: „ $5,6697$ razy 10 do minus 8 W m do minus 2 K do minus 4 ” i machinalnie powtórzył tę formułę jeszcze dwa razy, nie wiedząc, co znaczy. W następnej chwili przypomniał sobie, że jest to wartość stałej Stefana, sigma, pozwalającej wyliczyć natężenie promieniowania emitowanego przy danej temperaturze przez ciało czarne.

Ciało czarne.

Te słowa poraziły go jak grom.

Przez jakiś czas leżał na łóżku zupełnie nieruchomy, z bijącym sercem, jakby nawiedziła go zmora. Kiedy odzyskał już oddech i obrócił głowę, dostrzegł niewielką plamę światła w oknie. Przez chwilę zastanawiał się, co właściwie tak nim wstrząsnęło: fakt, iż tak wiele jeszcze pamiętał, czy też przeświadczenie, iż mimo wszystko o czymś zapomniał. Ale potem trudy długiego dnia dały w końcu znać o sobie, głowa opadła mu na poduszkę, powieki opadły i zasnął kamiennym snem.

Kiedy zbudził się następnego ranka, minioną noc i cały poprzedni dzień skojarzyły mu się z drzwiami, które się za nim zamykały i więziły go w osobliwym labiryncie, gdzie przeszłość czyhała za każdym rogiem. Przyszłość zniknęła, chodził w kółko po własnych śladach, powracając do

miejsc, które, jak mu się wydawało, raz na zawsze zostawił za sobą; w ustach czuł bardzo wyraźny smak whisky, kojarzący mu się z tak okropnymi obrazami, że natychmiast pobiegł do okna, by pozbyć się go wraz ze śliną. Ale potem rozejrzał się wokół i zobaczył po prostu Aberporth – mokre dachy, szare morze, z wahaniem zmierzające ku lądowi – z tym miasteczkiem wiązało się tyle jego wspomnień... I pozostało mu tylko jedno – posępny, beznadziejny opór, przeciwstawianie się temu, co nieuniknione. Stracił grunt pod nogami i leciał w dół.

Wszystko potwierdzało to uczucie.

Zadzwoił do syna. Choć rozmowa trwała krótko, wyczuł jednak wyraźną, niemal namacalną wrogość, piekącą jak lina przelatująca przez dłonie. Zadzwonił do Anny – jeśli była jeszcze w ogóle jakaś nadzieja, to związana z nią – ale oczywiście nie odebrała telefonu, co go zresztą zbytnio nie zaskoczyło (rozumując racjonalnie, wiedział, że odwozi właśnie Dereka do szkoły), czuł bowiem – jak przed laty – że szczęście go opuściło. Fatum znowu ukazało mu swoje nieubłagane oblicze.

Usiadł za kierownicą i ruszył w stronę domu Diany. Pamięć okazała się dobrą przewodniczką. W dzielnicy, gdzie mieszkała większość naukowców, położonej pomiędzy autostradą a bazą, ulice i zaułki tworzyły sieć tak skomplikowaną, jak na mapie konturowej, odnalazł jednak drogę bezbłędnie, zupełnie jakby to było dwadzieścia lat temu, a on wracał po pracy do siebie. Na czymś podjeździe wytropił nawet turkusowego morri-sa, pierwsze auto, jakie kupili wspólnie z Dianą. Natychmiast rozpoznał też dom, chociaż nie widział go przez tyle lat, tak jak sąsiednie jednopiętrowy, utrzymany w stylu pseudotudoriańskim, z okiennicami i framugami pomalowanymi jak zawsze ciemnozieloną farbą. Sam instalował lampę na ganku, podrobiony antyk ze stali i matowego szkła – odrobinę dziś przekrzywioną. Wszystko było tak dobrze znajome, nie mógł się obronić przed napływającymi wspomnieniami.

Przez chwilę nie wyłączał silnika, jakby nie był jeszcze całkowicie zdecydowany, czy się zatrzymać, i siedząc tak z jedną ręką na kierownicy, poczuł zdziwienie, że mógł tu kiedykolwiek mieszkać i że podobny pomysł wpadł mu kiedyś w ogóle do głowy. A potem poczuł nagły napływ pogardy do siebie. I nic dziwnego, pomyślał. Patrząc na lampę, wyobraził

sobie Williamsona, jak ze śrubokrętem w dłoni wspina się po drabinie. Oto dom, pomyślał, który jest spełnieniem marzeń Williamsonów. Nienawidził siebie za to, że pozwolił, by podobne marzenia stały się jego własnymi. Domek kupił im w prezencie ślubnym ojciec Diany, a chociaż nie mogli sobie wtedy pozwolić na odrzucenie podarunku, pamiętał, że czuł doń przez cały czas dziwną niechęć. Po latach, gdy byli już rozwiedzeni, myślał niekiedy, iż Diana wyszła za niego, aby uciec z domu, ale to się niestety nie udało, ojciec nie wypuścił jej spod swych skrzydeł i był wszechobecny. To takie banalne. Zbuntowane córki, nadopiekuńczy rodzice, niepewni siebie licealiści – jakimż kiczem byłoby ich życie tutaj. Czymś jakże nierzeczywistym. Spoglądając na ten dom, otoczony, jak kazał obyczaj, dębami, wyobraził sobie jakiś stary amerykański film, którego akcja rozgrywałaby się w Anglii. Grający główną rolę Cary Grant pędzi sportowym autem wiejskimi drogami, a potem zajeżdża tutaj i jego dziewczyna zbiega ku niemu po schodach z rakiętą tenisową w dłoni. Wiejskie przedmieścia i wszystkie ich iluzje. Iluzje, które można by właściwie nazwać wiarą, jako że wszyscy mieszkańcy tej dzielnicy widzieli wspaniałe szaty cesarza, byli na to skazani. Cóż, widziała je także Diana... choć jeśli chodzi o Dianę, nie był tego pewien. Czy rzeczywiście wierzyła, że scenariusz jest wspaniały, czy też tylko odgrywała wyznaczoną jej rolę? Teraz wydawało się to bardziej zagadkowe niż wówczas. Przypomniawszy sobie, że kiedy mieszkali tu razem, zawsze wyczuwał w jej zachowaniu wobec otoczenia jakiś ton wyższości, jak gdyby górował nad wszystkim pod jakimś względem lub znała jakiś sekret, do którego inni nie zostali dopuszczeni. Zawsze ten delikatny odcień pogardy. Czy obejmującej także i jego? Tak, często miał wrażenie, iż bardziej go szanowała po rozwodzie niż w czasach, gdy byli małżeństwem. Zawsze była bardziej wyrafinowana niż on, wyrażała swoje uczucia w sposób bardziej złożony i subtelny, tak że pewna nieszczerłość nie byłaby czymś, co zupełnie nie pasowałoby do niej. Jeśli jednak rzeczywiście nie wierzyła w wartości stanowiące świętość dla ludzi z jej środowiska, w co wierzyła naprawdę? Musiała bowiem w coś wierzyć, musiała czegoś pragnąć. Dowodem było samobójstwo: istniało coś na tyle ważnego, że po utracie tego nie warto było żyć. Pieniądze? Jakiś mężczyzna, kochanek? Może zdrowie – zawsze bardzo

się niepokoiła o oczy, gdyż jej wielką namiętnością było malarstwo. Przedtem pasjonowała ją fotografia; jeśli stało się coś z jej wzrokiem, mogła nią owładnąć rozpacz tak wielka, że zdecydowała się skończyć ze sobą.

Ale natychmiast uświadomił sobie, że to niemożliwe. Rzecz w tym, że rozpacz nie była słowem, które by do niej pasowało. To on był desperatem, spoglądając w przeszłość widział to teraz wyraźnie. Przygniatające go w tej chwili poczucie wyobcowania – wszystko, co trwało za absolutnie przejrzyistą szybą, wydawało się nieskończenie dalekie – było tylko echem towarzyszącej mu przez wszystkie te lata pewności, iż nie należy do tego świata. Od samego początku wiedział, że na ten dom spadnie jakieś nieszczęście, tak jak wiedział i teraz, że wydarzy się wkrótce coś strasznego, czując w piersi ową miękką, cichą eksplozję niepokoju. Będzie wtedy starał się uciec. Miał ochotę zrobić to już teraz, natychmiast. Słyszał w sobie nagłące wezwania: zabieraj się stąd, szybko, uciekaj póki czas.

Oczywiście, nie zrobił tego – pochylił się i wyłączył silnik. Wiedział, że jeśli nawet miałby umknąć stąd jak najszybciej, najpierw musi porozmawiać z Timem. On był najbardziej narażony na ból, przede wszystkim z racji swej niewinności. Jaka będzie ta rozmowa? Jak się w ogóle będzie zachowywał? Tego David nigdy nie potrafił przewidzieć. W ich wzajemnych relacjach zawsze było coś dziwnego, jakiś ton niepewności. Nigdy nie wiedział, jak się do niego zwracać: Tim, Timothy, Timmy... Ilekroć przyzwyczaił się do którejś z tych wersji, okazywało się, że chłopiec już jej nie lubi. Usiłował się teraz zebrać w sobie, wdychając zapach drzew i kwiatów, jak kiedyś, jak dawniej... Ruszył w kierunku domu. Na ganku czuć było woń zbutwiałych liści i mokrych cegieł. I znowu odżyło wspomnienie, zapach szkła, kiedy przyciska twarz do okna; okoliczności tej scenki zupełnie uleciały mu z pamięci, pozostał jedynie ów zapach jako symbol samotności. Nie był jednak pewien, który z nich obu dotkliwiej odczuwał brak wzajemnych kontaktów, który z tego powodu czuł się bardziej samotny. Tim w każdym razie przejawiał wobec niego jedynie pewną niechęć, która nigdy zresztą nie przybierała form zbyt ostrych, z reguły trudno ją było odróżnić od rezerwy. Jak zawsze i tym razem upłynęło trochę czasu od chwili, gdy nacisnął dzwonek, zanim chłopak otworzył

drzwi. Przez chwilę Tim wahał się, blokując przejście, jak gdyby istotnie się zastanawiał, czy ma wpuścić ojca do domu. Był tak samo wysoki jak David i wypełniał sobą całe wejście. Oprócz wzrostu nie było między nimi żadnych innych wyraźnych podobieństw. Ze swoimi ciemnymi włosami i nieco zwiotczałym ciałem ojciec miał w sobie coś z Walijszyka, podczas gdy muskularny i piegowaty Tim przypominał bardziej Irlandczyka.

Jak zwykle, David musiał przemówić pierwszy.

- Jak się czujesz, Tim? Wszystko w porządku?
- Oczywiście, że w porządku.

David poczuł, jak kurczy się wewnętrznie. Rzeczywiście użył nieodpowiednich słów, ale on zawsze używał nieodpowiednich słów, a poza tym jakież słowa wypowiedziane na powitanie synowi samobójczyni byłyby odpowiednie?

Tamten czekał, a potem niezgrabnie ustąpił, jak gdyby nagle przypomniał sobie o dobrych manierach. To właśnie zawsze zaskakiwało Davida – pod powierzchownością niedojrzałego chłopca kryła się osoba, która sprawiała wrażenie znacznie starszej i która – tak podejrzewał – okazałaby się z pewnością całkiem sympatyczna, gdyby tylko potrafił się przebić przez tę wewnętrzną barierę ochroną. Ale to właśnie była ta nienaruszalna, ukryta warstwa Tima. Chodził w adidasach, pasjonował się wszystkim, co wiązało się z Afryką Południową, nosił odznaki klubowe, a przecież wydawało się, że nie jest z niczym naprawdę związany.

Weszli do holu.

– Dzwoniłem wczoraj z Cardiff, aby cię uprzedzić, że przyjeżdżam, ale nikt nie odpowiadał.

Tim rzucił mu niemal wyzywające spojrzenie, jak gdyby odmawiał ojcu prawa do interesowania się jakimikolwiek szczegółami jego życia, jednakże David zawsze uparcie akcentował właśnie to swoje prawo: oto jestem, jestem częścią twojego życia i niezależnie od wszystkiego wolno mi się troszczyć o ciebie. Nigdy nie ustąpił w tym punkcie i nawet gdyby miał się narazić na najboleśniejsze afronty, nie zrezygnowałby z owych roszczeń. Zarazem nigdy jednak nie posuwał się w nich zbyt daleko. Pragnął teraz, na przykład, uściskać chłopaka, ale wiedział, że podobny gest stanowiłby groźne w skutkach przekroczenie granicy, którą zawsze dotąd

akceptowali.

– Tak mi przykro – odezwał się w końcu. – Wiem, jak ciężko musisz to przeżywać.

Tim jakby nie usłyszał ostatnich słów.

– Wziąłem auto i jeździłem po okolicy. Nie mogłem wysiedzieć tutaj, musiałem być w ruchu. Wróciłem bardzo późno. – Zawahał się. – Wstałem dopiero przed chwilą. Zrobiłem właśnie kawę. Może chcesz?

– Tak, poproszę.

– Ale nie zmuszaj się.

– Nie, naprawdę z chęcią się napiję.

Tim odwrócił się na pięcie i pozostawił Davida samego w holu. Chciał już ruszyć za synem, ale nie zrobił tego, gdyż nagle poczuł się intruzem. Znalazł się w domu Diany, której tu nie było i która nigdy tu już nie wróci. Własna obecność wydawała mu się swego rodzaju wykroczeniem: ona nie żyła, a on był tylko widmem. Z drugiej jednak strony, wszystko wyglądało tak normalnie: Tim w kuchni przygotowuje kawę, a on wchodzi właśnie do jadalni, pomieszczenia pod pewnym względem bardzo normalnego. Jadalnia Williamsonów w Williamsonowskim domku: jasnoniebieski dywan ułożony dokładnie na środku wypastowanej podłogi, dwa fotele i sofa, pokryte błyszczącym granatowym obiciem, ustawione pieczołowicie wokół kominka z niebiesko-kremowymi płytkami, jasnokremowe ściany i sufit, łagodne światło słoneczne przepływające przez firanki. Nad wszystkim unosił się dyskretny zapach cytrynowej pasty i irysów stojących na mahoniowym stole pod oknem. Wszystko było schludne i przyjemne, a przecież znowu ogarnęło go uczucie odrazy, wydawało mu się bowiem, że powraca do mieszczańskiego domu z czasów dzieciństwa, gdzie zawsze będzie się zachowywał niepewnie i sztucznie. Ludzie tu mieszkający będą mieli uprzejme uśmiechy na twarzach i nienaganny akcent, czytać będą *Puncha*, a jeździć A40, lub nawet czymś lepszym, wolsleyem lub jagua-rem. Spojrzał na sufit: w centrum znajdowała się gipsowa rozeta, pomalowana na ten sam kolor co dywan; gdyby moda się nie zmieniła, pomieszczeniu dodawałby szyku mały kryształowy żyrandol. Z niesmakiem pomyślał, że mógł kiedyś chcieć mieszkać w takim domu. Czy jednak rzeczywiście chciał tego kiedykolwiek? I chociaż Diana wychowywała się

w takich właśnie pokojach, równie szokująca była myśl o niej, siedzącej tu na sofie. Ach, oczywiście, wiedziałyby doskonale, jaką przyjąć pozę – wdzięcznie ułożone nogi, filiżanka herbaty bezpiecznie ulokowana na spódniczce, szczupłe palce dłoni igrają ze sznureczkiem pereł na szyi – słuchając gospodyni, gdyż ona byłaby tutaj gościem, z czego druga jej połowa serdecznie by się zaśmiewała. Uciekła już kiedyś z tego typu pokoi; taka właśnie była jadalnia w jej rodzinnym domu, skupiająca w sobie wszystko, czego nie mogła znieść. Błysnęło mu nagle w głowie, że Diana wcale się nie zabiła, a tylko zainscenizowała własną śmierć, by móc zniknąć, a potem pojawić się znowu już zupełnie gdzie indziej i stać się całkiem nową osobą. Zaczęła wszystko od nowa. On powrócił do przeszłości, ona się z nią pożegnała; w jakiś osobliwy sposób zamienili się miejscami. Wyobraził sobie na chwilę, iż jest to rzeczywiście prawdą i wrażenie było tak silne, że Tim, który właśnie wchodził do pokoju, zapytał cicho:

– Coś nie w porządku?

David głęboko odetchnął.

– Nie wiem. To ten pokój. Jest w nim coś takiego...

– Co?

– Jak gdyby nie należał wcale do niej. Nie potrafię jej sobie tutaj wyobrazić.

Tim chciał zaprotestować, ale zrezygnował z tego zamiaru i tylko wzruszył ramionami.

– Myślę, że traktowała ten pokój jak miejsce przeznaczone dla innych ludzi, nie dla niej. Większość czasu spędzała na górze. Poszerzyła sypialnię, wstawiła do niej kanapę i fotel, a w jednym z rogów ustawiła sztalugi i malowała. Chyba tylko tam czuła się jak u siebie, często nawet tam jadła. Żaden inny pokój nie był jej tak naprawdę potrzebny.

Wieża.

Rapunzel, pani Rochester, Maria Stuart. Przypomniał sobie kobiety żyjące w wieży, uwięzione tam przez czarownice, szaleństwo lub rywalki do tronu. Co uwięziło Dianę? A choć natychmiast skarcił siebie: „Co za bzdury”, wiedział zarazem, że to wcale nie są bzdury. Zabiła samą siebie – jeśli to sobie musiał wyobrazić, miał prawo wyobrazić sobie wszystko. Nie były to żadne bzdury.

– Ja też rzadko tutaj przebywam – ciągnął Tim. – Jeśli chcesz się napić, kawa czeka w kuchni.

Poszli na tył domu. Kuchnia była także dość staromodna; wszystkie meble i sprzęty pochodziły z lat pięćdziesiątych i reprezentowały styl „epoki odrzutowców”. Szafki, z których wystawały aluminiowe ręczki. Lodówka Electroluxa. Komplet krzeseł i stół z rurek stalowych, przykryty jednym z pierwszych „łatwo zmywalnych” materiałów, który wcale nie należał do tanich. Już po chwili uzmysłowił sobie, że nic się tu niemal nie zmieniło od czasów, kiedy wprowadził się do tego domu. Na blacie stołu zauważył zestaw pojemników na herbatę, mąkę i cukier, z przezroczystego plastiku – otrzymali go w prezencie ślubnym od jego ciotki. Na listę uwiecznionych kobiet mógł więc także wciągnąć i ją – panią Haversham, porzucaną, dręczoną wstydem, przytłoczoną poczuciem klęski. Ale dlaczego? Nic jej do tego nie zmuszało. Powróciło pytanie, którym trapił się poprzedniej nocy: dlaczego Diana pozostała w Aberporth? Usiadł bez słowa, a Tim nalał do kubka kawy. David chciał spojrzeć mu w oczy, ale chłopak odwrócił wzrok.

– Słuchaj, Tim, zwłaszcza teraz musimy nauczyć się jakoś rozmawiać z sobą.

– Chyba tak. Sądzę, że będziesz chciał się dowiedzieć, co się tutaj stało.

– Nie to miałem na myśli.

– Być może zresztą już wiesz. Może znacznie lepiej ode mnie.

– Wątpię.

– Mówię poważnie. Myślałem o tym dziś rano... – na chwilę przerwał, a potem podjął beznamiętnym głosem: – ...Wiesz, nie mogę przestać myśleć. Ona nie żyje. To powraca do mnie... Dziesiątki razy...

– Tim, jeśli chcesz...

– Nie, nie. Chciałem tylko powiedzieć, że kiedy tu przyjechałem... Widzisz, tam za oknem jest ogród, nie w nim nie ma szczególnego, tylko zawsze się martwiła, że irysy są takie marne. Nie bardzo lubiła w nim pracować, ale zawsze chciała, żebym jej pomagał. Rozsadzaliśmy te kwiaty, czy jak to się tam nazywa... No więc tam jest dół, który ona wykopała i do którego wyrzucaliśmy śmiecie. Dziś rano pomyślałem sobie, że go

zasypię, ale jakoś nie mogłem, wiesz, i kiedy zaraz potem zadzwoniłeś, przypomniałem sobie, jak bardzo lubiłem ten ogród jako chłopiec. Bawiłem się tam całymi godzinami. Ale przy samym ogrodzeniu, tam gdzie są lilie, zawsze było niezwykle ciemno i ilekroć się tam znalazłem, zawsze czułem lęk. Wiedziałem, że coś się kiedyś wydarzyło, rozumiesz? Że kiedy byłem dzieckiem, stało się coś złego. Ale nie wiedziałem co. Ona nigdy o tym ze mną nie rozmawiała, a ja nigdy o to nie pytałem. Lecz ty oczywiście wiedziałeś, to rozumiało się samo przez się. I spodziewam się, że i tym razem wiesz. Dlaczego? Dlaczego to zrobiła?

Nastąpiła chwila milczenia, nigdy bowiem nie powiedzieli Timowi, co się stało z nim, ojcem, i co się stało z nimi obojgiem. Już dawno temu doszedł do przekonania, że to był błąd, i nieraz chciał porozmawiać z synem, ale Diana zawsze się sprzeciwiała. Teraz próbował nieporadnie uniknąć tego tematu.

– Nie jestem pewien, czy dobrze cię rozumiem – powiedział.

– Nie? No cóż, dla mnie to dość oczywiste. Popelniła samobójstwo z tej samej przyczyny, dla której się rozwiedliście. To wszystko.

– Nie, Tim, na pewno nie masz racji. Rozwiedliśmy się wiele lat temu, a ona odebrała sobie życie wczoraj...

– Mówiąc ściślej, przedwczoraj, ale nie zadzwoniłem natychmiast. Nie mogłem... nie potrafiłem powiedzieć tego głośno...

David przymknął oczy. Przez krótką chwilę nie mógł znieść widoku czegokolwiek. Kiedy zdał sobie sprawę, że ma opuszczone powieki, uniósł je z wysiłkiem. Powiedział jednak spokojnie:

– Rozumiem, Tim. Ale dlaczego więziesz jedno z drugim? Dlaczego ci się wydaje...

– A jaki mógłby być inny powód?

– Nie wiem. Pieniądze. Zawód miłosny. Zdrowie. Ty.

– Nie. Przemyślałem każdą możliwość, ale wszelkie inne nie mają żadnego sensu. Kiedy przyjechałem, wszystko było jak zawsze, była zupełnie... Jak to powiedzieć... Była po prostu sobą. Cieszyła się, że przyjechałem. Była taka... – Wzruszył ramionami.

David odczekał chwilę, a potem powiedział:

– Poczekaj. Byłeś tutaj od kilku dni, tak?

– Tak. Przyjechałem w piątek. Chciałem posiedzieć w domu przez tydzień i pouczyć się. Mam jeszcze trzy egzaminy. – Popatrzył ojcu prosto w oczy. – Ale nie zaprzeczasz...?

– Czemu?

– Że coś się stało, zanim się rozwiedliście?

– Oczywiście, że coś się stało.

– Nie to miałem na myśli. Wydarzyło się coś... coś takiego...

– Masz rację, coś się stało. Powinniśmy byli powiedzieć ci o tym i już wiele lat temu chciałem to zrobić. Tylko że mama nie zgadzała się, nie wiem dlaczego, ale sprzeciwiała się. To bardziej dotyczy mnie niż jej i jeśli będziesz chciał, powiem ci, o co chodziło, ale tamte wydarzenia nie mogą być przyczyną... po dwudziestu pięciu latach. Ale i ty musisz mi powiedzieć, jasno i dokładnie, co tu się stało przedwczo-raj.

Tim opuścił wzrok i David mógł wyobrazić sobie, co chłopak czuje. Przypuszczał pewnie, że tajemnica ukryta w mroku za liliami jest niepojęta, niewysłowiona, a tak łatwe jej ujawnienie mogło wydać się przerażające. I w końcu może wcale nie był pewien, czy chce poznać ten sekret, gdyż zaczął teraz mówić szybko i cicho.

– Niewiele jest do powiedzenia. Tysiące razy przypominałem sobie ten dzień. Zjedliśmy śniadanie i poszliśmy na spacer. Byliśmy w miasteczku, potem nad rzeką, w końcu wróciliśmy do domu. Nic się nie wydarzyło. Absolutnie nic. Zobaczyła jakiegoś bardzo interesującego ptaka, strzyżyka chyba. Spotkaliśmy kilka osób, z którymi się witała, ale to byli sami miejscowi. Wszystko odbywało się najzupełniej normalnie, a mama była absolutnie spokojna. Kiedy przyszliśmy, poszedłem na górę i uczyłem się aż do obiadu. Zjedliśmy u niej; gdy zapukała do mnie, stał już na stole. Nie zastanawiałem się wtedy nad tym, ale chyba przez całe przedpołudnie była u siebie.

– Malowała?

– Nie. Pytałem ją o to, ale powiedziała, że chce trochę odpocząć od pędzla. Rozłożyła kamerę, nawet, zdaje się, dwie, i, jak mówiła, czyściła je. Chyba ich nie używała, ale wszystko było najzupełniej zwyczajne, rozmawialiśmy tak, jak setki razy dotąd. Była taka sama jak zawsze, nie wyczuwałem nic szczególnego. I nadal nic takiego sobie nie przypomi-

nam.

– Rozumiem. Zjedliście więc obiad...

– Tak. Potem zebrałem talerze i chociaż powiedziała, żebym tego nie robił, poszedłem pozmywać. Potem wróciłem do nauki i nie widziałem jej aż do czwartej. Nie jestem pewien, gdzie była, ale myślę, że w swoim pokoju, w każdym razie z pewnością w domu. O czwartej zapukała do mnie, trzymała w ręku jakieś listy. Chciała, żebym pojechał do Cardigan i je wysłał. Powiedziała, że idą o dzień krócej, gdy tam się je wrzuci, a miała tam parę rachunków, z którymi się spóźniła.

– Tak rzeczywiście było z pocztą?

Wzruszył ramionami.

– Skoro tak mówiła... Dlaczego miałbym jej nie wierzyć?

– Pewnie, ale chodzi mi o to, czy nie sądzisz, że chciała pozbyć się ciebie z domu?

– Z pewnością, ale wiem to dopiero teraz, a wtedy nic takiego nie przyszło mi do głowy.

– No dobrze. Pewnie wzięłaś samochód?

– Tak. Ale przed wyjazdem powiedziała jeszcze, że idzie do kogoś na kolację, więc żebym zjadł coś w Cardigan albo sam zrobił sobie coś w domu. Wysłałem więc listy, położyłem trochę, a potem wpadłem do pubu i zjadłem jakieś ciepłe danie. Wróciłem dopiero o siódmej, może trochę później. Nie było jej, ale mnie to oczywiście nie zdziwiło. Wróciłem do swojej lektury. Przerwałem naukę dopiero o dziewiątej, a o dziesiątej zjawiała się policja. – Tim rozsiadł się wygodniej na krześle. Najwyraźniej dotarł do najważniejszego momentu, mimo to – po raz pierwszy od momentu gdy go ojciec zobaczył w drzwiach – wydawał się odprężony, jakby już uwolnił się od przytłaczającego go brzemienia, pewien, że za chwilę wyrzuci wszystko z siebie. – Znasz ścieżkę, która prowadzi do Tresaith?

– Nie jestem pewien.

– Zaczyna się po drugiej stronie miasteczka i biegnie wzdłuż szczytu skalnej ściany wybrzeża, jakieś sto stóp nad wodą.

– Teraz przypominam sobie. Jest tam wodospad.

– Tak, taki nieduży. Nawet dwa. Ktoś znalazł jej ubranie, jakiś facet z Tresaith, który co wieczór chodzi tamtędy na spacer. Zobaczył jej rzeczy

leżące na samym skraju urwiska. Wszystko było starannie poskładane, policja mówi, że to często się zdarza u samobójców. Zdjęła nawet okulary i ułożyła na wierzchu. Facet zadzwonił na policję, a kiedy tamci przyjechali, znaleźli w jej torebce list, więc dowiedzieli się, co się stało. Powiedzieli mi, żebym pojechał z nimi i sprawdził, czy to jej rzeczy, choć tak naprawdę nikt nie miał co do tego żadnych wątpliwości, i od rana rozpoczęli poszukiwanie ciała. W bazie jest oddział komandosów; pletwonurkowie wypłynęli na tratwach i szybko znaleźli jej zwłoki między skałami.

– Mój Boże, Tim...

– Tak. To okropne.

– Co było w liście?

– Policja go zatrzymała. Obiecali, że zwrócą, ale powiedziałem, że nie potrzeba i mogą spalić. Napisała: „Robię to z własnej i nieprzymuszonej woli. To nie może wydarzyć się raz jeszcze”. I podpis. Diana Harper. – Tim spojrział na Davida, teraz już bez żadnej niechęci w oczach. – To po części dlatego byłem taki pewien, że powodem... „To nie może wydarzyć się raz jeszcze”... Wiesz, co to znaczy, prawda? Wiesz, o co jej chodziło?

David zaczerpnął tchu.

– Tak. Chyba tak. Ale nie mogę pojąć, dlaczego miałyby to mieć obecnie jakiegokolwiek znaczenie.

– Miałem jednak rację, że chodzi o coś z przeszłości? Z czasów kiedy się rozwodziliście?

– Tak. Ale to było tak dawno, Tim...

– Czy to ma jakiś związek z Amerykaninem o nazwisku Tannis?

– Tak. Może. Dlaczego pytasz?

– Kim on jest?

– Oficerem marynarki wojennej. W każdym razie był nim kiedyś. Był szefem kontrwywiadu w amerykańskiej bazie badawczej, trochę podobnej do tej tutaj. Nazywano ją Poligonem Doświadczalnym Marynarki Wojennej, a znajdowała się w China Lake w Kalifornii. Ale skąd znasz to nazwisko?

– Był tutaj.

– Kiedy?

– W piątek po południu.

- Po co?
- Nie wiem dokładnie. Rozmawiał z mamą.
- Była zdenerwowana?
- Nie, chyba nie...

Jednakże Tim na moment się zawahał, jakby chciał o coś zapytać, więc David powiedział:

- Tim, mów wszystko, proszę.
- Hm. Przypomniałem sobie teraz, że jednak w pewnej chwili się zdenerwowała. Wiesz, nie było mnie na dole, kiedy on przyjechał. Jak zszedłem z góry, rozmawiali w jadalni przy kawie. Nie wydawała się napięta, ale kiedy przedstawiała nas sobie... Nie wiem, jak to powiedzieć. Uścisnęliśmy sobie dłonie, a ona patrzyła na nas z uśmiechem – tak jak ty teraz – a w chwilę później jej twarz przybrała zupełnie inny wyraz, taki jakiś dziwny. Nie mam pojęcia, co to było, nie strach ani nic podobnego. Wyglądała, jakby zrobiło się jej niedobrze.

- To się stało, kiedy wszedłeś do jadalni i on już tam siedział?
- Tak. To był naprawdę taki śmieszny moment...
- A co nastąpiło później?
- Nic, zupełnie nic. Zaraz przyszła do siebie, to trwało tylko chwilę. Roześmiała się, powiedziała, że kapitan Tannis interesuje się dwoma Niemcami i pytał, czy ich czasem nie widziałem. To był wyraźnie żart.

- Dwoma Niemcami?
- Nazywali się Buhler i Vogel. Ten Amerykanin, Tannis, spytał, czy kiedykolwiek słyszałem ich nazwiska.

- A słyszałeś?
- Nie. Pewnie, że nie. Co to za jedni?
- Nie mam zielonego pojęcia. Myślisz, że matka ich знаła?
- Nie, z całą pewnością nie.
- Hm... – Widząc, że Tim chce zaprotestować, David szybko dorzucił: – Mówię prawdę, nic nie wiem o tych Niemcach.

- Ale reszta...
- Tak, tak, ale poczekaj. Chcę się dowiedzieć więcej o Tannisie. Widziałeś jego samochód? Czy to był służbowy wóz?
- Nie.

– Był w mundurze?
– Nie. Moim zdaniem jest na to za stary. Jeśli służył w marynarce wojennej, przeszedł chyba na emeryturę...

– Ale czy wyczułeś w jego zachowaniu coś urzędowego? Czy pokazywał matce jakieś papiery, miał może jakąś aktówkę?

– Nie. Posłuchaj, nie pamiętam aż tak wiele. Był Amerykaninem, to się rzucało w oczy. Pamiętam, że miał okulary przeciwsłoneczne – takie jakie noszą lotnicy – i nie zdejmował ich. Nawet w domu.

– Tak. Ale skoro jego wizyta nie miała na pewno charakteru urzędowego, jak matka wytłumaczyła jego zjawienie się tutaj?

– W ogóle nie tłumaczyła. Powiedziała tylko, że kiedyś poznała go w Ameryce i że jest także twoim znajomym. Mówiła, że nie wie, o co mu chodziło, ale że to dziwne uczucie, zobaczyć go po tylu latach. Zachowywała się zupełnie swobodnie, odniosłem jednak wrażenie, że nie chciała, żebym się dopytywał.

Ponieważ, pomyślał David, wiedziała już. *Wszystko zaczynało się raz jeszcze od nowa*. Następnego dnia była spokojna i opanowana, gdyż już podjęła decyzję. Poczuł mdłości. Taka była prawda. To Tannis zrzucił mu linę. Tannis o czymś wiedział. Przyjechał...

– Tato, co się tu dzieje? O co w tym wszystkim chodzi?

– Nie jestem pewien. Nigdy bym... – Raptem David zawahał się, ale i Tim milczał; obaj nie wiedzieli, co powiedzieć lub też nie wierzyli własnym uszom. David nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni Tim nazwał go „tata”. Dokonując niekiedy prawdziwych wyczynów gramatycznych, starał się nigdy nie zwracać do niego po imieniu, a jednocześnie nigdy nie nazywał go „ojcem”, „tata” lub podobnie. Teraz to słowo zawisło między nimi, podkreślone przez moment ciszy, jaka zapadła z obu stron, a potem obaj na zasadzie milczącego porozumienia przyjęli, że nie padło w ogóle. Cóż, pomyślał David, ludzie w Walii są czasami bardziej angielscy niż Anglicy.

– Nigdy – zaczął – nie mówiliśmy z tobą o tym, gdyż zawsze nam się wydawało, iż taka rozmowa nie miałaby wielkiego sensu. Ale nie zamierzaliśmy ukrywać prawdy. Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, to...

– Tyle że najpierw zadbaliście o to, bym nie pytał. Bym n i e m ó g ł

o to spytać.

– Przepraszam, Tim. Próbowaliśmy... Chociaż nie, powinienem być szczerzy. Tak, masz rację, próbowaliśmy coś przed tobą zataić. Nie chcieliśmy, żebyś pytał. Gdybyśmy ci powiedzieli, nam samym byłoby trudniej o tym zapomnieć. To nie było proste. Nie byliśmy w stanie myśleć o wszystkim – teraz widzę, że zbyt mało myśleliśmy o tobie, ale za wszelką cenę próbowaliśmy wtedy uratować siebie. Musisz nam wybaczyć, nam obojgu.

– Ale co się stało?

David wzruszył ramionami.

– Jak myślisz, dlaczego przyjechaliśmy tutaj do Aberporth?

– Ponieważ pracowałeś w bazie.

– Zawsze przypuszczałem, że wiesz o tym, ale czy wiesz także, co tam robiłem? Matka wspominała ci kiedyś o tym?

– Właściwie nie. Wiem, że byłeś naukowcem, ale nigdy nie rozmawialiśmy o tym dokładnie. Po prostu, wszystko było jakby zupełnie jasne i dlatego nie warto wyjaśniać.

– No tak. Ale nie kryło się w tym rzeczywiście nic tajemniczego. Pracowałem jako uczony, choć byłem bardzo młody. Jest jeszcze coś, o czym musisz pamiętać. Byłem swego rodzaju cudownym dzieckiem. Cambridge, fizyka, najślawniejsi profesorowie. I przypominałem trochę postać jak z obrazka: prymus z podstawówki. Nie zdawałem sobie wtedy z tego sprawy, ale... mniejsza z tym. Tak czy inaczej, moją specjalnością było promieniowanie podczerwone. Wiesz coś o tym?

– Ciepło. A, rozumiem, pociski odszukujące źródło ciepła.

– Otóż to. Tutaj pracowano nad stworzeniem i wypróbowaniem pocisków brytyjskich. Pierwszy nazywał się Firestreak, po nim przyszedł Red Top. Ale pierwszym – i przez długi czas najważniejszym – pociskiem sterowanym przez promienie ciepłe była amerykańska rakietka Sidewinder.

– Chyba o niej słyszałem.

– Używana jest przez lotnictwo wszystkich państw zachodnich. Mają ją w swoim arsenale Amerykanie, RAF, Niemcy. Wszystkie kraje NATO. Izraelczycy. Dosłownie wszyscy. To najważniejszy na świecie miniaturo-

wy pocisk, pierwszy, który zestrzelił maszynę nieprzyjacielską podczas walki. Produkują go w różnych odmianach...

– I nad tym pracowałeś?

– Nie. No, może niezupełnie nad tymi. Prace nad tymi pociskami rozpoczęto zaraz po wojnie, a pierwsze modele zdadne do zastosowania operacyjnego pojawiły się pod koniec lat pięćdziesiątych. Zbudował je, niemal własnoręcznie, facet o nazwisku McLean, jeden z tych amerykańskich samorodnych geniuszy. Niektórzy utrzymują, że prototyp skonstruował w swoim garażu. Był dyrektorem technicznym w China Lake.

– Czyli w tej bazie, gdzie pracował Tannis?

– Tak. Ale spotkaliśmy się tutaj. Był oficerem wywiadu i eskortował grupę Amerykanów, którzy przyjechali w ramach wymiany naukowej. Kilka miesięcy później, w ramach tego programu, ja pojechałem do nich.

– Kiedy to było?

– Przed twoim urodzeniem. Gdyby nie ten wyjazd – zastanawialiśmy się, jak to będzie z podwójnym obywatelstwem – urodziłbyś się pewnie tutaj.

– Więc mama pojechała z tobą?

– Tak, tak. Bardzo się jej w Stanach podobało. Czula się tam o wiele lepiej niż ja. Ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, że Amerykanie dowiedzieli się, iż Sowieci mają Sidewindera, okazało się, że produkują dokładne jego kopie. Jakoś udało im się wykraść całą dokumentację. Rozumiesz chyba, że był to fakt o niesłychanie istotnym znaczeniu. Samoloty odrzutowe wywołały rewolucję w technice walk powietrznych, złożyło się na to wiele czynników: najważniejszy i najprostszy polegał na tym, że bardzo trudno było je zestrzelić. Mogą po prostu latać szybciej niż pocisk wystrzelony z karabinu maszynowego lub z tradycyjnego działka. Sidewinder dawał zatem Amerykanom ogromną przewagę i oto nagle się okazało, że ją utracili. Wpadli w furję. Podjęli natychmiast niezwykle energiczne śledztwo, przeprowadzili dokładne dochodzenie, żeby ustalić, co się stało.

– I co stwierdzili?

– Że znalazł się zdrajca, który przekazał te plany Rosjanom. A widzisz, tym zdrajcą miałem być ja.

Tim gwałtownie poderwał głowę.

– Co takiego?

– To, co usłyszałeś. Amerykanie uznali, że to właśnie ja byłem szpiegiem. Szczególną nienawiścią zapalała do mnie Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych: widzieli we mnie pierwszego rosyjskiego szpiega, któremu udało się przemknąć przez sieci kontrwywiadu marynarki.

– Nie wierzę.

David uśmiechnął się.

– To dobrze. Jednakże Amerykanie uwierzyli w to całkowicie i bez zastrzeżeń. Wmówili w siebie, że jestem zdrajcą. Chciałeś wiedzieć, co się stało, więc ci mówię. Oświadczyli, że jestem szpiegiem i to jednym z najgroźniejszych od czasów drugiej wojny. Pewnie drugim po Philbym.

– Ale przecież nie byłeś.

– Nie, nie byłem. Ściśle biorąc, nie mieli dostatecznych dowodów, żeby mnie aresztować, oskarżyć czy postawić przed sądem, ale dla mnie samego nie miało to większego znaczenia. Musisz zrozumieć, co mam na myśli. Byłem naukowcem, pracowałem w laboratoriach. Wszystko, co robiłem, drukowałem, pisałem na tablicy, było tajne. Ściśle tajne były nawet listy domowych zakupów, które sporządzała dla mnie twoja matka, kiedy więc Amerykanie przysłali odpowiedni raport, straciłem wszystkie uprawnienia, wszystkie drzwi zamknęły się przede mną, najpierw w USA, potem w Anglii. Nasi dla zasady bronili mnie, ale i oni byli przekonani o mojej winie. A poza tym niewiele mogli w istocie zrobić, gdyż podobnie jak dzisiaj, angielskie i amerykańskie badania wojskowe były ściśle ze sobą powiązane, a tamci nie chcieliby, aby ktoś taki jak ja uczestniczył w jakimkolwiek programie badawczym finansowanym lub współprowadzonym przez nich. Wszystkie laboratoria uniwersyteckie także utrzymywały kontakty z armią. Byłem skończony jako naukowiec. Moje marzenia legły w gruzach. Wiesz, tylu ludzi szanowało mnie dotąd, podziwiała, tak wielu na mnie liczyło, nagle... Nie mogłem pracować. Nie mogłem wykładać na uczelni, więc zacząłem pić. Straciłem twoją matkę. Straciłem ciebie. Straciłem... tak, straciłem wszystko.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Tylko dlatego, że przytrafiło się to mnie, komuś, kogo znasz? Jestem przekonany, że nie byłem jedynym, którego spotkało coś takiego.

- Mów co chcesz, ale nadal nie umiem uwierzyć.
- Być może tym właśnie różnię się dziś od innych ludzi, że potrafię uwierzyć we wszystko. Mogę uwierzyć, że rodzą się dzieci głuchonieme, że niewinni ludzie trafiają do więzienia, że ludzie spokojnie czekający na przystanku autobusowym giną potrąceni przez pijanego kierowcę, że ludzi się torturuje, że...

Urwał i odgadł, że Tim sam dopowiedział sobie nie dokończone zdanie: że ludzie popełniają samobójstwo. Twarz chłopaka stężała, jak gdyby ta myśl ugodziła go niczym topór uderzający w drzewo, i David przez chwilę miał wrażenie, że jak przez szczelinę może zajrzeć do jego wnętrza. Mój Boże, był taki młody: jego strach, gniew, miłość były tak niewinne jak biały miąższ młodziutkiego drzewka.

Tim wstał, podszedł do okna, spojrzął na ogród i powiedział:

– Nawet nie wiesz, jakie to wszystko jest okropne. Widzisz, nienawidziłem cię, nienawidziłem cię przez te wszystkie lata.

- Nie, to nieprawda.
- Ale chciałem tego.
- Tyle że ona by ci nie pozwoliła.
- Może z tego powodu nienawidziłem trochę i ją. No dobrze, nawet jeśli nie było tak, że cię nienawidziłem...

– Tim, jestem pewien, że nawet gdybyśmy ci powiedzieli o tym wcześniej – zgoda, rzeczywiście powinniśmy ci powiedzieć – to i tak by niczego nie zmieniło. Nie potrafiłbym być takim ojcem jak inni. Zabili to. To zginęło w China Lake. Musiałem się z tym pogodzić. To nie była moja wina ani twoja, ani matki...

- Ale dlaczego nie potrafiłbyś... Nie rozumiem...
- Posłuchaj. Nie ma się co oszukiwać. Gdybym umiał rozwiązać wszystko inaczej, byłoby to z korzyścią dla ciebie i dla matki. Ale ja walczyłem o życie, o przetrwanie. Nie zawsze masz wybór. Gdyby istniało jakieś inne, lepsze wyjście, wybrałbym je. Diana dobrze to rozumiała. I dlatego...

Tim odwrócił się gwałtownie.

– Tak, i dlatego ci wybaczyła, dlatego zawsze brała twoją stronę. I dlatego – na pewno mam rację – odebrała sobie życie. To właśnie miała na

myśli pisząc ten list: że wszystko zaczyna się od nowa.

- Tak.
- I ty myślisz tak samo?
- Czy ja wiem... Tak.
- Dlaczego?
- Bo to zrobiła. I z powodu Tannisa.
- Myślisz, że groził jej?
- Przeciwnie, sądzę, że przyjechał ją ostrzec. Widzisz, on był po mojej stronie. Zawsze utrzymywał, że nie zrobiłem tego...
- Ale przecież prowadził śledztwo?
- Nie, wszystkim kierował Waszyngton, on nie miał na nic wpływu. Był lokalnym oficerem wywiadu, facetem na dole drabiny. Nie wiedziałem, oczywiście, jak to się rozgrywało – zostałem właściwie uwięziony – ale facet z RAF-u napomknął, że to za sprawą Tannisa o nic mnie nie oskarżono. Nie chcieli tego zrobić bez jego akceptacji.

- A po co teraz przyjechał?
- Będziesz próbował z nim porozmawiać?
- Muszę go najpierw odnaleźć. Poza tym nie wiem, czy on będzie chciał się ze mną spotkać. Może to wiązałoby się dla niego ze zbyt dużym niebezpieczeństwem... Nie wiem.

Tim znowu odwrócił się do okna. Milczał przez chwilę, a potem powiedział bardzo cicho:

- Przysięgasz, że to wszystko prawda?
- Przysięgam.
- Teraz ja muszę ci coś powiedzieć. Kiedy to się stało... kiedy dowiedziałem się... W pierwszej chwili w ogóle nie zamierzałem do ciebie dzwonić. Sam chciałem wszystko załatwić, pytania policji, pogrzeb. Wiedziałem, że nie podobałoby się jej to, ale trudno. No więc chciałem nie zawiadamiać cię, ale potem zorientowałem się, że muszę. Bo kiedy pojechałem do Cardigan z tymi listami, o których wysłanie mnie prosiła, zauważyłem... tak mi się wydaje, a właściwie jestem pewien... że jeden z nich był do ciebie... ale na kopercie napisała ten adres. Rozumiesz? Wysłała go do ciebie, ale tak, żeby przyszedł tutaj do domu.
- Co w nim było?

– Nie wiem. Spostrzegłem tylko twoje nazwisko na kopercie. Uświadomiłem sobie, że jest w tym coś dziwnego dopiero wtedy, kiedy koperta znalazła się już w skrzynce.

– Gdzie teraz jest ten list?

Tim odwrócił się.

– Jeszcze nie przyszedł. Dzisiaj powinni go przynieść. Poczte otrzymujemy koło południa.

A zatem Diana napisała drugi list pożegnalny. Dopiero po chwili David uświadomił to sobie i przez jakiś czas milczał, rozważając implikacje tego faktu. Chciała mu coś przekazać. A to potwierdzało przypuszczenie, że istniał związek między jej samobójstwem a jego osobą, naprawdę *wszystko zaczęło się jeszcze raz od nowa*.

Tim ponownie odwrócił się w stronę okna. David wstał i ponad ramieniem syna przez chwilę przyglądał się długiemu ogrodowi, biegnącemu od domu ku niewielkiemu zagłębieniu, ciemnym liliom, olchom, staremu rozrosłemu dębowi i świeżo skopanej przez Tima i Dianę ziemi wokół irysów. Wiedział, że patrząc na to, chłopak myślał o matce. David podszedł do niego (ale czy to było możliwe; czyżby rzeczywiście po tylu tych dziwnych latach mogli się objąć?), wtedy jednak Tim odwrócił się i spojrział mu prosto w oczy. I David zobaczył na jego twarzy osobliwy wyraz zrozumienia i bezradności. Tim niby już wiedział; w istocie jednak nie wiedział nic. Nie mógł naprawdę pojąć tego, co przydarzyło się jego ojcu, odegrać jakiejś roli w tym dramacie, nie mógł teraz nawet nienawidzić. Nie mógł nic. Wszystko było dopełnione, skończone, należało do przeszłości. Widząc ból na twarzy syna, ból tak dobrze mu znany, David wyciągnął rękę i dotknął jego ramienia. Tim odwrócił wzrok i rzekł:

– Wiesz, nie wiem, co powiedzieć ani co o tym myśleć.

– Nie musisz nic mówić.

– Tak. – Znowu spojrział na niego i uśmiechnął się przeproszająco. – Byłem chyba zły o to, że napisała do ciebie, a nie do mnie.

– Ja...

– Jak myślisz, co chciała ci powiedzieć?

– Nie bardzo wiem.

Tim znowu popatrzył na ogród.

– Zawsze się zastanawiałem, dlaczego mieszkamy tutaj, w Aberporth. Uważałem, że nie jest to miejsce dla niej. Dlaczego nie wyjechała? Byłem przekonany, że ma to jakiś związek z tobą, z waszym rozwodem. Ale było inaczej, prawda? Teraz, kiedy myślę o tym już wiedząc, co się stało, wydaje mi się to jeszcze bardziej dziwne.

Tak, pomyślał David, z pewnością. Jego też dręczyło pytanie, dlaczego Diana nie wyjechała z Aberporth, i obecnie, kiedy usłyszał je zadane przez kogoś innego, nie mógł już uciec od oczywistej odpowiedzi. Więc naprawdę go zdradziła? Ale to przecież niemożliwe.

Ale teraz ruch wykonał Tim.

– Słuchaj – powiedział – jeśli byś nie miał nic przeciwko temu... Muszę to przemyśleć. Przejadę się trochę. Chyba naprawdę nie ma sensu...

– Tim...

Ale chłopak już był za drzwiami i w chwilę później David usłyszał warkot silnika samochodu Diany. Czy to możliwe, że Tim odgadł odpowiedź na swoje pytanie?

Dlaczego Diana uparcie trzymała się Aberporth?

Dlaczego po tym wszystkim, co nastąpiło, nigdy nie wyjechała?

Dlaczego nie uciekła od bazy i jej tajemnic? Od naukowców, którzy prowadzili tutaj swoje sekretne życie? Od miejsca jego własnej katastrofy?

David wiedział, że on sam był niewinny. To nie on przekazał Sidewindera Rosjanom. Ale ktoś to zrobił.

Rozdział 10

Drogi Davidzie!

Siedziałam chyba z dziesięć minut i zastanawiałam się, czy nazwać cię „drogim”, czy kiedykolwiek byłeś dla mnie drogi, a ja droga dla Ciebie. Niemniej, teraz, w tej chwili jesteś mi drogi, choć przypuszczam, że obecnie nie ma to specjalnego znaczenia, nie miałoby też chyba kiedyś. Nie chciałabym być nieprzyjemna, ale czyż właściwie nie wykorzystywaliśmy się wzajemnie, każde na swój sposób? Któregoś wieczoru wpadłam do hotelu „Penrallt” – nie sądzę, byś go znał, w Twoich czasach był to chyba prywatny budynek, dziś jednak zatrzymują się tam na nocleg i drinka wszystkie osoby odwiedzające bazę – i podsłuchiłam plotkujące dwie panusie. „Była zakochana w miłości”, oznajmiła jedna, a na to druga: „O nie, moja droga, ona była zakochana w małżeństwie”. Pomyślałam wtedy o nas. Czy raczej o mnie. Tak naprawdę nie byłam zakochana nawet w miłości ani w małżeństwie, choć wiedziałam, iż dobrze byłoby coś kochać, żeby nikt nie miał żadnych podejrzeń. Zwłaszcza mój drogi ojciec, och, drogi ojczu. *Arturze, Diana chce wyjść za mąż.* No i cóż mógł na to poradzić? Myślałam, że w ten sposób uda mi się od niego uciec, ale nie miałam szans, było *o wiele za późno*. Wszystkie moje uczucia do Ciebie były splecione z tą

chęcią, a przypuszczam, że podobnie było także z Tobą, choć nie jestem do końca pewna, co takiego chciałeś uzyskać, tyle że chyba nie miałeś wyboru. Biedny David. Niczego jednak nie żałuję, nawet teraz, kiedy już wiem... Tak, musisz w to uwierzyć. Nie obwiniam Cię o nic. Nigdy nie miałam do tego prawa i nigdy tego nie robiłam. Potem, przez te wszystkie lata, ilekroć spotykaliśmy się na naszych kolacyjkach (tak nazywałam te spotkania, zawsze czekałam na nie z niecierpliwością, na rozmowę o Timie lub czymkolwiek), zawsze nachodziła mnie myśl, jaki to przystojny mężczyzna, gdyby się tylko mną zainteresował, i ja z pewnością nie miałabym nic przeciwko temu. Widzisz więc, że poznaliśmy się nie w porę! Powinniśmy byli spotkać się dużo później i przeżyć miły romans; do tego, jak przypuszczam, nadaję się wręcz znakomicie. Czy raczej się nadawałam. Hotele, motele, weekendy, popołudnia. Przeprosiny. I od nowa...

Dostrzegłeś to, prawda? Jeden z moich dziewczęcych nastrojów, nastrojów *mojego taty*. Jaka potrafię być słodka, jeśli zechcę! Divertimento: dlatego nie wychodzą mi obrazy; to mała dziewczynka tkwiąca we mnie chce się wydostać ze środka, ale nigdy nie udaje jej się to do końca, albo świętoszkowata wiktoriańska *młoda dama*, krynoliny i *manieri*, albo niegrzeczna dziewczynka, trochę jak hippisowskie dziecko, psychodeliczna, *odlotowa* (nie wiem dlaczego, nieprawda, wiem, od tego czasu wszystko mnie interesuje i rozmyślam o najróżniejszych słowach, do czego nigdy nie miałam serca), z lokami do ramion, w długiej sukience, z szaleństwem w oczach, tusz do rzęs rozmazał się jej na twarzy. (Nigdy go nie używam.) Carnaby Street. Mój Boże, jestem już stara. Koniec końców to nie będzie takie straszne. Czego jeszcze mogłabym się spodziewać? Wszystko zaczyna się znowu od początku. Miałam dziesięć lat i wtedy wszystko się skończyło, potem tylko powtórki, zdarzenia przychodzące i odchodzące, przychodzące, odchodzące. Myślę tylko o swoim malowaniu – może powinnam była zostać ilustratorką.

Małe dziewczynki do tego się nadają. Zabawy z lalkami i łechtaczką. Znowu ten pośpiech, moja lepsza część chce się zareklamować: zajrzyj do szuflady na spodzie, gdzie leży nie ukończona książeczka z obrazkami dla dzieci. A może trzeba było zostać przy fotografii? Ale człowiek jest taki nagi, prawda? A w obrazach można oszukiwać, kryć się za metaforami. Już docho-
dzą do sedna... Tannis, Weston. Martwy człowiek na pustyni. Ty. Charis. Ty i ja. Wyjęłam swój stary aparat, który dostałam od ciebie – pamiętasz jeszcze? bardzo dobra leica – i obejrza-
łam zdjęcia. China Lake. Zawsze trudno mi było mówić o tym miejscu, myśleć o nim. W każdym razie zdjęcia z pustyni. Spa-
liłam je. Są z pewnością rzeczy, które trzeba zabrać ze sobą do grobu. Tajemnice. Wszystkie te utrwalone w pamięci sekretne obrazy, tego, co może się wydarzyć, a może się nie wydarzyć. Klik, klik. Muszę myśleć obrazami. Tannis. Przyjechał się ze mną zobaczyć, tutaj... Wszystko ostatecznie tutaj powraca. Nie uprzedził mnie, gdyż mogłabym Cię wtedy zawiadomić. Zjawił się tutaj, potem zabrał mnie na obiad (znowu „Penrallt”), a na koniec powiedział, że zamierza zobaczyć się z Tobą, ale nie je-
stem tego pewna. Nie ufaj mu, nie wolno Ci mu ufać. Ja mu uwierzyłam, gdyż był przestraszony, jestem tego pewna, choć się do tego przyznał. Jest już na emeryturze, ale mieszka ciągle w pobliżu bazy, ma tam swój domek, z którego, jak mó-
wi, może oglądać zachód słońca. Zachód słońca nad Hollywo-
od. W technicolorze. Przez cały czas robił takie niewinne żarci-
ki, jak gdyby nie był mnie pewien. Tego, co powiem, jak na niego zareaguję. Czy... Ale nie wiedział – i to także zawdzię-
czam ojcu – że nigdy nie dawałam się przyłapać, gdyż nie po-
trafiłabym tego znieść (nie Twoich słów, lecz moich, kiedy na-
gle nie mogłabym już niczego udawać). W każdym razie po-
wiedział tyle i jestem pewna, że nie kłamał: kóregoś wieczoru
ktoś do niego zadzwonił, ktoś nieznajomy, powiedział, że chce
się z nim spotkać, a kiedy Tannis odmówił, tamci wymienili
Twoje nazwisko, David Harper. Tannis Cię pamiętał. Oświad-

czyli, że ta sprawa ma jakiś związek z Tobą, choć on nie był tego pewien, gdyż może tylko chcieli w jakiś sposób dać do zrozumienia, że trzeba ich traktować poważnie. (Ciągle piszę „oni”, ale naprawdę to była jedna osoba.) Potem były jakieś polecenia, jakieś tropy, w każdym razie wszystko skończyło się na pustyni, w pobliżu bazy, gdzie wprawdzie Tannis odnalazł tego mężczyznę, ale już martwego... Wiesz, ten aparat, który mi podarowałaś, zdjęcia, to wszystko teraz powraca, i to, co piszę, jest całkiem logiczne, choć nie znając moich obsesji, nie będziesz też wiedział, o której fotografii teraz myślę, zresztą sama przez lata jej nie pamiętałam i przypominałam sobie dopiero w momencie, kiedy zobaczyłam ją znowu w albumie. Klik. Pożył go Weston (nawet pewnie nie będziesz wiedział, o kim mówię, słodki, słodziutki Edwards, a my, wszystkie dziewczynki, muszę Ci wyznać, zakochiwałyśmy się w nim jedna po drugiej) na wycieczkę ze śliczną Charis, i to wtedy ją poślubił, choć była w tym samym wieku co jego synowie. Ale ja ją rozumiem. Rozumiem doskonale, czego chciała i jak bardzo tego chciała. Mieli czarnego forda sedana (w tych czasach wszystkie samochody były czarne, jak fotografie, które robił Weston), a kiedy jechali przez pustynię, zobaczyli kawałek kartonu z napisem, że nad jakimś strumieniem (Caruso ?? Creek) leży chory mężczyzna, którego pozostawił jego towarzysz, bo poszedł po pomoc. Zboczyli i znaleźli tamtego, ale był już martwy jak głaz, a przy nim leżała zawiązana na węzełek chusteczka pełna kuponów dołączanych do kartonów z mlekiem (można je było zbierać i w końcu dostać srebrną łyżeczkę). Weston zrobił zdjęcie, *robi negatyw*, zawsze mówiła Charis, *klik*, jak ja jej nie nawidzę, jak tamten leży cichy, sztywny, ale całkiem naturalny, w końcu śmierć jest przecież czymś zupełnie naturalnym (czyż nie?), i nie ma się czego obawiać. Klik. Był z Tennessee, nie, nieprawda, był ze Wschodnich Niemiec, klik, klik. Dobrze, już dam temu spokój, otóż na zdjęciu, zrobionym na pewno z lampą błyskową, jest facet, którego znalazł Tannis, a który nazywał się

Buhler. Tannis twierdzi, i chyba można mu wierzyć, że w ogóle go nie zna, a ja także z pewnością nigdy o nim nie słyszałam. Był to starszy już człowiek, 65 lat, co zresztą okazało się ważne, gdyż we Wschodnich Niemczech do tego wieku trzymają ludzi jak w owczarni i dopiero potem pozwalają im wyjeżdżać (czy też Niemcy Zachodnie za nich płacą, coś w tym rodzaju). Tak więc w jego obecności tam nie było nic podejrzanego, przyjechał zupełnie legalnie i z całą pewnością nie był agentem. Oficjalnie zatem nic nie wiadomo w sprawie jego śmierci. Klik. Flesz. Sekret. Sekretne sekrety. Ale znał Twoje nazwisko albo znał je człowiek, który go zabił. (Zabił go tam na pustyni i Tannis to słyszał. Tak trudno mi to wszystko pozbierać, jestem trochę jak aktorka, która zapomniała swojej kwestii i teraz różne fragmenty naraz cisną się jej do głowy, ale... Nie przejmuj się. *Nie przejmuj się, mój drogi.* Chcę Ci koniecznie o tym opowiedzieć, gdyż musisz to wiedzieć, a wcale nie jestem pewna, że Tannis ci powie.) Niewykluczone, że oni nie uwierzyli zeznaniom Tannisa („oni” to znaczy tajna policja marynarki wojennej), ale w końcu uwierzą.

Przeprowadził swoje prywatne śledztwo – uwielbiają to robić wszyscy mężczyźni, a zwłaszcza mój ojciec – gdyż, jak twierdzi, miał nad nimi pewną przewagę. Uważa, że wie, kto go zabił – to znaczy Buhlera – człowiek nazwiskiem Vogel. Staram się streszczać. Klik, klik, klik. Tannis go nie zna – nie pamięta – i twierdzi, że on uciekł. Ja go pamiętam. Tak. Klik. Klik. *Pamiętasz miejsce, gdzie wynajmowałam konia?* Koń nazywał się Diabło. Byłeś tam raz, pamiętam, dałeś się namówić na przejażdżkę, ja jechałam przodem, miał malutką działkę po drugiej stronie obrzydliwego miasteczka (Indian Wells). Miał też małą córeczkę. Nie wiem, czy ją widziałeś, ale ja z nią rozmawiałam, gdy przyjeżdżałam po konia, jej matka nie żyła, mała, śliczna dziewczynka, ale ojciec naprawdę ją kochał. Klik. Klik. Nie warto płakać po mamusi, kiedy bardziej zależy ci na tacie. Ale któregoś dnia nie zastałam jej ojca, kiedy się tam

zjawiliam, a przyjechałam z samego rana, słońce już jasno świeciło, pamiętam, więc wzięłam Diabla, a kiedy wróciłam, ojca nadal nie było i śliczna była całkiem sama. Klik. Marianna. Klik, klik. Tak miała na imię. Ciągłe jeszcze ją widzę, duże, ciemne oczy i ciemne włosy, jak Meksykanka, choć jestem pewna, że nią nie była. Siedziałam sama przez całą noc, powiedziała. (Rano jednak jej nie widziałam, przypuszczam, że się gdzieś schowała.) Bałam się ją zostawić, ponieważ była taka przerażona, bo pod domkiem zagnieździły się węże – rysowałam, żeby ją uspokoić (namalowałam jej portret, potem ona opowiadała mi historyjki, a ja robiłam do nich ilustracje) – aż wreszcie przyszedł jakiś inny mężczyzna, strasznie brudny – ręce i twarz niemal czarne – i bardzo zmęczony – miał dziwny akcent, może także był Niemcem – i powiedział, że Vogel musiał nagle gdzieś wyjechać – jakoś to wyjaśniał, ale zapomniałam jak – a on ma wziąć ze sobą dziewczynkę do Los Angeles czy Meksyku. Nie pamiętam. Klik. Wysoki jak tyczka. Schyla się, żeby chwycić i podrzucić w górę. Hooop, Dina. Diana. Nie pamiętam dokładnie, czy mu uwierzyłam, w każdym razie Marianna, ta dziewczynka, знаła go i poszła z nim, a ja czekałam jeszcze dość długo, ale tamten (Vogel) nie wrócił, zostawiłam więc pieniądze i odjechałam. To właśnie był Vogel. *Jannis tego nie wiedział*. Nie jestem jednak pewna, czy można mu wierzyć, powinien wiedzieć, choć było to dawno temu; może tylko zapomniał. Dlaczego miałby pamiętać mnie lub ciebie? Dlaczego pani Hanson miałaby pamiętać, jak tato kołysze mnie na huśtawce, coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie wiem, że widać mi majteczki? Wiedział jednak, że pożyczałam konia, ponieważ o wszystkim im powiedziałam. Bo przecież to przez tę karteczkę wpadłeś w sidła, prawda? Złapali cię. Nie dawaj się złapać. Cokolwiek robisz, nie daj się złapać, uciekaj do domu. *Jeśli chce pan wiedzieć, gdzie jeździ konno pańska żona i co naprawdę tam robi...* Widzisz, nawet nie pamiętam, jaką trasę Ci wtedy podano, gdyż nigdy naprawdę tamtędy nie jeździłam. Choć rze-

czywiście robiłam konne przejażdżki. Och, Davidzie, zawsze chciałam Ci o tym powiedzieć, ale teraz już nie mogę, a gdybym to zrobiła, wiedziałbyś, dlaczego... zrozumiałbyś, mógłbyś... Opiekuj się Timem. Musisz. Uchroniłam go dla Ciebie. Zawsze się bałam, że mnie przyłapią, że ktoś się dowie – po prostu nie mogłam znieść tej myśli. Udawajmy, Dawidzie. Nie wiem już nic. Nie mogę tutaj zostać, ale gdzie mogę uciec? Jak najdalej. Drogi Davidzie, uciekaj tak daleko jak ja.

David przeczytał ten list w salonie, siedząc w jednym z niebieskich foteli ustawionych przy kominku, mając pod stopami nieskazitelnie czysty, błękitny dywan, a wokół siebie wyblakłe ściany i czując w łagodnym powietrzu zapach irysów.

Skończył ostatnie zdanie i rozejrzał się wokoło, zastanawiając się, co właściwie chciała mu powiedzieć w liście.

Nie bardzo wiedział, o co jej chodziło. Trudno było sobie wyobrazić Dianę mieszkającą w tym pokoju i tak samo trudno było sobie wyobrazić jej śmierć; paradoksalnie, o tym, że naprawdę odeszła, upewnił go właśnie ten list. To była Diana, jaką pamiętał. Ale pokój... pokój był zupełnie nieprawdziwy. „Dostrzegłeś to, prawda? Jeden z moich dziewczęcych nastrojów, nastrojów *mojego taty*. Jaka potrafię być słodka, jeśli zechcę! Divertimento: dlatego nie wychodzą mi obrazy.” Dla kobiety, która napisała list, ten pokój stanowił tylko scenę. Ale jaką rolę odgrywała? Wdowy... rozwódki... artystki... tajemniczej damy... Potrafiłaby odegrać dziesiątki ról. Którą jednak wybrała i dlaczego?

Wyprostował się w fotelu i poskładał stronicę listu, piętnaście karetek niebieskiego papieru listowego, wypełnionych jej wyraźnym pismem, które jednak pod koniec zamieniło się w bazgroły. To z pewnością jej ręka, to z pewnością ona pisała; tylko ona mogła znać takie szczegóły. W głębi duszy ciągle chyba dotąd podejrzewał, że był to raczej nieszczęśliwy wypadek niż rozmyślnie samobójstwo, teraz jednak nie miał już wątpliwości. Zabiła się; nieodwołalność tego faktu sprawiła, że poczuł przyływ mdłości, złożył list, gdyż nie był w stanie przeczytać powtórnie choćby jednego słowa. Chociaż jednak w tej śmierci widział już teraz świadomy czyn,

własny wybór Diany, nagle nie miał pojęcia, co mogło być jej przyczyną i celem. Ten list, pomyślał, w gruncie rzeczy nie tylko nic nie wyjaśnia, ale jeszcze bardziej pogłębia tajemnicę. Była zrozpaczona, czuła się winna i osaczona. „Wszystkie te utrwalone w umyśle sekretne obrazy, tego, co może się wydarzyło, może się nie wydarzyło. Klik, klik”. Ale co wywołało w niej rozpacz, poczucie winy i osamotnienia? A może to pytanie było tylko innym sformułowaniem zagadki dręczącej go wczoraj wieczorem: Dlaczego stąd nie wyjechała? Czemu przez wszystkie te lata mieszkała ciągle w Aberporth?

Podszedł do okna i rozchylił firanki, a jego oczy jak kamera przesunęły się po pustym podjeździe, trawniku, uliczce upstrzonej plamami słońca, którego światło przebijało się przez korony dębów. Co za spokój. Cisza. Ale gdzieś, ukryty za kotarą... schowany za arrasem... czyha szpieg. Ileż to razy oglądał podobne filmy? Na tyle często, że wreszcie zaczęły go bawić. *Za chwilę mnie złapią*. Te czarno-białe filmy z drugorzędnymi aktorami, których natychmiast się zapomina, a którzy znajdują szpiegów Czerwonych w zaułkach najnormalniejszych miasteczek, w mieszkaniach sąsiadów, w przedziałach drugiej klasy. Albo tutaj, w Aberporth. Dlaczego by nie? Ktoś przecież w końcu zdradził Rosjanom plany Sidewindera, a wiedział, że to nie był on. Diana?

Cóż, pomyślał, to najprostsza odpowiedź na moje pytanie: czemu pozostała w Aberporth, i może dlatego tak trudno mi było to pytanie postawić. Była szpiegiem i siedziała tu, żeby szpiegować. Czy to możliwe? Nagle uświadomił sobie ze zdumieniem, że właściwie nigdy nie starał się rozwiązać – nawet choćby w ogólnych zarysach – tak istotnej dla niego zagadki. Kto to właściwie zrobił? Zawsze przypuszczał – czy naprawdę snuł jakiegokolwiek przypuszczenia? – że prawdziwy szpieg był profesjonalistą, z definicji kimś anonimowym, kimś, kogo tożsamości nie da się ustalić, zresztą nawet właściwie nie warto. Tymczasem mogłaby to być Diana. Nie dało się tego wykluczyć. Jednym z najistotniejszych aspektów całej sprawy był fakt, że sowiecka wersja Sidewindera, której w sekretariacie NATO nadano nazwę Atoll, stanowiła doskonałą kopię pocisku amerykańskiego i mogła być sporządzona jedynie na podstawie niezwykle dokładnych planów. On zaś miał kiedyś w ręku komplet takich planów –

stało się to na skutek pomyłki, naturalnie, jego pomyłki – był to jeden z elementów przemawiających przeciw niemu. Pewnego razu chciał sprawdzić jakieś szczegóły dotyczące detektora promieniowania cieplnego, ale błędnie wypełnił rewers i otrzymał komplet planów, a właściwie komplet rysunków konstrukcyjnych. Zdarzyło się to w China Lake, kiedy był tam wraz z Dianą. A chociaż nie miała wykształcenia technicznego – studiowała historię sztuki, ale nie zrobiła dyplomu – miała za to fenomenalną pamięć, no i oczywiście aparat. „Wyjęłam swój stary aparat, który dostałam od ciebie – pamiętasz jeszcze? bardzo dobra leica – i obejrzałam zdjęcia. China Lake. Zawsze trudno mi było mówić o tym miejscu, myśleć o nim”. No tak. Ale czy naprawdę w to wierzył? Diana mogła być szpiegiem, każdy mógł być szpiegiem. Czyż nie tę właśnie zasadę zastosowano wobec niego? Przecież to śmieszne. Nagle poczuł się winny. Rozumował dokładnie tak, jak tamci, którzy go oskarżyli o zdradę. Diana nie zrobiła tego i dobrze o tym wiedział, ponieważ ją znał. *Nie jestem szpiegiem*. Ileż to razy wykrzykiwał te słowa swym prześladowcom w twarz? Poza tym, jeśli nawet byłaby szpiegiem – i co, rzuciła podejrzenie na niego, a potem przez wszystkie lata żyła z poczuciem winy? – dlaczego w swym ostatnim liście nie powiedziała tego? To wszystko nie miało sensu. Gdyby zabiła się nie mogąc znieść dręczącego ją poczucia winy albo ze strachu przed zdemaskowaniem, nic by nie pisała, z niczego by się nie zwierzała. Cóż więc miał znaczyć ten list? Co się wydarzyło? Rzecz w tym, że ona właśnie nie wiedziała, pomyślał, czując, że znowu zbiera mu się na wymioty. Nic nie rozumiała i o to właśnie chodziło. Coś się stało, a ona tego nie rozumiała. Tannis. Niemcy. Wspomnienia koni i małych dziewczynek... I to dlatego...

Wszystko zaczyna się od początku i nie potrafię tego znieść.

David zamarł w bezruchu. Stał w oknie obok stolika z irysami i nie mógł się poruszyć. Wokoło panowała niczym nie zmałona cisza. I naraz doznał dziwnego uczucia – wydawało mu się, że ktoś go obserwuje. Ale to tylko on sam przyglądał się sobie. Co teraz zrobi? Co w ogóle może zrobić? Miał ochotę uciekać. Kiedyś już próbował się ratować ucieczką i sądził, że udało mu się wymknąć. Dzisiaj wiedział już, że nie, nie udało się, ale znowu pragnął uciec. Trwał jednak w bezruchu. Co się stało? Co

się stało dwadzieścia pięć lat temu? Co się wydarzyło tym razem? Nie wiedział. Potem jednak poczuł, jak coś się w nim przekręca, niczym lustro mikroskopu odchylające się delikatnie w bok – w końcu był naukowcem – i kiedy wreszcie ruszył naprzód, ruszył w kierunku tajemnicy. Szedł jednak z trwogą i drzeniem. Wspiął się po schodach, jego stopy za każdym krokiem tonęły bezdźwięcznie w puszystym chodniku, dłoń ślizgała się po wypastowanej poręczy, a on przez cały czas miał chęć krzyknąć ostrzegawczo, jakby pragnął odegnać potwory... „była taka przerażona, bo pod domkiem zagnieździły się węże”... Nie miał jednak pojęcia, co może napotkać, nie wiedział, co chciał znaleźć, czego miał szukać. Wstrzymał oddech; chciał już zawrócić, całą siłą woli opanował to pragnienie, wiedział bowiem, że gdyby to zrobił, nigdy już nie zdobyłby się na ponowny wysiłek. „Przypuszczam, że podobnie było także z Tobą, choć nie jestem do końca pewna, co takiego chciałeś uzyskać, tyle że chyba nie miałeś wyboru. Biedny David”. Powoli kroczył przez ciemny hol. Drugie drzwi prowadziły do pokoju, który był kiedyś ich sypialnią. Nie pamiętał już tego, ale sypiał tu z kobietą, która teraz popełniła samobójstwo. Nacisnął klamkę i wszedł.

Znalazłszy się w mrocznym pokoju, oparł się o drzwi i odetchnął z trudem. Wziął kolejny oddech i wtedy poczuł zapach: ciągle wiszącą w powietrzu woń jej skóry i włosów. W jednej chwili wróciły obrazy sprzed ponad dwudziestu lat. Diana. Leży obok niego. Diana, nad którą pochyla się, by ją pocałować. Przed niewielu godzinami była jeszcze żywa i jakaś jej część przetrwała w tym pokoju.

Przerażająca. Makabryczna. Groteskowa. Taka była jej śmierć, bo u źródeł jej decyzji tkwił ów absurd, który zniszczył życie im obojgu. I nie mógł na to nic poradzić, zupełnie nic. Co zatem robił tutaj? Pytanie to oszołomiło go, gdyż nie znał na nie odpowiedzi, ale nawet gdyby ją znał, niczego by to nie zmieniło. Musiał tu być. Nie miał żadnego wyboru. Czuł się jak w ślepym zaułku. Aby się uspokoić, zaczął rozglądać się po pokoju. Zupełnie nie mógł go sobie przypomnieć pokoju, widocznie przeróbki, o których wspominał Tim, zmieniły go całkowicie. Diana usunęła ścianę, łącząc dwa sąsiadujące pokoje, sypialnia zajmowała więc teraz całą stronę domu. Jak na sypialnię pokój był teraz zbyt długi i zbyt wąski, niczym

korytarz. David przypomniał sobie jednak, co mówił Tim, nie była to w istocie sypialnia, Diana przesiadywała tu całymi dniami i to się dało wy-czuć. Doznał czegoś w rodzaju ulgi; umarła, ale przynajmniej tutaj wciąż jeszcze żyła. Wiedział, że stała się inną kobietą niż ta, którą ongiś znał, z drugiej jednak strony mógł ocenić tę zmianę tylko dlatego, iż znał jej hi-storię i potrafił odtworzyć drogę prowadzącą do jego Diany. Raz jeszcze stanął mu w pamięci tamten dzień w Cambridge, jasne słońce i jedna je-dyna chmurka na niebie. Zmieniła się od tamtego czasu, ale nigdy nie pozbyła się wszystkich cech swej dawnej osobowości. Przypomniał mu się list i jej samokrytyka: „Divertimento: dlatego nie wychodzą mi obrazy”. Teraz rozumiał dokładniej, o co jej chodziło; akcenty egzotyczne, ale nie dość śmiałe, style tylko „odświeżane”. Coś francuskiego i kwiecistego, jak Fragonard, nad łóżkiem, coś orientalnego, choć zarazem wiktoriańskiego – jak Arabowie Gérôme'a – zdobiące część wypoczynkową, z wiklinowymi meblami, dywanikiem i aksamitnymi poduszkami, a jeszcze dalej – na samym końcu pokoju, gdzie obok kanapy, nad którą wisiał niewielki ki-lim, zgromadziła sztalugi i farby – dostrzegł nawet sugestie prerafaelitów, mieszcuchów śniących o dekadencji. Prawdę mówiąc to właśnie Diana wiele lat temu nauczyła go tych wszystkich nazwisk i nazw, kiedy podczas miesiąca miodowego oprowadzała go po Luwrze. Dzięki tym wszystkim skojarzeniom czuł, że jest to nieodwołalnie jej pokój, choć szczegóły nie-latwo było rozpoznać, bo zasłony były zaciągnięte i w pokoju panował półmrok. Przemknęło mu przez głowę, że być może ostatnią rzeczą, jaką zrobiła, było staranne zasłonięcie okien. Zaraz jednak pomyślał, że nigdy nie przywiązywała wagi do żadnych gestów, co zresztą czyniło jej samo-bójstwo jeszcze bardziej tajemniczym. Jednakże zawsze lubiła ciemność, bez niej nie potrafiła zasnąć. Najprawdopodobniej więc rankiem po prostu nie pomyślała o odsłonięciu okien. Kiedy już zaczął oswajając się z półmro-kiem, spostrzegł, iż głównym źródłem światła była mała lampka na stoliku przy łóżku. Znowu coś, co pozostało po niej. Chyba że włączył ją Tim, co jednak wydawało się Davidowi nieprawdopodobne, gdyż nie przypusz-czał, by chłopak wszedł tutaj choćby na chwilę po tym, co się stało. Ode-rwał się wreszcie od drzwi i podszedł do biurka. Miał rację; bloczek papie-ru listowego leżał ciągle na wierzchu, a na wierzchniej kartce odcisnęły się

ostatnie słowa, jakie napisała: „Drogi Davidzie, uciekaj tak daleko jak ja”.

Odłożył bloczek i odwrócił się w stronę łóżka. Posłała je, można się było tego spodziewać, że to zrobi, zawsze była schludna i systematyczna. Przynajmniej w tego typu sprawach, dotyczących powierzchni jej życia, zazwyczaj dobrze wiedziała, co robi. Budziła się, brała kąpiel – łazienka sąsiadowała z pokojem – i wracała tutaj. Chociaż nie zawsze. Czasami lubiła wylegiwać się długo w łóżku i krzątać się po pokoju w nocnej koszuli. I nagle, zanim jeszcze uzmysłowił sobie, co robi, lekko drżącymi dłońmi sięgnął po poduszkę, uniósł ją i... tak, leżała pod nią starannie złożona koszulka, od której popłynęła ku jego twarzy kolejna fala jej zapachu. Palce przesunęły się po koronkowym obszyciu i przypomniał sobie słowa: „tato kołysz mnie na huśtawce, coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie wiem, że widać mi majteczki”.

Dopiero teraz, odwracając się od łóżka David uświadomił sobie, co właściwie robi: odtwarzał jej kroki, powtarzał jej myśli z ostatnich chwil życia. Zupełnie jakby nakładał pośmiertną maskę, chcąc odgadnąć dręczącą go zagadkę. Co jej się przydarzyło? Cóż takiego chciała mu powiedzieć? Czuł trwogę i gniew jednocześnie: wiedział, dokąd ostatecznie dotarła, i nie mógł już nic zmienić. Mimo to nadal szukał czegoś w tym mrocznym pokoju. Kącik pełniący rolę saloniku: kilim, chybotliwe meble wiklinowe, niski stolik z metalowym, grawerowanym przez Dianę blatem, na którym stała mahoniowa taca z resztkami porannej herbaty. Czajniczek był pusty, wypita wszystko – choć zapach pozostał i tutaj, „Irish breakfast”, nieco mocniejsza niżby przypuszczał – podobnie jak dzbanuszek z mlekiem. Nigdzie jednak nie mógł dostrzec filiżanki. Trochę jak w dziecięcej układance, pomyślał. Dobiera się kolejne fragmenty, aż wreszcie wyłania się twarz. A jeśli nie znajdzie filiżanki? A jeśli zgubi trop? Jednakże czuł instynktownie, że go nie zgubi, że w istocie jest dokądś prowadzony. I rzeczywiście odnalazł filiżankę w tej części pokoju, która pełniła rolę atelier. Była tutaj kanapka, przykryta jakąś spłowieła kapą z frędzlami, nad nią jeszcze jeden kilim i wreszcie niezgrabny stół, zarzucony przyborami malarskimi: słórkami z pędzlami, stertami szmat i tub z farbami. Filiżanka stała na małym stoliku przy kanapie, był to właściwie stary stołek do pianina; wyobraził ją sobie, jak odstawia naczynie i

pochyla się ku lekkim sztalugom akwarelowym, podtrzymującym jej prace. Wyzwolona dama epoki edwardiańskiej w swym własnym pokoju. Sztalugi były jednak puste. Usiadła tu i wpatrywała się w pustkę? Ale i to byłoby tylko gestem, czymś nie w jej stylu. Następny fragmencik... Znalazł go na podłodze obok stołu. Album fotograficzny.

Stary album z czarnymi kartkami, z nacięciami, w które zdjęcia wtyka się rogami. Poznał je natychmiast: fotografie robione podczas ich wyprawy amerykańskiej. Nowy Jork. Migawki. Battery Park. Uparła się, by pojechali promem na Staten Island. *Chcę się poczuć jak normalna turystka*. Był zakłopotany, spięty, udawał znudzonego. Pamiętał jednak, że miasto go przytłoczyło. Zdjęcia sklepów, zdziwił się, że miała ich tyle, potem kilka zrobionych w zoo w Bronx. Uwielbiała wszystkie ogrody zoologiczne. Greenwich Village, bardzo chciała tam pójść, a on się sprzeciwiał, uważając, że to trywialne. Bardzo dobrze się tam czuła, weszli do kawiarni, pili espresso i słuchali muzyki folk... *CC Rider, see what you done done...* Usłyszał znów te słowa, kiedy wpatrywał się w swoje zdjęcie na rogu MacDougal Street. Miał tweedową marynarkę, a podeszwy grube chyba na cal. Dzięki Bogu, wzrok mu dopisywał, inaczej nosiłby okulary z ubezpieczalni, w których wyglądałby jak kret. Co właściwie Diana w nim widziała? Przewracając kartki albumu, przez chwilę nie mógł opędzić się od tego pytania. Potem pojechali pociągiem na zachód i podczas podróży przez cały czas robili zdjęcia: na jednym Diana stroi miny w wagonie turystycznym, z tyłu Góry Skaliste i jodły. Los Angeles... Oglądając te fotografie – Santa Monica, plaże, palmy – pomyślał o dawnym przyjacielu z Cambridge, fizyku Kevinie Eltonie, który uczył go prowadzić samochód (jedna z nielicznych praktycznych umiejętności, dająca mu pewną przewagę nad Dianą). Kilkanaście ujęć z wyprawy nad brzegiem morza, jechali, pamiętał Coast Highway, znał ją dzięki Raymondowi Chandlerowi, którego książki stanowiły jedyne źródło jego wiadomości o tej części Ameryki. Obrazy morza rozbijającego się o skały, kotłującego się w przesmykach, nieprawdopodobne drzewa z fantastycznymi korzeniami... cyprysy. Chyba w Carmel. Dobra fotografia dwóch morskich wydr, płynących na grzbietach obok siebie. Przypomniał sobie, że w Carmel mieszkał Edward Weston (czy to nie interesujące, pomyślał, że Diana sądziła, iż nie

będzie znał tego nazwiska, podczas gdy ten był teraz fotografem o podobnych do niego zainteresowaniach?). Niezależnie od napływających wspomnień, starał skupić się na zdjęciach, które stawały się coraz lepsze, coraz bardziej wypracowane, były to już prawdziwe fotografie, nie zaś przygodne migawki. Zawsze miała talent malarski, ale, jeśli dobrze sobie przypominał, nie interesowała się fotografią, a on kupił jej aparat tylko po to, by utrwalić ich podróz. Spodobał się jej jednak, ze wszystkimi przyciskami i dźwignikami, zmyślny mały mechanizm, którym potrafiła się posługiwać. Jednakże powoli wciągała się także w samo komponowanie kadru, co widać było choćby po jej eksperymentach z głębią obrazu. Jedno z jego zdjęć zrobione było długim obiektywem, który musiała wtedy gdzieś dokupić. Patrząc na tę dziwnie znajomą twarz, nie mógł teraz nie dostrzec jak dziwne, jak *n i e r ó w n e* to było małżeństwo. Zawsze miał świadomość różnicy środowisk, z których pochodzili, oraz temperamentów, ale łączyło ich wspólne pragnienie ucieczki w jakieś *gdzie indziej*. W tej chwili zdawał sobie jednak wyraźnie sprawę z tego, o ile bardziej skomplikowaną osobą była Diana w porównaniu z nim – oczy, dzięki którym powstało to zdjęcie, wiedziały tyle więcej niż jego oczy – i jak wiele czasu musiałoby upłynąć, nim zdołałby jej dorównać. „Widzisz więc, poznaliśmy się nie w porę! Powinniśmy byli się spotkać dużo później i przeżyć ładny romans, do czego, jak przypuszczam, nadaję się wręcz znakomicie. Czy raczej się nadawałam. Hotele, motele, weekendy, popołudnia. Przeprosiny. I od nowa...” Tak. Był taki niewinny. Czy może właśnie to było w nim pociągające? „I od nowa.” Znowu przeleciało mu przez głowę, że Diana nie zabiła się, lecz po prostu zniknęła, by wszystko rozpocząć od początku. Czy jednak wtedy starała się zacząć wszystko od początku? Bo przecież – znowu to samo podejrzenie – byłby tak znakomitą osłoną, gdyby ona rzeczywiście była szpiegiem. Powrócił do albumu, teraz szybciej przerzucał kartki szukając tego, co stanowiło sedno, czego musiała szukać także ona: zdjęć z China Lake. Ale kiedy je odnalazł, natychmiast zdał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Było ich po prostu za mało. Kilka kartek, raptem osiem – i to wszystko.

Pół rolki: widoki pustyni. Góry, pagórki, kaniony, dalekie perspektywy. Resztę stanowiły migawki z samej bazy. Szeregi parterowych budyn-

ków. Przed głównym amerykańska flaga. Żadnych ujęć laboratoriów, gdyż to było zabronione. Na jednej fotografii on sam w dziupie, z wojskowym kierownicą, identyczne ujęcie Diany, żołnierz marynarki, jedna noga opuszczona na ziemię, szeroki uśmiech, oczy ukryte w cieniu.

Druga rolka: zbliżenia pustynnego dna jeziora, popękanego i złuszczonego, a także monumentalne skały; miały to być „artystyczne” zdjęcia, co niezbyt się udało. Trzecia rolka znowu z pustyni, ściany kanionów pokryte dziwnymi rysunkami; zbliżenia: abstrakcje, tyczkowate postacie ludzkie, jelenie, a może kozice; pamiętał, że były to indiańskie malowidła. On sam nigdy ich nie widział, ale dla żon pracowników i gości urządzono wycieczkę. Na czwartej rolce kilku kolegów, z którymi pracował, Jerry Jakiśtam, Walter O'Hara, Don ???ski, wraz z żonami. Parę ujęć z jakiegoś przyjęcia, dawno zapomniane twarze ze szklaneczkami w uniesionych dłoniach szczerzące zęby do aparatu. I to wszystko; jeszcze na następnej stronie parę widoków pustynnych, te zdjęcia zrobiła już podczas wycieczki do Doliny Śmierci.

Żadnego zdjęcia Tannisa.

Ani jego.

Tylko dwie fotografie Diany.

Ani jednej, która mogłaby mieć jakiś związek z tym, co się wydarzyło teraz.

A jednak przeglądała album na kilka godzin przed śmiercią.

Jest tylko jeden wniosek, pomyślał. Diana usunęła kilka kartek. I w tej samej chwili zobaczył na stole pudełko zapalek. Nigdy nie paliła. W rogu stał kosz na śmieci, a kiedy zajął do niego, zobaczył grubą warstwę cieniutkich płatków popiołu, szarych, pozgniatanych i pomiażdżonych tak dokładnie, że nikt nie mógłby rozpoznać, czym kiedyś były.

Usiadł na kanapie.

Spojrzał w głąb długiego, wąskiego pokoju, mrocznego jak jaskinia, przesunął oczami po pustych sztalugach, stole z metalowym blatem, kilimach na ścianach, łóżku przykrytym koronkową narzutą, a kiedy zamknął oczy, zaroilo się przed nimi od jej obrazów. Wszystko okazywało się takie paradoksalne. Nie żyła, a przecież w tej chwili była dla niego bardziej żywa niż kiedykolwiek. W tym pokoju dowiedział się o niej więcej niż w

czasach, kiedy byli małżeństwem, ale to dowodziło tylko, jak ciągle była mu obca.

Poczuł się nagle zmęczony. Próbował zmusić się do myślenia. Dołączył kolejne fragmenty układanki, posunął się naprzód, ale teraz stracił impet i zaczynał się gubić. Co się jej przydarzyło? Tannis. Spróbował sobie przypomnieć to, co mówił Tim. Tannis zjawił się bez uprzedzenia. Usiedli do kawy, prowadzili miłą rozmowę, aż nagle coś się zmieniło. Przynajmniej Tim odniósł takie wrażenie: w matce zaszła jakaś zmiana. Tyle że David w żaden sposób nie potrafił dociec, o co tu mogło chodzić. Tim był w jakimś sensie uosobieniem China Lake, nieustannym przypomnieniem całej afery. Ale trudno było przypuścić, że w połączeniu z Tannisem stało się to dla Diany takim szokiem. Nie. Chodziło o coś innego. Uparcie próbował znaleźć odpowiedź. Niemcy. Vogel. Konie. Usłyszał jej głos: *O Boże, przecież wyglądasz zupełnie jak kowboj. Nigdy bym nie przypuściła.* I rzeczywiście jazda konno spodobała mu się, dawał sobie radę zupełnie nieźle, choć nigdy przedtem nie uprawiał tego sportu. Tannis zapomniał o koniach, lub przynajmniej udawał, że zapomniał, ale czy to takie ważne? I wtedy pomyślał o tym strasliwym dniu, kiedy znalazł ową kartkę, wskoczył do dżipa i pognał na pustynię; jedna informacja prowadziła do następnej *{spal tę kartkę, bo w przeciwnym razie nie będzie następnej, jesteś obserwowany}*, a on szedł ich śladem, jak w chłopięcej zabawie w podchody, aż wreszcie zaczął kroczyć dnem wyschniętego koryta, a kiedy się obejrzał, zobaczył ich, jak spiesznie zmierzają w jego stronę. Mój Boże, był nawet szeryf z gwiazdą na piersi.

Co to jednak znaczyło? I jakie miało znaczenie dziś? Kręciło mu się w głowie. Chyba bym upadł, pomyślał, gdybym się teraz podniósł. Znowu stare trzęsawiska. Wszystko zaczynało się od nowa. W tym cała rzecz. To właśnie zrozumiała Diana. Nie było ucieczki. Gdyby знаła rozwiązanie, powiedziała by. Na pewno. Gdyby to ona była szpiegiem, czemu nie miałyby się przyznać? Tymczasem nadal nie potrafiła pojąć tego, co działo się dookoła, a gdy próbowała coś zrozumieć, te usiłowania potwierdzały jej bezradność. I doprowadzały ją do rozpacz, która i jego zalała teraz nagłą falą; tak, nie było żadnej nadziei.

Ale nagle zerwał się na równe nogi. Twarz jego stwardniała, przybrała

raptem stanowczy wyraz, co sprawiło, iż wyglądał teraz dużo młodziej, tak jak na oglądanych przed chwilą fotografiach; niewinny młodzieniec w Nowym Jorku, niezgrabiasz w wojskowym dżipie. Sam o tym oczywiście nie wiedział, myślał w tej chwili jedynie o tym, że musi przejść przez wszystko, choć na razie nie było jasne do końca, co to znaczy. Dopiero kiedy znalazł się w holu, zmierzając ku drzwiom, pojął, iż musi doprowadzić do końca rozpoczęte działanie, że musi pójść jej śladem aż do ostatniego kroku. Podjęła decyzję. Spaliła fotografie. Napisała list. „Drogi Davidzie...” Potem odesłała Tima, po raz ostatni otworzyła drzwi, zamknęła je za sobą i znalazła się na ulicy. Zdawał sobie sprawę z tego, że teraz było trochę wcześniej niż wtedy. Trochę inaczej układały się cienie pod drzewami, trochę silniejszy był wtedy wiatr, wieczorny powiew od morza. Ale nie miało to istotnego znaczenia. Musiała iść prosto tą drogą. Na szczyt wzgórza, skąd zobaczyła skrzącą się w słońcu zatokę.

Ruszył. Chmury płynęły wysoko po jasnym niebie. Szedł pustą drogą, nie napotykał nikogo, aż dotarł do pierwszych zabudowań miasteczka. Minął szybko jakieś domy, sklepy, małą zatoczkę z półksiężycową plażą i żelazną barierką. Słyszał, jak woda przelewa się w dole i szumi; daleko na falach kołysał się jasnopomarańczowy ponton, a znajdujący się w środku mężczyzna i chłopiec, w żółtych pękaty kamizelkach ratunkowych, wiosłowali w kierunku brzegu. Zapatrzył się w nich i na chwilę zapomniał, gdzie jest i co tutaj robi. Potem poszedł dalej. Droga zaczęła się piąć w górę. Minął baraczek zakładu pogrzebowego; (makabryczna ironia, którą ledwie sobie uświadomił). Wkrótce znalazł się na ścieżce do Tresaith; wiatr targał mu włosy, słońce zmuszało do mrużenia oczu. Czuł zapach wody i wiatru. Wyobrażał sobie Dianę, jak idzie tędy kuląc się pod zimnymi podmuchami, ale przez cały czas z głową uniesioną wysoko; czuł, że w tych ostatnich momentach musiała przeżywać zdziwienie samą sobą. Zamierzała to zrobić, ale czy zrobi to rzeczywiście? Z lewej strony biegł wysoki żywoptot, oddzielający ścieżkę od urwistego brzegu, z prawej ciągnęło się rozległe pole, z opuszczonymi przyczepami mieszkalnymi – jedna z nich pomalowana była jasnozieloną farbą – zauważył też kilka pasących się spokojnie krów. Ścieżka pobiegła teraz w dół, a żywoptot był tak wysoki, że całkowicie przesłaniał morze. Potem droga stała się

płaska, a roślinna bariera z lewej zniknęła. Można było bez przeszkód podejść do samej krawędzi urwistego brzegu, który w tym miejscu tworzył sporą zatoczkę. Na jej drugim krańcu David dostrzegł wodospad, długi, wąski pasek wody spływający w dół, do morza, którego fale ciężko uderzały o skały, z hukiem rozpryskując się wśród licznych jam i szczelin. Stanął przy samej krawędzi. Patrzył przed siebie, nie czując w ogóle potrzeby spojrzenia w dół. Nie cierpiał na lęk wysokości, nie mógł sobie jednak przypomnieć, czy miał kiedyś okazję się przekonać, jak pod tym względem było z Dianą. Jak się to stało? Miał wrażenie, że potrafi odtworzyć jej uczucia. Nie odczuwała złości; cokolwiek się stało, zaakceptowała to konsekwentnie, do końca. On jednak nie potrafił. Przepelniała go wściekłość. Nienawiść. Zagryzł wargi aż do bólu, miał ochotę krzyknąć przeraźliwie. Nienawidził siebie. Jakimż tchórzem się okazał, przecież za pierwszym razem nawet nie usiłował z nimi walczyć, nie próbował odeprzeć uderzenia. Ale jak miał to zrobić? Zgadzał się, przepelniony bolesną ironią wciąż się jednak zgadzał. Oczywiście, że wiem, jacy są Rosjanie. A później w jakimś bezsensownym odruchu jego serce napelniło się nienawiścią do Brytyjczyków, ich zarozumiałstwa, hipokryzji, absurdalnego poczucia wyższości i wstrętnej złośliwości, z jaką starali się poniżyć innych. I on padł ofiarą tego wszystkiego. Czy miał jakiegokolwiek szanse? Był taką grzeczną, taką układną ofiarą. Dziękuję, sir, czy mogę prosić jeszcze raz to samo? Pewnie i ona musiała czuć się podobnie osaczona. Ale przez co? Nie wiedział, naprawdę tego wiedział. Pomyślał o Annie. Cóż za głupiec z niego, i jak wszyscy głupcy, stanowił największe zagrożenie. Tak, zaczynało się to raz jeszcze, nie tylko dla niego samego. Oczywiście, jak trędowaty przenosił to na innych.

Nieudacznik.

Tak.

Spojrzał przed siebie.

Wiedział, że to się teraz stanie.

Nie był jednak pewien, czy zamierza skoczyć, czy runąć. Może ani jedno, ani drugie. Fruń. Przez moment w górę, ku słońcu. A potem wiatr opływający ciało, huk w uszach, a ty spadasz i spadasz, w lodowatą ciemność pełną połyskujących gwiazd.

Rozdział 11

Ten lot ku morzu, wszystkie jego fazy pozostaną gdzieś w Davidzie już do końca życia, lecz nigdy nie będzie naprawdę wiedział, co się wtedy stało. Skok? Upadek? Doznał przez moment zaskoczenia, gdy zaczął lecieć, jakby się tego nie spodziewał. Ale to swobodne spadanie – ów ruch ku dołowi w polu grawitacyjnym nie zakłócany przez opór środowiska – trwało na tyle długo (chyba więcej niż sześć sekund, przeleciał ze dwieście stóp), że miał czas się przygotować. I wszedł w wodę.... mówiąc szczerze, nie wiedział dokładnie, jak to się dokonało, czy uderzył o powierzchnię najpierw stopami, plecami czy udami, jednakże wejście było tak niezwykle czyste, tak precyzyjne, że później myślał o nim w kategoriach prawa załamania światła: zmiana kierunku, której ulega promień przy przejściu z jednego ośrodka przejrzystego do drugiego. Morze było bowiem przejrzyste, lot, on i woda – pełne lekkości. Ale zapamiętał tylko ruch; nie pozostało wspomnienie żadnych innych doznań, na przykład nagłego zetknięcia z chłodnym płynnym żywiołem albo uczucia strachu. Ruch otulił go szczelnie i zabezpieczył przed nimi. Przeistoczył się, był bardziej energią niż masą. A zarazem miał pełną świadomość tego, gdzie się znajduje: otaczał go półmrok oceanu, coraz bardziej gęstniejący, i jednocześnie z niezwykłą wyrazistością powrócił obraz sprzed wielu, wielu lat, ojca, kołyszącego się w wodzie, w górę i w dół, w górę i w dół. Raz i dwa, raz i dwa, i wydało mu się, że niemal zachichotał, jak wtedy, będąc dzieckiem –

dwadzieścia stóp pod powierzchnią wody...

Potem wszystko zastygło.

Przez chwilę trwał w zawieszaniu, w bezruchu, pęd ciała w dół został powstrzymany, woda zaczęła go wypierać; Archimedes zrównoważył Newtona. Serce unosiło się miarowo w piersi. Odzyskał całkowity spokój i pewność, otaczała go jasność, wirująca w kręgu wywołanym przez jego ciało.

Trwało to jednak tylko chwilę. Potem wszystko się odwróciło. Energia znowu przekształcała się w masę. Poczul straszliwy ból, piersi zdawały się pękać, płuca płonęły. Bez powietrza, bez życia. Zalała go fala paniki, gdy został ciśnięty w górę, w uszach mu zahuczało, oczy zapiekły gwałtownie i nagle znalazł się znowu pod świetlistym, oślepiającym firmamentem.

Dopiero jednak kiedy ponownie zanurzył się i znowu wypłynął, zdał sobie sprawę z tego, w jak niebezpiecznej sytuacji się znalazł.

Leżał na grzbiecie pomiędzy dwiema falami. Niebo w górze wydawało się niesłychanie odległe i oszałamiająco błękitne, brązowy skalisty brzeg urwiska sterczał ponad nim samotny jak Gibraltar. Tam, gdzie krawędź ostrą linią odcinała się od nieba, widać było trzy rybitwy krążące nad wielkim wirem u podnóża skały. Skoczył w miejscu, gdzie skała tworzyła wielką ostrogę, na górze wystawiając się na podmuchy wiatru, na dole wrzynając się w morze, którego fale unosiły się ze zwodniczą łagodnością, a potem nagle nabierały mocy i ze wściekłością atakowały kamienną przeszkodę. Był dość blisko brzegu – to znaczy skalnego urwiska – natychmiast jednak uświadomił sobie, że jeśli zostanie porwany przez falę przyboju, czeka go zguba. A każda kolejna fala popychała go w kierunku miejsca, skąd nie mogło już być odwrotu. Od razu też zrozumiał, że zagraża mu jeszcze jedno niebezpieczeństwo: fale wyżłobiły w skarpie liczne grotty i rozpadliny, jeśli więc nawet nie roztrzaskałby się o skałę, mógł zostać wessany pod powierzchnię wody. Jednakże nie poddał się panice, gdyż zawsze był dobrym pływakiem, a przy tym ciągle czuł w sobie ów spokój, który spłynął nań tam w głębinie. Pozbył się drugiego buta – jeden zdążył już gdzieś zgubić – poczekał, aż przeszła następna fala, nabrał powietrza i zanurkował. Wiedział, że jedynym ratunkiem jest ucieczka ze wzburzonej powierzchni w głębsze, bardziej spokojne warstwy. Poszybo-

wał w dół, odgarniając wodę silnymi uderzeniami ramion – trzy mocne pchnięcia – i natrafił na szybki, chłodny prąd, który odsunął go od skały. W ten sposób zarobił około dziesięciu jardów. W chwilę później wynurzył się znowu na powierzchnię i tym razem omal nie zginął, znalazł się bowiem w samym środku pękającej właśnie fali. Zachłysnął się wodą i kaszłując gwałtownie, poczuł nagły przyływ strachu, opanował się jednak, nabrał powietrza i raz jeszcze zanurkował w dół. Przy następnym wynurzeniu dostrzegł ratunek. Po prawej stronie, tam gdzie skalna ściana wchodziła w morze, fale rozpryskiwały się z hukiem o olbrzymie głazy, ale pomiędzy nimi i pomiędzy nimi a brzegiem spostrzegł niewielki obszar spokojniejszej wody. Zaczepił powietrza, zanurkował i popłynął w tamtym kierunku. Ostatkiem sił dotarł do celu. Rozpaczliwie dysząc, wynurzył się pod ochroną skalnych fałolomów i dopiero wtedy dotarły do niego dźwięki: ryk fal, skrzek rybitw, łagodny pomruk wody pod nim.

Odpoczywał przez jakąś minutę, na więcej nie mógł sobie pozwolić, wiedział bowiem, że gdyby pozostał tu dłużej, groziłaby mu jeszcze inna śmierć. Woda była bardzo zimna, już teraz odczuwał gorączkowe ciepło wewnątrz gwałtownie ochładzającego się ciała. Za pięć minut stałby się już zupełnie bezbronny wobec hipotermii, a za kwadrans byłoby po nim. Musiał wydostać się z morza. Podpłynął do kamiennej ostrogi, uchwycił się jej krawędzi i podciągnął nieco w górę, skręcając głowę ku brzegowi, który zamierzał zlustrować. Klif odległy zaledwie o dwadzieścia stóp właściwie zwieszał się nad nim, podmyty w tym miejscu przez fale. David natychmiast dostrzegł szczelinę biegnącą w głąb skały, a nad nią głęboką nieckę, powstałą po odpadnięciu dwóch bloków, pod których osłoną teraz się znajdował. Gdyby mógł się tam dostać...

Położył się na plecach. Woda kołysała go miarowo w górę i w dół, i po chwili zauważył, że każda co piąta czy co szósta fala unosi go wyżej niż inne, i że owe wyższe fale wypełniają szczelinę strumieniami piany. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, nie wahał się ani chwili. Oparł stopę o skałę i gdy tylko poczuł za sobą silniejszy przyływ, całą siłą odepchnął się w kierunku szczeliny. Fala porwała go i uniosła, ramiona zaszurały o kamień – tak wąska była szczelina – a dłonie, rozpaczliwie szukając wokół punktu zaczepienia, natrafiły na jakiś występ. W chwilę potem woda odpłynęła,

on zaś wisiał na koniuszkach palców. Nie udało się. Kolejna fala zawirowała wokół niego, teraz jednak był już wciśnięty w szparę jak kamyk. Kiedy kolejna fala na chwilę podtrzymała go w górze, wyszukał oparcie dla palców parę cali wyżej. Nie było to zbyt wiele, ale po czterech kolejnych przybojach znalazł się ponad wodą. Rzuciła się wściekle w jego stronę, ale nie mogła go już dosięgnąć. Roześmiał się. Czyste wariactwo, szaleństwo, ale udało się. Zaczął posuwać się w górę. Potrafisz przecież się wspinać, prawda? Spojrzawszy trochę wyżej, zauważył, że skała zmienia odcień; granica przyływu. Kiedy dotrę tam, obiecał sobie, odpoczne. Nie było to trudne; wystarczyło mocno się wyciągnąć, napinając nogi, sięgnąć rękami i oto już był w niszy, gdzie mógł nareszcie przestać walczyć i przysiąść z plecami opartymi o ścianę. Na policzku poczuł ciepły dotyk słońca. I było jeszcze coś, co wymacały jego palce... kawałek grubego, rozmokłego papieru, wepchniętego tu przez wodę lub wiatr.

Cudowne znalezisko.

Ale mające również naukowe wytłumaczenie, ponieważ także i turbulencjami rządzą ściśle prawa – prawa systemów niestabilnych – a morze pod nim stanowiło przykład absolutnego chaosu. Prawdopodobnie wszystko, co nie ginęło od miażdżących uderzeń przyboju, lądowało ostatecznie tutaj, tak jak on sam. To, co trzymał teraz w dłoniach, było kartką z albumu Diany. Nie spaliła wszystkiego, gdyż potraktowała dosłownie swoją frazę: „Są z pewnością rzeczy, które trzeba zabrać ze sobą do grobu”. Karton jednak tak namókł, że David czuł, iż niemal rozchodzi mu się w palcach. Jednego zdjęcia brakowało – ten przynajmniej sekret nigdy nie zostanie odsłonięty – lecz pozostałe trzy... Ale był zbyt zmęczony, by kogokolwiek rozpoznać.

Niski, ciemnowłosy mężczyzna, trzymający za uzdę konia, na którym siedziała mała dziewczynka.

Mała chatka, samotna, zagubiona pośród pustyni Mojave.

Nieznana Davidowi kobieta, składająca usta do całusa.

Cierpliwie powyciągał rogi każdego zdjęcia z nacięć w kartonie, a potem wszystkie trzy pieczołowicie umieścił w zapinanej na guzik kieszonce z przodu koszuli. Jeśli to była nagroda, zasłużył na nią. Zasłużył też na odpoczynek. Dziesięć minut musi jednak wystarczyć. Czuł cudowne cie-

pło słońca. Spojrzał na zegarek, a potem wyciągnął się swobodnie. Patrząc w niebo dostrzegł małą mewę, *Sterna albifrons*, i rybitwę o czarnym grzbiecie, *Larus marinus*, kołujące, opadające i wzbijające się w dziwnym miejscu, gdzie spotykały się skała, niebo i morze.

David potrzebował jeszcze następnych czterdziestu minut, by znaleźć się znów na szczycie skalnej ściany.

Wspinaczka okazała się łatwiejsza, niż można było przypuszczać, choć zapewne tylko ktoś, kto dysponował podobnym jemu doświadczeniem i odznaczał się podobną odpornością na wysokość, byłby zdolny uporać się z takim zadaniem. Od momentu kiedy dotarł już do niszy, gdzie kończyła się szczelina, jedyna droga wzwyż prowadziła wzdłuż wąskiego zagłębienia, które powstało zapewne w ten sam sposób jak nisza. Odpadła stąd cała przednia ściana, a potem erozja wyżłobiła pęknięcie nie szersze niż sześć, osiem cali, tak że całą tę trasę David przebył czepiając się kurczowo skały końcami palców u nóg – pięty pozostawały nie podparte. Najgorsze okazało się ostatnie pięć jardów. Sam szczyt urwiska pokruszył się, pełno tu było luźnych kamieni, a David czuł się już teraz bardzo wyczerpany. Ale dotarł wreszcie do krawędzi, przekreślił się jeszcze raz, legł na plecach i zapatrzył się w odległe błękitne niebo, z nielicznymi chmurami napływającymi od strony Irlandii.

Leżał tak przez pięć minut, ciężko dysząc, a potem obrócił się i oparł na łokciach. Popatrzył na dróżkę prowadzącą do Tresaith i spostrzegł nadchodzącego tędy starszego mężczyznę w płaskiej tweedowej czapce. Spacerowicz z laską. David przyglądał mu się przez chwilę, a potem nagle jednym skokiem znalazł się za krzakiem janowca. Nie rozumiał dokładnie, dlaczego to zrobił, wiedział jednak na pewno, że nie chce, by ktokolwiek go zobaczył. Skulony, drżąc na całym ciele i starając się zapanować nad oddechem, czekał, aż tamten go minie. Dopiero gdy wokoło znowu zrobiło się pusto, wyprostował się i wyszedł na ścieżkę. Zawahał się przez chwilę. Nie miał raczej szans na to, by dotrzeć nie zauważony do swojego hotelu, a z jakichś przyczyn, nad którymi się nawet nie zastanawiał, pragnął, by go nie zobaczono. Jednakże z drugiej strony nie mógł pozostać tutaj aż do zmierzchu i wtedy dopiero ruszyć w drogę. Był zbyt zmęczony,

zmarznięty i mokry. Potrzebował jakiegoś schronienia. Jego oczy odruchowo powędrowały w kierunku zauważonych wcześniej przyczep mieszkalnych. Ustawione w jednym rzędzie, frontem w kierunku morza, wyglądały dość smutno i nieefektywnie, jeśli nie liczyć pewnej ekscentryczności wyglądu: jedna była pomalowana na ciemnozielono, z żółtymi okiennicami, druga wyglądała jak wóz cyrkowy, trzecia prezentowała kolekcję wiatrowskazów – tradycyjne koguciki, ale także hiszpański galeon, czarownica na miotle, amerek strzelający z łuku – które obracały się z furkotem. Przyczepy sprawiały wrażenie nie zamieszkałych, a nawet porzuconych, ale David zbliżał się ostrożnie do owej zielono-żółtej: najpierw długo obserwował ją z zarośli, a potem, znalazłszy się na odkrytym terenie, szedł ku niej powoli i czujnie. Krowy z drugiej strony łąki obrzuciły go na moment obojętnym spojrzeniem, a potem powróciły do swojej trawy. Z tyłu przyczepy znajdowała się rozklekotana weranda z zamkniętymi na kłódkę drzwiami. David obejrzał podmurówkę, na której stała przyczepa, szukając odpowiedniego kamienia, który pomógłby mu uporać się z kłódką. Znalazł ciężki drąg. Włożył go w ucho kłódky, gwałtownie przekręcił i – po raz pierwszy w życiu złamawszy prawo – wszedł do środka.

Pomieszczenie było puste. Gdy oczy przywykły do mroku, zorientował się, że jest w kuchni, uprzątniętej przed wyjazdem i najwidoczniej nie odwiedzanej od miesięcy. W zlewie stała para gumowych butów, drzwi lodówki były otwarte, a na górnej półce leżała żaróweczka. Części kucharki porozkładano na blacie, a na otworach po palnikach leżały odwrócone do góry dnem talerze. Ostrożnie zbadał zawartość szafek, starannie zamykając drzwiczki każdej z nich: plastikowe talerze, kubki i spodki, wszystkie zielone albo żółte, porysowane i zniszczone. Cztery komplety. W szufladzie znalazł zbieraninę sztućców, pod zlewem – plastikowe wiadro. I to było wszystko. Odsunąwszy koralikową zasłonę wszedł do sąsiedniego pokoiku, równie pustego jak kuchenka. Okna przesłonięto kawałkami kartonu, przez szczeliny między nimi a okiennicami przeslizgiwało się nieco światła. Wnętrze było ciasne i wilgotne. Na moment wstrzymał oddech, sznurki zasłony kołysały się wciąż lekko za jego plecami, poczuł się nagle jak intruz. Usiłował odgadnąć, kto mógł tutaj mieszkać. Emeryt? Stare małżeństwo? Spojrzał na wiekowy telewizor

ulokowany na stoliku naprzeciw niego, stoły, sofę i fotel na biegunach, przykryte plastikiem, który przymocowano plastrem do podłogi. Właściciele bardzo, zdaje się, dbali o swój niewielki dobytek. Prostokątne drzwi prowadziły zapewne do łazienki, za drugą zasloną z koralików odnalazł sypialnię. Tutaj także czuć było wilgoć i stęchliznę, a ponieważ ściany pomalowano na żółto, podłogę zaś przykryto zielonym dywanem, całość kojarzyła się nieodparcie z jakimś miejscem na skraju stawu. Para starszków, których autor komiksu namalowałby jako żaby. Pod zakrytym oknem stała mała komódka. Jej szuflady były puste, ale w szafce wiszącej na ścianie znalazł pelerynę i dwa koce w podwójnych plastikowych workach. Wróciwszy do kuchni, rozebrał się, wytarł jednym z koców, a owinął drugim. Ku swemu zdumieniu odkrył, że prąd nie jest wyłączony. Poskładał kuchenkę i włączył ją. Najpierw się rozgrzał, potem nastawił wodę na mycie. Powoli odzyskując równowagę, próbował jednocześnie zdać sobie sprawę z tego, co się wydarzyło.

Gdyż coś się wydarzyło.

Z początku nie potrafił sobie uzmysłowić, co to takiego było, i nie miał nawet zbytniej ochoty zastanawiać się nad tym, ale w chwilę potem, kiedy kołysał się w fotelu z przymkniętymi oczyma, przypomniał sobie, jak spoglądał w górę i poprzez ciemną zieleń morza widział jasne niebo, niezwykle łagodne, ciche i ogromnie odległe. Tak, wydawało się nieskończenie dalekie. A przecież nie odczuwał żadnego strachu; był zupełnie spokojny. Teraz to powróciło; odczucie tej, spokojnej, cichej samotności, i wtedy też uświadomił sobie, co zaszło: to on się zmienił. Tak, zmienił się, i efekt tej zmiany był oczywisty (chodziło o efekt, a nie o decyzję, żadna decyzja nie była tu potrzebna): chciał działać.

Nie zamierzał się ukrywać, biec po pomoc ani udawać, że nic się nie stało. *Wszystko zaczyna się znowu od początku*, pomyślała Diana i zabiła się. Ale tym razem nie będzie biernie przyglądał się wypadkom. Popelnili błąd, gdyż dali mu drugą szansę. Tam, na skale, rzucił im wyzwanie, do tego się wszystko sprowadzało. Teraz widział dokładnie, że musiał to zrobić. Dał śmierci szansę, której ona nie wykorzystała. Znowu zatem rozporządza swoim życiem i nikt mu już go nie odbierze, a w każdym razie nie odbierze bez walki. Świadomie przywołał z pamięci obraz twarzy

Anny. Nie mógł jej utracić. A musiał teraz przyznać przed sobą, że nigdy naprawdę nie miał Diany. Był zbyt młody, zbyt niewinny i dlatego zresztą się to udało, pomyślał, dlatego mogli go usidlić. Nie zrobił nic, dokładnie nic, wszystko było sfalszowane, spreparowane. Przypominał czystą tablicę, na której mogli napisać i wyrysować wszystko, co tylko chcieli. To się jednak nie powtórzy. Musieliby go zabić... Przez chwilę rozważał to w skupieniu. Tak, będą musieli go zabić. Nagle ciszę zakłócił jakiś szelest, coś poruszyło się na kuchennej szafce. Spojrzał tam i zobaczył mysz sunącą w kierunku zlewu. Zatrzymała się, ruszając niespokojnie noskiem, potem pobiegła dalej i znowu przystanęła. Uśmiechnął się. Cóż za znakomity symbol. Jest człowiekiem, a nie myszą. Mężczyzną, a nie chłopcem. Ale kiedy tak pomyślał, coś mu się nie spodobało w tym obrazie. Czy nie był dla siebie zbyt niesprawiedliwy? Kiedyś na pewno zasługiwałby na podobną uwagę. Ale teraz? Coś brzmiało tu niedobrze. Zmienił się i czuł wyraźnie, choć nie całkiem jasno, tę różnicę, ale zarazem nie w pełni się utożsamiał ze swoim nowym „ja”. Zupełnie jakby jakaś jego część ciągle nie pasowała do nowej sytuacji, jakby w jego wnętrzu prowadziły ze sobą nie kończący się dialog dwie różne osoby. Ciągłe brak mi argumentu, pomyślał; nie wiem jak go – to znaczy siebie samego – zmobilizować.

Ta myśl jednak z kolei obudziła w nim niecierpliwość. Mysz zniknęła gdzieś za blatem. (Musiało się tu od nich roić, co tłumaczyło plastikowe pokrowce; nawet w kuchence miały swe schronienie.) Wiedział, że nie ma chwili do stracenia, nie mógł marnować czasu na rozmyślenia nad swoją nową osobowością, musiał pozwolić jej – sobie – działać. I tu właśnie był problem: skoro miał działać teraz, zaraz, to co w istocie miał zrobić? Nie miał żadnych informacji. Żadnych uprawnień. Żadnych sojuszników. Był zdany tylko na siebie. Jednakże wszystko już się zaczęło i jego nowa osobowość – choć ciągle jeszcze nie całkowicie do niej przywykł – podjęła przygotowania. Nagi – ubranie ciągle suszyło się na oparciu fotela – przeliczył gotówkę. W portfelu było 248 funtów, Barclayscard, American Express. W samochodzie miał książeczkę czekową i w razie potrzeby mógł dysponować większą sumą. Ale co z domem? Z pracą? Poszukiwania zabiorą z pewnością trochę czasu, no cóż, panna Simpson, sekretarka, mogła przynajmniej przez jakiś okres zająć się wszystkim. Anna. Tim.

Łączył ich już w myślach i podejrzewał, iż coś im może grozić, choć nie wiedział co i dlaczego. Trzeba było zatem zabrać Tima do Szkocji i ulokować wszystkich w jakimś bezpiecznym miejscu. Derek powinien już kończyć szkołę, więc nie będzie z tym chyba kłopotów.

Wydawało się, że zanim jeszcze postawił sobie te pytania, znał odpowiedź na każde z nich, dotyczyło to także ogólniejszych kwestii strategicznych. Niezależnie od wszystkiego miał wrażenie, że dysponuje pewną przewagą. Ciągle był w posiadaniu listu Diany – rozmoczonego, pobrudzonego, ale w zasadzie nienaruszonego. Nawet jeśli w szczegółach był ciągle niejasny, stanowił niewątpliwy fakt. Diana zabiła się z powodu tego, co się stało, ponieważ związana była z owymi wydarzeniami, ów związek musiał więc być o wiele poważniejszy, niż mógł sobie w tej chwili wyobrazić. Wypadki w China Lake miały wpływ także i na jej los, choć żyła oddzielnie. A nawet jeśli nie pojmował, o co tu chodzi, był jedyną osobą – tak przypuszczał – która wiedziała o jej istotnej roli w całej tej sprawie, co liczyło się na jego korzyść. Po drugie, były fotografie, tajemnica, którą on zawładnął. Teraz, wciąż owinięty kocem, rozłożył je przed sobą. Pomarszczyły się pod wpływem wilgoci, a ich powierzchnia zmatowiała, nadal jednak były dostatecznie wyraźne. Pierwsze zdjęcie przedstawiało atrakcyjną kobietę, z grzywką blond włosów zaczesaną na czoło. Miała rozradowane oczy i złożyła usta w ciup, robiąc słodką minę, a może przesyłając pocałunek osobie fotografującej. Nie miał pewności, ale mogła to być żona któregoś z naukowców z China Lake. Ostre słońce, oświetlające ogródek koło domku (plot sekwojowy, wyłożona kamiennymi płytkami dróżka, sznur chińskich lampionów), przypomniało mu pustynię, uśmiech zaś nałożony na twarz kobiety (wesoły głos, dźwięczący jak kostki lodu w szklaneczce, *za co teraz wypijemy?*) a potem dyskretny odwrót do jej sypialni) przywiódł mu na myśl żony kolegów-naukowców, imitacje Doris Day i Debbie Reynolds, i właśnie w tym momencie przypomniał sobie jednego z nich, specjalistę od serwomechanizmów. Było takie przyjęcie, Diana zaprzyjaźniła się z żoną tamtego, jeżdżąc razem na zakupy i na wyprawy do Los Angeles lub Bakersfield. Umykało mu jednak jej nazwisko, nie miał także pewności, iż owa twarz do niej należała.

Drugie zdjęcie wzbudziło w nim jeszcze więcej wątpliwości. Domek w

opłakany stan, za nim pustynia. Doskonałość techniczna tej fotografii rzucała się w oczy, przypomniały mu się słowa z listu Diany: „Weston robił zdjęcie, zrobił negatyw, zawsze mówiła Charis, klik”. Miał przed sobą właśnie to: znakomicie skadrowaną i przemyślaną kompozycję. Nie potrafił się jednak zorientować, o co chodziło jej autorowi. Jednopiętrowy budynek oklejony był kartonami, na których dawało się dostrzec niewyraźne, wyblakłe napisy, ale ramy okienne połyskiwały jak białe kości, a przez szyby widać było zamgloną pustynię po drugiej stronie domku. O ścianę oparto złożoną drabinę, dostatecznie długą, jak ocenił, by można się po niej było wspiąć aż na dach, przed wejściem stał niezgrabny stół, wokół którego rozstawiono kilka foteli, jak gdyby do posiłku, tak że całość dawała efekt nieco surrealistyczny. Rzeczywiście, zdjęcie było znakomite, ale po cóż je zatrzymała? To miała być ta tajemnica, którą należało zabrać do grobu?

Nie znał odpowiedzi na to pytanie, sięgnął więc po ostatnie zdjęcie, które, w porównaniu z poprzednimi, wydawało się bardziej zrozumiałe. Niski ciemnowłosy mężczyzna trzymał za uzdę konia, na siodle zaś siedziała mała, roześmiana radośnie dziewczynka. To musiał być Vogel ze swą córką, Marianną. A ten koń nazywał się Diabło, Diana go wynajmowała do przejazdów. Vogel, morderca innego Niemca, nazwiskiem Buhler, tak w każdym razie sądził Tannis. Jednakże sądząc po tym, co napisała w liście, Diana nie miała pewności, czy może ufać Tannisowi. „To właśnie był Vogel. Tannis nie wiedział tego. Nie jestem jednak pewna, czy można mu wierzyć”.

Ułożył zdjęcia w jednym rzędzie; ich sekrety pozostały nadal nie odkryte. Wszystko jednak, pomyślał, musi się przecinać w jednym punkcie. Śmierć Diany, list, fotografie, to, co przytrafiło mu się na Clints of Dromore: w centrum wszystkiego znajdował się Tannis. A nowa osobowość Davida już podchwyciła tę myśl i zadecydowała, iż sprawą kluczową staje się odszukanie Amerykanina. I znowu dostrzegł, że niezależnie od wszystkich trudności, ma jedną wielką przewagę: nikt, włącznie z Tannisem, nie wiedział, iż David go szuka, i na pewno się tego nie spodziewał. Przypomnił sobie własny fantastyczny pomysł: Diana, która znika w morzu, by pojawić się później w jakimś innym miejscu. Ale czyż sam

właśnie nie dokonał czegoś podobnego? Któż mógł wiedzieć, gdzie on jest, gdy tak siedział teraz w odludnej przyczepie? Kiedy na skraju urwiska dostrzegł zbliżającego się wycieczkowicza, skrył się za krzakiem, zrobił to bez zastanowienia, instynkt podszeptął mu właściwe zachowanie. Jego własne istnienie było największą tajemnicą, jaką posiadał. Nikt też nie wiedział, iż David Harper włączył się do gry. Nie miał wprawdzie dostępu do informacji ani właściwych uprawnień, jednakże na jego korzyść działał czynnik zaskoczenia – dysponował też pełną swobodą działania. Mógł zrobić wszystko, co tylko chciał. Postanowił też, że, przynajmniej na razie, jego pierwszą zasadą musi się stać zachowanie całkowitej anonimowości.

I zasadę tę natychmiast wprowadził w życie.

Miał trochę szczęścia. Było już wczesne popołudnie, ale chociaż jego ubranie nieco podeschło, nie nadawało się jeszcze do włożenia. Przez chwilę myślał nawet o przenocowaniu w przyczepie, nie chciał jednak tracić aż tyle czasu. Z drugiej strony, gdyby przemaszerował przez miasteczko w takim stroju, z pewnością rzucaliby się w oczy każdemu. Nagle zaczęło padać. Deszcz zabębnił po dachu przyczepy, potem z sufitu nieustępliwym strumyczkiem pociekły na lodówkę krople, które skapując dalej, zaczęły tworzyć na podłodze małą kałużę. Po półgodzinie, gdy deszcz przybrał na sile, David wiedział już, że pozyskał znakomitą osłonę. Włożył spodnie, koszulę oraz gumowce pozostawione przez Mr Żabę w zlewie, a na sweter podgumowaną pelerynę, którą znalazł przedtem w sypialni. Ubranie wciąż było mokre i czuł się nieswojo, pomyślał jednak, że będzie wyglądał jak niefortunny podpatrywacz ptaków lub autostopowicz, którego zniecka dopadła ulewa.

Wyszedł z przyczepy. Na ścieżce nad brzegiem nie było żywej duszy i wkrótce znalazł się w miasteczku, spowitym szarą zasłoną deszczu. Dwaj chłopcy w żółtych sztorcówkach, którzy skuleni przebiegli obok, nie zaszczycili go nawet spojrzeniem. Niebieska furgonetka skręciła tuż przed nim w przecznicę i zniknęła. I to było wszystko. Anonimowy, nie zauważony dotarł do domu. Samochód stał tam, gdzie go zostawił. Auta Diany nie było na podjeździe, zatem Tim jeszcze nie wrócił. Znalazłszy się w środku, przygotował sobie natychmiast kąpiel, potem zaś, owinięty w

ręcznik, zadzwonił do Anny, do Kirkcudbright. Była w domu i odniósł wrażenie, że czekała na telefon.

- Halo.
 - Jak to dobrze usłyszeć twój głos – powiedziała.
 - I twój. Jak się czujesz?
 - Dobrze. – Roześmiała się. – To okropne. Słyszę cię tak, jakbyś był tuż obok, tymczasem jesteś daleko.
 - Lepszy rydz niż nic.
 - Pewnie. – Niemal zobaczył jej uśmiech. – Nie mogę w to po prostu uwierzyć. Jestem już na to za stara. Powinnam chyba mieć jakieś wątpliwości...
 - Wiem, wątpliwości przez duże W. Jak ten pastor u Trollope'a?
 - Otóż to – zachichotała.
 - Posłuchaj – głos miał teraz poważny – wydarzyło się wiele rzeczy.
 - Jakoś to przeczuwałam, spodziewałam się, że tak będzie.
 - No cóż, Diana rzeczywiście popełniła samobójstwo.
 - Davidzie, to takie straszne. Jak się to stało?... Albo nie, lepiej nie mów.
 - Czemu nie? Jestem już całkiem spokojny. Utopiła się. Rzuciła się do morza.
 - Mój Boże.
 - Mhm. Ale sprawa jest bardziej skomplikowana. Jest coś, co muszę ci powiedzieć. Kiedyś i tak opowiedziałbym ci o tym, ale powinnaś się dowiedzieć teraz. A może i nie muszę ci nic mówić, bo kiedyś rozmawialiśmy o tym z Axelem. Czy mówił ci o tym, co zdarzyło mi się w Ameryce... w miejscowości, która nazywa się China Lake?
- Zawahala się, a David pomyślał, że być może walczy z poczuciem lojalności wobec Axela, który, oczywiście, przyrzekł zachować pełną dyskrecję.
- Mówił coś – odrzekła wreszcie – czy też raczej robił jakieś aluzje, wspominał o jakiejś twojej tajemnicy, nie pamiętam jednak szczegółów. To jakaś sprawa polityczna, tak?
 - Nie – rzucił David, ale natychmiast się zreflektował. – To znaczy, istotnie, to rzeczywiście była sprawa polityczna, chociaż wtedy nie wyda-

wała mi się taką. Teraz wraca, połączona jeszcze z czymś, zupełnie jednak nie wiem, co to może być.

I opowiedział jej po prostu całą historię. Kariera w Cambridge. Domek w Aberporth. China Lake. O wszystkim, co nastąpiło potem i co rozgrywało się teraz: o Tannisie, liście Diany, o Clint of Dromore. Pominął jedynie swój osobliwy chrzest, nie chcąc jej niepokoić. Kiedy skończył, milczenie Anny przedłużało się tak długo, że wreszcie zapytał z niepokojem:

– Słyszysz mnie?

– Tak, ale nie wiem, co powiedzieć. Nigdy nie rozumiałam takich spraw, nigdy się nimi nie interesowałam. To straszne. Nie potrafię uwierzyć, że coś takiego może się w ogóle zdarzyć. Przecież oni zniszczyli ci życie za coś, czego w ogóle nie zrobiłeś.

– Wiesz, to przytrafiło się nie tylko mnie, myślałem nad tym. Poza tym nie zniszczyli mi życia, lub raczej niszczyli je tak długo, jak długo na to pozwalałem. Ale ostatecznie moje życie nie zostało wcale zrujnowane i teraz wiem, że już nigdy nie pozwolę nikomu niszczyć je znowu.

– Co chcesz zrobić?

– Nie wiem dokładnie, ale w każdym razie chcę odnaleźć Tannisa.

– A czy on cię nie szuka?

– Może. Zdaje się jednak, że coś mu stanęło na drodze. Przyjechał tutaj, żeby zobaczyć się z Dianą, i zachowywał się całkiem otwarcie: oświadczył, że chce się ze mną zobaczyć i ostrzec mnie. Tymczasem kiedy odnalazł mnie tam, wśród skał, nie tylko nic mi nie powiedział, ale nawet się nie pokazał. Uratował mnie, ale nie powiedział nawet jednego słowa, a ja nie rozumiem dlaczego.

– Może z powodu Diany.

– Nie wiem. W każdym razie chcę go odszukać. Może ciągle jest jeszcze gdzieś w Szkocji.

– Mogę sprawdzić, jeśli chcesz. Zatrzymałby się pewnie w Dumfries albo w Gatehouse of Fleet. Mogę podzwonić po wszystkich pubach i hotelach.

– Dobrze.

– A co mam zrobić, jeśli okaże się, że jest? On może...

– Nie chcę żebyś robiła cokolwiek. Po prostu odłóż słuchawkę. Nie

chę, by wiedział – by ktokolwiek wiedział, jeśli jeszcze na to nie wpadli – że coś nas łączy. Musisz być ostrożna. Jeśli Tannis mówił Dianie prawdę, wszystko zaczyna się od początku... Ci Niemcy mordujący jeden drugiego, Vogel i Buhler... Jedna osoba już zginęła. I jest jeszcze coś, nad czym nigdy dotąd nie zastanawiałem się poważnie. Ktoś wtedy zastawił na mnie pułapkę, co znaczy, że wówczas... komuś się upiekło. Teraz mogą być bardzo przestraszeni.

– Nie podoba mi się to, Davidzie.

– Ale oni nie...

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. To nie ja jestem w niebezpieczeństwie, lecz ty.

– Masz rację i nic na to nie mogę poradzić. Taki jest układ. Posłuchaj, zrób to, co ci powiem. Sprawdź Tannisa, a potem wyjedź. Zabierz Dereka i jedź tam, gdzie będziecie bezpieczni. Gdzie moglibyście pojechać?

– Do Edynburga, mam tam przyjaciół. Może do Londynu.

– Gdzieś dalej.

– Moglibyśmy wyjechać do babki Dereka, matki Axela. Mieszka w Kopenhadze.

– Świetnie. Tak właśnie zrób. Sprawdź Tannisa, a potem zadzwoń do mojego biura, nie tutaj. Zaraz podam ci numer...

– Mam go.

– Albo odbierze panna Simpson, albo automatyczna sekretarka. Wtedy po prostu zostaw wiadomość.

– Dobrze. Ale co będzie z tobą? To wszystko mi się nie podoba. Boję się. Czuję się niczym dziewczynka z westernu, która wyłamuje sobie zaciśnięte kurczowo palce, patrząc, jak bohater walczy ze złączyńcą.

– Mam nadzieję, że obejdzie się bez takich scen.

– Ale może do nich dojść, prawda?

– Nie wiem. Zresztą to nie ma znaczenia. Muszę odszukać Tannisa.

Ta sprawa nie może nade mną ciążyć do końca życia. Nad nami.

– Davidzie... boję się. – Usłyszał jej przyspieszony oddech. – Tak bardzo cię kocham.

– Ja także cię kocham. Ale proszę, nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Pamiętaj, że mam pewną przewagę. Nikt się nie spodziewa, że

zaczę działać. Sądzą, że wszystko będzie tak jak poprzednim razem, że nie będę się chciał do niczego mieszać. Nikt nie będzie mnie obserwował, gdyż oczekują po mnie zupełnie innego zachowania.

Porozmawiali jeszcze przez chwilę, zanotował adres kopenhaski, a potem się rozłączyli. Jeszcze przez chwilę siedział nieruchomo przy telefonie – potrzebował trochę czasu, by oswoić się z tym rozstaniem – po czym odwiesił słuchawkę.

Tannis. Gdzie on teraz mógł być? Jak go znaleźć?

Mógł być w Szkocji, ale równie dobrze mógł się znajdować gdzieś tutaj. Niemal na pewno zatrzymał się w Aberporth; zaprosił Dianę do hotelu „Penrallt”. Może ciągle tam jeszcze mieszka albo przynajmniej zostawił wiadomość, gdzie przekazywać pocztę dla niego. David odczekał pół godziny, licząc się z tym, że Tim będzie się może usiłował dodzwonić, a potem rozpoczął poszukiwania. Chciał przyjąć tę samą strategię, jaką zalecił Annie, ale zaczął od „Penrallt” i po raz pierwszy uśmiechnęło się do niego szczęście. Ściśle biorąc, dzwonił tam dwukrotnie. Za pierwszym razem recepcjonistka odpowiedziała mu, że nie mieszka u nich żaden Tannis, w sposób tak nieuprzejmy, że kiedy po obdzwonieniu kilkunastu innych miejsc zatelefonował do „Penrallt” raz jeszcze, zapytał po prostu:

- Czy mógłbym rozmawiać z Jackiem Tannisem?
- Przepraszam pana, ale nie ma u nas nikogo o tym nazwisku i jeśli się nie mylę, już to panu mówiłam, podobnie jak wczoraj jakiemuś innemu panu.

David zawahał się przez chwilę.

- Nie rozumiem... jakiemu innemu panu?
- Nie udzielamy informacji o naszych gościach... Do widzenia. Na linii zapadła cisza. Dopiero po dłuższej chwili David zdał sobie sprawę z dwuznaczności, jaka się kryła w słowach recepcjonistki. Tannis nie był gościem, inaczej bowiem David, po tym, jak poprosił bezpośrednio o rozmowę z nim, zostałby połączony. Zakaz udzielania informacji o gościach był niewątpliwie ogólną, starannie wpojona pracownikom zasadą postępowania. Ale dziewczyna mogła mieć na myśli także co innego: że ów „inny pan”, który również pytał o Tannisa, mieszkał w hotelu.

W każdym razie należało zbadać tę możliwość. Ale mijały minuty, a

David nadal siedział w tym samym miejscu, trzymając słuchawkę w dłoni. Jak właściwie powinien postąpić? Czy należało zrobić ten mały, wstępny krok? Był już inną osobą, ale jeśli za moment wykona ruch do przodu, pogłębi zarazem swą przemianę. Uśmiechnął się do siebie. Jakie to wszystko absurdatne; czuł się jak buntownik, gotowy wznieść do góry rewolucyjny sztandar. Ciągłe się jednak nie ruszał. Tim. Ciekawe, gdzie się podziewa? Poszedł na górę i zajął do pokoju syna, jakby tam mógł znaleźć odpowiedź na swe pytanie. Stare podręczniki opierały się o siebie na zakurzonych półkach, na stoliku stał usypiony budzik, który utracił gdzieś jedną wskazówkę. Na ścianie wisiały plakaty z Harold i Maud i z jakiegoś filmu Fassbindera – domyślił się, że to Tim powiesił je tu osobiście, ale zrobił to pewnie kilka lat temu. Uczył się rzeczywiście; na biurku leżał otwarty zeszyt i książka do statystyki. Obok nich przewodnik po Indiach, co dowodziło, jak bardzo jego prawdziwe ja i jego marzenia dalekie były od suchych liczb. Pokój robił wrażenie tymczasowego lokum, luźno tylko związanego z resztą domu. Czy spędzał tu istotnie wiele czasu? Co naprawdę czuł, w głębi serca? Patrząc wokół David zastanawiał się, czy przez wszystkie te lata naprawdę oceniał relacje między synem a matką, czy nie było między nimi nieporozumień, których on nigdy się nie domyślał. Podejrzliwość? W każdym razie należało uznać za bardzo interesujący fakt, że Tima trapiło to samo pytanie, które nasunęło się Davidowi: dlaczego Diana pozostała w Aberporth? Mieszkając tutaj, obserwował ją z bliska; czy wyczuwał jakąś tajemnicę? Cóż, także i David nie wiedział, co ma o tym myśleć. Nie mógł już dłużej czekać. Musiał znaleźć odpowiedź, niezależnie od tego, co działo się z Timem. Nie był zresztą pewien, czy nie stało się lepiej, że chłopak wybrał się na przejażdżkę. Znalazł się z dala od ogniska zagrożenia, które stanowił teraz David. Istniała jednakże owa więź, o której utrzymanie tak długo i tak zaciekle walczył. Pożyczył zatem od syna koszulę, sweter i parę suchych spodni. Tymczasem zrobiło się już po piątej i trzeba było zdecydować, czy wykona to posunięcie, czy też nie. Tak, wykona. Naciągnął pelerynę – wyszła już prawie zupełnie – wsiadł do samochodu i ruszył w stronę hotelu „Penrallt” oraz „innego pana”, który znał Jacka Tannisa.

Rozdział 12

Nazwa, jak zwykle, opisywała miejsce.

Pen to szczyt, *rallt* – porośnięte lasem wzgórze lub urwisko nadbrzeżne. I tak właśnie było. Jadąc wysoko nad morzem i blisko bazy – przebył już kiedyś tę drogę setki razy – David skręcił w długą alejkę, która najpierw, wijąc się, biegła przez pustkowia, a potem opadała łagodnie ku trawnikom i gajom dębowym. Hotel, jak wiele budynków w tej okolicy, zbudowany był w stylu mgliście tudoriańskim – mnóstwo szczytów na dachach, kominów, odeskowali – trudno byłoby jednak ustalić kiedy; prawdopodobnie w epoce wiktoriańskiej, ale możliwe, że dopiero pod koniec lat dwudziestych, gdyż w sposób oczywisty stanowił imitację. Niezależnie od tego, co zdaniem architekta miał przypominać jego twór – domek myśliwski, ranczo, rezydencję – sprawiał przede wszystkim wrażenie kopii. Wszelkie niedostatki kompensował jednak widok zalesionych grzbietów i parowów spływających ku płaskim, zielonym polom, które podchodziły pod samą wioskę.

Zatrzymawszy się na parkingu, którego nowy asfalt połyskiwał po deszczu, David siedział przez chwilę w samochodzie, chcąc spokojnie przemyśleć dalsze posunięcia. Jak miał się zabrać do rzeczy? Wiedział, że w istocie najpoważniejszym problemem jest on sam: czy naprawdę będzie zdolny do działania? Przypomniał sobie pierwsze godziny po aresztowaniu, kiedy nie chciał nawet uwierzyć w to, iż ktokolwiek mógłby go uznać

za szpiega. To po prostu pomyłka, już za chwilę sami się zorientują. To nie był on. Właśnie: on nie był tamtym. Teraz czuł coś podobnego, choć sytuacja jakby uległa odwróceniu. Miał dziwne poczucie własnej nierzezywistości – czy to naprawdę był on? – kiedy oto przystępował do przekształcenia świata za szybą samochodu, podjazdu przed hotelem, starannie utrzymanych trawników i majaczących na horyzoncie wzgórz, czarnobiałych w gasnącym świetle dnia. Przypomnił sobie, jak pierwszej nocy zamknęli go w pokoju w China Lake, jak klucz zazgrzytał w zamku, budząc w jego pamięci obraz Burta Lancastera czy Mickeya Rooneya, kogoś z wściekłością szarpiącego kraty w filmowym więzieniu, to musiał być film, nie mogło być inaczej. Uchwycił się kurczowo tej myśli, ale nie sposób było się ludzić. Nie znajdował się na widowni, lecz na ekranie: to on był bohaterem. Choć i to nie do końca pokrywało się z prawdą, sprawa przedstawiała się jeszcze gorzej. Ponieważ wszystko działo się w rzeczywistości, nie grał żadnej roli, z której mógłby zrezygnować: był tylko sobą, to było autentyczne, jego własna sytuacja. I wtedy dopiero poczuł prawdziwe przerażenie, które odżyło teraz, choć właśnie z niejako odwróconymi znakami, ponieważ teraz na nim spoczęła odpowiedzialność. Za przekształcenie tego zwyczajnego parkingu w... za spowodowanie... Nie, nie wiedział dokładnie, co zrobi, wiedział natomiast, że teraz nie pozwoli już, by zabawili się jego kosztem. Wysiadając, przesunął spojrzeniem po stojących na parkingu samochodach i pomyślał: *Kim's Game*. To stąd wziął się pewnie pseudonim Philby'ego – nigdy przedtem nie przyszło mu to do głowy – a w chwilę później zabłysła myśl: czyż nie jest naukowcem? Czyż nie wykształciło to w nim zmysłu obserwacyjnego (pamiętał zawsze numery rejestracyjne). Przyjrzał się uważnie wozom – było ich pięć. Dwa nie budziły żadnych podejrzeń, toyota i mocno pokiereszowany polo, dwa następne, z oznaczeniami Ministerstwa Obrony, przyjechały tu najprawdopodobniej z bazy. Wydawało się to czymś zupełnie naturalnym – do hotelu było z bazy tak niedaleko, że z powodzeniem służył pracownikom jako najbliższa knajpa, ich gościom zaś jako najbliższe lokum. Potem jednak rzucił okiem na niebieskiego forda escorta, wynajętego u Godfreya Davisa i zobaczył na tylnym siedzeniu atlas samochodowy zachodniej i środkowej Szkocji. Leżał sobie spokojnie nie dalej niż na odległość ręki,

zdumiewająco rzeczywisty. Na jego widok David doznał czegoś w rodzaju szoku. Zupełnie jakby to sobie wymyślił. Jednakże nie było to złudzenie i jeśli wykluczyć przypadek, musiało to oznaczać... Właśnie, co to mogło oznaczać? Tannis z pewnością był w Szkocji, nie zatrzymał się jednak w hotelu, a przynajmniej nie pod swoim nazwiskiem. Ale czemu miałby użyć fałszywego? Pozostawała więc tylko jedna możliwość: facet, który przeciął jego linę. Wahał się jednak jeszcze. Nie oczekiwał, że szczęście może się uśmiechnąć do niego tak szybko, toteż teraz, kiedy ten moment nastąpił, nie bardzo wiedział, co ma robić.

Z pewnością jednak nie zamierzał przegapić takiej okazji. Ruszył w kierunku hotelu. Nie miał żadnego planu, kiedy jednak znalazł się w środku, zobaczył, że w recepcji, wciśniętej w kąt holu, nie ma nikogo. Przez zamknięte drzwi dobiegały odgłosy z baru, a gdzieś na końcu korytarza cicho zawodził i pomrukiwał odkurzacz, ale w zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Zawahał się. Ciągle nikogo. Spojrzał w lewo i prawo. Wszędzie boazeria na drzwiach pokojów, w środku zapewne też. Czulo się tu coś ze smutnej atmosfery prywatnego domu wykorzystywanego z konieczności do celów komercyjnych. Pogłębiające to wrażenie przytłumione, dyskretne światło ułatwiało Davidowi wydobyć spod kontuaru książki rejestracyjnej, w której bieżącą stronicę zaznaczono zakładką. Ręce mu drżały, kiedy otwierał podłużny zeszyt. Przebiegł pospiesznie wzrokiem... nie znalazł Tannisa, choć na tej stronicy wpisani byli wszyscy goście przybyli w ostatnim tygodniu. Dziś nie zjawił się nikt, tylko jedna osoba wczoraj: dr Keller z Los Angeles. Pokój 22.

Keller.

Zamknął książkę i odłożył ją na miejsce, a potem oparł się o kontuar.

Nie miał całkowitej pewności. Oczywiście, Tannis mógł podać jako swoje nazwisko Keller, ale David nie pojmował, dlaczego miałby tak zrobić. To raczej cudzoziemiec. Niemiec, ale nie do końca niemiecki. Z pewnością nie brzmi to tak jak Vogel albo Buhler. Ale Los Angeles, tak, to by się zgadzało. To tam Vogel zabił Buhlera, czy Buhler Vogla. Któryś któregoś. A Tannis i Kalifornia łączyli się w umyśle Davida nierozzerwalnie.

Właśnie w tym momencie zza rogu korytarza wyszła młoda dziewczyna.

– Dobry wieczór. Przepraszam, nie wiedziałam, że pan czeka. –
Uśmiechnęła się promiennie i zaraz pojawiła się po drugiej stronie pulpitu.
– Mam nadzieję, że nie czekał pan długo? Powinniśmy mieć tu dzwonek i
kiedyś naprawdę mieliśmy...

– Och nie, wszystko jest w porządku. W tej chwili przyjechałem.

– Nie spodziewałam się nikogo, wydaje mi się, że nie było na dzisiaj
żadnych zgłoszeń. Czy ma pan rezerwację?

Uznawszy, że najprostszym rozwiązaniem będzie nie przeczyć założeń,
które wydawało się dla niej oczywiste, David skinął głową.

– Mam nadzieję. Miał mi ją załatwić pan Tannis. Nazywam się
Harper.

Zapaliła lampkę, przejrzała dokładnie kilka stron książki, potem
sprawdziła jakieś papiery leżące pod blatem kontuaru. Nazwisko Tannisa
nie zrobiło na niej żadnego wrażenia. Po chwili mruknęła z pewnym zdziwieniem:

– Hm, ciekawe, naprawdę nie wiem, co się mogło stać. Wygląda na
to, że nie mamy...

– Powinien zadzwonić pod koniec zeszłego tygodnia.

– Nie, nic nie ma, ale to żaden problem. Mamy mnóstwo pokoi. –
Obrzuciła go promiennym spojrzeniem. – Kłopot tylko w tym, że nie są
jeszcze przygotowane. Hotel jest oczywiście czynny przez cały rok, przede
wszystkim ze względu na sąsiedztwo bazy, ale zawsze gotowych mamy
tylko kilka pokoi. Przygotowanie jakiegoś nowego potrwa około pół go-
dziny. Nie wiem, czy to panu odpowiada...

– Tak, oczywiście.

– To świetnie. Bar jest tam. Restauracja jest także otwarta.

Podał jej kartę kredytową.

– Tannis miał przyjechać z jeszcze jednym Amerykaninem. Nazywa
się Keller.

– Tak, jest naszym gościem.

– Wspaniale. Kamień spadł mi z serca. Więc i Jack zaraz się zjawi.

– To pańscy znajomi?

– Powiedzmy, koledzy. Przynajmniej Tannis. Nigdy jeszcze nie spo-
tkaliśmy się z Kellerem.

– Jest chyba w barze. Starszy pan, opalony, ubrany po sportowemu. – Wyszła zza kontuaru recepcyjnego. – Czy będzie pan także u nas jadt? Musiałabym uprzedzić Wilmę.

– Tak... Chyba tak będzie wygodniej...

Ale ona już prowadziła go w kierunku baru. Przez chwilę czuł się oszołomiony własnym zuchwalstwem, lecz szybko otrząsnął się z tego wrażenia. Idąc wciąż za recepcjonistką, dotarł do niewielkiego, kwadratowego baru. Światło było tu zbyt jaskrawe jak na jego gust, ale dzięki temu bez trudu odnalazł Kellera. Dziewczyna opisała go prawidłowo: wysoki, opalony mężczyzna. Siedział samotnie, przed nim stała szklaneczka whisky i karafka z wodą. Kiedy David wszedł, tamten obrzucił go długim, uważnym spojrzeniem, a potem odwrócił wzrok. Ale przyglądał mu się odrobinę za długo i nagle David doznał niesamowitego wrażenia, poczuł z całą pewnością, że to ten właśnie człowiek usiłował go zabić. Nieprawdopodobne. Chciał go zabić, a teraz siedział sobie spokojnie o parę kroków od niego. Później David zdał sobie sprawę z faktu, że niezwykle okoliczności tego spotkania okazały się błogosławieństwem, dzięki nim bowiem niczym nie zdradził, że wie, kim jest Keller. W tym pierwszym momencie, gdy patrzyli na siebie wzajemnie, w jego gestach, a nawet odczuciach nie było niczego, co mogłoby świadczyć o tym. Keller nie wiedział, że David wie. I niemal natychmiast wszystko stało się banalnie normalne, a David odzyskał spokój przynajmniej na tyle, by móc zacząć logicznie myśleć. Nie miał już żadnych wątpliwości: gdyby to nie ten człowiek usiłował go zgładzić w skałach, niedoszłym zabójcą musiałby być Tannis, co oczywiście absolutnie nie wchodziło w grę. W tweedowej marynarce i koszuli rozpiętej pod szyją, Keller wyglądał jeszcze młodo, był już jednak niewątpliwie starszym mężczyzną. Starszym z pewnością od Tannisa. Poza tym zbyt szczupły i miał zupełnie inną twarz. Tannis, jak pamiętał, był potężnie zbudowanym facetem i miał oblicze odpowiednie do swej postury: szerokie i mięsiste. Keller, chociaż także wysoki, był chudy, a twarz miał wąską i kościstą. Głębokie wcięcie pod ustami podkreślało ostry zarys brody, policzki miał zapadnięte. Kiedy odwrócił głowę, zamawiając następnego drinka, David dostrzegł wklęśnięcie u podstawy czaszki, zupełnie jakby olbrzym sięgnął do kołyski i silnymi, twardymi palcami ugniótł

miękką główkę dziecka. Dawało to dość dziwny efekt – ta głowa była niewątpliwie odkształcona i brzydka, nie miała jednak w sobie nic odpychającego; David z trudnością oderwał od niej wzrok, wiedząc, że nawet w tej sytuacji Keller będzie czujnie go obserwował. Przede wszystkim chodziło jednak o to, że na pewno nie był to Tannis. Nie był to także Vogel. David wyjął z kieszonki znaną fotografię Diany i oparł ją o podstawkę kieliszka sherry. Żadnego podobieństwa. Mężczyzna trzymający za uzdę Diabła był niski, ciemny i krępy; choć czas mógłby dokonać wielu zmian, niemożliwością było, by Vogel mógł przekształcić się w Kellera. A jednak coś tutaj pasowało do całej układanki. Niedoszły zabójca miał ciemnobrązową skórę, co Davidowi zawsze kojarzyło się z pustynią. Keller, Vogel, Tannis: cokolwiek ich łączyło, pochodzili z tego samego świata. Ale gdzie było tam miejsce dla niego?

Dopiero podczas kolacji zaczęła się wylaniać odpowiedź.

Wcześniej jednak rozlokował się w pokoju. Był długi i wąski, niewygodny. Francuskie okna wychodziły na mały balkon, z którego widać było podjazd i wóz Kellera. Obserwował go aż do ósmej, potem znowu szedł do baru. Keller ciągle tam był, tym razem trzymał w ręku kartę potraw. David także kazał ją sobie podać. Poproszono ich obu, niemal jednocześnie, do jadalni. Przez moment David myślał, że zostaną posadzeni razem, gdyż jeśli nie liczyć jakiejś starszej pary, byli jedynymi gośćmi na sali. Ostatecznie jednak ulokowano ich w przeciwnych rogach dużego pomieszczenia o ciemnych ścianach. Mroczna – światła były przyćmione – jadalnia z rzędami pustych stolików przypominała pusty kościół lub jedno z tych seminariów, w których, jak czytuje się ostatnio, mieszka obecnie tylko trzech czy czterech studentów, albo – najlepsze porównanie – jedną z tych luksusowych szkół, w których uczył, zanim wyrzucono go za pijaństwo.

Zdecydował się na rybę, okazała się zresztą bardzo smaczna. Keller wybrał to samo danie. Kiedy obaj zmagali się z ośmi, można było pomyśleć, że przedrzeźniają jeden drugiego. Uwagi Davida nie umknął jednak fakt, iż Keller jadł po europejsku, a nie po amerykańsku, to znaczy ani na chwilę nie odkładał widelca. David nie wiedział, co prawda, jakie znaczenie ma ów fakt, ale o dziwo, w miarę rozwoju tej sceny coraz mniej rozu-

miał znaczenie czegokolwiek. Noże pobrzękiwały o talerze, oparcia krzesel skrzypiały cicho. Było w tym wszystkim coś wręcz makabrycznego: tamten próbował go zabić, ale życie toczyło się dalej. Czy on, David, przypadkiem nie zwariował? A może Keller był szalony? Tak, za moment Keller podniesie się, chwyci nóż do smarowania i rzuci się na niego, próbując go zabić.

Ale ta dziwna chwila szybko minęła. Wszystko było dość niezwykle, lecz David uświadomił sobie, jak niewiele może w tej sytuacji zrobić: mógł tylko obserwować Kellera i starać się nie wzbudzić w nim żadnych podejrzeń, nic więcej. Nie mógł więc nagle podnieść się i wyjść. Jeżeli cokolwiek potrafił wyczytać z przelotnych spojrzeń, jakimi Keller obrzucał go od czasu do czasu, tamten nie odczuwał wobec niego żadnych obaw. Kiedy po raz pierwszy zobaczył go w barze, musiał pomyśleć, iż ma przed sobą zjawę, teraz jednak sprawiał wrażenie całkiem rozluźnionego, wręcz zadowolonego z siebie, jakby wszystko układało się po jego myśli. Rozsmarowując pleśniowy serek na krakersie, David próbował dociec, skąd brało się tak dobre samopoczucie tamtego. Diana zginęła w niecodziennych okolicznościach. Gdyby i on zabił się w Szkocji, aż tak szczególny zbieg okoliczności musiałby zwrócić czyjąś uwagę. Zapłonęłyby ostrzegawcze lampki – gdzie ani co mogłyby one znaczyć, tego David nie wiedział. Zgadywał jednak, iż Keller odetchnął z ulgą, że nie zapłonęły. Wynikały stąd dwa wnioski: (a) Keller nie zabił Diany; (b) będąc w Szkocji nie wiedział nic o jej śmierci. A może nazbyt ufał własnej logice? Nadal przecież nie potrafił znaleźć odpowiedzi na pytanie, co Keller robi w Aberporth. Mógł na przykład jechać za nim, licząc, że trafi się kolejna okazja do zabójstwa. Nie, to było zupełnie nieprawdopodobne. To on odnalazł Kellera, a nie odwrotnie, i siedząc tu, w barze, Keller był przekonany, że David nie żyje. Jedyńm łącznikiem pozostawała Diana. Jeśli zaś Keller jej nie zabił, co mogli mieć ze sobą wspólnego? Próbując znaleźć odpowiedź na to pytanie, przeszedł do saloniku, gdzie podano im kawę.

Pokoik, równie ciemny jak jadalnia, zdominowany był przez wielki wygasły kominek, wokoło stały fotele i sofya, zadziwiająco nowoczesne. Starsza para usiadła w kąciaku i nie wypadało narzucać im się ze swoim

towarzystwem. Z drugiej strony jednak, o czym nie pomyślał wcześniej, równie niezręcznie byłoby nie przysiąc się do Kellera i nie zamienić z nim choćby kilku słów. Ostatecznie to tamten zrobił pierwszy krok. Kiedy kelnerka postawiła już przed nimi filiżanki, przechylił się w kierunku Davida i powiedział:

– Całkiem smaczne, prawda?

– Tak.

– Smaczniejsze niż dawniej, jeśli pamięć mnie nie myli.

– Naprawdę? Nigdy przedtem tu nie byłem.

– Ja także nie, to znaczy w tym hotelu. Myślę, że jeszcze nie istniał w czasach, kiedy tu bywałem. Wtedy w ogóle nie było się gdzie zatrzymać w Aberporth.

– Nigdy nie miałem takich problemów, bo po prostu mieszkałem tutaj.

– Więc pewnie pracował pan w bazie? Może nawet spotkaliśmy się kiedyś? Miałem tu wielu znajomych... Nazywam się Keller. Thomas Keller. – Uśmiechnął się. – Choć, sam nie wiem czemu, znajomi mówią na mnie zwykle Maxy.

Mężczyzna pochylił się do przodu; David w żaden sposób nie mógł uniknąć prezentacji. Miał już na końcu języka fałszywe nazwisko, na szczęście w ostatniej dosłownie chwili zdał sobie sprawę, jak fatalny błąd by popełnił, podając je Kellerowi; tamten zrozumiałby natychmiast, że David go zna i wie, co próbował zrobić. Wziął się więc w garść, pociągnął łyk kawy, a potem uśmiechnął się szeroko.

– David Harper. Nie wydaje mi się jednak...

– Ach, z całą pewnością bywałem tutaj, zanim pan zaczął pracować, a zresztą wcale nie byłem tu zatrudniony. Przyjeżdżałem z innymi Amerykanami. Byłem wtedy jeszcze u Hughesa.

– Czy nadal mieszka pan w Kalifornii?

– Och, nie. Jestem na emeryturze od wielu lat. Teraz mieszkam w Meksyku. Piękne miejsce, osada zwana San Miguel d'Allende. Pełno tam artystów, w rezultacie nawet sam zacząłem malować. Ale ma pan rację, kocham ciepło i słońce. Bardzo mi się podobało w Kalifornii, dziś jednak jestem na emeryturze, a słońce meksykańskie jest odrobinę tańsze.

- Rozumiem. Ale wydaje się, że pędzi pan przyjemne życie.
- Tak, z pewnością. Sporo podróżuję. Nigdy o tym nie myślałem, lecz dziś się okazuje, że dzięki mojej pracy mam przyjaciół na całym świecie.
- Włącznie z Walią.
- Włącznie z Walią. Ale jestem tutaj po raz pierwszy od wielu, lat. I wiele nici już się pozrywało.
- Tak, na pewno.
- A pan, panie Harper, co pana sprowadziło tu z powrotem?
- Żona. Czy, mówiąc ściślej, była żona. Mieszkała tutaj po tym, jak nasze małżeństwo się rozpadło, i przed kilkoma dniami zmarła.
- Przepraszam.
- Tak, trudno mi się z tym oswoić.
- Powiada pan przed kilkoma dniami...
- W zeszłym tygodniu.
- Naprawdę przepraszam. Byłem chyba... niedyskretny...
- Ależ nie, skąd... W każdym razie jest pan w lepszej sytuacji niż ja. Ja nie mam tutaj żadnych przyjaciół. Nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak dawno to było... Mówi pan, że kiedyś pracował pan dla Hughesa?
- Tak. Radio. Telewizja.
- Ach, tak. Ja zajmowałem się – choć, rozumie pan, nie mam z tym do czynienia już od wieków – fizyką. Promieniowaniem podczerwonym.
- Opracowywał więc pan eksperymenty, o których wynikach informowała ziemię moja aparatura.
- Istotnie.
- Ale teraz zajmuje się pan czymś innym?
- Tak, kręcę filmy dokumentalne. Przyrodnicze.
- To fascynujące. Ja, jak wspomniałem, trochę maluję. Pozwoli pan, że zapytam, co ceni pan wyżej, sztukę czy naukę?
- No cóż, niewiele mam w sobie z artysty.
- Może jest pan zbyt skromny. Albo nie całkiem szczerzy. W filmach dokumentalnych, tak mi się przynajmniej wydaje, ręka twórcy powinna pozostawać starannie ukryta?
- Hm, ma pan chyba rację.

– Ale to, oczywiście, dotyczy nie tylko filmów dokumentalnych. W sztuce to co największe jest zarazem najprostsze. Albo spójrzmy właśnie na przyrodę. W San Miguel maluję często kwiaty, ptaki. Jeśli uznać je za twory, dzieła sztuki, to cóż, największym artystą jest Bóg.

– Z pewnością.

– Jakże jednak często to ich prawdziwe piękno jest w ogóle nie dostrzegane. Ciągłe rozprawiamy o pięknie przyrody, ale w istocie wcale go nie odczuwamy. Staje się dla nas najwyżej czymś w rodzaju taniego obrazka wiszącego na ścianie. Jesteśmy ślepi na nie. Któż jeszcze potrafi zatrzymać się na chwilę, by podziwiać urodę pomarańczy?

– Nie możemy w pełni go docenić. W naturze jest zbyt wiele piękna, przytłoczyłoby nas. Myślę, że tu kryje się jedna z przyczyn, dla których z takim zapalem niszczymy przyrodę.

– Nie dorośliśmy do niej?

– Można to i tak ująć.

– Zatem w pewnym sensie człowiek nie jest godzien przyrody. To interesujący punkt widzenia. Człowiek nie jest w stanie docenić Bożej sztuki, zbyt wiele wymaga ona od niego. I dlatego kierujemy się ku nauce, ta żąda od nas mniej. Ona pozwala nam pozostać o wiele mniejszymi. Co pan o tym myśli?

– Nie wiem, co odpowiedzieć. Chyba powstrzymam się od sądu, panie doktorze.

– Tak... No cóż, dziś jeszcze może pan sobie na to pozwolić, ale nie można tego odkładać bez końca. Myślę, że w którymś momencie każdy z nas musi dokonać wyboru: sztuka lub nauka, zgadza się pan ze mną?

– Mógłbym chyba powiedzieć, że dawniej ceniłem bardziej tę drugą, ale w miarę jak płyną lata, bliższa staje mi się ta pierwsza.

– Tak samo było ze mną. Być może znaczy to tylko tyle, że obaj się starzejemy. No cóż, bardzo miło było mi poznać pana...

– Pan już odchodzi?

– Muszę. Wyjeżdżam jutro rano.

– No to zobaczymy się może jeszcze podczas śniadania.

– Niestety, nie. Muszę wyjechać naprawdę bardzo wcześnie.

– Cóż robić. Dobranoc. Mnie też było bardzo miło...

– Do widzenia... – W tym momencie Keller zawahał się nagle, a potem odwrócił. – Tak sobie pomyślałem... może znał pan jednego z moich przyjaciół, o nazwisku Stern? Pracowaliśmy kiedyś razem. Przypomina pan sobie kogoś takiego?

David pokręcił głową.

– Nazwisko obilo mi się chyba o uszy. Ale nie jestem pewien.

Keller uśmiechnął się.

– Nagle mi się przypomniał. Po przejściu na emeryturę także zamieszkał w Meksyku, ale straciliśmy kontakt.

I pomachawszy dłonią (której nie podał Davidowi ani przedtem, ani teraz) oddalił się.

David odetchnął głęboko. Czuł, jak serce łomocze mu w piersi. Bał się wykonać jakikolwiek ruch, bo oto dosłownie przed chwilą, w ostatnim momencie omal nie popsuł wszystkiego. Był tak dumny z tego, że nie ukrył prawdziwego nazwiska, że tak starannie dawkował szczerość, iż pod sam koniec prawie dał się złapać w pułapkę. Ale patrząc na Sterna, który stał właśnie w recepcji, najpewniej regulując rachunek, pomyślał z ulgą, że tamten chyba jednak niczego nie dostrzegł. Albowiem „Keller” naprawdę nazywał się Stern i David zdał sobie z tego sprawę natychmiast, kiedy tylko usłyszał to nazwisko. Znał go, choć niezbyt dobrze. Stern był facetem od telemetrii, ekspertem od przyrządów, które przekazywały na ziemię wyniki eksperymentów. Nie był wcale przyjacielem Kellera, był samym Kellerem. Tak, bez wątpienia, to właśnie on. To dziwne, ale David nie mógł sobie przypomnieć jego ówczesnej twarzy – minęło tyle lat – nazwisko jednak rozpoznał od razu, choć Stern jakoś nie dostrzegł tego błysku przypomnienia w jego oczach. Był zbyt pewny siebie. Zadał pytanie w nieodpowiednim momencie i nic nie zauważył, sam się tylko odsłonił. A wiele było do zobaczenia. Dla Davida bowiem uświadomienie sobie, kim naprawdę jest Keller, było odkryciem, którego znaczenie wykraçało daleko poza ów moment. To, że tamten okłamał go, spokojnie patrząc mu prosto w oczy, powiedziało Davidowi zdumiewająco wiele. Teraz nie mógł się już dłużej ludzić, nie było odwrotu, najgorsze okazało się prawdą. Stern czy też Keller – to było już jego sprawą, które nazwisko uważał za bardziej odpowiednie dla siebie – usiłował go zabić tam, w

skalach. A teraz bawił się z nim w kotka i myszkę. Ale tym razem on nie da już zrobić z siebie głupca. Tę noc poświęcił czuwaniu – siedząc w rogu okna w swoim pokoju, otulony kocem, nie spuszczał wzroku z parkingu, nieruchomy, cierpliwy; spędził już kiedyś wiele podobnych godzin, czekając aż lis czy borsuk znajdą się w zasięgu kamery. Bronił się przed zaśnięciem za pomocą sztuczek, których wyuczył się już dawno temu, i szóstym zmysłem odbierał każdy najdrobniejszy nawet ruch. Aż wreszcie, o trzeciej nad ranem, Stern się pojawił.

Tymczasem powietrze bardzo się ochłodziło. Chmury zniknęły, widać było wyraźnie gwiazdy i księżyc. Pomiędzy dwoma wysokimi drzewami, niby między ramami obrazu, majaczyły w oddali pagórki i wąwozy zbiegające w kierunku wioski, gdzie płonęło kilka pojedynczych, drżących w mroku światełek. Samochód Sterna stał ciągle na parkingu i David właśnie uniósł się, by spojrzeć w jego stronę, natychmiast jednak skulił się i opadł, zanim bowiem dojrzał Sterna, usłyszał już jego kroki na schodach przed wejściem. W następnej chwili tamten stał już przy wozie, nachylony nad otwartym bagażnikiem. Z pewnością on. Ta sama sylwetka i ta charakterystyczna, zdeformowana głowa.

David wstrzymał oddech.

Stern zamknął z cichym trzaskiem klapę bagażnika.

Na moment David stracił go z oczu. W następnej chwili tamten pojawił się po stronie kierowcy, w środku zapaliła się lampka, ale kiedy David podniósł się, zbierając fałdy koca... zamarł zaskoczony. Stern wcale bowiem nie wszedł do samochodu, lecz głęboko pochylony szukał czegoś wewnątrz wozu i właśnie zaczął się prostować. Zatrzasnął drzwi, przekreślił kluczyk i odszedł. Zniknął z pola widzenia.

David słyszał jednak jego kroki i naraz zdał sobie sprawę, że nie zbliżają się, lecz przeciwnie, oddalają w kierunku drogi dojazdowej. Zerwał się gwałtownie. Tego w ogóle nie przewidział. Zakładał, że Stern wyjedzie wcześniej, powiedzmy o szóstej czy siódmej, ale to, co tamten teraz zrobił, zaskoczyło go całkowicie. Co Stern zamierzał uczynić? W hotelu panowała cisza. W recepcji nie było nikogo. David cichutko uchylił drzwi i wysłisnął się na zewnątrz. Przez chwilę wsłuchiwał się w ciszę. Żadnego dźwięku. Tak czy inaczej Stern mógł pójść tylko jedną drogą, która pro-

wadziła do szosy. David przykucnął – stara sztuczka. Na tle horyzontu dostrzegł poruszającą się sylwetkę Sterna.

Ruszył jego śladem.

Nie było to trudne, tamten nie miał po prostu innej drogi. Po kilku minutach David zbliżył się doń na tyle, że mógł go widzieć. Doszli do końca alejki hotelowej. Skręcili w lewo, w przeciwną stronę niż wioska, i ruszyli grzbietem wzgórza, *alitu*. David szybko jednak uświadomił sobie, że kiedy wejdą na stok i znajdzie się wyżej niż Stern, stanie się dlań widoczny, natychmiast więc zszedł na bok, w cień żywopłotów. Teraz czuł się już pewniej. Gdy znaleźli się w dole, Stern znowu skręcił w lewo. Teraz także otwierała się tylko jedna droga. Poszli bardzo ciemną ścieżką, wysadzaną wysokimi drzewami po obu stronach. Dotarwszy do jej końca, raz jeszcze skręcili. Wszystkie domy pogrążone były w ciemnościach. Dwa kolejne zakręty. I jeszcze dwa. Wyglądało na to, że Stern dobrze zna drogę, ale David pogubił się, choć się domyślał, że znajdują się teraz gdzieś w pobliżu płyty lotniska. Czego jednak Stern tutaj szukał? Ciemno, choć oko wykol, pomiędzy drzewami nie widać było nawet gwiazd. Stern szedł szybko, nie zatrzymując się ani nie oglądając. Wcale nie chodziło mu o lotnisko. Nagle otwarło się przed nimi odkryte pole posrebrzone rosą, David dostrzegł ciemne kształty uspionych owiec. Stern bez namysłu sforsował płot, David musiał zrobić to samo. Po drugiej stronie pola widać było ciemną linię drzew i gdyby znalazł się zbyt daleko od Sterna, mógł go raz na zawsze stracić z oczu. Musiał więc przez cały czas iść za tym, doskonale widocznym dzięki rosie tropem, zupełnie jakby bawili się obaj w jakąś grę – kiedy zaś ciało Sterna uniosło się ponad dźwięczące druty, David natychmiast przyklęknął. Stern zniknął. David podbiegł do płotu, szybko pokonał przeszkodę. I nagle wiedział już, gdzie jest. Po prawej stronie teren gwałtownie opadał, droga wijąc się zbiegała ku strumieniowi, połyskującemu srebrzyście w bladym świetle. Za nim, na przeciwległym zboczu, widać było malutki, pogrążony w mroku domek. Po lewej stronie natomiast droga biegła płasko, między dwoma szpalerami drzew, których korzenie przecinały się na jej powierzchni, korony zaś zbiegały wysoko ponad nią, tworząc rodzaj tunelu. Tędy poszedł Stern. Droga zaś kończyła się nie dalej niż sto jardów od domu Diany.

Było to jedyne miejsce, dokąd Stern mógł zdążyć, i David natychmiast poczuł lęk. Pomyślał, oczywiście, o Timie. Czy już wrócił? Zdołał tam jednak dotrzeć przed Sternem; przeciąwszy na ukos długi ogród sąsiadów, dostał się na tyły ogrodu Diany, między lilie, w których znajdował schronienie Tim, będąc dzieckiem. Stąd mógł dojrzeć podjazd. Samochodu Diany nie było, co najprawdopodobniej oznaczało, że chłopak wciąż jeszcze nie wrócił. Niewidoczny dla nikogo obserwował dom, mroczny kształt odcinający się od czarnej wstęgi drzew po drugiej stronie drogi, odrobinę jaśniejsze okna w kuchni. Po jakichś pięciu minutach coś się poruszyło. Stern zbliżył się do tylnych drzwi. Nie przyszło mu nawet do głowy, że drzwi frontowe mogą być otwarte, choć w istocie tak właśnie było, ponieważ David zamknął je tylko na klamkę, licząc na powrót Tima. Ale nie stracił chyba przez to zbyt wiele czasu, David ocenił, że po dwóch minutach najpóźniej dostał się do środka. Trzecia trzydzieści pięć. Przez następną godzinę, aż do za piętnaście czwarta, David czekał, ukryty w liliach; ... *zawsze było niezwykle ciemno i ilekroć się tam znalazłem, zawsze czułem lęk. Wiedziałem, że coś się kiedyś wydarzyło, rozumiesz? Że kiedy byłem dzieckiem, stało się coś złego, a ja nie wiedziałem co. Ona nigdy o tym ze mną nie rozmawiała, a ja nigdy o to nie pytałem. Lecz ty oczywiście wiedziałeś, to rozumiało się samo przez się. I spodziewam się, że i tym razem wiesz. Dlaczego? Dlaczego to zrobiła?* Tak, teraz być może wiedział, nie musiał głowić się nad tym, co robił Stern, bo to było oczywiste: szukał. Przyjechał do Aberporth z powodu Diany i teraz szukał... listów, pamiętnika, zdjęć, które właśnie David miał przy sobie. Jeśli tak, to spóźnił się. Ciekawe, na którym zależało mu najbardziej? Chodziło o zdjęcie kobiety z grzywką blond nad oczami, czy o zapadniętą chatkę na pustyni, o Vogla z Marianną i koniem Diabło... czy może o jakieś inne jeszcze zdjęcie, które przepadło w falach? Potem jednak przyszło Davidowi do głowy, że być może Stern nie szuka niczego konkretnego, a chce tylko sprawdzić, czy w domu Diany nie ma niczego, co by go obciążało. Obciążało? W jaki sposób? I dlaczego Diana miałaby posiadać coś takiego? Miał tylko jedną odpowiedź na to pytanie, zupełnie oczywistą. Co tylko mogło rzeczywiście łączyć Sterna i Dianę? *Dlaczego nie opuściła Aberporth?* Kiedy Stern się wynurzył, David ciągle jeszcze nie potrafił znaleźć

innej odpowiedzi. Z nieba spływała wilgotna, srebrzysta poświata, zmieniając cały świat w czarno-biały negatyw. Stern poruszał się jak duch; David patrzył, jak tamten znika w mgłę wiszącej nad drogą. Na moment zawahał się. Wiedział, że łatwo może stracić jego trop, ale coś ciągnęło go do domu. Pobiegł, kuśtykając trochę na zdrętwiałych nogach ku tylnym drzwiom, które Stern pokonał tak gładko, iż z trudem dałoby się odgadnąć, że ktokolwiek się tędy włamywał. Chciał chyba uzyskać jakiś dowód na to, że jego podejrzenia były niesłuszne. Ale to było przecież niemożliwe. Bez względu na to, co udało się znaleźć Sternowi, David dobrze wiedział, co on sam znalazł. Jak mógł nie przyjmować do wiadomości prawdy o tym, co robiła Diana? Czuł wokół siebie ten dom, jego chłód, martwość, opuszczenie. Szedł już w kierunku wyjścia, kiedy na stoliku w holu zobaczył kopertę. Umieszczony na niej napis był prawie nieczytelny, ale musiało to chyba być słowo: „Ojciec”. Koperta zawierała karteczkę od Tima, który jednak jak widać wrócił, zobaczył, że Davida nie ma, i znów pojechał. „Wróć za kilka dni. Teraz mam egzaminy. Nie mówiłem Ci tego, ale gdyby Cię to interesowało, to policjant z Cardigan nazywa się Wilson. Dostaniesz pewnie wezwanie, ale chyba dopiero za jakiś czas”. David schował list do kieszeni i uznał go za znak potwierdzający, że ma wolną drogę. Tim... Diana... ostatnie wypadki: wszystko rysowało się niezwykle wyraźnie. Powrotny bieg do hotelu przypominał trochę spadanie w morze. Z pewnością był teraz innym człowiekiem i mógł przeżyć to wszystko raz jeszcze. Nic nie potrafiłoby go powstrzymać. Sterna już nie było, ale gdzie mógł pojechać? Jeśli tylko nie wyruszył w głąb Dzikiej Walii, musiał udać się w kierunku Cardiff i Londynu. Dwadzieścia minut później, w szarym świetle świtu dogonił małego escorta, jadącego drogą A478.

Rozdział 13

David odnalazł samochód Sterna o wpół do szóstej, zgubił go gdzieś na północ od Bristolu, kilka minut po ósmej. Po czym odnalazł go ponownie w Londynie o pierwszej po południu.

Taka kolejność wydarzeń podyktowana została przez los, który najpierw podroczył się z Davidem, a później do niego uśmiechnął.

Początkowo śledzenie Sterna stanowiło zupełnie łatwe zadanie; szosa była niemal zupełnie pusta. Jednakże w Abergavenny ruch się wyraźnie zwiększył, a na autostradzie M14, prowadzącej przez Seven Bridge, zrobiło się bardzo tłoczno. David jeździł dobrze i szybko, ale Stern nie był wcale gorszym kierowcą. Utrzymanie się w bliskiej odległości od jego wozu z każdą chwilą stawało się coraz trudniejsze. Przez jakieś sześć czy siedem mil Davidjechał zablokowany za dwiema ciężarówkami, a kiedy wreszcie udało mu się je wyminąć, Sterna nie było już widać. I chociaż David pognął teraz najszybciej jak mógł, nigdzie nie natknął się już na swego niedoszłego zabójcę. Nie poddał się jednak i pędził uparcie przed siebie. M14 prowadziła do Londynu i tam najprawdopodobniej pojechał Stern. Ale gdzie w Londynie należało go szukać? Miał tylko jedną wskazówkę i w Reading skorzystał z niej. Skręcił w stronę miasta, kupił elegancką dyplomatkę, a w dwadzieścia minut później była już opatrzona złotym monogramem TS. Udał się teraz do miejscowego biura Godfreya Davisa i opowiedział historię, która jego zdaniem wyglądała na prawdo-

podobną. Spotkali się ze Sternem w Walii, razem zjedli śniadanie, niestety, rozstając się, zamienili niechcący teczkę, co właśnie przed chwilą spostrzegł. Czy mógłby otrzymać informację, jak skontaktować się ze Sternem? Nie, takiej informacji mu nie podadzą, pomogą mu się jednak skontaktować z centralą w Londynie. Po dziesięciu minutach biurokratycznych przepychanek dotarł do faceta o nazwisku Fortsmann.

– Powiada pan, że pański znajomy nazywa się Thomas Stern, tak, panie Harper?

– Tak. Mówił, że przyjechał z Los Angeles. Wie pan, podczas śniadania jakoś się zgadło, że ja wypożyczyłem auto u Bakera, a wtedy on powiedział, że skorzystał z waszych usług.

– Tak, mamy odnotowaną osobę o tym nazwisku.

– Czy mógłby mi pan podać jego adres?

– Hm, raczej nie, rozumie pan, z zasady nie podajemy informacji o naszych klientach. Proponowałbym, by teczkę pana Sterna zostawił pan w naszym oddziale w Reading, a my już dopilnujemy, by dotarła do właściciela.

– Ale mnie to nie urzęda. Jestem pewien, że on ma moją, musi ją mieć, a tam są bardzo dla mnie ważne dokumenty.

– No cóż... Przypuszczam, że pan Stern zwróci panu teczkę, gdy tylko zauważy pomyłkę... Chyba nie uda się zrobić nic więcej...

– Ale to może potrwać kilka dni czy nawet tygodni.

Doszedł go cichy stukot klawiatury komputera.

– Według moich danych, pana znajomy wypożyczył wóz na Heathrow i tam powinien go jutro zwrócić. Oczywiście, może przedłużyć ten termin. Skoro jednak, jak pan powiada, pochodzi z Los Angeles, to najprawdopodobniej wraca do Ameryki. Jeśli zatem nie zwróci pańskiej teczki do nas, wtedy może pan...

Heathrow.

Nie było to jakieś wstrząsające odkrycie. Zastanawiając się nad tą sprawą David doszedł do wniosku, że w którymś momencie Stern musi skierować się na Heathrow. I miał niemal pewność, że nastąpi to właśnie dzisiaj, a nie nazajutrz; pewność tę zawdzięczał po części intuicji, a po części dedukcji. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w

przekonaniu, że poczynania Sterna odznaczały się celowością i konsekwencją. Rewizja w domu, wczesny wyjazd, szybka jazda: wszystko było zaplanowane.

David powrócił do samochodu i ruszył ostro do przodu. Teraz jemu dopisało szczęście; może tym razem to Stern ugrzązł w jakimś korku, może zatrzymał się gdzieś, by się posilić. Cokolwiek było tego przyczyną, Davidowi udało się dotrzeć na lotnisko przed Sternem – tamten przyjechał dopiero po dwudziestu minutach. Szczęście nadal przy tym nie opuszczało Davida, gdyż zgubiwszy się w gąszczu przejść i korytarzy, wylądował ostatecznie przy odprawie lotów europejskich – pasażerowie lecący do Los Angeles kierowali się do terminalu 4. I właśnie wtedy zobaczył Sterna. Nie mogło być żadnych wątpliwości; szczupła sylwetka i ta charakterystyczna, dziwaczna czaszka. Wcale nie leciał do Los Angeles. Nabył bilet i stanął do odprawy lotu British Airways do Frankfurtu i Berlina. David odczekał rozsądną chwilę, po czym kupił dla siebie bilet na ten sam rejs. Czterdzieści minut później był w powietrzu.

Podróż minęła bez wydarzeń, z łatwością uniknął spotkania ze Sternem w holu, przed odlotem, a potem, choć pasażerowie wchodzili na pokład grupami i obaj znaleźli się w tej samej, pierwszej grupie, tamten również nie miał szans go zauważyć, bo kiedy zajmował miejsce, daleko w tyle, David już siedział skulony za oparciem fotela. Stern – tak się przynajmniej wydawało Davidowi – przez cały czas ani razu nie ruszył się ze swego miejsca. Davida niepokoiło tylko jedno, Stern mógł wysiąść we Frankfurcie i gdyby wszystkim pozwolono tam opuścić samolot, musiałby podążyć za nim do terminalu. Problem na szczęście w ogóle nie powstał; pasażerów lecących do Berlina poproszono o pozostanie na pokładzie i w kwadrans później samolot, znalazłszy się znów w powietrzu, rozpoczął serię nagłych skrętów i ewolucji, które, jak się zdaje, zawsze były cechą charakterystyczną lotów w Zachodnim Korytarzu Powietrznym. David wyglądał przez okno; lecąc do Berlina ma się czasem niecodzienną okazję pooglądania innego samolotu w powietrzu – kiedyś udało mu się zobaczyć w oddali najprawdziwszego MiG-a. Dziś jednak widać było tylko ciężkie chmury i wszystko ograniczało się do nudnej rutyny. Przynajmniej dla

niego. Latał do Niemiec wiele razy, w samym Berlinie był już kilkakrotnie, nie wiedział natomiast, czy Stern zna to miasto. Kiedy znaleźli się na Tegel, wydawało się, iż nie wie, dokąd się skierować, i chociaż David starał się trzymać za jego plecami, ostatecznie wylądował w taksówce przed nim. Zrobiło się maleńkie zamieszanie, ponieważ jednak była to kwatera główna wszystkich central wywiadowczych świata, kilka słów rzuconych kierowcy załatwiło całą sprawę. Dyskretnie włączyli się w potok samochodów i jadąc śladem Sterna, zajechali przed standardowy, nowoczesny, wielopiętrowy hotel „Excelsior” przy Hardenbergstrasse. Kiedy Stern wypełniał kartę hotelową, Davida dzieliło od niego niecałe dwadzieścia stóp.

Cały ten ciąg wypadków – z jednej strony zupełnie zwyczajnych, codziennych (nudny lot, bez filmów, wino typowe o banalnym smaku), z drugiej – tak dziwnych (do kierowcy powiedział *Folgen Sie dieses Taxi!*), sprawił go, o dziwo, w nastrój, jaki mu teraz był potrzebny. Poczul coś w rodzaju ulgi, odprężenia. Nie mógł obecnie niczego zrobić, był zawieszony w czasie i przestrzeni. I znowu spoglądał na wydarzenia z jakiegoś nieokreślonego, ale odległego punktu obserwacyjnego, co pozwalało mu widzieć siebie jako cząstkę historii, która nie mogła być do końca rzeczywista. Gdzieś w tym wszystkim tkwił błąd. Stern był oczywiście zwyczajnym emerytem. David sam wszystko wymyślił. Zaraz się obudzi, to wszystko jest tylko snem. Tak... Stern prowadził go do Tannisa lub Buhlera czy Vogla; albo gdzie indziej, ale jednocześnie on sam powracał w swoją dziwną przeszłość. Kiedy wystartowali z Frankfurtu, wiedząc, że lecą do Berlina, zaczął przypominać sobie wszystkie szpiegowskie filmy z lat sześćdziesiątych, z których wiele było komediami, jak *Our Man Flint* czy *Blaise* – filmy, które odbierał w specyficzny sposób i kiedy inni widzowie zaśmiewali się do rozpuku, on czuł znowu przesycony tytoniem oddech oficera wywiadu z RAF. Podczas lotu wciąż w jego pamięci odżywały tamte obrazy: Carnaby Street, James Bond, The Beatles, Philby, *Powiększenie*, tak, Jane Birkin, mała szczelina między zębami. Wszystkie te lata przeżył w odurzeniu alkoholowym, wódka stanowiła dlań sposób na utrzymanie się w stanie szaleństwa czy też na przetrwanie przy zdrowych zmysłach, tego nie był do końca pewien. Bez względu jednak na to, jak

bardzo szalony był ten szalony, szalony, przeraźliwie szalony świat, nie był niestety dostatecznie zwariowany. Nic nie łączyło świata, w którym żyli inni ludzie – mimo całej jego dziwaczności – z tym, co przydarzyło się jemu. Musiał o tym zapomnieć, jeśli chciał wierzyć w to, co pozostali, i żyć ich życiem, ale nigdy nie zapomniał do końca. Teraz stawało się to jego atutem; zwyczajna rzeczywistość była równie zabawna jak owo „Proszę jechać za tamtą taksówką” i mógł potraktować sprawę Sterna całkiem poważnie, nawet wtedy gdy wydawało mu się, że jest chyba tylko jego wymysłem. *Jest chyba, chociaż, o dziwo.* To były wyrażenia i słowa, które poznał dobrze: zastrzeżenia, wątpliwości, warunki, angażowanie się nie do końca, co pozwalało zawsze się jeszcze wycofać, przynajmniej w myśli, choćby zarazem wiedział, że nie ma to żadnego znaczenia, gdyż nie istniał żaden wybór, było się częścią wydarzeń, czy się tego chciało, czy też nie. Powtarzał sobie ciągle: „Nie daj się stłamsić”, to pomogło mu kiedyś uwolnić się od pijaństwa. Do tego samego chwytu uciekł się teraz, jadąc za Sternem. Był śmiertelnie poważny, ale zupełnie tego nie okazywał, nawet wobec samego siebie, tylko gdzieś w jakichś zakamarkach mózgu rejestrował konkretne fakty. Wszedł do hotelowego baru, o nazwie „Rum Corner”, zamówił ulubionego drinka, podwójną brandy, pociągnął solidny łyk i odwrócił się tyłem do lustra. Gdzieś jednak, w jego umyśle, odbywał się proces kojarzenia. Haczyk zaczepiał o haczyk, teraźniejszość wiązała się z przeszłością. Berlin. Lata sześćdziesiąte. Stern. Sidewinder. I chociaż jego mózg pracował przede wszystkim nad problemem, jak nie stracić z oczu Sterna (w istocie trudna sprawa, gdyż w hotelu nie było tradycyjnego holu, gdzie można by się ukryć za płachtą gazety), gdzieś w tle przewijały się wspomnienia snu, który przeżył w Aberporth, elementy podstawowej wiedzy o podczewieni i myśli o tym, w jaki sposób łączyła się ona z tym krajem. Ale czy istniał jakiś związek między tym wszystkim? Buhler: według Tannisa tak nazywał się Niemiec zabity przez Vogla, właściciela Diabła i ojca Marianny. Ale Stern w żaden sposób nie mógł być człowiekiem z fotografii. Z drugiej jednak strony mógł być Buhlerem. Jedyna informacja, że Buhler nie żył, pochodziła od Tannisa, który, być może, chcąc przstraszyć Dianę, zmyślił to morderstwo. Nie wiedział, co o tym myśleć, ale miał pewność co do jednego: to, co przydarzyło mu się w

China Lake, prowadziło ostatecznie do tego dziwnego, bardzo szczególniego miasta. Nie zdziwił się przeto specjalnie, kiedy następnego ranka, w słoneczną i wietrzną niedzielę, Stern, odziany w wiatrówkę i płócienną czapkę, powiódł go nie tylko przez Berlin, ale również i w przeszłość.

Oczywiście Berlin był miastem dosyć anachronicznym, a niedziela jeszcze potęgowała to wrażenie. Zawsze wyczuwało się tu swoiste niezdecydowanie, jakieś zakłócenie rytmu, paradoks starej europejskiej stolicy, przypominającej zarazem do złudzenia jedno z bardzo podrzędnych miast Teksasu lub Kalifornii. Po szerokich alejach nie jeździły jednak amerykańskie auta, a nowoczesna stalowo-szklana architektura wydawała się jakoś dziwnie staromodna. Ameryka była tu ciągle królową i przy stolikach kawiarnianych ludzie szarpali się na wietrze z płachtami *International Herald Tribune*. Tutaj niezmiennie trwał dzień wczorajszy, Berlin pozostał miastem teatrzyków rewiowych, Johnnie Walkera, pieprzonych dowcipów, gorących przekąsek i tam. Davidowi udzielił się ten nastrój, w niedzielne przedpołudnie cóż było bardziej naturalne niż wędrówka czyimś śladem po Ku'damm? Kiedy czekał na Sterna przed hotelem, wtopił się po prostu w tłum. Inwigilacja. Sabotaż. Intryga. Berlin wydawał się wręcz do tego stworzony ze swoimi szerokimi chodnikami i słupami ogłoszeniowymi, za którymi tak łatwo można się było ukryć. Stern zresztą, jak się wydawało, zupełnie nie brał pod uwagę ewentualności, że ktoś mógłby go śledzić; szedł przed siebie zdecydowanym krokiem i ani razu się nie obejrzał. Nie obejrzał się ani razu od Aberporth, uprzytomnił sobie nagle David. Ciekawe, czy ci ludzie siedzący w kawiarenkach domyślają się, co się dzieje? – pomyślał. Co chwila bowiem ktoś spoglądał na niego znad gazety, osłaniając dłonią popielniczkę przed podmuchami wiatru, oczy na krótką chwilę wpijały się w niego, po czym powracały do śmietanki wirującej na szczycie filiżanki z kawą. Cokolwiek jednak dojrzeliby na chodniku, karła, anioła, lamę, szpiega, zawsze byłoby to coś, co widzieli już wielokrotnie. Jeśli chodzi o Sterna, nadal nie miał pewności, czy tamten znał dobrze miasto, czy też był tutaj po raz pierwszy. Szedł szybko, wyraźnie zmierzając do określonego celu, nie spoglądając w ogóle na plan, ale nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jego niedoszły zabójca podąża dobrze zapamiętaną trasą i że jest to dłuższa, ale za to najprostsza droga. Przez

Ku'damm do Potsdamerstrasse, potem wzdłuż kanału (główne ulice i doskonale widoczne znaki orientacyjne). Szedł prawym brzegiem, a potem pierwszym mostem przeprowił się przez kanał, na Potsdamerplatz. Dopiero jednak kiedy znaleźli się na Anhalter Strasse i David najpierw poczuł bliskość muru, a następnie go zobaczył, zorientował się, że idą w kierunku Checkpoint Charlie, co zresztą nie powinno było go zdziwić. Jeśli sam Berlin był anachronizmem, to Checkpoint Charlie stanowiło bramę do przeszłości – przeszłość miasta zaczynała już pożerać mity, a ten był jednym z najpotężniejszych, kiedy jednak David znalazł się teraz na wprost tego miejsca, wydało mu się ono mniej rzeczywiste niż na zdjęciach w starych rocznikach gazet. Stały tu kioski z pamiątkami, muzeum, autobusy turystyczne. Była nawet wieża, z której bojaźliwe osoby mogły bezpiecznie rzucić okiem na komunizm. Przejście Checkpoint Charlie przypominało eksponat z gabinetu figur woskowych Madame Tussaud albo miasteczko filmowe. Davidowi trudno było się oprzeć wrażeniu, że strażnik graniczny, który tak uparcie patrzył mu w twarz, porównując ją ze zdjęciem w paszporcie, zgodnie z jakimiś bezzwzględnymi przepisami, jest jednym z tych aktorów, których widziało się setki razy, ale których nazwisko za każdym razem ulatuje z pamięci, a jego przełożony, obciążający właśnie starannie mundur, to prawdopodobnie Curt Jurgens, angielski szpieg zaś, ten facet dwie osoby przed Davidem, to z pewnością Dirk Bogarde. Po opłaceniu wizy i wykupieniu obowiązkowych dwudziestu pięciu marek przekroczył linię dzielącą świat w technicolorze od starego, zużytego czarno-białego filmu wyprodukowanego przez od dawna nie istniejącą wytwórnię, której nazwę i znak firmowy trudno było sobie nawet przypomnieć. Aura pogłębiała jeszcze to wrażenie nierzeczywistości – jaskrawe słońce, wiatr, postrzępione chmury sunące szybko po błękitnym niebie – szare, ciemne budynki wydawały się dekoracjami teatralnymi albo ilustracjami do jakiegoś tekstu historycznego. Zupełnie jakby nawet sama natura zapomniała o tym świecie. Stern zresztą także nie zwracał uwagi na to, co go otaczało, i zważo szedł przed siebie. David sunął jego śladem, kryjąc się bez trudu w tłumie przechodniów podążających na Unter den Linden i do wielkich muzeów. Stern jednakże nie poszedł tędy, zignorowawszy taksówki na Leipzigerstrasse, skręcił w prawo, w mniej zatłoczoną ulicę.

W tym momencie David skorygował przyjęte uprzednio założenie: Stern chyba dobrze znał tę drogę. Ponad Sprewą przedostali się na wyspę. David zgadywał, że Marx Engels Platz znajduje się gdzieś po prawej stronie; między budynkami dostrzegł gmach ratusza, ze sztandarem powiewającym na wietrze. Znowu rzeka, przejście podziemne. W lewo. W prawo. David wkrótce zupełnie się pogubił. Obejrzawszy się, zobaczył w dali sylwetkę samolotu spływającego po błękitnym niebie w stronę Tempelhof, po tamtej stronie muru, w innym świecie. Ten drugi świat natomiast zamknął się teraz wokół niego jak zły sen. Wielkie sklepy wyglądały jak parkingi samochodowe, budynki mieszkalne jak fabryki, fabryki jak więzienia. Nawet dźwięki należały do innej epoki. Zadzwoił łańcuch przy kłapie ciężarówki. Dziecięce buty zatupotały po metalowych schodach. Pod kratą kanałową chłupotała woda. David starał się zapamiętać jakieś znaki orientacyjne – co będzie, jeśli przyjdzie mu wracać samemu? – ale na próżno. Mijali chyba jakąś stację kolejową, wydało mu się bowiem, iż za linią bloków wyczuwa pustą przestrzeń. Zauważył pocztę, jakiś niewielki park. A potem znaleźli się w dzielnicy ciemnych, betonowych, pozbawionych wyrazu domów mieszkalnych i Stern nagle zniknął. Stało się to tak szybko, że przez krótki czas David szedł jeszcze wciąż tym samym spieszonym krokiem, jakby zahipnotyzowany jego rytmem, ale zaraz zorientował się, że nie widzi już Sterna przed sobą, i niemal natychmiast uświadomił sobie, co się stało. Zobaczył schody, przypominające zejście do metra, które prowadziły do znajdującego się w dole wejścia do sporego, dość długiego budynku. Był to kościół, czego nie zauważył wcześniej, gdyż ulica była wąska, a główne wejście znajdowało się po przeciwnej stronie gmachu. Kiedy jednak cofnął się odrobinę, zobaczył krępą wieżyczkę i wysokie kościelne okna. Na moment zastygł w bezruchu. Pomyślał, że Stern pewnie się z kimś tutaj umówił, i w tej samej chwili zobaczył go ponownie: szedł po schodach z rowerem, który trzymał wysoko tak, by koła nie zawadzały o stopnie, a kiedy znalazł się na poziomie ulicy, postawił go ostrożnie na jezdni, rozejrzał się wokoło, przerzucił nogę przez ramę, zakolebał się lekko i – odjechał. Tym razem zniknął na dobre, skręciwszy przy najbliższym skrzyżowaniu ulic w lewo.

Oznaczało to właściwie koniec całej historii, choć wszystko stało się

tak szybko, że dopiero po chwili David zdał sobie z tego sprawę. Prawie na pewno Stern mu się wymknął. W przeciwieństwie do autostrady M14, berlińska uliczka nie prowadziła jednoznacznie do jakiegoś miejsca, ku któremu mógł zmierzać Stern, David nie dysponował też tym razem żadną wskazówką, nie było żadnej agencji Godfreya Davisa, która mogłaby mu pomóc. Stracił też sporo czasu, bowiem źle rozumiał to, co się stało. Z jakichś przyczyn uznał, że Stern umieścił tu rower wcześniej lub umówił się z kimś, zapewnił sobie, że pojazd będzie tu na niego czekał, i usiłował daremnie pojąć, dlaczego tamten tak postąpił. Wszystko to było zbyt skomplikowane i dopiero kiedy podszedł do schodów i spojrzął w dół, zrozumiał, że prawda była znacznie prostsza. Stern po prostu ukradł rower. Budynek był z całą pewnością kościołem, schody prowadziły do bocznych drzwi. Koło nich znajdował się stelaż na rowery. Stało ich tam ze dwadzieścia albo trzydzieści, większość była spięta łańcuchami, ale niektóre pozostawiono bez żadnego zabezpieczenia. Stern zszedł w dół i zwyczajnie wziął sobie jeden z nich. David nie miał innego wyjścia: powinien zrobić to samo. Jednakże zwlekał z decyzją: trudno mu było zmusić się do tego; zdawało mu się, że w podobnej kradzieży jest coś szczególnie obrzydliwego. Zanim wytaszczył w końcu jakiś rower na górę, minęło kilka minut. W panice pognał teraz szybko do rogu, ale przecznica, w którą skręcił Stern, była pusta. Podjechał nią do następnego skrzyżowania, ale i tu nic nie zobaczył. Popędził dalej do kolejnego i tu, kiedy rozejrzawszy się na wszystkie strony znowu nie dostrzegł nikogo, poczuł nagłą chęć, żeby zawrócić, po to tylko, by zrobić cokolwiek. Zaklął pod nosem. Teraz był już pewien, że zgubił trop, którego trzymał się od Aberporth. Mimo wszystko jednak jechał nadal przed siebie. I znowu szczęście mu dopisało. Przy kolejnym skrzyżowaniu, spojrzawszy w prawo, zobaczył Sterna, który o dwie przecznice dalej czekał pod czerwonym światłem. David skręcił, pedałując z całej siły, światło zmieniło się na zielone... i przez następne pięć godzin nie stracił już Sterna z oczu.

Miał dużo czasu na rozmyślenia – przejechał dwadzieścia pięć, trzydzieści żmudnych mil – nie udało mu się jednak rozszyfrować zagadki, dlatego Stern wybrał właśnie taki środek komunikacji. O ileż prościej byłoby posłużyć się samochodem, zresztą NRD słynęło ze znakomitych

połączeń autobusowych i kolejowych. Co więcej, kradzież roweru wiązała się z pewnym ryzykiem, niewielkim wprawdzie, ale jednak ryzykiem. Z drugiej strony, dzięki temu zachował anonimowość. Wypożyczenie samochodu oznaczało formularze, kolej oznaczała kupowanie i okazywanie biletu, rower natomiast nie zwracał niczyjej uwagi. Wydawał się taki niewinny. Słońce na niebie, wietrzyk, przy którym dobrze puszcza się latawce, a tu staruszek na rowerze. Nikt nie przypuściłby, jak skomplikowana podróż poprzedziła tę przejażdżkę. Każdy był przekonany, że starszy pan skręci zaraz w najbliższą przecznicę, może w następną. Wkrótce byli już poza miastem i pozbawiony mapy David stracił zupełnie orientację. Ale o to właśnie chodziło, pomyślał. Nikt nie wiedział teraz, gdzie Stern przebywa, nikt później nie będzie w stanie odtworzyć jego trasy. Kiedy znajdzie się znów po zachodniej stronie Muru, jedynym śladem jego wyprawy będzie stempel w paszporcie, który można wywabić w ciągu kilku minut. Wszystko to jednak było tylko spekulacją i w gruncie rzeczy David w ogóle nie wiedział, do czego zmierza Stern.

Z każdą milą coraz mocniej bolały go uda, a oddech stawał się coraz krótszy. Kilkakrotnie zbliżył się do Sterna na odległość, z której mógł się przyjrzeć rowerowi tamtego; Stern wybrał sobie całkiem niezłą maszynę; z pewnością nie wyścigową, wyposażoną jednak w przerzutkę. Jego rower natomiast, ciężki i powolny, nabierał szybkości tylko podczas zjazdów ze stromych wzgórz, na które David musiał się najpierw wspinać, półżywy ze zmęczenia. Najgorsze było to, iż nie miał zupełnie pojęcia, jak długo jeszcze wypadnie mu pedałować. Nie wiedział, jaką część drogi pozostawili już za sobą, nie wiedział, kiedy może spodziewać się choćby chwili odpoczynku; po prostu jechał, jechał, jechał... Stern zatrzymał się tylko raz, co też okazało się zresztą torturą. Byli już wtedy daleko od miasta (David wiedział jedynie, iż zmierzają na południe i że przejechali pod autostradą), na jakiejś bocznej, wąskiej drodze, przez pewien czas biegnącej równoległe do autostrady. Na skrzyżowaniu z szosą dochodzącą do autostrady przedsiębiorczy enerdowniec ustawił wózek z kielbaskami, które oferował przejeżdżającym kierowcom. Stern, oczywiście, zatrzymał się, a David siedząc w rowie, dwadzieścia jardów dalej, mógł tylko z daleka przyglądać się łakomie jego posiłkowi. Kiedy wreszcie ruszyli, on zdążył kupić

jedynie butelkę jakiegoś napoju, który stanowił obrzydliwą mieszankę lemoniady i coli. Była pierwsza trzydzieści.

Choć o tym jeszcze nie wiedział, miał przed sobą już tylko godzinę jazdy. Jednakże w którymś momencie otrzymał wreszcie pewien sygnał, iż podróż zbliża się ku końcowi. Jechali przez płaską równinę, zwężającą się powoli w płytką kotlinę, po której zboczach pola spływały ku drodze, niczym ku strumieniowi. Spojrzawszy przed siebie, David zobaczył, że w miejscu, gdzie kotlina zakręcała łagodnie, do jej stoków z obu stron przywarło kilka domków i wielkich drzew. Miejsce mogło się podobać, choć ta osada – trudno ją było nawet nazwać wsią – nie różniła się niczym szczególnym od dziesiątków innych, które minęli. Ale właśnie tutaj Stern zwolnił. Ściśle mówiąc, zwolnił tak bardzo, że David musiał się zatrzymać. Wprawdzie nadal wolno pedałowal, David jednak pozostał w miejscu, gdzie przystanął, wyczuł bowiem szóstym zmysłem, że dotarli do celu, że owa długa droga, która rozpoczęła się aż w Aberporth, prowadziła właśnie tutaj, ku tym wzgórzom skąpanym w słońcu.

Instykt go nie zawiódł. Stern przejechał jeszcze kilkaset jardów, a potem skręcił w jakąś ścieżynkę wiodącą przez od dawna już leżące odłogiem pole. Zniknął na moment między drzewami, ale zaraz pojawił się znowu, tym razem bez roweru. Davida nie było już widać na drodze, bo ukrył się wraz ze swym pojazdem w kępie drzew; jak się okazało, ostrożność bardzo się przydała, ponieważ tym razem Stern popatrzył za siebie. Jak dotąd, od czasu do czasu, spoglądał tylko przez ramię, David był jednak zawsze na tyle daleko, że nie mógł zostać dostrzeżony. Uznał, iż na rowerze tamten nie będzie mógł mu znieśc uciec, zmniejszał więc dystans między nimi tylko wtedy, kiedy zbliżali się do jakichś zabudowań lub miejsc, w których krzyżowały się drogi. Teraz jednak Stern popatrzył w jego stronę, osłaniając dłonią oczy od słońca. David nawet nie drgnął i nawet wtedy, gdy Stern odwrócił się już i ruszył w kierunku wioski, nadal tkwił nieruchomo pod drzewami. Puścił się biegiem dopiero wówczas, kiedy tamten zniknął mu z oczu za zakrętem, czuwając jednak, by przez cały czas trzy sosny rosnące przy ścieżce zasłaniały go przed Sternem, którego sylwetka pojawiła się znowu w oddali. Kiedy zadyszany dopadł wreszcie do drzew, przekonał się, że dalej nie ma już żadnej osłony. Ni-

gdzie jednak nie mógł dostrzec Sterna; widocznie tamten zniknął tymczasem w którymś z domów.

Łapiąc z trudem oddech, David uklęknął za największą z sosen i przyglądał się niewielkiej wiosce. Nie dostrzegł nigdzie choćby śladu życia, z wyjątkiem dwóch brązowych kur grzebiących w ziemi, tuż przy drodze, jakieś sto jardów od niego. Żadnych ludzi ani nawet dymu z komina, co zresztą nie było nawet zbyt dziwne o tej porze roku. Wszyscy siedzieli zapewne w swoich domach odpoczywając po obiedzie albo może – ilu ludzi mogło tu mieszkać, dwudziestu pięciu? – pojechali do najbliższego miasteczka. Policzył domy: było ich raptem osiem. Największy znajdował się daleko, przy następnym zakręcie drogi, do połowy zasłaniała go wielka sosna. Bliżej, po tej samej stronie drogi stały w rzędzie cztery chatki oddzielone błotnistymi ścieżkami i niskimi drewnianymi komórkami – były to pewnie kurniki – a naprzeciw nich trzy budyneczki połączone cementową ścianą, wysoką na osiem stóp, która stanowiła ich wspólny fronton. Ponad nią wznosiły się spadziste dachy. Z tyłu znajdowały się zapewne małe ogródki. Wszystkie domy zbudowane były z cegieł, tak jednak nie dbale kładzionych, że zaprawa powypadała spomiędzy nich, podobnie jak cement, którym je następnie pokryto. I znowu, miejsce nie pasowało zupełnie do żadnej możliwej teraźniejszości, co zresztą nie rzucało się zbyt mocno w oczy z powodu jego izolacji. Podążając na rowerze za Sternem, wjechał w rok mniej więcej 1935, dziwaczną kombinację *Kabaretu* i *Sounds of Music*, w każdej chwili zza pagórka mógł się wynurzyć, warcząc i pokaszując, ogromny duesenberg. Obraz ten przemawiał niewątpliwie do wyobraźni, ale jaką rolę w tym wszystkim odgrywał Stern? David nie potrafił zgadnąć i na razie nie mógł zrobić nic, by uzyskać odpowiedź na to pytanie. Niepodobna było podejść bliżej, gdyż Stern mógł się pokazać w każdej chwili, on zaś nie znalazłby tu żadnej osłony. Co więcej, tamten z pewnością powinien wracać tą samą drogą; musiał to zrobić, jeśli chciał odzyskać swój rower. Sosny, za którymi znalazł się David, stanowiły zupełnie dobrą kryjówkę, innej zresztą i tak nie było w pobliżu. Nie pozostawało mu zatem nic innego jak czekać i przez najbliższe pół godziny to właśnie robił.

Niewiele się zdarzyło w tym czasie. Kury z zapalem unosiły i opusz-

czyły łebki, jakiś mężczyzna w białej koszuli z podwiniętymi rękawami ukazał się w drzwiach dużego domu i zniknął. Jaskrawozłociste słońce na błękitnym, pokrytym rzadkimi białymi chmurami niebie (biedna okolica nie pasowała jakoś do przepięknego niedzielnego popołudnia) zaczynało powoli chylić się ku zachodowi. Wreszcie Stern wyszedł z drzwi najdalejszego z trzech połączonych ze sobą domów.

W jednej chwili znalazł się na środku drogi, jeszcze moment i już nie sposób byłoby powiedzieć, skąd się wyłonił.

Co więcej, znakomicie pasował do otoczenia. Nie wyglądał wcale na kogoś obcego. Starszy mężczyzna w płócienniej czapce, niedzielny gość, czyjs wujek lub dziadek. Można by odnieść wrażenie, że coś mu dolega w prawej nodze, nie utykał, ale stawiał ją trochę dziwnie, co zresztą nadawało mu jeszcze bardziej niewinny wygląd. Dopiero kiedy zrównał się z sosnami, David spostrzegł, że ukrywa pod wiatrówką – czy też raczej wiatrówką osłania – coś płaskiego i szerokiego wsuniętego za spodnie, coś, co przypominało rulon papierów, może fotografii, może nawet książkę. Ale w następnej chwili Stern już go minął, David mógł teraz oglądać tylko plecy tamtego oddalające się w stronę miejsca, w którym ukrył rower.

David pozostał tam, gdzie stał. Uznał, że nie ma sensu jechać za Sternem do Berlina, dokąd zapewne tamten teraz wracał. Decyzję tę umocnił fakt, że Stern najwyraźniej zabrał coś ze sobą. Szukał czegoś w Aberporth, ale znalazł tutaj, i jeśli David chciał się dowiedzieć, co to takiego było, musiał wybrać się do domu, z którego wyszedł Stern.

Odczekał około pięciu minut, po czym wyszedł na drogę.

Teraz dopiero poczuł się znacznie swobodniej. Chociaż zmęczony i obolały, uwolnił się nareszcie od ukradzionego roweru i Sterna; teraz też dopiero zrozumiał, jak bardzo go dręczył fakt, że znajdował się w gronie tych, co złamali prawo w państwie totalitarnym, którego tajna policja mogła się wprawdzie wydawać czymś absurdalnym, ale była niestety czymś jak najbardziej rzeczywistym. Domyślał się, że złamał także przepisy związane z wizą, od tego jednak świat się nie powinien zaważyć, a poza tym, jeśli będzie z powrotem przed północą, nikt się o niczym nie dowie. Nie sądził więc, by groziło mu zbyt wielkie niebezpieczeństwo,

zwłaszcza że (mówił sobie) o cokolwiek chodziło Sternowi, najwyraźniej działał na własną rękę i nie bardziej mógł liczyć na pomoc po tej stronie Muru niż David. Wyszedł więc śmiało na drogę, nie było bowiem żadnego sensu się ukrywać, choć kiedy podszedł bliżej, spostrzegł, że pomiędzy zabudowaniami kręciło się więcej osób, niż mógł przypuszczać. Za jednym z wolno stojących budynków dwoje dzieci strzelało z łuku; dziewczynka w odświętnej niedzielnej sukieneczce klaskała z radości, ilekroć strzala utkwiała we łbie namalowanego na tarczy byka. Zza ściany łączącej trzy domy doszły go okrzyki i śmiechy, być może obchodzono tam jakieś rodzinne święto, nikt jednak nie zwrócił na niego uwagi, ulica zresztą nadal była pusta. Cementowa ściana między domami była popękana i brudna, ale u dołu ktoś ją starannie omiół – David dostrzegł wyraźne ślady szczotki – a same budynki, pomimo marnej cegły i zaprawy, wyglądały na całkiem zadbane. Ramy okienne i drzwi pokryto świeżą niebieską farbą, a metalowe przejścia w murze między zabudowaniami polakierowano na brązowo. Furtka prowadząca do trzeciej chaty, tej, którą odwiedził Stern, była lekko uchylona. Chociaż samochód nie mógłby tędy przejechać – przejście było zbyt wąskie, David spostrzegł pod ścianą małe białe auto, które zapewne wjechało tu dróżką, łączącą od tyłu wszystkie trzy domki z drogą. Najprawdopodobniej ów ktoś, kogo odwiedził Stern, ciągle jeszcze znajdował się wewnątrz budynku. David podszedł do furtki i przystanął zakłopotany. Co miał powiedzieć? Jak uzasadnić swoją wizytę? Zaraz jednak pomyślał, że nie jest to aż takie ważne. Najistotniejszą sprawą było zdobycie nazwiska mieszkającej tu osoby.

Zapukał.

Nikt nie odpowiedział.

Zapukał jeszcze trzykrotnie.

Nadal żadnej odpowiedzi.

Rozejrzał się dokoła. Wprawdzie w dalszym ciągu nikogo nie było na ulicy, ale stojąc tak pod drzwiami musiał rzucać się w oczy, może nawet budzić podejrzenia. Poczuł nagle niepokój. W takiej wiosce ludzie zazwyczaj odpowiadają, kiedy puka się do drzwi. Coś tu było nie w porządku. Chyba że... Chyba że Stern miał klucz i sam sobie otworzył lub też nie zastawszy nikogo, włamał się do środka. To jednak nie wydawało się zbyt

prawdopodobne. Coś się musiało wydarzyć i jakiś wewnętrzny głos wołał do Davida: uciekaj. Ale on nie mógł uciec. Nie po to przebył tak długą drogę. Szybko, żeby tylko nie stać już tak dłużej na widoku, zrobił krok w prawo i odepchnął drzwi. Znalazł się teraz na chłodnym, ciemnym podwórku, był tu odgradzony nie tylko od ulicy, ale i od sąsiedniego domu, gdyż między działkami biegł wysoki drewniany płot. Nasłuchiwał, ale głosy i śmiechy brzmiały zupełnie zwyczajnie. Wszystko w porządku. Rozejrzał się. Na dziedzińcu, tuż przy ścianie stał samochód, biała skoda. Zajrzał przez okno do środka domu, wewnątrz było tak ciemne i ponure jak na starym obrazie. Ale przez inne okno, w tylnej ścianie, zobaczył kuchnię: stół, cztery krzesła, kamionkowe pojemniki na mąkę, cukier i kawę ustawione na blacie. W zlewie, tuż pod oknem, stał kubek z pozostawioną w nim łyżeczką, nigdzie jednak David nie dostrzegł ani nie usłyszał osoby, która go używała. Przesunął się wzdłuż tylnej ściany do drewnianej przybudówki. Dalej biegła dróżka, którą wjechał samochód, a za nią widać było równe rzędy warzyw w ogródku. Tam jednak płot już nie sięgał, cofnął się więc szybko, by nie znaleźć się na odkrytej przestrzeni. Dwa drewniane stopnie prowadziły do drzwi zaopatrzonych w skobel na kłódkę. Kłódki jednak nie było, drzwi zamknięte tylko na klamkę ustąpiły łatwo i David wszedł do środka.

Czekał przez chwilę, by oczy przywykły do mroku. Pomieszczenie stanowiło połączenie składziku i spiżarni. Wzdłuż ścian biegły drewniane półki, wypełnione szklanymi słojami z marynowanymi burakami, cebulą, ogórkami i kompotami z owoców. Pod sufitem wisiał hak, z którego spływał czarny metalowy łańcuch – do czego służył, trudno było odgadnąć. Pod stół wciśnięto jakieś blaszane urządzenie, być może piecyk do wędzenia. Pod tylną ścianą David spostrzegł wielki cementowy zlew z zagiętą nad nim rurą. Pachniało kurzem, wilgocią i farbą. Chciał zawołać gospodarza, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu, cały trząsł się z podniecenia. Zaczerpnął tchu i podszedł do drzwi, prowadzących do części mieszkalnej. Porcelanowa klamka przekręciła się lekko. Wszedł i przez pokój zbliżył się do drzwi na przeciwległej ścianie, tym razem już wołając „*Entschuldigung, Entschuldigung!*” Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, teraz jednak już się jej nawet nie spodziewał. Zobaczył przed sobą mały przed-

pokój, wiodący do frontowych drzwi, które widać było wyraźnie dzięki wciskającemu się z zewnątrz światłu dnia. Poszedł powoli w ich kierunku, stąpając bezgłośnie po dość szerokim dywaniku, który z jakiegoś powodu przyciągnął jego uwagę – skojarzył mu się z wiktoriańskim pensjonatem, brzydkim, mrocznym, pełnym ozdóbek. Mroku nie rozjaśniało żadne światło z wyjątkiem smugi pod drzwiami, ale oczy Davida oswoiły się już z ciemnością. Podeszedł do łukowatego przejścia, prowadzącego do pokoju, do którego wcześniej zaglądał przez okno, a który spełniał zapewne rolę „saloniku”. Był schludny, czysty, ale zarazem mocno zniszczony i bardzo staroświecki jak radio ze słuchawkami, choć w kącie stał jednak na metalowych nóżkach spory telewizor, połyskując szarawym kineskopem. Pokój dla niedzielnych gości. Dwa nakrycia do herbaty, na ładnej drewnianej tacy porcelanowe naczynia, na których namalowane były tańczące pary, obok na blacie fioletowe serwetki. Na sofie z wysokim oparciem czyjaś ręka poukładała starannie pękate poduszki. Na ścianie wisiał jakiś obraz – co przedstawiał, nie sposób było dociec, gdzieś w kącie ciężko tykał zegar. Stojąca na podłodze zapalona lampka z brązowym abażurem rzucała krąg żółtawego światła na nabrzmiałe kobiece nogi w brązowych pończochach i lekko podwiniętą szarą spódnicę. Kobieta zsunęła się nieco z kanapy i odchyliła do tyłu. Biała bluzka i sweter zapinany na guziki dopełniały jej stroju, zerwany sznur sztucznych pereł spływał z jej szyi, białe kuleczki kapały powoli na podłogę.

David zastygł bez ruchu.

Nie żyła i wcale go to nie zaskoczyło, przeczuwał coś takiego już od chwili, gdy nie usłyszał odpowiedzi na swoje pukanie do furtki. Zdziwiło go tylko, że była to kobieta, a nie mężczyzna. Choć spodziewał się podobnego widoku, ogarnęło go przerażenie. Wszystko budziło w nim lęk: trwoga, jak cisza, sączyła się zewsząd. Musiał na chwilę zamknąć oczy, aby zebrać siły, potem powoli wszedł do pokoju. Tak, nie żyła. Została chyba uduszona, wskazywałyby na to jej wykrzywiona, nabrzmiała twarz. Pochylił się nieco do przodu, aby uzyskać całkowitą pewność, i poczuł zapach pudru, który przypomniał mu ciotkę, domek w Burslem, mały pokój z tyłu, nie większy od kredensu, gdzie zasypiał wsłuchany w dochodzące z głębi głosy dorosłych. Ciotka. Ten zapach. Cisza. Frontowy

pokój... Torba, z którą nigdy się nie rozstawała, i ów wyraz niepokoju pojawiający się na jej twarzy, gdy tylko spostrzegła, że nie ma jej pod ręką. Być może i ta kobieta miała ten sam nawyk, gdyż jej własna torebka leżała tuż koło niej, zawartość rozsypała się po podłodze. Zaczął gorączkowo przeglądać leżące tu przedmioty, a ponieważ znalazły się wśród nich także dokumenty i legitymacje, dowiedział się, że ma przed sobą Elbę Margrit Buhler, miejscowość nazywa się Niederberg, a zmarła w przyszłym tygodniu skończyłaby sześćdziesiąt trzy lata.

Rozdział 14

David wyłączył lampkę; cofnąwszy się od ciała Elsy Buhler, pozostawił je w mroku. Nic więcej nie mógł dla niej zrobić. Potem przeszedł do przedpokoju. Do kuchni i do saloniku można było zajrzeć z zewnątrz i tylko tutaj, za drzwiami, w których odcinała się jasna plama dziurki od klucza, był bezpieczny.

Stał tam oparty o ścianę i czuł, jak serce łomocze mu w piersi. Choć przerażony, rozumiał jednak znaczenie tego, co odkrył. Buhler. W okropnych wprawdzie okolicznościach, odnalazł jednak ostateczny dowód na to, że wszystkie wydarzenia były jak najbardziej realne. Tu nie chodziło o żadne przywidzenia. Nazwisko Buhlera wymienił Tannis, słyszał je Tim, wymieniła je także w liście Diana. Wszystko było rzeczywiste. Buhler, Vogel, Stern – wszystko się wiązało.

Cofnął się jeszcze o dwa kroki, tak że nie widział już pokoju. Po pewnym czasie poczuł, że jego przerażenie słabnie. Ciągle je jeszcze odczuwał, ale jakby po drugiej stronie... za jakąś linią. Tak to czuł: został oddzielony od trwogi; jak powinien nazwać teraz swój stan? Nie, nie był na tyle przerażony jak... mógłby być? powinien być? Gdy szok minął, poczuł przypływ ciekawości. Wychylił się i raz jeszcze spojrzął na nieszczęsną Elsę Buhler. Na widok jej ciała (z głową odrzuconą na oparcie, wyciągniętymi nogami pod stolikiem, wyglądała niczym gruba japońska matrona odpoczywająca po sutym obiedzie) doznał mnóstwa rozmaitych wrażeń,

ale i one pojawiły się po drugiej stronie linii, te w pełni zrozumiałe odczucia, w których rozpoznawał swoje własne reakcje, wydawały się zarazem niemożliwe, absurdalne. Coś mu się przypomniało, częściowo dzięki skojarzeniu z ciemnym pokojem, ale także i pod wpływem dostrzeganego kątem oka światła, które przedzierało się szczeliną w ramie drzwi i przywodziło na myśl promień na końcu nieskończenie długiego korytarza czy tunelu. W jego pamięci odżyło te kilka godzin, kiedy zamknęli go w prawdziwym areszcie wojskowym i indagowali dokładnie w prawdziwym pokoju przesłuchań (ciężkie drzwi, zakratowane okna, jaskrawe światło lampy i podłoga z białych kafelków, jak w publicznej toalecie lub kostnicy). W końcu się zbuntował. Chcę się zobaczyć z moim adwokatem. Nie odpowiem już na żadne pytanie, dopóki nie porozumiem się z adwokatem. Mam do tego prawo. Potem, ilekroć sobie to przypominał, zawsze skręcał się niemal wewnętrznie na myśl o naiwności tego żądania. Adwokat! Oczywiście, gdyby się upierał, dostarczyliby mu prawnika, z pewnością mieli nawet kilku na podporządku. Gdyby zaś obstawał przy swoim prywatnym adwokacie, także i tamtego potrafiliby urobić.

Taka była jednakże wówczas jego reakcja, i teraz, niezależnie od wszystkich różnic, odnajdował w sobie podobne pragnienie. Przedstawić całą sprawę jakiejś oficjalnej instytucji. Tak. Zachować się rozsądnie. Powiedzieć prawdę. Obserwował, jak ta chęć narasta po drugiej stronie owej linii: zadzwonić natychmiast na policję i wyjaśnić wszystko. Albo wrócić do Berlina i tam skontaktować się z odpowiednimi władzami. Niech odszukają Sterna. Z pewnością potrafią to zrobić i zrobić. Tak, był już gotowy, należało tylko podjąć drobną decyzję. Ale najbardziej zdziwiło go to, iż zarazem wiedział, że na pewno jej nie podejmie, że tak naprawdę nie traktuje tej możliwości na serio. I nie miało to nic wspólnego z faktem, że był w NRD, wiązało się tylko z ową linią – teraz był po tej stronie. Był już inną osobą; skok w morze zmienił wszystko bezpowrotnie i obecnie widział wyraźnie efekty tej przemiany. Patrząc na ciało Elsy Buhler wiedział już także, na czym owa transformacja polegała. Ta kobieta nie miała z nim nic wspólnego, absolutnie nic. To tak jakby przeczytał w gazecie informację o morderstwie zupełnie obcej osoby, zobaczył zdjęcie na pierwszej stronie *Sun...* i nagle w środku reportażu dostrzegł swoje

nazwisko. Dokładnie ta sama myśl powracała doń tyle razy w China Lake. *Ja nie mam z tym nic wspólnego, pozwólcie mi wyjaśnić.* A jednak wszystko wiązało się z nim jak najściślej i nic nie dawało się „tak po prostu wyjaśnić”. Tego się właśnie nauczył i dobrze o tym pamiętał. Tylko on sam mógł sobie pomóc. Ale jak miał to zrobić?

Cofnął się znowu do przedpokoju, teraz jednak był już zupełnie spokojny. Sterna, Vogla i Buhlera łączyła jakaś nić – Tannis musiał o tym wiedzieć – i ta nić wiązała się z przedmiotem, który zabrał Stern. Co to mogło być? Oczywiście, będzie musiał się tego dowiedzieć, ale czy nie dałoby się ustalić w inny sposób, na czym polegała ta więź? Znał – tak sądził – kilka faktów, które powinny pomóc mu odgadnąć, o co chodziło Sternowi. Po pierwsze, tego, co tu znalazł, cokolwiek to było, szukał także w Aberporth. Po drugie, pani Buhler poczęstowała Sterna kawą, zapewne więc nie uważała go za wroga, prawdopodobnie w ogóle go nie znała. I było coś jeszcze. Stern przebywał tutaj zaledwie przez pół godziny. W tym czasie kobieta przywitała się z nim, zrobiła i podała kawę dla obojga, potem on ją zamordował i... niewiele czasu pozostawało na poszukiwania. Czegokolwiek zatem szukał Stern, nie było to głęboko ukryte, prawdopodobnie w ogóle nie było ukryte, leżało lub stało gdzieś na wierzchu, być może tuż pod ręką, a pani Buhler nie zdawała sobie po prostu sprawy ze znaczenia tego przedmiotu. Jednakże – ostatni krok w rozumowaniu – uświadomiła je sobie, kiedy jej uwaga skierowała się w stronę owego przedmiotu, i dlatego Stern ją zabił, po czym zabrał tę rzecz. Dlatego więc obecnie jedyną informacją mogła być tego czegoś nieobecność. Z tego wszystkiego płynie wniosek, pomyślał David, że bardziej muszę p a t r z e ć niż szukać, mieć oczy otwarte, a nie szperać po meblach i kątach. Coś prostego, co powiązałoby...

Ostrożnie przeto, niemal nie dotykając niczego, zaczął krążyć po domu, starając się wchłonąć w siebie atmosferę, swoisty ład tego miejsca. Potrzebna tu była pewna umiejętność, którą – jego zdaniem – posiadał. Nieraz przecież leżąc w zaroślach, z kamerą przy policzku, starał się rozpląnąć w otaczającym go świecie, przestać rozumować, przestać w ogóle myśleć, pozwolić natomiast, by ów zewnętrzny porządek przeniknął go do głębi, czego efektem byłoby to, iż każde jego zakłócenie natychmiast by

go zaalarmowało. Tak samo zachowywał się teraz. Co tutaj przesunięto, dotknięto, przemieszczono? Wskazówką mógł stać się jakiś drobiazg: karteczka zatknięta za ramę lustra... kalendarz... podkreślone nazwisko w książce telefonicznej... albo też coś znacznie poważniejszego: ustawienie mebli, sposób rozwieszenia obrazów na ścianach. Był tu istotnie telefon, a koło niego leżała książka z numerami, nie znalazł w niej jednak interesujących go nazwisk: Vogla, Sterna lub Tannisa, a w jedynym kalendarzu, jaki wpadł mu w ręce, nie było żadnych zapisków. Meble stały w idealnym porządku, bardziej interesujące wydały się obrazy i zatrzymał się przed nimi na chwilę. Dwa wisiały w przedpokoju, były to reprodukcje plakatów, oprawione w mahoniowe ramy. Na jednym prężył się lampart obok zielonookiej pantery; styl mgliście modernistyczny, prawdopodobnie z lat dwudziestych, kiedy dzieci poniżej dwunastu lat za wejście do zoo w Monachium płaciły dwadzieścia fenigów. Drugi przypominał Klimta czy Rosettiego: rycerskie postacie, jasne jak motyle, w jakimś mistycznym locie. W jadalni, położonej naprzeciw saloniku, spostrzegł reprodukcję obrazu *Stolica NRD* (oryginał znajdował się w *Staatliches Museum* w Berlinie) pędzla nie znanego mu malarza, Menzla. Utrzymana w ciemnych barwach przedstawiała ogrody, za którymi rysowała się wysoka sylwetka jakiegoś pałacu. W holu na piętrze znalazł parę innych tego rodzaju malowideł i to stanowiło pierwszy trop, ponieważ pantera i rycerze zdecydowanie różnili się od reszty obrazów. Elsa i Buhler. Mieszkali razem, choć teraz już tylko te dwie reprodukcje pozostały świadectwem tego, iż żył tutaj Buhler. To one stanowiły wyraz jego gustu, upodobań, może nawet jego osobowości, podczas gdy reszta domu, ciemne meble, stłoczone krzesła – jakiś surogat wiktoriańskości – to wszystko była Elsa. Chyba że rzeczy miały się akurat odwrotnie, ale uznał to za niemożliwe, wyjazd Buhlera stanowił, jego zdaniem, rozstrzygający dowód. Wkrótce ta jego metoda „po prostu tylko patrzeć” przyniosła bardziej konkretne efekty. Założył początkowo, że Elsa Buhler i Buhler, który zginął na pustyni, Buhler Vogla, byli żoną i mężem, ale zmienił zdanie, jeszcze zanim znalazł jakikolwiek dokument. Oddzielne sypialnie na piętrze, rodzinna atmosfera, ale bez intymności, wspólne sprzęty i zwyczaje, ale żadnego erotyzmu, wprost przeciwnie, jakaś schludna oschłość i jałowość. Czulo

się to we wszystkich pokojach. Potem w jej sypialni, na stoliku pod oknem, znalazł kolekcję oprawionych w ramki fotografii obrazujących historię rodziny. Trzy spośród tych zdjęć były zapewne bardzo stare: Mama i Tata, dwa oddzielne portrety, głowy sztywno wyprostowane nad wykrochmalonymi kołnierzykami, na trzecim Mama trzymała niemowlę w pieluszkach. Potem jego oczy spoczęły na bardziej naturalnym zdjęciu przedstawiającym dziewczynkę z mysim ogonkiem i słomianym koszykiem na ramieniu oraz dwóch chłopców; stali po obu jej stronach trzymając ją za ręce – jeden był wyraźnie młodszy od drugiego; ten pierwszy w spodenkach na szelkach, drugi w długich spodniach, obaj w kurteczkach zapiętych pod szyją. Musieli to być jej bracia. Dwaj bracia. Imion nie wymieniono, ale przeglądając kolejne, ułożone w chronologicznym porządku zdjęcia, David zauważył, że w którymś momencie jeden z nich zniknął; ostatnia fotografia, na której obaj występowali razem, pochodziła sprzed wojny, na co wskazywał krój marynarek i ciężkie buty. A zatem jeden z braci, starszy, nie dożył do roku 1945. Nie wydawało się to wcale czymś dziwnym, jednakże było to własne odkrycie Davida, które dodało mu wiary w siebie. Nasuwały się też pytania, pozwalające bliżej określić całą sytuację. Dlaczego Buhler się nie ożenił? Jak układały się jego relacje z siostrą? I czemu mieszkał w domu, który najwyraźniej był jej domem?

Odpowiedzi na nie należało szukać w pokoju Buhlera. Oddzielony łazienką od pokoju siostry, znajdował się w tylnej części domu. Miał niski, ukośny sufit (powodem tego był kształt dachu) i przypominał wygodne poddasze, ale trochę także celę lub kryjówkę. Proste meble – drewniane łóżko wyglądało niemal jak marynarska koja. Wyczuwało się tu nastroj (szare światło padało na szary parkiet) samotności, podobny do tego, jaki panuje w koszarach i przytułkach. Opuszczony pokój; tak, ale nie pokój, z którego ktoś uciekł... David czuł, iż Elsa niczego tutaj nie dotykała, nie chciała dotykać; pokój ciągle czekał, zawsze czekał, ale na co? Tego David nie wiedział, ale wyczuwał ową atmosferę: ktoś czeka, liczy upływające dni. A na razie Buhler czytał – na półkach tłoczyło się wiele książek – i zbierał znaczki. Albumy stały w rzędzie na prymitywnej półce (prostej desce położonej na podpórkach) nad malutkim stolikiem. Nazywał się Walter Joseph Buhler albo po prostu Walter Buhler; obie wersje można

było znaleźć na przedtytułowych stronicach książek. David wyciągał je na chybił trafił. Powieści i wiersze popularnych pisarzy niemieckich, Heine, Mann, Feuchtwanger, Fontane; paru autorów obcych, Jack London, *Komu bije dzwon*, Jules Romains. Ale najwięcej było książek naukowych i popularnonaukowych z najróżniejszych dziedzin: geografia, geologia, ptaki, mosty, motyle, wszystkie starannie ułożone, jak gdyby właściciel, zapoznawszy się z ich treścią, odstawiał je na półkę i nigdy już do nich nie wracał. Czy te lektury miały stanowić przygotowanie do czegoś? Czy też były celem samym w sobie, jednym ze sposobów zabijania czasu?

Odnutowawszy w pamięci te pytania, David przejrzał kolekcję znaczków i zauważył pewne istotne podobieństwo pomiędzy nią a księgozbiorem. Pamiętał, że sam będąc chłopcem zajmował się trochę filatelistyką, ale jego albumy przypominały raczej książki z obrazkami, gromadził po prostu obok siebie znaczki o podobnych motywach. Buhler natomiast był prawdziwym zbieraczem, niemal profesjonalistą; jego albumy miały twarde grzbiety, celofanowe przekładki, wszystkie znaczki powsuwane były starannie do kieszonek. Wiele spośród nich pochodziło z Ameryki Południowej i Środkowej oraz z Afryki, choć zapoznawszy się trochę dokładniej ze zbiorem, David zauważył, że Buhler nie specjalizował się w żadnym konkretnym kraju czy okresie. Wspólny mianownik stanowiła tematyka, na wszystkich znaczkach były ptaki lub motyle oraz inne istoty fruwające. Oczywiście skojarzył to natychmiast z tematyką reprodukcji na dole. Piękna, kolorowa kolekcja; egzemplarze z Kostaryki i Zanzibaru, Wenezueli, Peru, Mozambiku, niektóre ogromne, a niektóre trójkątne, pośród motyli pawice, rusalki, pазie, pośród ptaków gatunki jaskrawe i fascynujące: ary, kakadu, polinezyjki, kolibry, kondory, orły. Były tak wesołe, barwne, lekkie, tak nie pasujące do świata Buhlera, że wydawało się wręcz oczywiste, iż muszą ujawnić sekret. Co stało się za sprawą znaczka z pawikiem królewskim, który ześliznął się na podłogę. Schylając się po niego, David zauważył, iż jedna z klepek parkietu przy rogu łóżka została przecięta. Zrobiono to tak zręcznie, że rysa była prawie niewidoczna, lecz kiedy David wsunął w nią ostrze scyzoryka i nacisnął, drewnienko łatwo ustąpiło. W luce pomiędzy podłogą a sufitem pokoju na parterze dostrzegł metalowe pudełko.

Skrytka Buhlera.

Niestety, jak się okazało, pusta.

Polakierowane na żółto ścianki skrzyneczki załśniły szyderczym blaskiem. Stern ubiegł go. Cokolwiek tam było – listy, fotografie, dziennik – przywłaszczył to sobie. Musiał to, oczywiście, uznać za coś całkowicie logicznego, wiedział przecież, że może tu odnaleźć tylko ślad po tym, co zniknęło, nic więcej. A jednak poczuł rozczarowanie. Z westchnieniem przysiadł na obcasach. Jego oczy znalazły się teraz na poziomie blatu stolika stojącego przy łóżku Buhlera i dzięki temu dostrzegł wyraźnie wyciśnięte przez lata ślady po dwóch ramkach. Poderwał się i przeciągnął po nich palcem. Pewnie fotografie. Dwie oprawione fotografie, podobnie jak w pokoju Elsy. Czymś się jednak od tamtych różniły, nie były to z pewnością zwyczajne rodzinne fotografie, skoro miały tak wielkie znaczenie dla Buhlera, że trzymał je tuż przy sobie każdej nocy, a jednocześnie tak istotne dla Sterna, że je ukradł. Cóż takiego mogły ukazywać? Jakąś okropną scenę? Coś, co kompromitowało Sterna? Nie sposób było oczywiście odgadnąć, ale stawało się teraz jasne, co chciał osiągnąć Stern. Zacierał ślady. O to chodziło mu w Aberporth. A także na Clints of Dromore? Chciał ukryć związek z... właśnie: z czym?

David nie znał odpowiedzi również na to pytanie, choć musiała być ostatecznie bardzo prosta. Zaklął i przysiadł na skraju łóżka Buhlera. Jego determinacja na chwilę osłabła. Znowu uświadomił sobie z całą wyrazistością, że w pokoju na dole znajduje się nieżywa Elsa Buhler; zobaczył w wyobraźni strużki światła prześlizgujące się przez szczeliny w ramie drzwi i tworzące na podłodze osobliwy wzór, którego ona już nigdy nie zobaczy. Ale ta chwila minęła i teraz doznał nagle uczucia jakiejś ponurej satysfakcji. Coś jednak odkrył, potwierdziły się jego przypuszczenia co do intencji Sterna. Potwierdziła się także skuteczność jego metody. Jeśli chciał znaleźć coś jeszcze innego, jeżeli Buhler miał mu coś jeszcze do przekazania, należało nadal „tylko patrzeć”; idąc za głosem intuicji wstał i przeszedł do łazienki, gdzie spędził piętnaście minut (mydło, szampon, blaszane wiaderko, szafka ze starannie poukładanymi ręcznikami i ściereczkami), choć ostatecznie na to, co chciał znaleźć, natrafił właśnie znowu w pokoju Buhlera. Postanowił sobie, że raz jeszcze rzuci tam okiem, potem spróbuje

na dole, a jeśli szczęście się do niego nie uśmiechnie, wróci samochodem Buhlera do Berlina, a jeśli – co bardzo prawdopodobne – natknie się po drodze na Sterna, postara się uzyskać wszelkie wyjaśnienia od niego samego. Ledwie jednak przekroczył próg pokoju, jego spojrzenie padło na mały wiklinowy koszyk stojący na stoliku. W takich koszykach trzyma się zazwyczaj owoce, ten jednak wypełniony był znaczkami, kopertami i rogami kopert, które pewnie odrywali dla niego znajomi. David zaczął przeglądać to, co było w środku, nie szukając niczego konkretnego. Ale reguła: „Nie szukaj, a właśnie wtedy znajdziesz” znowu się potwierdziła, bo oto kiedy wyciągnął fragment kolejnej koperty, zobaczył na nim dwa duże znaczki amerykańskie: na jednym był mak, kwiat Kalifornii, na drugim kalifornijska przepiórka. Można było odczytać także stempel sprzed kilku zaledwie tygodni: Lone Pine, CA. Jeszcze bardziej interesujący okazał się fragment „koperty”, która właściwie była aerogramem, złożonym kawałkiem niebieskiej bibułki poczty lotniczej, na której wypisywało się i list i adres. Co więcej, był to aerogram niemiecki, *Luftpostleichtbrief*, co znaczyło, że Buhler musiał go kupić w Niemczech Zachodnich, wziąć ze sobą do Kalifornii, nakleić interesujące go znaczki i wysłać do domu, gdzie siostra – z nawyku? dla pamięci? – oderwała ofrankowany róg. Ale wyjaśnienie to tylko przemknęło przez głowę Davida, natychmiast bowiem jego uwagę przyciągnęły fragmenty kilku linijek, które zachowały się na odwrocie. Pamiętając, jak składa się aerogram, domyślał się, że pochodzą ze środka listu, jednak ze względu na niemiecką gramatykę – czasowniki grupujące się na końcu okresów i zdań – nawet i to nie było pewne. Czy Buhler pisał wzdłuż czy w poprzek kartki? Tak czy inaczej, pozostało tylko kilkadziesiąt słów:

prawdę o naszym bracie i Voglu. Czerwony Krzyż

przyjaciele, inni uchodźcy, UNRRA

wszystkie listy w pudełku pod

Nordhausen i Dora pamiętaj. Zawsze wydaje się takie małe

jak ostatnim razem. Ale to mój wybór.

wypełnione. Ciągle jednak ich widzę.

Coś jednak dawało się zrozumieć z tych strzępków. Listy, uchodźcy, „prawda o naszym bracie”, UNRRA. Skrót był angielski, ale David dopie-

ro po chwili przypomniał sobie pełną nazwę organizacji: United Nations Relief and Rehabilitation Administration, Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy. Po wojnie zaopatrywała uchodźców, starała się o mieszkania dla bezdomnych. Buhler najwidoczniej pisał do nich i do innych instytucji, pytając o brata, może o Vogla, a może o obydwu? Korespondencję przechowywał w skrytce koło łóżka w pudełku, o którym Elsa wiedziała, i które Stern znalazł. Czy wydobył od niej tę wiadomość, zanim ją zabił? Listy te i zawarte w nich informacje stanowiły najprawdopodobniej tak istotną tajemnicę, że Buhler nawet siostrę dopuścił do niej dopiero po wyjeździe. I w końcu David natknął się na jeszcze jeden trop, coś, co właściwie wcześniej już zauważył lub zauważył częściowo, ponieważ nie było jakoś szczególnie wyeksponowane w księgozbiorniku Buhlera. Chodziło o dwie broszurki, z których jedna była zatytułowana: „Chronik der antifaschistischen Mahn- und Gedenkstätte Mittelbau Dora”. Skromna książeczka, której treść sprowadzała się w zasadzie do wyliczenia suchych faktów, ilustrowana dość kiepskimi czarno-białymi zdjęciami, powiedziała jednak Davidowi bardzo wiele. Dora był to obóz na przedmieściach ważnego węzła kolejowego Nordhausen. Jak wynikało z broszurki, przy wszystkich swoich okropnościach obóz ten pod pewnymi względami różnił się nieco od innych. W książeczce zamieszczono zdjęcia krematorium wzniesionego na niewielkim pagórku, *die Haftlinge*, więźniów stojących przed barakami otoczonymi drutem kolczastym, a także robione już po wojnie zdjęcia delegacji szkół i związków zawodowych składających wieńce przed pomnikiem tych, którzy ponieśli tu śmierć, znalazły się tam nawet wiersze:

Vie le haben das Lager D gekannt

D wie Dora, so habens die Faschisten germant...

Wszystko to jednak były rzeczy dość powszechnie znane, uwagę Davida przykuły natomiast inne fotografie, te, które ukazywały wielką podziemną fabrykę, gdzie więźniowie montowali straszliwą broń. Albowiem to w Dorze Niemcy budowali V-2, pierwszy na świecie pocisk balistyczny. Budowali go w *Konzentrationslager Mittelbau Dora* w górach Harzu dokładnie w tym samym czasie, kiedy Marynarka Wojenna USA prowadziła poszukiwania na pustyni Mojave, by ostatecznie ulokować

swój poligon raketowy w China Lake.

Rozdział 15

Dojazd do Nordhausen zabrał Davidowi trzy godziny.

Podróż przebiegła na szczęście bez żadnych sensacji. Największe ryzyko wiązało się z samochodem, ale niebezpieczeństwo zmalało prawie do zera, gdy tylko wydostał się z wioski, gdzie ktoś mógłby rozpoznać auto. (Musiałby mieć wyjątkowego pecha, by go ktoś zatrzymał.) Bardzo uważał, by nie przekroczyć dozwolonej prędkości i gdy tylko nadarzyła się okazja, zjechał z głównej szosy i poprowadził wóz bocznymi drogami, na których zresztą panował na tyle duży ruch, że ku swemu zadowoleniu zniknął natychmiast w tłumie innych samochodów. (Zwyczaj „niedzielnych przejażdżek”, tak modny w Ameryce lat pięćdziesiątych, ciągle był popularny na Wschodzie.) Najgroźniejsze w skutkach byłoby – z czego przez dłuższy czas nie zdawał sobie w ogóle sprawy – wyczerpanie się benzyny. Miał tylko kilka marek wschodnioniemieckich, a nie miał oczywiście kuponów benzynowych, które zagraniczni turyści mieli obowiązek nabywać, wjeżdżając do NRD. Tankując, musiałyby zatem zapłacić markami zachodnioniemieckimi i choć na stacji z pewnością by je przyjęto, mógłby zwrócić na siebie uwagę – w końcu nie były przecież tutaj legalnym środkiem płatniczym. Mimo wszystko nie mogłoby to spowodować zbyt poważnych konsekwencji, ponieważ nikt go na razie nie tropił, a zresztą problem w ogóle się nie pojawił, gdyż bak był pełny i poziom paliwa obniżył się wyraźnie dopiero w nocy, „gdy David znalazł się w

poblizu Berlina Wschodniego.

Ale wtedy podróż miała się już ku końcowi; David czuł jednocześnie satysfakcję i niepokój przed powtórnią konfrontacją z Murem. Kiedy jednak w blasku popołudniowego słońca jechał na południowy zachód, odczuwał już tylko ciekawość i szczególną determinację. Wiedział z całą pewnością, że doprowadzi całą sprawę do końca, ale gdzie się ów koniec znajdował? Niewiele miał danych, na których mógłby się oprzeć. Wszystko, co wiedział, sprowadzało się do tego:

Nie miał nic wspólnego z Elszą Buhler.

Miał z nią jednak bardzo wiele wspólnego, gdyż był jedną z dwóch osób na świecie, które wiedziały, że Elsa Buhler nie żyje.

Nic go nie łączyło z obozem koncentracyjnym Dora we wschodnich Niemczech.

Bardzo wiele go łączyło z *Konzentrationslager Dora*, gdyż właśnie tam teraz jechał.

Nic nie miał wspólnego z tym, co wydarzyło się w China Lake, na pustyni odległej stąd o pięć tysięcy mil.

Co też nie było prawdą. Miał z tym bardzo wiele wspólnego, bo czyż nie w China Lake zaczęła się jego historia?

David bardzo ostrożnie podchodził jednak do takich spekulacji. To jest historia mego życia, myślał. Tak naprawdę nigdy nie było ono naprawdę jego życiem; decydowali o nim inni ludzie i raczej stanowiło szereg wypadków, które mu się przydarzyły, niż było przez niego tworzone. Nie widział w tym zresztą nic szczególnego. Spoglądając przez szybę, widział świat „komunizmu” i „komunistów” jadących swymi samochodami, ale słowo „komunizm” było tylko skrótowym określeniem dla tego, co im się przytrafiło. Wszystko było, oczywiście, idiotyczne. Podejrzewano go o „współpracę z komunistami”, gdyby jednak policja enerdowska złapała go teraz, oskarżyli by go z pewnością o współpracę z CIA... co byłoby istotnie pięknym zakończeniem, zupełnie jak ostatnia scena sztuki telewizyjnej, w której bohater powraca ostatecznie do punktu wyjścia, podczas gdy z głośnika płyną coraz głośniejsze tony posępnej muzyki. Uśmiechnął się: może dałoby się w tym znaleźć jakieś pocieszenie. Jednakże czymkolwiek było życie, z całą pewnością nie mogło być podobne do sztuki telewizyj-

nej. Uśmiechnął się. Mimo że kilka godzin temu znalazł martwe ciało Elsy Buhler. Ale i to należało do przeszłości. Stanowiło część wydarzeń w Aberporth, *tego, co sam zrobił*, kiedy wreszcie, po tylu latach, wziął swój los w swe własne ręce. Mógł to sobie przyznać. Świat na zewnątrz był całkowicie obcy, ale nie miało to nic wspólnego z ustrojem politycznym ani z ostatnimi wypadkami; równie obco czuł się czasami jadąc przez Cotswolds lub Francję, a na dodatek ten świat nigdy bezpośrednio go nie skrzywdził. Cokolwiek groziło mu ze strony policji wschodnioniemieckiej, doznał już tego z rąk FBI i kontrwywiadu RAF. Tak. Skoro tutaj nie czuł się jak u siebie w domu, jak miał się czuć w Kalifornii? Prawda jednak polegała na tym, że dystans pomiędzy nim a światem pojawił się na długo przed China Lake. Cała zmiana sprowadzała się do tego, że obecnie akceptował ten fakt i że miał w świecie kogoś, dla kogo chciał żyć. W ten właśnie sposób i w tej właśnie chwili pojawiła się w jego myślach Anna. Czuł w sobie jej obecność. Czy, żeby ująć to dokładniej, czuł się osobą, którą się stał dzięki niej. Gdzieś w jego umyśle dwa momenty nakładały się na siebie. Pierwszy, w morzu, kiedy przestaje opadać i przez chwilę nieważki, luźny, swobodny trwa zawieszony w wodzie, wydychając z siebie ostatek powietrza, by następnie pomknąć ku światłu. I drugi, kiedy kocha się z nią po raz pierwszy, ona wzywa go, a on także i teraz trwa w zawieszeniu, gdzieś wysoko ponad samym sobą, by zaraz potem pomknąć i zanurzyć się w niej. Nie rozumiał do końca tego, co wydarzyło się w każdej z tych chwil, ale nie przejmował się tym szczególnie. To się zdarzyło, efekty były już nieodwracalne i w żaden sposób nie mógł ich utracić. Nie wolno mu było ich utracić. Te dwa momenty, można by uznać je zresztą za jeden, ten sam moment, uratowały go. Anna uratowała go. W najdosłowniejszym sensie tego słowa uratowała mu życie. I kiedy tak jechał, czuł, jak opada z niego napięcie, jak rozluźniają się ręce na kierownicy i mięśnie karku, dzięki czemu wygodniej mógł odchylić głowę i uważniej przyglądać się światu, przesuwał się za oknami. Nie ma powodu do obaw, pomyślał. Poradzę sobie z tym wszystkim. Gdyby jednak nie Anna, gdyby nie przeszedł wówczas przez pokój ku niej i nie pocałował jej, gdyby nie wołała go po imieniu, dziś już by nie żył. Zabiłby się, podobnie jak Diana, ostatecznie bowiem postąpiła słusznie. Wszystko

zaczynało się od początku, ale obecna wersja z martwymi ciałami była jeszcze gorsza. Przypomniawszy sobie łyżeczkę do herbaty wrzynającą się w białe udo Elsy Buhler. Widział to i potrafił znieść ten obraz, ale ów człowiek, którym był, zanim Anna... nie, tamtego wcale nie był pewien, kto wie, czy tamten nie otworzyłby ust głęboko w morzu, zgadzając się utonąć i chcąc utonąć.

Ale, oczywiście, dzień się jeszcze nie skończył i David wiedział, że będzie musiał stawić czoło jeszcze wielu zdarzeniom. Miał też pewność, że sprostą wszelkim próbom. Jechał więc, zerkając nieustannie w tylne lusterko, nie dostrzegał w nim jednak niczego szczególnego, odbijał się tam tylko ów osobliwy świat, z którym nic go nie łączyło, ale którego część tak czy inaczej stanowił. Dessau, Halle, Eisleben, wreszcie mógł już dostrzec na horyzoncie miękkie dzięki mgłę zarysy gór Harzu. W Nordhausen zaczął uważnie przyglądać się znakom. Jakim symbolem oznacza się obóz koncentracyjny? Jakiego rodzaju „atrakcje” się reklamuje? Kiedy wreszcie dostrzegł to, czego szukał, nasunęło mu się skojarzenie ze znakami, które ustawia się w widocznych punktach przy prowadzących przez las drogach, uprzedzając kierowców, że mogą napotkać dzikie zwierzęta. Na dużej tablicy zobaczył „płomień wiecznej pamięci”. Zielonymi literami wypisano: „*Mahn- und Gedenkstätte Mittelbau Dora*; Miejsce pamięci ofiar Mittelbau Dora”. Ktoś musiał opiekować się tym obiektem, istniał jakiś zarząd, zatrudniano personel administracyjny: na dole tablicy podane były godziny otwarcia: od września do kwietnia do godziny szesnastej trzydzieści, od maja do sierpnia do piętnastej trzydzieści. *Montags geschlossen*. Według zegarka Davida dochodziła już prawie osiemnasta, prawdopodobnie więc przyjechał za późno, skręcił jednak we wskazanym kierunku – po prawej stronie pojawiło się wysokie wzgórze – i zobaczył, że na parkingu wciąż jeszcze stało sporo samochodów.

Na pierwszy rzut oka niewiele tu było do oglądania: wysokie wzgórze, pokryte małymi drzewkami i pojedynczymi skałami, przywodziło na myśl kamieniołom lub teren poddawany rekultywacji. Kiedy jednak odnalazł ścieżkę, dotarł nią wkrótce do planu z objaśnieniami i zaznaczonym miejscem „Jesteś tutaj”. Wzniesienie po prawej nazywało się Kohnstein. Wyliczono wiele różnych miejsc, obok każdego umieszczono czytelny napis.

Appellplatz, „Plac apelowy”, *Wachturm*, „Wieża strażnicza”, *Hier wurden 7 Italianer erschossen*, „Tutaj zastrzelono 7 Włochów”, *Mehrzweck-Gebäude*, „Budynek wielozadaniowy”, *Museum ehem. Krematorium*, „Muzeum, dawne krematorium”. Wszystkie te miejsca oznaczone były na planie za pomocą schematycznych rysuneków, ale Davidowi nie od razu udało się je odnaleźć. Przed sobą miał ścianę drzew i mały pagórek, ale dość szybko się zorientował, że dalej, niemal na wprost niego znajdują się miejsca oznaczone na mapie jako *A-Stollen*, „Tunel A” i *B-Stollen*, „Tunel B”. Kreska symbolizująca tory kolejowe prowadziła do dwóch ciemnych półkoli, trochę przypominających znak spotykany przy górskich drogach, oznaczający przełęcz. Stąd dostrzegał jedynie dwie jasne plamy w skale, szyny były jednak widoczne w popękanej cementowej nawierzchni. Kiedy ruszył w tamtym kierunku, zobaczył wielki betonowy blok, który ktoś kiedyś usiłował zapewne wysadzić w powietrze – ciemny, potrzaskany. Wszystkie bloki cementowe były tak masywne, że nietrudno było odgadnąć ich przeznaczenie. Twierdza. Bunkry. Zorientował się, że tu musiało się znajdować wejście do obozu. Wyobraził sobie uzbrojonych strażników, żołnierzy i ciężarówki oczekujące na kontrolę dokumentów. Idąc pomału wciąż prosto przed siebie, dotarł wreszcie do bramy miejsca pamięci ofiar *K-Z Mittelbau Dora*.

Minał ją, ale i tu nie bardzo miał co oglądać. Zobaczył przed sobą odkryty plac wielkości boiska futbolowego z drózkami z tego samego starego betonu, w którym zatopione były szyny kolejowe. Sądząc z informacji na planie, musiał to być *Appellplatz*. Po jego drugiej stronie zobaczył wznoszącą się na wysokim rusztowaniu wieżę strażniczą, absurdalną, jak z filmu, a zarazem przerażającą, gdyż była prawdziwa. Ceglany budynek stojący na wzgórzu po prawej stronie musiał być ongiś krematorium, dziś mieściło się tu muzeum. Prowadziły do niego schody wznoszące się spiralą między drzewami. David przez chwilę przyglądał się grupce ludzi zgromadzonych wokół budynku – przypominali rzeczywiście grono żałobników zebranych nad grobem. Potem przeniósł wzrok dalej. Pośrodku placu wznosiła się ściana zbudowana z bloków skalnych, wysoka na dziesięć stóp, a długa na piętnaście, przypominająca wielki nagrobek, zwrócona frontem w kierunku pagórka, jak gdyby cały ten plac był jednym wiel-

kim cmentarzem, a ziemia pod stopami Davida pełna była pogrzebanych kości. Podeszedłszy bliżej, zdał sobie naraz sprawę, że nie ma tu żadnego „jak gdyby”, że istotnie stąpa po wielkim cmentarzysku. Przystanął i zadął głowę. Monument wywierał przygnębiające wrażenie. Płaskorzeźba wykuta w skale przedstawiała widmowe, śmiertelnie wychudzone postacie, skurczone, zgięte, skulone. Ci ludzie byli już w stanie agonii. Wielu trzymało w rękach łopaty i oskardy: trupy ryjące groby dla siebie samych. Kopacze. Krety. Nieprzerwanie drążący nawet tę skałę, która ich upamiętniła. Przyszło mu na myśl zdjęcie, które widział w książce archeologicznej, a które przedstawiało szkielet jakiegoś egzemplarza *Homo erectus* (czyżby to był ironiczny komentarz jego umysłu do tych wykrzywionych i zgiętych postaci?) znaleziony w jaskini w Shandinar, a pogrzebany ponad milion lat temu pod wspólnym ogniskiem. Jeśli dobrze pamiętał, znaczenie tego odkrycia polegało na tym, że obok szkieletu znaleziono ślady pyłu kwiatowego, co dowodziło, iż do grobu włożono kwiaty. Czy na tych grobach kładł ktoś kwiaty? Pod wpływem tej myśli odwrócił się i spojrzął w stronę krematorium, już wcześniej bowiem dostrzegł tam główki kwiatów; ktoś zatem stale troszczył się o to miejsce. A potem wszystkie myśli odpłynęły i czuł już jedynie słońce i wiatr. Cóż jeszcze mógł czuć? Każde uczucie było tłumione przez wstyd, wyszydzone za swoją niestosowność. Jak śmiesz czuć cokolwiek. Jak śmiesz być żywym, by móc czuć. Cóż warte są twoje emocje? Ale i to minęło. Nieoczekiwanie uświadomił sobie, że doznaje wrażenia osobliwej beztroski, gdyż tutaj, w tym prawdziwym sanktuarium, był bezpieczny. Co więcej, wydawało mu się, że coś rozpoznaje, że się spełnia jakieś oczekiwanie. Nie dziwiło go to, że się tu znalazł, wszystko, co tu odkryje, było mu już w pewien sposób znane. Tak wiele było powiązań, całkowicie teraz pochłaniających jego umysł. Rakiety, wojna i nauka – połączenie, które odegrało tak istotną rolę w jego życiu. Niemcy. Pomyślał o Wernherze von Braunie, jednym z pierwszych konstruktorów pocisków rakietowych. Jeśli budowano tutaj V-2, musiał stać kiedyś dokładnie w tym miejscu. I czy ktoś w China Lake nie wspominał, że teodolity znajdujące się w bazie zostały przywiezione z Peenemünde czy jakiegoś innego ośrodka niemieckiego? Tak: nasi Niemcy są lepsi od waszych Niemców. Nawet w jego czasach słyszało się jeszcze

niekiedy taki żart; czy Stern nie mógł być właśnie jednym z takich „lepszych” Niemców? Znalazł się tu także Buhler, a zjawił się tu również z pewnością i Tannis, który, jak David pamiętał, świetnie mówił po niemiecku, musiał się tego nauczyć właśnie tutaj. Ale to poczucie wiązania się różnych fragmentów obejmowało jeszcze coś więcej: pewność, że to tutaj wszystko się zaczęło. To tutaj kryło się sedno wszystkich zagadek.

Co było tym sednem?

W czym się ono kryło?

Ponownie spojrzął w kierunku krematorium-muzeum; jeśli istniały odpowiedzi na te pytania, tam należało ich szukać. I musiał je odnaleźć jak najszybciej. Niebo wciąż jaśniało miękkim, mglistym światłem, minęła już jednak szósta, a do Berlina miał jeszcze co najmniej cztery godziny drogi. Z drugiej jednak strony dobrze rozumiał, że nie może działać zbyt pośpiesznie. W tym miejscu należało się zachowywać bardziej dyskretnie i powściągliwie niż w jakimkolwiek innym; grupa, którą widział już uprzednio, nadal stała w skupieniu na szczycie wzniesienia, odprawiając swą ceremonię, podmuch wiatru przywiął ku niemu dźwięki głosów. Dopiero znalazłszy się u stóp wzgórza, David zdał sobie sprawę z tego, jak było wysokie. Na szczyt prowadziły kręte kamienne schody o wysokich stopniach, które wymuszały jakby właściwy, powolny krok. Wspiąwszy się na górę, David zobaczył drugi pomnik, rzeźbę na środku małego placu wyłożonego szarym kamieniem – postacie więźniów stanowiły niemal kopie postaci przedstawionych na płaskorzeźbie dolnego monumentu. Przed nią płonął wieczny znicz, wokoło piętrzyły się wiązanki kwiatów i wieńce, a po lewej stronie stały w dwuszeregu dzieci w szkolnych mundurkach przysłuchując się temu, co mówił towarzyszący im nauczyciel. Ze dwadzieścia albo trzydzieści innych osób milcząc wpatrywało się w pomnik. David zawahał się. Jeden z mężczyzn spojrzął pytająco w jego stronę, zaraz jednak uśmiechnął się i odwrócił głowę, jakby udzielając mu pozwolenia. Rób swoje, nie będziemy ci przeszkadzać. David przeszedł cicho za plecami stojących ku lekko uchylonym drzwiom muzeum i wśliznął się do środka. Nie dostrzegł nikogo, paliło się jednak światło. Rozejrzał się wokoło. Niewiele było do oglądania; tutaj w ogóle, nigdzie, pomyślał, nie ma wiele do oglądania: puste miejsca, budynki, które są na planie,

ale które już nie istnieją. Niemal nic nie pozostało. Dlatego także i ekspozycje, nawet samo krematorium – wagonik ustawiony na szynach prowadzących do żelaznego pieca – nie wywierały zbyt silnego wrażenia. Większość ich umieszczono pod ścianą, wzdłuż której szedł teraz powoli. W jednej z gablotek znajdowała się *Gummi*, co, jak przypomniał sobie David, znaczyło po niemiecku „guma”: pałka, esesmani używali takich pałek do bicia więźniów; w drugiej zobaczył poszarpany uniform obozowy, pasiak – w niemych filmach nosili takie zbrońcy – obok leżała czapka, *Mütze*; w następnej stało wiadro, w którym zabijano więźniów: topiono ich we własnych ekskrementach, teraz był to już tylko stary zardzewiały kubek. Innymi „ekspozycjami” były modele tuneli, pocisków V-2 (w trakcie montażu i gotowych egzemplarzy wywożonych z obozu na platformach kolejowych). Zgromadzono sporo zdjęć: baraków, pocisków, zdjęcia Wernhera von Brauna – jedno z nich przedstawiało scenę wręczania mu medalu przez prezydenta Eisenhowera – kilka fotografii jakiegoś Alberta Kuntze, komunistycznego posła do Reichstagu, którego tutaj zamordowano, fotografie esesmana o nazwisku Sander, oskarżonego o liczne morderstwa i skazanego w Niemczech Zachodnich na osiem lat więzienia. Światło było dość słabe, nigdzie nie znalazł guzików, po których naciśnięciu zapaliłyby się dodatkowe lampy albo dałyby się słyszeć nagrane na kasetę teksty z objaśnieniami. Mimo to obejrawszy ten skromny zbiór ekspozycji, David dowiedział się o obozie koncentracyjnym Dora wszystkiego, co mu było potrzebne.

O jego historii.

Znał ją już trochę, stanowiła bowiem część historii współczesnych rakiet, do której należały również Aberporth i China Lake. Tyle że w Niemczech wszystko zaczęło się wcześniej, bo już w roku 1927, kiedy to grupa młodych naukowców stworzyła Towarzystwo Podróży Kosmicznych, *VfR* (*Verein für Raumschiffahrt*) i zaczęła konstruować we Wrocławiu małe silniki rakietowe. Byli amatorami, ale za to najlepszymi w świecie. W roku 1930 udało im się wystrzelić raketę o wadze siedmiu kilogramów, a dwa lata później ich silnik *Repulsor* zainteresował niemieckich wojskowych, co doprowadziło niemal do rozłamów w grupie, część jej członków bowiem uważała, że badania powinny mieć charakter czysto

naukowy i powinny służyć wyłącznie celom pokojowym, a reszta nie podzielała tych zastrzeżeń. O wszystkim zapewne zadecydowały pieniądze, ponieważ w 1932 roku w Niemczech panował głęboki kryzys i fundusze, którymi dysponowało VfR, gwałtownie się kurczyły. Górę wzięła zatem ostatecznie „partia wojenna” – w końcu chodziło przecież nadal o badania naukowe – na której czele stał oczywiście Wernher von Braun. Jesienią 1932 roku zaczął pracować na rzecz armii pod kierownictwem młodego oficera, Waltera Dornbergera, i przez następne trzynaście lat ci dwaj ludzie odgrywali dominującą rolę w niemieckich badaniach nad raketami. Von Braun wywodził się z rodziny arystokratycznej, jego ojciec, znany finansista, był członkiem gabinetu Hindenburga. Dornberger pochodził z o wiele niższej sfery: jego ojciec był aptekarzem, on sam zaś wybrał karierę oficera artylerii. Ale obaj byli inżynierami, a ich talenty znakomicie się uzupełniały. Von Braun stanowił rzadki przypadek naukowca, który rozumie, co to jest polityka, a zwłaszcza polityka militarna, i jakie są jej priorytety. Dornberger był jednym z tych nielicznych wojskowych, którzy rozumieli potrzeby nauki i rządzące nią prawa. W krótkim czasie uczynili Niemcy pierwszą potęgą raketową świata, choć mało kto o tym wiedział. W roku 1934 ich pierwsze dzieło, pocisk A-4, wystrzelony nad wyspą Borkum na Morzu Północnym osiągnął wysokość niemal 2000 metrów, w roku 1936 zaczęli budować wielki poligon obok Peenemünde, małej wioski rybackiej leżącej nad Bałtykiem. W roku 1941, kiedy klęska Luftwaffe w Bitwie o Anglię skłoniła Hitlera do przyznania ich programowi absolutnego pierwszeństwa, przygotowywali się już do montażu dużej rakiety, która zasłynęła jako V-2. Miała prawie 15 metrów długości i około 15 ton wagi w momencie startu, zasięg około 180 kilometrów i osiągała szybkość do 5600 kilometrów na godzinę. W październiku 1942 przeszła zwycięsko próbę generalną i w końcu tego roku skierowano ją do produkcji seryjnej. Według pierwotnych założeń rakiety miano wytwarzać w dwóch miejscowościach: samym Peenemünde oraz zakładach Zeppelina we Friedrichshafen nad jeziorem Konstanz. We wrześniu 1944 roku Niemcy zamierzali osiągnąć poziom 600 pocisków miesięcznie. Był to plan niesłychanie ambitny, ale znacznie wcześniej uderzyli alianci. Tę historię David znał także, jak chyba każdy angielski chłopak z jego poko-

lenia. Była to opowieść o zuchwałych lotach zwiadowczych nad Bałtykiem w małych drewnianych moskitach, o dziwnych obiektach na zdjęciach, które zdobyto, przypominających bomby, ale niepodobnych do żadnej ze znanych bomb, i o ostatecznym odkryciu dokonany przez prawdziwą bohaterkę, Constance Babington-Smith (którą w filmie grała... nazwiska aktorki David nie mógł sobie przypomnieć), że są to rakiety. Prawdziwa historia była mniej dramatyczna niż na filmie (Brytyjczycy w gruncie rzeczy od kilku już lat wiedzieli, że w Peenemünde dzieje się coś podejrzanego) ale jej finał był rzeczywiście niezwykle spektakularny. 17 sierpnia 1943 roku 595 bombowców RAF zrzuciło 1800 ton bomb silnie eksplodujących i zapalających. Baza została w znacznym stopniu zniszczona, nie było już mowy o tym, by mogła pełnić funkcję centrum produkcyjnego. Należało znaleźć inne rozwiązanie i wkrótce je znaleziono. Dwa tygodnie później do miejsca, które ostatecznie stało się znane pod nazwą Dora, położonego w górach Harzu, przybył transport pierwszych więźniów – dwustu Francuzów, Rosjan i Polaków przewiezionych z Buchenwaldu.

Niemcy rozumowali w sposób prosty. Sekret Von Brauna został odkryty, więc każda próba wytwarzania broni w normalnych warunkach spowodowałyby tylko serię kolejnych nalotów; zbudowano zatem fabrykę podziemną, dosłownie wewnątrz góry. Górę Kohnstein wybrano z dwóch powodów. Po pierwsze, znajdowała się w pobliżu Nordhausen, ważnego węzła kolejowego, tak więc zmontowane rakiety łatwo można było dostarczyć do wyrzutni, w których zasięgu znajdowała się Wielka Brytania, a zwłaszcza Londyn. Po drugie, Niemcy już wcześniej korzystali z Kohnstein i wiedzieli, że tutejsze warunki odpowiadają ich potrzebom. Niegdyś była tu kopalnia amonitów, którą w roku 1917 przekształcono w obóz pracy dla jeńców wojennych. W roku 1934 przestano cokolwiek wydobywać, jednakże idąc za sugestią I.G. Farben – jakże wszystko się łączyło: to właśnie I.G. Farben dostarczała gaz do Oświęcimia – tunele i szyby zamieniono na składy oleju, benzyny i innych chemikaliów. Teraz Niemcy potrzebowali tylko pogłębić tunele i... Ale, oczywiście, zrobili to nie Niemcy, lecz *Stücke*, a wszystko dokoła stało się piekłem.

Pierwsi więźniowie, wszyscy z Buchenwaldu, zostali przywiezieni cię-

żarówkami i zaprowadzeni do starych szybów w zboczu górskim. Pod strażą esesmanów, kilofami, łopatami i dynamitem drążyli w skale setki metrów korytarzy i sal. Spali w wrytych przez siebie jaskiniach. Wodę do picia musieli zbierać ze ścian. Umierali setkami, ale tam, skąd przyjechali, byli ich tysiące, a kiedy zaczęli ginąć tysiącami, także i to nie stało się problemem. Zasoby siły roboczej można było uzupełniać bez żadnych ograniczeń. Umierali z przemęczenia, a jeśli nie mieli już sił do pracy, bito ich na śmierć, tych zaś, w których tliły się jeszcze resztki życia, odstawiano z powrotem do Buchenwaldu i tam gazowano, a zwłoki palono, gdyż w pierwszym okresie swego istnienia obóz Dora nie miał własnego krematorium. *Stücke* pracowali bez wytchnienia przez całą jesień 1943 i zimę 1944 roku. Ci, którzy nie umarli w ciągu pierwszych kilku tygodni od chwili przybycia do obozu (większość umarła) i jakimś cudem przetrwali – często przez długie dni nie widywali słońca i nie mieli możliwości zaczerpnąć świeżego powietrza. Ale zbudowali fabrykę Von Brauna. Była ogromna. Dwa główne tunele, odległe od siebie o sto pięćdziesiąt metrów, szerokie na dwanaście i wysokie na dziesięć metrów, uzyskały ostatecznie prawie trzy i pół kilometra długości. Łączyło je czterdzieści siedem poprzecznych korytarzy o szerokości dziesięciu i wysokości sześciu metrów. W sumie dawało to około sto tysięcy metrów kwadratowych powierzchni użytkowej. A nad tym wszystkim wznosiła się góra Kohnstein tworząc dach o grubości siedemdziesięciu metrów.

Kiedy ukończono budowę fabryki, można już było przystąpić do konstrukcji samych pocisków. Drugi etap historii obozu Dora zainaugurowały dwie ważne wizyty. Pierwszą złożył w grudniu 1943 roku Albert Speer, człowiek, który kierował niemiecką produkcją zbrojeniową. To, co tu zobaczył, wywarło na nim wielkie wrażenie. Speer nie używał takich określeń jak „wiodąca technologia” czy „pocisk balistyczny średniego zasięgu”, niemniej właśnie to znalazł w Dorze. Zrozumiał jednak natychmiast, że ślaniające się na nogach szkielety nie nadają się do wykonywania żadnych prac wymagających precyzji. Natychmiast zaalarmował Peenemünde i 25 stycznia 1944 roku odwiedził obóz sam Von Braun. W towarzystwie swojej świty i strażników z SS – *Mützen ab!* „Czapki z głów!” darli się na więźniów – przeszedł się tunelami i podzielił opinię

Speera. Taki obóz i tacy niewolnicy nie pasowali do jego rakiet. Zmieniło się zatem i jedno, i drugie. Pod koniec marca *Stücke* zostali przeniesieni z tuneli do baraków, zimnych, nieszczelnych, pełnych pluskiew i wszy, ale za to suchych i wolnych od duszącego pyłu kamiennego. Pojawili się też nowi robotnicy. Francuzi. Czesi. Włosi. Rosjanie. Polacy. „W istocie – zeznawał osobisty sekretarz Von Brauna – musieliśmy naprawdę dbać o cudzoziemskich robotników, gdyż zależało nam na ich dobrej pracy. Często jednak sami walczyli między sobą. Trzeba pamiętać, że wielu z nich trafiło do obozu dlatego, że byli przestępcami lub homoseksualistami, a nie z racji przekonań politycznych czy religijnych. Potrzebowaliśmy robotników, staraliśmy się przeto dobrze ich traktować. Było to ściśle tajne przedsięwzięcie i tych, którzy zostali do niego włączeni, nie eliminowano”. Jeśli zachować konieczny dystans wobec tej wypowiedzi, można przyznać, że zawiera ona sporą dozę prawdy. Z sześćdziesięciu tysięcy ludzi, którzy przewinęli się przez obóz, wielu go przeżyło, choć ponad połowa zginęła. Jeżeli chodzi o polityczne poglądy, to niezależnie od upodobań seksualnych większość stanowili z pewnością przeciwnicy nazizmu. Byli wśród nich komuniści (przede wszystkim Niemcy) i członkowie ruchu oporu (głównie Francuzi, Francuzi stanowili zresztą w Dorze grupę relatywnie licznieszą niż w innych obozach). *Konzentrationslager Dora* był niewątpliwie tygłem, w którym znaleźli się też *Kapo* i członkowie *Sonder-Truc* – esesmańska nazwa „zadań specjalnych” – którzy katowali więźniów i wieszali ich – albo na *Holzhof*, ogrodzonym płotem placyku z szubienicą za lazaretem, albo po prostu w tunelach. Tak czy inaczej produkcja trwała. Von Braun zaprojektował rakiety o takich wymiarach, by mieściły się w tunelach kolejowych; dowożono je do wyrzutni i odpalano; wystrzelono ich ponad trzy tysiące. Głównym celem był Londyn, na który spadło 517 pocisków, ale ponad 1200 ugodziło w Antwerpię, wystrzelono je też na Paryż, Liège, Lille, Maastricht i Hasselt (były to już mniejsze liczby). Jednakże nawet najcudowniejsza broń nie mogła już wtedy powstrzymać naporu aliantów. W ostatnich miesiącach wojny liczba więźniów zwiększyła się, gdyż cofając się przed nacierającymi od wschodu Rosjanami, Niemcy przrzucali do Dory ludzi z innych obozów, także z Oświęcimia. Był to najtrudniejszy okres w dziejach obozu, gdyż strażnicy

i członkowie administracji, bojąc się, że zostaną pociągnięci do odpowiedzialności za swe zbrodnie, zaczęli eliminować świadków. Dokonywano masowych egzekucji. Wszędzie wznosiły się stosy martwych ciał, było ich tyle, że piece krematoryjne nie mogły sprostać swoim zadaniom i zwłoki palono także na placu apelowym, polewając je najpierw benzyną. Aż wreszcie 11 kwietnia 1945, w tydzień po ucieczce Von Brauna i jego kolegów, do obozu wjechały czołgi Trzeciej Dywizji Pancерnej Trzeciej Armii amerykańskiej.

Historia obozu Dora.

Tak było.

Niewiele więcej dałoby się powiedzieć. Z broszurką *KZ Dora: Produktionstätte des Todes* David cztery razy obszedł gabloty, porównując modele z mapami, wpatrując się w fotografie, w końcu jednak doszedł do przekonania, że to daremny wysiłek – nic więcej już nie mógł uzyskać. Nie ulegało wątpliwości, że każda rakietą, jaką człowiek wybuduje, każdy statek kosmiczny, którym poleci, będą się łączyć niewidzialnymi nićmi z tym miejscem, ale zachowało się tu mniej świadectw przeszłości, niż archeolog mógłby odnaleźć na terenie, gdzie leżała przed wiekami niewielka rzymska osada. *Stücke*. Śmiecie. Właściwe słowo. To, co się tu czuło, i to, co się widziało, było jakoś wzajemnie spójne. Ludzie o wybitnych umysłach, którzy skonstruowali rakiety, stworzyli także obóz: jedno i drugie ściśle się ze sobą wiązało. Nie było może konieczne budowanie rakiet, ale jeśli już je budowano, musiano to robić w ten sposób.

Jak jednak on sam pasował do tego wszystkiego?

Było coś pociągającego w tej myśli... Wydawała się trudna do zniesienia, ale zarazem w jakimś sensie był to zaszczyt, na który nie zasłużył. Czuł się taką drobinką, to, co się jemu przydarzyło, rozegrało się w zupełnie innym wymiarze, a jednak... przydarzyło się. Elsa Buhler nie żyła, Vogel i Stern – jeśli Stern nie był po prostu Voglem – w jakiś przerażający sposób wiązali się z tym miejscem. Podobnie Tannis. A przynajmniej było to możliwe. David żałował teraz, że nie znał lepiej Tannisa, ale wiedział przynajmniej tyle, iż tamten był oficerem wywiadu. O tym, jak to Von Braun i jego ludzie nawiązali kontakt z Amerykanami i przybyli do China Lake, krążyły legendy. Oficer wywiadu mógłby dokładnie znać całą tę

sprawę. Czy Tannis znał Buhlera? Zapewne tak, pomyślał David, w grę wchodziły przy tym trzy możliwości. Buhler był więźniem albo strażnikiem, albo też naukowcem.

Rozważał je właśnie, kiedy otworzyły się drzwi do muzeum i stanął w nich (widać go było wyraźnie w świetle wpadającym z zewnątrz) jakiś starszy mężczyzna. Spieszył się chyba gdzieś i w pierwszej chwili nie zauważył Davida, a kiedy go spostrzegł, przystanął zdziwiony.

– Och, przepraszam. Jest pan może członkiem delegacji? – zapytał po niemiecku, na co David odpowiedział, nie wiadomo właściwie czemu, po angielsku:

– Nie, nie. Po prostu wszedłem tutaj. Mam nadzieję, że nie stało się nic złego.

Tamten przeszedł na angielski.

– Nie, oczywiście, że nie, ale, wie pan, mamy teraz uroczystość... Niech pan chwilę poczeka, mój kolega mówi bardzo dobrze po angielsku.

– Wszystko w porządku – zaczął David po niemiecku, lecz tamten był już za drzwiami. W chwilę później wszedł ktoś znacznie młodszy. Miał rude kręcone włosy i bujną rudą brodę. Sprawiał wrażenie chętnego do pomocy i jednocześnie odrobinę zdenerwowanego.

– Czy mogę się na coś przydać? Jest pan Anglikiem?

– Tak, ale mówię po niemiecku – odparł David w języku swego rozmówcy.

– Och, nie, ja bardzo lubię mówić po angielsku. Jedyne kłopot polega na tym, że muzeum jest już właściwie zamknięte, a my jesteśmy tutaj tylko z powodu uroczystości.

– Przepraszam, nie wiedziałem.

– Nic nie szkodzi – uśmiechnął się Niemiec. – Proszę, niech pan sobie spokojnie ogląda.

– Bardzo dziękuję, ale obejrzałem chyba już wszystko.

Pierwszy mężczyzna stał w otwartych drzwiach i David odniósł wrażenie, że oni obaj czekają, aż sobie pójdzie, pewnie dlatego, że wtedy i sami mogliby stąd odejść. Jednakże nie chcieli być nieuprzejmi. Uśmiechnąwszy się przeszedł obok nich, mrużąc w wejściu oczy; podróż do Dory nie trwała długo i ciągle jeszcze było całkiem jasno.

Młodszy odpowiedział uśmiechem.

- Jest pan Anglikiem? Z samej Anglii?
- Tak.

Tamten pokiwał głową, wyraźnie zadowolony. I właśnie wtedy David zdecydował się na pytanie:

– Czy... czy macie może panowie jakieś wykazy więźniów? Chodzi mi o nazwiska, imiona...

Wyraz zakłopotania pojawił się na twarzy mężczyzny.

- Nazwiska?
- Tak. Mówiąc ściśle, chodzi mi o pewnego konkretnego więźnia. Człowieka, który był tutaj.

Rudzielec zaczął kręcić głową z powątpiewaniem, ale potem nagle znieruchomiał. „Proszę chwilę poczekać” – powiedział, odwrócił się i pobiegł w kierunku znicza, głośno coś wykrzykując. David wolno poszedł za nim. Ceremonia najwyraźniej dobiegła końca. Uczniowie schodzili w dół schodami, a dorośli, stojąc w grupkach po dwie lub trzy osoby, zbierali się także do odejścia. Rozmówca Davida podszedł do jednej z tych grupek i już po chwili prowadził w stronę angielskiego gościa niskiego mężczyznę o sprężystym chodzie i ogorzalej, pokrytej śladami ospy twarzy. David ocenił jego wiek na jakieś sześćdziesiąt lat, może trochę więcej. Ubrany był w porządny szary garnitur z granatową kamizelką, pod którą widać było białą koszulę i starannie zawiązany krawat. Na jego twarzy malowało się zaciekawienie. Coś w jego zachowaniu – może ta żwawość – przywiodło Davidowi na myśl Josepha Conrada. Kiedy chłopak z muzeum przedstawił ich sobie, okazało się, iż mężczyzna jest Czechem. Nazywał się Jan Zalenda i mówił bardzo dobrze po angielsku.

– Rickert powiedział mi, że chciałby się pan dowiedzieć czegoś o konkretnej osobie.

- Tak. Chodzi o Waltera Buhlera.

Tamten natychmiast pokręcił głową.

- Nie ma go tutaj.
- Ale był więźniem w Dorze?
- Oczywiście. Dzisiaj jednak nie przyszedł. Zazwyczaj zjawiał się w takie dni jak dziś, ale obecnie nie ma go w ogóle w NRD.

- Nie rozumiem.
- To taka ich polityka, panie Harper. Kiedy ktoś jest już na emeryturze i nie ma przeciw niemu żadnych specjalnych zastrzeżeń, może wyjechać. Widziałem się z nim pół roku temu w Pradze i mówił mi, że tak zrobi. Gdyby nie wyjechał, na pewno byłby tutaj. Jest członkiem naszej grupy.

Rickert patrzył na nich obu z uśmiechem. David przez chwilę szukał słów.

- W każdym razie Walter Joseph Buhler na pewno był więźniem tego obozu?

– Tak. Jego brat też. Ich ojciec siedział w Buchenwaldzie i nigdy stamtąd nie wyszedł. Byli związkowcami, pracowali na kolei. Najpierw wzięli ich ojca, potem także obu synów. Jego brat był dobrym specjalistą. A Walter jeszcze całkiem młodym chłopakiem.

- Rozumiem. A co się stało z jego bratem...?
- Johannesem. Powiesili go.
- Powiesili?
- Tak. W tunelu B. Chce pan o tym posłuchać?
- Trudno mi powiedzieć.

Zalenda wzruszył ramionami. Nie zraził się wcale, usłyszawszy tę niejasną odpowiedź. Wprost przeciwnie, jakby nawet odprężył.

– Tak, powiesili. Widziałem na własne oczy, więc nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Zawsze robili to w ten sam sposób. Brali drewniany kołek, wciskali skazańcowi do ust, żeby nie połknął swojego języka albo go nie odgryzł. A potem wieszali na cienkim sznurku i człowiek się dusił. Zawsze kilku wisiało ku przestrodze reszty.

- I powiesili go... tak po prostu? Bez żadnej przyczyny?
- Podejrzewali, że jest w ruchu oporu.
- A był?

Czech pokręcił głową.

– Nie, zawsze bardzo chciał, chciał coś robić, wiedział, że ja jestem. Ale nie mógł należeć z powodu Waltera. Rozumie pan, esesmani zbyt łatwo mogliby wydusić z niego wszystko, jeśli by zagrozili, że zabiją Waltera...

– Rozumiem.

Czech umilkł, zamyślił się na chwilę. David poczuł, że kręci mu się w głowie, bał się, że się rozchoruje. Tamten podjął swą opowieść:

– A poza tym wskazał go Vogel.

Vogel. A więc znalazła się nić wiążąca. Davidowi udało się zachować obojętny ton.

– A kim był Vogel?

– Słyszał pan coś o obozach, panie Harper? Działał tu ruch oporu, wiele organizacji... każda narodowość miała własną... Była organizacja francuska, bardzo silna. Czeska, rosyjska, polska... Ale istniała też pewna koordynacja. Centrum znajdowało się w szpitalu, który stał, o tam, w tym miejscu. Właściwie nie był to żaden szpital, ale tam właśnie szli „muzulmanie”; tak nazywaliśmy tych, którzy nie mogli już pracować i tylko modlili się do Allaha, żeby ich zabrał do siebie. W każdym razie lekarz miał radio, którego niektórzy z nas słuchali, a wiadomości przekazywali później dalej. To było coś bardzo ważnego, a SS i Gestapo starały się mieć wśród nas swoje wtyczki. Jakoś tam nakryli Vogla i zaczęli go torturować.

– A on pracował w szpitalu?

– Tak. Był kimś w rodzaju sanitariusza, a poza tym sporządzał jakieś raporty, dzięki czemu miał większą... swobodę ruchów? Tak to się mówi po angielsku?

– Tak.

– No więc złapali go. Nie wiem jak, w każdym razie strasznie bili go pałkami. I któregoś ranka stoimy na apelu, czapki z głów, a oni prowadzą wzdłuż szeregów Vogla, który pokazuje esesmanom „przywódców konspiracji”.

– Zaraz, nie rozumiem. Wskazał brata Buhlera, ale przecież powiedział pan, że tamten nie należał do ruchu oporu.

– No właśnie. Vogel wybrał dziewięciu ludzi na chybił trafił i esesmani ich wszystkich powiesili. Nikt spośród nich nie brał udziału w konspiracji. SS nic o tym nie wiedziało, ale ruch oporu nie doznał żadnych strat.

Przez chwilę David milczał wstrząśnięty. Kiedy stał tak w ciszy, Czech dotknął jego łokcia i pociągnął go lekko w kierunku schodów. On także

chciał już odejść. Zaczęli schodzić ku *Appellplatz*, który krył się teraz w cieniu góry Kohnstein.

– A co potem zrobili z Voglem? – zapytał wreszcie David.

– Hm, to dziwne, ale go nie powiesili. Nie wiem dlaczego. Ale w końcu kto może wiedzieć, jaką grę prowadzili esesmani. Może chcieli go jeszcze później wykorzystać. W każdym razie była to klęska dla Vogla. Większość ludzi w obozie nie należała do ruchu oporu, nie wiedziała więc, co rzeczywiście zrobił. Uznano go powszechnie za kapusia. Prawdę znali tylko tacy jak ja, którzy nic nie mogli powiedzieć. Kiedy więc zjawili się Amerykanie... wszystko było takie pogmatwane. Ci, którzy przetrwali, podzieleni byli na grupy odpowiednio do narodowości. O Voglu wiem na pewno jedynie to, że miał kobietę, która przysłała tu z Oświęcimia. Była Żydówką, ale także Amerykanką, i to na tym się opierając, Walter próbował ich odnaleźć. Urodziła się w Chicago i chociaż mieszkała tam zaledwie kilka tygodni, z prawnego punktu widzenia była Amerykanką i dlatego mogli wyjechać do Stanów. Walter pisał do wszystkich możliwych organizacji: od Narodów Zjednoczonych po Czerwony Krzyż; wie pan, po wojnie było mnóstwo takich instytucji. Otrzymywał setki listów. Kiedyś pokazał mi je wszystkie.

Setki listów, pomyślał David, i wszystkie przechowywał w skrytce pod podłogą.

– A po co właściwie Buhler starał się odszukać Vogla? – zapytał.

– No tak. Przysięgał, że go zabije, że znajdzie go nawet pod ziemią. Co mógł myśleć, gdy patrzył na ciało brata wiszące tam w tunelu? Ale później... nie wiem. Znał już prawdę, zadbałem o to, by ją poznał, może mi pan wierzyć. Tak że nie wiem... – Umilkł. Doszli do końca schodów. Zalenda przystanął na chwilę i patrzył w kierunku monumentu. – Trudno właściwie powiedzieć, co Walter naprawdę myślał. Powinien był zrozumieć. Co innego mógł Vogel zrobić? Ktoś musiał umrzeć, a wszyscy byli niewinni. Vogel zrobił to, co robili wszyscy, żeby przeżyć. Sądzę zresztą, iż był przekonany, że jego także powieszą, jestem tego pewien. Myślał więc pewnie tylko o tych ostatnich chwilach z czopem w zębach i chciał przynajmniej umrzeć ze świadomością, że nie zdradził przyjaciół. Dlatego dokonał takiego właśnie wyboru. Tak, Walter musiał to chyba zrozumieć:

Vogel chciał przetrwać jak wszyscy inni. Można by nawet powiedzieć, że i Walterowi pomógł przetrwać, obudziwszy w nim tak silną nienawiść. – Uśmiech przemknął po ogorzalej twarzy Zalendy. – Nie chce mi pan powiedzieć, czemu pan tu przyjechał?

– Jak już mówiłem...

– Nie, nie, w porządku. Ale to, co panu powiedziałem, jest ważne?

– Tak, bardzo ważne.

– To dobrze. W takim razie może opowiem panu jeszcze o czymś – powiedział. Odwrócił się i ruszył znowu wzdłuż podnóża pagórka. – Powiem panu, dlaczego przyjeżdżam tutaj. Teraz przyjeżdżam już tylko w tym jednym dniu w roku – to rocznica dnia, kiedy wszyscy Czesi wydobrzeli już na tyle, że mogli stąd wyjść, i zaczęto nas wysyłać z powrotem do domów. Myślę, że powracam tutaj, żeby pamiętać. Można albo zapomnieć, albo pamiętać... chociaż obawiam się, że gdybym sobie nie przypominał, mógłbym zapomnieć. Ale jest jeszcze jeden powód. Wstydę się tego, co zrobiłem, aby przetrwać. Rozumie pan podobne uczucia? Przepraszam, czy jest pan chrześcijaninem?

– Nie, chociaż właściwie... Nie wiem.

– Naprawdę nie chcę pana urazić, ale ja przeżyłem dzięki wierze.

– Pan zatem jest chrześcijaninem?

– Niezupełnie, tu jednak zacząłem wierzyć w Boga. A w każdym razie w ogóle w coś wierzyć. Zanim tu przyjechałem, nie wierzyłem, ale tu dowiedziałem się wszystkiego o wierze... Musi pan to zrozumieć. Tutaj chciało się tylko przeżyć jeszcze jeden dzień, jeszcze jedną godzinę, a kiedy się to udało, odczuwało się wdzięczność. Ale komu należało dziękować? Inni umierali, a ja nie. Jak można to było wytłumaczyć? Nie było sposobu, znajdowało się więc wiare. Po pewnym czasie zaczynał pan uważać, że to wiara jest naprawdę przyczyną tego, iż pan ciągle żyje, podczas gdy inni dookoła giną. Boże! Im mocniej się wierzyło, tym bardziej wiara wydawała się najważniejszą przyczyną, usprawiedliwiając wszystko i rozgrzeszając ze wszystkiego, co zrobiło się, aby ją podtrzymać. Rozgrzeszając także ze zdrady, zdrady samego siebie... – Czech szedł tak szybko, że David z trudem za nim nadązał. Nagle zatrzymał się i spojrzał w kierunku dwóch plam na skale, które wskazywały wejście do

tuneli. Potrząsnął głową i machnął ręką w ich kierunku. – Nie, zapomnij o Bogu. Zawsze tutaj powtarzałem to sobie. Pamięta pan te słowa Dostojewskiego: „Jeżeli Boga nie ma, to wszystko jest dozwolone”? To bzdura, choć nikt tego głośno nie powiedział, co zawsze mnie dziwiło. My zawsze mieliśmy Boga i wszystko było zawsze dozwolone. Na tym właśnie polegał kłopot z Von Braunem. Ciągłe powtarzał, że kiedy kieruje rakiety na Londyn, jego oczy wpatrzone są w gwiazdy. Ludzie się śmieli, ale ja mu wierzę. Tak, dokładnie tak: ponieważ miał oczy skierowane ku niebu, nie widział ani Londynu, ani tego obozu. To zresztą dotyczyło nie tylko jego. Ludzie tutaj wierzyli w Boga, ale znali także wzory chemiczne.

David nie odrzekł nic, wydawało mu się, że jedyną odpowiedzią może być w tym wypadku milczenie. Ale kiedy uśmiech Czecha zgasł, zorientował się, że tamten chciałby się go już pozbyć, jak balastu, który nie pozwala mu odejść stąd, pójść na spotkanie z przyjaciółmi, powrócić do normalnego życia, i że wszystkie te wydarzenia i problemy wiążące się z nimi, dla Davida tak niezwykle, dla tamtego są rozpaczliwie banalne.

– Przepraszam, czy mógłbym zapytać o jeszcze jedno? – powiedział.

Zalenda uniósł brwi, a potem kiwnął głową.

– Oczywiście. Ale przyjechałem tu samochodem, a muszę być dziś wieczorem w Erfurcie. Robi się już późno...

– Tak, tak, rozumiem. Ale... czy myśli pan... Chciałbym tylko zapytać, jak pan uważa, czy to możliwe, żeby Buhler zabił Vogla teraz, po latach... Czy mógłby ciągle chcieć...

Po raz pierwszy od chwili gdy się spotkali, Czech sprawiał wrażenie zaniepokojonego, wręcz przestraszonego.

– Nie... Nie wiem. Mówiąc szczerze, nie rozumiem, o co panu chodzi. Czemu pan pyta?

– A czy mógłby pan spojrzeć na to zdjęcie? Ten człowiek trzymający konia za uzdę, czy to może być Vogel?

– Vogel?

– Tak.

– Ale pan przecież nic nie wiedział o Voglu. Pytał pan o Buhlera...

– Tak, ale czy mógłby pan przyjrzeć się fotografii? Proszę, niech mi pan powie... To bardzo ważne.

Zalenda sięgnął po zdjęcie z wyraźnym ociąganiem i spojrzął na nie, ustawiając je odpowiednio do światła. Davidowi wydawało się, że w jego oczach dostrzegł błysk przypomnienia, a jednocześnie poczuł lęk, że nabrawszy podejrzeń, tamten nie powie mu prawdy.

– Nie jestem pewien – oznajmił Czech w końcu. – Może tak, może nie, nie potrafię powiedzieć. To stara fotografia?

– Sprzed ponad dwudziestu lat.

– Na pustyni?

– Tak, to pustynia Mojave.

– Przykro mi, nie wiem. Kiedy ostatni raz go widziałem, wyglądał jak szkielet, a jego twarz miała barwę... – Nie kończąc zdania wzruszył ramionami.

– Rozumiem, dziękuję.

– Nadal nie chce mi pan powiedzieć, czemu się pan interesuje tym wszystkim?

– Proszę mi wierzyć, że nie jest to łatwo wytłumaczyć. Ale nikt z tego powodu nie poniesie krzywdy.

Czech pokiwał głową i Davidowi wydawało się przez chwilę, że tamten chce coś jeszcze dodać, ale potem uśmiechnął się, odwrócił nagle i odszedł. David odprowadził go spojrzeniem. Szedł równym krokiem w kierunku wejścia do obozu, wyprostowany, patrząc prosto przed siebie. Potem zniknął, a David nabrawszy pewności, że zniknął naprawdę, ruszył biegiem w kierunku swojego samochodu. Czekala go teraz długa podróż, ale po stokroć warto było tu przyjechać. W głowie kłębiły mu się tysiące myśli. Cokolwiek sądził o metafizyce Czecha, dokonał wielkiego odkrycia, znalazł przesłankę, na której wszystko się opierało. Vogel zabił brata Buhlera, a Buhler po latach pojechał jego tropem, by dokonać zemsty. Ale Vogel i tym razem wyszedł cało z opresji. Zamordował Buhlera i podróżując jako Stern, zacierał teraz ostatnie ślady łączące go z tym miejscem. David zastanawiał się, czy ma jakiegokolwiek prawo mieszać się w ten konflikt. Czy wolno mu było osądzać Vogla? Czy potrafił sobie choćby wyobrazić to, co ten człowiek przeżył i przed jakimi stawał wyborami? To nie była jego sprawa. Nieprawda, problem polegał na tym, że to była jego sprawa. Ale nawet teraz po odbyciu tej straszliwej podróży, nadal nie

wiedział w jakim stopniu i dlaczego. Powrócił więc pamięcią do tego, co się zdarzyło, zanim wyruszył na swoją wyprawę. Kiedy dotarli do Berlina zobaczył w oddali jaskrawe światła Checkpoint Charlie, myślał znowu o Annie. Wiedział, że tylko w ten sposób zdoła przetrwać to wszystko. O godzinie 23.32 w towarzystwie kilkunastu Turków i trzech studentów z Illinois znalazł się z powrotem na Zachodzie.

Rozdział 16

W czerwcowym słońcu woda w porcie i kanałach lśniła migotliwym blaskiem, iglice kościelnych wież skrzyły się pod błękitnym niebem. Kopenhaga była naprawdę urocza. W tym mieście, ilekroć spojrzysz w górę, wzrok zawsze napotyka coś, na co warto popatrzeć: iglicę, wieżę, miedzianą kopułę, czerwone dachy wysokich, wąskich kamieniczek na starym mieście. David nie znał zbyt dobrze Kopenhagi, ale zawsze bardzo ją lubił. Na Storget, w centrum handlowym, pełno było ludzi. Przechodnie. Rowery. Turyści rozkładający mapy i wertujący kolorowe przewodniki. Przy sąsiednim kawiarnianym stoliku usiedli chłopak i dziewczyna; ona zaczęła stopy za nogi krzesła i wciskając splecione dłonie między uda, zdawała się mówić: „Nareszcie tutaj”. Wszyscy wydawali się bardzo szczęśliwi i David czuł, że wcale nie ma ochoty być jedynym wyjątkiem w tym gronie. Spoglądając na Annę, ciesząc się jej widokiem, popijał Carlsberga. Było wtorkowe popołudnie, przyjechał do Danii poprzedniego dnia. Szybko się zorientował, że Anna i Derek są zachwyceni duńskimi wakacjami; nie dręczyły ich żadne szkockie widma. Frue Brahe, teściowa Anny, okazała się czarującą osobą. Miała piękne, przestronne mieszkanie w cudownym starym budynku z kamiennymi schodami i brązowymi poręczami. David nigdy dotąd się z nią nie zetknął, ale Axel musiał jej o nim wspominać, więc przy powitaniu przyglądała mu się tylko przez krótką chwilę, i to w sposób niezwykle dyskretny. Wyczuł moment zawahania, powiew melan-

chologii; domyślił się, że widok innego mężczyzny u boku Anny stanowił dla tej kobiety kolejne potwierdzenie bezpowrotnej utraty syna. Ale ta chwila szybko minęła, pani Brahe była osobą pełną humoru, dysponowała też niewyczerpanym zasobem żartów o mieszkańcach miejscowości zwanej Mol (stanowiących duński odpowiednik „polskich kawałów”). Zachwycona swym wnukiem patrzyła nań z nie ukrywaną dumą, kiedy nie mogąc się powstrzymać, sam wykrzykiwał pointę albo tłumaczył „David, bo ci Molboers to straszni prostacy...” Dwóm Molboersom zgasiła świeczka w gospodzie. Mają dwie zapalki, ale jeden swoją upuścił. Drugi wpadł pod stół i szuka zguby tak długo, aż i jego zapalka gaśnie i teraz obaj siedzą w ciemności. – Rozumiesz? To tacy głupcy...

Uśmiechnąwszy się na wspomnienie tej sceny, David znowu zapatrzył się na Annę, która sęczyła małymi łykami campan. Zawsze je lubiła. Teraz możesz zobaczyć moją miejską duszę, oznajmiła. Chodzili po sklepach, nie miała makijażu poza szminką na ustach; jej rozpuszczone, opadające na ramiona złotorude włosy zachwycająco kontrastowały z lnianą sukienką. David poczuł, że wygląda przy niej jak obdartus, kupił więc sobie parę rzeczy – blezer założył od razu w sklepie. Wyglądał teraz całkiem nieźle i czuł się całkiem nieźle. Po dobrze przespanej nocy i kilku godzinach spędzonych w atmosferze zwyczajnej duńskiej normalności zaczynał rozumieć, co musi teraz zrobić. Odstawiła szklaneczkę. Opowiedziała mu już o tym, jak poszukiwała Tannisa – spędził dwie doby w hotelu w Dumfries, ale kiedy się tam dodzwoniła, już wyjechał – a David opowiedział jej całą historię Sterna, Vogla i Buhlera, wyjaśniając wszystkie szczegóły. Fotografia mężczyzny z koniem i dziewczynką leżała teraz na stoliku pomiędzy nimi.

– Nie rozumiem tego wszystkiego, co mówiłeś o tym zdjęciu. Ten Stern to nie jest Vogel? – zapytała Anna.

– Nie, nie. To jedna i ta sama osoba, a nazywa się z pewnością Vogel. Tylko że ten mężczyzna na fotografii nie jest Voglem.

– Ale przecież Diana była przekonana, że to Vogel. Inaczej to zdjęcie nie miałoby dla niej takiego znaczenia. A jest jeszcze koń, a ona przecież wynajmowała konie od tego człowieka, kiedy byliście w China Lake.

– Masz rację. Ale problem polega na tym, że facet, którego spotka-

łem w Aberporth, jest o wiele wyższy. Nie ma między nimi żadnego podobieństwa, nic nie pasuje. Trzeba wyjść od drugiego końca, wtedy wszystko się układa. Buhler. Wiemy, że Vogel posłał jego brata na śmierć, wiemy także, iż Buhler pojawił się w China Lake i został zamordowany. Buhler, z całą pewnością chciał pomścić brata, ale Vogel wygrał, a następnie postanowił zatrzeć wszystkie ślady w Europie, które mogłyby umożliwić komuś powiązanie go z Buhlerem. Dlatego zabił siostrę tamtego. Ponieważ jednak człowiekiem, który zamordował panią Buhler, był Stern, więc Stern i Vogel muszą być jedną i tą samą osobą...

- I to nie jest mężczyzna z fotografii.
- Właśnie. Bóg raczy wiedzieć, kto to taki. Najprawdopodobniej nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. W ogóle te zdjęcia, które znalazłem, nie wiążą się ze sobą.
- Wiążą się jednak z tobą. Muszą, skoro widziałeś, jak Vogel – czy Stern – włamuje się do domu Diany w Aberporth.
- Tak, ale zastanawiam się, czy to nie prowadzi do innej oczywistej konkluzji. Myślę, że Vogel był szpiegiem, że to on przekazał Sidewindera Rosjanom i że to on jakoś mnie w to wrobił. Z China Lake wiąże mnie tylko Sidewinder i tylko z jego racji jestem w to wszystko wplątany. Przeciwnie mnie przemawiały trzy rzeczy. Po pierwsze, materiały, do których miałem dostęp, z całą pewnością mogłem skopiować plany Sidewindera. Przypuszczam, że o tym Vogel nie wiedział, wiedział jednak z pewnością, że jestem naukowcem. Diana mogła mu o tym wspomnieć ot tak po prostu.
- Mogła mu też podsunąć coś, nad czym właśnie...
- W to nie bardzo wierzę. Diana zawsze bardzo skrupulatnie przestrzegała wszelkich przepisów. W każdym razie bez trudu mógł się dowiedzieć, że jestem naukowcem pracującym w bazie, a to było wszystko, czego potrzebował. Punkt drugi: podróż do Czechosłowacji, którą odbyłem jako student, aby odwiedzić ojca chrzestnego. Być może zawsze spoglądałem na tę sprawę z niewłaściwej strony. Tak bardzo starałem się ich przekonać, że Rosjanie mnie nie zwerbowali, iż zupełnie zapomniałem o innej możliwości. Właśnie Rosjanie mogli bardzo dobrze wiedzieć o tym, że tam byłem i przekazać tę informację Voglowi, jeśli rzeczywiście dla

nich pracował. Bez trudu mogli przewidzieć reakcję Amerykanów.

– A po trzecie list...

– Tak. No cóż, zniszczyłem go, co okazało się potem straszną głupotą, chociaż i tak zapewne podejrzewaliby, że sam go napisałem.

– Sugerował, że Diana ma romans, tak? Myślisz, że naprawdę tak było?

– Nie wiem, chociaż przypuszczam, że tak. Byliśmy wprawdzie niedawno po ślubie, ale ona była znacznie bardziej ode mnie dojrzała. Byłem strasznie... naiwny. To chyba najlepsze określenie. Nie sądzę jednak, żeby jej flirt miał tu jakiegokolwiek znaczenie. Staram się spojrzeć na to oczyma Vogla. Wynajmowała u niego konia, z reguły przyjeżdżała sama. Może to nasunęło mu pomysł, jedynym problemem było wyciągnięcie mnie na pustynię. I dlatego napisał list, a potem dał znać Rosjanom, by zainscenizowali spotkanie ze mną. Wszystko tak właśnie wyglądało...

– Mhm.

– Prawdziwym problemem jest Tannis. Tak czy inaczej wiem, dlaczego zostałem w to wszystko wplątany. Znam historię Buhlera i Vogla. Jeśli jednak była to tylko prywatna sprawa między nimi dwoma, to jak dowiedział się o niej Tannis?

– To on musiał być tamtego dnia w Clint of Dromore.

– Tak. Był też z pewnością w Aberporth. Podejrzewałem... Wiesz, pytałem Tima, czy nie wydawało mu się, iż Tannis przyjechał służbowo, ale nie. Więc pomyślałem sobie coś takiego. Z tego co wiemy, Buhler, obywatel NRD, został zamordowany w China Lake, niedaleko bazy. Tamci musieli coś z tym zrobić, nie mogli tego zignorować.

– Tak.

– I załóżmy, że znaleźli jakąś nitkę prowadzącą do mnie. Może znaleźli coś przy ciele, nie wiem, co to mogło być, w każdym razie trafili na jakiś ślad. Należało rozpocząć oficjalne śledztwo, ale coś ich powstrzymywało.

– Więc porozmawiali z Tannisem?

– Właśnie. Powiedzieli mu, żeby się rozejrzył na własną rękę i zobaczył, co uda się ustalić. Jeśli Vogel dowiedział się o tym, mógł wpaść w panikę. Przeraził się, że wszystko może zostać ujawnione.

- To Tannis jest zatem kluczową postacią.
- Istotnie. Wszystko na to wskazuje.

David umilkł na chwilę. Tannis był kluczem do wszystkiego, co oznaczało (uświadomił to sobie w ostatniej nocy), że trzeba będzie jechać do China Lake. Tam bowiem przebywał Tannis, a najprawdopodobniej także i Vogel. Tam też zamordowano Buhlera. I tam przecież wszystko się zaczęło. Ociągał się jednak z decyzją. Strach? Czy to Vogel, który teraz nazywał się Stern, próbował go zabić wśród skał? Zapewne. Miałoby to jednak sens tylko wtedy...

- Davidzie?
- Tak?
- Mam nadzieję, że nie chcesz tam jechać?
- Nie wiem. Coś mnie ciągnie, ale nie jestem pewien, czy powinienem. Może nie mam prawa mieszać się w tę sprawę. Powiedzmy, że Vogel jest szpiegiem. Ale pomyśl o tym wszystkim, co go spotkało w obozie. Czy mam prawo...

– Ale pomyśl także o tym, co spotkało ciebie. Masz wszelkie prawa.

David wzruszył ramionami.

– Może. Ale jest jeszcze Tim. Dzwoniłem kilka razy do domu i do znajomych. Zdaje się, że nikt nie wie, gdzie on się może podziewać. – Anna chciała coś wtrącić, ale David powstrzymał ją ruchem głowy. – Nie, nie obawiam się, że mógł popełnić samobójstwo. Był jednak bardzo przygnębiony. I może nawet nie tyle z powodu Diany... chodziło raczej chyba o to, co mu opowiedziałem o sobie. Coś tutaj musiałem przeoczyć, czegoś nie rozumiałem. I teraz nie wiem, gdzie może być.

- Więc co zamierzasz robić?
- Może powinniśmy wrócić do Londynu i zapomnieć o wszystkim. Może lepiej nie wracać do tego, co minęło.
- I myślisz, że inni postąpią tak samo? Ten Stern czy Vogel, czy jak mu tam. Jestem pewna, że on nie da za wygraną.
- Masz rację. W tym cały kłopot.

Anna dokończyła drinka.

– Dobrze wiesz, że wszystko zależy od ciebie. Możemy pojechać do Anglii, możemy pojechać do Kalifornii, możemy pojechać gdziekolwiek,

tam dokąd zechcesz. Pamiętaj tylko, że ja wszędzie jadę z tobą.

Ta przynajmniej kwestia została rozstrzygnięta już wcześniej. Anna uparła się, że ponieważ Derek jest całkowicie bezpieczny w Kopenhadze, nie puści Davida samego. Nie spierał się i zresztą wcale nie miał na to ochoty. Ale czy na pewno znał dokładny cel, do którego powinien teraz zmierzać? Nie miał żadnego tropu, którym mógłby podążyć, nie było nikogo takiego jak przedtem Stern, kto by go poprowadził. Oczywiście, że pojadą do Kalifornii, od chwili kiedy skoczył do Morza Irlandzkiego, nie ulegało wątpliwości, że tam się wybierze. Ale jakie działania podejmie, kiedy już się tam znajdą? Odnajdzie Tannisa, lecz co właściwie ma mu do powiedzenia? Zaczynał odrobinę wątpić w siebie. Czy wystarczy mu odwagi? Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, jakiego rodzaju odwagi miałby potrzebować. Czyżby obawiał się tego, że ucieknie w decydującej chwili? A może, zastanawiał się, szukając Tannisa liczy podświadomie na zawarcie pokoju, na jakieś zadośćuczynienie. Tannis ma kontakty z FBI; jeśli zanalizują wydarzenia ostatnich kilku tygodni, będą musieli zrewidować swoją poprzednią ocenę. Czy go to zadowoli? Czy uzna to za zwycięstwo? Z drugiej jednak strony jego prawdziwe intencje mogą być zupełnie inne. Kto wie, czy pomimo wszystko nie chodziło mu po prostu o zemstę. Czy niezależnie od pięknych słów o Voglu i Dorze, nie chciał przypadkiem doprowadzić do wyrównania rachunków? Anna uznała, że ma prawo do tego. Była zresztą jeszcze inna możliwość: prosta ciekawość, choć na dobrą sprawę trudno ją było nazwać prostą. Chodziło przecież o jego własne losy. Te wydarzenia ukształtowały go, zadecydowały o jego obecnej sytuacji i jeśli teraz nie zrozumie, o co w tym wszystkim szło, nie zrozumie już nigdy. W głębi duszy pozostał przecież naukowcem. Czy rzeczywiście nie dowie się do końca życia, co w istocie owo życie zdeteminowało w tak wielkim stopniu? Zadawał sobie wprawdzie takie pytania, ale natychmiast cofał się przed nimi; w gruncie rzeczy ciągle wydawało mu się rzeczą istotną, by nie poszukiwać zbyt uparcie odpowiedzi. Kiedy odpowiedź pojawi się sama, rozpoznają natychmiast, a wtedy też dostatecznie uściśli pytanie. Jak dotąd pewien był tylko jednego: Anny.

Polecieli do Los Angeles przez Londyn; musiał podjąć pieniądze, a poza tym dawało mu to kolejną szansę skontaktowania się z Timem, choć

niestety nigdzie, ani w Aberporth, ani w koledżu nie udało mu się z nim spotkać, nie zastał też żadnej wiadomości od niego. Martwił się o syna. Gdy później, lecąc na wysokości trzydziestu pięciu tysięcy stóp, połykali kolejne mile, nie miał żadnej wątpliwości, że bardzo zależało mu na towarzystwie Anny. Zapewniali sobie nawzajem, że kluczową postacią jest Tannis, David wiedział jednak, że – przynajmniej dla niego – kluczową postacią jest ona. Znów, tak jak poprzednio w Niemczech, poczuł z niezwykłą siłą, że Anna jest jego ratunkiem i że jej tylko zawdzięcza to, iż może spoglądać teraz na przesuujące się w dole obłoki. Bardziej niż cokolwiek innego zaskakiwała go zbieżność wypadków. Wiedział, że wszystko zaczęło się na długo przed China Lake, wraz z historią Vogla i Buhlera. Nie mógł się jednak oprzeć wrażeniu, że prawdziwy początek nastąpił w domu Anny, gdy podszedł do niej, by ją pocałować. I niewiele brakowało, żeby do tego nie doszło. Był to bowiem egzamin jego odwagi i jego nerwy omal go nie zawiodły. A gdyby rzeczywiście nie podolał próbie? Wiedział dobrze, że wszystko co nastąpiło później – Clints of Dromore, śmierć Diany – oddzieliłoby go od Anny i byłyby teraz zgubiony. Ta chwila zmieniła całkowicie bieg wydarzeń. Anna odmieniła go albo też sam odmienił siebie i owa wewnętrzna transformacja trwała nadal, czuł to wyraźnie. A jednocześnie, głębiej niż kiedykolwiek, odczuwał swoje istnienie.

Na lotnisku Kennedy'ego – w Nowym Jorku przesiedli się tylko do innego samolotu – umył się i zmienił koszulę. Kiedy spojrział w lustro, natchmiast odwrócił wzrok. Ta twarz należała bez wątpienia do niego, ale była odrobinę inna, niż oczekiwał. Przysięgłby także, że zmienił mu się głos. Miał też wrażenie, że łatwiej mu się oddycha.

Nie był pewien, co oznaczają te zmiany i w pewnym sensie nie zwracał na nie uwagi. O wiele ważniejsza była stała obecność Anny. Odczuwał niecierpliwosć i niepokój. Myślał o wszystkich tych rozmowach, których nie odbyli. Tak wiele zostało luk, które należało wypełnić. Nieomal żałował, że uczucia, jakie żywił dla niej, są tak gwałtowne, tęsknił za normalnymi chwilami, za zwykłym dniem. Ale cieszył go każdy moment, który otrzymywał: dotyk jej włosów na twarzy, gdy spała oparta na jego ramieniu, jej dłoń wsuwająca się pod ramię, gdy szli obok siebie.

Kiedy wreszcie znaleźli się w Los Angeles, przeleciawszy najpierw ponad mrowiem basenów, luksusowych willi i superautostrad, poczuł, że trochę kuli się w sobie. Od czasów China Lake starannie unikał tego miasta. I nic dziwnego – pomyślał, gdy powróciły wspomnienia doznanych upokorzeń, niepewności, poczucie obcości i bezsiły. A może tylko przesadzał? Może był wówczas po prostu bardzo młody, o wiele za młody?

– Jesteśmy w końcu bardzo prości – mówił Annie. – Próbujemy udawać, że wszystko w nas jest ogromnie skomplikowane. Ale to tylko śmieszna gra. Większość czasu pochłania nam unikanie zakłopotania, w jakie wprawiłyby nas najbardziej banalne wyjaśnienia dotyczące nas samych. A może i ta uwaga jest banalna?

Roześmiała się.

– Oczywiście; zdaje się, że wyjawileś sens bycia Anglikiem.
– Czułem się tu strasznie nieswojo. Ci ludzie byli takimi prostakami, ale zdawali się tego w ogóle nie dostrzegać.
– Dianie jednak podobało się tutaj?
– Zdaje się, że chciała tu zostać na stałe. Kiedy zaszła w ciążę – o czym się dowiedziała na jakiś tydzień przed całą awanturą – sprawdziła dokładnie, jakie byłyby korzyści, gdyby urodziła Tima tutaj. Pamiętam, jak raz... mieliśmy samochód, ktoś go nam pożyczył. Czułem się jak sparalizowany, ledwie potrafiłem prowadzić, a w dodatku oczywiście ta jazda po niewłaściwej stronie drogi... No, ale jakoś to szło i po drodze zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej. Było już ciemno i stał tam jeszcze jeden samochód, limuzyna pełna ludzi. Znajdowaliśmy się pośrodku pustyni i pamiętam, jak wpatrywałem się w to auto, w jego roześmianych pasażerów, w światła połyskujące na włosach i ramionach dziewczyn, i jeszcze teraz słyszę głos Diany: „Ach, jak bym chciała pojechać z nimi!”

– Przeraziłeś się?

– Nie, nie. Zdaje się, że i ja z chęcią bym do nich dołączył, ale nie bardzo wiedziałem, jak to zrobić. Strasznie nie chciałem wyglądać na sztywniaka, nawet jeśli nim byłem. Wiedziałem jednak, że jeśli będę się starał upodobnić do nich, zrobię tylko sam z siebie durnia.

Kiedy szli plażą w Santa Monica, w której piasku ciągle jeszcze zachowało się ciepło dnia, rozmawiał z nią zupełnie swobodnym tonem.

Wciąż nie mógł się uwolnić od pewnej myśli-pytania: jak patrzyłby teraz na wszystko, gdyby nie doszło do owej raptownej zmiany, gdyby podczas pobytu tutaj nie wydarzyło mu się nic szczególnego, ot, po prostu dopisałby kolejną linijkę do życiorysu, gdyby pozostał w Aberporth albo u Ferantiego-Packarda, lub w British Airways... gdyby jego życie potoczyło się tak samo jak życie tego faceta, którego widział w Aberporth na wieczornym spacerze z psem. Jak on się nazywał? *Zawsze będę miał sentyment do Kalifornii, ostatecznie to tu począł się Timmy.* Wspominałby teraz spotkania, narady i seminaria, osobiste sukcesy, zwłaszcza ten test, dzięki któremu zyskał tak wiele w oczach specjalistów, miałby wielu godnych szacunku znajomych (*O, znamy się z Bobem od stuleci*) i przechowywałby w pamięci wciąż żywe obrazy Diany: Diana przy basenie, na koniu, pijąca kalifornijskie wina. Ostatecznie wszystko to rzeczywiście się wydarzyło. Mógłby wszystko pamiętać tak właśnie. Ale teraz powiedział:

- Byłem okropny: arogancki, samotny, przerażony, nadęty, sztywny, młody i oczywiście szalenie inteligentny.
- Dziś też jesteś szalenie inteligentny.
- Dziękuję. – Przyciągnął ją do siebie i pocałował.
- David, nie tutaj.
- Nikt nie zauważy. Jesteśmy otoczeni przez Amerykanów. Mówiłem ci, to są barbarzyńcy. Dobrze odkarmieni, dobrze ubrani...
- Ale mimo wszystko... Poza tym musimy pomyśleć o jutrzejszym dniu.

Nazajutrz był dzień Tannisa.

Cały ranek spędzili na poszukiwaniach, nie tyle trudnych, co nużących. Znaleźli jego nazwisko w książce telefonicznej, ale usłyszeli jedynie głos automatycznej sekretarki (marna imitacja Mae West), która poprosiła o zostawienie wiadomości. Za cały adres musiała wystarczyć wzmianka, iż mieszka w Ridgecrest. Niczego się nie dowiedzieli ani w urzędzie pocztowym, ani w gazowni. W końcu, licząc na amerykańską obrotowość i przedsiębiorczość, David zadzwonił do agenta zajmującego się kupnem i sprzedażą nieruchomości w rejonie Mojave, i opowiedział mu jakąś mętną historyjkę – którą być może uwiarygodnił trochę jego akcent – o przenosi-

nach do Kalifornii, dawnym przyjacielu mieszkającym gdzieś na pustyni i nieodpartym pragnieniu nabycia jakiejś posiadłości w pobliżu domu owego przyjaciela. Agent kupił wprawdzie tę bajeczkę, ale w końcu nie dało się niestety uniknąć przejażdżki po okolicy. Obejrzeliby cztery domy, otrzymali stos broszur o nowo wznoszonych rezydencjach, a nawet zobaczyli fundamenty kilku z nich. Ich cierpliwość została jednak w końcu nagrodzona. Około czwartej agent oświadczył: „Wydaje mi się, że wasz przyjaciel mieszka gdzieś tutaj” i istotnie, po przejechaniu paru kolejnych mil, zobaczyli skrzynkę pocztową z napisem: J. TANNIS, ustawioną na końcu długiej wstęgi asfaltu, która prowadziła w głąb kanionu, a potem zakolami wznosiła się ku szczytowi skalnej ściany. Między głazami widać było parterowy dom.

Po dwóch godzinach przyjechali tu znowu, tym razem własnym samochodem.

Niebo wciąż jeszcze było jasne i błękitne, ale w kanionie i pod kamieniami kładły się już długie cienie. David czuł rosnące napięcie. Do budynku prowadziła tylko jedna droga i gdy podjeżdżali pod górę, z domu widać ich było zapewne doskonale; ale prawdę mówiąc, widać ich było stamtąd już z odległości dziesięciu mil.

– Co zrobimy, jeśli go nie będzie w domu?

– Nie wiem – odparł David. – Zostawimy wiadomość. Chociaż nie miałbym nic przeciwko temu, żeby dostać się do środka i zobaczyć... – Nie dokończył zdania i zaczął uważnie rozglądać się wkoło, choć trudno byłoby tu dostrzec coś szczególnego.

Anna była zdenerwowana. Kiedy zatrzymali się i wysiedli z auta, wyczuła na twarzy suchy, gorący powiew, nie słyszała jednak choćby najcichszego szmeru albo szumu, nie poruszyła się też nawet jedna gałązka, nie drgnął listek. To jeszcze bardziej zbiło ją z tropu. „Czy lubisz pustynię?” przeleciało jej przez głowę pytanie, ale wszystkie normalne myśli wydawały się tu jakoś nie na miejscu.

– To chyba jego samochód – powiedziała.

Na końcu asfaltowego podjazdu znajdowała się wiata dla samochodów, pod którą stał stary Chevrolet. David skinął głową.

– Tak, ale ma pewnie jeszcze jeden. Jakąś furgonetkę.

Na lewo od chevroleta widniały na piasku ciemne ślady po oleju. Przez chwilę stali nieruchomo, czekając, czy ktoś się nie pojawi, potem podeszli do drzwi. W głębi duszy David był przekonany, że Tannisa nie ma, jednakże nacisnął dzwonek. Rozległy się dźwięki przypominające kurant – trzy oddzielne tony – nie pasowało to zupełnie do obrazu gospodarza, jaki sobie David wytworzył. Nikt nie odpowiedział, więc trąciwszy lekko Annę w ramię, obszedł dom wokół. Jak wiele budynków zbudowanych na pustyni ten także miał w sobie coś pretensjonalnego (poprzeczne belki, pomiędzy nimi niedbale ułożone deszczułki, cedrowy dach), był przy tym większy, niż się wydawał na pierwszy rzut oka. Ich kroki rozbrzmiewały cicho na chodniku szerokim na cztery płyty, który szczelnie przylegając do ściany, obiegał cały dom, chroniąc zapewne fundamenty przed spływającym deszczem. Na tyłach znajdowało się patio otoczone ceglanym murem, wyłożone kafelkami i starannie wykończone; w donicach ustawionych na szczycie murku rosły kaktusy oraz inne rośliny – dziesiątki różnych gatunków; wśród nich mnóstwo róż i innych kwiatów, krzewy lawendy. W murze dostrzegli żelazną bramkę. Na środku patio rosło mesquito, w którego cieniu stał dekoracyjny żelazny grill i stół z białym plastikowym blatem, w otoczeniu kilku krzeseł. Wszystko było pokryte cieniutką warstwą piasku.

– Wydaje mi się – powiedziała Anna – że nikt tutaj nie zaglądał od tygodni.

David przytaknął; miał takie samo uczucie. Nie chodziło tylko o to, że nie zastali Tannisa; rzecz polegała na tym, że on w y j e c h a ł. Pomyślał, że może warto by mu zostawić wiadomość, ale co miał właściwie napisać?

– Chciałbym wejść do środka – powiedział w końcu.

Wielkie szklane drzwi prowadziły z patio na tyły domu, ale były zasłonięte białymi firankami i ciężkimi, granatowymi kotarami. Nie dało się nic zobaczyć. Obok ściany stała, oparta o nią, taczka, a obok leżały grabie i łopata. Łopata wydawała się cięższa. Kiedy David uderzył w szybę, Annę ogarnął lęk, łamali przecież prawo. Nic jednak nie powiedziała; przyjechała tutaj, pomyślała, żeby mu pomagać, a nie, żeby go powstrzymywać. Ostrożnie, jakby przeproszającym gestem, David położył narzędzie na ziemi, ale ona już odepchnęła kotarę i pierwsza znalazła się

w środku.

David poszedł w jej ślady.

Stanął nieruchomo. Był wdzięczny Annie za to, że milczała, pragnął bowiem utrwalić w pamięci ten obraz, jak ktoś, kto za wszelką cenę zapamiętała chce umykający sen. Powrócił do China Lake; poczuł to teraz po raz pierwszy naprawdę, choć trudno byłoby mu powiedzieć dlaczego. Czemu nie odczuł czegoś podobnego w Los Angeles? Przez cały ranek nie potrafił się zdecydować, czy powinni pojechać pod bazę, tam bowiem, jak myślał, przekonaby się najlepiej, jak żywy jest w nim jeszcze tamten czas. Tymczasem przeszłość ożyła właśnie teraz, w tym zwyczajnym saloniku z kamiennym kominkiem, typowo kalifornijskimi meblami, niską sofą i obitymi skórą krzesłami. Nie było tu żadnych pamiątek, na przykład fotografii, wszystko pozbawione indywidualnego wyrazu, niemal bezosobowe. Najbardziej rzucał się w oczy ogromny beżowy dywan, który przykrywał podłogę od ściany do ściany, na pewno już niemodny, a jednocześnie z gatunku, jakiego w okresie, gdy David przebywał w China Lake, jeszcze nie produkowano. Coś jednak poruszyło wspomnienia, być może po prostu to, iż znowu znalazł się w domu położonym na pustyni, poczuł ociążałe ciepło, spokój okolony jeszcze głębszą ciszą, chociaż kiedy natężył słuch, wydało mu się, że dobiega go odgłos kąpiącej gdzieś wody, przypominający powolne opadanie kropli w parowniku, którego w biurach i laboratoriach używano jako klimatyzatora, a gdzieś bardzo daleko usłyszał znajomy dźwięk silnika samolotowego.

– Panie Tannis? – odezwała się półgłosem Anna.

David uśmiechnął się, zupełnie już odprężony.

– Nie warto – powiedział. – Nikogo tu nie ma.

I rzeczywiście nie było nikogo. Tannis wyjechał lub, mówiąc ściślej, nie wrócił jeszcze z Aberporth, z Clints of Dromore. Chcieli się dowiedzieć czegoś bliższego o tym wyjeździe, ale nie przyszło im to łatwo. Przeszukali dom i w szafie w sypialni znaleźli cztery garnitury, a na najwyższej półce dwie duże walizy, co mogłoby wskazywać, że Tannis nie zamierzał przebywać poza domem zbyt długo. Nie znaleźli jednak nigdzie skarpetek ani bielizny. Wprawdzie w lodówce nie było mleka, ale z kranu w kuchni kapąło, zupełnie jakby właściciel wyszedł tylko na chwilę. Na-

wet najważniejsze odkrycie, jakiego dokonali, nie pomogło im za wiele. Kiedy weszli do gabinetu, zauważyli, że jest dokładnie uprzątnięty – ołówki i długopisy w wazonikach, kartki do notatek porządnie ułożone na rogu biurka, lecz znowu nie sposób było rozstrzygnąć, czy użytkownik opuścił pokój na zawsze, czy tylko na jeden dzień. Natychmiast jednak dostrzegli światelko migające w automatycznej sekretarce.

– Spójrz na to – powiedziała Anna, wskazując kosz na śmieci. – Musiał ją dopiero co kupić, tutaj jest opakowanie.

– Mhm. Nie wyjechał więc na długo, w przeciwnym razie nie kupowałby czegoś takiego. Przesłuchajmy taśmę.

Nachylił starą lampę o sprężynowej, brązowej szyjce, tak by oświetliła aparat, i cofnął kasetę do samego początku. Dzwonki telefonu. Rozłączający się rozmówcy. Makler giełdowy z Denver zostawił nazwisko i numer. Akwizytorzy sprzętu elektronicznego oferowali czasopisma i żarówki dla niepełnosprawnych. „Chciałem tylko panu przypomnieć, kapitanie, o najbliższym spotkaniu VFW, czwartek, godzina jak zwykle”.

– Co to jest VFW?

David pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Może coś związanego z weteranami?

I wreszcie trafili w dziesiątkę. Niestety nie można było ustalić, kiedy zostawiono tę wiadomość, wyglądało na to, że nikt tutaj nie miał zwyczaju podawania daty i godziny. Ponieważ jednak taśma nie zawierała w sumie zbyt wielu nagrań, więc i ten zapis musiał być stosunkowo świeży.

– Jack? Bill Matheson. Słuchaj... nie jestem całkiem pewien, ale... Tameci sądzą, że udało im się odkryć cel przyjazdu obiektu B, wiesz, tego nieszczęsnego cudzoziemca, którego zwłoki znalazłeś. Mówi ci coś nazwisko Vogel? Mnie zupełnie nic, w każdym razie... w każdym razie jest on właścicielem farmy albo domu niedaleko Indian Wells, przynajmniej był, bo teraz najwyraźniej nikt tam nie mieszka i hrabstwo chce położyć rękę na tej działce – niech to... – Nastąpiła przerwa, ale po chwili znowu usłyszeli głos tego samego mężczyzny.

– To znowu ja, Jack, chyba skończyła się taśma. Wracam od razu do tamtej sprawy. Słyszałeś kiedyś o tym Voglu? Ktoś o tym samym nazwisku mieszka w pobliżu drogi do Trona. Posłali w to miejsce człowieka i

ten zastał tam kobietę z dzieckiem... mieszkają w przyczepie. Powiedziała, że ojca nie ma i że chyba jest w Meksyku. Oddzwoni do mnie w tej sprawie, dobra? Trzymaj się.

Dźwięk okładanej słuchawki. Taśma kręciła się dalej. Raz jeszcze makler. Kilka innych nagrań i wreszcie głos Davida zapisany dziś rano.

– To dowodzi – powiedziała Anna, kiedy zatrzymali automat – że naprawdę trwa jakieś dochodzenie.

– Zaczynasz wierzyć w to wszystko? – uśmiechnął się.

Jej twarz była poważna.

– Teraz jest to czymś rzeczywistym w zupełnie innym sensie.

Lekko dotknął jej dłoni, otworzył notatnik z telefonami i odszukał nazwisko Mathesona.

– Facet z Marynarki, komandor. Pracuje w China Lake.

– Zadzwońisz do niego?

Przez chwilę rzeczywiście myślał o tym, pokręcił jednak głową.

– Nie. Wydaje mi się, że w tym momencie jestem ostatnią osobą, którą mieliby ochotę tutaj zobaczyć.

– Biurokraci nie lubią przyznawać się do pomyłek, o to ci chodzi?

– Dokładnie tak.

– To co robimy?

– Nadal chciałbym pogadać z Tannisem. Nie wiemy tylko, czy on wróci.

– Nie musi wcale wracać. Słyszałeś kilka razy to brzęczenie? Ten automat jest bardzo podobny do mojego. Ma brzęczyk; Tannis może odtworzyć nagrane informacje dzwoniąc tutaj z każdego telefonu.

– Świetnie, i ja skorzystam z tego. Kiedy zadzwoni i taśma zacznie się przewijać, podniosę słuchawkę i zgłoszę się. Musimy tylko poczekać, aż zadzwoni.

Było to najprostsze rozwiązanie i prawdopodobnie przyniosłoby pożądane rezultaty, ale go nie wypróbowali.

Zbliżała się już siódma, oni zaś niczego od rana nie jedli, więc choć się trochę krępowali – byli w końcu w obcym domu – Anna przyrządziła zupę z puszki. Zjedli ją w salonie, siedząc na podłodze. Nie zapalili światła, gdyż byłoby widoczne w promieniu wielu mil. Anna milczała. Bała się:

ciemnego domu, pustyni, tego, w czym uczestniczyła. Najbardziej przerażała ją to, że nie mieli do kogo zwrócić się o pomoc. Dopiero kiedy podjęli już inną decyzję, uprzytomniła sobie, jak bardzo liczyła na to, że David uda się na policję i wszystko znajdzie jakieś „rozsądne” rozwiązanie. Kilka nowych faktów i prostych wyjaśnień miało przywrócić upragnioną „normalność”. Teraz jednak wiedziała już, że to niemożliwe. Przekonał ją o tym szczególny ton, który wyczuła w głosie Mathesona, ton jakiejś rzeczowości. Wykonywał swoją robotę, nie interesowały go rozwiązania, David zupełnie by go nie obchodził. Zależało mu jedynie na zachowaniu własnej „normalności”, zgodnie zaś z założeniami stanowiącymi podstawę tej normalności, tacy ludzie jak David nie powinni w ogóle istnieć. Tak więc nie można było spodziewać się żadnej pomocy ze strony policji, władz, „innych ludzi”.

Widziała także, jak ważne było to wszystko dla Davida. Udawał, że ufa innym i udawał zupełnie nieźle, ale w istocie wcale im nie wierzył. Nie mógł, gdyż byłoby to zbyt niebezpieczne. Jej jednak ufał. Jak do tego doszło? Jak to się stało, że wybrał właśnie ją? – pytała sama siebie. Nie poszukiwała jednak zbyt gorliwie odpowiedzi na te pytania, gdyż najważniejsza była świadomość, jak bardzo ona ufa jemu. „Zaczynasz wierzyć w to wszystko?” Powiedział to lekkim, trochę żartobliwym tonem, jednakże miał trochę racji. Z każdym dniem stawał się jej coraz bliższy. Wtedy też uzmysłowiła sobie, jakie słowa powoli w niej dojrzewały. Kocham go bardziej niż Axela, pomyślała. Do tej chwili nie potrafiła porównać ich obu, lecz teraz to zrobiła. Kocham go bardziej. A potem stanął jej przed oczyma Derek. Och, tak, jego kocham równie mocno.

Żadnej z tych myśli nie wypowiedziała jednak na głos, David zaś sam ich nie odgadł. Jego umysł pochłonięty był czymś bardziej konkretnym, z niepokojem myślał wciąż o Tannisie i jego automatycznej sekretarce. Nasuwała się oczywista konkluzja: Tannisowi zależało na kontakcie z domem, przynajmniej telefonicznym. Można byłoby jednak pójść jeszcze dalej i przyjąć, że Tannis kupił to urządzenie (i, co ważne, kupił niedawno) nie tylko dlatego, że chciał nagrywać informacje, ale też dlatego, że spodziewał się jakiejś wiadomości. Od kogo? Od Mathesona?... Z FBI? Raczej nie; i tu, i tam mógł swobodnie zadzwonić w dowolnym momen-

cie. Im dłużej David się nad tym zastanawiał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Tannis czekał na telefon od Vogla i tej właśnie wiadomości nie chciał stracić. Było jednak coś jeszcze, coś najbardziej niepokojącego – od pierwszej chwili gdy się tu znalazł, David czuł, że Tannis wyniósł się na dobre z domu; teraz nabrał pewności, że wypłoszył go Vogel. I nietrudno było zrozumieć dlaczego: dom stał samotnie, a jednocześnie był zupełnie odkryty. Dlatego właśnie uparł się, by nie włączali światła. Nawet kiedy zaniósł do kuchni pustą już wagę po zakupie, nie zapalił lampy, naczynia umył po omacku („potrafimy się włamać, ale potrafimy też zachować się jak należy”). Przez cały czas nie spuszczał wzroku z okna, gdyż tylko z kuchni mógł dobrze obserwować autostradę – widział stąd wszystko w promieniu kilku mil, tak więc śledził wzrokiem światła tego samochodu przez kilka minut, po czym zorientował się, że wóz zwalnia, akurat przed skrzyżowaniem z drogą prowadzącą do domu Tannisa.

– Anno, chodź tutaj. Szybko.

Serce podskoczyło mu w piersi, kiedy zobaczył, że auto skręca, okazało się jednak, że wykonało inny manewr, niż oczekiwał. Samochód – pikap – zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i stanął. Anna wpatrzyła się w okno i oboje zobaczyli sylwetkę, która przecięła światło reflektorów. Wtedy dopiero zrozumiał, o co chodzi.

– Co się dzieje?

– Listy, cholera, nie pomyślałem o tym. Słuchaj, nie możemy tu siedzieć...

– Czy to Tannis?

W istocie, patrząc na cień, który przesunął się przez dwie strugi światła płynące z reflektorów samochodu, pomyślał nie o Tannisie – sylwetka była zbyt szczupła, zbyt młodzieńcza – lecz o Timie, ale to przecież nie mógł być on.

– Nie wiem – powiedział. – Może. Ale może i Vogel. Słuchaj...

Musieli stąd wyjść, nie chciał, by przyłapano ich w środku. Vogel był przecież mordercą. Zabił Buhlera, zabił jego siostrę w Niemczech. Ale jeszcze kiedy mówił, zorientował się, że samochód rusza nie w kierunku domu, lecz wraca tą samą drogą.

– Już w porządku – powiedziała Anna.

Ale uczucia Davida nagle diametralnie się odmięły.

– Wcale nie. Jeśli to Tannis – kimkolwiek zresztą jest ten facet – musimy jechać za nim. Idź, zapal samochód.

Nie mógł tego zrobić sam, gdyż nie miał na nogach butów, które zostały w saloniku. Śmieszność sytuacji przyniosła ulgę, uspokoił się. Z nie zawiązanymi sznurowadłami wybiegł z domu i wskoczył na fotel koło kierowcy, a Anna poprowadziła wóz długim (miał około mili), stromym zjazdem, schodzącym serpentyną w dół kanionu. Bez trudu odnaleźli pikapa: znalazłszy się na szosie, spostrzegli w oddali jego tylne światła. Zjeżdżając ze zbrocza stracili je z oczu, ale tylko na chwilę. Anna docisnęła pedał gazu i znów je zobaczyli. Była dobrym kierowcą. Na szosie ruch był niewielki i nie zrobiło się jeszcze całkiem ciemno, więc nie musiała się zmagać z denerwującą pustynną nocą: czerń szosy zlewa się z niczym nie rozjaśnionym gęstym mrokiem morza piasku i na zakrętach ma się wrażenie, że się sunie gdzieś w pustkę. Poza tym pikap nie jechał zbyt szybko, nie odnosili z pewnością wrażenia, że usiłuje uciekać. Trzymając się więc z tyłu na tyle, by ich światła nie niepokoiły kierowcy przed nimi, jechali na północny wschód drogą 14. Wreszcie pikap skręcił i w zapadającym zmroku David dostrzegł światła Ridgecrest, chociaż pomyślał tylko „China Lake”, a kiedy Anna spojrzała na niego pytająco, potrząsnęła głową:

– Nie, w ogóle tego nie pamiętam. Przecież to było znacznie mniejsze. Popatrz tylko.

Po prawej stronie długie zbrocze jarzyło się mnóstwem światel niby Droga Mleczna... znacznie więcej samochodów, półciężarówek i ciężarówek z błyszczącymi rurami wydechowymi, rzęsiście oświetlonymi kabinami, wielkimi kołami i hałaśliwymi klaksonami.

– Myślę, że teraz powinnam trzymać się bliżej – powiedziała Anna.

Kątem oka dostrzegła napis – CHINA LAKE BOULEVARD – i pomyślała: „Oficjalne przybycie”.

– Gdzie właściwie znajduje się baza? – zapytała. – Czy on może tam jedzie?

– Przed nami. Najpierw prosto, później w prawo.

Ale pikap nie jechał tak daleko. Dzielił go od nich jeden wóz, kiedy skręcił – wszyscy wyrzucali kierunkowskazy – a w chwilę później auto

przed nimi zjechało w kierunku motelu.

- Teraz nie zbliżaj się za bardzo.
- Chyba nie będzie nic podejrzewał.
- Nie, ale kiedy zwolni, wyglądałoby to nienaturalnie, gdybyś go nie wyprzedziła. Nie przejmuj się tym, że może nas zobaczyć. Jedziemy we dwoje, ty prowadzisz, nie zwróci na nas uwagi.

Kiwnęła głową.

- Gdzie teraz jesteśmy?

Nagle bowiem poznikwały wszystkie światła. Droga i cała okolica tęnęły w ciemności i widać było tylko dwa czerwone punkciki przed nimi.

David rozłożył na kolanach mapę.

- Jesteśmy na szosie 178, która prowadzi na zachód. Następną miejscowością jest Trona, potem, dwadzieścia mil dalej, napotkamy skrzyżowanie. Jeśli skręcisz w lewo, przejedziesz wzdłuż granicy bazy i dotrzesz do autostrady, drogi 14, którą jechaliśmy przed chwilą. W prawo skręca się do Doliny Śmierci i Las Vegas.

Jechali dalej w milczeniu.

Anna trzymała się blisko, choć nie za blisko, pikapa; zmniejszyła trochę dystans, gdy przejeżdżali przez Trona; potem, kiedy znowu jechali gładką, ciemną szosą, zwolniła na moment i odległość między nimi znowu wzrosła. Bała się, jej ramiona stały się sztywne, a kiedy na chwilę pozwoili oczom powędrować w kierunku Panamint, musiała szybko odwrócić wzrok; nie mogła znieść uczucia pustki, które ją owładnęło.

A potem nagle światła samochodu przed nimi zniknęły.

- David...
- Nic, nic. Nie zwalnij. To tutaj... jeszcze kawałek. – Wyglądał przez otwarte okno. – O, widzisz, tam wykręcił.

Spojrzała, ale nic nie zobaczyła. Patrząc we wskazanym kierunku dostrzegła jedynie potężną sylwetkę góry mającą na tle nieba.

- Jest tam jakaś droga? Nie widziałam żadnego znaku.
- Nie wiem. Ale jedź, jedź; jeśli dostrzegł nasze światła... Nie dookończył, ale Anna domyśliła się, o co mu chodzi. Szybko dotarli do miejsca, gdzie pikap zjechał z szosy, a kiedy je minęli, David wychylił się i usiłował utrwalić sobie w pamięci szczegóły otoczenia.

– Zdaje się, że nie ma tu żadnej drogi. Skręcił po prostu gdzieś w pustynię.

– Co mam robić?

– Kłopot w tym, że widać nasze światła.

– Mhm.

– Pojedź jeszcze kawałek przed siebie, powiedzmy, trzy mile. Naciśnij klakson, a potem wyłącz światła. Jeśli nas obserwuje, pomyśli, że zniknęliśmy za wzniesieniem. Potem zawróć. Ale z wyłączonymi światłami.

– O Boże!

Wykonała jednak jego polecenia. David odwrócił się i usiłował wypatrzyć tropiony samochód, pikap zniknął jednak; jechali jeszcze przez pewien czas przed siebie, po czym zawrócili. Zmniejszyła szybkość do dwudziestu mil, potem zorientowała się, że jest niewidoczna dla nadjeżdżających z tyłu i zerknęła w tylne lusterko.

– Nie. Nie spuszczaaj oczu z drogi. Ja będę pilnował, czy nie ma kogoś za nami.

Spuściła szybę w bocznym oknie i prowadziła jedną ręką, wychylona na zewnątrz – dzięki temu nie przeszkadzały jej refleksy na przedniej szybie. Mrużyła oczy przed piaskiem, czuła we włosach powiew pustynnego wiatru, wreszcie dojechała do zakrętu i cofnęła się do wnętrza samochodu.

– Jest droga! – oznajmiła.

– Nie. To jeszcze za blisko.

– Ale naprawdę jest droga! Popatrz, tam!

Zwolniła, a potem zatrzymała samochód. Miała rację. Widać było drogę, a przynajmniej wyjeżdżony szlak, prowadzący w głąb pustyni. David pokręcił głową.

– To nie tutaj. Musimy przejechać jeszcze co najmniej jakieś dwie mile. – Ale potem zawahał się. – Stań. Myślisz, że można będzie nią pojechać? – Wpatrywał się w ciemność; cienie kreozotów i krzewów bylicy wyglądały jak sieć na piaszkowym morzu.

– Tak, dam radę. Nie jest zbyt szeroka, ale wygląda na twardą.

– Zapal światła.

– Nie, poradzę sobie. Będę jechać wolno.

Utrzymywała szybkość pięciu mil na godzinę, jadąc przez cały czas na pierwszym biegu. Znowu wychyliła się przez okno, choć odcinający się wyraźnie od piasku trakt był dobrze widoczny. Po jakimś czasie samochód zaczął się wspinać po zboczach w górę. Na szczycie sterczały dwa głązy, podobne do wyszczerzonych kłów. A potem odsłoniła się przed nimi długa, płaska niecka, w której połyskiwały jakieś światełka.

Anna odruchowo nacisnęła hamulec.

Pomyśleli o tym jednocześnie, ale to Anna powiedziała pierwsza:

– Pamiętasz, ten facet na taśmie mówił, że posłali kogoś, żeby zbadał miejsce koło drogi do Trona. Stoi tam przyczepa. Znaleźliśmy Vogła.

David zmrużył oczy.

– To by się zgadzało. Tannis pewnie obserwuje to miejsce i dlatego zjechał z drogi wcześniej. Jest gdzieś na jednym z tych wzgórz i widzi teraz także nas.

Przez pięć minut, siedząc w aucie, wpatrywali się w mały rząd światełek... zupełnie jakby stał tam samotny wagon kolejowy, zapomniany na zawsze na tej nierzeczywistej bocznicy. Jakiś cień poruszył się nagle. David był przekonany, że to kobieta, ale nie miał całkowitej pewności. A jeśli jest tam Vogel? Powróciły obawy. Gdyby jednak Vogel znajdował się w przyczepie – rozumował David – Tannis nie ograniczyłby się do obserwacji, lecz zszedłby na dół, by schwytać tamtego. Tannis czekał, Vogla zatem nie było. Położył rękę na klamce.

– Davidzie...

– Nic nie mów. Zawróć samochód, tak żeby stał przodem w kierunku szosy, a potem ja zejść tam na dół. Myślę, że nie ma tam Vogla, gdyby jednak coś się stało, pędź jak najszybciej do Trona i sprowadź policję.

Otworzył drzwi i wysiadł, nie dając jej czasu na wyrażenie sprzeciwu, a potem czekał przez chwilę, aż wykręci. Opuściła szybę.

– Jeśli wszystko będzie w porządku, pomachaj w drzwiach, wtedy zejść do ciebie.

– Dobrze.

– Uważaj na siebie.

Ruszył szybko w dół, przy każdym kroku obsuwając się po piasku.

Nawet jeśli był śledzony przez Tannisa czy kogokolwiek innego, nie czuł tego. A przede wszystkim nie dostrzegł żadnego ruchu koło domku. W ciemności zamajaczył ciemny kształt samochodu. Ku jego zdziwieniu, był to peugeot; potem usłyszał radio – muzykę pop. Czekał przez moment, ale nie spostrzegł nikogo; z całą pewnością nikt nie stał na warcie. Zrobił jeszcze kilka kroków; kilka cementowych stopni prowadziło do raczej cienkich drzwi. Zapukał; po chwili ktoś wyłączył radio. Zastukał raz jeszcze. Usłyszał ze środka kobiecy głos, zawołał więc:

– Panna Vogel?! Nazywam się David Harper.

Na moment zaległa cisza, potem drzwi się otworzyły. Musiał zejść po cementowych stopniach na ziemię, więc teraz patrzył w górę na szczupłą sylwetkę czerniejącą w prostokącie jasnożółtego światła, tak ostrego, że niemal oślepiało. Potem jego oczy oswoiły się z blaskiem pomyślał: „Jeżeli Stern jest Voglem, to ten starszy pan ma naprawdę świetny gust, jeśli idzie o młode dziewczyny”.

Pałiła papierosa, czerwonawy płomyk rozjaśniał jej szczupłą, opaloną twarz. Była bardzo piękna.

– Chyba nie znam pana – powiedziała.
– Czy pani ojciec jest w domu? – spytał.
– A o co panu chodzi?
– Czy może jest w Meksyku? W San Miguel d'Allende? – Sprawdzał jej reakcję i dodał: – Znam pani ojca, panno Vogel. Poznaliśmy się w Walii. Czy mogę wejść?

Przytaknęła i zrobiła krok do tyłu, ale jednocześnie nachyliła się, by przytrzymać drzwi. Wchodząc do środka, otarł się lekko o nią i poczuł zapach jej perfum, delikatny aromat róży. Była bardzo atrakcyjna, co miało pewien wpływ na późniejsze zdarzenia.

– Jestem tu ze znajomą, panno Vogel. Czeka na górze w samochodzie. Czy ona mogłaby...?

Na jej twarzy pojawił się wyraz niepewności. Ale opanowała strach, zacisnęła szczęki i skinęła potwierdzająco głową.

Odwrócił się, pomachał do Anny i przez moment przyglądał się, jak wysiada z samochodu. Po chwili dobiegł go odgłos zatraskiwanych drzwiczek. Zastanowił się, jak daleko mógł dotrzeć ten dźwięk i uznał, że

Tannis nie powinien go usłyszeć.

– Napije się pan może czegoś?

David rozejrzył się. Mały pokój, który robił trochę dziwne wrażenie, nie było w nim bowiem żadnych mebli, dostrzegł tylko indiańskie koce, poukładane w stosy na dywanie. Na ścianach także wisiały kilimy, a dwa zwieszały się niczym flagi z sufitu. Pomieszczenie kojarzyło się nieodparcie z namiotem. W kącie zobaczył jeszcze jeden koc, ten, zwinięty, pełnił chyba rolę poduszki, na której dziewczyna siedziała przed chwilą, stało bowiem przed nim radio, a obok butelka z jakimś napojem i mała pleciana torba, ozdobiona koralikami.

– Nie, dziękuję.

– To może papierosa? Mam trochę trawy.

– Odnalazłem panią przypadkiem, panno Vogel – powiedział David. – Jechałem za człowiekiem, który nazywa się Tannis. – Patrzył uważnie w jej twarz. – Słyszała pani kiedyś to nazwisko?

– Może. – Wzruszyła ramionami. – A dlaczego pan pyta?

– Myślę, że zna go pani.

– Ktoś pytał się o działkę, którą mój ojciec miał kiedyś po tamtej stronie Ridgecrest. To mógł być on.

– Szuka pani ojca, panno Vogel. Nie domyśla się pani dlaczego? – Usłyszeli na zewnątrz kroki Anny i wzrok dziewczyny pobiegł w tamtym kierunku. Potem miękko usiadła, skrzyżowawszy nogi, na tym samym miejscu, gdzie siedziała poprzednio.

David zawahał się, potem usiadł przy niej.

– Dlaczego on szuka pani ojca, panno Vogel?

– Marianna. Tak mi na imię. On wcale nie interesuje się moim ojcem, panie... Davidzie?

– Czy słyszała pani kiedyś o miejscowości o nazwie Dora?

Pokręciła przecząco głową.

– A o człowieku nazwiskiem Buhler?

Znowu zaprzeczyła, ale David nie był pewien, czy dziewczyna nie kłamie.

– Czy ma pani dziecko, Marianno?

Spuściła oczy i odrzekła:

– Mam córkę, Anię. Jest teraz z ojcem.

Anna. Anna. Marianna.

– I wszystko jest w porządku?

– Mówiłam już panu. Kimkolwiek jest tamten człowiek, tak naprawdę wcale nie interesuje się ojcem.

– To dlaczego go śledzi?

– Chodzi mu o złoto.

– Złoto?

– Tak. Ma prawie taki kolor jak to. – Podniosła do góry butelkę z tequilą i pociągnęła łyk. (Zrobiła to w sposób zaskakująco wytworny.)

W drzwiach stanęła Anna. Marianna Vogel spojrzała na nią i uśmiechnęła się z uznaniem: „Ty także jesteś ładna”. Potem otwarłszy swoją torebkę, powiedziała: „Mam trochę meskaliny. Weźmiesz ze mną?” I wyciągnęła w jego kierunku otwartą dłoń. Ciemne kuleczki przypominały barwą skórę.

– Nie, dziękuję – powiedział David.

– Spróbuj. Naprawdę.

David zawahał się przez chwilę. A potem, ku zdumieniu Anny, wyciągnął rękę, wziął jedną z kulek, włożył do ust i zaczął żuć.

Rozdział 17

Dlaczego David sięgnął po meskalinę?

Co tutaj robił w towarzystwie tej dziwnej kobiety?

David dostrzegł w oczach Anny oba te pytania i nie bardzo wiedział, jak brzmiały odpowiedzi. To była chwila, tak mógłby jej powiedzieć. Wydawało mi się, że tylko to mogłem zrobić. Czułem, że nie mam wyboru.

I w dużym stopniu odpowiadało to prawdzie, ale rzecz nie ograniczała się wyłącznie do intuicji. Z jednej strony, było to coś bardziej konkretnego; dostrzegłszy lęk w oczach Marianny, starał się ją uspokoić, właśnie w ten sposób. Popatrz, zdawał się mówić, jestem z tobą, robię to co ty, nie ma się czego bać. Z drugiej strony natomiast wszystko było o wiele bardziej subtelne i skomplikowane. Trwoga Marianny miała swoje źródło w jakiejś tajemnicy – dziewczyna była tak bardzo przerażona – ale (i to było najważniejsze) znała istotę tej tajemnicy. Znała odpowiedź, problem jednak polegał na tym, by zechciała przed sobą samą przyznać się do tego. David zrozumiał to od razu, akceptując jednocześnie fakt, że jest odrobinę szalona. To musiało mieć jakieś znaczenie: szalona, piękna kobieta, samotna na pustyni, i śledzący ją Tannis. Tak, wydawało się, że tajemnica jej trwogi łączy się z większą tajemnicą – Vogel, „Stern”, Buhler, Tannis, Sidewinder, AIM-9B – rozwiązanie jednej prowadziło do rozwikłania drugiej. Odpowiedź na moją własną zagadkę, pomyślał David, łączy się z jej tajemnicą.

A meskalina była częścią tej całości. Była tajemnicą, stanowiła składnik tajemnicy pustyni. Wiązała czas, który David spędził na pustyni, z teraźniejszością; mogła cofnąć go w przeszłość, którą utracił, w czasy, które dla innych były wypełnione seksem, narkotykami i polityką, jego to jednak ominęło. Czyż nie był tutaj Aldous Huxley, pierwszy ewangelista kwasu lizergowego? Poszerz granice umysłu! Hm, to mogło być ciekawe. Tak czy inaczej, wydawało się, że meskalina wiąże się z całą resztą; oto jego *powtórna okazja*, chociaż w innej formie. Wszystko to stanowiło część odpowiedzi na pytanie, dlaczego sięgnął po narkotyk. Ale, co najważniejsze, David był ciągle naukowcem. Biorąc meskalinę, dokonywał eksperymentu. Ze sobą. Z całą sytuacją. Próbował znaleźć odpowiedź, wypróbował samego siebie. Nie wiedział, czy to się uda. Ale pierwszą cudowną, nie dającą się przewidzieć konsekwencją jego postępków, było uświadomienie sobie, jak wiele znaczyła dla niego Anna. Wszystko teraz skupiło się wokół niej. W pewien przemyślny sposób David stał się teraz obserwatorem, nie był już podmiotem, ale przedmiotem własnej obserwacji. Naukowcem, który całkowicie zatracił się w swoim eksperymencie. Połączył się z Marianną – stali się parą i dzięki temu ona przestała być groźna. To była jedna strona całej sprawy. Drugą stanowiło to, że Anna stawiała się właśnie sekretnym świadkiem. Była teraz jego oczyma i uszami, mogła jednak także rejestrować rzeczy, których on nie był w stanie ani widzieć, ani słyszeć. Dlatego niemal wszystko mogło się rozwiązać dzięki niej. Uświadomił to sobie w ostatnim momencie i usiłował jej jakoś przekazać, dostrzegł bowiem w jej oczach błysk bezmiernego zdumienia, kiedy stanęła w drzwiach i ujrzała tę całą scenę. Jak samotnie musiała się poczuć. Wypadła z gry i była skazana już tylko na siebie. Spojrzał więc na nią i wzrokiem chciał ją upewnić, że wszystko jest w porządku. Ciągle jestem z tobą, chciał powiedzieć. Przyłącz się. Rozluźnij. Bądź sobą... Ale, oczywiście, to nie było takie łatwe, szczególnie na początku, kiedy nic jeszcze nie mógł jej powiedzieć. Patrzyła, jak bierze meskalinę do ust, i nie mogła w to uwierzyć. Co on wyrabia? David... Ale nagle, o dziwo, poczuła, że to ona jest śmieszna. Tak, poczuła się sama jak idiotka, co właśnie nie miało sensu, przecież to on to robił... Nie wiedziała, co się dzieje. Nic nie rozumiała. Ale, w jakimś sensie, wszystko grało. W tej

chwili tego właśnie chciał. Nic nie rozumiała, pozostawało jej więc tylko zaakceptować wszystko. Jego. Przestraszoną dziewczynę. Przyczepę. Rozwiązanie zagadki, jakiegokolwiek by było.

Anna rozglądała się po wnętrzu przyczepy. Była zaszokowana i dlatego czuła się idiotycznie. I to czym zaszokowana: narkotykami. Narkotyki były już przecież *passé*, niemodne. No cóż...

Pomieszczenie wyglądało dość dziwnie, jak wnętrze namiotu indiańskiego, zresztą ta dziewczyna, Marianna, przypominała trochę Indiankę. Albo Meksykankę. Lampy rzucały kręgi jasnego światła na podłogę, pokrytą kolorowymi dywanami, ale wokoło było mroczno i tajemniczo...

– Usiądź – powiedziała Marianna. – Słuchaj, jak nie chcesz żuć, to nic nie szkodzi. Mam mnóstwo tequili. Naprawdę, wszystko jest w porządku.

Meskalina – Anna musiała się do tego przyznać przed samą sobą – odrobinę ją przeraziła. I nigdy by się nie spodziewała, że David ją weźmie. To było zupełnie do niego niepodobne. Tyle że musiało być podobne, skoro to zrobił. Z taką łatwością. A potem pojęła dlaczego: to, że był zdolny do sięgnięcia po narkotyk, wiązało się ze wszystkim, co przydarzyło mu się po China Lake, teraz zobaczyła to wyraźniej niż kiedykolwiek. Odrobina meskaliny nie znaczyła dla niego zbyt wiele. W swoim życiu poznał dobrze, co to rozpacz, wiedział wszystko o rozpaczach i dlatego właśnie od razu wyczuł, dostrzegł rozpacz w tej dziewczynie. Anna także ją dostrzegła. To było najistotniejsze. Marianna była zrozpaczona.

– Anna. Mam na imię Anna. Dziękuję. Odrobinę, tyle żeby coś było na dzień. Już, już... Tak, może być cytryna... Nie, za sól dziękuję...

Teraz uwagę jej przykuły dywany, piękne i dziwne.

Miały miękkie, ciepły zapach piżma. Małe romby układały się w gwiazdy i węże. Wiły się przy brzegach długimi łańcuchami i pełzły ku środkowi. Miały barwy róży, sepii, indygo, barwy piasku, gorącego jasnego piasku na spieczonej powierzchni, ciemniejącego, kiedy głębiej zanu-

rzyć weń palce. Były to także barwy krwi: jasnej, jakby połączonej z mlekiem, w ciele, ale purpurowiejącej, gdy zastyga w ranie. Każdy dywan miał swoją nazwę i Marianna wymieniała je, wskazując kolejno palcem: *moki*, Ganado, Klagetoh, Biała Glina, Dwa Szare Wzgórza, Czarna Woda, *yei*.

Marianna na pewno wiele wiedziała o Indianach.

– Nie, to są dywany Navajo. Tutejsi Indianie nigdy nie nauczyli się tkać. Po drugiej stronie Drogi 14, w kierunku Sierra, mieszkali Pajuci, a tutaj siedzieli Szoszoni. Żyli jak ludzie jaskiniowi; żywili się korzeniami, orzeszkami i królikami (zabijali je pałkami, bo nie znali nawet łuku i strzały). Byli niewysocy, najwyżsi mieli około pięciu stóp wzrostu. Większość z nich zobaczyła po raz pierwszy białego człowieka dopiero w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy powstała Nevada Comstock. Najślawniejszą Szoszonką była Sacagawea. Kruki wzięli ją do niewoli, gdy była dzieckiem, a później sprzedali Mandanom, z którymi pojechała na wschód. Tam spotkali ją Lewis i Clark, zabrali ją nad Pacyfik, ale w końcu udało się jej powrócić do swego plemienia. Jestem pewna, że ktoś nakręcił o tym film. Najśłynniejszym spośród Pajutów był Wovoka. Nazywał się naprawdę Jack Wilson i najczęściej chodził w garniturze i wielkim kapeluszu. To on stworzył religię Tańca Duchów. Jeśli Indianie będą go tańczyć – pełny obrzęd trwał cały tydzień – to powstrzymają pochód białych na zachód i odzyskają swoją ziemię. Byli jak indiańscy shakersi, naprawdę. Wtedy, około roku 1870, shakersi byli bardzo popularni, Wilson znał ich także. Tańcząc, Indianie wpadali w trans i myśleli, że nic im nie może zagrozić, że są nietykalni. To stąd Ghost Shirts, stąd Wounded Knee. Rzucali się na żołnierzy, przekonani, że kule się ich nie imają. Pewną rolę odgrywała tu meskalina, stanowiła jeden z elementów. Meskalina to była magia, dawała bezpieczeństwo, chroniła przed złymi czarami. Tak myśleli Tarahumarowie, Apacze, Lipanowie, Mescalero. Współczesny kult meskaliny zrodził się niedaleko stąd i z tej okolicy pochodzili wszyscy najważniejsi jego głosiciele i propagatorzy. Wiedzieli, jak się z tym obchodzić. Joaquin Brown był z Pajutów, żyli niedaleko Fallon. Tak samo jak Joe Green. Wódz Siwy Koń – to znaczy Ben Lancaster – pochodził

chyba z plemienia Washa z Gardnerville w Nevadzie. Pracował w barach w Reno i to on odegrał najważniejszą rolę w rozpowszechnieniu meskaliny. Nauczył pędzić tequilę i przyrządzać narkotyki bardzo wielu ludzi. Żył z Mary D. Creek. Wiem, gdzie zbierał meskalinę, i ta także stamtąd pochodzi. Ścinał ją i suszył, podobnie jak ja, koło Sanderson. Teraz już prawie tam jej nie ma, trzeba dobrze wiedzieć, gdzie szukać. Także i jego, oczywiście, nie ma. Umarł w 1937. Wyatt Earp umarł w Hollywood w 1929. Myślę, że to jedna z najważniejszych dat. Ale tam nigdy naprawdę nie było Indian. Navajowie całą wełnę na te wszystkie koce dostali od Hiszpanów, podobnie jak konie, strzelby, żelazo. Całą mądrość i poczucie piękna, jakich dorobili się Indianie od najdawniejszych czasów, można by zmieścić w jednym niewielkim woreczku. Oczywiście, gdyby im dano dostatecznie wiele czasu, to doszliby nawet do tranzystora. Ale tego czasu im nie dano, prawda? I kiedy tylko zetknęli się z białymi, byli skończeni. Kiedy tylko zetknęli się z białymi, natychmiast stali się mitem. Gdy mówię „natychmiast”, mam na myśli, powiedzmy, trzy lata. Jeśli więc jedną rzeczą, jaką się naprawdę ma, są narkotyki, a człowiek stał się mitem, to najprawdopodobniej sięgnie po nie.

- Studiowałaś antropologię?
- Tylko przez rok. Ale jedną z rzeczy, których tu nie brakuje, jest czas na czytanie.

Marianna była przerażona i dlatego usta jej się nie zamykały, mówiła bez przerwy. To właśnie David dostrzegł, jej przerażenie. Kiedy spojrzała w bok, Anna mogła na chwilę zajrzeć w mrok jej wielkich, ciemnych oczu, mrok, który wciągał, budzący strach i jednocześnie wypełniony strachem. I tylko przez moment Anna była zdolna się weń wpatrywać, a potem odwróciła głowę.

- Ile trzeba wziąć? – zapytał David.
 - Brałeś kiedyś przedtem?
 - Nie.
 - To jedną. Może dwie, najwyżej trzy. Ja biorę kilka, sześć, siedem.
- Przez cały czas Marianna zwracała się do Davida, ale Anna wiedziała, że zerka również na nią. Nagle spojrzała jej prosto w twarz: – Na pewno nie

chcesz?

- Nie wiem. Może jeszcze trochę poczekam.
- Skąd to pochodzi? – spytał David.
- Mówiłam ci już. Z Sanderson w Teksasie. Indianie zbierali meskalinę wokół Laredo oraz nad Rio Grande, ale teraz już nie tam nie znajdziesz. Trzeba jeździć do Meksyku.

Czy David chciał, żeby pozostała trzeźwa? Może liczył na to? Nigdy dotąd nie brała narkotyków, tylko trochę marihuany, oczywiście, ale nigdy nie robiła tego na serio. Przyznaj się, jesteś grzeczną dziewczynką. Greczna Dziewczynka. Dobra Matka. Jesteś dobrze wychowana. I bardzo angielska. Wychodząc za męża nie byłaś dziewicą tylko dlatego, że uznałaś, iż zachowanie cnoty jest czymś bardziej kłopotliwym niż jej utrata.

Dwie lampki stojące na podłodze oświetlały dość wyraźnie kolorowe koce. Marianna wyjaśniła, że czerwien pochodzi z koszenili, owadów, z których Indianie wygniatali barwnik. Na kaktusach wyglądają jak kawałeczki wosku, wysysają z roślin sok. Słońce, kaktus, sok, owad, barwnik, dywan...

- Myślisz, że mają halucynacje, kiedy piją sok z kaktusów?
- Wolą opuncje – odezwał się David. – *Opuntia polyacantha*.

Światło lamp, kładąc się na kocach, docierało aż do kuchni, połyskując na metalowych szafkach, pokrytych drewnopodobną okleiną. Nie mogłabym tu mieszkać, pomyślała Anna i spojrzała na Davida. Był ciągle tutaj, właśnie tutaj, całym sobą. *Opuntia polyacantha*. Co właściwie zamierzał, czego się tutaj spodziewał? Dopiero teraz zaczynała rozumieć, jak bardzo polegał na swoich odczuciach. Udawał, i to w sposób nader przekonujący, jak znakomity aktor, że wierzy słowom innych ludzi, ale naprawdę ufał tylko temu, co sam zobaczył, czego dotknął i posmakował.

Tannis zastrzelił węża, który ukrył się pod domkiem, powiedziała Marianna. To dlatego cieszyła się, że córeczka jest z ojcem. Voglem. Który nie nazywa się Stern, ma o tym pamiętać. Czy może na odwrót? I może Marianna wcale nie była tak zadowolona z nieobecności dziewczynki, jak mówiła. Na pewno nie była. Wódka, narkotyki, to dlatego po nie sięgała, to dlatego była taka przerażona. Córeczka, Ania. W kącie pokoju Anna

zobaczyła oprawioną w srebrną ramkę fotografię małej dziewczynki. Pewnie mała sama wybrała oprawkę.

Anna była pewna, iż tamta już przed ich przyjazdem brała meskalinę i piła tequilę. Była twarda. Stanowiło to również część gry między nimi, kobietami. Widzisz, twój chłopak bierze narkotyki ze mną, a nie z tobą, więc... Więc co?

– Daj mi trochę wody – powiedział David po drugiej kulce meskaliny.

Marianna nagle się ożywiła.

– Chodźmy na zewnątrz. Jest piękna noc, a ja znam bardzo miłe miejsce. – Zerwała się. – Każdy bierze koc. Każdy bierze koc, ja przyniosę wodę i idziemy.

Tylko matki, pomyślała Anna, przybierają taki ton. A ponieważ jesteś grzeczną dziewczynką, więc robisz to, co ci każą. Noc była jednak naprawdę prześliczna. Zrobiło się już zupełnie ciemno i czarne niebo iskrzyło się diamentami gwiazd. Nigdy jeszcze nie widziała tak jasnych gwiazd. Tak białych. Daleko, za przyczepą, ciemniała ściana gór, po drugiej stronie, w kierunku szosy, widać było blady odbłask światła Panamint, przypominało to jezioro na niebie. Anna miała na nogach sandały, między jej palce wciskał się chłodny piasek. Powietrze było także dość chłodne, ale łagodne. Poczowała dotknięcie dłoni Davida.

– Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Nie chciałbym...

– Nie martw się. Ona wszystko rozumie. Wie wszystko.

Pojawiła się Marianna. Poprowadziła ich w kierunku małej niecki, między wielkimi głazami. Rozłożyli koce na piasku. Kiedy usiedli, przekonali się, w jak cudownym miejscu się znaleźli. Skały otaczały ich i osłaniały ze wszystkich stron, ale rozgwieżdżone niebo nad głowami mogli podziwiać bez przeszkód. Woda stała w metalowym wiadrze, Marianna przyniosła też kubek, który David natychmiast pochwycił i zanurzył w kubie. Pociągnął długi łyk, ale natychmiast skoczył za wielki głaz i Anna

usłyszała, jak wymiotuje. Raz, drugi, trzeci...

– Dobrze się czujesz?

– Nie martw się – odezwała się Marianna. – Prawie każdy po tym wymiotuje, szczególnie jeśli napije się czegoś.

David...

– Poczujesz się samotna – nalegała Marianna – jeśli tylko ty nie będziesz brać.

Nie.

I w następnej chwili: powinnaś robić to – pomyślała – czego się najmniej po tobie spodziewają.

Kulka meskaliny wyglądała jak suszony owoc.

Suszone jabłko.

Morela.

Albo figa.

Anna włożyła ją do ust i nagryzła. Miała smak słony, gorzki i ostry, jak skórka orzecha. Kiedy zaczęła żuć, masa okazała się włóknista i twarda, jak kawałek niedogotowanego mięsa. Tego nie można było żuć. Połknąć? Nagle jej usta wypełniły się śliną i zdrętwiały, nie jak u dentysty, jedynie na powierzchni, pod którą język wyczuwał nieprawdopodobną miękkość.

I wreszcie połknęła kulkę, gdyż inaczej musiałyby ją wypluć.

Nocne niebo zaczęło się powoli obracać za gwiazdami, a wraz z nim obracała się Anna, wciąż wokoło, wokoło. Wirowała tak jakiś czas i naraz poczuła, że właściwie kręciło się wszystko w niej. Gwiazdy płynęły, nabierając kolorów, jakby to były wstążki, neony czy kredki. Stare fotografie z Picadilly, Times Square. Naprawdę, pomyślała, to wygląda jak... ale nie potrafiła znaleźć odpowiedniego słowa.

Wzory na kocach były nieprawdopodobnie piękne. Wątek i osnowa. Skośny splot i gobeliny. Starła się śledzić jedną nitkę, a ta pojawiała się i znikwała, to w górze, to w dole, to gdzieś z tyłu. Na moment zupełnie zginęła, ale zaraz ukazała się znowu. Anna podniosła wzrok, a czerwony romb, jakby porwany jej oczami, wzbił się niby czerwona iskierka nad ogniskiem i pofrunął. Pomknął hen, w przestrzeń, błyszcząc jaskrawo jak pa-

puga.

Anna sama wstała i poszła za skały. Będzie wymiotować. Najpierw chciała opaść na ręce i na kolana, ale potem zgięła się tylko w pasie. Będzie wymiotować. Wiedziała. Nic nie mogło temu zapobiec. Poczula, jak ściskają się jej pośladki. Nie miała nawet czasu zaczerpnąć oddechu; żołądek skręcił się i już w następnej chwili przełyk, gardło, usta, wszystko było otwarte jak u ryby, ona zaś wyrzucała z siebie, w rytm skurczów brzucha i pośladków.... O Boże. To było jak odwrócone oddychanie. O Boże. Znowu zwymiotowała. Cholera! Trochę chlusnęło jej na stopy i, oczywiście, na sandały.

David. Divad.

- David, zauważyłeś, że to prawie palindrom?
- Co to takiego? – zapytała Marianna.
- Słowo, które czytane zarówno od lewej strony do prawej, jak i odwrotnie, brzmi tak samo.

Niebieskie mleko lejące się z Mlecznej Drogi... Całe przeżycie, pomyślała Anna, to był właśnie ten poziom: banalne, jak słowa szlagieru. Lucy, czy ktokolwiek to był, na niebie z diamentami. Efekty, szczerze mówiąc, były słabsze niż te, jakich doznaje się podczas snu, ale właśnie jedna z najistotniejszych cech tych przeżyć polegała na tym, że nie były snem. Czuła się jak we śnie, ale jednocześnie wiedziała, że to jawa. Nie była tylko pewna, co to wszystko ma wspólnego z Marianną. Ale gwiazdy, konstelacje, wyglądały naprawdę niesamowicie.

Leżeli na kocach, zapatrzeni w gwiazdy. David znał gwiazdozbiory zodiaku, a poza tym, to była Kalifornia; nauka i astrologia nie są tu tak odległe od siebie.

- Ale wszystko się popsuło od czasu, kiedy Ziemia ruszyła. Gwiazdy nie są już w swoich domach. Podczas zrównania dnia z nocą Słońce miało być w gwiazdozbiórze Barana – tam widzieli je starożytni – ale od tamtych czasów chyba przesunęło się do Ryb.

Jaki spokojny był jego głos. Zapatrzona w gwiazdy Anna pozwoliła

opaść powiekom. Za nimi, wysoko po niebie kroczył przyjazny, złocisty Lew. Wpatrywała się w niego. Sądziła, że zatrzyma się, potrząśnie grzywą i ziewnie, ale nie zrobił tego. Otworzyła oczy, a on szedł dalej, ogromny, kroczył wzdłuż grani, miękkimi susami skacząc z jednego szczytu na drugi. Słyszała słowa Davida: *Wpatrywał się w gwiazdy i nigdy w ogóle nie myślał o Londynie.*

Wypiła znowu kilka łyków wody i poszła za skałę, ale tym razem nie poczuła mdłości. Czekwała na nie, spoglądając w kierunku Panamint, ale żołądek nie buntował się. Po jakimś czasie nachyliła się jednak. Nie była pewna, czy rzeczywiście chce spróbować, z drugiej jednak strony ciekawiło ją, czy się uda, czy nie. Rozluźniła mięśnie szyi i otworzyła szeroko usta. Potem napięła mięśnie brzucha: nic, wtedy położyła na nim rękę i mocno przycisnęła, co zmusiło mięśnie do ponownego wysiłku, ściągnęły się. Zamknęła oczy i skupiła się na swoich wnętrznościach, a jednocześnie starała się rozluźnić. Znowu wciągnęła mięśnie. Jak podczas tańca brzucha, pomyślała. I wtedy się zaczęło. Poczula nagły przypływ lęku, ale nie pozwoliła sobie na strach. Raz, dwa, trzy. Woda trysnęła krystalicznie czystym strumieniem; obserwowała jej świetlisty łuk. Pojedyncze krople skrzyły się jak diamenty: absolutnie nieważkie ulatywały w niebo jak baloniki.

Houdini to potrafił. Połykał klucz, potem zwracał i wyciągał go z wiadra czy z czego tam. Potrafił wywoływać w sobie mdłości, kiedy tylko chciał.

Gdzie była Marianna?

Kolory, myślała Anna. Światła i kolory. Jak pudełko kredek. Czyste, jasne barwy. Jak siedzenia u McDonalda. Dzieci-kwiaty. ...było w tym wszystkim coś strasznie dziecinnego... Ale czy to źle?

Czuła się teraz bardzo zmęczona. Chcę, żeby to się uspokoiło. Ale kolory wcale nie gasły. Zamknęła oczy, one jednak ciągle były przed nią, jak niezależny żywioł. Płynęła przez nie, jak ławice ryb, jak drżące wodorosty. Ale poruszała się tak gładko. Zupełnie jakby pływała naga. Cóż za

przyjemność. Szybowała. Na tym to polegało, pozwolić się nieść, prądowi, wiatrowi, przekraczając się co jakiś czas, gdy od promieni słońca robiło się za gorąco. Połóż się na kocu i zaśnij. Zamknij oczy i zaśnij.

I chyba rzeczywiście zasnęła.

Nie potrafiła jednak sobie dokładnie przypomnieć, jak się to skończyło.

Potem pamiętała niewyraźnie, jak oparta na ramieniu Davida szła powoli po piasku. I jakąś dziwną rozmowę o powrocie „dłuższą drogą”. Nie pamiętała wcale powrotu do przyczepy i dopiero kiedy zbudziła się kilka godzin później, powróciły te dziwne kłopoty z zasypianiem. Wszystkiemu winne były barwy, które stanowiły niewątpliwie główny efekt narkotyku. Ilekroć zamykała oczy i usiłowała się odprężyć, one zaczynały swoją zabawę. Nie potrafiła nad tym zapanować: mogła do pewnego stopnia kontrolować kształty, ale nie barwy; były zupełnie niepodległe. Zaczęła się irytować. *Już dobrze, wystarczy*. Przypominało to słuchanie historii, którą opowiadano nam już wiele razy; czuła, że twarz jej tężeje w dziwnym grymasie. Kiedy się zbudziła, zrobiła pierwszą próbę: przymknęła oczy i starała się odnaleźć kolory, a potem zaczęła się rozglądać wokoło, sprawdzając, czy nie zobaczy ich „na zewnątrz”. Ale kiedy tylko uświadomiła sobie, co robi, natychmiast pomyślała: „Przynajmniej potrafisz dostrzec różnicę”. W końcu okazało się, że barwy ciągle jeszcze są, ale słabe i niewyraźne, i dopiero wysiłkiem woli mogła je przywołać.

Poczuła ulgę i opierając się na łokciach, uniosła się na posłaniu.

Leżała w największym pokoju przyczepy, na bardzo wąskim materacu, pod jednym z koców Nawajów. Obok niej leżał David, także przykryty, wciąż jeszcze spał. W żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć, jak wróciła do domku. Nadstawiła uszu. Nie słyszała Marianny, nie słyszała zresztą nic, poza lekkim szumem wentylatora, którego nie potrafiła zlokalizować. W następnej chwili poczuła, że chce jej się siusiu. Nie próbowała szukać toalety, owinęła się kocem – spała nago – i wyszła na zewnątrz.

Było bardzo zimno, niebo zaciągnęło się chmurami. Powitała to z ulgą, teraz bowiem niemal opiekuńczo otulało okolicę, nie cofało się w głąb obojętnej nieskończonej przestrzeni. Wciąż lśniło kilka gwiazd; do świtu

pozostało jeszcze trochę czasu. Zaciekawilo ją, gdzie się podział zegarek. Zeszła po schodach i zaczęła oddalać się od przyczepy. Po przejściu jakichś stu jardów przykucnęła. Czekala kilka sekund. Powietrze bylo cudownie chłodne, wciągnęła je głęboko, a kiedy zaczęła je wypuszczać, jednocześnie popłynął z niej mocz. Spojrzała pod siebie. Jeśli będzie jasnoniebieski, nie wpadaj w panikę. Ale nie był. Nie miała czym się wytrzeć, odczekała więc chwilę, aż spadnie ostatnia kropla. Mój Boże, pomyślała, co za szaleństwo. Jak jakaś hippiska. Koce Nawajów! Brak tylko jeszcze koralików! Naprawdę zabawne. Wyprostowała się i rozchyliwszy trochę koc, by skóra mogła poczuć rzeński powiew, ruszyła powoli w stronę przyczepy. Przy schodkach zobaczyła wiadro i kubek. Nie wiedziała, czy znowu chwycą ją mdłości, ale uznała, że nie powinny, wypila więc kilka łyków, a potem spryskała sobie uda. Weszła do środka. Cisza. David nie poruszył się, zatem i ona ułożyła się do snu.

Tym razem spała godzinę, może dłużej. Kiedy się obudziła, David siedział obok. Z pewnym zdziwieniem spostrzegła, że pali jeden z papierosów należących do Marianny.

– Jak się czujesz? – szepnęła.

– Trochę szumi mi w głowie, ale poza tym w porządku. – Głos miał zupełnie normalny. – Leży w sypialni, zupełnie nieprzytomna. Nie ruszy się przez kilka godzin.

– Jesteś pewien? – spytała Anna, ciągle szeptem.

– Bóg jeden wie, ile tego wzięła. – Nachylił się i pocałował ją w policzek. – Jesteś zła? Wiesz, wcale nie musiałaś brać.

Przez chwilę namyślała się, a potem odpowiedziała z uśmiechem.

– Nie, nie jestem zła, tylko że nie wiem, czy mi się podobało... Chociaż, chyba tak. Widziałam powódź kolorów.

– Mhm. Ja także.

– O co ci w ogóle chodziło? Dlaczego się zgodziłeś?

– Nie wiem. Może chciałem ją zaskoczyć, zobaczyć, co zrobi, jak zareaguje... Ale trochę także ze względu na ciebie. Byłem ciekaw, jak się zachowasz, co zobaczysz.

– Myślę, że coś takiego podejrzewałam. Ale chyba nie zobaczyłam zbyt wiele, z wyjątkiem tego, jak jest przestraszona.

– Boi się o córkę. Vogel zabrał ze sobą jej dziecko. W ten sposób ma ją w garści. Jestem tego pewien.

– Dlaczego tak postępuje?

David zawahał się, ale nawet jeśli coś odpowiedział, nie zapamiętała tego, bo w chwilę potem, tak jej się wydawało, zaczęła się znowu budzić. Musiała znowu zasnąć, bo przecież raz jeszcze się budziła. I miała poczucie upływu czasu, lub może raczej takie wrażenie, jak gdyby zasnęła w pociągu, tak że jej sen, jej wizje i ruchy ciała dałoby się także przeliczyć na mile. Było teraz dużo jaśniej i cieplej; leżąc na podłodze widziała słońce przez szczeliny w żaluzji. David, który siedział na skraju materaca, uśmiechnął się do niej spokojnie. Miał mokrą twarz; krople wody skrzyły się na jego nie ogolonych policzkach. Był nagi, a jego skóra nabrała czerwonego odcienia, jakby dopiero co wycierał się energicznie ręcznikiem. Anna uświadomiła sobie naraz, że go pragnie, choć reakcja jak zwykle była opóźniona. Najpierw doznała wrażenia dziwnej senności, jak gdyby jej zmysły starały się *nie czuć*, a potem serce zabiło żywiej. Pożądanie zawsze odczuwała najpierw w ustach i piersiach.

Powoli ściągnęła koc.

Aby pokazać mu siebie.

Chociaż dalej nie była pewna. Usłyszała swój szept: „Ciągłe śpi?”

– Jak zabita – skinął głową David.

Uklęknął. Jego członek był już nabrzmiąły i wzniesiony; przymknęła oczy. Czy potrafiłaby zamienić go w węża? Albo w kwiat, w tulipan, piękny holenderski tulipan, ciągle jeszcze pąk, wielki pąk, tak ciężki, iż wyginał lodygę? Nie bardzo się to jednak udało, jeśli meskalina ciągle jeszcze działała, to co najwyżej dodawała pewnego poloru rzeczywistości światu. David otoczony był delikatną poświatą. Wyciągnęła ku niemu rękę a on, pochylił się i zaczął ją całować delikatnie, powoli. Rozchylając usta, poczuła w gardle chłodne powietrze i wtedy wgrzyła się w jego wargę, jakby chciała powiedzieć „Szybciej, szybciej, nie tak leniwie”. Oddychała pospiesznie, nagle bardziej podniecona, niż mogłaby się spodziewać. Czowała, jak jego palce przesuwają się wśród jej włosów, potem prześliznęły się po jej szczękach i krtani, a potem dłonie powędrowały znowu ku ramionom. Chwycił je mocno i przytulił ją do siebie. Całował jej szyję, gładki,

chłodny, delikatny język przesuwiał się coraz niżej. Ale najważniejsze były ręce. Poruszały się gorączkowo i nie mogła za nimi nadążyć. Ciągłe jeszcze czuła ich ciężar na swoich piersiach, a brzuch drżał od ich ucisku, kiedy już zaczęły rozwierać jej uda. Palce zaciskały się na jej sutkach, poczuła ból, ale zaraz ukoiliły go jego usta. Miał duże, twarde, sękaty dłonie, dłonie ogrodnika, które dobrze wiedziały, co robić. Odemknęły uda, a następnie kciuki odnalazły wszystkie jej tajemnice. Nie mogła powstrzymać ruchu bioder, a jego język był niestrudzony, niepowstrzymany, ale także i przebiegły, zagłębiał się w nią tylko odrobinę, dając jedynie przedsmak tego, czego pragnęła. Ale trwało to i trwało, poczuła, że nadchodzi szczyt, lecz choć skupiła się w sobie w taki sposób, jak to zawsze robiła, poczuła ze zdziwieniem, że jakby zatrzymała się gdzieś w pół drogi. Bezskutecznie ponowiła próbę. Coś gdzieś nie zaskakiwało, wymykało się. Mimo to było jej dobrze: płynęła w jakimś ciepłym, łagodnym żywiole. Westchnęła, coś przeniknęło ją do głębi i wtedy krzyknęła. Coś się działo. Język Davida pieścił ją wciąż nieustannie, ale znowu poczuła jego ręce. Był taki silny. Potrafił wspinać się po górach. Potrafił podciągnąć się na linie. Teraz te silne dłonie chwyciły jej nogi poniżej kolan, a palce naciskały od wewnątrz na uda, rozsuwając je szeroko. Wielkie, silne dłonie. Wcisnęły ją coraz mocniej w materac i rozwierały coraz szerzej. Jeszcze szerzej... Ogarnął ją niepokój. To bolało. Nie. Przestań. Nie powiedziała tego głośno, ale usłyszała to słowo bardzo wyraźnie gdzieś w sobie. Nie, nie lubiła tego. Na pewno nie. On ją... zmuszał. Poczuła nagły gniew. Nie siłą. Chciała krzyczeć, ale zachłysnęła się, gardło miała zaciśnięte i wydawało się jej przez chwilę, że nie może zaczerpnąć oddechu. Była jak zakneblowana. Jej nogi stawiały opór Davidowi, ale choć chciała, nie mogła krzyknąć, powiedzieć mu, żeby przestał. Czy wiedział, że zadaje jej ból? Pewnie nie, ale teraz nagle wszystko się zmieniło. Teraz bowiem wsuwał się między jej nogi coraz głębiej – były rozwarłe tak szeroko, iż bała się, że się rozedrze i wyleje się z niej jakaś straszliwa maź. A potem jego twarz znowu znalazła się przy jej policzkach, dłonie zaś delikatnie objęły pośladki. Ten dotyk miał magiczną moc, nie mogła mu się oprzeć. Wniknął do jej wnętrza, do trzewi i poczuła, jak wszystko się w niej rozluźnia, wygładza, od pośladków przez brzuch do piersi. W jednej chwili

uleciał z niej gniew, a wraz z nim i ból, jak gdyby w istocie był po prostu gniewem zamkniętym w niej, w jej biodrach. Zdumiona, zaczerpnęła powietrza, gardło rozwarło się odrobinę i mogła nareszcie odetchnąć – uprzytomniła sobie zresztą, że sama wstrzymywała oddech – i bez najmniejszego wysiłku, z własnej woli, rozłożyła nogi jeszcze szerzej, czując, że otwiera się przed nim niczym łakome usta. Wciągnęła go w siebie jak oddech. Było tak wspaniale. Kocha go. Czują wariackie szczęście i tego nie pojmowała; było pięknie, to prawda, ale skąd ten smak szaleństwa? Jęknęła, gdy wchodził w nią. Powoli zaczął się w niej poruszać. Przypominało to grę, gdyż dostosował się do rytmu jej oddechu, w którym wznosiły się i opadały jej piersi. Odrzuciła głowę, gdyż nie mogła znieść dłużej płynącego od okna światła ponad barkami Davida. Znajdowała się teraz w chłodnym, spokojnym cieniu. I wtedy nieprawdopodobnie wyraźnie – tak wyraźnie, że mogłaby podejrzewać, iż narkotyk wciąż jeszcze działa, pojawił się przed nią obraz rąk ojca. Duże, silne, twarde, brązowe ręce, zarośnięte i mocne. Wpatrywała się w kciuki, grube u nasady i krótkie, widziała zaciśnięte pięści, choć od strony dłoni. Wiedziała, co to za obraz. Siedziała na huśtawce w ogrodzie, ojciec zaś trzymał linki i kołysał ją: płynięcie z Davidem przypominało tę huśtawkę. Wbijał się w nią coraz szybciej i szybciej, a ona towarzyszyła mu ruchami nóg, rytmicznie podrygując, aż wreszcie opadła całkowicie rozluźniona, czując jak całe ciało ulatuje w górę. Wznosiło się coraz wyżej i wyżej, aż w końcu poczuła strach i omal nie zaczęła krzyczeć z przerażenia. Choć, oczywiście, nie był to naprawdę lęk. Otworzyła oczy. Ręce spoczywały nie na sznurkach huśtawki, lecz na plecach Davida, wcisnęła się więc w niego, i wtedy, tak łatwo jakby chodziło o pocałunek na policzku – stało się.

To właśnie doprowadziło do odkrycia. Narkotyki, seks. Budzenie się i zasypianie, zasypianie i budzenie się. Ale wciąż jeszcze nie miała pojęcia, że... To miało przyjść dopiero później...

Znowu się zbudziła, ponieważ jednak David jeszcze spał, a z sypialni Marianny nie docierały żadne dźwięki, otuliła się w koc i raz jeszcze wyszła na zewnątrz. Było bardzo ciepło. Na końcu przyczepy znalazła kran, umyła się, a potem wyprała koszulę i spodnie. Szukając miejsca, gdzie

mogłaby je rozłożyć, by schły, dostrzegła dwa wielkie głazy sterczące na brzegu niecki, w której znajdował się domek Marianny. Poszła w tamtą stronę.

Rozejrzała się wokół, o niczym specjalnie nie myśląc. Niewiele tu było do zobaczenia, skały i krzewy kreozotowe, kreozoty i skały, gorące i puste. Wiedziała, że nikt jej nie może zobaczyć. Przycisnęła ubranie kilkoma kamykami i sama ułożyła się na skale, odwinęła koc i odsłoniła ciało wystawiając je na słońce. Dlaczego by nie, skoro nikt jej nie widzi? Czują, jak jej ciało wyciąga ciepło z nagrzanego kamienia. Słońce. Salvador Dali. Georgia O'Keeffe. Białe czaszki. Zegarki topiące się na słońcu. Czas jak czekolada. Te kolory.

Nie bardzo mogła się skupić na czymkolwiek. Po pewnym czasie zaczęła się zastanawiać, czy mogła zająć w ciążę. Nie chciałyby, z pewnością by nie chciała, zaczęła więc liczyć dni od ostatniego okresu. Ostatecznie jednak okazało się to zbyt męczące i zrezygnowała z rachunków. Pozwoliła, by jej myśli biegły sobie zupełnie swobodnie, ale nagle coś przyplęnęło, zupełnie nie wiadomo skąd, właśnie w chwili kiedy znowu zamknęła powieki, zamieniając błękit nieba na pulsującą przed oczyma ciemność, która po chwili przeszła w falujące złoto. To coś było dość dziwne, przypominało pustkę podobną do tej, kiedy się o czymś zapomina. Ale wiązała się z tym jakaś osobliwa czujność, jak gdyby musiała pilnować się przed... czymkolwiek było to, o czym zapomniała, a w każdym razie sądziła, że zapomniała. Tymczasem jednak przyszło jej do głowy, że seks nie ma nic wspólnego z zachodzeniem w ciążę. Tak właśnie pomyślała, choć nie bardzo wiedziała, co to właściwie ma znaczyć. Skupiła się i zrozumiała, iż chodziło jej o to, że seks, połączenie się mężczyzny i kobiety ma na celu nie ciążę, lecz rozkosz. Z punktu widzenia fizjologii, nawet biologii to jest najważniejsze przeżycie, doświadczenie, a nie dzieci, te są sprawą drugoplanową, co widać wyraźnie zwłaszcza wtedy, gdy weźmie się pod uwagę metody i możliwości, jakimi dysponuje przyroda. Reprodukacja może się dokonywać na tyle różnych sposobów – podział komórki, zapylenie i tak dalej – my natomiast robiąc to tak, jak robimy, wzbijamy się na szczyt i o to właśnie chodzi. Uświadomiła sobie to wszystko niesłychanie wyraźnie, ale jednocześnie poczuła zdziwienie, gdyż zazwyczaj

nigdy nie zastanawiała się nad tego typu sprawami. Co więcej, nie była pewna, czy jest to myśl oryginalna, czy strasznie banalna, choć jednocześnie wydawało jej się, że większość ludzi wyraziłaby w tej sprawie dokładnie odwrotną opinię. Celem seksu była ciąża. Rozkosz była zapłatą, nagrodą. Łapówką, która miała nakłaniać ludzi, by rozmnażali się jak króliki. Ale to nie była prawda, nawet z biologicznego punktu widzenia. Istotą naszego sposobu rozmnażania się jest rozkosz, to uczucie ciepła, spokoju rozlewającego się po całym ciele; odprężenia i wyciszenia, jak po przebudzeniu z głębokiego snu. Wciąż nie otwierając oczu, lekko zmarszczyła brwi. Naprawdę się z tym zgadzała? To wzburzenie krwi, mające w sobie coś mistycznego, nazbyt przypominało D.H. Lawrence'a, którego nie lubiła, gdyż zawsze była nieufna wobec koncepcji, które w centrum stawiały ciało, biologię. A z drugiej strony, taka była prawda i dobrze o tym wiedziała. Dzięki Davidowi coś się z nią stało. Była teraz inna, a ta różnica decydowała o wszystkim. Bez względu na to, jak do tego doszło, seks stał się nie tyle sposobem na płodzenie dzieci, ile sposobem na przekształcanie nas samych. Czyż nie? Czyż nie na tym polega nasza prawdziwa przewaga nad zwierzętami? A potem – jako potwierdzenie tych myśli?... nigdy potem nie mogła tego rozstrzygnąć – napłynęły wspomnienia: była młoda, tak młoda, jak stary był świat, ale widziała wszystko bardzo wyraźnie. To było przecież zupełnie proste. Jest w ramionach ojca, który tuli ją do siebie. Widzi jego twarz, linię policzka. Czuje jego zapach – teraz, tutaj, w Kalifornii, czuła zapach ojca. Matka nachyla się nad nią z uśmiechem w oczach i całuje, *ona wie jednak, że to ojciec ją trzyma, a nie matka.*

O to właśnie chodziło od początku, co tak ją zaskoczyło – było to bowiem jej najwcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa – że na chwilę zatkało jej dech w piersiach. Usiadła raptownie, uświadomiła sobie istotę tego wszystkiego tak wyraźnie, że samo wspomnienie zbladło zupełnie. Teraz wiedziała, dlaczego powróciło. Nic nie było przypadkowe, żadna z tych myśli, żadne z tych uczuć. Wprost przeciwnie. Od dłoni Davida do dłoni ojca, zmierzała do tego punktu, jakby wspinając się po skale. David posłał ją tą trasą, której sam nie potrafiłby pokonać. I oto dotarła do szczytu. Było nim pytanie: Gdyby to Marianne nawiedziło podobne wspomnie-

nie, czyje ręce by widziała? Vogel był ojcem Marianny, ale kto był ojcem Ani? Czy też, ujmując to inaczej, kto był mężem Marianny, ojcem jej córki?

Musiała sprawdzić coś jak najszybciej. Natychmiast zsunęła się ze skały, schwyciła ubranie, naciągnęła wilgotne jeszcze spodnie. Zaczęła schodzić, potem bieć po zboczach ku przyczepie. Gdy weszła do środka, w pierwszej chwili nie mogła niemal nic dostrzec w panującym tu półmroku, tak jasno było na zewnątrz, zresztą zaraz uprzytomniła sobie, że znowu musi wrócić na słońce, chciała bowiem obejrzeć fotografie, które David znalazł w Aberporth, a które ciągle jeszcze znajdowały się w walizce, w bagażniku samochodu. Zawahała się na moment – czy nie powinna zbudzić Davida? Spał jednak smacznie, a zresztą uznała, że powinna sama dokończyć tę sprawę. On był naukowcem, to on rozpoczął eksperyment, ale w tym doświadczeniu chodziło przecież o to, by umożliwić jej, właśnie jej, dotarcie do konkluzji. Po cichu zabrała zauważoną w nocy fotografię Ani i wyjęła ją z tandetnej oprawki. Zdjęcie zrobione, jak informowała pieczętka, w Seras. Upozowane, nieprawdziwe, światło zbyt ostre, poza nienaturalna, ale dla jej potrzeb zupełnie wystarczało. Przeszła do sypialni, gdzie Marianna Vogel ciągle spała na swoim łóżku. Wystarczyło jedno spojrzenie: nie mogło być żadnych wątpliwości, wcale ich zresztą nie miała. Ania była córką Marianny. Twarz matki była bardziej napięta, ściągnięta, jak gdyby policzki i czoło starały się zapanować nad lękiem malującym się w dużych, ciemnych oczach, jednakże córka odziedziczyła tę samą urodę.

Wróciwszy po chwili ze zdjęciem, o które jej chodziło, Anna przysiadła na jednym z indiańskich koców i wpatrzyła się w obie fotografie – ustawione jedna obok drugiej. Podobieństwo rzucało się w oczy. Dziewczynka na koniu mogłaby być co prawda Anią, gdyby nie fakt, że zdjęcie zrobiono ponad dwadzieścia lat temu; musiała to być zatem Marianna, tyle że była wtedy odrobinę starsza niż jej córka teraz. Poza tym, pomyślała Anna patrząc na fotografię, nikt nie mógł wątpić, że niski, ciemnowłosy mężczyzna jest ojcem dziewczynki. On był wyraźnie dumny z tego, że ona tak dzielnie siedzi na koniu, a ona wyraźnie zadowolona z jego dumy.

Co to mogło oznaczać? Anna czuła, jak jej serce bije gwałtownie, gdyż

intuicja już wcześniej podsunęła jej odpowiedź, zmusiła się jednak do przemyślenia wszystkiego starannie i powoli. Przesuwała palcem po fotografiach jak dziewczynka, która ucząc się czytać, wodzi nim po literach. W tej części pustyni zawsze był jakiś Vogel. Żona Davida pożyczła od niego konie, wiadomo było o drugiej działce, niedaleko stąd, która należała do niego. Marianna była córką tego mężczyzny. Kto jednak był ojcem jej dziecka? Anna wiedziała już, że właśnie to pytanie budzi trwogę Marianny, przerażenie, które dostrzegli obydwójce. Czy to nie oczywiste? Vogel, którego Marianna uważała za swojego ojca, był też ojcem jej córki. Ojciec i kochanek byli jedną i tą samą osobą, dlatego też córka była zarazem jej siostrą. Lecz tu właśnie kryło się sedno wszystkiego. Otóż w istocie *wcale tak nie było*. Nie mogło być. David miał całkowitą pewność, że mężczyzna, którego spotkał w Aberporth, nazywający sam siebie Sternem, nie był tym człowiekiem ze zdjęcia przedstawiającego kilkuletnią Mariannę na koniu, z całą pewnością jej ojcem. Czy Vogel był Sternem czy też Sternem Voglem, nie miało to żadnego znaczenia. Anna wiedziała teraz, że od samego początku poszli złym tropem.

Przemyślawszy już wszystko i całkowicie przekonana o trafności wniosków, Anna nagle uświadomiła sobie, że nie wie właściwie, co robić dalej. Chciała pobiec i zbudzić Davida, by opowiedzieć mu o wszystkim, ale nie zrobiła tego. Coś ją powstrzymywało, jakaś subtelna bariera częściowo związana ze szczególną naturą odkrycia, ale częściowo także z logiką, która doprowadziła ją do rozwiązania. W końcu zabrała fotografie i poszła do sypialni. Marianna ciągle spała, wciąż pewnie płynąc w powodzi narkotycznych kolorów. To także stanowiło argument za tym, żeby czekać. Jedyne krzesło było małe i niziutkie – krzeselko Ani. Usiadła na nim, ułożyła obie fotografie na kolanach. Myślała teraz tylko o jednym: jak ma obwieścić Mariannie zdumiewającą prawdę.

W momencie gdy ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk, David znajdował się na zewnątrz przyczepy. Wszystko jednak było w porządku; choć jeszcze nie wiedział o tym, jego eksperyment zakończył się sukcesem i pozostało mu już jedynie odnotować rezultaty.

Minęła już dziesiąta. Obudził się wypoczęty, odprężony, pomyślał, że Anna wyszła na dwór. Wyszedł za nią i podobnie jak wtedy, gdy się obu-

dził po raz pierwszy, napełnił wiadro świeżą wodą i sam się napił. Zajrzał za przyczepę, a kiedy wracał, zaczęło się. Wrzask przerażenia. Rozpacz. Krzyk najbardziej przerażonego na świecie dziecka.

Zamarł ze zgrozy, ale już w następnej chwili puścił się biegiem, choć wiedział, że to nie Anna. Kiedy wychodził, drzwi zatrzasnęły się za nim; kiedy po krótkiej szarpaninie dostał się do środka, było już po wszystkim. Anna klęczała na łóżku, trzymając w objęciach rozpaczliwie szlochającą Mariannę. Ramiona dziewczyny unosiły się i opadały gwałtownie, jak gdyby biegła całe mile i teraz nie mogła złapać powietrza. W pierwszej chwili pomyślał, że to meskalina, jakiś straszliwy koszmar. Anna, wciąż trzymając Mariannę w ramionach, zaczęła mu wyjaśniać:

– Odgadłam to, Davidzie. Vogel jest ojcem dziewczynki, ale ona myśli, że jest także j e j ojcem. Rozumiesz? Ale nie ma racji. On nie może być jej ojcem. Ona jest dziewczynką na fotografii. Spójrz na zdjęcie j e j córeczki, a sam zobaczysz...

– To mój ojciec – przerwała jej Marianna. – Mój, mój ojciec...

Powtarzała to uporczywie, Anna zaś usiłowała ją uspokoić.

– Tak, tak, to twój ojciec, masz rację... Ale widzisz? Ten drugi nim nie jest, rozumiesz? Ojciec Ani... On nie jest twoim ojcem.

– Ale on mnie zabrał. Zabrał mnie. Właśnie on. I ty też wtedy byłaś, pamiętam twój głos...

Anna pokręciła głową.

– Zupełnie nie rozumiem, o co tu chodzi. Ciągle wspomina mój głos, i zdaje się, że to on ją tak przeraził, gdy się do niej odezwałam... Kiedy zaczęła się budzić i usłyszała mnie, wszystko się zaczęło.

Ale David zrozumiał natychmiast. Do tej pory kierował się bardziej podejrzeniami i przypuszczeniami, teraz nagle zobaczył coś wyraźnie. Ukłęknął koło łóżka i odwrócił delikatnie Mariannę w swoją stronę, tak by widziała jego twarz.

– Postaraj się sobie przypomnieć. To nie głos Anny, to jej akcent. Posłuchaj uważnie. Ma angielski akcent. Kiedy ten człowiek zabierał cię ze sobą, była przy tym Angielka, ale nie Anna, tylko moja żona, Diana. Wynajmowała konie od twojego ojca. Konie. Pamiętasz?

– Ale to nie ojciec mnie zabrał.

- Tak. Nie ojciec.
- Nie wrócił. Byłam taka mała...

David przerwał jej. Widział teraz wszystko z niezwykłą jasnością.

– Tak, któregoś dnia twój ojciec nie wrócił i zabrał cię ze sobą inny mężczyzna. Widziała go moja żona, kobieta z angielskim akcentem. Opowiedział jej jakąś historyjkę, kazał ci iść ze sobą, a potem udawał twój ojciec, prawda? A potem, kiedy dorosłaś, poślubił cię i urodziłaś córkę.

– Tak, Anię. Urodziłam Anię.

– Widzisz, on jest ojcem Anny, lecz nie jest twoim ojcem. To ktoś inny. Twój prawdziwy ojciec już nie wrócił. Rozumiesz? Nie wiesz, gdzie on jest? Twój prawdziwy ojciec?

– Nie... Nie. Wiem tylko, że tego dnia już nie przyszedł.

– Ale wiesz, gdzie Vogel teraz jest z twoją córką?

Skinęła głową, a David odchylił się do tyłu na obcasach. Wiedziała, gdzie jest Vogel, choć człowiek ten wcale nie był Voglem. Vogel, jej prawdziwy ojciec, zniknął wiele lat temu. Ktoś inny podszył się pod niego i zabrał także jego dziecko, a Diana była tego świadkiem, widziała jego pierwszy manewr. Wróciła z koniem, jak napisała w liście, ale Vogla nie zastała. Dziewczynka była rozkapryszona, przestraszona, więc Diana czekała razem z nią. „Rysowałam jej, żeby ją uspokoić (namalowałam jej portret, potem ona opowiadała mi historyjki, a ja robiłam ilustracje) – aż wreszcie przyszedł jakiś inny mężczyzna, miał ręce i twarz pokryte brudem, był bardzo zmęczony...” Ten właśnie człowiek zabrał Mariannę, przez wszystkie te lata udawał, że jest jej ojcem, a zarazem związał ją ze sobą uwiódłszy w jakiś odrażający sposób. Kim był ów człowiek? David miał niemal pewność, że zna już teraz odpowiedź: to był Stern, oczywiście Stern, który wcale nie pracował w Hughes Aircraft, lecz tutaj, w China Lake. Stern stał się Voglem i *to właśnie odkrył Buhler*. Buhler poznał bowiem w obozie prawdziwego Vogla, więc natychmiast zorientował się w oszustwie. I tak się wszystko zaczęło. Buhler przyjechał, by odszukać Vogla, znalazł jednak Sterna. Stern wpadł w panikę i zadzwonił do Tannisa... Dlaczego? *Ponieważ...*

- Davidzie? – Anna kołysała w ramionach łkającą cicho dziewczynę.
- Co teraz zrobimy?

David nachylił się, pocałował ją i przeniósł spojrzenie na Mariannę.

– Uspokój się – szepnął – odpocznij chwilę. Potem zaprowadzisz nas do Ani. Dobrze?

– Jest z nim.

– Tak – powiedział. – Wiem o tym. Pojedziemy wszyscy troje i odnajdziemy go. Tylko musisz nam pokazać, gdzie go mamy szukać.

CZEŚĆ III

Teleskop Cassegrain

Prowadzone przez Instytut Badań Zbrojeniowych Rafael prace nad tym znakomitym, stworzonym od początku do końca przez izraelskich specjalistów pociskiem przeciwlotniczym, którego pierwowzorem był Sidewinder, rozpoczęły się w roku 1961, a skonstruowany w roku 1965 Shafrir pod wieloma względami przewyższał pociski amerykańskie. Większość informacji jest ciągle objęta tajemnicą, wiadomo jednak, że wszystkie egzemplarze zaopatrzone są w system optyczny Cassegrain, ulokowany za półokrągłym dziobem, i stateczniki sterowania pneumatycznego.

BILL GUNSTON
Modern Airborne Missiles

Rozdział 18

Tannis przyklęknął, nachylił się i zimną, czystą źródlaną wodą spryskał twarz. Oblizwał wargi. Woda nie miała prawie smaku, ale cudownie chłodziła skórę. Nawet tutaj, w cieniu wysokich skał, było już bardzo gorąco.

Kapiące z twarzy krople zmaciły powierzchnię wody, ale już po chwili stała się przejrzysta. Poprzez swoje odbicie widział dno: szara skała, gładka jak szkło, ale pęknięta w środku: to tutaj biło źródło. W głębi lekki prąd załamywał światło, lecz lustro wody było idealnie spokojne. Kiedy tak patrzył w dół, pojawiło się odbicie innej twarzy, syna Harpera, który także chciał się napić. I w tej samej chwili, gdy je zobaczył, Tannis zrozumiał, już wiedział. *Zobaczyć siebie tak, jak cię widzą inni.* Na moment oddech zamarł mu w piersi, zdławiony przez lęk i zdumienie, a potem, uwolniony, zmacił gładką powierzchnię, na chwilę ukrywając prawdę. Nie mogło być jednak żadnych wątpliwości. Woda zaczęła się uspokajać, na jego własne odbicie nakładał się drżący wizerunek chłopaka i była to jego twarz, tak wyglądał czterdzieści, pięćdziesiąt lat temu. Oczy. Usta. Spojrzenie. Tyle że bez doświadczeń już wtedy na niej wypisanych.

Musiał uwierzyć, choć zdawało się to nieprawdopodobne. Starając się niczego nie pokazać po sobie, zerknął w bok, na profil chłopaka. Patrzył bardzo, bardzo długo: nie sposób było się pomylić, wystarczyło przecież jedno spojrzenie. Synu, masz moje oczy. Doznał uczucia dziwnego niepo-

koju, nie potrafił skupić wzroku, wszystko stało się niewyraźne, w chwilę później spłynęła na niego fala grozy. Ty skurwysynu, pomyślał, to dlatego Diana popełniła samobójstwo. Tak właśnie musiało być: kiedy chłopak wszedł do pokoju, znaleźli się obok siebie i zobaczyła to, co on dostrzegł przed chwilą. Pojęła także wszystko. I nie mogła tego znieść.

Kiedy wstawał, w jego pamięci odżył obraz. Kobieta odtaczająca się od niego na jednej z tych angielskich plaż, pełnej małych, okrągłych kamyczków. Tak, tam stało się to po raz pierwszy; trzy wilgotne kamyczki przylgnęły do miękkiej skóry jej bioder, a on strzepnął je i przez chwilę wpatrywał się w czerwone ślady. Tyle że to nie mogło być wtedy, nie wtedy począł się chłopak. Zastanowił się. Za pierwszym razem towarzyszył delegacji naukowców z NOTS, a potem tego samego lata – a może następnego – Harper przyjechał tutaj z żoną. Tak więc musiało to nastąpić tutaj, może nawet nad tym źródłem, co jednak wydawało się mało prawdopodobne. Choć właśnie w tego typu miejscach spotykała się z nim, przyjeżdżała konno, a on zabierał ją do jakiegoś motelu. Usiłował przywołać wspomnienia, jakiś szczegół, piersi, skórę, zapach, ale nie zdołał; tylko te trzy kamyczki i jeszcze jedno – najbardziej żywe wspomnienie – jej głos, kapelusz podskakujący na szyi, *O Boże, muszę wyglądać jak Dale Evans!* Wszystko poza tym odpłynęło. Z wyjątkiem ich syna.

Kiedy chłopak pił wodę z dłoni, Tannis dyskretnie cofnął się, tak że jego odbicie zniknęło. Gdy się odezwał, jego głos brzmiał zupełnie normalnie.

– Jesteś pewien, że to był twój ojciec? – zapytał.

– Tak.

– Nagi?

Tim, łapiąc oddech po lodowatej wodzie, otarł usta ręką.

– Jak święty turecki.

– Mam nadzieję, że nie pobiegłeś ani nie pomachałeś do niego.

– Wydawało mi się, że to nie jest najlepszy moment.

Lubił go. Tylko to imię. Tim. Był bardzo niezależny, co wydawało się trochę dziwne, jeśli się nań spoznało: młodziak, jeszcze mleko pod nosem. Dżinsy czyściutkie jak spodnie od garnituru.

– A co z tą kobietą?

– Dokładnie nie wiem. Pamiętasz, gdzie jest ta skała – widać stamtąd jedynie tył domku, przodu nie widać. Zobaczyłem tylko ojca, który obszedł przyczepę dokoła, jakby czegoś szukał. Może była w środku, a ja nie zauważyłem, jak wyszła.

– W każdym razie, kiedy ją zobaczyłeś, schodziła po stoku?

– Mhm.

– Mam nadzieję, że ona nie była naga?

– Prawie. Jest bardzo ładna. Ma piękne włosy.

– Blondynka, odrobinę rudawa?

– Tak. – Tim spojrzał na niego. – Znasz ją?

– W Szkocji widziałem go z przystojną kobietą o długich blond włosach.

Potrząsając rękami Tim spryskał powierzchnię źródła.

– To by się zgadzało. Ma tam przyjaciółkę. Nigdy jej nie widziałem, ale wiem, że nazywa się Anna Brahe. Tam właśnie był, kiedy to się wydarzyło, i tam zadzwoniłem.

– Brahe? – mruknął Tannis. – Co to za nazwisko?

– Duńskie. Jej mąż był Duńczykiem. Kręcił filmy, pamiętam, że jak byłem młodszy, jakiś jego film pokazywali w BBC. Ojciec pomagał mu przy tym.

Tannis odszedł już dość daleko od źródła. Tim odwrócił się w jego kierunku.

– Jak myślisz, co się tam dzieje?

– Czy ja wiem... Ale jeśli spacerują sobie nago koło domku, to można chyba przyjąć, że są dość blisko zaprzyjaźnieni.

– On musi coś wiedzieć.

– Wydawało ci się, że widziałeś w Aberporth Vogla; może zobaczył go także twój ojciec. Mógł za nim pojechać. Zresztą mniejsza o to, najważniejsze, że tu jest.

Tim przysiadł na piętach.

– To co, mam wracać na skałę?

Tannis pokręcił głową.

– Spokojnie, zjedz coś. Na razie nigdzie się nie ruszą, tylko idiota poszedłby na pustynię o tej porze dnia.

Ustawili kuchenkę pod dużym nawisem skalnym. Było to znakomite miejsce na obozowisko. Na pustyni woda jest wszystkim, jednak na żadnej mapie nie widział nigdy tego źródła. Głaz za ich plecami i wysokie skały sterczące z boku dawały im jednocześnie i schronienie, i cień. Dalej skalisty grunt podnosił się stromo, a potem opadał w wąski ślepy parów, gdzie trzymali muła.

Tim zajął się przygotowywaniem kawy; lubił to robić, a Tannis chciał pozostać na chwilę sam ze swymi myślami. Z chwilą kiedy dokonał nad źródłem swego odkrycia, chłopak stał się dlań podwójnym problemem. Już sama jego obecność stwarzała sporo kłopotów. To zupełnie naturalne, że zostawił w Walii swój numer telefonu: *Jeśli zobaczyłbyś kogoś z tych ludzi, daj mi natychmiast znać*. Nigdy by się jednak nie spodziewał, że chłopak przywiezie wiadomość, więc kiedy odebrał telefon z Los Angeles, był naprawdę zaskoczony. Potem jednak wszystko się jakoś ułożyło. Tim okazał się użyteczny: odbierał pocztę, we dwóch dużo łatwiej było prowadzić obserwację, a poza tym dzięki temu, że chłopak załatwiał drobne sprawy, on sam mógł pozostać niewidoczny. Był zresztą także zupełnie niezłym kompanem – lubili się wzajemnie. Ale odkrycie stało się źródłem zupełnie nowych trudności. Spojrzał na Tima krzątającego się przy kuchence. Czy podejrzewał cokolwiek? Raczej nie. Może zresztą nawet nie musiał, może czuł łączącą ich więź, godząc się z czymś, czego do końca nie rozumiał. Pasowałoby to zresztą do czegoś, co jakimś dziwnym sposobem udało się Tannisowi dostrzec – Tim odczuwał niejasną potrzebę napisania swojej własnej historii od nowa. To, czego się dowiedział o ojcu, uwolniło go od pewnego ciężaru – Tannis nie bardzo wiedział jakiego – i teraz próbował radykalnie zmienić swoje życie, stać się kimś innym, zupełnie innym niż Tim, student Oxfordu. Ta hipoteza w każdym razie wydawała się najbliższym prawdy wyjaśnieniem jego przyjazdu i tłumaczyła zarazem, czemu Tannis był dla Tima postacią atrakcyjną: fascynował go jako tajniak, zjawa, jankes, rewolwerowiec z Dzikiego Zachodu. Więcej jest rzeczy na niebie i ziemi, Horacjo, niż można wyczytać w *New Statesman* albo czymkolwiek, co oni tam teraz czytają. Chłopak w jakimś stopniu przypominał mu samego Harpera sprzed lat, zawsze miał bowiem wrażenie, iż tamten stara się odгородzić od czegoś ze swojej prze-

szości. A poza tym Tim był równie sympatycznym szczeniakiem jak ongiś jego ojciec. Niewinny. Wystraszony. Czy miał już kiedyś kobietę? Chyba tak, choć to wcale nie takie pewne. Tannis sięgnął po podany mu kubek z kawą i kanapkę; Tim zdobył gdzieś całkiem niezłe włoskie salami.

– Szkoda, że nie wziąłem aparatu – powiedział chłopak, wpatrując się w poszarpaną linię szczytów, ostro odcinającą się od jasnego nieba.

– Lubisz robić zdjęcia?

– Tak. I chyba jestem w tym niezły.

Tannis przypomniał sobie znakomity, drogi aparat, który przywiozła ze sobą tamta kobieta, jego matka.

– Tutaj wszystko już obfotografowano po sto razy: pustynię, góry.

– Ansel Adams.

Tannis pokręcił głową.

– O ile sobie przypominam, przesiadywał najczęściej w górach.

– Widziałem także jego zdjęcia pustynne, ale chyba masz rację. No to Edward Weston.

– No tak, ten był tutaj wszędzie.

– Znasz Edwarda Westona?

– Najlepiej znam pustynię.

Tim uśmiechnął się.

– W każdym razie z tego, że on tutaj robił zdjęcia, nie wynika, że ja nie mogę ich robić.

– To już nie byłoby tym samym. Każda fotografia coś zmienia. Właśnie za sprawą zdjęć wszystko tutaj widzisz inaczej.

– Przypomina mi to tych różnych tubylców, wiesz, z Borneo czy skądś: jeśli zrobisz mi zdjęcie, zabierzesz moją duszę.

– Ciekawe.

– Myślisz, że pustynia ma swoją duszę?

Tannis wzruszył ramionami.

– Co za pytanie.

– Więc weźmy malarstwo. Namalowano tysiące pejzaży ze wzgórzami wokół Rzymu, z holenderskimi tamami albo angielskimi pastwiskami, no i co?

– Właśnie o to mi chodzi. Wszystko się zmieniło, nie można już zobaczyć naprawdę tych wzgórz, widzimy już tylko abstrakcje, kalki. Dobra, weź wazon z kwiatami: nie możesz już go namalować, bo ludzie będą się śmiali. Kwiaty nie są teraz tak piękne jak kiedyś.

Tim ciągle się uśmiechał.

– Zastanawiam się, jak to nazwać, amatorska, domowa filozofia? W każdym razie jest bardzo amerykańska i całkiem mi się podoba jako element tej wyprawy.

Taki właśnie był; nie dawał się zbić z tropu, stał pewnie na nogach.

Jednakże wszystkie sympatyczne i godne szacunku cechy jego charakteru nie mogły przesłonić faktu, że dokonane nad źródłem odkrycie wstrząsnęło Tannisem. Chłopak był jego synem. To oznaczało... oznaczało, że... no właśnie, nie bardzo potrafił sobie uzmysłowić, co to właściwie oznaczało. Tak czy inaczej, owo odkrycie niczego nie rozjaśniło, wręcz przeciwnie. Kim jestem? Potrafił chyba zawsze dać dość precyzyjną odpowiedź na to pytanie, teraz jednak wszystko wydawało się mroczne i zagadkowe. Własna twarz, własna przeszłość, które ujrzał w lustrze wody, pozwoliły mu dostrzec na chwilę cały rój możliwości, po to tylko, by szyderczo natychmiast je zasłonić. *Jak mogłoby być.* Wszystko mogło się zdarzyć, wszystko mogło potoczyć się inaczej. Teraz był jednak... kim?... Ale jakie to miało znaczenie? Żadnego, pomyślał Tannis. *Wszystko było już przesądzone, wszystko się dokonało.* Tak, to było oczywiste, a zarazem najbardziej go dręczyło. W chwili kiedy zobaczył w wodzie odbicie Tima obok swojej twarzy, kiedy zrozumiał, co to znaczy, poczuł też, że czegoś nie da się już cofnąć. Ogarnął go gniew. Został oszukany, oszukany przez kobietę. Zrobiła z niego dumnia... Co za idiotyzm, zachnął się. Przecież to siebie oszukała i kiedy zrozumiała, co się stało, było to dla niej czymś tak strasliwym – że odebrała sobie życie. Ale zaszła w ciążę, gdyż chciała tego... Co to mogło oznaczać?... Czy musiało oznaczać cokolwiek?... Zaniepokoiło go to, jak niewiele potrafił sobie przypomnieć: trzy kamyczki i trzy różowe ślady na białej skórze jej biodra. Zresztą to nie wtedy... Chociaż nie, musiało się to stać właśnie za tym razem. Tyle że nie pamiętał tych chwil, ani z nią, ani z żadną inną kobietą, i nagle poczuł dziwny niepokój, graniczący z paniką. Przecież nie możesz tego pamiętać, zaczął

siebie uspokajać. To było uczucie, doznawałeś go, a potem przestałeś doznawać; a doznaje się go wtedy, kiedy trwa. Ale teraz nie czuł niczego. Czy jeszcze kiedyś coś odczuje? Nie, już nigdy, nigdy... Złakł się straszliwie, że to prawda. Zapragnął więc uciec, zbiec: mógł to zrobić. Czy aby na pewno? Brazylijska dżungla, piaszczysta plaża na Tahiti, pokoik nad barem, skąd widać brukowany rynek w Nikozji: mógł się znaleźć w każdym z tych miejsc, mógł pojechać, gdzie zechce. Ale nie miałoby to sensu, dobrze wiedział, że nie mógłby tam pozostać na stałe. Czy mógłby żyć gdzie indziej, z dala od pustyni? Nie wiedział, czy pustynia ma duszę ani czy on ma duszę, dobrze jednak wiedział, iż umarłby, gdyby musiał znaleźć się daleko stąd. Nie mógłby żyć w dżungli, jak nie mógłby kaktus; ten piasek odległy był o dziesiątki tysięcy lat od morza, Grecy zaś nie piją tequili.

Tak, wszystko już było przesądzone. Pozostało mu tylko jedno – wykonać swoje posunięcie. Patrzył na wróbla kołyszącego się nerwowo na krzewie kreozotu, czuł orzeźwiający chłodny powiew wiatru na wciąż jeszcze wilgotnej twarzy. Uspokajał się powoli. Ani jednej chmurki na rozpalonym, wyblakłym niebie. Apogeum pustynnego dnia; wiedział jednak, że musi wykonać swój ruch, umysł pracował nad decyzją. Wszystko zbliżało się ku końcowi. To, co zobaczył nad źródłem, zmusiło go do działania, niczego bowiem nie można było cofnąć. Stracił iluzję (nie wiedział nawet, że ją żywił), nie było żadnej wolności i swobody. Spokojnie. Tylko spokojnie. Zapomnij o wszystkim. Nie zapalaj się. Coś mu się wydało podejrzanym, kiedy dziś rano zadzwonił do domu. Jakieś kłopoty z taśmą, nie przewijała się gładko. Można by pomyśleć, że ktoś złożył mu wizytę i przesłuchiwał nagranie. Tak czy inaczej, nie było żadnej wiadomości od Sterna, jeśli to Stern. Był coraz bardziej tego pewien, choć wcale mu się to nie podobało. A FBI zaczynała następować mu na pięty. Miał lepszy start, ale stopniowo tracił przewagę. Do tego jeszcze ten facet, glina w każdym calu – nawet myśli płynęły mu na pewno z szybkością pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę – który odwiedził w przyczepie dziewczynę Vogla. To widzieli kilka dni temu, a teraz zjawił się Harper. I nawet jeśli nie wydarzyłoby się nic więcej, już sam ten fakt zmuszał do podjęcia decyzji. Nie miał do siebie żadnych pretensji; trudno było przewidzieć, że

Harper tak się zachowa. Stuli uszy po sobie i nie odegra w tym wszystkim żadnej roli – takie było założenie; gdyby Tannis myślał inaczej, gdyby liczył się z możliwością, że tamten zacznie wyczyniać to, co teraz wyczyniał tam na dole – o cokolwiek mu chodziło – może by go i nie ratował tam na tym zboczach. Chociaż właściwie nie miał wielkiego wyboru. Gdyby Harper zginął, fakt ten w połączeniu z samobójstwem jego żony musiałby zaalarmować zbyt wielu, nawet marynarka nie mogłaby udawać, że nic się nie stało, i rozpętałoby się piekło. Zresztą niczego nie można było odwrócić, a wszystko mogło się ułożyć znacznie gorzej. Tim, Harper i tamta kobieta utrudniali sytuację, ale utrudniali ją wszystkim, nie tylko jemu. Ciągle jeszcze mógłby się wycofać, ale tak naprawdę było to niemożliwe. Problem polegał na tym, co zrobić z dzieciakiem, choć właściwie dlaczego miałby to być kłopot?

Dopił kawę, zapalił lucky strike'a i pokręcił kółkiem swojej zippo. Powiedzmy, że do tego by doszło. Dlaczego Tim miałby się różnić w istotny sposób od tamtego Niemca, tylko z tej przyczyny, że wstrzyknął kiedyś swoje plemniki w kobietę, której nawet nie mógł sobie dobrze przypomnieć? Ale jednak się różnił. Odbicie w źródle wszystko zmieniło. Było jak przekleństwo. Będzie przeklęty, jeśli to zrobi, będzie przeklęty, jeśli tego nie zrobi.

Kiedy skończyli, Tim zabrał się do zmywania i nieco ironicznym tonem powiedział:

- Co za radość być kolesiem z westernu. Powinienem mieć jeszcze odpowiednie buty i szykowny kapelusz.
- Mhm. Słuchaj, czy jesteś pewien, że chcesz brać udział w tym wszystkim?
- Co masz na myśli?
- Chodzi mi o to, że nie warto strugać bohatera. W tym scenariuszu nie zdobywasz nawet na koniec pięknej dziewczyny. Byłeś grzecznym uczniem. Dobrym synem. Mówiłeś zresztą, że to dla ciebie było ważne.
- Chyba nie chcesz powiedzieć, że mam wracać do Anglii?
- Nie, ale co byś powiedział na Los Angeles? Jakiś gustowny hotel? Albo może któryś z moteli w Ridgecrest?
- Motel. Lubię to słowo. Wspaniały pomysł, nie ma co.

– Ale ja nie żartuję. Tutaj będzie gorąco. Nie chcę cię urazić, trzeba było sporo charakteru, żeby tutaj przyjechać, żeby w ogóle o tym pomyśleć. Doceniam to, naprawdę. I w niczym ci to nie zaszkodziło, kawałek autentycznego życia nikomu nie może zaszkodzić. Teraz skończ studia, a potem możesz zająć się czymś pożytecznym, na przykład otworzyć restaurację albo sprzedawać kasyety wideo.

Tim zaśmiał się.

- Nie wiem, do czego zmierzasz.
- Chodzi mi o to, że nie uratujesz swojego ojca, samemu ginąc.
- Nie wiem, czy przyjechałem tu po to... żeby ratować ojca.
- Do końca życia będziesz szukał odpowiedzi na pytanie, dlaczego tu przyjechałeś. Chcę cię jednak ostrzec, że kiedy już ją znajdziesz, motyw wyokażą się cholernie egoistyczne.
- Teraz wszystko się zmieniło.
- I bardzo dobrze. Dla ciebie. Ale ja nie mam na to czasu. Dla mnie ta sprawa jest na swój sposób bardzo poważną sprawą.
- Co masz na myśli?
- To co mówię. Teraz pora na mój ruch.

Tim zawahał się. To pytanie... Dlaczego przyjechał? Czego w ogóle chciał? Wszystko w jego życiu się zmieniło od Aberporth, od chwili kiedy David powiedział mu o wszystkim. Zawsze wiedział, że nie zna... prawdy, jakiejś tajemnicy, czegoś ważnego. Matka milcząco, czy niemal półjawnie to przyznawała. Kiedy był jeszcze chłopcem, ciągle oczekiwał na jakieś objawienie: dowie się, że ojciec nie utonął na morzu, lecz został zesłany do Australii, gdzie wzbogacił się i pozostawił olbrzymi majątek... Kłopot w tym, że jego fantazje niezmiennie kończyły się happy endem, podczas gdy teraz wszystko okazywało się znacznie bardziej skomplikowane. Nie obwiniał już ojca, jak dawniej, z drugiej jednak strony nie potrafił go całkowicie rozgrzeszyć. Czy naprawdę nie miał innego wyjścia, musiał ich porzucić? To zresztą, czego się dowiedział, zrodziło tylko dalsze pytania, dotyczące przede wszystkim matki, która знаła prawdę od samego początku. Dlaczego, na przykład, sama mu o wszystkim nie opowiedziała? Ale jedno przynajmniej jasno zrozumiał, kiedy dziś rano obserwował przyczepę. Ojciec i ta kobieta. Żyli ze sobą, to oczywiste. Szokujące? Ale również

tworzące dystans. To właśnie do niego dotarło. Ojciec był z kobietą, która nie była jego matką. Wydał się teraz Timowi kimś bardziej odrębnym, kimś, kto ma własne życie i własny los. Ojciec o d s u n ą ł się. Wszystko, co mu się przydarzyło, myślał Tim, należy do przeszłości, ale do przeszłości, która ciągle pożera samą siebie. Pomogło mu to rozwiązać pewną małą zagadkę dotyczącą jego samego: dlaczego przyjechał do Tannisa, a nie do Davida? Były, oczywiście, przyczyny czysto praktyczne: David zniknął, podczas gdy on miał telefon Tannisa z kalifornijskim kodem. Teraz jednak uświadomił sobie, że w Amerykaninie dostrzegał więź z przeszłością bardziej podobną do jego własnej, podobne pytania, na które ciągle brakowało odpowiedzi. Spojrzał na niego.

- Czy z tym motelem mówisz poważnie?
- Chcę być pewien, że dobrze wiesz, na co się decydujesz.
- Byłem przekonany, że czekamy, aż Vogel zjawi się u swojej córki lub ona pojedzie do niego.

– Słusznie – przytaknął Tannis. – Ale pojawienie się twojego ojca wszystko zmieniło. Tam na dole coś się wydarzyło. On wie o czymś, o czym ja nie wiem. Nie mam pojęcia, co to takiego, ale coś wie.

- Możesz go spytać.
- Nie, nie. Tak jak powiedziałeś, to western. Niech gra swoją rolę, a choć o tym nie wie, my będziemy jego asami w rękawie.
- Więc jednak „my”. Tak powiedziałeś.
- Decydujesz się?
- Tak.

Tannis nie był pewien, czy taką właśnie odpowiedź pragnął usłyszeć, gdyby jednak nie wziął chłopaka ze sobą, co, u diabła, miałby z nim zrobić?

- Dobra – mruknął. – Ruszajmy.
- Teraz? Dopiero przed chwilą mówiłeś, że tylko idiota wypuszcza się na pustynię o tej porze.
- Mhm. Ale ja jestem trochę świrowaty, a ty jesteś Anglikiem. Chodź, zakosztujemy trochę słońca w samo południe.

Wyruszyli wkrótce po dwunastej.

Szczeniak, myślał Tannis, jest naprawdę w porządku. Żadnych głupich

pytań, całkiem sprawnie spakował jedzenie i usunął ślady ich obecności. Na koniec, zupełnie samorzutnie, napełnił wodą specjalne pojemniki i puste plastikowe butelki po mleku, a potem pomógł załadować je na muła. Księcia. Zwierzę sprawiło im jednak im trochę kłopotu. Godziło się iść tylko po wydeptanych przez siebie ścieżkach i okazało się wyjątkowo uparte. A jedyna droga z kryjówki w dół po pewnym czasie wyprowadziła ich na odkrytą przestrzeń: musieli, zataczając krąg, oddalić się od gór. Byli teraz widoczni nawet z szosy. Tannis nie chciał, by trwało to zbyt długo i dlatego posłał przodem Tima, by ten sprawdził, czy nie ma przypadkiem kogoś w pobliżu.

– Chciałeś westernu, przejdź więc na tamtą stronę i daj sygnał świetlny.

Rolę lusterka odegrać miała zakrętka od słoika z Taster's Choice. Dzie się minut po zniknięciu chłopaka Tannis dostrzegł błysk i ścisnął piętami muła. Ten, o dziwo, ochoczo ruszył naprzód – być może czuł się w wąskim parowie jak w klatce. Tannisowi udało się nawet nakłonić go do truchtu, biegł jednak nierówno, a jego ruchy wyrażały pewną irytację, jakby chciał powiedzieć: „Nie przeciągaj struny”. Szybciej niż Tannis mógł się spodziewać, znaleźli się znowu pośród skał, schronili za ogromnym głazem i poczekali na Tima. Choć musiał przebyć niecałe pół mili, ociekał potem.

Tannis spojrzał na niego z wysokości muła.

– Ten upał będzie naprawdę ciężko znieść. Jeśli chcesz wrócić, nie krępuj się, powiedz. – Jeszcze kiedy wypowiadał te słowa, poczuł, że to, co mówi, nie ma sensu – chłopak i tak nie posłucha.

Tim wyprostował się, zdyszany.

– Którędy teraz? – spytał.

Jak każdy oficer marynarki Tannis nie bardzo ufał specjalistom z piechoty, jednak po ostatniej wyprawie zaopatrzył się w mapy, na których z grubsza wyznaczył drogę, i teraz wskazał ją ruchem ręki. Były to w istocie trzy długie rowy w wielkim rozsypisku skalnym na górskim zboczu, wiły się kolejno coraz wyżej i odbiegały coraz dalej na północ. Przywodziły na myśl kreski wydrapane przez aresztanta na ścianie więzienia dla zaznaczenia trzech kolejnych dni. Rzeczywistość była oczywiście znacznie

mniej przyjemna. Tim nie miał pojęcia, w jakim kierunku zacierają, Tannis zadowolony się tym że wie „mniej więcej” – jego „rowy” okazywały się ciągami miejsc, w których sterty głazów i skalnych odłamków stawały idącym mniejszy opór niż w miejscach sąsiednich. Przy końcu każdego „rowu” pojawiał się problem dotarcia do następnego, a jedynym rozwiązaniem było mozolne gramolenie się przez pionowe niemal zapory. Na pierwszej dzinsy Tima poszły w strzępy, po drugiej nad kolanem Księcia pojawił się wielki guz. Z nieba lał się straszliwy żar, a nie było cienia, w którym można by się skryć. Tim nigdy by nie uwierzył, że potrafi tyle z siebie wypocić i tyle wypić. Im wyżej się wznosili, tym bardziej oślepiające stawało się światło, a czarne skały – bazalty chropowate jak żużel, obsydiany gładkie jak szkło – parzyły im dłonie. Kiedy się jednak raz zaczęło, nie było już innego wyjścia, trzeba było iść dalej; spojrzenie wstecz dodawało odwagi nawet Księciu. Kiedy wreszcie doszli do końca ostatniego rowu i znaleźli się blisko szczytu – jakieś dwieście jardów poniżej – Tannis przystanął. Oślaniały ich teraz trzy wielkie pionowe kamienie, podobne do trzech ogromnych niewypałów.

– Popatrz – powiedział do Tima, wskazując przed siebie.

Wierzchołek szczytu popękał i obsunął się, utworzył się zaś łagodny, gładki stok, po którym można było iść równie łatwo jak alejką parkową.

Tim z trudem oddychał.

- To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.
- Myślisz, że tak sobie to zaplanowałem?
- Nie, nie sądzę, żebyś tak to sobie zaplanował.

Tannis zastanawiał się przez chwilę. Znalazszy się na grani, będą znakomicie widoczni na tle nieba.

– Nie możemy jednak czekać aż do zmroku – powiedział głośno. – A w ogóle im dłużej tu będziemy siedzieć, tym bardziej umorduje nas słońce. Lepiej więc iść.

I ruszyli niezwykle łatwym, jak się przekonali, podejściem. Okazało się zresztą, że wcale nie są tak odsłonięci; tam gdzie kończyły się podejście, sterczał ogromny blok skalny i z jednej strony tworzył doskonałą osłonę, a z drugiej trudno byłoby ich dostrzec, bo wtapiali się w jego tło. Przeszli około stu jardów, znaleźli się w małej rozpadlinie i wtedy Tannis

znowu przystanął.

– Odpocznijmy – powiedział.

Tim osunął się na ziemię, ale Tannis potrafił być bezwzględny.

– Na Boga, dajże mu pić – rzucił.

Miał na myśli mula. Między skałami rozwiesili poncho, Tim umocnił jego rogi kamieniami, a potem nalał do wnętrza cztery słoiki wody, którą Księżę wychłęptał łapczywie. Następnie wszyscy, łącznie z mułem, legli na ziemi. Tim słyszał łomot swego serca i wydawało mu się, że odbija się on echem od skały; od leżącego o dziesięć jardów dalej zwierzęcia bił żar jak od rozpalonego pieca. Tannis przyglądał się chłopcu, i nagle, jakby podczas marszu zapomniał całkiem o swoim odkryciu, doznał znowu niemal wstrząsu. Podobieństwo było uderzające, jeśli tylko chciało się je dostrzec: twarz, sylwetka, nawet sposób poruszania się. Tim jednak nie podejrzewał niczego. Bo czemu, do licha, miałyby podejrzewać? A poza tym, co to miało za znaczenie dla każdego z nich? Jego geny. Jego krew. Jedno wtargnięcie członka w szlam kobiecości. Chłopak nie znał zatem ojca, ojciec zresztą też nie znał swego syna. Pomyślał o Edypie. Czytał tę tragedię w antologii *The Complete Greek Drama*, wydanej przez Whitneya Oatesa i Eugene'a O'Neill, Jr. (luksusowa dwutomowa edycja). Bardzo lubił czytać dramaty. Edyp zabił swego ojca na gościńcu, nie wiedząc, kto to jest. Tim Harper nie zamierza go chyba zabić. Ale była jeszcze inna opowieść: Król Herod nakazał wymordować w Betlejem i okolicy wszystkie niemowlęta płci męskiej, by tym sposobem uzyskać pewność, że zginie to jedno, którego się obawiał. Dlaczego miałyby zabić Tima? Skąd w ogóle takie myśli? A dlaczego nie? Ale Tim nie znał nawet tej tajemnicy, a więc nie mógł jej zdradzić. Nie, tak naprawdę miał pretensję do tej kobiety, choć nie wiedział dobrze dlaczego. Sam wstrzeliwujesz w nie swój ładunek, nie ma w tym nic z kradzieży. Coś jednak stało się za jego plecami, to go właśnie tak dotknęło. Mamusia i Tatus. Przypominał sobie teraz, że wtedy trochę go to intrygowało. Śmiało mógłby być jej ojcem; czemuż więc pieprzyła się z nim, gdy w domu czekał świeżo poślubiony mąż? Ale ją podniecało robienie tego właśnie z Jackiem, był jej pierwszym jankesem, tak, lubiła to. *Jesteś moim Marlboro Man*, mówiła, a potem, cholera, nabrała go. Uczyniła go ojcem rodząc syna pierworodne-

go, takiego samego jak on. Tak, pomyślał, przypatrując się Timowi, ty jesteś następcą, następnym z rodu. Tyle to znaczyło, właśnie tyle. Teraz wykonywał swój ruch i ciągle jeszcze się mógł wycofać, ale *co będzie potem...* Znowu zerknął na Tima i pomyślał, że to przecież tylko dzieciak. Najpierw jest pieprzenie, a potem, proszę, oto są skutki, próbował ironizować. Ale nie odstępowała go już myśl o tym, co będzie *potem*, nawet jeśli teraz się wycofa. I wiedział już co.

Było późne popołudnie. Po pewnym czasie ruszyli w dalszą drogę. Szło im się dość łatwo; najpierw posuwali się nieco poniżej grani, potem zaczęli się stopniowo oddalać od niej, zstępując w dół zbocza. Tannis chciał jeszcze przed zmrokiem dotrzeć do miejsca, które kiedyś stanowiło jego punkt obserwacyjny, półki skalnej wystającej ze zbocza, obok której opadał ku dolinie dość szeroki żleb. Zakładał, że poprowadzi ich ta dziewczyna, Marianna, i co prawda przypuszczał, że nie wyruszy, póki nie zacznie się ściemniać, a o tej porze roku zmierzch zapadał około dziewiętej, ale z drugiej jednak strony zapewne nie chciała poruszać się w pełnym mroku, należało się więc mimo wszystko spieszyć. Pozwolił Timowijechać przez jakiś czas na mule; chwile spędzone na grzbiecie Księcia zapisały się niezbyt przyjemnie w pamięci chłopca. Dotarli na miejsce około siódmej; dęby i sosny rzucały długie cienie na wysoką, wyschniętą trawę.

Tannis zatrzymał muła i Tim zsunął się z niego na sztywnych nogach i z obolałymi plecami. Wtedy Tannis wręczył mu lejce i powiedział, wskazując na parów:

– Tędy nadejdą. Odprowadź go kilkaset jardów stąd i daj mu wody, będzie tu miał wystarczająco dużo trawy. Upewnij się jednak, że znalazł się dostatecznie daleko, gdyż jeśli ich poczuje, może narobić straszego hałasu.

Zanim chłopak wrócił, Tannis przygotował jedzenie: parę plasterków żółtego sera, trochę kielbasy i pomarańcze. Zjedli w milczeniu, po czym Tannis polecił Timowi, by wypił jak najwięcej wody.

– Pij dotąd, aż zachce ci się sikać, zrób siusiu i znowu pij, aż poczujesz parcie w pęcherzu.

Potem ułożyli się na trawie, a Tim wpatrzył się w dwa samoloty płynące wysoko po ciemniejącym niebie.

– To F-15 – powiedział Tannis – zresztą nie należą do marynarki; nie ma się czym przejmować. Lecą w luźnej parze, ćwicząc patrolowanie bojowe.

– W luźnej parze?

– Nazwa szyku: dwa samoloty lecące w jednej linii, oddalone od siebie o mniej więcej milę. Jeden atakuje, drugi osłania, potem zmieniają się rolami. Możesz być pewien, że oba mają Sidewindery pod skrzydłami.

Zamiast zniszczonej lornetki Vogla, Tannis miał teraz piękny trinovid, osiem na trzydzieści dwa; Tim przyglądał się maszynom, dopóki nie zniknęły.

– To nie do wiary – powiedział – że ktoś rzeczywiście może to robić.

– Co takiego?

– Lecieć z szybkością tysiąca mil na godzinę podczas, gdy inni usiłują go zabić, a on stara się zabić ich.

– Dlaczego to miałyby być dziwne? Co chcesz robić, jak dorośniesz? Tim roześmiał się.

– Nie wiem. W każdym razie nie to.

– Głupie gadanie. Skąd wiesz? Może by ci się spodobało.

I kiedy Tim zastanawiał się nad jego słowami (przez moment nawet całkiem serio, gdyż umysł jego był teraz tak swobodny jak nigdy dotąd), Tannis wpatrywał się w chłopaka i myślał o wszystkich wyborach, które go jeszcze czekają, i o wszystkich momentach, kiedy ciągle jeszcze będzie mógł zmienić podjęte decyzje, zacząć od nowa. Podczas gdy on... czy będzie jeszcze kiedyś miał możliwość dokonania jakiegokolwiek wyboru? Tim pozna jeszcze to, czego on nigdy nie poznał, zobaczy miejsca, w których on nigdy nie był... I aby uwolnić się od tych myśli, powiedział nagle:

– Wiesz, że i ja byłem kiedyś naukowcem?

– Naprawdę?

– Tak, tak. W CalTech. Wszystko tutaj dokoła, z wyjątkiem skał, pochodzi z CalTech.

– Ale nie pracowałeś razem z ojcem w bazie?

– Nie. To było na samym początku wojny, na długo zanim tu przyjechał. Całe życie spędziłem w tej okolicy. Przyjechałem tutaj... nie wiem

dokładnie, ile miałem lat, ale byłem jeszcze dzieckiem. Mój ojciec był hazardzistą. W Las Vegas wygrał w pokera ciężarówkę i przez Dolinę Śmierci dotarliśmy nią tutaj. Ojciec chciał ją sprzedać w Los Angeles.

Tim odłożył lornetkę. Robiło się coraz ciemniej.

- Jak myślisz, o której się zjawia? – zapytał.
- Za jakąś godzinę. Jeśli nie, to dużo później, po północy.
- Czekasz na żonę Vogla i mojego ojca, żeby dotrzeć do t a m t e - g o ?

Tannis leżał nieruchomo na trawie z rękami pod głową. Przez chwilę milczał, a potem, podjąwszy decyzję, uniósł się i oparł na łokciach.

- Tak – odrzekł. – Tyle że to nie jest Vogel.
- Jak to? Mówiłem ci przecie, że widziałem Vogla w Aberporth.
- To ten sam człowiek, ale w Aberporth przedstawiał się jako Keller, a naprawdę nazywa się Stern. Podszyl się tylko pod Vogla. Prawdziwy Vogel... mówiąc szczerze, nie wiem, kto to jest. Czy raczej – był, bo myśle, że znalazłem jego zwłoki. Nigdy jednak nie siedział w tej przyczepie. Po drugiej stronie bazy jest działka – hrabstwo ma ją przejąć z powodu zaległości podatkowych – na nazwisko Vogla. Ale on nie żyje. Od lat.

- Zabił go Stern?
- Mhm.
- I znalazłeś jego zwłoki?
- Tak przypuszczam. Jeśli nie będzie za ciemno, pokażę ci to miejsce. – Tannis przekręcił się na brzuch i żdźbłem trawy wskazał dolinę. – Kiedyś, wszędzie w tych górach, żyli Indianie. Nie ci, o których wszyscy wiedzą, to było dużo wcześniej. Nie znali luków i strzał, a polowali za pomocą takiego miotacza dzid, zwanego *atlatl*...

- Wiem, co to jest *atlatl*...
- Ciągle zapominam, że teraz uczą was tego w szkole. W każdym razie w polowaniu pomagała im magia. Wszędzie tutaj pozostały ślady po nich. Ryli na ścianach rysunki, stawiali kamienne posągi, wszystko po to, aby wpędzić owce – na nie właśnie polowali, na górskie owce – w ślepe parowy. Tam czekali, ukryci za kamiennymi osłonami, wypadali i zabijali je. Nawiasem mówiąc, wybili je wszystkie i to spowodowało koniec ich samych. Ale chodzi mi o to, że kiedy tam byłem, zauważyłem, iż jedna z

tych kamiennych tarcz zapadła się. Odwaliłem ją, a pod spodem były zwęglone kości. Stern zabił Vogla, ale nie mógł pochować ciała, gdyż wszędzie jest lita skała. Odwalił więc kamień i spalił zwłoki, a resztki znowu przykrył głazem.

– O Boże.

– Mówiłem ci, że to nie przelewki. Potrafisz posługiwać się bronią? Skąd, pewnie że nie. Anglicy troszczą się tylko o to, żeby dobrze trzymać widelec i nóż. Patrz. – Wyciągnął marlina .30-30, dobry tani pistolet i zaczął pokazywać chłopcu, jak się nim posługiwać, czego tamten powinien się być nauczyć w wieku dwunastu lat. Tim ostrożnie wziął broń do ręki.

– Na Boga, jest ze stali, a nie ze szkła. Nie bój się, nie zepsujesz.

– Ale nie powiedziałeś jeszcze, dlaczego Stern zabił Vogla.

– Najprawdopodobniej chodziło o złoto. Widziałeś tę jaskinię. Nawet przy jego metodach, to mnóstwo forsy. Choć, oczywiście, nie jestem pewien, może wszystko się już skończyło. Wydaje mi się, że Vogel – kimkolwiek był – odkrył bogatą żyłę złota. Poszedł z tym do Sterna, pewnie potrzebował pieniędzy na sprzęt albo coś takiego. Albo może Stern miał mu pomóc w wywiezieniu złota z bazy; z tym mógłby być pewien kłopot...

– To ty znasz Sterna?

– Tak, jeśli to rzeczywiście on. To także naukowiec, jeden z tych Niemców, którzy przyjechali tutaj po wojnie. Zjawilo się ich wielu, Wernerher był tylko jednym z nich. Większość znalazła się w White Sands, później w Alabamie, ale kilku trafiło tutaj. Zajmował się instrumentami pomiarowymi. Potrafił zmierzyć, ile trwa mrugnięcie powieki. Był bardzo dobry, ale strasznie łatwo można go było szantażować.

– Bo był nazistą?

– Tamto drzewo w dole. Wymierz... Spokojnie, to tylko celowanie. Odpręż się... Nie, to nie miało znaczenia, że był nazistą, oni wszyscy byli nazistami. Von Braun należał do SS. Ale w 1933 wydano w Niemczech prawo, które nakazywało usunięcie wszystkich nie-Aryjczyków z instytucji państwowych, między innymi z instytutów badawczych, i Stern je wykorzystał, co stało się powodem jego późniejszych kłopotów. Był mło-

dy, ambitny. Zadał o usunięcie paru ludzi, którzy stali wyżej od niego w hierarchii zawodowej, między innymi pewnego Żyda, swojego dawnego profesora. Przyczynił się do tego, że wysłano go do Oświęcimia wraz z córką. I w tym tkwił problem, gdyż urodziła się w Chicago, więc z punktu widzenia prawa była obywatelką USA. Nie stanowiło to dostatecznego powodu, żeby go powiesić, ale nie dostałby tutaj pracy... Dobra. Pierwszy strzał, jeden strzał. Nikt się nie zorientuje. Ludzie muszą najpierw uświadomić sobie, że usłyszeli coś, i dopiero wtedy zaczynają nasłuchiwać.

Tim nacisnął spust. Ku jego zdziwieniu, z drzewa odprysnęła kora.

– Pięknie. Pamiętaj, że możesz trafić z tego kogoś na odległość stu jardów. Ale jeszcze ważniejsze jest to, że jak długo strzelasz, tamci chowają głowy.

– Skąd tyle wiesz o Sternie?

– No cóż, byłem w końcu oficerem wywiadu. Przebywałem w Niemczech zaraz po wojnie i prowadziłem śledztwo w tej sprawie. Możesz mi wierzyć, wiem o nim wszystko.

– Mógłbyś go więc szantażować?

– Jasne. Może bym zresztą to zrobił, gdybym wiedział o złocie. Z pewnością bym tak postąpił i to musiałyby wypalić. Gdybym ujawnił to, co o nim wiedziałem, facet byłby z całą pewnością skończony. Wydaje mi się, że Vogel, w jakiś sposób, też się o wszystkim dowiedział.

– Jak?

– Nie mam pojęcia. Może był z tamtymi w obozie koncentracyjnym, może znał córkę tamtego profesora. Trudno mi powiedzieć. Ale dowiedziawszy się, usiłował to chyba wykorzystać i Stern go zabił. Tak, w każdym razie, przypuszczam.

– Stern zabił więc Vogla, a potem... podszył się pod niego?

– Otóż to. Czysta sprawa. Poszedł na emeryturę, musiał pójść. Pamiętam, że wyjechał do Meksyku, tam straciłem jego ślad, mówiąc szczerze, myślałem, że umarł. Zabiwszy Vogla, zabrał jego dokumenty, co było sprytnym posunięciem. Teraz, w każdym razie, wiesz, jak posługiwać się bronią. Pamiętaj, Stern jest mordercą, więc może będziesz musiał do niego strzelać.

– Najpierw musimy porozmawiać z moim ojcem – powiedział Tim.

– Wcale nie. Mówiłem ci już, że jesteśmy jego kartą w rękawie, kawalerią schowaną za wzgórzem. Tego Stern nie będzie się w ogóle spodziewał.

Tannis usiadł, sięgnął po pudełko po krakersach, spłaszczył je i napisał na tekturce: „Matheson, uwierz we wszystko, co ci powie”. Potem podpisał się „Cracker Jack” i wręczył przesyłkę Timowi.

– Kim jest Matheson? – zapytał chłopak.

– Jest szefem kontrwywiadu w bazie, kiedyś ja zajmowałem to stanowisko. Jeśli coś się stanie, dasz mu to i powiesz wszystko, co usłyszałeś. Jasne?

Tim złożył tekturkę i schował ją do kieszeni. Niezręcznie obracał w dłoniach broń. Nie wiedział, co powiedzieć ani co zrobić; o dziwo, to, czego dowiedział się od Tannisa, tylko pogłębiło jego dezorientację. Wszystko sięgało korzeniami w tak odległą przeszłość, wiązało się z tak dawną historią. Przedziwne zdarzenia, ale jeszcze dziwniejsza była ich ciągła obecność w teraźniejszości. China Lake, cała ta opowieść; poczuł nagle, że go to wszystko oplata, omotuje ze wszech stron. Ale nie sposób już było się wycofać.

O czymś podobnym myślał także Tannis, gdy siedząc oparty o pień dębu, przyglądał się Timowi. Zaciągnął się papierosem i omal nie parsknął śmiechem. Chłopak był tak do niego podobny. To śmieszne, żeby nieśmiertelność przybrała taką formę. Plemnikiem było w końcu lepiej: gdzieś gnały, do czegoś dążyły. Obojętne, co robiłeś, kim byłeś, wszystko sprowadzało się do ich pogoni. Znowu pomyślał o tej kobiecie. Co za dziwka. A może byłby to rewanz, pomyślał, zabić jej jedyne dziecko. Mógł, oczywiście, to zrobić. Ciągle jeszcze mógł zrobić wszystko. Tak, mogę. Czy to, że powiedział mu tak wiele, nie było próbą wystawienia ich obu na strzał? *Nie masz wyboru.* Jest jednak jeszcze pytanie, pomyślał, co dzięki temu zyskujesz. Jeśli nie podoba ci się sytuacja, w jakiej się znalazłeś dzięki twemu fiutowi, zawsze jeszcze możesz wszystko przeciąć. Tak to właśnie wyglądało. Wciąż jeszcze mógł wszystko odkręcić, ale co będzie potem? Cholera jasna. Powtarzał sobie nieustannie: nieważne. Mógł tylko czekać.

Nie musieli zresztą czekać długo. Słońce zachodziło. Niebo nabrało barwy głębokiego błękitu, potem pojawiła się mgiełka zmierzchu – złoci-

sty pył w powietrzu. Tim zasnął. Tannis dwukrotnie sprawdził, co działa się z mulem, potem przywiązał go do skały. Było po dziewiątej, teraz już powinno się ściemniać bardzo szybko i Tannis wiedział, że Marianna albo zjawi się za chwilę, albo nie zjawi w ogóle.

Zjawiła się. W ciszy usłyszał nagle, jak kopyta stuknęły lekko o kamień, potem parsknięcie konia, skrzypnięcie skóry. Zobaczył ich – sunęli zakolami po żlebie. Pojawiali się i znikali. Skupieni w sobie, nie podejrzewali nawet, że ktoś może ich obserwować. Obejrzał się i zobaczył twarz Tima, chłopak był zafascynowany: po raz pierwszy śledził kogoś, kto nie miał pojęcia, iż jest śledzony. Na przedzie jechała Marianna, za nią rudowłosa kobieta, obie na osłach, Harper na koniu zamykał pochód. W końcu zniknęli w mroku.

Tannis poczuł, że Tim się poruszył, i złapał go za ramię.

– Nie – syknął.
– Ojciec coś rzucił.
– Nie ruszaj się. Możesz się potknąć. Koń parsknie... Jak to, „coś rzucił”?

– Widziałem.

Tannis jeszcze mocniej ścisnął ramię chłopaka, odczekał chwilę, a potem rozluźnił uścisk.

– W porządku. Zobacz, co to takiego.

Patrzył, jak chłopiec zsuwa się w dół żlebu. Tymczasem mrok zgęstniał i Tannis stracił Tima z oczu. Nagle pojawił się przed nim znowu niczym diabeł z pudełka.

– Patrz. – Trzymał w ręku opakowanie po reynoldsach zgniecione w błyszczącą kulkę. – Co o tym myślisz?

Tannis pokręcił głową.

– Diabli wiedzą. Nie traćmy czasu. Bierz lornetkę i zobacz, czy uda ci się ich dostrzec na stoku. Ja pójdę po Księcia.

Kiedy wrócił, Tim wskazał mu Mariannę i tamtych dwoje. Znajdowali się już blisko dna doliny. W tym miejscu, na otwartej przestrzeni, było trochę jaśniej.

– Chyba się zatrzymali. Może piją wodę.

– Dobrze, wyruszmy, kiedy odejdą jeszcze dalej. Musimy mieć

pewność, że nie śledzi ich nikt poza nami.

Minęło dziesięć minut. Przeżyli moment niepokoju, gdyż wydało się im, że grupka Harpera gdzieś nagle zniknęła, ale wkrótce dostrzegli ją znowu – tamci wjechali już dość daleko w głąb doliny. Tannis trącił Księcia; muł z wyraźną niechęcią zareagował na ponaglanie; najwyraźniej sądził, że jego dzień pracy już się skończył. Kiedy jednak doszedł do zlebu, poczuł dobrze znane sobie zapachy, rozpoznał znajomą trasę i natychmiast się ożywił. Zeszli w dolinę i zatrzymawszy się przy ogromnym głazie, obaj w tym samym momencie zobaczyli następną foliową kulkę, połyskującą w piasku.

– Jack – odezwał się Tim. – On wie, że idziemy za nimi i zostawia znaki.

– Mhm, na to wygląda. – Tannis uśmiechnął się w ciemności. – Łebski facet, ten twój ojciec.

– Co zrobimy?

– A co mamy robić? Idziemy dalej. Z tymi znakami może będzie trochę łatwiej. W każdym razie nie musimy się już martwić, że nas dostrzegą.

– Dlaczego do nich nie dołączyć?

– Posłuchaj, on stara się myśleć tak jak my, więc postarajmy się myśleć tak jak on. Najwyraźniej chce, żebyśmy trzymali się z dala. Nic się nie martw. Ruszamy.

Posuwali się wolno do przodu. Tannis, który jechał na mule, mógł dostrzec przez lornetkę cienie odcinające się od jaśniejszego gruntu. Oni także się nie spieszyli. Zaczynały się pokazywać gwiazdy, ale niebo się chmurzyło. Czuć było powiew wiatru, zapadała chłodna, ciemna noc. Co było korzystną okolicznością. A poza tym nie było już samolotów. Muł włókł się noga za nogą. Przy każdym kroku pochyłał łeb, jak gdyby rozważając możliwość ułożenia się do snu, lub może – jak wydawało się Tannisowi za poprzednim razem – węsząc za znajomymi zapachami. Jednakże wciąż kroczył naprzód. W miejscu gdzie leżał wrak samolotu – tam skręcał ślad Vogla czy też Sterna; kim, u diabła, był Vogel? kim, u diabła, był Buhler? pewnie nigdy się tego nie dowie – znaleźli trzy zmięte kulki, a trochę dalej dwie następne. Tak, Harper zostawiał im ślady. Byli mniej więcej w połowie drogi. Na horyzoncie coraz wyraźniej rysowały się

ciemne kształty gór. Tam idziemy, pomyślał. I raptem poczuł dziwną lekkość, ogarnęło go pragnienie, żeby znowu przemierzać pustynię, wyczuwać pod stopami twardy kamień i miękkie ciepło. Zsiadł zatem z Księcia i próbował rozważyć te wszystkie kwestie, o których dotąd nie myślał. Mógł się wycofać, ale co potem? Ach tak, pamiętał; dlaczego nie możesz wszystkiego pamiętać i czasami musisz sobie dopiero przypominać? Szli. Dzięki Bogu, nie można było robić nic innego. Coraz trudniej było dostrzec grupkę posuwającą się przed nimi. W miarę jak zbliżali się do wzgórz po przeciwnej stronie, wszystkie inne kształty stawały się coraz mniej widoczne na ich ciemnym tle. Potem, kiedy znaleźli się w korycie dawnego potoku, który tysiące lat temu naniósł tu żwir i kamienie, poczuł, jak teren podnosi się powoli; niemal niepostrzeżenie po obu stronach wyrosły ściany kanionu. Zaczął sobie przypominać, jak to wyglądało poprzednim razem. Zwolnili. Wąwóz był początkowo szeroki, ściany po obu stronach majaczyły dość daleko od nich. Potem zwężał się, tworząc mały przesmyk, po jego drugiej stronie był już wyraźnie węższy, a jego ściany stawały się wyższe i bardziej strome. To tu – jeśli dobrze pamiętał – znajdowały się petroglify, kamienne kryjóWKi, spoczywały kości Vogla, a na szczycie stali kamienni myśliwi. Pamiętał zakręt, do którego już nie dotarł, a za którym musiała się znajdować kopalnia Vogla.

Zatrzymał muła.

Nie był pewien, ale wydało mu się, że tamci stanęli.

Ściągnął wodze i chwycił Tima za ramię.

– Stój. Czekali.

Nie wiedział, co się tam dzieje. Ledwie mógł ich rozpoznać; na niebie było niewiele gwiazd. Nie potrafił odróżnić Harpera od kobiet. Nagle wydało mu się, że ciemne kształty oddalają się od siebie; zamrugnął oczami, bojąc się, że to złudzenie.

Tim miał lepszy wzrok.

– Rozdzielili się.

– Spokojnie. W którą stronę idą? W prawo?

– Tak. Widzę osły, prowadzą też konia. Nie mogę dostrzec ojca.

– Zaczekaj. – Tannis przyłożył lornetkę do oczu, ale niewiele to dało.

Tak, pomyślał, postąpili najrozsądniej, jak mogli. Tędy dość łatwo można

było wspiąć się na szczyt ściany kanionu. Wciąż jeszcze czekał. Po paru minutach w skąym świetle kilku gwiazd mignęły przez chwilę sylwetki dwóch osłów i idącego za nimi konia.

Tannis opuścił lornetkę.

– W porządku – mruknął.

– Co masz na myśli? – zapytał Tim.

– Pójdiesz za nimi. Weź muła, ale nie wsiadaj na niego, tylko prowadź. Wejdz na górę, a potem przejdź na drugą stronę zbocza, nie za daleko, tyle żeby cię nie było widać. Rozumiesz? Potem dołącz do nich. Ale powoli, żeby kobiety się nie wystraszyły. Później mają się spotkać. Żona Vogla będzie na niego czekać w umówionym miejscu.

– A co z tobą?

– Twój ojciec teraz idzie, a nie jedzie, i łatwo go dogonię. Wejdziemy obaj do środka.

– Idę z tobą.

– Pewnie. Bardzo pięknie. Jesteś dumny ze swej odwagi, ale nie warto się wygłupiać. Nie potrzeba aż trzech facetów ze spluwami, żeby schwytać w kopalni jednego starego człowieka. Jeszcze byśmy się powystrelali nawzajem. Chcę, żebyś był z nimi. A jeśli się wydarzy coś nieprzewidzianego? Nigdy nic nie wiadomo, a dzięki temu będziecie mieli przynajmniej broń.

– Jack, nie podoba mi się to wszystko.

– Wcale nie musi. W tym filmie, choć to tylko muł, no i reszta też jakaś nie taka, ja jestem pewnie tylko Rorym Calhounem, ale ty to Richard Egan. Tim uśmiechnął się.

– To pewnie źle o mnie świadczy, ale nie mam pojęcia, kto to taki Rory Calhoun albo Richard Egan.

– No i dobrze – zachichotał Tannis. – Możesz mi jednak wierzyć, że jesteś naprawdę przystojny. Oto facet odpowiedni do tego, żeby zaopiekować się kobietami. Idź do nich. Potrzebują cię, zawsze tak jest. To jedna z tych rzeczy, których należy nauczyć się jak najwcześniej.

Tim nie odpowiedział, ale nadal uśmiechał się w ciemności. Tannis znalazł właściwy ton, dzięki temu chłopak mógł się zgodzić na jego polecenie. Wziął cugle od Tannisa. Dopiero kiedy oddalił się od niego o kilka

jardów, szepnął: „To powodzenia”.

Powinno mi dopisać, pomyślał Tannis. Mam asy i piki. Jednym z nich był Tim. Zresztą tak było najlepiej, nie chciał, by chłopakowi coś się stało. Zaczekał więc, aż Tim znalazł się na szczycie zbocza, i dopiero wtedy ruszył. Oczywiście, nie miał zamiaru dołączyć do Harpera. Jednakże tamten miał jakiś plan, o czym Tannis się przekonał, gdy dotarł do miejsca, gdzie trójka się rozłączyła, i znalazł trzy kolejne kulki, ułożone w trójkąt, wierzchołkiem zwrócony do przodu. Przyspieszył. Było ciemno. Ściany kanionu ostro wznosiły się ku górze, ograniczając widok nieba. Rozejrzał się wokół i dostrzegł mroczne cienie kryjówek myśliwskich. Podniósłszy wzrok, z trudem rozpoznał petroglify – wydawały się lekkimi rysami na czarnym szkle nocy. Tylko kamienne figury, obserwujące w milczeniu, jak zbliżał się do zakrętu, rysowały się wyraźnie na samym szczycie zbocza. Potem zrobiło się bardzo ciasno. Z obu stron sterczały pionowe skały, a przejście było niemal całkowicie zablokowane przez głazy. Posuwał się teraz tak szybko, jak potrafił. Uznał, że nie ma żadnego powodu, by zwlekać lub zachowywać szczególną ostrożność. Stern nie mógł się spodziewać niczyjego przybycia; prawdopodobnie spał. Tannis liczył jednak na to, że zobaczy gdzieś Harpera. Marianna z pewnością wyjaśniła mu, gdzie jest wejście do kopalni, i dostrzegłszy go, Tannis oszczędziłby sobie poszukiwań.

Nie udało się jednak; było tutaj tak ciemno, że z trudem mógł dojrzeć własną dłoń, a co dopiero cudzą sylwetkę. Za pierwszym razem nie dotarł tak daleko, nie wiedział zatem, jak teren biegnie dalej. Kanion był w tym miejscu tak wąski i wysoki, że Tannis miał wrażenie, iż znajduje się na dnie studni, pokrytym odłamkami skalnymi i mającym jakieś dwadzieścia jardów kwadratowych. Ku tyłowi – zaczął orientować się w otoczeniu – kamienna pryzma zwężała się i wznosiła stromo do samego szczytu ściany wąwozu; przypominało to skamieniały nagle wodospad. Przez wieki kamienie staczały się ze szczytu i układały w stos, gdyż wąskie przejście nie pozwalało im potoczyć się dalej. W ciemnościach i tym chaosie odnalezienie wejścia do kopalni mogło być trudnym zadaniem, tymczasem okazało się zupełnie łatwe. Stern lub, co bardziej prawdopodobne, sam Vogel utorował drogę między głazami, odwalając je na boki, co musiało go kosz-

tować wiele pracy. Gdy tylko Tannis zaczął rozglądać się wokoło, natychmiast dostrzegł wijącą się między głazami ścieżkę, która prowadziła ku czarnemu otworowi w skale. Tam musiała być kopalnia.

Przykucnąwszy za kamieniem, Tannis przez chwilę czekał, nasłuchując uważnie.

Wydobył colta i przeładował go, ale nie odbezpieczył. W istocie nie spodziewał się, że może tu spotkać kogokolwiek. Spojrzał do góry. Musiał dobrze zadrzeć głowę, by u szczytu skalistych urwisk zobaczyć dwie gwiazdy. Do jego uszu dotarł delikatny dźwięk. Tutaj, na dole, powietrze było zupełnie nieruchome, na górze jednak wiał wiatr. Poza tym panowała zupełna cisza; nie wyczuwał żadnego niebezpieczeństwa. Sądził zresztą, że nic nie powinno mu zagrażać. Harper musiał znajdować się gdzieś bardzo niedaleko. Stern nie strzelił do niego, a jeśliby nawet zaatakował go nożem, słyhać by było odgłosy szamotaniny.

Ruszył powoli do przodu trzymając, mimo wszystko, broń w pogotowiu. Dróżka miała około jarda szerokości i widać było na niej wyraźne ślady kopyt. Tannis pomyślał natychmiast o koniu. Gdzie Stern go trzymał? Węch niemal natychmiast udzielił mu odpowiedzi, odebrałby ją wcześniej, gdyby nie bezruch powietrza. Poczul teraz ciepło, pot, i niemal jednocześnie uświadomił sobie, że oczy nieco go zwiodły. Ciemną plamę na końcu przejścia uznał za wrota jaskini, tymczasem była to płytka skalna wnęka. Jej szczyt został uzupełniony o coś w rodzaju dachu: kilka desek podpartych dwiema belkami, na wierzchu ułożone dla niepoznaki kamienie. Pod tą wiatą, na podściółce ze słomy odpoczywał wierzchowiec Sterna. Rozejrzawszy się uważniej, Tannis dostrzegł prawdziwe wejście do kopalni w ścianie po prawej stronie. Nie zamaskowano go niczym, w istocie jednak nie można go było zauważyć, dopóki się nie podeszło bardzo blisko.

Zatrzymał się na moment, niepewny jak zareaguje koń, zwierzę jednak niemal nie drgnęło. Uspokojony, zaczął się przypatrywać wlotowi do grotu: był szeroki na sześć, osiem stóp, na tyle jednak niski, że wchodząc trzeba było się skulić. Zawahał się; jeśli wewnątrz ktoś czyhał na niego, był bez szans, nie miał jednak wyboru. Pochylił się więc tak nisko, jak mógł, i ruszył naprzód.

Natychmiast otoczyła go ciemność, kompletna, nieprzenikniona, czerń niesłyszana głęboka, wręcz galaktyczna. Przez chwilę nie był w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Zaklął brzydko w duchu, jak sparaliżowany opadł na kolana. Czekał. Jeszcze chwila i oczy przywykną. Ale wcale tak się nie stało. Był ślepy. Umierał. Zamknął oczy; słyszał jedynie swe ciało i czuł tylko dotyk powietrza na policzku. Za chwilę zniknie i to. Cholera. Miał przy sobie małą latarkę, ale nie chciał jej używać, gdyż to natychmiast by go zdradziło. Zaczął więc powoli czołgać się do przodu, ostrożnie macając grunt przed sobą. Czy Harper postąpił podobnie? Dziwnie szybko zniknął w mrocznym wejściu, więc może Marianna powiedziała mu, że użycie latarki niczym nie grozi? Może tak, ale byłby idiotą, gdyby temu zawierzył, czołgał się więc nadal powoli i wkrótce ta ostrożność została wynagrodzona, gdyż nagle jego ręce trafiły w pustkę. Jakaś półka, przed nim nic nie było. Z tyłu wymacał kamień i uchwyciwszy się go obiema rękami, zaczął przesuwać się w prawo, gdyż jakiś kierunek należało wybrać. Nagle kolano zderzyło się z czymś twardym. Zamarł. Dłoń wymacała metalową linę, jak się okazało, przytwierdzoną do metalowego pręta, na który natrafił nogą. Dwie stopy dalej odkrył taką samą konstrukcję – domyślił się, że to drabina zwieszająca się w ciemność.

Musiał zobaczyć coś więcej.

Wiedział, że musi, ale zupełnie mu się to nie podobało. Skurwysyn. Skurwysyn. Jak my wszyscy... Wyciągnął swoją starą zapalniczkę i pokręcił kółkiem. Pojawił się żółty płomycek, a zapach gazu wydał mu się tak natarczywy, iż poczuł się niemal tak, jakby już powrócił do realnej rzeczywistości. Mógł się nieco rozeznac w swojej sytuacji. Znajdował się na skalistej półce. W ścianę wbite były dwa haki, do których przytwierdzono na stałe metalową drabinkę. Całość wyglądała dość solidnie. Co to za miejsce? Co, u diabła, jest na dole? Jak długie jest zejście? Wreszcie wyciągnął latarkę i poświecił do tyłu, w kierunku wejścia – widział je, mającące w oddali – a następnie powoli skierował snop światła ku sklepieniu grotu, a potem wzdłuż ścian, wydobywając kolejno z mroku kształty jakichś wysięgników, bloczków, lin, przewodów, zapewne biegnących do maszyny na dole... Pamiętając, jaki sprzęt znajdował się w tamtej jaskini, należało się tego spodziewać. Rudę trzeba było jakoś wydobyć na po-

wierzchnię, a potem załadować ją na osły. Zgasił światło i pochylił się w dół. Pytanie brzmiało: schodzić czy nie schodzić?

Położywszy się na brzuchu, wyrzał za krawędź półki. Nie widział zupełnie nic. Każda kolejna warstwa przestrzeni była ciemniejsza od poprzedniej. Wyczuł ruch powietrza, jakiś zimny powiew, nie słyszał jednak żadnego dźwięku. Nikogo tam nie ma, powiedział do siebie. Gdyby Stern zaczął się gdzieś tutaj, najpierw musiałby na niego natrafić Harper, jakieś odgłosy musiałyby dotrzeć do mnie... Rozumowanie wyglądało sensownie, ale czy miał mu rzeczywiście zawierzyć i zejść w nieznaną ciemność? Tak. Przykucnął, obrócił się, znowu leżał na brzuchu, zwiesił nogi, mocno chwycił dwa metalowe kabłąki i namacał stopą pierwszy szczebel. Potem drugi. Drabinka zakołysała się i zaskrzypiała. Gdyby teraz ktoś poświecił od dołu, byłoby po nim. Głowa znalazła się już poniżej półki. Opuszczał się coraz niżej; po trzydziestu szczeblach przestał liczyć. Było ich chyba z pięćdziesiąt, aż wreszcie stopa dotknęła ziemi. Mrok absolutny.

Znowu zdreptał na chwilę. Podniósł dłoń na wysokość nosa i nie mógł dostrzec własnych palców. Kiedy ponownie użył zapalniczki, źrenice miał bardzo rozszerzone i płomień boleśnie go oślepił. Wyciągnął rękę i zatoczył nią półkole, ale zobaczył tylko ruch żółtawego, chybotliwego płomyczka. Musiał znowu sięgnąć po latarkę. W strudze światła pojawiła się drabinka. Dziesięć jardów dalej zobaczył szyny i biegnącą wzdłuż nich metalową linę. Jeden jej koniec musiał być przymocowany do kołowrotka, drugi do jakiegoś wózka, który ciągnięto po szynach. W ten sposób Stern transportował rudę. Tannis przesunął strumyk światła wzdłuż liny i zobaczył, że niknie w małym przejściu. Zastanawiał się właśnie nad tym, jak działa całe to urządzenie, kiedy usłyszał pierwszy strzał.

Natychmiast zgasił światło.

Echo parokrotnie odbiło się od ścian, aż wreszcie zamarło. Z pewnością był to strzał. Po chwili, jeden tuż po drugim, zabrzmiały dwa kolejne strzały, których echo nałożyło się na siebie. Karabin i pistolet. Tak mu się w każdym razie wydawało. Gdzieś daleko. Potem zapadła cisza. Po nagłym huku aż dzwoniło w uszach, Tannis słyszał rytm własnej krwi, kołatanie serca, miękkie szelest oddechu. Czekał przez jakiś czas, ale skoro cisza trwała nadal, ruszył w kierunku przejścia, które dostrzegł w świetle

latarki. Strzały musiały dobiec z jakiejś dalej leżącej groty, do której szło się z pewnością tędy. Zbadał palcami otwór. Będzie musiał przykucnąć. Skulił się, a jego dłonie, szukając dokoła, natknęły się na wygiętą metalową ścianę. Zgięty we dwoje, mozolnie posuwał się przed siebie. Po przebyciu kilku jardów zrozumiał, że pełźnie swego rodzaju kanałem, wyłożonym płytami z kadłubów samolotowych. Od czasu do czasu wyczuwał między nimi odcinki kamienne, ale sam materiał nie budził zdziwienia: na pustyni można było znaleźć mnóstwo takich płyt, leżały tu wraki tylu maszyn użytych jako ćwiczebne cele. Skądś ściekała woda. Palce Tannisa natrafiły na żwir. Nagle zobaczył światełko. Nie był to koniec tunelu, tylko zakręt, ale to blade światełko musiało tu docierać właśnie z owego końca korytarza.

Podpełzł do tego miejsca, a potem, przycupnięty, sprawdził, czy w świetle nie spostrzeże czyichś cieni. Dopiero gdy się upewnił, że nikogo nie dostrzeżę, ruszył do przodu. Widział teraz wylot tunelu, krąg przyćmionego żółtego blasku. Posuwał się szybciej, a znalazłszy się trzy stopy od wejścia, zatrzymał się i zastygł w bezruchu. Mógł stąd wyjrzeć na zewnątrz, pozostając niewidocznym.

Niewiele było jednak do zobaczenia. Przed nim rozpościerała się jaskinia znacznie większa od tej, w której znajdował się przed chwilą, najwyraźniej w jakiś sposób oświetlona; na mokrej skale kładły się długie jasne języki. Ale dostrzegł tam tylko mały stos pokruszonych kamieni. Odczekał chwilę. Nadal panowała cisza, nie docierał do niego najdrobniejszy dźwięk. Zdecydował się i jednym skokiem dopadł pryzmy.

Jego ruch nie spowodował żadnej reakcji, mimo to wtulił się mocno w kamienie. Nie unosząc głowy poczekał, aż wróci mu oddech, i dopiero wtedy rozejrzał się wokoło. Kamienie osłaniały go nie tylko od przodu, ale także – tworząc coś w rodzaju wału – od prawej strony. Tylko z lewej strony brakło mu osłony, kiedy jednak przewrócił się na bok, mierząc z rewolweru w ciemność, zorientował się, że stąd nic mu nie zagraża, tutaj była bowiem jedynie ściana, wznosząca się pionowo ku niewidocznemu stropowi. Usiłował go odnaleźć wzrokiem i dopiero wtedy naprawdę zdał sobie sprawę z ogromu jaskini. Wielkością dorównywała starej stacji kolejowej; sklepienia – w tym świetle – nie mógł nie tylko dojrzeć, ale nawet

wyczuć. Ale to właśnie przede wszystkim owo światło budziło w nim lęk – przyćmione, gęste i miękkie, napływające z jakiejś oddali, niby blask, który rozjaśnia wnętrze lasu lub dno morza. Złote, naprawdę złote światło, bo to była rzeczywiście kopalnia Vogla, przebogata żyła, ziszczenie wszelkich marzeń, bogactwo, o którym można śnić jedynie, wspaniały skarb Pajutów. Natychmiast przypomniał sobie starą legendę Panamint o sekretnej grocie strzeżonej przez ruchomą skałę (ci kamienni myśliwi na szczycie ściany wąwozu?), choć bowiem nie zgadzało się to zupełnie z wiedzą antropologów, miał oto przed sobą rzeczywiście legendarny skarbiec. Gdy tak patrzył, miał wrażenie, jakby napierały nań owe pradawne siły, które wytworzyły to wszystko – magma wytryskiwała w górę, wybuchając i sycząc, a w końcu wyciekała z ziemi w postaci złota tak czystego, jakby płynęło z tygla złotnika. Porzucona jaskinia, w której złoto wypuszczało spomiędzy gałęzi i liście, pokrywając kamienie jakby rybią łuską, zdobiąc je kryształami, ośmiościanami, sześciocianami, oplatając je grubymi pnączami i odpadając od nich płatami tak regularnymi jak śnieżyńki. A jakby tego jeszcze było mało, między złotem srebrzyły się łańcuchy misternych, błyszczących kryształów, i gdzieś tam, w jakimś zakątku jego umysłu mignęła myśl, że to arsenopiryty, ale natychmiast zgasła, bo nie była to pora na rozmyślenia. Na chwilę zapomniał o wszystkim. O rewolwerze w dłoni, Voglu, Sternie, Harperze. Nawet o sobie samym. Zabrakło mu tchu, a potem nagle owładnęło nim straszliwe pożądanie. Skarb, jakież to skarb! Zadrzał... Kiedy po chwili odzyskał panowanie nad sobą, poczuł ogromną radość i satysfakcję. Dotarł tu. Oto był motyw, powód wszystkiego. Już nie trzeba pytać *dłaczego*. Wrzasnął na całe gardło:

– Harper! Harper! Gdzie jesteś, do cholery?

Echo kłębiło się w wielkiej pustce. I zamarło. A potem usłyszał brzmiały zadziwiająco spokojnie głos:

– Tannis?

– Tak.

– Zaczynałem się już martwić.

– Gdzie jesteś?

– Tutaj.

Głos Harpera dobiegł z lewej strony i z przodu, ale z prawej strony rozległy się natychmiast dwa strzały. Tannis patrzył gdzie indziej, dlatego nie dostrzegł błysków i sam odruchowo wystrzelił na oślep w powietrze. Skurwysyn. Cóż, jak my wszyscy. Tak, bracie, jak my wszyscy. Jego strzał w niczym mu nie pomógł – nic nie zobaczył w ciemności – i dopiero kiedy Harper odezwał się znowu „Uważaj”, zorientował się, gdzie jest Anglik.

Pod lewą ścianą – powoli zaczynał rozróżniać szczegóły – wznosiło się naprędcie sklecone rusztowanie. Prawdopodobnie sporządził je Stern, aby dotrzeć do szczególnie cennego miejsca (ale jak, do cholery, potrafił się w tym rozeznaczyć?), pod nim zaś znajdowało się kilka stosów kamieni, jak ten, za którym leżał. To stamtąd dobiegł głos Harpera, chociaż jego samego Tannis nie mógł dostrzec. Popatrzył wokół siebie. Niewiele było tego magicznego światła – kilka lamp zwieszających się z rusztowania i z haków wbitych w skałę. Dopiero teraz zauważył, ile kamiennych usypisk piętrzyło się wszędzie; wszędzie też widać było ślady poszukiwań. Gdziekolwiek uderzył kilof Sterna, wszędzie natrafiał na złoto. Na krańcu jaskini, gdzie płonęła jeszcze jedna lampa, ziała czerń jakiejś wnęki, a może tunelu.

– Tam jest?! – zawołał. – Na samym końcu? – I zanim nadeszła odpowiedź, wymierzył w lampę. Daleki strzał, ale przecież był dobrym strzelcem. Światło zgasło. – Tam?

– Nie! – odkrzyknął Harper. – Tam mieszka. Teraz tam jest dziewczynka.

– Dziewczynka? To gdzie jest on, do cholery?

– Naprzeciw mnie. Są tam dwa tunele, jeden jakieś czterdzieści stóp od drugiego. I jest jeszcze poprzeczny tunel, który je łączy. Jak litera H.

– Jesteś pewien?

– Mam mapę.

Dziewczyna dała mu mapę. Łebski chłopak. To dlatego szło mu tak szybko. Rozpoznanie terenu. Wytężył wzrok, usiłując dojrzeć wejścia do tunelów. Były po prawej stronie, dwie stożkowate dziury, łatwe do zauważenia, jeśli się wiedziało, czego szukać.

– Chciałbym go stamtąd wypłoszyć.

Oczywiście. Ale czy to na pewno dobry pomysł? Stern może zacząć gadać. Może będzie chciał pójść na układy. Albo może on sam będzie tego chciał. Zastanowił się, ile Harper może wiedzieć. Skoro dotarł aż tutaj, musi wiedzieć sporo. Doprawdy, dziwne. Dobra robota, koleś. Pieprzeni Angole! Z drugiej strony, co to za różnica? Co w końcu będzie za różnica? Tyle że mogą się pojawić komplikacje. Mimo wszystko Harper miał broń. A przynajmniej mógł mieć.

– Harper! Masz coś do strzelania?
– Tak. Karabin.
– No to wykurz go, jeśli potrafisz.
– Powiedz coś do niego. On ciebie zna. W ogóle wziął mnie za ciebie. Myślę, że dlatego wpadł w panikę.

– Spanikuje się jeszcze bardziej, gdy mnie usłyszy... Ale dobra... Stern! Tu Tannis! Stern! Jest nas dwóch. Nie masz szans, wyłaź! – Chyba nieźle to zabrzmiało, pomyślał, wsłuchując się w zamierające echo. Żadnej odpowiedzi. – Coś mi się nie wydaje, żeby chciał wyjść.

– Tannis, uważaj. On mówi, że wejścia są zaminowane. Myślę, że ma jakiś wyzwalacz.

– Tak? Ciekawe, co ma jeszcze? Nie wierz mu, to bujdy.
– Tannis...
– Zamknij się i posłuchaj. Wyceluj w wejście do tego dalszego tunelu, w lewo. Policz do pięciu i zacznij strzelać.

Cisza. Wahanie. Ale cóż mógł zrobić biedny Harper. Będzie się teraz pewnie zbierał w sobie przez dwadzieścia minut, a i tak nic z tego nie wyjdzie. Trudno zresztą mieć pretensje. Kręcił filmy o wiewiórkach. Rznął fajne damulki. Choć z pewnością nie rznął dziewczyny, która nie ma nawet czasu na zdjęcie butów; to było spore udogodnienie, takie pannenki przelatujesz równie szybko, jak się odlewasz. No i teraz to wszystko wychodziło. – *Co dalej?* To dalej: licz, trzy, cztery, pięć i – hop. Ale zanim skończył, jaskinia zahuczała od strzałów Harpera, odpędzających Sterna od dalszego tunelu, a może nawet nie pozwalających mu wysadzić nosa. I uwierzył w niego nawet Tannis, kiedy wyskoczywszy ze swego ukrycia jak z procy, *bum, bum, bum*, gnał skulony, ślizgając się, potykając i wtoczył wreszcie za kolejną pryzmę kamieni. Cały czas jednak w lewą

stronę. W przeciwnym kierunku niż tunele. Na tym polegał podstęp. Zresztą i Stern dopomógł mu trochę, oddając dwa strzały z pistoletu wprawdzie, ale dużego, nie mniejszego niż pukawka Tannisa, dostatecznie wiele było więc huk, pyłu i świstu kul, by zmusić każdego do schowania głowy. Ale nie jego. O nie, kochani, gdyż Tannis czołgał się, przesuwał, podpełzał, szorując brzuchem o skałę i z gardłem pełnym kurzu. Przy czym poruszał się bardzo szybko, gdyż tacy masywni faceci są często znacznie szybsi, niż ktokolwiek mógłby przypuścić, ostatecznie więc, kiedy dym już opadł, nikt nie miał pojęcia, gdzie Tannis się teraz znajduje. A z całą już pewnością Harper nie spodziewał się, że Tannis jest za nim. Cóż, synu, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, to zabawy nie dla ciebie. Gap się więc w ciemność, kombinuj i pozwól mi tylko się przyszpilić. Na razie jednak trudno było to zrobić. Zatoczył duży łuk w lewo i choć wyraźnie widział teraz tunele, nie mógł dostrzec Harpera, mimo że choć z grubsza wiedział, gdzie tamten się znajduje. Miejsce wskazywały rusztowania, jednakże wisząca tam latarnia bardziej kryła Harpera w cieniu, niż go oświetlała. Tam musiał być, naprzeciwko Tannisa. Niech się tylko ruszy... Wlepiwszy oczy w mrok, Tannis usiłował wczuć się w Harpera, podjudzić go: Twój ruch! Spróbuj! Teraz ty! Wal! Czy tak trudno zagrać na ambicji Angola? Nietrudno. Dobra robota, chłopie. Bo oto Harper dwa razy wypalił, dwa języki ognia oświetliły całą scenę, wprawdzie tylko na moment, ale za to zrobiło się jasno jak w dzień. I Tannis zobaczył go wyraźnie: nogi, plecy, postać skulona za skalną osłoną. Echo wystrzałów Harpera jeszcze odbijało się od ścian, gdy Tannis już sunął w jego kierunku. Ale zanim dotarł do niego tak blisko, jak chciał, zabrzmiały dwa kolejne wystrzały, tym razem strzelał Stern. Jedna z lamp zakołysała się dziko i zgasła, druga eksplodowała pomarańczowym płomieniem.

Tannis przypadł płasko do ziemi.

Ponieważ znowu nic nie widział.

Zrobiło się dużo ciemniej, ciągle jednak paliła się jeszcze jedna lampka, ale problem polegał na tym, że Tannisa oslepił wybuch latarni. Wciąż jeszcze widział przed oczyma preraźliwy błysk, widział go tak wyraźnie i ostro, że odruchowo usiłował dłonią osłonić przed nim wzrok. Falująca płachta jaskrawej jasności to blakła i zacierała się, to znowu powracała,

odzyskując poprzednią intensywność. Usłyszał jakiś hałas i zaklął pod nosem: czy to Harper zmieniał pozycję? Cisza. Potem dobiegł go jakiś stukot, coś potoczyło się po kamieniach. Macając rękami, Tannis upewnił się, że jest za bezpieczną osłoną. Zaczynał już widzieć, nie wiedział jednak, co się dzieje dokoła. A kiedy całkowicie odzyskał wzrok, nigdzie nie dostrzegł Harpera; było teraz ciemniej niż przedtem i oczy Tannisa nie wypatrzyły kształtu, który spodziewał się zobaczyć. Ale przecież Harper tu musiał być, nie mógł przesunąć się zbyt daleko. Tannis mocniej ścisnął kolbę starego, pocziwego colta i zaczął się skradać. Rusztowania, samotna lampa... Coś mu się nie podobało. I nagle zamarł zdumiony. Bo oto i był Harper, ale nie tam, daleko, ale tutaj, blisko niego, oparty plecami o skałę i wpatrzony w Tannisa.

– Harper – zasyczał Tannis.

Wtedy za plecami usłyszał głos:

– Jack, nie ruszaj się. Jeśli tylko drgniesz, rozwalę cię na miejscu.

Tannisa zamurowało. Stał wpatrzony w Harpera i niemal widział w jego oczach odbicie tego, który znajdował się za nim. Stern?

– Jack, ty masz swój rozum, ale ja dobrze wiem, jak on działa. Byłem pewien, że schowasz się za niego. Wpadłeś we własne sidła.

– Stern...

– Kiedyś mówiłeś do mnie Maxy. *Nos conocimos muchos años atrás, mi almirante. Yo soy un amigo. Un viejo amigo.* Pamiętasz.

– To ty dzwoniłeś. Trzeba było powiedzieć.

– Nie, nie. Za bardzo się bałem, że jesteś na podsłuchu. Pamiętasz, to ty uczyłeś mnie ostrożności. Buhler powodował tyle zagrożeń. Był jak opętany. Nie wiedziałem, z kim zdążył porozmawiać, nie wiedziałem, po czyjej ty jesteś stronie.

Niech mówi. Nie zamierza cię zabić. Boi się zabić. Jak wszyscy. Gdyby chciał cię zabić, już byś nie żył...

– To dlaczego się nie zjawiłeś w restauracji?

– Zmiana planów. Jack, spluwa. Masz ją w prawej ręce, widzę wyraźnie. Rzuć ją daleko w prawo. Nie próbuj żadnych sztuczek, jestem ukryty za skałą, nawet gdybyś uskoczył, nie dostaniesz mnie. Dlatego rzuć broń.

I Tannis cisnął rewolwer miękkim łukiem, nie w prawo jednak, lecz na wprost, w kierunku Harpera.

- Jack, powiedziałem, w prawo.
- To strzelaj, Maxy. Na co czekasz?

Na moment zapadła cisza, ale Tannis czuł, że nic mu się nie stanie, wiedział, że nie zginie w ten sposób. Po chwili Stern powiedział:

– Podejdz do niego, potem odwróć się i usiądź. Przy kamieniu. Tannis wzruszył ramionami, potem zrobił krok do przodu, wpatrzony w Harpera, który siedział bez ruchu i nie odezwał się nawet słowem. W ciemności połyskiwał jego karabin, ale zdecydowanie za daleko. Odwrócił się i powoli usiadł – to dobry pomysł, żeby ich obu tak unieruchomić – ale o jakieś sześć, osiem stóp od Harpera. Wystarczy. Nie można naraz zastrzelić dwóch ludzi. Będzie musiał skontrolować odrzut, znowu wycelować. Więc o to teraz chodziło, jak go zmusić, by najpierw strzelił do Harpera? Ale nie będzie takim głupcem. Chyba że udałoby się mu skłonić Harpera do zrobienia ruchu, do sięgnięcia po karabin... Tylko że to nie z Harperem. Nic nie zrobi. Nie drgnie. Poczekaj na śmierć. Beznadziejny, zagubiony Harper. To w ogóle cud, że dotarł aż tutaj. Przestał się więc zajmować Harperem, spoglądał nań tylko kątem oka, bo oto zza kamieni wynurzył się Stern. Tak, Tannis pragnął przyciągnąć jego spojrzenie, napotkać jego wzrok, dlatego rzekł półgłosem: „Maxy”.

- Jakie to dziwne uczucie, Maxy, zobaczyć cię po tylu latach.

Trafił; w Sternie coś drgnęło. Czuł swoją przewagę i nieśmiało się uśmiechnął.

- Jack...
- Jak to było z tą restauracją?
- To już historia. Tak zawsze mówileś, prawda? Historia starożytna.
- Pewnie. Wszystko jest historią. – W oczach Tannisa pojawił się uśmiech. Jeszcze go ostudzić. Prawie go już miał. Odpręż się, spokojnie. Nie ma się czego bać, synku, to nie boli... – Ciągle się jednak zastanawiałem, skąd ten Buhler znalazł się tam, koło tej bocznej drogi.

– Przecież to było proste. Kiedy dzwoniłem do ciebie z automatu w Darwin Springs, on stał na zewnątrz. Miałem go zawieźć na spotkanie z tobą, tak się umówiliśmy. Wszystko miało się jednak odbyć w tajemnicy,

z powodu bazy. Nic o niej nie wiedział, kiedy się tutaj zjawił. Ułożyłem więc całą historyjkę i zawiozłem go tam. W to samo miejsce gdzie myśmy się spotykali, pamiętasz? Z powodu radaru, bo wtedy nikt nie może podsłuchiwać, tak? Tak czy inaczej pojechałem tam i zostawiłem ci kartkę. Ale potem przemyślałem całą sprawę i zostawiłem sobie trochę czasu...

– I wróciłeś do domu po konia...

– Więc domyśliłeś się... Tak, Jack, ty zawsze byłeś sprytny.

– I zabiłeś go.

– Mogłem to zrobić gdziekolwiek. Ale wiesz co, naprawdę wpadłem w panikę, kiedy ni stąd, ni zowąd pojawiłeś się tam, jakbyś spadł z nieba. W ogóle nie usłyszałem twojego wozu. Rozumiesz, potrzebowałem trochę czasu, żeby ci wszystko wytłumaczyć i żebyś wiedział, co mówić. To byłoby zupełnie proste, można było gadać przy nim, gdyż nic nie rozumiał po angielsku...

– Słuchaj, Maxy, przecież wszystko byłoby prostsze, gdybyś zjawił się w „Hideaway”. Chociaż nie. Inaczej to obmyśliłeś. Chciałeś mnie wrobić. – Widzisz, Maxy, jak lekko to mówię, prawie żartobliwie, a ty nawet się nie uśmiechniesz. Do tego doszło, jest ci już trochę głupio. Dobrze. Nie spuszczaaj z niego oczu. – Mam rację?

– Jeśli chcesz to tak nazwać. Ja bym raczej powiedział, że chciałem i ciebie w to uwikłać, bez względu na to, czy ci się to spodoba, czy nie. Rozumiesz. Żebyś musiał bronić sam siebie, gdyż przy okazji bronilibyś także i mnie. – Zawahał się. Znowu był niespokojny, ale tym razem z innego powodu. – Właśnie to chciałem wiedzieć, Jack. Co załatwiłeś. Co się dzieje, jak wygląda moja sprawa.

– W Szkocji o mały włos, a wszystko byś popsuł.

– Wiem, ale nie zdawałem sobie sprawy... że ta kobieta... że nic mi już z jej strony nie grozi. Ale uratowałeś mnie. A może nas?

Nie je go, nie Harpera, siedzącego tuż obok. Nawet na niego nie spojrzeli; nie odrywał wzroku od Sterna, wpił się, niemal dosłownie, oczyma w jego oczy, i czuł, że tamten zaczyna słabnąć. Mam cię już teraz. Zawsze cię miałem. Znałem twoje tajemnice, a ty bardzo, bardzo się cieszyłeś z tego, że je znałem.

– A jak to było z Voglem, Maxy?

- Mówię ci, wszystko załatwione i wyczyszczone.
- Buhler przyjechał, żeby odnaleźć Vogła, a znalazł ciebie. To był twój kłopot?
- Tak, zgadza się. Ale i to jest już załatwione. Vogel wiedział to co i ty, Jack. W Oświęcimiu była taka kobieta, którą przerwali potem do obozu, gdzie siedział Vogel. Opowiedziała mu o wszystkim. Wiedziałeś o tym?
- Słyszałem.
- Chodziło mu tylko o pieniądze. Zdaje się, że ją poślubił. W każdym razie odnalazł mnie...
- Trzeba było mi powiedzieć, Maxy.
- Po co, kiedy miałem mu tylko dać pieniądze. Ale potem pojawił się ten Buhler. Miał brata w obozie, coś tam było między tamtym a Voglem – nie wiem dokładnie co – w każdym razie Buhler wpadł w końcu na jego trop. To zupełny wariat, mówię ci, Jack. Opowiedział mi, jak go szukał. Miał listy, fotografie, szpargały... Ale już wszystkim się zająłem, już po kłopotcie.
- Tyle że kiedy Vogel odnalazł to miejsce, przyszedł do ciebie, żebyś mu pomógł. A ty zwietrzyłeś szansę i zabiłeś go.
- No...
- Ale pozostały ślady, Maxy.
- Dobra, nie wiedziałem, że ma dzieciaka. Ale zapewniam cię, że to także nie jest już problemem.
- Maxy, tych śladów jest więcej. Na przykład chatka Vogla. Dlaczego o tym nie pomyślałeś? Ciągłe jest na jego nazwisko. Dojdą do tego. Działają powoli, ale w końcu dojdą do tego.
- Pewnie masz rację, Jack, ale to są właśnie rzeczy, które ty potrafisz załatwić. Czy nie mam racji? Potrafisz, na pewno.
- Jeśli chcę...
- Jack...
- To już skończone, Maxy. Wszystko skończone. Nic się już nie da zrobić. – Tak. Tylko co będzie teraz... Oto jest pytanie.
- Nie, posłuchaj. Mam forszę, z tego co tutaj, mówię ci, więcej niż możesz sobie wyobrazić.

Pieniądze. Gdyby tylko tego chciał...

- Długą drogę przebyłeś, Maxy...
- Jack, posłuchaj...

Właśnie, niech prosi. Wszystko już przegrał. Ledwie mógł utrzymać pistolet w dłoni. Potrzebuje ciebie i dobrze o tym wie. Zawsze tak jest z takimi typami. Muszą mieć kogoś, kto dzieliłby z nimi tajemnicę. Nie mają w sobie dość siły. Mógłbyś teraz wstać, podejść i odebrać mu broń. Tylko co potem? Oto jest pytanie.

– Wszystko się da załatwić – ciągnął Stern – mówię ci, bez pudła. Jedyne problem...

Tak. Stern nie był już problemem; Stern był już trupem. Może go zabić, a wtedy pozostanie tylko... Harper. O cóż innego mogłoby chodzić Sternowi? Ale przecież Harper nigdy nie był problemem i nie będzie nim także i teraz, tyle że... W tym właśnie momencie Harper wykonał ruch, a Tannis nawet to dostrzegł. Obaj to dostrzegli: podciągnął nogę – siedział oparty o kamień, gdyby więc chciał poprawić skarpetkę, wystarczyłoby mu wyciągnąć rękę. W oczach Sterna pojawił się na moment błysk, odebrał wzrok od twarzy Tannisa, tylko po to, by zerknąć na karabin, połyskujący w mroku o pięć stóp od nich. Jednakże pistolet w jego dłoni nawet nie drgnął – wciąż był wymierzony w Tannisa, który ze swej strony zrozumiał, co się dzieje, dopiero w chwili, kiedy się to już działo. Ale wtedy było już za późno. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że David będzie miał jeszcze jakąś broń, że w ogóle potrafi się nią posługiwać. Choć przecież nie powinno go to zaskoczyć. Po facecie, który robił filmy o węzłach, o drapieżnych zwierzętach, można się było spodziewać, że potrafi odróżnić kolbę od lufy i że wysiadując często w kryjówkach czy na gałęziach nauczył się, jak nosić przy sobie niewielką pukawkę tak, by nie sprawiało mu to żadnych kłopotów. W każdym razie dopiero w ostatniej chwili Tannis zobaczył, co Harper przywiązał sobie do nogi: małe, tani rewolwer, który dała mu Marianna. I nawet zrobił ruch, aby go powstrzymać, ale był za daleko, zresztą nawet gdyby był bliżej, nic by to nie zmieniło. Kiedy bowiem Harper sięgnął po broń, Stern odwrócił wzrok w jego stronę i nie patrząc na Tannisa, odruchowo nacisnął spust. Oba strzały, Sterna i Harpera, rozległy się tuż po sobie, echo powtórzyło je wielokrotnie. Tannis

ryknął z bólu i słysząc swój krzyk, dobiegający jakby gdzieś z oddali, czuł, jak nogi się pod nim uginają, i widział, jak Stern zgina się w pół. A potem, już leżąc, przetoczył się z boku na bok, podczas gdy Stern przepadł gdzieś w mroku pod rusztowaniem. Rozciągnięty na ziemi, drżący, porażony bólem, Tannis kurczowo łapał oddech – to minie, to minie zaraz – a po chwili dojrzał niewyraźnie Sterna kuśtykającego w kierunku tunelu. Na moment stracił chyba przytomność, a potem bezradnie już tylko usiłował wyszeptać: „Stój, poczekaj, zaraz” patrząc na Harpera, który klęczał i starannie mierzył w kierunku Sterna. Synu, to może nierozsądne. Huknął strzał, zaraz po nim drugi. I ostatni straszliwy krzyk – co za dźwięk! – nie do zapomnienia. Wrzask, nie żadne słowa, nie śmiech, nic z tego, co odróżnia człowieka od zwierzęcia, ryk, w którym słycać było nie ból, lecz pewność, że się umiera. Tak to się kończy. Ten wielki mózg, pełen równań, faktów, punktów topnienia, liczb atomowych, współczynników rozszerzalności, widm, długości fal, problemów, metod, definicji, ostatecznie niczym nie różnił się od nerki czy wątroby, nie był od nich w niczym lepszy, jedno wielkie gówno! Tak! Rycz, drzyj się, wywal z siebie bebechy! Jedno wielkie gówno!... A może to on sam wrzeszczał, choć wbił zęby w rękę, żeby powstrzymać krzyk bólu, bólu, który wycisnął mu pot na czoło i sprawił, że oczy wyszły mu na wierzch. Leżał wsłuchany w okropną ciszę, wciąż jeszcze jednak myśląc. Jeszcze wszystko można odwrócić, jeszcze nic nie zostało przegrane. O tak, to zupełnie proste. I nagle ziemia zadrżała, rozległ się straszliwy huk, wybuch tak potężny, że przekreślił Tannisa na plecy. Stern, jak się okazało, nie blefował, rzeczywiście były tu miny. Tannis zasłonił głowę rękami, bo dokoła niego posypały się kamienie, a za nimi napłynęła chmura duszącego kurzu. A w chwili później wyłoniła się z niej twarz Harpera, napięta, widmowa, ale dobrze widoczna. Był tuż obok. I jeszcze coś. Ręce miał puste. Horror w tunelu okazał się czymś ponad jego siły. Nie miał broni.

Rozdział 19

Kurz był okropny.

Tannis patrzył, jak się kłębi, wybrzusza w podmuchu eksplozji, wielką falą rozchodzą się po jaskini, a potem wznosi ku sklepieniu wirującym słupem.

Leżał na plecach i patrząc w górę, przez chwilę nic zupełnie nie widział. Żwir kłuł go w oczy, w ustach czuł smak kamiennego pyłu, każdy oddech wywoływał odruch kaszlu. Odwrócił głowę na bok, ale w tej właśnie chwili kurz zaczął gęstnieć. Wydawało się, że napływa zewsząd. Zniknęły wszystkie światła; pył przesłonił wszystko jak dym, wyglądało to jakby jaskinia zmieniła się w kocioł parowy lub komin.

A przecież leżąc w środku tego wszystkiego, Tannis odczuwał satysfakcję: dopiął swego, znowu był wolny od wszystkich kłopotów, a fakt, że całą sprawę załatwił w końcu Harper, był wręcz wspaniałą pointą. Biedny Harper. Pozostał już tylko jeden krok. A potem wszystko będzie załatwione, wszystko. Chmura kurzu nie rzedła, więc znowu przyklnął oczy. Palce mocno ścisnęły broń – tak, mimo bólu udało mu się ją wymacać – a on rozważał, co ma teraz zrobić. Była to jedna z tych spraw, których nie wolno spartaczyć; nie chciał wyjść na durnia. Najpierw zestrzeli lampę na końcu jaskini. Raz. Potem wypali w powietrze, ot tak sobie. Dwa. Następnie, żeby ośmielić Harpera, strzeli jeszcze trzeci, czwarty, piąty raz. Starczy? Powiedzmy, sześć razy. Właśnie tak, znakomicie. Będzie w tym coś

niemal poetyckiego, pozostanie mu dokładnie tyle, ile potrzeba, sympatyczny, siódmy nabój pistoletu automatycznego kaliber .45, stanowiącego własność rządu USA.

Wszystko załatwione...

Jeszcze tylko jedno. To był właśnie kłopot. Wiedział o tym. Czyż nie wiedział tego od samego początku? Prawdziwe zakończenie, misterne domknięcie koła, które sprawia, że myślisz: A co będzie potem?

Ale jeszcze nie teraz. Nie teraz, pomyślał, co było najlepszym dowodem, że nadal ciągle myśli.

Ale dlaczego nie?

Dlaczego niby nie teraz?

Odpowiedź wymknęła mu się jednak, a wraz z nią na chwilę odplynęło pytanie. (Ale czy w ogóle zapomina się o czymkolwiek? Może to tylko czekanie na moment, w którym to, co odplynęło, powróci?)

Jednak nie teraz. Nie w tej chwili. Powoli, ostrożnie obrócił się na bok. Ból nogi nie był zbyt ważny, jednakże doskwierał. Tak czy inaczej, czuł go. Dopóki czujesz, powiadają, dopóty nie umarłeś. No i nareszcie trochę światła. Leżąc na plecach wpatrywał się w pustkę nad sobą, nic więc dziwnego, że nic nie widział. Aha, przypomniał sobie, Harper poszedł po lampę kolebiącą się na resztkach rusztowania, daleko, przy końcu groty. Teraz pył przestał być czarny; kłębił się i wirował mieniąc się różnymi odcieniami srebra i szarości. Uśmiechnął się. Tak, to najpewniej arsenopiryty. Zamknął oczy. Noga pulsowała bólem, ale nie było tak źle. Znacznie gorszy był ten okropny posmak w ustach; zaczął odpluwać, by się go pozbyć. Jezus Maria. Ledwie mógł oddychać. Patrzył na Harpera, który stąd wydawał się cieniem. Lampa wisiała wysoko na rusztowaniu, on zaś próbował zdjąć ją stamtąd. Potem wróci tutaj. Mocniej ścisnął kolbę. Jeden nabój, więcej nie trzeba. A potem będzie po wszystkim. Wszystko załatwione. Tak, dobrze o tym wiedział, ale myśl znowu popłynęła w innym kierunku. Przypomniał sobie... Obraz był bardzo niewyraźny, choć wiedział dokładnie, o co chodziło: ciemność, niewygodne położenie, rewolwer, to wszystko przywracało tamtą chwilę. Drugi grudnia, 1943. A może trzeci? Kto to wie? Żaden z nich nie prowadził pamiętników. Była to noc przed pierwszym prawdziwym testem w China Lake i ilekroć to sobie

przypominał, dziwił się, dlaczego udawał wówczas, że śpi. Niby nic szczególnego, ale zawsze go to dziwiło. Nie mógł zasnąć, przewracał się w śpiworze, ale kiedy usłyszał, że go wołają, zamknął oczy i udawał śpiącego. Tyle lat, a pamiętał tak dobrze. Przywiozły ich samochody i ciężarówki CalTech i dołączyli do zasadniczego zespołu. Emory Ellis, Burnham Davis, Calvin Mathieu. Ci byli najważniejsi. Pamiętał ich wszystkich. Najbardziej lubił Ellisa. Okularnik o pociągłej twarzy. Chemik. Był specjalistą od bakterii, tak, na pewno. Pochodził ze Środkowego Zachodu, z Illinois, a pracował dla jakichś firm spożywczych. Najważniejsze jednak, że potrafił wszystko; znakomicie, na przykład, prowadził wozy po pustyni. Tak, tak... umiał rozwiązywać wszelkie praktyczne problemy – cecha na wagę złota w China Lake. W gruncie rzeczy uratował całą imprezę, gdyż zabrał ze sobą pistolet, co okazało się faktem niezwyklej wagi. Kiedy dotarli na miejsce z czterdziestoma rakietami 3,5-calowymi, wyszło na jaw, że nie ma dla nich żadnego zabezpieczenia, najmniejszej choćby szopy. Szczerze mówiąc, ani jeden budynek w bazie nie był wtedy porządnie wykończony. Przez całe zresztą lata nic się pod tym względem nie zmieniło; zawsze się tam budowało. Owej nocy było strasznie zimno. Na tej pieprzonej pustyni jaja ci zamarzały. Rozłożyli śpiwory w budyneczku bez okien i drzwi – ktoś usiłował uszczelnić wejście fragmentami skrzyń – i oczywiście nie mogli zasnąć. Także Tannis. Było mu zbyt zimno. Był zbyt podniecony. Wpadli na pomysł, że będą kolejno pełnili wartę, przekazując jeden drugiemu pistolet Ellisa – Jezu, jedna jedyna spluwa w bazie wojskowej, dzięki której ni mniej, ni więcej Japończycy mieli przegrać wojnę – no i właśnie kiedy nadeszła jego kolej i posłyszał szept „Hej, Jack”, udał, że śpi. I teraz, leżąc w tym pyle, przypomniał sobie właśnie to, jak leżał zakopany w śpiworze – z zakrytą głową, ręce wciśnięte między uda – starając się chronić ciepło i udając, że śpi. Dlaczego? Czemu to było takie ważne? Nie spał, nie zdrzemnął się nawet na chwilę, leżał i przysłuchiwał się cichej rozmowie; ktoś wziął radio – ciągle jeszcze słyszał gwizdy i szumy – podawali wiadomości, walki we Włoszech – jak tam musiało być zimno! – ale kiedy tylko usłyszał swoje imię, zamknął oczy. Symulowany sen. Dlaczego to było takie ważne? Wiedział, że nie śpi, tamci nie wiedzieli – czy o to chodziło?

– Tannis?

Harper. Nagle pojawił się tuż obok, z lampą.

– Jak się czujesz?

W mroku nad Tannisem kołysało się światło, twarz Harpera to pojawiała się, to znikwała. Czy ten facet rozumiał cokolwiek? Czy domyślał się chociaż trochę, co się tu dzieje? Co nastąpi?

– Poszukaj czegoś... – usłyszał Tannis swój głos – znajdź jakiś kawałek drewna albo coś takiego. Chcę wstać.

– Nie ruszaj się. Potrzebny ci jest lekarz.

Z pewnością, cokolwiek się zdarzy, przyjdzie potem także kolej na lekarza.

– Lepiej się poczuje, jak stanę. Znajdź coś...

Ścisnął mocniej broń. Tak, odnalazł ją w ciemności i teraz czuł jej ciężar w dłoni. Harper zniknął, a po chwili pojawił się z krótkim szpadlem w ręku. Świetnie. Podniósł się. Ból w nodze odczuwał teraz inaczej. Od kolana w dół było cierpienie, w górę – nie tak źle. Tamten pomógł mu. Pokuśtykali parę kroków i dotarli do jednej z kamiennych stert. Tannis oparł się o nią. Póллеżąc teraz, odetchnął głęboko.

– Według tej twojej mapy nie ma żadnego innego wyjścia?

– Nie.

Ale było. Musiało być. Czuł na policzku leciutki powiew. Zmrużył oczy, usiłując dostrzec coś poprzez kłęby pyłu, lecz nawet z płonąca lampą było zbyt ciemno. Wszystko jedno, na pewno jest. Znajdzie je. I pewnie myślał także o tym, kiedy wyciągał papierosy i wierną zapalniczkę.

– Muszę coś zrobić z dziewczynką – odezwał się Harper.

Tannis zakaszłał, splunął i pomyślał, że dobrze byłoby napić się wody.

– To dziecko tej kobiety Vogla?

– Ania.

– Gdzie ona jest?

– W tym pomieszczeniu, w skale.

Tannis skinął głową.

– Jak uważasz. Mną się nie przejmuj, idź po nią, jeśli chcesz. Ale może lepiej zaczekać, aż to wszystko opadnie.

Harper zastanawiał się. Tannis przyglądał mu się, spluwając od czasu

do czasu. Przyglądał się uważnie Harperowi. Duży facet, niemal taki jak on. No, ale ty masz spluwę, a on swoją gdzieś posiał. Dziwiło go to jednak, że Harper jest taki wysoki. Zapomniał o tym jakoś, może dlatego, że budził w nim niesmak, niechęć? Oczywiście, był wtedy taki młody. Młody geniusz. Przypomniała mu się żona Harpera. Cóż, wszyscy popełniamy pomyłki. Zmienił się jednak. Koniec końców dobrze się stało, że ma spluwę. Harper nie był co prawda twardzielem, ale okazał się twardszy, niż na to wyglądał. Pewnie nie będzie potulny jak baranek. I był oczywiście sprytny; łatwowierny geniusz. Wymagało to wiele sprytu, żeby tu dotrzeć. Teraz on także miał już wszystkie odpowiedzi. Vogel, Buhler. Buhler pociągnął za sznurek i mechanizm ruszył. O to chodzi. Ciągnąc sznurki. Wszyscy podobnie robimy. Tak dobrze to widać w twarzy Harpera. Natura, synu, Kły i Pazury. Nikt nie lubi strzelać do starego psa. Miał w twarzy strach czy gniew? Ani jedno, ani drugie. Po prostu wiedział. O wszystkim. Czemu o tym w ogóle nie mówił?

- Więc wiesz już wszystko. O mnie też.
- Chyba już wcześniej wiedziałem. Stern wykradł Sidewindera, ale nie sam.
- Doszedłeś do tego?
- Z grubsza.
- Ciekawe... Musiałeś dojść z zupełnie innej strony. Wychodząc od tego, co mniej ważne, od siebie.
- Ale to była także moja przewaga. Bo wiedziałem, że to nie ja. Z kolei ani Stern nie znał mnie, ani ja jego. A przecież jakoś zostałem w to wplątany. To, że Rosjanie mają Sidewindera, musiało wyjść na jaw, potrzebny był więc kozioł ofiarny – wszystkim z tym było wygodnie – i wybór padł na mnie. Ale to nie Stern wybrał. Ktoś inny. Przez jakiś czas myślałem o swojej żonie. Ktokolwiek bowiem to był, musiał dobrze mnie znać, wiedzieć, jak zareaguję. Co zrobię w tej sytuacji. Ale, oczywiście, to nie ona, prawda?

No, no, pomyślał Tannis, rzeczywiście odgadł wszystko, podobnie jak w końcu i ona. Wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumiała, nie tylko to z dzieciakiem, ale wszystko. I właśnie w ten sposób go zdradziła. Zresztą nie tylko w ten. Należy przebaczyć i zapomnieć, co było, to było, i nie

chcesz chyba przecież, by wiedział naprawdę o wszystkim? Nigdy nic nie wiadomo, to w ogóle nie kosztuje, zatrzymaj coś w rezerwie. No i jeszcze szczeniak; lepiej w ogóle tego nie ruszać. Powiedział więc:

– Nie pamiętasz już? Twoja żona nic z tym nie miała wspólnego... tyle tylko, że w tym liściku napisałem, iż rżnie się z jakimś Meksykaninem czy kimkolwiek. Jak ci się zdaje, pieprzyła się? Diabli wiedzą, może i tak, ale w każdym razie nie ze mną. Musiałem tylko wyciągnąć cię na pustynię. A potem trzeba było tylko tak to zorganizować, żeby Ruscy pojawili się w tym samym miejscu, jakby to było umówione spotkanie. Nie możesz mieć do niej żadnej pretensji.

Patrzył, jak Harper namyśla się, przetrawia. W końcu kiwnął głową.

– Ale ciągle nie rozumiem jednej rzeczy – powiedział. – Musiałeś mieć jakiegoś haka na Sterna.

– Pewnie. Pechowy skurwysyn. To się zdarza. Wysłał do Oświęcimia młodą Żydówkę, a w Chicago pełno było jej ciotek i wujów.

– Jasne. To Stern. Ale czy Rosjanie mieli jakiegoś haka na ciebie?

– Nie wygłupiaj się. Nikt nigdy nie miał na mnie żadnego haka. – Skrzywił się. – Myślisz może, że byłem jakimś pieprzonym komuchem?

– Nie, to mi nigdy nie przyszło do głowy. Ale jeśli tak... to dlaczego to zrobiłeś?

Tannis uśmiechnął się. No więc, wreszcie... Czemu nie teraz? Jedno teraz, po nim drugie, a potem jeszcze następne... Ale zapytał:

– Naprawdę nie wiesz dlaczego?

– Skąd mogę wiedzieć? To twoja największa tajemnica?

– Może są jeszcze inne.

– Ale ta musi być najważniejsza, jedyna, która naprawdę się liczy. Gdyby ktoś się dowiedział...

O co mu chodziło? Dlaczego nie uciekał? Tannis czuł, jak jego palec przywiera do spustu. Mocniej. Mocniej. A jednak nie nacisnął... Jeszcze nie. Poczekał chwilę. Przechylił się bardziej do tyłu i poczuł, jak przepływa przezeń fala bólu (to tylko mózg, cholerny mózg).

– Naprawdę chciałbyś wiedzieć? – zapytał.

– Tak – powiedział Harper. Usłyszał jednak coś innego, niż oczekiwał.

– Widzisz, myślę teraz o czymś, przypominam sobie ten dzień, kiedy się tutaj zjawilem po raz pierwszy.

– Kiedy to było?

– Na długo zanim powstała baza. Żadnych samolotów, tylko jastrzębie i sępy. Byłem jeszcze szczeniakiem. Mój ojciec był szulerem, mówiłem ci to już kiedyś?

– Nie, nigdy.

– No więc był. Szukał także złota – Jezu, co by on dał, żeby chociaż zobaczyć takie miejsce jak tutaj. Ale w gruncie rzeczy kopanie i hazard to jedno i to samo. W każdym razie... – Gwałtownie zakaszał, a w ustach znowu poczuł ten okropny smak. Mówił jednak dalej, mógł słyszeć swój głos. – W Las Vegas wygrał w pokera starą ciężarówkę, choć pewnie wtedy nie wydawała się taka. Mack bulldog, czterdzieści koni, wielkie gumowe opony, chłodnica za silnikiem. Wpadł na pomysł, żeby sprzedać ją w Los Angeles. Wziął mnie ze sobą. Pojechaliśmy przez Dolinę Śmierci, a w tamtych czasach rzeczywiście można było to przyplacić życiem. Mieliliśmy dwie beczułki wody, spaliliśmy na budzie. Ale potem, gdzieś tutaj, grat wysiadł. Nie pamiętam, jaka była droga, jakoś utwardzona czy po prostu jechało się po piasku. W każdym razie tutaj się rozkraczyliśmy i nic nie dało się zrobić.

– Gdzieś niedaleko stąd?

Tak, znowu prawie całkiem wyraźnie zobaczył ojca. Choć tak naprawdę nie był to jego ojciec. Mniejsza z tym. Strasznie się wściekał, bo byli już niemal u celu. Trzeba będzie pójść piechotą, warknął, choć Tannis dobrze wiedział, że właśnie tego nie należy robić, powinno się pozostać przy samochodzie. Od czasu do czasu widziało się przy drodze znaki z taką informacją. Tak czy inaczej ruszyli przed siebie i szczęście niemal natychmiast uśmiechnęło się do nich. Jeszcze było widać ich ciężarówkę, kiedy dostrzegli samochód czy rodzaj pikapa, jakieś pół mili od drogi. Wydawało się to dziwne, że ktoś rozmyślnie zjechał w pustynię, by sobie tam stanąć – Tannis zauważył, że ojciec sięgnął do kieszeni bluzy, gdzie trzymał rewolwer – jednakże ruszyli w tamtym kierunku, trzymając się śladów odcisniętych przez opony. Z bliska pojazd wydawał się jeszcze dziwniejszy: normalny czarny sedan, ale z jakimiś skrzydełkami czy

podpórkami, obciążniętymi płótnem metalowymi ramkami, które sterczały z boków i z tyłu samochodu, tworząc trzy kręgi cienia na piasku. Za samochodem, osłonięci w ten sposób przed słońcem, dwaj mężczyźni i jedna kobieta mocowali wielki, sześcienny aparat na drewnianym trójnożu.

– No więc byli to chyba fotografowie z Los Angeles, tak, powiedzieli, że są z Glendale. Przedstawili się... cholera, tak bym chciał przypomnieć sobie ich imiona. Starszy miał jakieś czterdzieści lat, gęste jasne włosy, a chłopak – jego syn – mógł mieć ze dwadzieścia. Ale to dziewczyna przyciągała przede wszystkim uwagę.

Pamiętał ją, jakby to było wczoraj. Wysoka, ciemna blondynka, ubrana w indiańską skórzaną bluzę z frędzlami, szare spodnie i wysokie wojskowe buty. Nie była starsza od chłopaka, ale najwyraźniej łączyło ją coś z jego ojcem. Tannis wiedział o tym od samego początku, nawet jeśli nie rozumiał tego, co wie. Może wyczuła jego zakłopotanie, w każdym razie z całej trójki tylko ona zwróciła na niego uwagę i z przyjaznym uśmiechem podała mu rękę, chłodną i zadziwiająco szorstką.

– Wiesz, to była chyba pierwsza piękna kobieta, jaką zobaczyłem. Albo przynajmniej pierwsza kobieta, która wydała mi się piękna. Rozumiesz chyba, o co mi chodzi.

– No i co było dalej?

– Co było dalej? Czy ja wiem, niewiele więcej. Załadowali aparat na samochód i pojechaliśmy do naszej ciężarówki.

To było jak sen. Wciśnięty na tylnym siedzeniu między swojego ojca i chłopaka, patrzył na złociste włosy wijące się na karku dziewczyny i czuł promieniejące od niej ciepło. Jak sen, naprawdę. Dziewczyna, dziwny czarny samochód, słońce znikające i pojawiające się na przemian, niezwykle sprzęty piętzące się za nim. Także i potem, kiedy dotarli do ciężarówki, wypadki potoczyły się jak we śnie.

Ten starszy był wściekły, tracił najlepsze światło, ale co miał robić, musiał nam pomóc. Dziewczyna całowała go i przymilała się, żeby go udobruchać, a potem chłopak i mój ojciec pojechali ich autem, żeby znaleźć jakiś garaż. I zostało nas tylko troje.

W ostatniej chwili dziewczyna wyjęła aparat, żeby, jak powiedziała, było więcej miejsca. I po chwili stali w środku pustyni, w wietrze i pyle,

on, złociста dziewczyna i ten mężczyzna. Samochód znikł im już z oczu. I nagle Tannis doznał uczucia, że coś się w nim kurczy, zapada. Nie był to wcale strach, nic związanego z tym, że ojciec go zostawił. Może chodziło częściowo o to, że tamci byli tacy bogaci, on zaś był biedny, w każdym razie poczuł się strasznie mały. Nachmurzył się. Biedna dziewczyna. Teraz miała obok siebie dwóch ponuraków. Tamten facet był może i nie nadąsany, ale w każdym razie wyraźnie poirytowany. Usiłowała go jakoś rozweselić. Posłuchaj, powiedziała, nie stójmy tak, zrobmy coś, może sfotografujemy się. Ale on pokręcił głową: miał już niewiele filmów, a poza tym ona chyba wie, ile kosztuje każda klisza? Dwadzieścia siedem centów, oznajmił i powtórzył podniesionym głosem: dwadzieścia siedem centów. Wtedy nazwała go smutasem, a kiedy spojrział na nią gniewnie, wystawiła język, potem zaś – Tannis ledwie wierzył własnym oczom – z rękami w kieszeniach zaczęła krążyć wokół niego skacząc w górę i opadając, wciąż skacząc i opadając, i wzbijając przy tym tumany kurzu. Tamten splótł tylko ręce na piersi, powiedział: „Kochanie, zawsze jesteś taka czarująca” i odszedł ku ciężarówce w poszukiwaniu cienia.

Teraz odwróciła się do Tannisa. Uśmiechnęła się życzliwie i nachyliła nad nim, a wtedy – była o tyle wyższa od niego – złote włosy opadły jej na oczy. Odrzuciła je ruchem głowy i przysunęła się jeszcze bliżej, tak że poczuł na policzku jej ciepły, pachnący oddech.

Ale ten uśmiech mu się nie podobał, nie chciał, by tak się do niego uśmiechała. I chyba to wyczuła, bo jej twarz natychmiast spowaźniała.

Czy wie, co to fotografia? – spytała.

Kiwnął głową, gdyż rzeczywiście czytał gdzieś artykuł, jak zrobić aparat fotograficzny z pudełka po butach.

A czy ktoś robił mu kiedyś zdjęcie?

Nie.

A czy chciałby, żeby mu zrobiono?

Nie.

Dlaczego?

Strasznie chciał powiedzieć „Tak”, żeby zrobić jej przyjemność, ale nie mógł. Ciągłe ten uśmiech, zbyt grzeczny, zbyt, przymilny. Może zresztą odgadł, o co jej chodziło. Jakże zabawnie wyglądałby trzynastolatek w

starej tweedowej marynarce, obwisłych spodniach i płaskiej czapce, siedzący z triumfalną miną na masce ciężarówki albo na klapie, ze zwieszonymi z niej nogami i twarzą zwróconą ku obiektywowi. Tego nie chciał. Jej piękne szare oczy usiłowały odnaleźć jego spojrzenie, ale odwrócił wzrok, z zaciętą twarzą i ściśniętym sercem. Bronił się zapamiętałe, przypominało to ostatni opór dziewicy. W końcu jednak udało mu się wydobyć z siebie:

- Naprawdę chce pani zdjęcie?
- Tak. Twoje.

Znowu pokręcił głową, ale zaraz powiedział:

- Pokażę pani, gdzie można zrobić naprawdę piękne zdjęcia.
- Gdzie?
- Tam.

Wyciągnął rękę w kierunku odległego kanionu, niczego innego bowiem nie było w zasięgu wzroku.

- A co tam jest?
- Musi pani sama zobaczyć.
- Powiedz mi.

Ale, oczywiście, nie powiedział, bo nie miał najmniejszego pojęcia, co w ogóle mogą tam znaleźć. Nawet teraz, wspominając tę scenę, Tannis nie potrafił sobie uprzytomnić, co właściwie zamierzał: uciec, wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, nabrać ją... byle tylko jeszcze chwilę pozostać blisko niej. Dostrzegła jego niepewność.

- No powiedz, co tam jest?

W nim jednak obudził się upór, twardy chłopięcy upór; potrząsając głową zobaczył, że coś się także zmieniło w dziewczynie: znudziła ją nagle ta mała gra, żar i monotony pejzaż pustyni stały się znowu trudne do zniesienia. Raptownie wyprostowała się, odwróciła i wcisnąwszy ręce w kieszenie spodni, utkwiała wzrok w pustej drodze.

Lecz ona również nie mogła tak po prostu ustąpić. Zakręciła się więc na obcasie i spytała:

- Tam?
- Pokażę pani.
- Ale co chciałeś jej pokazać? – usłyszał głos Harpera. – Byłeś tam

już kiedyś przedtem?

– Przecież ci już mówiłem, że byłem w ogóle po raz pierwszy w tej części kraju. Ale uwierzyła mi, to najważniejsze. Nigdy nie potrafiłem tego do końca zrozumieć: może droczyła się z tamtym, chciała go zirytować. Nie, do cholery, naprawdę nie wiem. Zresztą wszystko potoczyło się tak szybko. Zakręciła się i już miała w rękę aparat, a ja niosłem statyw.

Boże, jaki był ciężki, wrzynał mu się w barki niczym ostrze noża, ale, oczywiście, nie mógł tego pokazać po sobie. Poszli przez piasek, ona na przedzie, on o dwa kroki z tyłu. Słyszał oszalały łomot swego serca. Szedł donikąd. Nie miał pojęcia, dokąd zmierzają. Zaledwie uszli jakieś dziesięć jardów, ogarnęła go rozpacz. Jeśli nie znajdziemy niczego takiego, żeby mogła zrobić zdjęcie, pomyślał, umrę tam, na miejscu, ale już w następnym momencie wiedział, że nie umrze, lecz będzie cierpiał, i to strasznie; ta piekąca rana, która w końcu się zablizni, nigdy już nie przestanie boleć. Był zatem zrozpaczony i pewnie dlatego mógł dźwigać trójnog. Po dziesięciu minutach ociekał potem i utykał, ale kiedy po następnych dziesięciu obejrzał się, ciężarówka stała się już tylko malutkim punkcikiem. Co do dziewczyny, szła lekkim krokiem, jej wojskowe buty zostawiały na piasku wyraźne odciski i tylko raz się obejrzała, odgarniając z policzków włosy i uśmiechając się do niego zachęcająco. Wreszcie dotarli do koryta wyschniętego potoku, łagodnie przechodzącego w pustynię. Oboje byli wyczerpani i jak na dany sygnał osunęli się obok jakichś kilku kamieni, dziewczyna pochylona do przodu, z głową między kolanami, rękami wyciągniętymi wzdłuż nóg. Tannis przypatrywał się jej ukradkiem. Przyglądał się, jak złote pasemko włosów opada jej ku czołu. Jak złocista skóra napina się na kościach przegubów. Jak kropelki potu połyskują w kącikach jej oczu. Nigdy dotąd nie patrzył tak na kobiece ciało – przez moment, krótki jak trwanie na szybkiej kropelki deszczu, zanim spłynie w dół i zniknie na zawsze, poczuł... – i w jednej chwili zakochał się. I kiedy podniosła na niego wzrok, nie odwrócił oczu.

– Jak tam, w porządku? – uśmiechnęła się.

Skinął głową.

– Zamieńmy się.

– Nie trzeba.

– Wiem. Ale na pewno bolą cię barki, a mnie niemal odpadają już ramiona.

Był wstrząśnięty; to wszystko, ich dwoje koło siebie, nie rozwiało się jak dym. A potem, spostrzegłszy, w którą stronę pobiegł jej wzrok, odwrócił się i zobaczył tamtego mężczyznę: stał koło ciężarówki i z pewnością patrzył w ich kierunku. Natychmiast zerwali się i ruszyli dalej, a Tannis czuł teraz na plecach palące spojrzenie tamtego. Koryto wyschłego strumienia, pełne piasku i kamieni, zwężało się stopniowo, a jego coraz bardziej strome brzegi porastały karłowate meskity. Szli jeszcze kwadrans, aż w końcu dotarli do kanionu. Niczym nie wyróżniał się spośród setek innych; ściany wznoszące się na jakieś dwieście stóp, widok ładny, ale z pewnością nie imponujący. Ledwie jednak znaleźli się w nim, Jack poczuł, że skały przyjaznym kręgiem otaczają go, przyjmują jak kogoś swojego i wtedy zobaczył to, co chciał zobaczyć; zatrzymał się jak wryty, i serce także mu stanęło. „Zaczekaj” syknął do dziewczyny tonem, w którym zabrzmiała taka pewność siebie, że usłuchała natychmiast. To, co zobaczył, nie było właściwie niczym nadzwyczajnym. W pewnym miejscu tylna ściana kanionu pokruszyła się i powstały w ten sposób wielki stos kamieni utworzył strukturę, którą geologowie nazywają talusem. Jedną rzeczą godną uwagi był rodzaj skały, głazy miały bowiem jednolity ciemny kolor, charakterystyczny dla skały wulkanicznej o nazwie andezyt. Czy znał ją? Widział ją wcześniej? Może ojciec mu pokazywał? Niewykluczone, choć teraz nie miało to żadnego znaczenia. Tannis natychmiast ruszył w tamtym kierunku, ciągnąc za sobą po piachu olbrzymi aparat. Dziewczyna poszła za nim; przez lukę między meskitami zobaczyła tamtego, jak brnie pospiesznie w ich kierunku. Dogoniła Jacka i w chwilę później stali przy pierwszym z ciemnych kamieni. Usłyszał swój głos:

- Jak blisko musi pani podejść?
- A o co ci chodzi? O te skały?
- Zobacz pani.
- Ale co takiego?
- Niech pani tylko wyceluje w kierunku tych kamieni i będzie gotowa.

Podczas kiedy ona szarpała się z aparatem i statywem, Jack spojrzał

dookoła i zaczął zbierać kamyczki. Po chwili miał już ich pełną garść; poruszał się niemal leniwie, z taką pewnością siebie, jakby czas, jakim dysponował, był nieograniczony, a to miejsce było jedynym miejscem na świecie, w którym pragnął przebywać. Potem stanął, luźny, odprężony, patrzył na dziewczynę i czekał. Teraz bowiem wiedział już, że nie przegra, nie umrze, będzie żył wiecznie. Coś z tej jego pewności musiało się jej udzielić, gdyż pracowała szybko, o nic nie pytając, a kiedy skończyła, zrobiła leciutki ruch głową. Popatrzył w kierunku kamieni, tak ciemnych, że magazynowały w sobie ciepło pustynnego dnia, co sprawiało, że nocna mgła skraplała się na nich, tworząc w załamaniach malutkie kałuże. Ręka zakreśliła łuk i kamyki pofrunęły, jak tamten, który zabił Goliata, a kiedy opadły, skała wybuchła roztrzepotaną białą chmurą setek, tysięcy motyli, perłowośnieźnych skrzydełek, które zawisły w górze jak tumany śniegu nad pustynią. Nie usłyszał wprawdzie trzasku wyzwalacza, dobiegł go za to zdławiony okrzyk dziewczyny:

– Jack!...

Twarz jej promieniała, była piękniejsza niż wszystko, co dotąd widział.

– O Boże...

Rozedrgany obłok wciąż jeszcze wisiał w górze.

– Jack...

– Powiedziałem ci przecież. – Drżał na całym ciele i ledwie mógł się utrzymać na nogach.

– Słuchaj... Czy one znowu usiądą? Mógłbyś zrobić to jeszcze raz? Muszę zmienić czas naświetlania. O Boże, jakie to piękne.

Nie potrafił spojrzeć jej w oczy, odwrócił się zatem i jego wzrok pobiegł ku mężczyźnie, który był już zupełnie blisko – widział wyraźnie jego twarz. Czekał. Chciał, żeby i on zobaczył. Powoli uzupełnił ładunek kamyków, a kiedy tamten znalazł się już niemal przy nich, odchylił ramię, zanim jednak rzucił, odwrócił głowę w stronę dziewczyny i wyszeptał:

– Kochasz go?

Szept był tak cichy – skierował to pytanie głównie do siebie samego – że prawdopodobnie w ogóle go nie usłyszała; oto kolejna z rzeczy, których już nigdy się nie dowie. A jednak spojrzała w jego stronę i być może miała coś powiedzieć, zanim jednak zdążyła złamać mu serce lub je

ukraść, kamienie furknęły w powietrzu i znowu dokonał się cud.

- Dlatego. Rozumiesz?
- Odpocznij teraz.

Czemu nie uciekał? Czy naprawdę nie rozumiał, co teraz nastąpi? Doprawdy, wyglądało to tak, jakby uznał, że wszystko i tak już skończone i nic nie jest ważne. Teraz. Ta chwila, a potem następna. Ale co dalej? Może to zrobić. Wszystko się jakoś załatwi. Harper nie miał żadnej szansy. Co jednak potem? Oto i problem, problem, który istniał zawsze. I wpatrując się w mrok w twarz Harpera, odgadł, że tamten wie.

- Zrozumiałeś.
- Tak. Motyle.

Motyle. Opowiedział mu o tym?

– Chciałeś wiedzieć, dlaczego to zrobiłem. Bo mogłem. I mogę. Mogę wszystko. Wszystko...

- Poczekaj, spokojnie.

Tak, umysł pracował do samego końca, ale coś usiłowało się wyśliznąć. Próbował myśleć o wszystkim, co jeszcze pamiętał. Przypomniał sobie, że kiedyś śniły mu się trzy drzewka Jozuego, dające znaki ze wzgórza: sen tak żywy, wyrazisty, że kiedy się obudził, był przekonany o jego prawdziwości i wiele dni spędził na poszukiwaniu wysnionych drzew. Myślał o tym przez chwilę, a potem przestał i zaczął myśleć o czymś innym. Chciał przypomnieć sobie wszystko naraz. Dlaczego nie można pamiętać jednocześnie wszystkiego? Przypominał sobie, że... Zaułki pamięci... Chodzić, gwizdząc, po zaułkach pamięci... Odbył daleką wyprawę, a kiedy z niej powrócił spytał:

- Harper, dlaczego nie próbujesz odnaleźć swojej spluwy?
- Co by to dało?
- Twój ruch. Próbuj. Skocz na mnie. Masz szansę. Daję ci słowo honoru, że jest już tylko jeden nabój. Więc jeśli spudłuję...

Rznął kiedyś dziewczynę na tym, co Angole nazywają plażą; kamienie drobniutkie jak żwir, a kiedy ją przeleciał, zobaczył małe okruchy wciśnięte w białe udo i strącił je jednym ruchem dłoni... Kredowobłękite pustynne niebo, jak spłowiełe dzinsy opinające ciasno młodą pupcię panienki...

- To nic nie da.

- Dlaczego?
- Jesteś niezniszczalny. Nie zabiłbym cię, nawet gdybym miał tysiąc spluw.

Tannis uśmiechnął się. Cholera. Więc jednak wiedział. A może go nabierał? Albo wiedział od samego początku? Łatwowierny geniusz, kto go wie. Jedno w każdym razie trzeba mu przyznać, odgadł wszystko, wychodząc od drugiego końca, od siebie samego.

– Motyle? Zrozumiałeś? Wiesz, co znaczyły? Siła kobiety, ona wszystko może zmienić, rozumiesz?

- Tak, rozumiem.
- To ja ją miałem, tę siłę. I mam. Ja decyduję.
- Wiem.
- Kutas. Jesteś kutas, Harper.

I Tannis wymierzył ze starego wielkiego colta w głowę Davida Harpera. Ale potem się zastanowił. Co, do cholery. Teraz lub za chwilę. Tylko co dalej? Skurwysyn. Jak my wszyscy, czyż nie?

Odwrócił więc broń i wpatrzył się w luźę, jak tamten Niemiec w czterdziestym piątym. *I nie powiedziałem ci nawet połowy. Są setki rzeczy, o których nigdy się nie dowiesz. Jak choćby...*

Musiał użyć kciuka, ale nacisnął spust lekko i płynnie, tak jak powinno się to zrobić, i nigdy nie usłyszał huku, który porwał go i niósł całymi milami.

Tannis nie żył i w pyle i mroku kopalni Sterna niemal natychmiast zmienił się w widmo. Trudno było w to uwierzyć, zawsze sprawiał wrażenie tak silnego, choć David właściwie od pierwszej chwili wiedział, że tamten jest bez szans. Kula Sterna trafiła go wysoko w pierś i nawet szpital niewiele by tu pomógł. Zdumiewające było to, że potrafił się podnieść wspierając się na szpadlu, choć, z jakiegoś niezrozumiałego dla Davida powodu, powłóczył nogą, jakby to właśnie w nią został ranny – wyglądało na to, że udawał przed samym sobą. I mówił, czy raczej bełkotał. O co mu chodziło? Co chciał powiedzieć? Czy naprawdę zamierzał powiedzieć tak wiele? David wcale nie był tego pewien, chociaż to o motylach i pięknej dziewczynie miało jakiś sens, tak mu się przynajmniej wydawało.

A nawet gdyby to nie było całkiem jasne, całkowicie jednoznaczny był colt. Zalany krwią, poruszający się z trudem Tannis znalazł jeszcze dość siły, by nacisnąć spust. Który z nich miał zginąć? Decyzja należała tylko do *niego* i czyż nie to było najistotniejsze? Tak czy inaczej dokonał wyboru, i było coś symbolicznego w tej ostatniej scenie, gdyż padając przewrócił lampę i David znalazł się w całkowitym mroku.

Nie bał się; jako dziecko nie przepadał za ciemnościami, ale nie lękał się ich. To nie strach odczuwał teraz, lecz dziwną niechęć, czuł ucisk w gardle i nozdrzach, coś nie pozwalało mu zaczerpnąć głębiej powietrza, coś jak wstręt. Martwy Tannis leżał o kilka stóp od niego w tej smolistej czerni; już wkrótce poczuje zapach jego krwi.

A w tunelu był Stern, spoczywał w kałuży swojej posoki, która sączyła się ciepłą strugą, szukając dla siebie drogi w tym strasliwym miejscu. Zgroza, tak, tę odczuwał, ale nie paniczny lęk. Po prostu chciał się stąd jak najszybciej wydostać. To był koniec, życie zostało zduszone w tym upiornym miejscu. W ten czy inny sposób – taki był ostateczny sens – objawiło się okropieństwo historii, która omal go nie zmiażdżyła.

Musiał się stąd wydostać. Ostatni krok, który trzeba było jeszcze zrobić. Wiedział, że nic go teraz nie powstrzyma, że musi tylko zachować spokój. Nie widział nic, nawet siebie samego. Ale był, istniał, i na to mógł liczyć, tak, na to... Pochylił się, zaczął szperać wokoło i niemal od razu natrafił na coś. Metal. Zapalniczka. Stara miedziana zapalniczka. Tannis przypalił od niej papierosa. I kiedy teraz David pokręcił kółkiem, w świetle niepewnego płomyczka dostrzegł nie tylko lampę, ale coś więcej: ruch powietrza. Tak mu się przynajmniej wydawało. Ruszył w tę stronę; i tak zresztą zamierzał pójść w tym kierunku, bo tam, w kącie groty, znajdowała się dziewczynka. Teren był zdradliwy, pełen zagłębień, jak powierzchnia Księżyca, ale lampa zaopatrzona w gazową butlę zupełnie dobrze zdawała egzamin, mógł więc posuwać się szybko, w ślad za własnym chybotliwym cieniem. Nie dostrzegał niemal złotych ścian jaskini, jej niezwykłego skarbu. Chciał tylko odnaleźć drogę do wyjścia i odnalazł ją rzeczywiście. Idąc wzdłuż tylnej ściany dostrzegł w pewnym momencie otwór zaznaczony na mapie Marianny. Przedostał się na drugą stronę – świetlisty łuk lampy jarzył się przed nim. Jesteś światłem na końcu tunelu,

pomyślał. Ale nie, tej metafory godna była tylko Anna. Teraz jednak widział wyraźnie: tunel wysoki na sześć stóp – tylko odrobinę musiał się schylić – podparty stemplami, ze stropem na długich odcinkach wzmocnionym metalowymi płytami. Ruszył szybko do przodu i dwadzieścia stóp dalej zobaczył drzwi, spod których sączyło się światło. Tutaj mieszkał Vogel i tu musiała znajdować się obecnie mała Anna. Nie zatrzymał się jednak, teraz bowiem wyraźnie już poczuł powiew świeżego powietrza. Dziesięć jardów dalej zobaczył, skąd napływa. Jedna ściana tunelu zapadła się i naprawdę bez znaczenia było teraz, czy Stern nie powiedział Marianie o drugim wejściu do jaskini, czy też powstało ono dopiero w wyniku eksplozji. Postawił lampę, odwalił kilka większych kamieni, a kiedy mógł już się przecisnąć przez powstały otwór, znalazł się na dole komina, rozpadliny w olbrzymim bloku skalnym. Od szczytu dzieliło go jakieś osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt stóp, jednakże była to lita skała. A na górze zobaczył niebo z kilkoma słabymi gwiazdami.

Ogarnęło go nagle gorączkowe podniecenie. Był tak blisko celu, niemal mógł go dotknąć. Wrócił szybko po Anię, jednak upłynęło sporo czasu, zanim udało mu się przekonać wystraszoną dziewczynkę, by otworzyła drzwi. Ale wreszcie uległa. Na jej twarzyczce dostrzegł przerażenie; dziecko czuje je zawsze, kiedy wie, że nie ma wyboru; była zbyt zrozpaczona, by płakać. Gładził ją jakiś czas po dłoni, tłumacząc, że mama jest niedaleko i że on potrzebuje jej, Ani, pomocy; przytrzymała mu lampę, kiedy szukał liny i łopaty, a potem torował drogę dla nich obojga.

- Potrafisz jeździć na barana? – zapytał.
- Tak.
- To dobrze. Wezmę cię na barana, tylko zwiążę nas jeszcze liną, żebyś mocniej się mnie trzymała.
- Dlaczego?
- Ponieważ chcę wspiąć się tam na górę – pokazał David.
- Nie dasz rady.
- Na pewno dam.

I udało się. Był to rzeczywiście bohaterski wyczyn. Jako alpinista, i to dobry alpinista, wiedział, jak ciężkie czeka go zadanie. Miał jednak pewność, że podola. Mógł teraz znowu oddychać świeżym powietrzem. Po-

wracał do świata, słyszał odgłos wiatru przetaczającego się po powierzchni pustyni. Widział też noc, mały skrawek chmury i lśniące obok gwiazdy. Wreszcie skraj świata znalazł się pod jego rękami, podciągnął się w górę i przesunął ponad skalną krawędzią.

Był bardzo wyczerpany.

Odczołgał się na bok – dziecinne rączki wciąż ciasno oplatały mu szyję – rozplatał łączącą ich linę i przymknąwszy oczy, legł bez ruchu na plecach.

Kiedy podniósł powieki, zobaczył nad sobą gwiazdy, które zdawały się kołysać zgodnie z rytmem jego bijącego pospiesznie serca. Wpatrywał się w nie, aż znieruchomiały, a jego oddech stał się spokojny i regularny. Zrobił to, wiedział. Dokonał tego. Poczul ogromną ulgę, długie, przeciągłe westchnienie wyrwało mu się z piersi. Wszystko załatwione i on sam tego dopiął. Doszedł do mety, wyszedłszy od siebie, jak to ujął Tannis... Leżał bez ruchu, jego umysł był spokojny, odpoczywał. Tak, właściwie nie myślał w tej chwili o niczym. A przecież sens wszystkich wydarzeń dostrzegał teraz niezwykle jasno. Dokonała się w nim przemiana, stał się inną osobą i tylko dlatego zwyciężył. Z drugiej strony, z tak wielu rzeczy musiał zrezygnować – kiedyś wydawało mu się to ogromną stratą – i dlatego powinien pozwolić sobie na małą wyrozumiałość wobec siebie. Naukowiec. Człowiek Wiedzy. Mistrz Odwiecznych Praw i Zasad. Tyle że wiedza ta, zgodnie z jej własną definicją samej siebie, musiała stawać się mocą, która z kolei w nie kończącym się cyklu mogła tylko zabiegać o pomnożenie mocy. Panowanie nad światem, które tylko oddzielało od świata. Zrobił kilka kroków, posunął się naprzód... do tego wszystko się sprowadzało. A w miesiącach, które potem nastąpiły, kiedy zaczął budować nowe życie, zastanawiał się czasami, czy i świat nie zrobił paru kroków do przodu. Czy ludzie nadal wierzyli, że nauka uratuje ludzkość? Czy nadal wierzyli w tego rodzaju prawdy? Nie miał pewności – można było znaleźć argumenty za i przeciw tej tezie – ongiś jednak świat spoglądał na siebie oczyma Boga i ten czas minął, więc może i teraz coś zaczynało się zmieniać. 1952 – bomba wodorowa, 1955 – szczepionka Salka, 1958 – Sidewinder, pierwszy pocisk sterowany samoczynnie niszczący samoloty nieprzyjacielskie. (Tak, tak, miał w tym wszystkim swój małeńki udział.)

Historycy doszukają się tu niewątpliwie wielkości, ale czy gdzieś pośród tych wydarzeń nauka nie osiągnęła swego zenitu? A potem stała się już thalidomidem, trując i niszcząc świat wokół siebie. Ludzie dawniej w nią wierzyli, a teraz tracili tę wiarę. A on był częścią tego wielkiego procesu, ale przetrwał i – umknął przed zgubą!

Teraz jednak pomyślał: Wstawaj! Doznał prawdopodobnie czegoś w rodzaju lekkiego ataku szaleństwa, co trafia się nieraz na pustyni. Podźwignął się, choć z trudem, a wtedy Ania, która uznała już, że chyba umarł, podskoczyła i mocno objęła go za nogi. Zaczęła płakać. Chciała do mamy. „Obiecałeś” – odważyła się przypomnieć.

Istotnie, obiecał i to był ten ostatni problem. Nie miał pojęcia, gdzie są: wynurzyli się zza kanionu i jednocześnie ponad nim – z pewnością nie tam, gdzie ich oczekiwano. Przypomniawszy sobie jednak, że ma przecież starą zapalniczkę Tannisa, wyciągnął ją więc i pokręcił kółkiem, a kiedy rozjarzyła się, zatoczył ramieniem szerokie półkole. W chwilę później zobaczył światełko, które zabłyśło w odpowiedzi niewielką iskierką, choć dostrzegł ją tylko kątem oka i, oczywiście, w zupełnie innym miejscu, niż się spodziewał. Być może i oni nie byli pewni, czy to jego znak, gdyż światełko natychmiast zgasło. Widział je jednak dostatecznie długo. Wiedział już, w jakim kierunku ma iść – w pewnej odległości przed nim majaczyły spory pagórek, za którym, na krawędzi chmury, widać było pojedynczą gwiazdę. Należało po prostu przyjąć ją za gwiazdę przewodnią.

Kiedy jednak zgasło światło zapalniczki, dziewczynka wpadła w panikę: było ciemno, zgubili się i nigdy już nie odnajdą mamy. David klękając obok niej, usiłował ją uspokoić, przekonując, że potrafi odnaleźć drogę, nie na wiele się to jednak zdało. Muszą mieć światło, bo inaczej nic nie zobaczą. Powinni zabrać ze sobą lampę, szlochala.

– Posłuchaj – powiedział David. – Mam coś lepszego, wiesz o lampie. Jeśli zna się go na pamięć – na pewno umiesz jakieś wierszyki na pamięć – wtedy widzi się wszystko.

Dostrzegł w jej oczach wyraźnie niedowierzanie. Ale przekrzywiła główkę w oczekiwaniu, więc zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zaczął recytować.

Lampka ci daje światła moc,

*kiedy nadchodzi mroczna noc.
Ludzie ją po to sobie zrobili,
by i w ciemności bezpieczni byli.*

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem poprosiła: „Powiedz jeszcze raz” – więc spełnił jej życzenie, tym razem bawiąc się słowami, wydłużając je i przesadnie mocno akcentując niektóre zgłoski, aż w jej oczach pojawił się uśmiech, który po chwili sfrunął na jej wargi, a następnie przeszedł w cichy chichot. Powtórzył raz jeszcze, po czym Ania spróbowała sama – trochę jej tylko pomagał – spróbowała ponownie i w końcu umiała czterowersz na pamięć. I tak trzymając jej drobną dłoń w swojej dłoni, prowadzony przez przyjazną gwiazdę, ostrożnie, krok po kroku – bo teren był stromy i skalisty – posuwając się naprzód, David odnalazł ścieżkę i teraz z każdą chwilą coraz bardziej oddalał się od krawędzi komina i od China Lake.

Spis treści

Część I	
Ciała czarne	11
Część II	
Cel i tło	129
Część III-	
Teleskop Cassegrain	323